

MONTGOMERY LUCY MAUD

ANIA Z WYSPY KSIĘCIA EDWARDA

OPRACOWANIE I POSŁOWIE benjamin lefebvre

PRZEŁOŻYŁ paweł clemniewski

Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału

The Blythes Are Quoted

Text by L.M. Montgomery and Afterword copyright © 2009 David Macdonald, trustee, and Ruth Macdonald and Benjamin Lefebvre

L.M. Montgomery and L.M. Montgomery's signature and cat design are trademarks of Heirs of L.M. Montgomery Inc.

Anne of Green Gables and other indicia of „Anne” are trademarks and Canadian official marks of the Anne of Green Gables Licensing Authority Inc.

© Copyright for the Polish translation by Wydawnictwo Literackie, 2011

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-04661-6 — oprawa broszurowa ISBN 978-83-08-04676-0 — oprawa twarda

CZĘŚĆ PIERWSZA

Wydarzenia opisane w pierwszej części tej książki toczą się przed pierwszą wojną światową. Akcja w drugiej części rozgrywa się po zakończeniu wojny.

W książkach Tęczowa dolina i Rilla ze Złotego Brzegu wspomniany zostaje wiersz Kobziarz, którego autorem był Walter Blythe. Wiersz ten został opublikowany przed śmiercią Waltera podczas pierwszej wojny światowej. Choć utwór w rzeczywistości nigdy nie powstał, wielu czytelników pisało do mnie z pytaniem, gdzie mogliby go znaleźć. Kobziarz został napisany niedawno, ale jego wymowa wydaje się nawet bardziej aktualna teraz niż kiedyś.

KOBZIARZ

Czy pamiętasz te chwile, kiedy Kobziarz zawitał? Czy pamiętasz dźwięk kobzy i dolinę wśród pól? Wielu poszło słuchając czaru jego wołania, Mimo przestróg, ostrzeżeń, gorzkich słów pożegnania. Wabił pieśnią wędrowca, cudną magią muzyki, Delikatnie szemrzącej niczym leśne strumyki.

7

Przyjdzie Kobziarz raz jeszcze w pełną cieni dolinę, Zagra znów swoje pieśni pośród klonów i traw. I pójdziemy raz jeszcze znów od domu do domu, I umierać w cierpieniu nie żał będzie nikomu. Czy zaboli? Zaboli, lecz dźwięk rogu wolności Zabrzmi znów tryumfalnie cudną pieśnią przyszłości.

PARU GŁUPCÓW I JEDNA ŚWIĘTA

— Zamierza pan zamieszkać u Długiego Aleca?! — wykrzyknął zdumiony pan Sheldon.

Stary pastor kościoła metodystów w Mowbray Nar-rows rozmawiał z nowym pastorem w salce katechetycznej. Stary pastor — odchodzący na emeryturę — z sympatią traktował swojego młodego następcę. Z sympatią, ale i odrobiną zazdrości. Stojący przed nim mężczyzna przypominał mu jego samego sprzed czterdziestu lat... Był młody, pełen entuzjazmu i nadziei, rozsadzała go energia i poczucie misji. W dodatku był przystojny. Pan Sheldon uśmiechnął się w duchu, zastanawiając się, czy Curtis Burns jest zaręczony. Najprawdopodobniej. Większość młodych pastorów miała swoje wybranki serca. Ale nawet jeśli Burns się nie zaręczył, w Mowbray Narrows nie braknie niewieścich serc, które mocniej zabiją na jego widok. Cóż, trudno będzie im się dziwić.

Tego popołudnia odbyło się przyjęcie powitalne, a po nim nastąpiła wieczerza, zorganizowana w piwnicy. Curtis Burns poznał większość swoich parafian i uści-

S
nął im dłonie. Teraz, rozmawiając w tej ocienionej winoroślami salce ze starym panem Sheldonem — swym otaczanym niemal czcią poprzednikiem, który resztę swoich dni postanowił spędzić w pobliskiej wiosce Glen St. Mary — Curtis był zadowolony, choć czuł się nieco onieśmielony, a jednocześnie lekko zmieszany. Podobno pan Sheldon przeprowadzał się, by mieszkać bliżej doktora Gilberta Blythe'a ze Złotego Brzegu. Niektórym metodystom ze starszego pokolenia niezbyt się to podobało. Uważali, że pastor Sheldon powinien korzystać z porad i usług lekarza metodysty z Lowbridge.

— To naprawdę dobra parafia, porządni i lojalni ludzie, panie Burns — mówił pastor Sheldon. — Mam nadzieję, że pańska posługa w Mowbray Narrows okaże się szczęśliwa i błogosławiona.

Curtis Burns uśmiechnął się. A gdy się uśmiechał, w jego policzkach pojawiały się dołeczki, nadając twarzy chłopięcy, trochę nieodpowiedzialny wygląd. Pan Sheldon poczuł ukłucie wątpliwości. Nie przypominał sobie żadnego pastora z dołkami w policzkach, nawet wśród prezbiterian. Czy to przystoi księdzu? Tymczasem Curtis Burns odpowiedział, a w jego głosie wyczuwało się właściwą dawkę pokory i nieśmiałości:

— Jestem pewien, że jeśli mi się tu nie powiedzie, będzie to całkowicie moja wina, panie Sheldon. Brak mi doświadczenia. Czy mógłbym od czasu do czasu zasięgać pańskiej rady?

— Z wielką przyjemnością pomogę panu we wszystkim, w czym tylko będę mógł — zapewnił pan Sheldon, a jego wątpliwości ulotniły się w mig. — Dobrych rad mi nie brakuje. Jednej udzielę panu już teraz. Jeśli będzie potrzebował pan lekarza, niech pan pośle po metodystę. Ja miałem wiele kłopotów przez moją przyjaźń z doktorem Blythe'em. I niech pan zamieszka na plebanii, a nie wynajmuje pokoju.

Curtis ze smutkiem pokręcił głową.

— Nie mogę tak uczynić, panie Sheldon. Przynajmniej nie teraz. Nie mam grosza przy duszy, za to długi do spłacenia. Minie trochę czasu, zanim ureguluję rachunki i oszczędzę na tyle pieniędzy, by móc pozwolić sobie na zatrudnienie gospodyni.

Ach, czyli młody pastor nie zamierzał się żenić!

— No cóż, jeśli nie da rady, to trudno. Ale niech pan się przeprowadzi na plebanie najszybciej, jak tylko to możliwe. Pastor powinien mieć swój własny dom. A plebania w Mowbray Narrows to całkiem przytulne miejsce, choć ma już swoje lata. Bardzo przyjemnie mi się tam mieszało... Przynajmniej na początku, aż do śmierci mojej żony, dwa lata temu. Od tamtego czasu doskwierała mi samotność. Gdyby nie przyjaźń z Blythe'ami... Choć wielu parafian było zgorszonych, w końcu Blythe'owie to prezbiterianie. Tak czy inaczej, dobrze będzie się panu mieszać u pani Richards. Ona już o pana zadba.

— Niestety, pani Richards nie wynajmie mi jednak pokoju. Musiała pojechać do szpitala, czekają poważna operacja. Zamieszkam u pana Fielda... a raczej Długiego Aleca, bo tak chyba jest nazywany w okolicy. Dziwne przydomki nadajecie ludziom w Mowbray Narrows. Z kilkoma już się zetknąłem.

I to właśnie wtedy pan Sheldon wykrzyknął:

— U Długiego Aleca?! — W jego głosie kryło się coś więcej niż tylko zaskoczenie.

— Owszem. Poprosiłem jego i jego siostrę, by przygarnęli mnie na parę tygodni.

Obiecałem, że będę grzeczny. Szczęściarz ze mnie — to oprócz domu pani Richards jedyne miejsce położone tak blisko kościoła. Ale musiałem się natrudzić, by ich przekonać do tego pomysłu.

— Ale... u Długiego Aleca? — pan Sheldon nie mógł się nadziwić.

Curtis pomyślał sobie, że zaskoczenie starego pastora jest... zadziwiające. Podobnie zareagował doktor Blythe, gdy usłyszał, gdzie Curtis zamieszka.

Dlaczego wynajęcie pokoju u Długiego Aleca budziło takie reakcje?

Długi Alec wydawał się godnym szacunku, atrakcyjnym młodym mężczyzną. Miał przystojną twarz, orli nos i łagodne, rozmarzone szare oczy. A jego siostra... słodka istotka, wyglądająca na zawsze zmęczoną, o delikatnym głosiku, niczym dźwięki fletu. Miała brązową skórę, brązowe włosy i oczy, a usta szkarłatne. Spośród wszystkich pięknych niczym kwiaty dziewcząt, które tego wieczoru zgromadziły się w piwnicy i nieustannie posyłały młodemu pastоровi ukradkowe, nieśmiałe spojrzenia, Burns nie zapamiętał żadnej. Ale jakimś cudem zapamiętał Lucię Field.

— Czemu nie miałbym zamieszkać u Długiego Aleca? — spytał.

Przypomniał sobie właśnie, że nie tylko stary pastor i doktor Blythe byli zaskoczeni decyzją o wynajęciu po-

12

koju u Fieldów. O co mogło chodzić? Przecież Długi Alec zasiadał w radzie wioski. Musiał cieszyć się dobrą opinią.

Pan Sheldon wyglądał na zakłopotanego.

— Och, to nic takiego, zdaje mi się. Po prostu... nie sądziłem, że będą chcieli wynająć pokój komukolwiek. Lucia ma pełne ręce roboty. Pewnie słyszał pan, że opiekują się kuzynką, inwalidką?

— Tak, wspominał o niej doktor Blythe. Byłem nawet ją odwiedzić. Co za tragedia... taka piękna, wspaniała kobieta!

— Rzeczywiście piękna — przytaknął ochoczo pan Sheldon. — To naprawdę niesamowita osoba, działała dla Mowbray Narrows więcej dobrego niż inni. Nazywają ją aniołem. Muszę przyznać, panie Burns, że choć Alice Harper jest przykuta do łóżka, jej wpływy w całej okolicy są ogromne. Słów mi brakuje, by wyrazić, jak bardzo pomocną mi była podczas mojej posługi w tej parafii. Zresztą każdy inny pastor powie panu to samo. Jej cudowne życie to źródło inspiracji. Młode parafianki wprost ją ubóstwiają. Wie pan, że przez osiem lat uczyła? Do dziś dziewczynki odwiedzają ją tuż po zajęciach szkoły niedzielnej. Ona ma wpływ na ich życie... Zwierzą jej się ze wszystkich swoich problemów i obaw. Podobno Alice zeswatała ze sobą więcej par niż pani Blythe — a to już coś! Zresztą to dzięki Alice właśnie nie doszło w kościele do skandalu, gdy diakon North wpadł w szal, ponieważ Lucia Field zagrała na poświęconych skrzypcach w trakcie kwesty. Alice przemówiła diakonowi do rozsądku. O wszystkim opowiedziała mi później w zaufaniu, dodając tu i ówdzie swoje żartobliwe uwagi. Setnie się ubawiłem. Gdyby też słyszał ją diakon! Alice ma ogromne poczucie humoru. Czasami cierpi straszliwie, ale nigdy nikt nie słyszał choćby słowa skargi z jej ust.

— Czy jest inwalidką od urodzenia?

— Och, nie. Dziesięć lat temu spadła ze strychu stodoły. Szukała tam jajek, o ile dobrze pamiętam.. Przez całe godziny nie odzyskiwała przytomności. A gdy już się ocknęła, okazało się, że jest sparaliżowana od pasa w dół.

— Czy zasięgnięto w jej sprawie fachowej porady medycznej?

— O, tak. Winthrop Field — ojciec Długiego Aleca — sprowadził najlepszych specjalistów. Nic nie mogli dla niej uczynić. Alice jest córką siostry Winthropa. Jej rodzice zmarli, gdy była malutka... Jej ojciec zresztą był niezłym nicponiem i alkoholikiem, podobnie jak i jego ojciec. Więc wychowali ją Fieldowie. Przed wypadkiem była szczupłą, śliczną i nieśmiałą dziewczyną, która lubiła trzymać się na uboczu, rzadko zadawała się z innymi ludźmi. Nie wiem, jak się czuła, żyjąc na łasce swojego wuja. Do tej pory jest całkowicie zdana na pomoc innych. Panie Burns, ona nawet nie może samodzielnie przekreślić się na bok w łóżku. Ma poczucie, że stanowi ciężar dla Aleca i Lucii. Są dla niej bardzo dobrzy, tego jestem pewien, ale młodzi i zdrowi ludzie nie są w stanie w pełni zrozumieć cierpienia innego

człowieka. Winthrop Field zmarł siedem lat temu, rok później odeszła jego żona. Potem Lucia porzuciła pracę w Charlottetown

14

— była nauczycielką w tamtejszym liceum. Wróciła do Mowbray Narrows, by zająć się domem i usługiwać Alice. Bo Alice nie zniosłaby tego, że opiekują się nią obcy ludzie. Biedactwo.

— To musi być trudne dla Lucii — rzekł Curtis.

— No tak, ma się rozumieć. To dobra dziewczyna, jak sędzę... Blythowie uważają, że drugiej takiej ze świecą szukać... Z kolei Alec to też porządny chłopak. Może tylko trochę uparty. Słyszałem plotki o tym, że miał się zaręczyć z Edną Pollock. Pani Blythe chętnie by ich widziała razem. Ale do niczego w końcu nie doszło. Cóż, farma Fieldów to porządny, stary dom, może nawet najlepszy w całym Mowbray Narrows... Lucia jest zaradną gospodynią, mam nadzieję, że dobrze się panu tam będzie mieszało. Ale...

Pan Sheldon urwał nagle i wstał z krzesła.

— Ale?... O czym pan nie chce mi powiedzieć? — spytał prosto z mostu Curtis. — Inni też mieli jakieś wątpliwości, szczególnie doktor Blythe, choć nikt nic konkretnego nie powiedział. Chciałbym zrozumieć. Nie lubię tajemnic.

— W takim razie nie powinien pan zamieszkać u Długiego Aleca — rzekł oschle pan Sheldon.

— Ale czemu nie? Chyba rodzina mieszkająca na tamtej farmie nie ukrywa żadnej mrocznej tajemnicy?

— Cóż, chyba muszę panu o wszystkim powiedzieć. Choć wolałbym, żeby zapytał pan doktora Blythe'a, bo ja — opowiadając o tym — zawsze czuję się jak głupiec. Myśli pan, że trudno o wielką tajemnicę w miejscu tak pospolitym jak jakaś farma w Mowbray Narrows?

f0

— była nauczycielką w tamtejszym liceum. Wróciła do Mowbray Narrows, by zająć się domem i usługiwać Alice. Bo Alice nie zniosłaby tego, że opiekują się nią obcy ludzie. Biedactwo.

— To musi być trudne dla Lucii — rzekł Curtis.

— No tak, ma się rozumieć. To dobra dziewczyna, jak sędzę... Blythowie uważają, że drugiej takiej ze świecą szukać... Z kolei Alec to też porządny chłopak. Może tylko trochę uparty. Słyszałem plotki o tym, że miał się zaręczyć z Edną Pollock. Pani Blythe chętnie by ich widziała razem. Ale do niczego w końcu nie doszło. Cóż, farma Fieldów to porządny, stary dom, może nawet najlepszy w całym Mowbray Narrows... Lucia jest zaradną gospodynią, mam nadzieję, że dobrze się panu tam będzie mieszało. Ale...

Pan Sheldon urwał nagle i wstał z krzesła.

— Ale?... O czym pan nie chce mi powiedzieć? — spytał prosto z mostu Curtis. — Inni też mieli jakieś wątpliwości, szczególnie doktor Blythe, choć nikt nic konkretnego nie powiedział. Chciałbym zrozumieć. Nie lubię tajemnic.

— W takim razie nie powinien pan zamieszkać u Długiego Aleca — rzekł oschle pan Sheldon.

— Ale czemu nie? Chyba rodzina mieszkająca na tamtej farmie nie ukrywa żadnej mrocznej tajemnicy?

— Cóż, chyba muszę panu o wszystkim powiedzieć. Choć wolałbym, żeby zapytał pan doktora Blythe'a, bo ja — opowiadając o tym — zawsze czuję się jak głupiec. Myśli pan, że trudno o wielką tajemnicę w miejscu tak pospolitym jak jakaś farma w Mowbray Narrows?

— była nauczycielką w tamtejszym liceum. Wróciła do Mowbray Narrows, by zająć się domem i usługiwać Alice. Bo Alice nie zniosłaby tego, że opiekują się nią obcy ludzie. Biedactwo.

— To musi być trudne dla Lucii — rzekł Curtis.

— No tak, ma się rozumieć. To dobra dziewczyna, jak sądzę... Blythowie uważają, że drugiej takiej ze świecą szukać... Z kolei Alec to też porządny chłopak. Może tylko trochę uparty. Słyszałem plotki o tym, że miał się zaręczyć z Edną Pollock. Pani Blythe chętnie by ich widziała razem. Ale do niczego w końcu nie doszło. Cóż, farma Fieldów to porządny, stary dom, może nawet najlepszy w całym Mowbray Narrows... Lucia jest zaradną gospodynią, mam nadzieję, że dobrze się panu tam będzie mieszało. Ale...

Pan Sheldon urwał nagle i wstał z krzesła.

— Ale?... O czym pan nie chce mi powiedzieć? — spytał prosto z mostu Curtis. — Inni też mieli jakieś wątpliwości, szczególnie doktor Blythe, choć nikt nic konkretnego nie powiedział. Chciałbym zrozumieć. Nie lubię tajemnic.

— W takim razie nie powinien pan zamieszkać u Długiego Aleca — rzekł oschle pan Sheldon.

— Ale czemu nie? Chyba rodzina mieszkająca na tamtej farmie nie ukrywa żadnej mrocznej tajemnicy?

— Cóż, chyba muszę panu o wszystkim powiedzieć. Choć wolałbym, żeby zapytał pan doktora Blythe'a, bo ja — opowiadając o tym — zawsze czuję się jak głupiec. Myśli pan, że trudno o wielką tajemnicę w miejscu tak pospolitym jak jakaś farma w Mowbray Narrows?

fó

A jednak. Panie Burns, w starym domu Fieldów dzieją się bardzo dziwne rzeczy. Mieszkańcy Mowbray Narrows pewnie powiedzieliby panu, że ta farma jest... nawiedzona.

— Nawiedzona?! — Curtis wybuchnął śmiechem. — Panie Sheldon, i pan w to wierzy?

— Kiedyś również śmiałem się, słysząc słowo „nawiedzony” — odparł pastor nieco urażonym tonem. Może i był uważany za świętego, ale nie lubił, gdy kpił z niego jakiś młodzieniaszek. — Jednak uśmiech zszedł z mojej twarzy, gdy spędziłem w tamtym miejscu trochę czasu.

— Ależ pan chyba nie chce mi powiedzieć, że wierzy w duchy, pastorze? — Curtis pomyślał sobie, że Sheldon dzieciennieje na stare lata.

— Oczywiście, że nie. A raczej: nie wierzę, że wszystkie dziwne i niewyjaśnione zdarzenia, do których doszło w tamtym domu w ciągu pięciu czy sześciu lat, mają nadnaturalne przyczyny. Lecz to nie zmienia faktu, że działy się tam tajemnicze rzeczy... Co do tego nie ma wątpliwości... Proszę nie zapominać choćby o Johnie Wesleyu...

— O jakich tajemniczych rzeczach mówimy?

Pan Sheldon odkaslnął.

— No... cóż... niektóre z nich wydadzą się pewnie panu niedorzeczne. Ale gdy zestawi się ze sobą wszystkie tego typu przypadki, sprawa robi się poważna. Poważna przynajmniej dla tych, którzy mieszkają w tamtym domu. I nie znajdują dla owych zdarzeń żadnego racjonalnego wyjaśnienia. Panie Burns, zdarza się, że ktoś przewraca rzeczy w pokojach do góry nogami... Na poddaszu słychać skrzypienie kołyski, choć żadnej kołyski tam nie ma... Ktoś gra na skrzypcach, choć w domu nie ma żadnych skrzypiec, no, z wyjątkiem skrzypiec Lucii, które jednak zawsze trzyma zamknięte w swoim pokoju... Na ludzi w trakcie snu ktoś wylewa zimną wodę... Ktoś ściąga z nich ubrania... Na strychu rozlegają się okropne wrzaski... W pustych pokojach daje się słyszeć szepty zmarłych... Na podłogach ktoś zostawia krwawe ślady stóp... Widziano blade postaci spacerujące po dachu stodoły. Proszę się śmiać do woli, panie Burns. I ja się kiedyś śmiałem.

Pękałem ze śmiechu, gdy mi powiedziano zeszłej wiosny, że wszystkie jaja znalezione w kurniku okazały się ugotowane na twardo.

— Widocznie duch w domu Fieldów ma poczucie humoru — zauważył Curtis.

— Ale nikomu nie było do śmiechu, gdy zeszłej jesieni Długiemu Alecowi spaliła się szopa, po brzegi wypełniona sianem. Od ognia mogły się zająć pozostałe budynki, gdyby tylko powiał mocniejszy wiatr. Pożarł sam zgasł. Nikt się potem nie zbliżał do pogorzeliska przez całe tygodnie.

— Panie Sheldon... gdyby ktokolwiek inny opowiedział mi o tym wszystkim...

— Nie uwierzyłby pan. I ja pana nie winię. Ale niech pan spyta doktora Blythe'a. Ja też nie wierzyłem w te historie, póki sam nie spędziłem w tamtym domu nocy.

— I czy... zdarzyło się coś szczególnego?

— Cóż, słyszałem ową kołyskę. Skrzypiała przez całą noc na stryszku, nad moją głową. O północy roz-

brzmiał dźwięk dzwonka, za pomocą którego wzywa się domowników na obiad. Usłyszałem jakiś piekielny śmiech... Nie umiem panu powiedzieć, czy ów śmiech rozległ się w moim pokoju, czy też gdzie indziej. Ale było w nim coś, co zmroziło mi krew w żyłach. Byłem przerażony. Zapewniam pana, panie Burns, że to nie był ludzki śmiech. A tuż przed świtem z jednego z kredensów wyleciały wszystkie naczynia i roztrzaskały się o podłogę. Mało tego....

— zazwyczaj łagodną twarz starego pastora wykrzywił grymas obrzydzenia — ...owsianka, jaką podano mi na śniadanie, przyrządzona zeszłego dnia, okazała się niewymownie wprost słona.

— Ktoś sprawił panu psikusa.

— Oczywiście, zgadzam się z panem. Tylko kim był ten żartowniś? I jakim cudem nikt nie jest w stanie go złapać? Bo chyba nie wątpi pan, że Lucia i Długi Alec próbowali wszystkich metod.

— Czy owe... występy zdarzają się każdej nocy?

— Och, nie. Czasami mijają całe tygodnie bez tego typu ekscesów. Zwykle gdy ludzie odwiedzają Fieldów, by na własnej skórze zaobserwować te zjawiska, nic się nie dzieje. Pewnego razu zjawili się tam na noc nawet doktor Blythe i doktor Parker. Zresztą nie było im wtedy do śmiechu. Ale w domu panowała martwa cisza. Choć gdy przez dłuższy czas jest spokojnie, potem następuje istna orgia. Zazwyczaj w noc, gdy świeci księżyc, jest spokojnie. Ale nie zawsze.

— Panna Field musi mieć kogoś do pomocy Kto mieszka jeszcze na farmie oprócz jej brata i panny Harper?

brzmiał dźwięk dzwonka, za pomocą którego wzywa się domowników na obiad. Usłyszałem jakiś piekielny śmiech... Nie umiem panu powiedzieć, czy ów śmiech rozległ się w moim pokoju, czy też gdzie indziej. Ale było w nim coś, co zmroziło mi krew w żyłach. Byłem przerażony. Zapewniam pana, panie Burns, że to nie był ludzki śmiech. A tuż przed świtem z jednego z kredensów wyleciały wszystkie naczynia i roztrzaskały się o podłogę. Mało tego....

— zazwyczaj łagodną twarz starego pastora wykrzywił grymas obrzydzenia — ...owsianka, jaką podano mi na śniadanie, przyrządzona zeszłego dnia, okazała się niewymownie wprost słona.

— Ktoś sprawił panu psikusa.

— Oczywiście, zgadzam się z panem. Tylko kim był ten żartowniś? I jakim cudem nikt nie jest w stanie go złapać? Bo chyba nie wątpi pan, że Lucia i Długi Alec próbowali wszystkich metod.

— Czy owe... występy zdarzają się każdej nocy?

— Och, nie. Czasami mijają całe tygodnie bez tego typu ekscesów. Zwykle gdy ludzie odwiedzają Fieldów, by na własnej skórze zaobserwować te zjawiska, nic się nie dzieje. Pewnego razu zjawili się tam na noc nawet doktor Blythe i doktor Parker. Zresztą nie było im

wtedy do śmiechu. Ale w domu panowała martwa cisza. Choć gdy przez dłuższy czas jest spokojnie, potem następuje istna orgia. Zazwyczaj w nocy, gdy świeci księżyc, jest spokojnie. Ale nie zawsze.

— Panna Field musi mieć kogoś do pomocy. Kto mieszka jeszcze na farmie oprócz jej brata i panny Harper?

— Dwie osoby. Jock MacCree, niezbyt rozgarnięty człowiek, który z Fieldami żyje od trzydziestu lat. Pewnie dobiega do pięćdziesiątki. Zawsze zachowywał się nienagannie. I jest jeszcze Julia Marsh, służąca. Dość niezdarna istota, wiecznie naburmuszona, pochodzi z Górnego Glen.

— Niepełnosprawny umysłowo i dziewczyna, najwyraźniej żywiąca do kogoś urazę. Chyba jednak łatwo będzie zidentyfikować tego waszego ducha, panie Sheldon.

— To nie takie proste, panie Burns. Oczywiście, tych dwoje było swego czasu podejrzanymi. Ale nawet gdy Jock przebywa razem z tobą w pomieszczeniu, dochodzi do tajemniczych zdarzeń. Owszem, Julia nigdy nie zgodziłaby się, by na próbę zamknięto ją w pokoju lub przydzielono strażników. Ale nawet gdy akurat nie ma jej na farmie, dzieją się dziwne rzeczy.

— Słyszał pan kiedykolwiek ich śmiech?

— Owszem. Jock chichocze głupkowato. Julia jakby... pochrząkuje. Nie wierzę, by któreś z nich było w stanie wydobyć z siebie dźwięki, jakie słyszałem. Podobne wątpliwości ma doktor Blythe. Ludzie z Mowbray Narrows z początku myśleli, że to Jock jest sprawcą wszystkiego. Ale teraz wszyscy zgodnie uważają, że to duchy... Naprawdę wszyscy bez wyjątku, nawet ci, którzy wprost nie przyznaliby się do tego, że wierzą w zjawiska nadprzyrodzone.

— A dlaczego w ogóle przypuszczają, że dom jest nawiedzony?

— Z tamtym miejscem związana jest pewna opowieść. Na farmie, przed Julią, pracowała jej siostra,

K9

Anna Marsh. Trudno znaleźć ręce do pomocy, panie Curtis, szczególnie w Mowbray Narrows. Tymczasem Lucia musi mieć kogoś takiego, sama nie poradzi sobie z utrzymaniem porządku w domu i opieką nad Alice. Anna Marsh miała dziecko z nieprawego łoża. Miało chyba trzy latka w tamtym czasie. Przyjeżdżała razem z nim do pracy. To była mała, słodka istotka, Wszyscy dziecko polubili. Pewnego dnia maleństwo utopiło się w zbiorniku na wodę, stojącym przy stodole. Jock zapomniał przykryć go wiekiem. Anna śmierć dziecka przyjęła bez większych emocji. Nie awanturowała się, podobno nawet nie płakała. Ludzie mówili: „Pewnie cieszy się, że pozbyła się dziecka. Ci Marshowie to diabelskie nasienie. Szkoda, że Lucia Field nie znalazła sobie kogoś lepszego do pomocy. Może gdyby lepiej płacili...”. I tak dalej, i tak dalej. Ale dwa tygodnie po pogrzebie dziecka Anna powiesiła się na poddaszu. Curtis z zaskoczenia aż krzyknął.

— Pamiętam, że doktor Blythe ostrzegał ich, by mieli na nią oko. Jak pan zatem widzi, te wydarzenia to mocna podstawa, by uwierzyć w historię z duchami w roli głównej. Podobno to właśnie z tego powodu Edna Pollock nie chce wyjść za Długiego Aleca. Pollockowie są zamożną rodziną, Edna to rozgarnięta dziewczyna, ale... mimo wszystko troszkę poniżej standardów Fieldów. Zarówno intelektualnie, jak i społecznie. Chciałaby, żeby Alec sprzedał farmę i się przeprowadził. Uważa, że nad tym miejscem ciąży klątwa. Tak na marginesie, pewnego poranka w domu znaleziono liścik, spisany krwią... Pełno w nim było błędów — Anna Marsh nie

20

była wykształcona. „Jeśli w tym domu urodzą się dzieci, zostaną przeklęte”. Doktor Blythe upierał się, że Anna miała inny charakter pisma, ale cóż, zdarzyło się, co się zdarzyło.

Tymczasem Alec na pewno nie sprzeda domu, nawet gdyby jakimś cudem znalazł kupca.

Farma należy do jego rodziny od 1770 roku, Alec mówi, że nie da się z niej przepędzić jakimś duchom. Tajemnicze zdarzenia zaczęły się kilka tygodni po śmierci Anny. Na poddaszu słysząc było skrzypienie kołyski... Cóż, wtedy tam rzeczywiście znajdowała się kołyska. Usunęli ją, ale skrzypienie rozlegało się nadal. Wie pan, uczyniono dosłownie wszystko, by rozwiązać tę zagadkę. Sąsiedzi stali na czatach noc w noc. Czasami nic się nie działo. A innym razem wydarzało się coś, dla czego trudno było znaleźć wyjaśnienie. Trzy lata temu Julia obraziła się na dobre i odeszła. Twierdziła, że jest obmawiana za plecami i dłużej tego nie zniesie. Więc Lucia sprowadziła Min Deacon z Górnego Glen. Min wytrzymała trzy tygodnie... To była bystra, pracowita dziewczyna... Ale zrezygnowała z pracy, bo pewnej nocy obudził ją dotyk lodowatej dłoni na twarzy. Mimo że Min zamknęła przed snem drzwi na klucz. Następnie najęli do pomocy Maggie Eldon — młodziutką dziewczynę o nerwach ze stali. Miała wspaniałe kruczoczarne włosy, z których była bardzo dumna, nigdy ich nie podcinała. Lodowate szpony, przeraźliwe śmiechy czy skrzypiące kołyski nie robiły na niej żadnego wrażenia. Była na farmie przez pięć tygodni. Ale pewnego ranka obudziła się i ujrzała, że ktoś obciął jej cudowny warkocz kruczoczarnych włosów. Tego Maggie już nie zniosła. Jej narzeczony nie

aprobował krótkich włosów u dziewcząt. Tymczasem nie jest tajemnicą, że Anna Marsh miała niezbyt ładne włosy i zazdrościła kobietom o tak pięknych warkoczach jak Maggie. Zatem Lucia namówiła Julię do powrotu. Osobiście uważam, że Julia nie miała nic wspólnego z tajemniczymi zdarzeniami. Doktor Blythe myśli podobnie. Niech pan z nim kiedyś o tym porozmawia... to bardzo inteligentny człowiek, nawet jak na prezbiterianina.

— Ale jeśli Julia nie maczała palców w całej sprawie, to kto?

— Na to pytanie właśnie nie potrafimy znaleźć odpowiedzi, panie Burns. Poza tym, kto wie, do czego zdolne są moce zła? Niech pan sobie przypomni historię probostwa w Epworth. Tamta zagadka również nigdy nie została rozwiązana. A mimo to śmiem wątpić, by diabeł, czy nawet złośliwy duch, był w stanie opróżnić dwanaście butelek octu malinowego i wypełnić je czerwonym atramentem, solą i wodą.

Pan Sheldon nie potrafił się powstrzymać i wybuchnął śmiechem. Curtis jednak nie odpowiedział tym samym. Zmarszczył brwi.

— To się w głowie nie mieści, by tego typu zdarzenia powtarzały się przez pięć lat, a sprawca nie został złapany. To musi być prawdziwy koszmar dla panny Field.

— Lucia ma do tego dystans. Niektórzy ludzie twierdzą, że może nawet zbyt duży dystans. Oczywiście w Mowbray Narrows, podobnie jak wszędzie indziej, nie brakuje złośliwych osób, które sugerowały, że to Lucia odpowiada za wszystkie te okropności. Ale lepiej nie po-

22

wtarzać tego pani Blythe. To wielka przyjaciółka Lucii. Zresztą ja osobiście nigdy Lucii nie podejrzewałem.

— Też śmiem wątpić w jej ewentualną winę. Pomijając kwestię jej osobowości, jakież powód mogłaby mieć, by przygotować taką intrygę?

— Może, by nie dopuścić do małżeństwa Długiego Aleca z Edną Pollock. Lucia nigdy nie przepadała za Edną. Poza tym duma Fieldów mogłaby ucierpieć, gdyby doszło do zeswatań tych dwóch rodzin. Nie zapominajmy też, że Lucia potrafi grać na skrzypcach.

— Nigdy nie uwierzę w tego typu insynuacje pod adresem panny Field.

— Ja chyba też nie. I wolę sobie nie wyobrażać, co zrobiłaby mi pani Blythe, gdybym choć rzucił cień podejrzenia na Lucię. Zresztą w gruncie rzeczy niewiele wiem o pannie Field. Nie udzielała się w pracach przykościelnych, pewnie nie była w stanie. Z insynuacjami bywa jednak tak, że gdy już zostaną wypowiedziane, trudno

0 nich zapomnieć. Przez całe swoje życie walczyłem

1 zwyciężyłem z wieloma kłamstwami, ale niektórym nie dałem rady, panie Burns. Lucia to zamknięta w sobie kobieta... Pani Blythe to chyba jedyna jej bliska znajoma. Ja już jestem za stary, by się z nią zaprzyjaźnić. Cóż, w każdym razie opowiedziałem panu wszystko, co wiem o tej tajemniczej sprawie. Z pewnością znajdą się inni, którzy będą w stanie dorzucić kilka szczegółów. Jeśli nie straszny panu nawiedzony dom i wytrzyma pan na farmie Fieldów do czasu powrotu pani Richards ze szpitala, myślę, że będzie panu się całkiem miło mieszkalo. Z pewnością Alice ucieszy się na pański widok. Bardzo

23

martwi się całą tą sprawą. Uważa, że to przez duchy ludzie trzymają się od jej domu z daleka. Cóż, w gruncie rzeczy taka jest prawda. Tymczasem Alice uwielbia towarzystwo. Biedactwo. No i straszliwie przejmują się dziwnymi zdarzeniami w domu. Mam tylko nadzieję, że moje opowieści nie wytrąciły pana z równowagi.

— Nie, wręcz przeciwnie. Zaintrygował mnie pan. Ufam, że całą sprawę da się prosto i racjonalnie wyjaśnić.

— I pewnie sądzi pan, że wszystko, co panu opowiedziałem, jest mocno przesadzone? Cóż, nie wątpię, że w całej historii jest parę wątków, które z biegiem czasu obrosły w niepotwierdzone plotki i fantastyczne przypuszczenia. Opowieści w ciągu pięciu lat mogą dość drastycznie odbiec od prawdy, tym bardziej że my, mieszkańcy małych wiosek, spragnieni jesteśmy odrobiny dramatyzmu. Jeśli dwa dodać dwa równa się cztery, nikogo taki wynik nie interesuje. Ale jeśli dwa i dwa razem daje pięć — o, to zupełnie inna historia. Nawet mój niezwykle sceptyczny stary diakon, Malcolm Dinwoodie, słyszał pewnego razu w salonie na farmie Fieldów głos Winthropa Fielda. Jeśli ktokolwiek słyszał głos Winthro-pa, wie, że nie można go pomylić z głosem nikogo innego. Podobnie jak nerwowego chichotu, którym kończył większość swoich wypowiedzi.

— Ale sądziłem, że mówimy tutaj jedynie o duchu Anny Marsh, który postanowił nawiedzić domostwo?

— Cóż, jej głos również słyszano. Ale nie chcę już o tym mówić! Weźmie mnie pan jeszcze za bełkoczącego idiotę. Jak pan dłużej pomieszka w tamtym domu,

24

przekona się pan o wszystkim na własnej skórze. A może duch uszanuje to, że jest pan duchownym, i będzie zachowywał się przykładowie? Kto wie, może nawet odkryje pan prawdę...

„Pan Sheldon to istny święty, wspaniały człowiek i rewelacyjny pastor, nigdy mu nie dorównam — rozmyślał Curtis, gdy zmierzał drogą w stronę domu. — Ale staruszek naprawdę wierzy, że farma Długiego Aleca jest nawiedzona... Nie potrafił tego ukryć, nawet próbując wszystko zbagatelizować za pomocą historyjki o occie malinowym. Cóż, czeka mnie walka z duchami. Będę musiał o tym porozmawiać z doktorem Blythe'em. Poza tym dwa dodać dwa zawsze równa się cztery”.

Obejrzał się za siebie, by popatrzeć na swój kościółek — spokojny, stary szary budynek, stojący pośród zapadniętych grobów i pokrytych mchem nagrobków. A w górze srebrzyste niebo późnego wieczoru. W pobliżu kościoła znajdowała się plebania — przytulny stary dom, zbudowany w czasach, gdy kamień był tańszy niż drewno czy cegła. Plebania sprawiała wrażenie smutnej i opuszczonej. Natomiast po przeciwnej stronie drogi znajdował się wiekowy dom Fieldów. Szeroki, niski budynek, z wieloma gankami — w dziwny sposób przypominał starą kwokę, pod której skrzydła garnęły się kurczaka. Okna na poddaszu umieszczono w szczególnym układzie. Znajdowały się pod takim kątem i tak blisko okien w głównej części domu, że ludzie, wychylając się z nich, mogliby podać sobie rękę. Była to sprytna architektoniczna sztuczka, która spodobała się Curtisowi. Dzięki niej dach domu nabierał charakteru.

W pobliżu rosły wspaniałe świerki, otulając gałęziami ściany budynku. Nie można było z pewnością odmówić temu miejscu uroku i swoistej atmosfery. Jakby powiedziała stara ciotka Curtisa: „Za tym wszystkim stoi rodzina”.

Ganki porastała winorośl. Powykręcane jabłonie, spośród których docierały delikatne poćwierkiwania ptaków, nachylały się nad kwietnymi rabatkami. Rosły tam setki białych, pachnących koniczyń, ziela mięty i piołunu, bratki, kapryfolium i czerwone róże. Pod same drzwi domu wiodła stara, pokryta mchem ścieżka, po obu stronach otoczona muszlami. Za domem stały szopy, stodoła i pastwisko — skryte w chłodnej zasłonie zmierzchu, ozdobione koszyczkami dmuchawców, które w ciemnościach lśniły niczym duchy. Jednym słowem: przyjazne, przyjemne miejsce. Nie wyglądało na nawiedzone. Pan Sheldon może i był święty, ale był także stary. A starzy ludzie dawali wiarę pewnym rzeczom zbyt szybko i pochopnie. Curtis Burns mieszkał na farmie Fieldów już od pięciu tygodni i nic jeszcze się nie wydarzyło. Oprócz tego, że zakochał się po uszy w Lucii Field. Nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Nikt zresztą o tym nie wiedział, może oprócz pani Blythe oraz Alice Harper, która zdawała się widzieć rzeczy niewidzialne dla innych. Może to dzięki tym jej czystym, pięknym oczom.

Alice i Curtis zaprzyjaźnili się. Podobnie jak u wszystkich innych, uczucia młodego pastora wahały się między niewypowiedzianym podziwem dla jej odwagi i charak-

teru a ogromnym współczuciem dla jej cierpienia i bezradności. Pomimo wychudzonej, pokrytej już zmarszczkami twarzy sprawiała wrażenie zaskakująco młodej — pewnie zawdzięczała to po części swoim krótkim, złocistym włosom, które wszyscy podziwiali, a po części zachwycającym, ogromnym oczom, w których zawsze igrały radosne iskierki. Choć Alice nigdy się głośno nie śmiała. Za to miała słodki uśmiech, w którym kryła się pewna zadziorność, szczególnie wtedy, gdy Curtis opowiadał jej jakiś dowcip. Curtis był niezły w opowiadaniu dowcipów. Może nawet rozwiniął tę umiejętność za bardzo jak na duchownego — tak uważali niektórzy parafianie z Mowbray Narrows. Mimo to Curtis zjawiał się przy łóżku Alice z nowym kawałem każdego dnia.

Nigdy nie skarżyła się na swój los, choć zdarzały się dni, gdy ból stawał się nie do zniesienia i wtedy nie chciała widywać nikogo z wyjątkiem Aleca lub Lucii. Ponieważ Alice miała słabe serce, nie mogła przyjmować zbyt mocnych leków przeciwbólowych. Niewiele zatem można było zrobić, by ukoić jej cierpienie. Ale w takich sytuacjach nie chciała być sama.

Gdy następowały tego typu ataki, Curtis pozostawiany był na pastwę Julii Marsh. Owszem, wykonywała swoje obowiązki bez zarzutu, ale młody pastor nie był w stanie znieść jej towarzystwa. Julia była dość przystojną kobietą, choć jej błada, zarumieniona twarz speściło ponure znamię: głęboka, czerwona blizna biegnąca wzdłuż policzka.

Miała małe oczy o bursztynowych tęczówkach, wspaniałe brązowo-rude włosy, które zawsze pozostawały

37

nieuczesane, a poruszała się równie cicho i z taką gracją, jak kot przemykający w ciemnościach. Zazwyczaj była z niej straszna gaduła, chyba że wpadała w jeden z tych swoich naburmuszonych nastrojów — wtedy milczała jak grób i krążyła po domu niczym burza gradowa.

Lucii te zmienne nastroje Julii nie przeszkadzały. Przyjmowała wszystko, co jej się przydarzało, z niewzruszonym spokojem. Ale dla Curtisa zły humor Julii był nie do wytrzymania. W takich momentach kobieta wydawała mu się nieludzką wprost kreaturą, zdolną dosłownie do wszystkiego. Czasami młody pastor miał niemal pewność, że to ona jednak stoi za całą tą historią z duchami. Kiedy indziej znowu najbardziej podejrzewał Jocka MacCree. Właściwie nie miał z Jocka żadnego pożytku, a już na pewno mniejszy niż Lucia, i wprost nie mógł się nadziwić, skąd u Aleca i Lucii tyle sympatii wobec tego dziwaka.

Jock miał na karku pięćdziesiątkę, ale pod pewnymi względami przypominał stulatka. Miał wylupiaсте, blade, szare oczy, gładkie, czarne włosy i dziwaczne, wydatne wargi na chudej, ziemistej twarzy. Te usta sprawiały, że wyglądał na człowieka, któremu ciągle było coś nie w smak. Nieustannie był opatulony licznymi częściami garderoby, najprawdopodobniej sam dobierał sobie ubrania — i to nie z konieczności czy polecenia Aleca. Większość czasu spędzał, nosząc jedzenie albo doglądając niezliczonych świń Długiego Aleca. Dzięki niemu Alec zarabiał na hodowli trzody chlewnej, ale poza tym nie można mu było powierzyć żadnych poważniejszych zadań.

Gdy był sam, Jock śpiewał stare szkockie pieśni. Miał zaskakująco przyjemny, mocny głos, choć w jego barwie wyczuwało się coś dziwnego. A więc Jock miał słuch muzyczny, zauważył Curtis, przypominając sobie

0 skrzypcach. Lecz nigdy nie przyłapał mężczyzny na grze.

Gdy zaś Jock mówił, jego głos robił się wysoki, skrzek-liwy, nieco dziecięcy, a od czasu do czasu na jego beznamiętnej twarzy wykwiatał grymas czystej złośliwości — działo się tak szczególnie, gdy zwracała się do niego Julia, której nienawidził. Z kolei w rzadkich przypadkach, kiedy się uśmiechał, sprawiał wrażenie szczwanego lisa. Od samego początku Jock chyba czuł respekt przed odzianym w czerń pastorem, dlatego unikał Curtisa za wszelką cenę. Ten jednak szukał z nim kontaktu, chcąc wyjaśnić tajemnicę nawiedzzonego domu.

O całej sprawie młody pastor myślał teraz z przymrużeniem oka. Doktor Blythe nie chciał na ten temat rozmawiać, z kolei wynurzenia pana Sheldona trudno było brać na poważnie. Od czasu gdy Curtis wprowadził się do domu, nie wydarzyło się nic nadnaturalnego. Może pomijając jedną noc, gdy do późna siedział w swoim pokoju z mansardowym oknem. Odnosił w pewnym momencie dziwne wrażenie, że jest obserwowany przez kogoś, kto nie życzy mu dobrze. Zrzucił to jednak na karb napiętych nerwów. Drugi raz podobna sytuacja się nie powtórzyła. Innym razem z kolei, gdy zbudził się w nocy, by przymknąć okno, gdyż wiał zbyt silny wiatr, ujrzał za szybą skapaną w księżycowym świetle plebanie

1 przez chwilę zdawało mu się, że ktoś wygląda przez

9

okno gabinetu. Następnego dnia zbadał budynek i najbliższe okolice, ale nie znalazł żadnych śladów włamania. Drzwi były zamknięte, okna zabezpieczone. Nikt nie miał klucza do plebanii. Nikt z wyjątkiem Curtisa i pana Sheldona, który wciąż trzymał tam większość swoich książek i kilka prywatnych rzeczy, choć wynajmował teraz pokój u pani Knapp w Glen St. Mary. Poza tym pan Sheldon nigdy nie odwiedziłby plebanii o tak późnej porze. Curtis doszedł ostatecznie do wniosku, że zmyliła go gra księżycowego światła i cieni rzucanych przez pobliskie drzewa.

Najwyraźniej sprawca „nadprzyrodzonych” sztuczek wiedział doskonale, kiedy być ostrożnym i powstrzymać się od działań. W domu pojawił się nowy stały mieszkaniec, młody i... bystry. To zupełnie co innego niż pozostający na jedną noc gość w postaci staruszka czy przesadnego sąsiada. A przynajmniej tak uważał Curtis, pławiąc się w swym młodzieńczym samozadowoleniu. Rozmyślnie postanowił zignorować fakt, że nadprzyrodzonych zjawisk doświadczyli również wykształceni lekarze. Był naprawdę zawiedziony, że nic ciekawego się nie zdarzyło. Chciał poczuć na własnej skórze, jak się mieszka w nawiedzonym domu.

O duchach nie wspominali ani Lucia, ani Długi Alec. Za to Curtis omówił temat dokładnie z Alice, która wspomniała o całej historii już w dniu, gdy pastor zaraz po wprowadzeniu się odwiedził ją po raz pierwszy.

— A więc nie boi się pan naszych zjaw i upiorów? Całe poddasze się od nich roi — powiedziała, podając mu dłoń na powitanie.

Curtis zauważył, że Lucia — która właśnie kończyła codzienny półgodzinny masaż pleców i ramion Alice, bez którego ta nie mogła się obyć — gwałtownie się zarumieniała. Z rumieńcami było jej zresztą do twarzy

— zmieniała się wtedy w prawdziwą piękność.

— Czy jeszcze czegoś ci potrzeba, Alice? — spytała cicho.

— Nie, kochana. Czuję się dobrze. Uciekaj teraz, odpocznij sobie. Wiem, że musisz być wykończona, a ja chcę lepiej poznać naszego nowego pastora.

Lucia opuściła pokój, nadal zarumieniona. Najwyraźniej nie lubiła wszelkich aluzji do duchów. Curtis poczuł nagle, że serce zabiło mu mocniej. Chciał ją pocieszyć... pomóc jej... zmyć to zmęczenie z jej drobniutkiej twarzy... sprawić, by się uśmiechnęła, by się roześmiała w głos...

— Obawiam się, że nie traktuję poważnie tych pani zjaw i upiórów, panno Harper — powiedział, nim Lucia się oddaliła.

— Ach, pan jest taki miły i młody — rzekła Alice.

— Dotychczas nie poznałam pastora, który nie byłby w podeszłym wieku. Wie pan, to miejsce nie jest z pewnością najbardziej atrakcyjną parafią w kraju. Zwykle podsyłają nam duchownych po przejściach, zmęczonych i wiekowych. Nie wiem zatem, jakim cudem przysłali pana. Lubię młodość. Zatem nie wierzy pan w to, że nasz rodzinny dom jest nawiedzony?

— Nie mogę wierzyć we wszystko, o czym słyszę. Te historie są zbyt nonsensowne.

— A jednak to wszystko, o czym pan słyszał, wydarzyło się naprawdę... No, prawie wszystko. Zaryzykuję twierdzenie, że w każdej z tych opowieści jest ziarno prawdy. Ale są i rzeczy, o których nie słyszał jeszcze nikt. Panie Burns, możemy sobie szczerze o tym porozmawiać? Nigdy nie mogłam otwarcie o tej sprawie z nikim podyskutować. Lucia i Alec oczywiście nie są w stanie tego słuchać, pastor Sheldon od razu robi się rterwo-wy, a z przyjezdnymi nawet nie ma sensu rozpoczynać rozmowy. A przynajmniej ja tego sensu nie widzę. Próbowalam raz z doktorem Blythe'em — mam do niego ogromne zaufanie. Lecz odmówił rozmowy na ten temat. Gdy więc usłyszałam, że wprowadzi się pan do nas na kilka tygodni, bardzo się ucieszyłam. Panie Burns, mam ogromną nadzieję, że uda się panu rozwiązać tę zagadkę. Głównie ze względu na Lucię i Aleca. Cała ta historia rujnuje im życie. Już to, że muszą nieustannie opiekować się mną, jest wystarczającym ciężarem. A ja plus duchy — to ciężar wprost nie do zniesienia. Poza tym czują się tym wszystkim upokorzeni, to ich przytłacza... Bo wie pan, że jeśli jakąś rodzinę nawiedzają duchy, bardzo negatywnie wpływa to na jej pozycję?

— A co pani sądzi o tej sprawie, panno Harper?

— Och, wydaje mi się, że to sprawka Jocka... Ewentualnie pomaga mu Julia. Choć nikt nie ma pojęcia, jak i dlaczego mieliby to robić. Wie pan, Jock nie jest takim głupcem, na jakiego wygląda. Doktor Blythe twierdzi, że ma on więcej zdrowego rozsądku niż niejeden normalny człowiek. Jock wielokrotnie skradał się wokół domu po zmroku. To było dawno temu. Wuj Winthrop często przy-

32

łapywał go na gorącym uczynku. Wydawało się jednak, że Jock nie robił nic groźnego, po prostu się skradał. A przynajmniej nie odkryliśmy wtedy jego prawdziwych zamiarów.

— Jak to się stało, że ciągle z wami mieszka?

— Jego ojciec, Dave MacCree, pracował w tym domu wiele lat temu. Uratował życie Henry'ego Kildare'a, gdy czarny rumak wuja Winthropa próbował go strącić.

— Henry Kildare? — Oto kolejna komplikacja. Czyżby na twarzy Alice wykwitł błąd rumieniec?

— Młody chłopak, który tu pracował. Lata temu wyprawił się na zachód. Zniknął z naszej rodziny na zawsze. — Curtis teraz już był pewien, że to rumieniec. Henry był

prawdopodobnie jakąś młodzieńczą miłością Alice. — Wuj Winthrop był na tyle wdzięczny ojcowi Jocka za to, że ten zapobiegł tragedii, że gdy rok później Dave zmarł, a był wdowcem bez żadnych krewnych, wuj Winthrop obiecał Jockowi, że zawsze znajdzie tu swój dom. Lucia i Alec również złożyli podobną obietnicę. My, Fieldowie, jesteśmy jak typowy klan, panie Burns. Zawsze wspieramy się wzajemnie i pielęgnujemy własne tradycje. Jock stał się jedną z nich. Choć nie twierdzę, że nie pracuje na swoje utrzymanie.

— Czy to możliwe zatem, by winną była Julia Marsh?

— Wierzyć mi się w to nie chce. Te rzeczy dzieją się także wtedy, gdy Julii nie ma w pobliżu. Jeden jedyny raz ją podejrzewałam, gdy znikły pieniądze na organizowaną w kościele wieczerzę. Przepadły w nocy, tuż po tym, gdy przyniósł je do domu Alec. Był wtedy skarbnikiem parafialnym. Z jego biurka zniknęło sto dola-

<33

rów. Jock nie mógłby ich wziąć. Nie miał pojęcia, jaką wartość przedstawiały te pieniądze. Tymczasem kobiety z rodziny Marshów niedługo później zaczęły pojawiać się w nowych strojach. Sama Julia przyszła pewnego dnia w ślicznej, fioletowej jedwabnej sukni. Twierdzili, że zmarł jakiś ich wuj z Zachodu i zostawił spadek. To jedyny przypadek, gdy zniknęły pieniądze. '

— Z pewnością to była Julia, panno Harper.

— Też mi się tak zdaje, panie Burns. A czy ktokolwiek mówił panu, że to Lucia może stać za tym wszystkim?

— Cóż, pan Sheldon opowiadał, że wśród parafian krążą takie przypuszczenia.

— Pan Sheldon! Jak on mógł panu opowiadać takie rzeczy! To okrutne, wierutne kłamstwo! — wykrzyknęła poruszona Alice. „Może wręcz podejrzanie poruszona”, pomyślał Curtis. Jakby chciała przekonać nie tylko jego, ale i siebie. — Lucia nie byłaby zdolna do takich rzeczy. Nigdy. Nikt nie zna jej tak dobrze jak ja, panie Burns. Jest pełna niewinności, cierpliwości... to przedstawicielka rodu Fieldów w każdym calu. Niech pan pomyśli, ile musiała ją kosztować decyzja o porzuceniu pracy w mieście. Zostawiła swoje dawne, szczęśliwe życie, by zaszyć się na zawsze w tej wiosce. Gdy sobie pomyślę, że to wszystko przeze mnie, wprost żyć mi się odechciwa. Niech pan nawet nie dopuszcza do siebie cienia myśli, że to Lucia mogłaby być sprawczynią wszystkiego, co tu się dzieje. Nieważne, że tak sądzi pan Sheldon czy doktor Blythe. O, tak, on również podejrzewa Lucię.

— Oczywiście, że nie wierzę w taką wersję. Poza tym doktor Blythe nigdy choćby słowem nie zasugerował mi,

34

że ma tego typu podejrzenia. Z kolei pan Sheldon jedynie powtórzył opinie innych ludzi. Jeśli jednak sprawcami nie są Jock lub Julia, to kto?

— Oto pytanie. Kiedyś miałam pewien pomysł... Ale był zbyt szalony, zbyt nieprawdopodobny... Nawet nie umiałabym ubrać go w słowa. Co prawda powiedziałam co nieco doktorowi Blythe'owi, ale całkowicie mnie zlekceważył! A już doktor Blythe potrafi z góry potraktować człowieka, jeśli tylko ma taką ochotę, niech mi pan wierzy.

— Czy ostatnio wydarzyło się coś nadzwyczajnego?

— Hm. Przez tydzień zawsze o północy i o trzeciej rozdzwaniał się telefon. O ile się nie mylę, Alec znalazł również kolejną notkę z kłutwą... była spisana krwią i miała odwrócone litery, tak że dało się ją odczytać jedynie, patrząc w lustro. Nasz duch jest mocny w gębie, jeśli chodzi o kłutwy, panie Burns. Ta była szczególnie szkaradna. Znajdzie ją pan w tamtej szufladzie biurka. Namówiłam Lucię, żeby mi ją powierzyła. Chciałam pokazać ją panu i doktorowi Blythe'owi. O tak, właśnie tak, proszę przystawić ją do mojego lusterka.

— „Niebo i piekło sprzysięgną się, by zniszczyć twoje szczęście. Zostaną ci odebrani wszyscy, których kochasz. Twoje życie obróci się w róinę, a dom twój opustoszeje”. Hm, ten

nasz duch ma słaby gust, jeśli chodzi o dobór papeterii — powiedział Curtis, oglądając kartkę papieru w niebieskie linie, na których nagryzmołone były słowa klątwy.

— Tak, najwyraźniej. Zwrócił pan uwagę na pisownię słowa „ruina”. Ale mimo tego błędu nie sądzę, by

takie zdania był w stanie skonstruować Jock, a nawet Julia. Tu zgadzam się z panem Sheldonem i doktorem Blythe'em. Już bardziej do Jocka pasuje inny psikus: przedwczoraj ktoś dolał oleju mineralnego do zimnego rosółu, przechowywanego w spiżarni. Poza tym ktoś rozlał na dywan w salonie słoje melasy. Cały dzień-zajęło Lucii wyczyszczenie go. Oczywiście to mogła być sprawka Julii. Ona naprawdę nienawidzi biednej Lucii, bo to Lucia jest panią tego domu, nie Julia.

— Ale z drugiej strony powinno być w miarę łatwo złapać sprawcę tego typu żartów.

— Gdybyśmy wiedzieli, jaka szkoda, kiedy i gdzie zostanie wyrządzona, wtedy owszem. Ale nie możemy się mieć na baczności każdej nocy. Poza tym zazwyczaj gdy wszyscy obserwują, nic się nie wydarza.

— To tylko dowodzi tego, że sprawcą musi być któryś z domowników. Ktoś z zewnątrz nie wiedziałby, kiedy przypuścić atak i kiedy dom jest pod obserwacją.

— Taka hipoteza nie ma racji bytu w tak plotkarskiej wiosce jak Mowbray Narrows. Poza tym, panie Burns, w domu rozlegało się skrzypienie kołyski i ktoś grał na skrzypcach przez całą noc na poddaszu dwa tygodnie temu. Julii nie było wtedy w domu, a Jock pracował w stajni. Razem z Alekiem doglądali chorej krowy. Ale gdy opowiedziałam o tym doktorowi Blythe'owi, ten po prostu wzruszył ramionami.

— Często odwołuje się pani do reakcji doktora Blythe'a. A co z panią Blythe?

— Bo doktor często zjawia się u nas, by porozmawiać z Alekiem. Pani Blythe nie znam zbyt dobrze. Nie-

którzy za nią nie przepadają. Ale z tego, co wiem, to niezwykle czarująca kobieta.

— Czy to prawda, że w domu dało się słyszeć głosy zmarłych osób?

— Tak — Alice zadrżała. — Nieczęsto się to zdarza, ale rzeczywiście słyszano je. Nie chciałabym o tym mówić.

— Jednak będę musiał wiedzieć o wszystkim, jeśli mam rozwiązać tę tajemnicę.

— Cóż, raz za moimi drzwiami rozległ się głos wuja Winthropa: „Alice, czy potrzeba ci czegoś? Czy zrobili wszystko, o co prosiłaś?”. Mówił tak często za swego życia. Bardzo cicho i delikatnie, żeby mnie przypadkiem nie obudzić, gdybym spała. Oczywiście, to nie mógł mówić naprawdę wuj, ktoś pewnie go naśladował. Bo widzi pan — w jej głosie pojawiła się nutka rozbawienia — nasz duch jest bardzo pomysłowy. Gdyby tak trzymał się jednej metody straszenia... Ale on jednocześnie chwytą się sposobów typowych tak dla łobuza, jak i dla prawdziwego upiora. A takie połączenie trudno rozszyfrować.

— Co tylko dowodzi tego, że w sprawę może być zamieszana więcej niż jedna osoba.

— Też mi się tak wydaje, ale... nieważne, dajmy temu spokój. Klątwa zaniepokoiła Aleca. Lucia mi powiedziała. Mą ostatnio zszargane nerwy. A dostaliśmy już tyle obraźliwych listów... Zazwyczaj były to wersety z Biblii. Nasz duch zna Biblię niemal na pamięć. Co jest kolejnym argumentem zbijającym podejrzenia wobec Jocka czy Julii.

37

— Ale to się nie mieści w głowie, to całe prześladowanie. Ktoś naprawdę musi nienawidzić pani rodziny.

— W Mowbray Narrows? Nie... Poza tym wszyscy już się do tego przyzwyczailiśmy. A przynajmniej Lucia i Alec się przyzwyczaili. Lub sprawiają takie wrażenie. Ja też sobie nieźle radziłam, do chwili gdy nie spaliła się szopa na siano. Przyznaję, to mnie wyprowadziło z

równowagi. Od tego czasu boję się, że ktoś może podpalić dom, a ja jestem przecież przykuta do łóżka. I zamknięta.

— Zamknięta?

— Owszem. Proszę, by Lucia zamykała na klucz moje drzwi każdej nocy. Nie lubi tego robić, ale ja inaczej bym nie zasnęła. I tak sypiam bardzo słabo, może z wyjątkiem wczesnych poranków. Gdybym jednak nie miała drzwi zamykanych na klucz, oka bym nie zmrużyła, wiedząc, że coś może buszować nocą po domu.

— Ale Bóg wie, co za istoty mogą przenikać przez zamknięte drzwi. Oczywiście jeśli wierzyć opowieściom Min Deacon i Maggie Eldon.

— Och, nie wierzę, by drzwi Min czy Maggie były naprawdę zamknięte, gdy przydarzyły im się te przykre historie. Pewnie były przekonane, że przekreśliły klucz w zamku, ale najprawdopodobniej ten jeden raz zapomniały tego zrobić. W każdym razie moje drzwi zamknięte są co noc.

— Nie wiem, czy to rozsądne, panno Harper. Naprawdę nie wiem.

— Ależ te drzwi są stare i cienkie, z łatwością można by je wyważyć w razie potrzeby. Nie rozmawiajmy już

0 tym teraz. Chciałabym jednak, żeby miał pan oczy zawsze szeroko otwarte, metaforycznie rzecz ujmując, ma się rozumieć... Każdy może być podejrzanym. Dosłownie każdy. Zobaczymy, co uda nam się wspólnie zdziałać. Poza tym pozwoli mi pan sobie pomagać w pracach przykościelnych, prawda? Pan Sheldon się na to zgadzał, choć wątpię, czy z przyjemnością.

— Z radością przyjmę pani pomoc i cenne rady, panno Harper. Zapewniam panią również, że pan Sheldon wyrażał się o pani wpływach i pracy dla dobra parafii w samych superlatywach.

— Cóż, ja po prostu chcę zdziałać jak najwięcej, póki jestem w stanie. Bo pewnego dnia po prostu zgasnę, jak ta świeca na wietrze. Moje serce odmówi posłuszeństwa. Ależ proszę tak usilnie nie zastanawiać się nad właściwą

1 taktowną odpowiedzią, panie Burns...

— Wcale się nie zastanawiałem — zaprotestował Curtis, choć nie do końca było to zgodne z prawdą. — Ale z pewnością lekarz...

— Doktor Blythe uważa, że z moim sercem wszystko jest w porządku, muszę tylko uważać na zszargane nerwy. Ale inni lekarze mówią co innego. Już ja tam swoje wiem. I zbyt długo spoglądałam śmierci prosto w twarz, by jej się wciąż obawiać. Czasami tylko podczas długich, bezsennych nocy ogarnia mnie lęk... Choć w sumie nie mam po co żyć. Zdaje mi się, że ktoś mnie oszukał. Ale z drugiej strony mój los i tak jest łżejszy niż setek innych ludzi.

— Panno Harper, czy na pewno nic nie da się dla pani uczynić?

39

— Nie. Wuj Winthrop nie oparł się jedynie na opinii doktora Blythe'a. Sprowadził tu z tuzin specjalistów. Ostatnim był doktor Clifford z Halifaksu. Zna go pan? Kiedy i on nic nie wskórał, powiedziałam wujowi, że mam już dość lekarzy. Nie chciałam pozwolić, by trwonił na mnie pieniądze, których nie miał zbyt wiele. Równie dobrze mógł nimi palić w piecu. Jak pan widzi, opinia doktora Blythe'a być może jest całkiem słuszna.

— Ale niemal każdego dnia dokonuje się nowych odkryć...

— Medycyna nie jest w stanie mi pomóc. Poza tym naprawdę nie jest mi tu aż tak źle. Wszyscy są dla mnie bardzo mili, poza tym cieszę się, że nie jestem całkowicie bezużyteczna. Cierpię z powodu bólu mniej więcej tylko raz na tydzień. Dlatego proszę się mną nie przejmować. Bardziej interesuje mnie praca dla naszego kościoła i pańskie śledztwo tutaj. Chciałabym, aby się panu powiodło.

— I ja bym chciał — roześmiał się Curtis, choć wcale nie było mu do śmiechu.

— Niech pan nie będzie taki grzeczny — powiedziała Alice poważnym tonem, ale w jej oczach zabłyszczało rozbawienie. — Pana Sheldona nie nigdy nie było w stanie wyprowadzić z równowagi, poza tym zawsze zachowywał się zgodnie z konwenansami.

— Tak to już zwykle bywa ze świętymi — rzekł Curtis.

— Biedny staruszek, nie chciał odchodzić na emeryturę, ale to już naprawdę był najwyższy czas. Rada starszych nigdy nie wie, co robić w takich przypadkach.

40

To już nie był ten sam człowiek, od czasu gdy umarła mu żona. Strasznie to przeżył. Przez rok wręcz zastanawiano się, czy przypadkiem nie oszalał. Zdarzało mu się robić lub mówić dziwne rzeczy, o których potem nie pamiętał. Poza tym wielką niechęcią darzył Aleca. Twierdził, że nie jest ortodoksyjny. Ale tamte czasy już minęły. Czy mógłby pan unieść zasłony i przygasić światło? Dziękuję. Ależ wiatr hula między drzewami tej nocy! W dodatku gdzieś skrył się księżyc. Nie przepadam za blaskiem księżyca. Zawsze przypomina mi o sprawach, o których wołałabym zapomnieć. Dobranoc. Niech się panu nie przyśnią żadne duchy. No i niech pan lepiej żadnych duchów nie zobaczy na własne oczy.

Curtis nie śnił o duchach, żadnego też nie zobaczył, choć przez długi czas leżał w łóżku, nie mogąc zasnąć. Rozmyślał o tragedii, z jaką przyszło mu się zmierzyć tuż po objęciu parafii w Mowbray Narrows... Tego spokojnego Mowbray Narrows, w którym mieszkali na pozór przeciętni ludzie.

Był lekko rozczerowany, że nie przeżył ani nie ujrzał niczego nadprzyrodzonego. Lecz po kilku tygodniach zapomniał, że mieszka w podobno nawiedzonym domu. Dużo czasu zajmowało mu poznawanie swoich parafian i praca w kościele, którą stary pan Sheldon zdecydowanie zaniedbał. Curtisowi przydała się więc bardzo pomoc panny Harper. Bez niej nie poradziłby sobie w zorganizowaniu składu kościelnego chóru. To dzięki niej ludzie nie gniewali się, jeśli nie zostali wybrani, a wszelkim zazdrośnikom umiała przemówić do rozsądku. To Alice zajęła się diakonem Kirkiem, kiedy

próbował objąć opiekę nad skautami. To właśnie ona poprawiała humor Curtisowi, gdy ulegał rozgoryczeniu lub irytacji.

— Nawet pan Sheldon nie doceniał pani pomocy! — wykrzyknął zrozpaczony.

— Starych ludzi ciężko przekonać do nowych pomysłów — powiedziała łagodnym tonem. — Proszę się też nie przejmować panem Kirkiem. On był głupcem od urodzenia. Zuzanna Baker potwierdzi moje słowa. To w gruncie rzeczy dobry człowiek, byłby całkiem miłym kompanem, gdyby nie chore przekonanie, że do jego chrześcijańskich obowiązków należy wieczne umartwianie się i marudzenie.

— Chciałbym być równie tolerancyjny jak pani, panno Harper. Zawstydza mnie pani.

— Życie nauczyło mnie tolerancji. Ale nie zawsze taką byłam. Diakon Kirk doprawdy zachowywał się zabawnie, szkoda, że go pan nie słyszał.

Jej parodia diakona wywołała u Curtisa napad niekontrolowanego śmiechu. Alice tylko się uśmiechnęła, ciesząc się z odniesionego zwycięstwa. Curtis nabrał zwyczaju, by to właśnie z nią omawiać wszelkie swoje problemy. Niektórzy twierdzili, że pan Sheldon nie pochwałał tego, że Curtis wprost ubóstwiał Alice i stał się niemalże jej wyznawcą.

Alice miała jednak swoje małe fobie. Na przykład musiała wiedzieć o wszystkim, co działo się w domu, kościele czy w sąsiedztwie. Jeśli tylko czuła się odcięta od informacji, bardzo to przeżywała. To pewnie dlatego nie przepadała za doktorem Blythe'em i jego żoną, któ-

42

próbował objąć opiekę nad skautami. To właśnie ona poprawiała humor Curtisowi, gdy ulegał rozgoryczeniu lub irytacji.

— Nawet pan Sheldon nie doceniał pani pomocy! — wykrzyknął zrozpaczony.

— Starych ludzi ciężko przekonać do nowych pomysłów — powiedziała łagodnym tonem. — Proszę się też nie przejmować panem Kirkiem. On był głupcem od urodzenia. Zuzanna Baker potwierdzi moje słowa. To w gruncie rzeczy dobry człowiek, byłby całkiem miłym kompanem, gdyby nie chore przekonanie, że do jego chrześcijańskich obowiązków należy wieczne umartwianie się i marudzenie.

— Chciałbym być równie tolerancyjny jak pani, panno Harper. Zawstydz mnie pani.

— Życie nauczyło mnie tolerancji. Ale nie zawsze taka byłam. Diakon Kirk doprawdy zachowywał się zabawnie, szkoda, że go pan nie słyszał.

Jej parodia diakona wywołała u Curtisa napad niekontrolowanego śmiechu. Alice tylko się uśmiechnęła, ciesząc się z odniesionego zwycięstwa. Curtis nabrał zwyczaju, by to właśnie z nią omawiać wszelkie swoje problemy. Niektórzy twierdzili, że pan Sheldon nie pochwalał tego, że Curtis wprost ubóstwiał Alice i stał się niemalże jej wyznawcą.

Alice miała jednak swoje małe fobie. Na przykład musiała wiedzieć o wszystkim, co działo się w domu, kościele czy w sąsiedztwie. Jeśli tylko czuła się odcięta od informacji, bardzo to przeżywała. To pewnie dlatego nie przepadała za doktorem Blythe'em i jego żoną, któ-

rych przecież uwielbiali właściwie wszyscy mieszkańcy Glen St. Mary i Mowbray Narrows. Curtis mówił więc jej o swoich poczynaniach, zauważył też, że gdy starał się coś zachować dla siebie, Alice robiła się dziwnie zazdrosna. Musiała wiedzieć nawet o tym, co jadł na kolację. A za szczegółami dotyczącymi udzielanych przez pastora ślubów wprost przepadała. — Wszystkie śluby są interesujące — zachwycła się. — Nawet śluby ludzi, których nigdy nie widziałam.

Lubiła doradzać mu przy przygotowywaniu kazań i cieszyła się jak dziecko, gdy na mszy czytał fragmenty tekstów, które sama mu zaproponowała.

Curtis był bardzo szczęśliwy. Kochał swoją pracę, a w domu Fieldów mieszkało mu się znakomicie. Długi Alec był inteligentnym, czytanim mężczyzną. Gdy doktor Blythe wpadał od czasu do czasu z wizytą, ucinali sobie we trzech interesujące pogawędki. Gdy pani Richards zmarła w szpitalu, domownicy zgodnie uznali, że Curtis powinien u nich zostać tak długo, jak tylko zechce. Parafianie z Mowbray Narrows przyjęli ten fakt do wiadomości, choć nie podobało im się, że Curtis zapalał głębszym uczuciem do Lucii.

Wszyscy w parafii wiedzieli o tym, że pastor zakochał się w Lucii nawet wcześniej, niż on sobie zdał z tego sprawę. Curtis po prostu wiedział, że milczenie Lucii było równie czarujące jak elokwencja Długiego Aleca czy ironiczne, dowcipne powiedzonka Alice. Wiedział, że twarze innych kobiet w porównaniu do oblicza Lucii wydawały się blade i nieciekawe. Widok jej spacerującej

po tych czystych, szacownych starych pokojach, schodzącej po ciemnych, lśniących schodach, zrywającej kwiaty w ogrodzie, robiącej sałatki i ciasta w spiżarni

— wszystko to działało na niego jak genialnie skomponowana muzyka, a w jego duszy tajemnicze echa wciąż powtarzały jej imię.

Raz aż zadrżał, nieomal odkrywając swój własny sekret. Było to wtedy, gdy Lucia przyniosła Alice bukiet czerwonych róż. W pokoju był również pan Sheldon

— właśnie wrócił z wizyty u przyjaciół w Montrealu. Nie było go w okolicy od czasu awantury związanej ze skautami.

Lucia najwyraźniej płakała. A nie była kobietą, którą łatwo było doprowadzić do łez. Curtis poczuł nagle przemożną chęć, by przytulić Lucię, sprawić, by oparła swą głowę na jego ramieniu. Chciał ją pocieszyć. Każdy mógł to odczytać w jego twarzy.

Już miał wyjść za Lucią z pokoju, gdy wtem twarz Alice wykrzywił spazm bólu i wydała z siebie zduszony okrzyk.

— Lucia... wróć, proszę... Zbliża się kolejny... atak...

Pan Sheldon szybko się ulotnił. Curtis zaś nie zobaczył Lucii przez następne dwadzieścia cztery godziny. Przez większość tego czasu przebywała w pogrążonym w mroku pokoju Alice, na próżno starając się złagodzić jej cierpienie. Dlatego też Curtis pozostał w błogiej niewiedzy na temat swych własnych uczuć nieco dłużej, choć nawet stary pan Sheldon wszystkiego się domyślił i tylko kręcił głową, mrucząc pod nosem, że to nie przystoi, w ogóle nie przystoi.

Gdy Curtis odprowadził pana Sheldona, wrócił przez ogród i zauważył, że piękna, młoda brzoza, która tak ślicznie sobie rosła pośród świerków w rogu ogrodu, została ścięta. A było to ulubione drzewo Lucii... Zeszłego wieczoru się nią zachwyciła. Teraz drzewo leżało przewrócone na ziemi, jego drobne listki drżały żałośnie na wietrze.

Oburzony, zwrócił się w tej sprawie do Długiego Aleca.

— Jeszcze zeszłej nocy drzewo rosło sobie w najlepsze — powiedział Długi Alec. — Pan Sheldon zachwycił się jego pięknem, gdy odwiedził nas na chwilę w drodze na stację. Curtis skamieniał.

— Czyli to nie ty ściałeś tę brzozę? Ani nie wydałeś polecenia, by ją ściać? Słyszałem, jak mówiłeś, że wokół domu rośnie zbyt wiele drzew.

— Po co miałbym ścinać tę brzozę? Ktoś zrobił to, gdy spaliśmy.

— Ale... kto w takim razie ją ściał?

— Nasz kochany duch, jak przypuszczam — rzekł Długi Alec z goryczą. Po czym odwrócił się i odszedł. Alec nie lubił rozmawiać o upiorze.

Curtis dostrzegł nagle Julię, stojącą na werandzie. Jej dziwne, małe bursztynowe oczka śledziły każdy jego ruch. Przypomniawszy sobie, że wczoraj prosiła Jocka, by naostrzył siekiere, przeznaczoną do rąbania drewna na rozpałkę.

Przez następne trzy tygodnie Curtis miał o czym rozmyślać. Pewnej nocy obudził go dzwonek telefonu.

46

Wyprostował się na łóżku. Nad jego głową, na poddaszu dało się słyszeć skrzypienie kołyski. Curtis zerwał się, narzucił na siebie szlafrok, chwycił latarkę, po czym opuścił sypialnię.

Ruszył korytarzem aż do drzwi na jego końcu. Otworzył je i po schodkach wszedł na strych. Skrzypienie kołyski umilkło. Długie pomieszczenie wydawało się puste i ciche. Pod grubymi belkami wisiały woreczki z ziołami i piórami, a na podłodze wałało się kilka starych ubrań.

Niewiele sprzętów znajdowało się na poddaszu: dwa duże drewniane kufry, kołowrotek, kilka worków z wełną. Szczur może mógłby się tu ukryć, ale nic większego. Curtis zszedł na dół.

W tej samej chwili usłyszał upiorne dźwięki skrzypiec, spływające po schodach od strony poddasza. Czuł, że nerwy powoli odmawiają mu posłuszeństwa, ale mimo to rzucił się z powrotem na górę. I nic... Nikogo tam nie zastał. Stryszek wyglądał równie niewinnie jak przed chwilą. Lecz gdy tylko ponownie zszedł na dół, muzyka znów rozbrzmiała.

Od strony jadalni dało się słyszeć brzęczenie dzwonka telefonu. Curtis zszedł na dół i podniósł słuchawkę. Żadnej odpowiedzi po drugiej stronie. Nie było sensu dzwonić na centralę — to była zwykła miejscowa linia, do której podłączonych było jedynie dwadzieścia osób z okolicy.

Curtis podszedł pod drzwi sypialni Długiego Aleca, znajdujące się w pobliżu jadalni, i zaczął nasłuchiwać. Długi Alec smacznie spał. Podszedł zatem na palcach w pobliże schodów kuchennych i przytknął ucho do drzwi pokoiku Jocka. Jock chrapał. Curtis przeszedł

46"

więc przez cały dom aż do frontowych schodów. Telefon znowu się rozdzwonił. Naprzeciw schodów znajdowały się drzwi do pokoju Alice. Tam nawet nie próbował nasłuchiwać.

Lampka w jej sypialni jak zwykle była zapalona, a sama Alice cichym, aczkolwiek wyraźnym

głosem powtarzała wersy psalmu dwudziestego trzeciego. Kilka kroków dalej znajdowały się drzwi do sypialni Julii, zresztą naprzeciwko drzwi do pokoju Curtisa.

Curtis przytknął ucho do drzwi, ale nie usłyszał niczego. Pokój Lucii znajdował się nieco dalej od schodów. Tam jednak nie zaszedł. Nie mógł jednak pozbyć się myśli, że najwyraźniej wszyscy domownicy mieli swoje alibi z wyjątkiem Julii i... Lucii. Wrócił do swojej sypialni, powstał przez moment w milczeniu, myśląc o czymś z zachmurzoną miną, po czym wsunął się pod kołdrę.

Dosłownie sekundę później upiorny, szyderczy śmiech rozległ się wyraźnie tuż za drzwiami. Po raz pierwszy w życiu Curtis poczuł prawdziwy, paraliżujący strach. Lepki pot wystąpił mu na czoło. Przypomniawszy sobie, co pan Sheldon mówił o tym śmiechu... Rzeczywiście było w nim coś nieludzkiego.

Na moment zamarł w przerażeniu. Ale w końcu zacisnął zęby, wyskoczył z łóżka i gwałtownie otworzył drzwi.

Długi korytarz był całkowicie pusty. Drzwi do sypialni Julii były zamknięte. Nawet słyszał jej chrapanie po drugiej stronie. Miał wrażenie, jakby Julia po cichu triumfowała.

47

„Ciekawe, czy doktor Blythe kiedykolwiek słyszał ten śmiech”, zastanawiał się Curtis, niechętnie wracając do łóżka.

Przez resztę nocy nie zmrużył oka. Podczas śniadania Lucia wyglądała na zaniepokojoną.

— Czy... czy coś pana niepokoiło tej nocy? — spytała w końcu z wahaniem w głosie.

— Owszem — odparł Curtis. — Przez większą część nocy skradałem się po całym domu i bezwstydnie podsłuchiwałem... Bez rezultatu. Nie dowiedziałem się niczego.

Na twarzy Lucii pojawił się cień uśmiechu.

— Gdyby skradanie się i podsłuchiwanie mogło rozwiązać nasz problem, już dawno by nie istniał. Alec i ja przestaliśmy się już przejmować tymi... manifestacjami. Zwykle śpimy twardym snem, nawet gdy dzieją się te rzeczy, no, chyba że wydarzy się coś naprawdę zdumiewającego. Miałam nadzieję, że to już się nie powtórzy, a przynajmniej nie zacznie się, póki pan u nas mieszka. Dawno już nie mieliśmy tak długiego okresu spokoju.

— Czy da mi pani pełną swobodę w prowadzeniu tego śledztwa? — spytał Curtis.

Nie mógł nie zauważyć, że Lucia przez moment się zawahała.

— Ależ oczywiście — powiedziała w końcu. — Tylko... proszę ze mną o tym nie rozmawiać. Nie jestem w stanie słuchać o tej sprawie. To pewnie głupie i tchórzliwe z mojej strony, ale ten temat jest dla mnie nad wyraz bolesny. Kiedyś mogłam o tym rozmawiać z dokto-

48

„Ciekawe, czy doktor Blythe kiedykolwiek słyszał ten śmiech”, zastanawiał się Curtis, niechętnie wracając do łóżka.

Przez resztę nocy nie zmrużył oka. Podczas śniadania Lucia wyglądała na zaniepokojoną.

— Czy... czy coś pana niepokoiło tej nocy? — spytała w końcu z wahaniem w głosie.

— Owszem — odparł Curtis. — Przez większą część nocy skradałem się po całym domu i bezwstydnie podsłuchiwałem... Bez rezultatu. Nie dowiedziałem się niczego.

Na twarzy Lucii pojawił się cień uśmiechu.

— Gdyby skradanie się i podsłuchiwanie mogło rozwiązać nasz problem, już dawno by nie istniał. Alec i ja przestaliśmy się już przejmować tymi... manifestacjami. Zwykle śpimy twardym snem, nawet gdy dzieją się te rzeczy, no, chyba że wydarzy się coś naprawdę zdumiewającego. Miałam nadzieję, że to już się nie powtórzy, a przynajmniej nie zacznie się, póki pan u nas mieszka. Dawno już nie mieliśmy tak długiego okresu spokoju.

— Czy da mi pani pełną swobodę w prowadzeniu tego śledztwa? — spytał Curtis.

Nie mógł nie zauważyć, że Lucia przez moment się zawahała.

— Ależ oczywiście — powiedziała w końcu. — Tylko... proszę ze mną o tym nie rozmawiać. Nie jestem w stanie słuchać o tej sprawie. To pewnie głupie i tchórzliwe z mojej strony, ale ten temat jest dla mnie nad wyraz bolesny. Kiedyś mogłam o tym rozmawiać z dokto-

48

rem Blythe'em i jego żoną, ale teraz... nawet z nimi nie potrafię. Poznał pan doktorostwo Blythe'ów, prawda? Cóż za uroczy z nich ludzie.

— Panią Blythe lubię bardzo... Ale doktor Blythe wydał mi się nieco zbyt sarkastyczny...

— Ale tylko wtedy, gdy próbuje pan z nim rozmawiać o naszym... duchu. Z jakiegoś powodu, który pozostaje dla mnie tajemnicą, doktor nigdy nie był w stanie uwierzyć w... to. Och, oczywiście i on prowadził swoje „śledztwo”... Nie on pierwszy i nie ostatni. Tyle że nikt nie był w stanie niczego odkryć.

— Rozumiem — rzekł Curtis, który również niczego z tej sprawy nie rozumiał. — Ale zamierzam tak długo nękać tego waszego „ducha”, panno Field, aż prawda wyjdzie na jaw. To nie do pomyślenia, aby w tym wieku, i w tym kraju, wyprawiały się takie dziwy. Jeśli to dłużej potrwa, pani i pani brat zrujnujecie sobie życie. Powinnicie się stąd wyprowadzić.

— Ależ my musimy tu zostać — odparła Lucia ze smutnym uśmiechem. — Alec nigdy nie zgodzi się na sprzedaż domu. Poza tym, kto by go kupił? Zresztą my kochamy to miejsce.

— Czy to prawda — zapytał z wahaniem Curtis

— i proszę mi wybaczyć, jeśli pytam o coś, o co nie po-

t

winienem... Proszę mi wierzyć, że pytam nie z czystej ciekawości... Czy to prawda, że panna Pollock nie chce poślubić pani brata właśnie z powodu tej tajemnicy?

Twarz Lucii zmieniła się nieco. Jej szkarłatne usta zacisnęły się mocniej. Ludzie, którzy znali Winthrop

9

Fielda, powiedzieliby, że teraz wyglądała zupełnie jak jej ojciec.

— Proszę nie odpowiadać, jeśli uznała pani to pytanie za impertynenckie — rzekł Curtis przepraszająco.

— Jeśli nawet to prawda... a nie mam pojęcia, jakimi motywami kieruje się panna Pollock... to nie sądzę, by Alecowi działa się jakakolwiek krzywda. Pollockowie są nikim. Jeden z wujów Edny zmarł w więzieniu.

Curtis uważał tę obsesję Lucii na punkcie własnej rodziny za uroczą. Była w tym taka ludzka... Słodka istota.

W trakcie następnych tygodni Curtis Burns myślał czasem, że oszaleje. Niekiedy wydawało mu się wręcz, że wszyscy naokoło poszaleli. Doktor Blythe wyjechał na jakiś kongres medyczny, a pan Sheldon kurował się z zapalenia oskrzeli. Jego pielęgniarka, Emma Mowbray, twierdziła, że choroba jest urojona. Ale Emma znana była ze swej niecierpliwości. Pan Sheldon po prostu nie chciał poleżeć w łóżku i to był główny powód jego przeziębienia. Curtis myszkował po domu, badał wszelkie zakamarki, godzinami czuwał w nocy, nawet całe noce spędzał na poddaszu, ale do niczego nie doszedł. Wiedział również, że jego śledztwo coraz mniej podoba się parafianom. Uważali, że powinien wynająć pokój gdzie indziej lub przenieść się na plebanie.

Tymczasem dziwne rzeczy działy się niemal bez przerwy... Rzeczy tak śmieszne, jak i przerażające. Tuzin jaj,

60

przeznaczonych do sprzedaży na kiermaszu, znaleziono rozbity na podłodze w kuchni. Nowa sukienka Lucii została podarta i wrzucona do szafy w pokoju gościnnym. Lucia przyjęła to ze spokojem, najwyraźniej nie przepadała za ową sukienką. Ktoś grał na skrzypcach, kołyska skrzypiała na stryszkach. Od czasu do czasu korytarze domu wypełniał diaboliczny śmiech.

Kilka razy wszystkie meble w pokojach na parterze zostały zepchnięte na środek. Cały dzień Lucii zajęło zaprowadzenie porządku, gdyż Julia odmówiła pomocy — nie chciała mieć nic do czynienia ze „zmorami”. Drzwi wyjściowe, zaryglowane na noc, rankiem okazywały się otwarte na oścież, choć Długi Alec spał z kluczami pod poduszką. Ktoś odkorko-wał maselnicę w mleczarni i na podłogę wylała się zbierana przez tydzień śmietana. Pewnego ranka pościel na łóżku w pokoju gościnnym była pomięta i porozrzucana, jakby ktoś w tym łóżku spał. Świnie i cielaki zostały wypuszczone z obory i stratowały cały ogród. Ktoś spryskał atramentem świeżo wytapetowane ściany na korytarzu. Domownicy co chwilę znajdowali tu i ówdzie klątwy nabazgrołone na karteczkach. Na poddaszu rozlegały się tajemnicze głosy. Aż w końcu kotek Lucii, piękny pers, którego Curtis sprowadził dla niej z Charlotte-town, został powieszony na tylnej werandzie — biedne, drobne ciało bezwładnie zwisało z drewnianego ornamentu.

— Wiedziałam, że to się stanie, gdy dostałam go od pana — powiedziała Lucia z goryczą. — Cztery lata temu pani Blythe dała mi cudnego szczeniaczka. Został uduszony. Od tamtej pory nie odważyłam się przygarnąć

ót

zwierzątka. Wszystko, co kocham, umiera lub jest niszczone. Mój biały cielaczek... mój pies... moja brzózka... a teraz kotek.

Zazwyczaj Curtis prowadził śledztwo samotnie. Długi Alec wprost oznajmił, że ma już dość uganiania się za duchami. Poddał się po latach prób wyjaśnienia zagadki. Uznał, że póki duchy nie zerwały mu dachu nad głowy, pozwoli im mieszkać razem z nim. Raz czy dwa Curtis poprosił o pomoc pana Sheldona, który uporał się z zapaleniem oskrzeli i mógł czuwać z młodym pastorem. Lecz wtedy nie wydarzyło się nic niezwykłego, oprócz tego, że z kieszeni pana Sheldona wypadł duży klucz, do złudzenia przypominający klucz Długiego Aleca, pasujący do drzwi kuchni. Pan Sheldon pospiesznie podniósł klucz i szybko go schował, tłumacząc, że to klucz do drzwi plebanii. Gdy doktor Blythe wrócił z kongresu, Curtis poprosił i jego o pomoc, ale doktor stanowczo odmówił. Uznał, że duchy są jak dla niego zbyt sprytne.

W końcu więc Curtis poprosił o pomoc Henry'ego Kildare'a.

Henry z początku był bardzo pewny siebie.

— Schwytam tego upiora i przybiję go do drzwi stodoły, nim wstanie dzień, pastorze — przechwalał się.

Ale Henry bardzo szybko poddał się, uciekając w ślepej panice z domu, gdy tylko usłyszał głos Winthropa Fielda na strychu.

— Koniec z duchami, panie Curtis... Mnie pastor przekonywać nie musi. To z pewnością był głos starego

62

Winthropa. Pracowałem tu przez trzy lata. To on. Niech pastor się wynosi z tego domu jak najprędzej, choćby miał pan mieszkać w namiocie. Proszę mi wierzyć, przebywanie tutaj nie wyjdzie panu na zdrowie.

Powrót Henry'ego Kildare'a do Mowbray Narrows wywołał w wiosce poruszenie. Podobno dorobił się fortuny na wyrębie drewna w Kolumbii Brytyjskiej i teraz do końca swych dni mógł żyć jak milioner. Z pewnością lekką ręką trwonił pieniądze. Mieszkał u kuzyna, ale sporo czasu spędzał w domu Fieldów. Lubili go. Był postawnym, rubasznym i serdecznym człowiekiem, niezbyt wytwornym, ale za to w miarę przystojnym, szczodrym i pewnym siebie. Alice uwielbiała słuchać jego opowieści z Wybrzeża. Czuła się tak, jakby po latach uwięzienia w czterech ścianach mogła w końcu poczuć wolność, zew przygody i niebezpieczeństwa. Lecz Henry, który stanął twarzą w twarz z ciszą, chłodem i zagrożeniami północy, nie był w stanie zmierzyć się z upiorami na farmie Fieldów. Zapewnił, że już więcej progu tego domostwa nie przestąpi.

— Pastorze, w tym miejscu roi się od upiórów... To pewne. Anna Marsh najwyraźniej nie zaznała spokoju po śmierci. Doktor Blythe może się z tego śmiać, ale... ona zawsze była taka niesforna. I pewnie wyciągnęła z zaświatów również starego Winthropa. Niech Alec lepiej odda ten dom komuś. Komukolwiek. Jeśli oczywiście ktoś będzie chciał tu zamieszkać. Z pewnością ja bym nie chciał. Szkoda, że nie mogę wywieźć stąd Alice... i Lucii. Pewnego dnia i je ktoś podusi. Jak tego kociaka...

63

Sam Curtis zaś był w kropce. Niemożliwe, aby którykolwiek z domowników był odpowiedzialny za wszystkie tajemnicze zdarzenia, ale też niemożliwe, by złoczyńcą okazał się ktoś spoza domu. Czasami czuł się tak w tym wszystkim pogubiony i bezradny, że niemal zaczynał wierzyć, iż dom rzeczywiście jest nawiedzony. Bo jeśli nie, to ktoś robił z niego głupca... Żadna z tych możliwości nie była dla niego do przyjęcia. Wiadomo było, że o dziwnych zdarzeniach na farmie nie należało rozmawiać z nikim z zewnątrz prócz doktora Blythe'a czy pana Sheldona. Ale z rozmów z doktorem Blythe'em nigdy nic konkretnego nie wynikało, natomiast pan Sheldon zazwyczaj zakopywał się w książkach na plebanii, często do późnych godzin nocnych. Z kimkolwiek Curtis jednak by nie rozmawiał, czegokolwiek by nie poszukiwał lub czegokolwiek by się domyślał, ciągle był w punkcie wyjścia. Jedyne, co udało mu się ustalić, odwołując się do historii probostwa w Epworth, to fakt, że pan Sheldon wierzył w duchy, a doktor Blythe, z jakiejś niewiadomej przyczyny, traktował całą historię jako swoisty żart... Bóg raczy wiedzieć, czemu.

Curtis nabawił się bezsenności i nie mógł zasnąć nawet wtedy, gdy w domu nic się nie działo. Stracił zapał do pracy... Popadł w obsesję. Zauważyli to zarówno doktor Blythe, jak i pan Sheldon i zgodnie doradzili, by wynajął pokój gdzie indziej. Ale Curtis wiedział, że nie mógłby tego zrobić. Zdał sobie też sprawę z tego, że był zakochany w Lucii.

Dotarło to do niego pewnej nocy, gdy głośnie walenie w wielkie drzwi frontowe wyrwało go z lektury. Odło-

64

żył książkę i zszedł na dół. Drzwi były zamknięte, ale nie na klucz, choć z pewnością któryś z domowników zrobił to przed pójściem spać. Curtis chwycił za klamkę, ale w tym momencie z jadalni wyszła Lucia, niosąc niewielką lampkę. Płakała... Nigdy wcześniej nie widział płaczącej Lucii, choć raz czy dwa zauważył łzy gromadzące się w jej oczach. Włosy, splecione w gruby warkocz, spływały po jej ramieniu. Wyglądała jak dziecko... zmęczone, smutne dziecko. I to właśnie wtedy zrozumiał, jak wiele Lucia dla niego znaczy.

— Co się stało, Lucio? — spytał łagodnie, nieświadomy nawet tego, że po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu.

— Popatrz — załkała Lucia, unosząc nieco lampę i oświetlając wejście do jadalni. Z początku Curtis nie rozumiał, co właściwie się stało. Pomieszczenie wydawało się istnym labiryntem zbudowanym z... z czego właściwie? Kolorowej przedzy! Nici spletały się ze sobą i krzyżowały, były zawinięte wokół mebli i rozpięte między nimi — ktoś zawiązał je wokół każdej nogi stołu i krzesła. Jadalnia wyglądała jakby ktoś rozpiął w niej gigantyczną pajęczynę.

— Mój kocyk — powiedziała Lucia. — Mój nowy kocyk. Wczoraj go skończyłam. Teraz jest całkowicie zniszczony... A pracowałam nad nim od Nowego Roku. Och, głupia jestem, że tak się tym przejmuję... W końcu działy się już gorsze rzeczy. Ale mam tak mało czasu na wszelkie robotki. Któż mógłby być tak okrutny! Kto mnie tak nienawidzi? Jaki duch miałby ochotę zrobić coś takiego?

66

Wyrwała swoją dłoń z uścisku Curtisa i pobiegła na górę po schodach, łkając. Curtis stał w holu, oniemiały. Wiedział już, że kochał ją od samego początku, od dnia, w którym ją poznał. Śmieszna była ta jego ślepotą. Kochał ją... Oczywiście, że ją kochał. Nabrał pewności, gdy

zobaczył łzy w tych jej słodkich oczach. Lucia we łzach... łzach, których nie potrafił, nie był w stanie otrzeć. Ta myśl była nie do zniesienia.

Alice zawołała go, gdy mijał jej drzwi. Przekręcił klucz w zamku i wszedł do środka. Świeże, pachnące słodczą nocne powietrze wpadało przez otwarte okno. Widać za nim było blade światelko, błyszczące gdzieś za budynkiem kościoła.

— Miałam złą noc — powiedziała Alice. — Ale dzisiaj było nawet spokojnie, prawda? Z wyjątkiem drzwi, oczywiście.

— Dość spokojnie, tak — odparł ponurym tonem Curtis. — Nasz duch postanowił dziś zabawić się po cichu. Prując kocyk Lucii. Panno Harper, ja już prawie odchodzę od zmysłów.

— To z pewnością sprawka Julii. Przez cały wczorajszy dzień chodziła nadąsana. Lucia z jakiegoś powodu ją głośno skarciła. Oto jej zemsta.

— To nie mogła być Julia. Pojechała na noc do domu. Zamierzam podjąć ostatnią próbę. Pamiętam, że kiedyś powiedziała mi pani, że miała pewien pomysł w związku z całą tą sprawą. Co to było?

Alice bezradnie rozłożyła ręce.

— Powiedziałam panu również, że ów pomysł jest zbyt niesamowity, by ująć go w słowa. Podtrzymuję swo-

je zdanie. Jeśli sam pan na to nie wpadnie, ja nie pisnę ani słówka.

— Myśli pani, że... że to Długi Alec?

— Długi Alec? Ależ to absurdałne.

Nie skłonił Alice do mówienia, więc wrócił do swego pokoju z głową pełną sprzecznych myśli.

— Dwóch rzeczy jestem pewien — mruknął, obserwując wschód słońca. — Dwa plus dwa równa się cztery... I zamierzam poślubić Lucię.

Lucia, jak się okazało, miała inne zdanie w tej materii. Gdy Curtis poprosił ją o rękę, odparła, że nie ma takiej możliwości.

— Ale dlaczego? Czy ty mnie nie... czy nie mogłabyś mnie pokochać? Jestem pewien, że uczyniłbym cię szczęśliwą.

Lucia popatrzyła na niego uważnie.

— Owszem, mogłabym... To jestem ci winna powiedzieć. Nie zaprzeczam, że mogłabym cię pokochać. Zawsze należy mówić prawdę. Ale w obecnej sytuacji nie mogę wyjść za mąż... Chyba sam rozumiesz. Nie mogę zostawić Aleca i Alice.

— Alice mogłaby przeprowadzić się razem z nami. Z przyjemnością gościłbym taką kobietę w moim domu. Stanowiłaby dla mnie źródło nieustannej inspiracji.

Być może nie była to zbyt taktowna wypowiedź w towarzystwie kobiety, do której Curtis się umizgiwał.

— Nie. Takie rozwiązanie nie byłoby uczciwe względem ciebie. Nie wiesz o wszystkim... Curtis błagał, próbował dyskutować z Lucią, ale nie przyniosło to rezultatu. Gdy poszedł wyżalić się do pani

7

Blythe, ta przypomniła mu, że w żyłach Lucii płynie krew rodu Fieldów.

— I pomyśleć, że to wszystko przeze mnie — rzekła gorzko Alice.

— Tu nie tylko chodzi o panią... Naprawdę bardzo chciałbym, żeby zamieszkała pani z nami. Ale nie, tu chodzi również o Aleca... I te piekielne upiory.

— Ciii, bo jeszcze usłyszą pana diakon Kirk lub pan Sheldon — zażartowała Alice. — Uznaliby, że pastorowi nie przystoi używać słowa „piekielny” poza murami kościoła. Przykro mi, panie Burns... Przykro mi z powodu pana, a jeszcze bardziej z powodu Lucii. Obawiam się, że ona nie zmieni zdania. My, Fieldowie, potrafimy być uparci. Jedyna nadzieja w tym, że uda się panu przepędzić stąd tego ducha.

Wydawało się jednak, że to zadanie niemożliwe. Curtis musiał przełknąć gorycz porażki. Tymczasem nastąpiły dwa tygodnie księżycowych, spokojnych nocy. Pan Sheldon ponownie wyjechał. Gdy zaś noce stały się bezksiężycowe, duch znowu dał znać o sobie. Tym razem to Curtis stał się celem ataków upiora. Gdy zamierzał położyć się do łóżka, za każdym razem znajdował swoją pościel moką lub wybrudzoną. Dwukrotnie, gdy w niedzielę chciał założyć sutannę przed mszą, odkrył, że ktoś oderwał wszystkie guziki. Kazanie na uroczystą mszę z okazji jego rocznego już pobytu w Mowbray Narrows, które przygotowywał z taką pieczołowitością, znikło z jego biurka w sobotni wieczór — nie zdążył się go nawet nauczyć na pamięć. W efekcie następnego dnia nie popisał się przed tłumem zgroma-

żonym w kościele. Jako że był jeszcze młody, trudno było mu to znieść.

— Lepiej niech się pan wyprowadzi, panie Burns

— doradzała Alice. — Mówię to wbrew sobie, bo bardzo będę za panem tęsknić.

Bardziej, niż słowa są w stanie to opisać. Ale musi pan stąd odejść. Tak twierdzi pan Sheldon, a i doktor Blythe uważa, że to pańska jedyna szansa. Nie jest pan tak opanowany jak Lucia ani tak uparty jak Alec. Nie ma pan nawet takiej wiary w zamknięte drzwi jak ja. Duchy nie dadzą panu spokoju, skoro uwzięły się na pana. Niech pan pamięta, że Lucię prześladowały przez lata.

— Nie mogę odejść i zostawić jej z tym wszystkim

— upierał się Curtis.

— Wierzę, że jest pan równie wytrwały jak sami Fiel-dowie — odrzekła Alice z bladym uśmiechem. — Ale cóż pan tu zdziała? Naprawdę zdaje mi się, że miałby pan większe szanse u Lucii, gdyby pan się wyprowadził. Dopiero wtedy zrozumiałaby, ile pan dla niej znaczy. O ile znaczy pan dla niej cokolwiek.

— Czasem myślę, że nie znaczę dla niej nic — powiedział przygnębiony Curtis.

— Och, sama nie wiem. Słyszałam, że pani Blythe mówiła, że...

— Byłoby wspaniale, gdyby pani Blythe pilnowała swoich spraw — przerwał nagle rozgniewany Curtis.

— Cóż, to nigdy nie nastąpi. Taki ma charakter. Ale lepiej nie będę rozpowiadać plotek. Wydaje się, że jestem jedyną osobą w Mowbray Narrows i Glen St. Mary, która nie przepada za panią Blythe. I resztą rodzinę ze

49

Złotego Brzegu. Może to dlatego, że zewsząd wysłuchuję pochwał na ich temat. To czasem przynosi odwrotny skutek, nieprawdaż, panie Burns?

— Tak, bardzo często. Lecz w przypadku Lucii...

— Och, wiem, że pała pan do niej głębokim uczuciem. Ale proszę nie oczekiwać, że Lucia pokocha pana tak bardzo, jak pan kocha ją. Fieldowie tacy nie są. To raczej oziębli ludzie, rozumie pan? Tu pani Blythe ma absolutną rację. Z kolei doktor Blythe powiedział kiedyś, że w Długim Alecu jest tyle uczuć, co w rzebie. A może doktor nigdy tak nie powiedział... Wie pan, jak to jest z plotkami. Proszę spojrzeć na Aleca... Podobają mu się Edna Pollock, chciałby się z nią ożenić... Ale nie traci z tego powodu ani głowy, ani apetytu.

— Rozsądny człowiek!

— O, teraz pan brzmi jak doktor Blythe. Lucia jest taka jak Alec. Byłaby wspaniałą żoną dla pana. Pani Blythe powtarza to, odkąd się pan tu zjawił. Lucia byłaby wierna i oddana... Już ja o tym mogę zaświadczyć, czyż nie? Ale serce jej nie pęknie, jeśli nie będzie w stanie wyjść za pana.

Curtis spochmurniał.

— Nie lubi pan wysłuchiwać takich rzeczy... Pan chciałby być kochany miłością romantyczną i pełną pasji. Ale taka jest prawda. Zresztą, podobno nawet doktor Blythe nie był pierwszym wybrankiem pani Blythe. Choć są teraz bardzo szczęśliwi. Od czasu do czasu

jedynie... Ach, znowu zaczynam plotkować. W każdym razie to, co powiedziałam o Fieldach, jest prawdą. Może nie powinnam tego mówić, są dla mnie

60

tacy dobrzy. Wiem jednak, że panu mogę zaufać, panie Curtis.

Czasami Curtis był bliski przyznania Alice racji w kwestii charakteru Lucii. On należał do energicznych ludzi, Lucia natomiast wydawała się zbyt stateczna, zbyt wycofana. Ale sama myśl o tym, że mógłby z niej zrezygnować, była dla niego torturą.

„Ona jest jak piękna czerwona róża, pozostająca poza zasięgiem. Muszę do niej się zbliżyć”, pomyślał.

Nie wyobrażał sobie przeprowadzki do innego miejsca, choć zdecydowanie doradzali mu to zarówno pan Sheldon, jak i doktor Blythe. Gdyby zamieszkał w innym domu, zbyt rzadko widywałby Lucię. Ona z pewnością zaczęłaby go unikać. Już i tak cała okolica aż wrzała od plotek, a pan Sheldon przy każdej nadarzającej się okazji wyrażał swoją dezaprobatę. Curtis postanowił jednak ignorować uwagi staruszka, podchodził do niego z coraz większym dystansem. Wiedział, że pan Sheldon nigdy nie popierał pomysłu zamieszkania młodego pastora w domu Fieldów.

Pewnej nocy, po powrocie ze spotkania w odległej części parafii, Curtis przez długi czas stał przy oknie w swoim pokoju. Na biurku leżała książka, o którą dbał bardziej niż o jakikolwiek inny przedmiot w swoim dobytku. Książkę tę podarowała mu nieżyjąca już matka. Teraz połowa stron została wydarta, a samą książkę ktoś polał atramentem. Rozsadzały go gniew i bezradność. Czuł się jak człowiek, na którego spadają ciosy niewidzialnego wroga.

Z każdym dniem sytuacja robiła się coraz gorsza. Może rzeczywiście powinien się wyprowadzić...

— To pana zabija, panie Burns — powiedział mu nie tak dawno temu doktor Blythe. Zdawało się, jakby wszyscy zawiązali spisek, by przepędzić go z farmy Fieldów. Ale on nie chciał się poddać. Lucia nic do niego nie czuła, wbrew zapewnieniom pani Blythe... Unikała go. Od kilku dni nie był w stanie zamienić z nią choćby kilku słów, z wyjątkiem przelotnych rozmów przy stole w czasie posiłków. Długi Alec powiedział mu coś, z czego Curtis wywnioskował, że oboje chcieli, by młody pastor opuścił ich dom.

— Tak byłoby dla niej łatwiej, zdaje mi się — powiedział Długi Alec. — Strasznie się tym wszystkim zamartwia.

Cóż, skoro i ona chciała się go pozbyć! Curtis stał się przesadnie drażliwy. Doktor Blythe kilka dni wcześniej powiedział mu:

— Niech pan ją po prostu zabierze z tego domu. Wszystko wtedy wróci do porządku. Gdyby tylko doktor wiedział, co tam się naprawdę dzieło! On nawet nie przyjmował do wiadomości relacji Alice.

Curtis czuł, że jest nieudacznikiem. Jego kazania były coraz płytsze, pozbawione wigoru... Pan Sheldon zwrócił mu na to uwagę, zresztą on sam to wyczuwał... Coraz mniej interesowała go praca. Doktor Blythe mówił mu o tym wprost. Curtis żałował, że w ogóle przybył do Mowbray Narrows.

Wychylił się przez okno, by pooddychać zapachem lata. Noc była dość upiorna. Sylwetki drzew przybierały dziwaczne, przeraźliwe kształty w mroku. Księżyc

skrywał się za chmurami. Chłodne, pełne zapachów powietrze docierało do nozdrzy Curtisa od strony ogrodu. Drogą przejechał samochód... samochód ze Złotego Brzegu. Najwyraźniej doktor Blythe został wezwany do któregoś z pacjentów. Ależ ten doktor miał życie! Gorsze niż pastor. Nigdy nie mógł być pewnym, czy spokojnie prześpi noc. A jednak doktor Blythe wydawał się szczęśliwym człowiekiem, a jego żonę wprost ubóstwiano w Glen St. Mary. Często zjawiali się na mszy w kościele w Mowbray Narrows. Prawdopodobnie ze względu na sympatię do Curtisa, bo w końcu byli prezbiterianami.

Curtis poczuł ulgę. Nieco poprawił mu się nastrój. Na pewno znajdzie się jakieś wyjście z tej sytuacji. Pomimo historii probostwa w Epworth, Curtis nie wierzył w manifestacje sił nadprzyrodzonych. Był młody... Świat był dobry, bo żyły na nim kobiety takie jak Lucia i Alice. Nie podda się jeszcze. Upiór w końcu popełni błąd i wtedy zostanie schwytany. Wtem księżyc wychylił się spomiędzy chmur. Curtis mógł teraz spojrzeć w przeciwległe okno i zajrzeć do pokoju gościnnego, którego kotary nie były zasłonięte. Widział jego wnętrze całkiem wyraźnie w księżycowym blasku. W lustrze, wiszącym na ścianie tuż obok okna, ujrzał twarz, jasną, ostro zarysowaną w otaczającym ją mroku. Postać patrzyła na niego... Widział ją jedynie przez chwilę, nim chmury znowu pochłonęły księżyc, ale udało mu się ją rozpoznać. To była twarz Lucii!

Z początku wiele o tym zdarzeniu nie myślał. Pewnie usłyszała jakiś hałas i udała się do pokoju gościnnego, by zbadać sprawę.

6S

Ale gdy następnego dnia przy śniadaniu zapytał ją, co takiego zaniepokoiło ją w nocy, spoglądała na niego z zimną obojętnością.

— Zeszłej nocy nic się nie działo — rzekła.

— Ale widziałem cię w oknie pokoju gościnnego — wyjaśnił.

— Zeszłej nocy nawet nie zbliżałam się do pokoju gościnnego — odparła chłodno. — Poszłam spać dość wcześnie... Byłam bardzo zmęczona... To był jeden z tych dni, gdy Alice odczuwała bóle. Przespałam spokojnie całą noc.

To powiedziawszy, wstała i wyszła z jadalni. Nie wróciła już ani nie nawiązywała więcej do tej rozmowy. Lecz dlaczego skłamała? „Kłamstwo” to mocne słowo, ale Curtis wolał nazwać rzecz po imieniu. Przecież widział Lucię na własne oczy. Owszem, trwało to ledwo chwilę, w dodatku chodziło o odbicie w lustrze, oświetlone światłem księżyca, ale wiedział, że się nie pomylił. To była twarz Lucii. A ona go okłamała! Oczywiście to, co Lucia robiła w tamtym pokoju, nie było jego sprawą. Ale kłamstwo to kłamstwo. Czyżby lunatykowała? Nie, z pewnością ktoś wcześniej by go o tym uprzedził. Sądził, że o Fieldach wie już wszystko... Curtis postanowił wyprowadzić się od Długiego Ale-ca. Zamieszka w pokoju na stacji, co będzie niezbyt wygodne, ale nie widział innego rozwiązania. Serce mu pękało. Nie chciał już wiedzieć, kim naprawdę był duch na farmie Fieldów. Bał się poznać prawdę... Obawiał się zresztą, że tę prawdę już znał, ale tajemnicą pozostawały motywy i sposoby działania „ducha”.

Lucia pobladała, gdy oznajmił jej swoją decyzję, ale nie odezwała się słowem. Długi Alec, jak to on, zgodził się, że to najlepsze wyjście w obecnej sytuacji. Zdziwił się, gdy Curtis prosto z mostu zapytał go, czyjego siostra kiedykolwiek chodziła we śnie.

— Nie — odparł ostrożnie. — O naszej rodzinie można sporo powiedzieć, ale nie ma wśród nas lunatyków.

Alice przyjęła do wiadomości decyzję Curtisa ze łzami w oczach.

— Oczywiście, że musi się pan wyprowadzić — powiedziała. — Sytuacja stała się dla pana nie do wytrzymania. Podobno doktor Blythe uważa, że jeszcze trochę, a niechybnie by pan oszalał. Ten jeden raz mogę się z nim zgodzić. Och, ale cóż ja pocznę? Oto, pełne egoizmu, pytanie do pana.

— Będę panią często odwiedzał, moja droga.

— To już nie będzie to samo. Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczysz, Curtisie. Nie pogniewasz się, jeśli będę ci mówić po imieniu? Jesteś dla mnie jak młodszy kuzyn lub bratanek...

— Będzie mi bardzo miło.

— Kochany z ciebie chłopak. Powinnam być zadowolona, że nas opuszczasz. Ten przeklęty dom to nie miejsce dla ciebie. Kiedy się wyprowadzasz?

— Za tydzień. Po moim powrocie ze spotkania Okręgu.
Curtis spóźnił się po spotkaniu na powrotny pociąg, gdyż... polował w księgarni na książkę, którą chciała przeczytać Alice. Na szczęście wpadł na doktora Blythe'a,

który, jak się okazało, miał rzeczoną książkę w swej bibliotece i obiecał ją pożyczyć pannie Harper.

— Słyszałem, że jednak się pan przeprowadza — powiedział doktor. — Rozsądna decyzja, moim zdaniem.

— Tyle że pozostawiam nie rozwiązana zagadkę — odparł rozgoryczony Curtis.
Doktor Blythe uśmiechnął się. Curtis nigdy nie lubił tego uśmiechu.

— Święci są często zbyt mądrzy jak dla nas, przeciętnych śmiertelników — rzekł doktor.
— Myślę jednak, że tajemnica kiedyś się wyjaśni.

Curtis wrócił do domu wieczornym pociągiem, który przybył do Glen St. Mary o pierwszej w nocy. Co prawda pociąg zwykle nie zatrzymywał się na tej stacji, ale Curtis znał osobiście konduktora, który był uczynnym człowiekiem.

Z pociągu wysiadł również Henry Kildare. Myślał, że będzie jechał aż do Lowbridge — nie miał bowiem takich znajomości jak Curtis.

— Nieźle jest być pastorem — rzekł ze śmiechem. — Stąd tylko trzy mile do domu kuzynki Ellen. Będę w domu szybciej — powiedział, gdy opuścili peron.

— A może tę noc spędzi pan w domu Długiego Aleca? To znacznie bliżej — zasugerował Curtis.

— O, nie — odparł natychmiast Henry. — Za żadne skarby świata nie spędziłbym jeszcze jednej nocy w tym domu. Słyszałem, że pan stamtąd ucieka. Mądra decyzja!

Curtis nie odpowiedział. Nie potrzebował towarzystwa w drodze powrotnej, a już na pewno nie tęsknił za

6F

kompanią Henry'ego Kildare'a. Maszerował w ponurym milczeniu, nie zważając na niekończący się potok słów Henry'ego, który najwyraźniej znakomicie czuł się, słuchając samego siebie.

Tej nocy mocno wiało, a ciężkie chmury przesunęły się po niebie, od czasu do czasu odsłaniając bladą tarczę księżyca. Curtis czuł się wykończony, pozbawiony nadziei, zniechęcony. Nie udało mu się rozwiązać zagadki, do której wyjaśnienia zabrał się z taką pewnością siebie. Poniósł porażkę, bo nie zdobył serca Lucii... ani jej nie uratował.

— Tak, zamierzam się stąd wyrwać i wrócić na Wybrzeże — mówił Henry. — Nie ma sensu kręcić się wokół Mowbray Narrows dłużej. Nie zdobędę dziewczyny, na której mi zależy.

A więc i Henry miał swoje problemy.

— Przykro mi — powiedział Curtis.

— Przykro panu! Rzeczywiście, to przykra sprawa. W sumie dobrze, że rozmawiam o tym z panem, pastorze. Wydaje się pan być poczciwym człowiekiem... I był pan wspaniałym przyjacielem dla Alice.

— Alice! — wykrzyknął zaskoczony Curtis. — Ma pan na myśli... pannę Harper?

— A jakże. Nikt inny się nigdy dla mnie nie liczył. Pastorze, ja całowałem ziemię, po której stapały jej stopy. Lata temu, gdy pracowałem dla starego Winthropa Fielda, szalałem na jej punkcie. Ona o tym nie wiedziała. Wiedziałem, że jej nie zdobędę, rzecz jasna. Była w końcu arystokratką z rodu Fieldów, a ja zwykłym najemnikiem. Ale nigdy jej nie zapomniałem... Żadna inna kobie-

ta nie była w stanie zawojować mego serca. Więc kiedy się dorobiłem dużych pieniędzy, powiedziałem sobie: „Teraz wracam na Wyspę Księcia Edwarda i jeśli Alice Harper jeszcze

nie jest mężatką, zobaczymy, czy przypadkiem nie zechce wyjść za mnie". Bo widzi pastor, ja przez lata całe nie otrzymywałem wieści z Mowbray Narrows. Nie słyszałem o wypadku Alice. Sądziłem, że będzie miała męża, ale liczyłem mimo wszystko na swoją szansę... Pastorze, byłem wstrząśnięty, gdy zjawilem się tu i dowiedziałem się, co jej się przydarzyło. A najgorsze jest to, że nadal kocham ją do nieprzytomności. Kocham ją zbyt mocno, by zakochać się w kimś innym. Chociaż mieszka w Glen taka jedna... Ale nieważne. Skoro nie mogę mieć Alice, nie chcę żenić się z żadną inną. Choć pani Blythe mówi, że... a, mniejsza z tym. Ja chcę wziąć ślub. Chcę zasypać moją wybrankę pieniędzmi. Kupić wytworny dom na Wybrzeżu. No to mam pecha, prawda? Proszę wybaczyć. Zapominam, że rozmawiam z pastorem, gdy jestem w pańskim towarzystwie. Z panem Sheldonem mi się to nie zdarza. No ale on jest święty.

Curtis przyznał, że los rzeczywiście okazał się dla Henry'ego mało łaskawy. Osobiście uważał jednak, że to nieistotne, czy Alice mogła, czy też nie mogła wyjść za męża. Ona przecież nigdy nie zainteresowałaby się kimś takim, jak ten zarozumiały, obcesowy Kildare.

Ale w głosie Henry'ego czuć było prawdziwe, szczere uczucie — Curtis darzył sympatią każdego, kto był nieszczęśliwie zakochany.

— Co to jest? Tam, w sadzie Fieldów? — zapytał nagle Henry przestraszonym głosem.

6\$

Curtis ujrzał to w tej samej chwili. Księżyc wyłonił się zza chmur i w jego jasnym blasku sad stał się widoczny niemal jak za dnia. Szczupła, lekko odziana postać stała pośród drzew.

— Dobry Boże, może to upiór! — wykrzyknął Henry.

Postać nagle zaczęła uciekać. Curtis bez słowa przeskoczył przez ogrodzenie i ruszył w pogoń.

Po chwili wahania Henry ruszył za nim.

— Żaden pastor nie pobiegnie tam, gdzie i ja nie mógłbym pobiec — mruknął.

Dogonił Curtisa w momencie, gdy ten dobiegł do rogu domu, a tajemnicza postać wpadła przez frontowe drzwi do środka.

Curtis nagle poczuł, że rozwiązanie zagadki, jeszcze przed chwilą będące w zasięgu jego rąk, znowu mu się wymyka.

I nagle dziki podmuch wiatru pognał przez hol... Ciężkie drzwi zatrzęsły się z hukiem, przygważdżając mocno spódnicę uciekającej postaci.

Curtis i Henry pognali w górę po schodach, złapali za spódnicę, otworzyli drzwi i spojrzeli na stojącą po drugiej stronie kobietę.

— Dobry Boże! — krzyknął Henry.

— To ty! Ty! — powiedział Curtis groźnym tonem.

Alice Harper patrzyła na niego, jej twarz wykrzywiały wściekły szal.

— Ty psie! — syknęła jadownicie.

— To byłeś ty! — Curtis ledwo łapał dech. — Od samego początku... to byłeś ty... ty diablico!

-Ty!

— Spokojnie, pastorze — Henry Kildare łagodnie zamknął drzwi. — Proszę pamiętać, że zwraca się pan do damy.

— Do da...?!

— Damy — powtórzył stanowczo Henry. — Nie róbmy tu zbyt wielkiego przedstawienia. Nie chcemy niepokoić reszty domowników. Chodźmy do salonu i porozmawiajmy spokojnie.

Curtis usłuchał bez słowa. Był tak zaskoczony, że prawdopodobnie wykonałby każde polecenie Henry'ego. Kildare ruszył za nim, trzymając dłoń na ramieniu Alice i zamknął za sobą drzwi.

Alice stanęła przed nimi, patrząc na mężczyzn wyzywająco. Przez głowę Curtisa przebiegały teraz setki myśli, ale jedno wydało mu się uderzające: jak bardzo Alice przypominała teraz Lucię! W świetle dnia różna karnacja skóry sprawiała, że wszelkie wspólne cechy stawały się mniej widoczne. Lecz w księżycowej poświacie podobieństwo od razu rzucało się w oczy. Curtis był wstrząśnięty do głębi, zupełnie zaskoczył go obrót wypadków. Próbował coś powiedzieć, ale uprzedził go Henry Kildare.

— Pastorze, lepiej ja się tym zajmę. Pan przeżył lekki szok.

Lekki szok!

— Proszę sobie usiąść — powiedział Henry łagodnym tonem. — Alice, ty usiądź w fotelu bujanym.

Oboje byli posłuszni. Kildare nagle zmienił się w spokojnego, ale charyzmatycznego człowieka, któremu lepiej się było nie sprzeciwiać.

70

— Proszę, o, tutaj, droga Alice. — Przesunął fotel bujany z rogu pokoju i delikatnie umieścił ją w nim.

Siedziała, wpatrując się w nich — piękna kobieta, oświetlona blaskiem księżyca.

Bładoniebieski jedwab szlafroka układał się wspaniale na jej szczupłej sylwetce.

Curtis myślał, że to jakiś koszmarny sen. Najgorszy koszmar, jaki do tej pory śnił. Bo to musiał być koszmar. To nie mogło dziać się naprawdę.

Henry usiadł na sofie i pochylił się ku nim.

— A teraz, droga Alice, powiedz nam o wszystkim. Bo wiesz, że musisz to uczynić. Zobaczymy, co da się zrobić. Gra skończona, i ty dobrze o tym wiesz. Nie jesteśmy w stanie utrzymać tego w tajemnicy.

— Och, wiem. Ale na szczęście pięć cudownych lat należało do mnie. Nic i nikt mnie tego nie pozbawi. Och, rządziłam nimi wszystkimi... Z mojego „łoża boleści”. Rządziłam nimi. Pociągałam za sznurki, a oni tańczyli, jak im zagrałam. Moje kukielki! Ciemna Lucia i wszystkowiedzący Alec... I ten zakochany po uszy chłoptaş, o tutaj! Nabrałam wszystkich, z wyjątkiem Blythe'ów. Wiedziałam, że coś podejrzewali, ale nie mogli tego udowodnić. Nie odważyli się nawet wypowiedzieć tych podejrzeń na głos.

— Owszem, musiałaś nieźle się bawić — zgodził się Henry. — Ale dlaczego, Alice? Dlaczego?

— Miałam już dość traktowania mnie z góry, wiecznego pouczenia i strofowania — rzekła z goryczą Alice. — Tak właśnie wyglądała moja młodość. Akurat ty wiesz o tym doskonale, Henry.

— Owszem, co nieco o tym wiem — potwierdził Henry.

— Byłam po prostu ubogą krewną — mówiła Alice.

— Gdy przyjeżdżali do nich goście, musiałam nieraz czekać i jeść kolację dopiero, jak pozostali już skończyli.

— Ale tylko wtedy, gdy brakowało miejsc przy stole

— wtrącił Henry.

— Nieprawda! To dlatego, że nie byłam godna, by spędzać z nimi czas podczas posiłków. Byłam odpowiednia do nakrywania do stołu. I do gotowania. Nienawidziłam ich wszystkich. Ale Lucii najbardziej.

— Ale dlaczego? Uważam, że Lucia była dla ciebie zawsze ujmująco miła.

— Bzdury! To ona była najbardziej kochana. Jej ojciec nie pozwalał, by włos spadł jej z głowy. Ja musiałam spać w ciemnym, zagraconym pokoiku na tyłach domu. Ona miała słoneczny buduar z widokiem. Była młodsza o cztery lata ode mnie, a jednak uważała się za lepszą we wszystkim.

— Ejże, nie wymyśliłaś sobie aby tego? — zapytał łagodnie Henry.

— Nie, nie wymyśliłam! Czy gdy ją zapraszano do Złotego Brzegu, byłam proszona i ja?

- Ale mieszkańcy Złotego Brzegu myśleli, że ich nienawidzisz.
- I owszem. Lucia została posłana do szkoły. Natomiast o mojej edukacji nikt nie pomyślał. Tymczasem jestem o wiele sprytniejsza od niej.
- Może i sprytniejsza — zgodził się Henry, stawiając nacisk na ostatnie słowo. — Ale nauczyciele skarżyli się zawsze, że nie lubiłaś się uczyć.

72

Curtis czuł, że nie powinien pozwolić Alice mówić takich rzeczy o Lucii, ale miał wrażenie, jakby sparaliżowała go jakaś niewidzialna siła. To musiał być sen... Koszmar... To nie mogło dziać się naprawdę.

- Wuj Winthrop zawsze był wobec mnie sarkastyczny. Pamiętam jego docinki... Wszystko. A ty, Henry?

— Owszem. Staruszek taki już był. Równie złośliwy wobec wszystkich. Ale nie miał nic złego na myśli. Choć rzeczywiście uważałem, że wuj mógłby być dla ciebie miłszy. Z kolei o twojej ciotce nie możesz chyba powiedzieć złego słowa.

- Raz uderzyła mnie przy innych.

— Owszem, ale to dlatego, że jej pyskowałaś.

— Od tamtego czasu nienawidziłam jej — powiedziała Alice, ignorując Henry'ego. — Słowem się do niej nie odezwałam przez dziesięć tygodni. A ona nawet tego nie zauważyła. Pewnego dnia, gdy miałam dziewiętnaście lat, powiedziała: „W twoim wieku byłam już mężatką”.

- To samo powiedziała Nan Blythe.

— A czyja to była wina, że nie wyszłam za mąż? — dopytywała Alice, która najwyraźniej postanowiła nie słyszeć tego, co mówi Henry.

- Sprawiałaś wrażenie takiej, co to nie lubi przebywać w towarzystwie rówieśników — odparował.

— Bo nie byłam tak dobrze ubrana jak oni. Wiedziałam, że z tego powodu patrzyli na mnie z góry.

- Nonsens! To tylko wymysł twojej wyobraźni.

— Laura Gregor powiedziała mi kiedyś, że wyglądam, jakbym pochodziła z sierocińca!

— wybuchła Alice, cała się trzęsąc. — Gdybym miała takie sukienki jak Lucia, Roy Major na pewno zwróciłby na mnie uwagę.

73

— Przypominam sobie, że córki Carmanów również nosiły wtedy stare, bawełniane sukienki w kratę — zauważył Henry.

— Wyglądałam nędznie, byłam zaniedbana... Nie chciał pokazywać się w moim towarzystwie. A ja... ja byłam w nim zakochana. Zrobiłabym wszystko, by go zdobyć.

— Pamiętam, jak byłem o niego zazdrosny rzekł Henry. — Tymczasem nie było powodu. On szalał na punkcie Amy Carr... i tuzina innych dziewcząt. Jakimi głupcami bywają młodzi ludzie!

Tymczasem Alice mówiła dalej, jakby w ogóle nie słyszała słów Henry'ego:

— Kiedy Marian Lister powiedziała mi, że ona i Roy zamierzają się pobrać, i poprosiła mnie, bym została jej druhną, myślałam, że ją zabiję. Zrobiła to specjalnie, by mnie zranić.

— Kolejny wymysł. Marian nie miała innych koleżanek. Poza tym, jeśli tak się poczułaś, to czemu nie odmówiłaś?

— Bo nie chciałam jej dać powodów do satysfakcji, do poczucia, że jest lepsza ode mnie. W dniu ich ślubu moje serce nieomal pękło. Modliłam się, by Bóg zesłał mi szansę zemsty za wszystkie moje cierpienia.

— Biedactwo — powiedział Henry z żalem. Curtis zaś czuł narastające w nim obrzydzenie.

— Tak wyglądało moje życie przez dwadzieścia lat. A potem spadłam z dachu. Na początku rzeczywiście byłam sparaliżowana. Przez miesiące nie mogłam się ruszyć. Ale potem odkryłam, że wracam do zdrowia. Udawałam jednak, że nic się nie zmienia. Wpadłam na

74

pewien pomysł. Znalazłam sposób, by ukarać ich, by nimi rządzić. Och, jakże się śmiałam, gdy to wszystko sobie obmyślałam!

Alice roześmiała się. Curtis zdał sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie słyszał jej śmiechu. Było w tym chichocie coś nieprzyjemnego, coś, co kojarzyło mu się z upiornym śmiechem podczas „nawiedzonych” nocy. Z drugiej jednak strony chichot ten brzmiał odrobinę jak śmiech Lucii. Trudno mu było pogodzić się z tym podobieństwem.

— Mój plan się powiódł. Obawiałam się tylko, że nie uda mi się zmylić lekarzy. Ale to okazało się proste... Bardzo proste. W życiu bym nie uwierzyła, że tak łatwo jest wyprowadzić w pole tylu inteligentnych, wykształconych ludzi. Jakże ja się śmiałam w duchu, gdy pochylali się nade mną z poważnymi minami! Nigdy się nie skarżyłam, zachowywałam się jak święta, jak bohaterka. Wuj Winthrop zwołał kilku specjalistów. W końcu musiał wydać trochę pieniędzy na swoją znienawidzoną siostrzenicę. Podobną sumę wydałby, wysyłając mnie do Queen's Academy. Łatwo było nabrać tych konowalów. Wszystkich, z wyjątkiem doktora Blythe'a. Czułam, że to właśnie on — zwykły, miejscowy lekarz w towarzystwie wszystkich tych sław z Nowego Jorku i Montrealu — coś podejrzewa. Tak było rzeczywiście. Dlatego powiedziałam: „Koniec z lekarzami”.

Cały dom stawał na głowie, by mi usługiwać. Och, jakże ja się pławiłam w tej władzy, jaką miałam nad nimi. Służyli mi — osobie, której nigdy nie szanowali. Nigdy się dla nich nie liczyłam.

— Dla mnie byłaś najważniejsza — rzekł Henry.

76

— Doprawdy? W takim razie świetnie to ukrywałeś.

— Przypuszczam, że nawet nie pomyślałabyś o tym, że zwykły najemny chłopak mógłby się zakochać w przedstawicielce rodu Fieldów.

— Szkoda, że wuj Winthrop o niczym nie wiedział. Zdarłby z ciebie skórę!

— Myślę, że by mu się to nie udało. Walczyłbym, tak jak potrafię walczyć teraz. Choć z pewnością mógłby mnie zwolnić. A ja nie zniósłbym sytuacji, w której nie mógłbym ciebie widywać na co dzień.

— No proszę, najwyraźniej byłam istotniejsza, niż mi się wydawało — odparła z sarkazmem Alice. — Szkoda, że mi o wszystkim nie powiedziałaś. Być może cudownie bym ozdrowiała i wyszła za ciebie. By ich upokorzyć. Tak czy siak, to ja stałam się najważniejszą osobą w domu. Lucia rzuciła swoją pracę, by mi usługiwać. Uznała to za swój „obowiązek”. Lucia zawsze brała wszystko zbyt poważnie.

Curtis chciał zerwać się z miejsca, ale Henry powstrzymał go gestem ręki. Alice posłała mu nienawistne spojrzenie.

— Ludzie mawiali, że mam anielską cierpliwość. Zaczęli mnie nazywać aniołem Mowbray Narrows. Choć doktor Blythe nigdy się do tych zachwytów nie przyłączył. Raz nie odezwałam się słowem przez cztery dni. Wszyscy domownicy byli przerażeni. Zmusiłam Lucię, by każdego wieczoru przez pół godziny masowała mi kark i plecy. To było dla niej świetne ćwiczenie, a dla mnie — zabawa. Czasami udawałam, że cierpię straszliwe katusze. Prosiłam o zgaszenie światła w pokoju,

76

jęczałam przeraźliwie godzinami. Miewałam te ataki za każdym razem, gdy uznawałam, że Lucii przyda się odrobina dyscypliny.

A potem odkryłam, że Alec chce się ożenić z Edną Pollock.

— Cemu miałybyś się temu sprzeciwiać?

— Jak to czemu! To nie pasowało do mego planu. Gdyby doszło do ślubu, Lucia mogłaby opuścić dom, a Edna Pollock z pewnością nie usługiwałaby mi tak przykładowie. Poza tym dziewczyna Pollocków nie była odpowiednią partią dla Fielda. Tak się składa, że i ja jestem dumna, jak na Fielda przystało, drogi panie Burns. I wtedy właśnie wpadłam na pomysł z duchami.

— A więc dochodzimy do interesującej części — rzekł Henry. — Jakim cudem udało ci się zorganizować te wszystkie psikusy, skoro leżałaś w łóżku, zamknięta w pokoju?

— W moim pokoju jest szafa, jej tylna ścianka nie jest zabezpieczona. To po prostu zwykła deska oddzielająca szafę od alkowy, w której znajdują się schodki prowadzące na poddasze. Gdy byłam dzieckiem, odkryłam, że łatwo przesunąć ową deskę, nie robiąc hałasu. To był mój sekret... Lubiłam wiedzieć o czymś, o czym reszta Fieldów nie miała pojęcia.

— Kto by pomyślał... — mruknął Henry, jakby podziwiał Alice za to, że potrafiła dochować tajemnicy.

— Z łatwością mogłam wymykać się z pokoju tamtym przejściem. Nikt nie mógł mnie podejrzewać, bo w końcu drzwi miałam co noc zamykane na klucz.

77

Curtis poczuł, że robi mu się niedobrze. Jak łatwo dali z siebie zrobić głupców!

— Ale jak udawało ci się wydostać z poddasza? — spytał Henry. — Jest przecież stamtąd tylko jedna droga na dół.

— Czy nie mówiłam już, że ludzie łatwo dają się wywieść w pole? Tak, nawet przenikliwy doktor Blythe.

— Doktora Blythe'a do tego nie mieszajmy. Po prostu odpowiedz na moje pytania.

— Na poddaszu znajduje się duży kufer, który powinien być po brzegi wypchany kołdrami. Stara babka Field zostawiła mi je w spadku, więc nikt się nimi nie interesował. W rzeczywistości w kufrze zostało na tyle miejsca, że mogłam bez problemu się w nim schować. Nikt nie mógł wejść po schodkach na strych nie zauważony przeze mnie. Dwa stopnie na schodach skrzypią.

— Nadal skrzypią? Pamiętam, że skrzypiały już za moich czasów. W końcu spałam na poddaszu.

— Ja nigdy nie stapałam po tych skrzypiących stopniach. Gdy słyszałam, że ktoś wchodzi na strych, wskakiwałam do kufra, zamykałam wieko i nasuwałam jedną z tych grubych, wełnianych kołder na głowę. Całe tabuny osób otwierały kufer, zaglądały do środka — widzieli jedynie kołdry i zamykali kufer. Doktor Blythe popełnił ten błąd co najmniej kilka razy. Podobnie nasz drogi pan Burns, nieprawdaż?

— Owszem — potwierdził udręczony Curtis.

— Robiłam wtedy wszystko, by nie wybuchnąć śmiechem! Och, jakimi oni wszyscy byli głupcami! Ale ja byłam sprytna. Tego mi nie odmówicie.

7c?

Curtis poczuł, że robi mu się niedobrze. Jak łatwo dali z siebie zrobić głupców!

— Ale jak udawało ci się wydostać z poddasza? — spytał Henry. — Jest przecież stamtąd tylko jedna droga na dół.

t

— Czy nie mówiłam już, że ludzie łatwo dają się wywieść w pole? Tak, nawet przenikliwy doktor Blythe.

— Doktora Blythe'a do tego nie mieszajmy. Po prostu odpowiedz na moje pytania.

— Na poddaszu znajduje się duży kufer, który powinien być po brzegi wypchany kołdrami. Stara babka Field zostawiła mi je w spadku, więc nikt się nimi nie interesował. W rzeczywistości w kufrze zostało na tyle miejsca, że mogłam bez problemu się w nim schować.

Nikt nie mógł wejść po schodkach na strych nie zauważony przeze mnie. Dwa stopnie na schodach skrzypią.

— Nadal skrzypią? Pamiętam, że skrzypiały już za moich czasów. W końcu spałem na poddaszu.

— Ja nigdy nie stapałam po tych skrzypiących stopniach. Gdy słyszałam, że ktoś wchodzi na strych, wskakiwałam do kufra, zamykałam wieko i nasuwałam jedną z tych grubych, wełnianych kołder na głowę. Całe tabuny osób otwierały kufer, zaglądały do środka — widzieli jedynie kołdry i zamykali kufer. Doktor Blythe popełnił ten błąd co najmniej kilka razy. Podobnie nasz drogi pan Burns, nieprawdaż?

— Owszem — potwierdził udręczony Curtis.

— Robiłam wtedy wszystko, by nie wybuchnąć śmiechem! Och, jakimi oni wszyscy byli głupcami! Ale ja byłam sprytna. Tego mi nie odmówicie.

7cP

Curtis poczuł, że robi mu się niedobrze. Jak łatwo dali z siebie zrobić głupców!

— Ale jak udawało ci się wydostać z poddasza? — spytał Heniy. — Jest przecież stamtąd tylko jedna droga na dół.

— Czy nie mówiłam już, że ludzie łatwo dają się wywieść w pole? Tak, nawet przenikliwy doktor Blythe.

— Doktora Blythe'a do tego nie mieszajmy. Po prostu odpowiedz na moje pytania. »

— Na poddaszu znajduje się duży kufer, który powinien być po brzegi wypchany kołdrami. Stara babka Field zostawiła mi je w spadku, więc nikt się nimi nie interesował. W rzeczywistości w kufrze zostało na tyle miejsca, że mogłam bez problemu się w nim schować. Nikt nie mógł wejść po schodkach na strych nie zauważony przeze mnie. Dwa stopnie na schodach skrzypią.

— Nadal skrzypią? Pamiętam, że skrzypiały już za moich czasów. W końcu spałem na poddaszu.

— Ja nigdy nie stapałam po tych skrzypiących stopniach. Gdy słyszałam, że ktoś wchodzi na strych, wskakiwałam do kufra, zamykałam wieko i nasuwałam jedną z tych grubych, wełnianych kołder na głowę. Całe tabuny osób otwierały kufer, zaglądały do środka — widzieli jedynie kołdry i zamykali kufer. Doktor Blythe popełnił ten błąd co najmniej kilka razy. Podobnie nasz drogi pan Burns, nieprawdaż?

— Owszem — potwierdził udręczony Curtis.

— Robiłam wtedy wszystko, by nie wybuchnąć śmiechem! Och, jakimi oni wszyscy byli głupcami! Ale ja byłam sprytna. Tego mi nie odmówicie.

7cP

Curtis poczuł, że robi mu się niedobrze. Jak łatwo dali z siebie zrobić głupców!

— Ale jak udawało ci się wydostać z poddasza? — spytał Henry. — Jest przecież stamtąd tylko jedna droga na dół.

— Czy nie mówiłam już, że ludzie łatwo dają się wywieść w pole? Tak, nawet przenikliwy doktor Blythe.

— Doktora Blythe'a do tego nie mieszajmy. Po prostu odpowiedz na moje pytania. >

— Na poddaszu znajduje się duży kufer, który powinien być po brzegi wypchany kołdrami. Stara babka Field zostawiła mi je w spadku, więc nikt się nimi nie interesował. W rzeczywistości w kufrze zostało na tyle miejsca, że mogłam bez problemu się w nim schować. Nikt nie mógł wejść po schodkach na strych nie zauważony przeze mnie. Dwa stopnie na schodach skrzypią.

— Nadal skrzypią? Pamiętam, że skrzypiały już za moich czasów. W końcu spałem na poddaszu.

— Ja nigdy nie stapałam po tych skrzypiących stopniach. Gdy słyszałam, że ktoś wchodzi na strych, wskakiwałam do kufra, zamykałam wieko i nasuwałam jedną z tych grubych,

wielbionych kołder na głowę. Całe tabuny osób otwierały kufer, zaglądały do środka — widzieli jedynie kołdry i zamykali kufer. Doktor Blythe popełnił ten błąd co najmniej kilka razy. Podobnie nasz drogi pan Burns, nieprawdaż?

— Owszem — potwierdził udręczony Curtis.

— Robiłam wtedy wszystko, by nie wybuchnąć śmiechem! Och, jakimi oni wszyscy byli głupcami! Aleja byłam sprytna. Tego mi nie odmówicie.

7

— Może nawet odrobinę zbyt sprytna — rzekł Henry.

— Byłam również świetną aktorką. W dzieciństwie marzyłam o występach na scenie. Pewnie dopięłabym swego. Ale sami wiecie, co metodyści myśleli wtedy o aktorstwie. Ba, może nadal tak myślą. Przypuszczam, że pan Burns mógłby wypowiedzieć się na ten temat... Choć najwyraźniej odjęło mu mowę.

— Rozumiem punkt widzenia starego Winthropa Fielda — powiedział Henry. — Ale ty zawsze byłaś dobrą aktorką.

— Ach, czyli przyznajesz mi rację. Mogłabym stać się wielką artystką. Nie sądzi pan, panie Burns? Ale jak pogardliwie reagowali wszyscy na wieść o moich marzeniach! „Wydaje ci się, że masz talent aktorski, dziecko?”, szydził ze mnie nauczyciel w szkole. Ciekawe, co by teraz powiedział. Zabawnie było obserwować przerażenie ludzi, słyszących imitację śmiechu wuja Winthropa. Potrafię doskonale naśladować jego głos i śmiech... Podobnie jak głos Anny Marsh... Poradziłabym sobie z naśladowaniem każdego.

— Rzeczywiście zawsze byłaś dobra w naśladowaniu innych — przyznał Henry. — Ale jak udawało ci się wywoływać skrzypienie kołyski, skoro zabrano ją z poddasza?

— Nigdy nie dotknęłam nawet tej kołyski, nawet gdy stała na poddaszu. Wywoływałam te dźwięki poluzowaną deską w podłodze. Mogłam bez problemu poruszać nią, nie wychodząc z kufra.

— Ale czasem musiałaś liczyć się ze sporym ryzykiem.

Z9

— Oczywiście. To była część całej zabawy. Wiele razy prawie zostałam przyłapana. Szczególnie wtedy, gdy w domu czuwał doktor Blythe. Tylko jego tak naprawdę się bałam. Ale nawet on nie mógł mierzyć się ze mną. Rzadko kiedy działałam w czasie księżycowych nocy. Raz dla zabawy wspierałam się po drabinie i przespacerowałam się po krawędzi dachu stodoły. Ale to było zbyt niebezpieczne. Zostałam dostrzeżona przez kogoś, kto przechodził w pobliżu. Zazwyczaj, gdy ktoś w domu czuwał na warcie, nie robiłam nic. Ale czasem miałam ochotę ich przechytrzyć. Zazwyczaj zjeżdżałam na dół po poręczy. Tak było szybciej i ciszej.

— Pamiętam, że umiałaś zjeżdżać po poręczy schodów już jako dziecko — westchnął Henry. — Byłaś szybka jak błyskawica. Ale stary Winthrop uważał, że takie zachowanie nie przystoi młodej damie, czyż nie?

— Lucia nigdy by czegoś takiego nie zrobiła — prychnęła Alice. — Nigdy nie hałasowałam na parterze, chyba że już kończyłam z psikusami tej nocy — kontynuowała Alice, która najwyraźniej dobrze bawiła się, wyznając prawdę. Jakże cudownie było wprawiać Curtisa Burnsa w szok! Ale była trochę zaskoczona, że Henry Kildare przyjmował jej zeznania z takim spokojem.

— Nigdy niczego nie robiłam, nie planując wcześniej możliwej drogi ucieczki. Miałam sporo miejsc, gdzie mogłabym się ukryć, gdybym nie dotarła na czas do szafy.

— A co ze skrzypcami? W jaki sposób weszłaś w ich posiadanie bez wiedzy Lucii?

<90

— Och, to nie były skrzypce Lucii. Nie pamiętasz tych swoich starych skrzypek, które zostawiłeś tu, odchodząc?

— Na Boga, rzeczywiście! Zupełnie o tym zapomniałem.

— Ukryłam je za deskami w szafie. Gdy ludzie zaczęli podejrzewać Lucię, a raczej sugerować, że to mogłaby być ona, protestowałam z całych sił. Niektórzy uważali, że wręcz przesadnie. A jednak wtedy mówiłam jedynie prawdę. Alice znowu się roześmiała.

— A ślady krwi? I klątwy? — dopytywał Henry. Curtis marzył o tym, by Henry przestał zadawać pytania i już sobie poszedł.

— Och, Fieldowie hodują tak wiele kur, że nie są nawet w stanie ich zliczyć. Spisywanie klątw kosztowało mnie trochę wysiłku. Ale znalazłam kilka efektownych ustępów w Biblii. „W domu twoim nie będzie przebywał żaden starzec”. Wie pan, z którego miejsca w Biblii pochodzi ten cytat, panie Burns? Wydaje mi się, że znam Biblię lepiej niż pan. Po tej klątwie Alec myślał, że umrze młodo. Cóż, niektórzy Fieldowie są bardzo przesadni.

— To ty obciąlaś włosy Maggie Eldon?

— Oczywiście. Ten jeden jedyny raz zapomniała zamknąć drzwi na klucz. Pewnie była tamtej nocy podekscytowana, że George MacPherson podwiózł ją do domu po spotkaniu klasowym. Chciałam, żeby wróciła Julia. Ona nie chodziła spać tak późno jak Maggie.

<\$V

— I pomyśleć, że ani razu nie dałaś się złapać! — nie mógł się nadziwić Henry. W jego głosie nadal słychać było podziw.

— Sądziłam, że zostałam przyłapana pewnej nocy — powiedziała Alice, rzucając oniemiałemu Curtisowi jeszcze jedno złośliwe spojrzenie. — Myślałam, że to moją twarz ujrzał pan w lustrze pokoju gościnnego.

Curtis nie odpowiedział.

— Oczywiście największą rozrywką było dla mnie torturowanie Lucii — rzekła Alice. — Gdy ścinałam tę brzoškę, którą tak kochała, każdy cios siekiery był dla mnie czystą rozkoszą. Curtis nawet się nie poruszył. Alice natomiast nadal mówiła, zwrócona w jego stronę:

— Naprawdę się ucieszyłam, gdy postanowił się pan tu wprowadzić. Podobało mi się, że w parafii pojawił się młody pastor. Stary pan Sheldon zanudzał mnie na śmierć. Wyglądało na to, że Zgromadzenie zawsze przysyła nam starych pastorów. Póki żyła żona pana Sheldona, mogłam przynajmniej sprawiać, by mnie ubóstwiał, bo to wywoływało u niej napady zazdrości. Choć oboje byli już przecież w podeszłym wieku.

— Czy starsza kobieta nie ma prawa do uczucia zazdrości? — zastanowił się Henry.

— Absolutnie nie — stwierdziła Alice. — Mężczyzna również. Gdy żona pana Sheldona zmarła i nikt nie przejmował się jego uwielbieniem dla mojej osoby, straciłam zainteresowanie. Pana zaś, panie Burns, w ogóle się nie obawiałam. Wiedziałam, że wystrychnę pana na dudka, jak całą resztę.

Curtis słysząc to, aż się wzdrygnął. Bo to niestety była prawda.

— Postanowiłam, że przez pewien czas nie będę bawić się w duchy, by pan się do nas nie zraził i nas nie opuścił. Nigdy nie przypuszczałabym, że zakocha się pan w Lucii. Mężczyźni z reguły nie poświęcali jej zbyt wiele uwagi. Poza tym docierały do mnie plotki, że wdycha pan do innej. Świetnie się bawiłam, rozmawiając na poważnie z panem o naszych rodzinnych upiorach.

Jej śmiech sprawił, że Curtis znowu zadrżał. Lecz powoli wracał do siebie.

— Ale pan musiał wszystko zepsuć i zakochać się w mej kuzynce... Która zresztą wdychała do pana, odkąd się pan tu pojawił. O, tak, wdychała... — powtórzyła Alice, gdy Henry westchnął, zniecierpliwiony. — Zdecydowałam więc, że musi pan odejść. Wiedziałam, że Lucia potajemnie szaleje za panem, choć, jak to u Fieldów, potrafi ukryć swe prawdziwe uczucia, jeśli tylko chce.

— Panna Field nic do mnie nie czuje! — wykrzyknął Curtis, który w tym momencie poczuł, że znowu jest w stanie się odezwać.

— Ależ czuje, czuje. Obawiałam się, że jej uczucia do pana w końcu zwyciężą. A jednak, gdy oznajmił mi pan, że się wyprowadza, łzy żalu w moich oczach były prawdziwe. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo pana polubiłam.
Alice znowu się roześmiała. Jej oczy błyszczały w świetle księżyca.

— W jaki sposób udała ci się sztuczka z telefonem?

— dopytywał Henry.

— Ach, to! Z tym nie miałam nic wspólnego. Jacyś chłopcy pewnie dorwali się do linii telefonicznej i płatali nam figle. Często się to zdarza, tylko nikt na to nie zwraca uwagi w domach, których nie uznaje się za nawiedzone. Mnie jednak to bardzo pomogło.

— A... a pieniądze? — nie dawał za wygraną Henry.

— Pieniądzy również nie wzięłam. Co bym z nimi zrobiła? Poza tym Fieldowie nie są złodziejami. Nie mam wątpliwości, że pieniądze ukradł ktoś z rodzinki Marshów. Choć niekoniecznie Julia. Nie sądzę, by była złodziejką. Ale ma brata.

— A... szopa?

— Nie podpaliłam jej, głupcze. Czy naprawdę sądzisz, że byłabym tak szalona, by ryzykować pożar własnego domu? Najprawdopodobniej to była sprawka jakiegoś włóczęgi. Ja nie miałam z tym nic wspólnego.

— Cóż, miło mi to słyszeć — rzekł Henry z ulgą.

— Z czymś takim trudno byłoby mi się pogodzić. Czyli możesz normalnie chodzić? Jak każdy?

— Oczywiście. Tyle się nabiegałam nocami, że czuję się ekspertem w chodzeniu. A teraz, szanowni dżentelmeni i sędziowie: cóż ze mną poczniecie?

— Nie czujemy się sędziami — rzekł Henry. — Co pan na to, pastorze?

— Ja... ja nie mam z tą sprawą nic wspólnego — wymamrotał Curtis.

— Pewnie powie pan o wszystkim temu niemądremu Alecowi i czarnowłosej Lucii, a ja wyłuduję na bruku.

94

— Wiesz, że oni by tego nie zrobili.

— Sądzisz, że po tym wszystkim chciałabym nadal mieszkać w tym domu, nawet gdyby mi pozwolili? — warknęła Alice. — Prędej umarłabym z głodu.

— Z głodu na pewno nie umrzesz — rzekł uspokajająco Henry. — Pastor może porozmawiać z Alekiem i Lucią. Mnie się do tego nie spieszy Bardziej martwię się o ciebie. Wiesz, co zamierzam zrobić?

— Nie — odpowiedziała Alice obojętnie.

— Zamierzam się z tobą ożenić i zabrać cię stąd. To dlatego tu powróciłem.

Alice wyprostowała się w fotelu, całkowicie zaskoczona. Nawet Curtis na moment wyrwał się ze swojego odrętwienia.

— Mówisz... poważnie? — zapytała wolno Alice.

— Owszem. Gdy tu się zjawiłem, pomyślałem sobie, że ożenek nie będzie możliwy, skoro jesteś przykuta do łóżka. Ale skoro nie jesteś, to cóż mogłoby nam stanąć na przeszkodzie?

— Ale... jakim cudem mógłbyś chcieć ożenić się ze mną po tym wszystkim? — rzekła Alice, a w jej oczach pojawiły się łzy.

— Nie wiem... Po prostu chcę. Na Boga — chcę — odparł z przekonaniem Henry. — Nie obchodzi mnie, co zrobiłaś. Nawet gdybyś wzięła tamte pieniądze i spaliła szopę, pragnąłbym cię nadal. Choć pewnie nie tak bardzo jak teraz. Jesteś kobietą, o której marzyłem całe życie, i zamierzam cię zdobyć. Zabiorę cię na Wybrzeże... Nie będziesz musiała nigdy więcej oglądać nikogo z żyjących tu ludzi.

cfer

— Zabierzesz mnie stąd już dziś? Teraz? — spytała Alice.
— Tak — odparł Henry. — Zaraz udamy się na stację. Akurat jak tam dojdziemy, przyjedzie pociąg. Pojedziemy do Charlottetown i weźmiemy ślub tak szybko, jak to tylko możliwe. Któryś z miejscowych duchownych nam pomoże. Bo pewnie pastelowi się do tej roboty nie spieszy?

— Nie... nie — odparł Curtis i zadrżał. Alice patrzyła na niego z pogardą.

— Powie pan ludziom, co trzeba?

— Tak... chyba tak... — odrzekł biedny Curtis.

Henry pochylił się i poklepał delikatnie Alice po ramieniu.

— No to postanowione. Wybuduję ci wspaniały dom i ubiorę cię jak królową. Ale posłuchaj mnie, dziewczyno.

— Ach, teraz usłyszę warunki — powiedziała Alice.

— Warunek jest tylko jeden. Koniec z tymi sztuczkami. Żadnych tego typu zabaw z Henrym Kildare'em. Rozumiesz?

— Tak. Rozumiem — powiedziała Alice.

— Idź na górę i przygotuj się.

Alice spojrzała na swój szlafrok.

— Masz coś do włożenia na siebie oprócz tego?

— Mam swój stary granatowy żakiet i kapelusz — odpowiedziała grzecznie Alice. — Już dawno wyszły z mody, ale...

— To nie ma znaczenia. Kupimy ci coś nowego, gdy tylko otworzą sklepy.

Alice wstała z fotela i opuściła pokój.

cftf

— No, pastore, ma pan coś do powiedzenia? — zapytał Henry, gdy Alice zniknęła za drzwiami.

— Nic — odparł Curtis.

Henry skinął głową.

— To chyba najlepsze rozwiązanie. To jedna z takich historii, której właściwie nie da się chyba opowiedzieć w żadnym języku. Rany boskie, ale z niej sprytna bestia! Mieszkańcy z Mowbray Narrows będą mieli o czym plotkować przez lata. Wiem, że doktor Blythe coś podejrzewał, ale nawet on nie domyślał się całej prawdy.

Alice zeszła na dół. Żakiet świetnie na niej leżał, zupełnie jakby kupiła go wczoraj. Jej twarz jaśniała triumfalnie.

Curtis nie odezwał się słowem, gdy minęła go w holu.

— Może mnie pan nienawidzić... może mną pan gardzić — rzekła, poruszona. — Nie mam nic przeciwko pańskiej nienawiści, ale pobłażliwości nie zniosę. I proszę sobie jedno zapamiętać: gdy poślubi pan Lucię, mam nadzieję, że będzie pan żałował tego do końca życia. Lucia nie jest ideałem, jak pan sobie wyobraża. Ona owinie sobie pana wokół palca, a pan będzie tańczył tak, jak ona panu zagra. Żegnam, drogi Curtisie Burns. Niech pocieszeniem dla pana będzie fakt, że ostatecznie udało się panu rozwiązać tajemnicę rodu Fieldów. Choć tylko przypadkiem...

— No, chodźmy — przerwał Henry. — Nie mamy zbyt wiele czasu. Poza tym od tej chwili, Alice Harper, zabraniam ci wspominać o tej sprawie. Jest martwa, a my ją pochowamy. Za parę lat nikt o niej nie będzie pamiętał. Nie chcę też słyszeć żadnych złośliwości na

temat pana Burnsa. To jeden z najlepszych ludzi, jakich znam. Do widzenia, pastore. Szczęśliwie się stało, że spóźniliśmy się na pociąg. Proszę nie osądzać zbyt ostro ludzi, których dobrze pan nie zna.

Następnego wieczoru w domu Fieldów zjawił się pan Sheldon. Usłyszał nieprawdopodobną plotkę, która niczym pożar ogarnęła całe Mowbray Narrows i Glen St. Mary.

O wszystkim powiedział mu doktor Blythe, po czym dodał:

— Zawsze sądziłem, że miała coś wspólnego z tymi niesamowitymi zdarzeniami, ale przyznam, że moja wyobraźnia nie okazała się wystarczająco wybujała. Nie wierzyłem, że jest tak bezradna i cierpiąca, jak to okazywała, ale sądziłem, że spiskuje razem z Jockiem lub Julią.

— Nigdy za nią nie przepadałam — powiedziała Ania Blythe. — W jej oczach było coś niebezpiecznego... Poza tym wiedziałam, że nienawidzi Lucii.

— Ach, te kobiety — skwitował doktor, kręcąc głową.

Pan Sheldon wysłuchał opowieści Curtisa i również z niedowierzaniem potrząsnął swoją siwą czupryną.

— Cóż, pewnie z czasem to wszystko jakoś ułoży się w mojej starej głowie. Na razie po prostu nie mogę w to uwierzyć. Po prostu. Mam wrażenie, że to nam się przyśniło. Ze nadal śnimy.

— Myślę, że wszyscy tak się czujemy — powiedział Curtis. — Alec i Lucia przez cały dzień nie mogli dojść do siebie. Są w zbyt wielkim szoku, by czuć choćby gniew.

Ów

— Najbardziej boli mnie jej hipokryzja — rzekł pan Sheldon drżącym głosem. — Udawała taką zainteresowaną pomocą w parafii czy naszą pracą...

— Być może to nie była hipokryzja, pastorze. To mogła być prawdziwa strona jej dziwacznej natury.

— Tak twierdzi doktor Blythe. Ale dla mnie jest to wprost niesamowite.

— W przypadku osoby chorej psychicznie nic nie jest niesamowite. To też powiedziałby panu doktor Blythe. Proszę pamiętać, że nie może pan jej oceniać tak jak normalnego człowieka.

— Mnie wydawała się zawsze normalna.

— Nigdy nie była normalna. Udowadnia to jej własna opowieść. Obciążyło ją jej własne dziedzictwo. Jej ojciec i dziadek byli alkoholikami. Swych przodków nie da się zmienić. W dodatku szok, jaki musiała przeżyć, uczestnicząc w ślubie ukochanego mężczyzny, dokonał spustoszenia w jej duszy.

— Tak twierdzi doktor Blythe. Biedny Henry Kildare!

— O, nie taki znowu biedny. Sądzę, że nie doceniliśmy Henry'ego. Nie dorobiłby się fortuny na Wybrzeżu, gdyby nie był bardzo inteligentny. Zdobył kobietę, której zawsze pragnął.

— Ale jakie życie go czeka...

— Nie najgorsze. Alice potrafi być czarująca, jeśli tylko chce. Musimy sobie z tego zdać sprawę, panie Sheldon. Niech pan mi wierzy, Henry da sobie z nią radę. Poza tym małżeństwo, dom, bogactwo — wszystko, czego zawsze pragnęła... to może mieć zbawienny wpływ na jej umysł.

\$9

Pan Sheldon potrząsnął głową. Cała ta historia przekraczała jego pojęcie.

— Jednego możemy być pewni — rzekł Curtis. — Nigdy nie wróci do Mowbray Narrows, by pochwalić się swymi diamentami.

— Pani Blythe twierdzi, że Alice byłaby do tego zdolna.

— Pani Blythe się myli. Już nigdy więcej nie zobaczymy Alice Harper i Henry'ego Kildare'a. Proszę nie myśleć, że rozwiązanie zagadki mną nie wstrząsnęło, panie Sheldon. Nigdy wcześniej nie byłem w równie wielkim szoku.

— Spodziewam się, że można by oczekiwać jakichś odszkodowań — powiedział pan Sheldon pogodniejszym tonem. — Pani Blythe twierdzi, że...

— Już mam dość wysłuchiwania tego, co też mieli do powiedzenia państwo Blythe'owie — przerwał mu bez ogródek Curtis. — Oni jedynie podejrzewali pannę Harper. Lecz tak naprawdę wiedzieli niewiele więcej niż my. Spodziewam się jednak, że teraz wszyscy będą rozgłaszać wszem wobec, że Blythe'owie od początku znali prawdę.

— Cóż, wie pan, jak to z plotkami bywa. A pani Blythe naprawdę ma wycucie co do ludzkich charakterów.

— Niech tak będzie. Panie Sheldon, zawrzyjmy pakt. Ustalmy, że nigdy więcej nie będziemy rozmawiać na ten temat.

Pan Sheldon wyraził zgodę, choć z lekkim ociąganiem. Było tyle pytań, które chciał jeszcze zadać. Ale należał do ludzi taktownych, poza tym dostrzegł Lucię Field, zmierzającą w ich stronę drogą.

30

Curtis odwrócił się od bramy i ruszył w świetle księżyca w stronę ganku, gdzie już czekała na niego Lucia. Nie widział jej prawie cały dzień, od kiedy o świcie wydusił z siebie całą opowieść. Teraz jednak chwycił ją w ramiona, przepełniony radością.

— Kochanie... posłuchaj mnie teraz... posłuchaj — szepnął.

Jock pojawił się w polu widzenia, więc Lucia wyrwała się z ramion Curtisa i uciekła. Lecz wcześniej Curtis spojrzał jej głęboko w oczy. I nagle poczuł się najszcześliwszym człowiekiem na ziemi.

„Ciekawe, co na to powie doktor Blythe?“, zastanawiał się. Bo nie miał wątpliwości, co mogłaby powiedzieć pani Blythe.

ZMIERZCH W ŻŁOTYM BRZEGU '

W Żłotym Brzegu Ania Blythe od czasu do czasu czyta bliskim swoje wiersze w porze zmierzchu. Poezjom przysłuchuje się też Zuzanna Baker, gospodyni, która pracuje dla Blythe'ów tak długo, że traktowana jest już jak członek rodziny. Przed zamążpójściem Ania Shirley pisywała również opowiadania, ale porzuciła prozę, gdy urodziła dzieci. Teraz pisze wiersze i potem odczytuje je rodzinie, która siedzi wokoło i słucha uważnie, komentując dopiero wtedy, gdy Ania skończy czytać.

DR GILBERT BLYTHE, w myśli: „Zastanawiam się, czy my, dorośli, wystarczająco dużo czasu poświęcamy na rozrywki. Na przykład taka Zuzanna... Jest prawdziwą niewolnicą dzieciaków. Ale może to właśnie jest jej rozrywka“.

ZUZANNA BAKER, która nie pochwała tego, że Walter pisze poezję, ale uważa, że wszystko, co robi pani Blythe, jest słuszne, w myśli: „Niewiele czasu poświę-

cam marzeniom, ale to rzeczywiście miło wiedzieć, że ktoś cię potrzebuje. A oni mnie potrzebują... Z pewnością Shirley. Rodzina, w której jest pięcioro dzieci i która zamieszkuje dom tak duży jak Żłoty Brzeg, potrzebuje co najmniej dwóch kobiet. I tego się będę trzymać“.

WALTER BLYTHE, w myśli: „Wielka wspaniała perła unosząca się nad drzwiami. Zawsze o tym myślę, gdy widzę księżyc w pełni. Chciałbym pisać tak dobre wiersze jak mama. Może gdy będę miał tyle lat co ona, też stanę się lepszym poetą. Teraz mam dopiero dwanaście. Dużo czasu minie, nim dorosnę“.

DR GILBERT BLYTHE, w myśli: „Mały domek z uroczymi krokwiemi. Tak właśnie myślałem o naszym Domku Marzeń, gdy zabrałem do niego Anię, swoją świeżo poślubioną żonę, szesnaście lat temu. Pierwszy własny dom — tej chwili żaden mężczyzna nie zapomina“.

ZUZANNA BAKER, w myśli: „Zawsze podobał mi się zapach mięty. Ale moim skromnym zdaniem, im mniej się mówi o czarownicach przy małych dzieciach, tym lepiej. Co zaś tyczy się głupców... w całym swoim życiu nadarza nam się wiele szans, by zachować się jak głupiec. I zwykle z tych szans korzystamy“.

DR GILBERT BLYTHE, w myśli: „Pewnego dnia wszyscy usłyszymy Kobziarza, tak mi się zdaje. Jak ja i Ania będziemy wyglądać, gdy się zestarzejemy? Będę łysy, będę miał podwójny podbródek... Ale ona zawsze będzie dla mnie moją Anią”.

KUBA BLYTHE: — Ojej, mam, ty to potrafisz pisać wiersze!

cam marzeniom, ale to rzeczywiście miło wiedzieć, że ktoś cię potrzebuje. A oni mnie potrzebują... Z pewnością Shirley. Rodzina, w której jest pięcioro dzieci i która zamieszkuje dom tak duży jak Złoty Brzeg, potrzebuje co najmniej dwóch kobiet. I tego się będę trzymać”.

WALTER BLYTHE, w myśli: „Wielka wspaniała perła unosząca się nad drzwiami. Zawsze o tym myślę, gdy widzę księżyc w pełni. Chciałbym pisać tak dobre wiersze jak mama. Może gdy będę miał tyle lat co ona, też stanę się lepszym poetą. Teraz mam dopiero dwanaście.

Dużo czasu minie, nim dorosnę”.

DR GILBERT BLYTHE, w myśli: „Mały domek z uroczymi krokwiemi. Tak właśnie myślałem o naszym Domku Marzeń, gdy zabrałem do niego Anię, swoją świeżo poślubioną żonę, szesnaście lat temu. Pierwszy własny dom — tej chwili żaden mężczyzna nie zapomina”.

ZUZANNA BAKER, w myśli: „Zawsze podobał mi się zapach mięty. Ale moim skromnym zdaniem, im mniej się mówi o czarownicach przy małych dzieciach, tym lepiej. Co zaś tyczy się głupców... w całym swoim życiu nadarza nam się wiele szans, by zachować się jak głupiec. I zwykle z tych szans korzystamy”.

DR GILBERT BLYTHE, w myśli: „Pewnego dnia wszyscy usłyszymy Kobziarza, tak mi się zdaje. Jak ja i Ania będziemy wyglądać, gdy się zestarzejemy? Będę łysy, będę miał podwójny podbródek... Ale ona zawsze będzie dla mnie moją Anią”.

KUBA BLYTHE: — Ojej, mam, ty to potrafisz pisać wiersze!

ŻYCZE CI

Życzę Ci na czas nadchodzącego roku — Drogi mój — pełnych łsnień, dobrych chwil,
Słodkich marzeń i snów w porze mroku, Po udrękach mijających dni. (Księżycowy blask
drogę wskaże Ci Niczym perły błysk, lampa u Twych drzwi).

Znajdź swój dom, pełen ciepła i czaru,

Kogoś, kto czeka tam, pragnąc Cię,

Słodycz wina i śmiech pośród gwaru,

I przyjaciół na dobre i złe.

(I tajemny kąt — ciszę znajdziesz tam,

Gdy masz w oczach łzy, gdy chcesz zostać sam).

Posadź róże we własnym ogrodzie Pełnym słońca i zapachu kwiatów, Niechaj rośnie tam
mięta i zioła, Niech użyczą swego aromatu. (Nocą słodko śpij, śnij niezwykle sny, A w nich
magię znajdź, czuły śmiech i łzy).

W porze żniw życzę radosnych zbiorów, Gdy pokłujesz się ostem — to nic, Bo potrzeba też
gorzkich doświadczeń, Aby nudę przegonić i żyć. (I choć rozum masz — czasem ucisz go,
Warto bowiem znać i szaleństwa żdźbło).

Życzę Ci, abyś pragnął bez końca, Niechaj zachwyt nie kończy się Twój, Patrz na brzozy
wysmukłe, na łąki, Bezgraniczny piękna ziemi zdroj.

(I gdy pragniesz, by wciąż radośnie żyć, Nie zastanawiaj się, lecz przed siebie idź).

Ania Blythe

STARA ŚCIEŻKA NA WYBRZEŻU

Przewija się wśród jodeł, gdzie druidzi bronią drzew. Zza krzywych drzew konarów słyszę
fale, krzyki mew, Zachodni wiatr nad morzem, lśniącem niczym fiołka kwiat.

0 zmierzchu łodzie suną, żeglarz przystań ujrzyć rad. Tam białą się ich skrzydła pośród piany mglistych mas, A dalej na wybrzeżu lśni latarni morskiej blask.

Niby świat jest taki sam, chociaż mija szybko czas, Lecz znikło jednak coś, w starej ścieżce poprzez las.

Świat mówi tu o Tobie... woda szepce imię Twe, Jak wtedy, kiedy przyszedł, serce mi powtarza je, Twój śmiech niesiony wiatrem brzmi wyraźniej teraz, tu, A szepty pośród jodeł są mi echem Twoich słów. Nadmorskie, letnie niebo błękitem Twego wzroku, A słodkie, dzikie róże wciąż Twego chcą powrotu. Nie wrócisz jednak do nich, do kochanki i do róż, A starą ścieżką poprzez las nie powędrujesz już.

1 sama muszę zmierzać tam, gdzie brzeg na słońcu lśni. Jakże brak mi dłoni Twych, dotyk ust Twych mi się śni, Więc patrzę pustym wzrokiem na fiołkową, morską dal, Na cieniste żagle łodzi, w mglistym porcie, pośród fal; Rozmyślam, czy w oddali gdzieś, gdzie kwiaty rzadszych róż Pomyślisz kiedy o mnie, wspólnych chwilach, brzegu mórz, I gdyby los pozwolił, czy byś chętnie wrócił tu,

By iść na spacer ze mną, starą ścieżką, brzegiem wód.

Ania Blythe

DR GILBERT BLYTHE: — O kim myślałaś, gdy pisałaś ten wiersz, Aniu?

ANIA BLYTHE: — Gilbercie, jeśli w twoim głosie nadal będę słyszeć nutki zazdrości, przestanę czytać ci moje poezje. Ten utwór został napisany lata temu, zainspirowała mnie miłosna historia Mary Royce. Nie pamiętasz? No a ta stara ścieżka wzdłuż wybrzeża oczywiście nawiązuje do ścieżki w Avonlea. Z pewnością razem spacerowaliśmy nią bardzo często.

DR GILBERT BLYTHE: — O, to prawda. Zawsze bolało mnie serce, gdy czasem pozwalałaś komuś innemu odprowadzić się tą dróżką do domu.

ZUZANNA BAKER, myśli w trakcie cerowania: „Cóż to za pomysł, by pozwalać się odprowadzać do domu innym mężczyznom, gdy pod nosem miała takiego pana doktora! Ja nigdy nie miałam prawdziwego admiratora, ale chłopcy czasem mnie odprowadzali. Byłam przez nich zauważana. Ale dziś to już nie ma większego znaczenia. Dziś dziewczęta prowadzają się z kim popadnie”.

POKÓJ GOŚCINNY NA WSI

Dziś, druhu, gości cię mój dom, Wybiela księżyc pościel twą, W okapie słyhać wietrzny ton Sekretu gdzieś z odległych stron... Gdzie błękit wzgórz, tajemny źródło, Mrok brzegów i fal morskich rój... Niech rosy rzeńskiej chłodny wiew Przybędzie służyć na twój zew.

Usłyszysz szelest, liści syp Za oknem, tuż na progu szyb. Rozgniecie ciszę niczym głąz Miłosny szarej sowy wrzask. Gdzie leżysz, tam wyteżaj wzrok: Chochlika świetlik przetnie mrok... Aż słuszość oddasz słowom mym, Iż łóżko przyjacielem twym.

Ania Blythe

DR GILBERT BLYTHE: — W łóżku spocznę na dłużej dopiero, gdy umrę. Ale w swoim życiu bywałem w wielu pokojach gościnnych...

ZUZANNA BAKER: — Coś o tym wiem! Powiadają, że każdy, kto spędzi noc w gościnnym pokoju pani Sawyer, droga pani doktorowo, wkrótce umiera — z powodu wilgotnej pościeli letnią porą i niewielu koców w zimie. Dzięki Bogu, o naszym pokoju gościnnym złego słowa powiedzieć nie można.

POPOŁUDNIE Z PANEM JENKINSEM

Timothy ziewnął. Nudził się — o ile to w ogóle było możliwe w wieku ośmiu lat. Zresztą cała sobota okazała się beznadziejna, w dodatku nie mógł pójść do Glen. Nie pozwalano mu opuszczać domu, gdy ciotki wyjeżdżały. Zabroniono mu nawet wpaść do Złotego Brzegu, żeby pobawić się z Kubą Blythe'em. Ostatnio ciotki były na tym punkcie przeczułone bardziej niż zwykle. Oczywiście nic nie stało na przeszkodzie, by to Kuba odwiedził Timothy'ego, ale

tak się składało, że w sobotnie popołudnia Kuba miał ważniejsze sprawy na głowie. Tak więc Timothy był uziemiony. Nie rozumiał jednak, dlaczego taki duży, ośmioletni chłopak jak on musi tkwić zamknięty w domu tylko dlatego, że jego ciotki wybrały się do Charlottetown. Wyjechały dzisiaj. Widać było jak na dłoni, że czymś się martwiły. To znaczy — martwiły się szczególnie mocno, bo to, że ciągle je coś niepokoiło, nie było niczym niezwykłym. Timothy nie domyślał się, co mogło być powodem zmartwienia ciotek, choć ich obawy dało się

wyczuć w każdym słowie i geście. „Kiedyś tak nie było”, pomyślał Timothy, wspominając czasy swej młodości, zupełnie jakby nie miał ośmiu lat, lecz osiemdziesiąt. Pamiętał, że dawniej ciotki tryskały radością, zwłaszcza ciotka Edith, która jak na starą pannę (tak przezywali ją chłopcy w szkole) była bardzo wesoła. Poza tym blisko przyjaźniły się z mieszkańcami Złotego Brzegu, przede wszystkim z doktorostwem Blythe, najcudowniejszymi ludźmi pod słońcem.

W ciągu ostatnich dwóch lat uśmiechały się jednak coraz rzadziej i rzadziej, a Timothy nabrał dziwnego przekonania, że musiało to mieć jakiś związek z nim, chociaż nie miał pojęcia dlaczego. Przecież był grzeczny. Nawet ciotka Kathleen, która miała nie najlepsze zdanie o chłopcach (pewnie dlatego, że była wdową), ani razu nie powiedziała o nim złego słowa. Z kolei Kuba Blythe opowiadał mu, że Zuzanna Baker chwaliła go jako jednego z najlepiej wychowanych chłopców, oczywiście tych spoza Złotego Brzegu.

Jasne, od czasu do czasu zdarzały mu się różne wybryki... No, ale nikt nie jest idealny. Czemu więc aż tak się o niego zamartwiała? Może po prostu dlatego, że były kobietami? Kobiety musiały się czymś w kółko przejmować. No, ale pani Blythe zdawała się martwić mało czym, a Zuzanna niewiele jej w tym ustępowała. Więc o co tak naprawdę chodzi?

Z kolei mężczyźni... Doktor Blythe to się chyba nigdy niczym nie martwił. Gdyby tylko żył ojciec Timothy'ego! Ale wówczas Timothy nie mieszkałby u ciotek w przytulnym miejscu w Glen St. Mary, zwanym przez miesz-

£9

wyczuć w każdym słowie i geście. „Kiedyś tak nie było”, pomyślał Timothy, wspominając czasy swej młodości, zupełnie jakby nie miał ośmiu lat, lecz osiemdziesiąt. Pamiętał, że dawniej ciotki tryskały radością, zwłaszcza ciotka Edith, która jak na starą pannę (tak przezywali ją chłopcy w szkole) była bardzo wesoła. Poza tym blisko przyjaźniły się z mieszkańcami Złotego Brzegu, przede wszystkim z doktorostwem Blythe, najcudowniejszymi ludźmi pod słońcem.

W ciągu ostatnich dwóch lat uśmiechały się jednak coraz rzadziej i rzadziej, a Timothy nabrał dziwnego przekonania, że musiało to mieć jakiś związek z nim, chociaż nie miał pojęcia dlaczego. Przecież był grzeczny. Nawet ciotka Kathleen, która miała nie najlepsze zdanie o chłopcach (pewnie dlatego, że była wdową), ani razu nie powiedziała o nim złego słowa. Z kolei Kuba Blythe opowiadał mu, że Zuzanna Baker chwaliła go jako jednego z najlepiej wychowanych chłopców, oczywiście tych spoza Złotego Brzegu.

Jasne, od czasu do czasu zdarzały mu się różne wybryki... No, ale nikt nie jest idealny. Czemu więc aż tak się o niego zamartwiała? Może po prostu dlatego, że były kobietami? Kobiety musiały się czymś w kółko przejmować. No, ale pani Blythe zdawała się martwić mało czym, a Zuzanna niewiele jej w tym ustępowała. Więc o co tak naprawdę chodzi?

Z kolei mężczyźni... Doktor Blythe to się chyba nigdy niczym nie martwił. Gdyby tylko żył ojciec Timothy'ego! Ale wówczas Timothy nie mieszkałby u ciotek w przytulnym miejscu w Glen St. Mary, zwanym przez miesz-

S9

kańców Zakątkiem. A on przecież uwielbiał Zakątek. Na pewno nie mógłby mieszkać gdzie indziej. Gdy jednak pewnego dnia powiedział o tym ciotce Kathleen, ta tylko westchnęła i posłała spojrzenie ciotce Edith.

Z początku nic nie powiedziały, ale w końcu ciotka Edith rzuciła z przejęciem:

— Nie mogę uwierzyć, że Bóg jest tak niesprawiedliwy. Czyżby On — nawet On! — nie miał serca?

Czy one miały na myśli Boga, który — jak twierdzili ci ze Złotego Brzegu — był Miłością? Nawet Zuzanna Baker w to wierzyła.

— Sza — ciotka Kathleen ostrzegła ciotkę Edith.

— Kiedyś będzie musiał się o wszystkim dowiedzieć — odparła z goryczą ciotka Edith. O jakim „wszystkim”? Przecież o Bogu wiedział już wszystko. Jak zresztą każdy. Z czego tu robić tajemnicę?

— Kiedyś będzie musiał się dowiedzieć — ciągnęła z tą samą goryczą Edith. — Niedługo minie dziesięć lat. Może za dobre zachowanie wypuszczą go wcześniej i będziemy miały święty spokój.

Timothy nie miał zielonego pojęcia, o kim tak naprawdę mówiła ciotka Edith. Już się domyślił, że nie chodziło o Boga. O czym miał się kiedyś dowiedzieć i czemu nie wolno było o tym rozmawiać? Ciotka Edith błyskawicznie zmieniła temat, rozpoczynając dyskusję o lekcjach muzyki Timothy'ego i możliwości zatrudnienia profesora Harpera z Lowbridge jako nauczyciela. Chłopcu robiło się niedobrze na samą myśl o lekcjach muzyki. Kuba Blythe pękał ze śmiechu, gdy dowiedział się o tym pomysle. Ale Timothy nie miał wyjścia, wiedział, że będzie musiał brać udział w tych zajęciach.

Nic nie było w stanie odwieść ciotki Kathleen od raz podjętej decyzji. Timothy często czuł się z tego powodu pokrzywdzony.

Ciotka Edith obiecała zabrać go nad niewielkie jezioro, ulubione miejsce letnich wypadów mieszkańców Lowbridge. Mieli pojechać samochodem — to wciąż była nowość — a Timothy uwielbiał przejażdżki autem. Od czasu do czasu doktor Blythe podwoził go w różne miejsca. Planował, że nad jeziorem przejedzie się na kucyku, który chodził w kółko, przywiązany do kolorowego palika — to kolejna rzecz, jaką uwielbiał robić Timothy. Niestety jeździł na kucykach rzadko, bo ciotka Kathleen nie pochwalała tego. Na szczęście ciotka Edith była inna.

Z samego rana do ciotki Kathleen przyszedł list. Czytając go, zrobiła się biała jak ściana. Następnie powiedziała coś ciotce Edith dziwacznym, urywanym głosem, jakby się dławiła, a jej słowa przyprawiły z kolei o błąd ciotkę Edith. Obie wyszły z pokoju. Timothy słyszał, jak długo o czymś rozmawiały przez telefon z doktorem Blythe'em. Czyżby ciotka Kathleen była chora?

Po chwili wróciła ciotka Edith i powiedziała Timothy'emu, że strasznie jej przykro, ale nie będą mogli wybrać iSię dziś nad jezioro. Razem z ciotką Kathleen musi pojechać do Charlottetown w niezwykle ważnej sprawie. Podwiezie je doktor Blythe.

— Czy któraś z was zachorowała? — spytał z przejęciem.

— Nie... Chodzi o coś znacznie gorszego — odparła ciotka Edith.

— Płakałaś, ciociu — zauważył zakłopotany Timothy. Wstał z krzesła i ją objął. — Poczekaj tylko, aż dorosnę.

Jak stanę się mężczyzną, nie dopuszczę do tego, żebyś płakała.

W ślicznych brązowych oczach ciotki Edith na nowo pojawiły się łzy.

Ciotka Kathleen nie płakała. Była biała i poważna. Suchym tonem przykazała chłopcu, by nie wychodził poza bramę domu, dopóki nie wróci.

— A nie mógłbym pójść na mały spacer do Złotego Brzegu? — błagał.

Chciał coś kupić ciotce Edith na jej jutrzejsze urodziny. Zaoszczędził z kieszonkowego dwadzieścia pięć centów, które zamierzał w całości przeznaczyć na ten cel. W Lowbridge było dużo ładnych rzeczy nadających się na prezenty, ale za to Carter Flagg w Złotym Brzegu miał szklaną gablotę, w której trzymał jeszcze ciekawsze przedmioty. Timothy pamiętał koronkowy kołnierzyk, który mu się szczególnie spodobał.

Lecz ciotka Kathleen była nieprzejednana. Timothy nie gniewał się z tego powodu. Nie dąsał się nigdy, czego nie można było powiedzieć o Kubie Blycie, chociaż Zuzanna Baker pewnie zabiłaby każdego, kto miałby czelność powiedzieć to na głos.

Tak czy inaczej czekało go nieciekawe przedpołudnie. Ścigał się z psem, liczył ptasie jaja i układał z nich kolekcję (nawet niezbyt cieszyło go, że ma ich więcej od Kubie), próbował przeskakiwać z jednego słupa przy bramie na drugi, ale za każdym razem lądował w piachu. Obiecał sobie, że kiedyś mu się to uda. Zjadł wszystko, co przygotowała mu stara Linda.

Nawet próbował nawiązać z nią pogawędkę, bo Timothy nie należał do odludków, ale Linda była w zrzędlwym nastroju. Co

f02

Jak stanę się mężczyzną, nie dopuszczę do tego, żebyś płakała.

W ślicznych brązowych oczach ciotki Edith na nowo pojawiły się łzy.

Ciotka Kathleen nie płakała. Była błada i poważna. Suchym tonem przykazała chłopcu, by nie wychodził poza bramę domu, dopóki nie wróci.

— A nie mógłbym pójść na mały spacer do Złotego Brzegu? — błagał.

Chciał coś kupić ciotce Edith na jej jutrzejsze urodziny. Zaoszczędził z kieszonkowego dwadzieścia pięć centów, które zamierzał w całości przeznaczyć na ten cel. W Lowbridge było dużo ładnych rzeczy nadających się na prezenty, ale za to Carter Flagg w Złotym Brzegu miał szklaną gablotę, w której trzymał jeszcze ciekawsze przedmioty. Timothy pamiętał koronkowy kołnierzyk, który mu się szczególnie spodobał.

Lecz ciotka Kathleen była nieprzejednana. Timothy nie gniewał się z tego powodu. Nie dąsał się nigdy, czego nie można było powiedzieć o Kubie Blycie, chociaż Zuzanna Baker pewnie zabiłaby każdego, kto miałby czelność powiedzieć to na głos.

Tak czy inaczej czekało go nieciekawe przedpołudnie. Ścigał się z psem, liczył ptasie jaja i układał z nich kolekcję (nawet niezbyt cieszyło go, że ma ich więcej od Kubie), próbował przeskakiwać z jednego słupa przy bramie na drugi, ale za każdym razem lądował w piachu. Obiecał sobie, że kiedyś mu się to uda. Zjadł wszystko, co przygotowała mu stara Linda.

Nawet próbował nawiązać z nią pogawędkę, bo Timothy nie należał do odludków, ale Linda była w zrzędlwym nastroju. Co

102

Jak stanę się mężczyzną, nie dopuszczę do tego, żebyś płakała.

W ślicznych brązowych oczach ciotki Edith na nowo pojawiły się łzy.

Ciotka Kathleen nie płakała. Była błada i poważna. Suchym tonem przykazała chłopcu, by nie wychodził poza bramę domu, dopóki nie wróci.

— A nie mógłbym pójść na mały spacer do Złotego Brzegu? — błagał.

Chciał coś kupić ciotce Edith na jej jutrzejsze urodziny. Zaoszczędził z kieszonkowego dwadzieścia pięć centów, które zamierzał w całości przeznaczyć na ten cel. W Lowbridge było dużo ładnych rzeczy nadających się na prezenty, ale za to Carter Flagg w Złotym Brzegu miał szklaną gablotę, w której trzymał jeszcze ciekawsze przedmioty. Timothy pamiętał koronkowy kołnierzyk, który mu się szczególnie spodobał.

Lecz ciotka Kathleen była nieprzejednana. Timothy nie gniewał się z tego powodu. Nie dąsał się nigdy, czego nie można było powiedzieć o Kubie Blycie, chociaż Zuzanna Baker pewnie zabiłaby każdego, kto miałby czelność powiedzieć to na głos.

Tak czy inaczej czekało go nieciekawe przedpołudnie. Ścigał się z psem, liczył ptasie jaja i układał z nich kolekcję (nawet niezbyt cieszyło go, że ma ich więcej od Kubie), próbował

przeskakiwać z jednego słupa przy bramie na drugi, ale za każdym razem lądował w piachu. Obiecał sobie, że kiedyś mu się to uda. Zjadł wszystko, co przygotowała mu stara Linda. Nawet próbował nawiązać z nią pogawędkę, bo Timothy nie należał do odludków, ale Linda była w zrzędlwym nastroju. Co

102

się dziś działo ze wszystkimi? Linda zazwyczaj miała dobry humor, chociaż nie lubił jej tak bardzo jak Zuzannę Baker ze Złotego Brzegu. Słowem: Timothy nie miał pojęcia, jak dotrwać do popołudnia.

Mógłby oczywiście podejść do bramy i obserwować przejeżdżające samochody i dorożki.

Tego mu nikt nie zakazał. Szkoda, że nie miał żadnych bakalii do podjadania. Każdego niedzielne popołudnia dostawał „niedzielny przysmak” — pełną garść dużych, soczystych rodzynek.

Ale dziś była sobota, a gdy Linda miała zły humor, nie było sensu prosić ją o cokolwiek. Nie wiedział, że akurat dzisiaj bardzo chętnie dałaby mu trochę rodzynek.

— O czym myślisz, synu? — rozległ się głos.

Timothy aż podskoczył. Skąd się tu wziął ten mężczyzna? Nie słyszał przecież żadnych kroków na drodze. A jednak stał tam, za bramą, a na jego przystojnej, poorly zmarszczkami, posępnej twarzy malowało się zaciekawienie, gdy spoglądał na chłopca. Nie był włóczęgą — nosił zbyt dobre ubranie. Timothy przeczuwał (często miał różne przeczucia, których źródła nie potrafił wytłumaczyć), że ów człowiek nie przywykł do tak dobrych ubrań. Oczy mężczyzny były szare i błyszczące — Timothy pomyślał, że nieznajomy jest o coś zły, nawet bardzo zły. Na tyle wściekły, że mógłby popełnić jakieś paskudne czyny, gdyby tylko przyszły mu na myśl. Wyglądał jak „potomek Jonasza” — Timothy usłyszał to określenie od pani Blythe.

A jednak było coś w mężczyźnie, co wzbudzało sympatię chłopca.

— Rozmyślałem właśnie o tym, jak cudownie byłoby spędzić dzień nad jeziorem w Lowbridge — wyjaśnił cichym głosem, bo zawsze upominano go, by nie rozmawiał z obcymi.

— Ach, jezioro! Tak, pamiętam, jaką wielką atrakcją dla wszystkich chłopców było to jezioro — chociaż jeszcze wtedy większość osób uważała je za zwykły staw, a nie miejsce wypoczynku. Chciałbyś tam pojechać?

— Tak. Ciocia Edith miała mnie zabrać. Ale w ostatniej chwili powiedziała, że nie może. Musiały obie pojechać do miasta w jakiejś pilnej sprawie. Zawiózł je doktor Blythe.

— Doktor Blythe! Ciągłe mieszka w Glen St. Mary?

— Tak. Ale teraz przenieśli się do Złotego Brzegu.

— Uhm. A czy ciotka Kathleen jest w domu?

Timothy uspokoił się — ten człowiek znał ciotkę Kathleen, a więc można było z nim rozmawiać.

— Nie, również wyjechała.

— A kiedy wróci?

— Dopiero wieczorem. Pojechały zobaczyć się z prawnikiem. Słyszałem, jak Linda o tym mówiła.

— Och — mężczyzna zamilkł na chwilę, po czym zachichotał dziwacznie. Nie spodobało się to Timothy'emu.

— Jest pan przyjacielem cioci Kathleen? — grzecznie spytał.

Mężczyzna roześmiał się ponownie.

— Przyjacielem? O tak, nawet bardzo bliskim i drogim przyjacielem. Założę się, że na mój widok byłaby wniebowzięta.

— W takim razie musi pan nas odwiedzić kiedy indziej — rzekł Timothy z przekonaniem.

— Całkiem prawdopodobne, że tak właśnie zrobię — odparł nieznajomy.

Usiadł na wielkim rdzawym głazie przy bramie, zapalił papierosa, trzymając zapalną w palcach, które były szorstkie i stwardniałe, i zaczął się przyglądać Timothy'emu wzrokiem chłodnym i badawczym. Schludny chłopczyk... Dobrze wychowany... Kręcone brązowe włosy, rozmarzone oczy, zgrabny podbródek.

— Do kogo jesteś podobny, chłopcze? — odezwał się nagle. — Do ojca?

Timothy potrząsnął przecząco głową.

— Nie. Chciałbym, ale nie wiem, jak mój tato wyglądał. Nie żyje, nie zostało też jego żadne zdjęcie...

— Nie mogło zostać — odparł nieznajomy. I znowu nie spodobało się to Timothy'emu.

— Mój tato był bardzo dzielny człowiekiem — wtrącił szybko. — Służył jako żołnierz w wojnie burskiej i przyznano mu order.

— Kto ci to powiedział?

— Ciocia Edith. Bo ciocia Kathleen w ogóle o nim nie wspomina. Właściwie ciocia Edith też nie lubi o nim mówić, ale akurat o tym mi opowiedziała.

— Edith zawsze miała miękkie serce — mruknął nieznajomy. — Ale nie przypominasz swojej... swojej matki.

— Wiem, że nie. Mam jej zdjęcie. Umarła tuż po moim urodzeniu. Ciotka Edith twierdzi, że wyglądam jak dziadek Norris, jej ojciec. Noszę imię po nim.

— Czy ciotki są dla ciebie dobre? — spytał mężczyzna.

— Tak — odpowiedział Timothy z uczuciem. Odpowiedź brzmiałaby tak samo nawet wtedy, gdyby traktowały go źle. Potrafił być lojalny. — Oczywiście, wie pan, jak to jest, zajmują się moim wychowaniem i czasem muszą mnie łajać. No i jeszcze te lekcje muzyki...

— Nie podobają ci się? — spytał nieznajomy z rozbawieniem.

— Nie. Ale może to dobre dla mojego zdys... cyplinowania.

— Widzę, że masz psa — mężczyzna wskazał na Merrylegsa. — Niezła rasa. Sądziłem, że Kathleen i Edith nie znoszą psów.'

— Nie znoszą. Ale pozwoliły mi mieć jednego, ponieważ doktor Blythe uważa, że każdy chłopiec powinien mieć takiego przyjaciela. Więc ciotki się poddały. Nawet nie narzekają, gdy śpi w moim łóżku. Nie pochwalają tego, ale nie każą mu się wynosić. Cieszę się, bo nie lubię zasypiać sam w ciemnościach.

— Każą ci zasypiać w ciemnościach?

— Tak, ale to naprawdę w porządku — odparł szybko Timothy. Nie chciał, by komukolwiek się wydawało, że źle mu się mieszka z ciotkami. — Jestem już na tyle duży, by zasypiać w ciemnościach. Tylko że...

— Tylko że co?

— Tylko... jak gaśnie światło, to nie mogę się powstrzymać i wyobrażam sobie różne twarze za oknem — okropne, paskudne twarze. To pewnie wina ciotki Kathleen... Parę razy słyszałem, jak mówiła, że za każdym razem, gdy patrzy w okno, boi się, że ujrzy za szybą „jego twarz”. Nie wiem, kogo miała na myśli, ale tyle się tego nasłuchiwałem... Dlatego sam zacząłem widywać twarze.

— Twoja matka też taka była — powiedział nieznajomy. — Nienawidziła ciemności. Ciotki nie powinny cię zmuszać do zasypiania po ciemku.

— Właśnie że powinny! — wykrzyknął Timothy. — Moje ciotki są wspaniałe. Kocham je. Chciałbym tylko, żeby się tak bardzo nie martwiły.

— A więc one się czymś martwią?

— Straszliwie. Nie wiem, o co chodzi. Bo chyba nie o mnie, choć czasem patrzą na mnie tak dziwnie. Czy jak pan na mnie patrzy, to widzi pan powody do zmartwień?

- Ani jednego. Więc ciotki są dla ciebie dobre? Dają ci wszystko, czego chcesz?
 - Prawie wszystko — odparł ostrożnie Timothy. — Co prawda w piątki nie dostaję rodzyneków do pud-dingu ryżowego... Ciotka Edith może by je dorzuciła, ale ciotka Kathleen mówi, że Norrisowie nigdy ich nie dodawali do puddingu. Och, już pan idzie?
 - Idę nad jezioro — powiedział nieznajomy. — Chcesz przejść się ze mną?
- Timothy wlepił w niego wzrok.
- Chciałby mnie pan wziąć?
 - Bardzo. Przejedziemy się na kucykach, zjemy hot dogi, napijemy się wody sodowej... Cokolwiek zechcesz.
- Tak kuszącej propozycji trudno było się oprzeć.
- Ale... ale... — zająknął się Timothy. — Ciocia Kathleen zabroniła mi wychodzić poza bramę.
 - Zabroniła wychodzić samemu — odparł mężczyzna. — Ale nie będziesz sam. Zresztą twoja ciotka na pewno uznałaby za... zgodne z prawem, gdybym zabrał cię ze sobą.
 - Jest pan pewny?
 - Oczywiście — odpowiedział nieznajomy i ponownie się roześmiał.

107

- Ale... pieniądze — zawahał się Timothy. — Bo, widzi pan, mam tylko dziesięć centów. Co prawda jeszcze zaoszczędziłem dwadzieścia pięć, ale za nie chcę kupić prezent urodzinowy dla cioci Edith. Dziesięć centów mogę jednak wydać, mam je od dłuższego czasu, znalazłem na drodze.
 - Ja stawiam.
 - Jeszcze tylko zamknę Merrylegsa — powiedział Timothy z ulgą. — Muszę też umyć buzię i ręce. Poczekaj pan kilka minut?
 - Naturalnie.
- Timothy pognął na dziedziniec i pośpiesznie zamknął psa w domu. Następnie umył się, zwłaszcza uszy. Miał nadzieję, że są czyste. Dlaczego ludzie nie mają płaskich uszu? Gdy Kuba Blythe zadał kiedyś to samo pytanie Zuzannie Baker, odparła, że widocznie taka była wola Boga.
- Nie uważa pan, że powinienem wiedzieć, jak się pan nazywa? Chyba byłoby lepiej — odezwał się Timothy, gdy ruszyli ścieżką.
 - Możesz do mnie mówić: panie Jenkins — odparł mężczyzna.
- Timothy przeżył cudowne, pełne atrakcji popołudnie. Niemal cały czas jeździł na kucyku i zjadł coś o wiele lepszego niż hot dogi.
- Mam ochotę na porządny posiłek — powiedział pan Jenkins. — Nie jadłem obiadu, a tu widzę restaurację. Może wejdziemy i coś sobie przekąsimy?
 - Tu nie jest tanio — rzekł Timothy. — Może pan sobie na to pozwolić?
 - Chyba tak — zaśmiał się ponuro pan Jenkins.
- Restauracja rzeczywiście była droga i wytworna. Pan Jenkins zachęcił Timothy'ego, by zamówił sobie, na co tylko ma ochotę, nie zwracając uwagi na ceny. Chłopiec poczuł się jak w siódmym niebie. Spędzał niezwykle popołudnie, pan Jenkins okazał się sympatycznym kompanem, a teraz w dodatku pozwolił mu zamówić coś pysznego. Timothy westchnął, zachwycony.
- Zmęczony? — spytał pan Jenkins.
 - O, nie.
 - Dobrze się bawisz?
 - Wspaniale. Tylko...
 - Tylko co?
 - Nie jestem pewien, czy pan się dobrze bawi — wyjaśnił powoli Timothy.

— Cóż — odparł pan Jenkins. — Nie bawię się dobrze, skoro już o tym mowa. Wciąż myślę o... pewnym moim przyjacielu, a to skutecznie psuje mi humor.

— Czy ten przyjaciel źle się miewa?

— Wręcz przeciwnie. Całkiem nieźle. A nawet znakomicie. Prawdopodobnie będzie długo żył. Ale nie jest szczęśliwy.

— Dlaczego? — spytał Timothy.

— Bo widzisz, zachował się jak ostatni kretyn. A nawet gorzej. Jak straszliwy głupiec. Przywłaszczył sobie dużą sumę pieniędzy, która nie należała do niego.

— To znaczy, że je ukradł? — dopytywał się zaszokowany Timothy.

— Uznajmy, że je sprzeniewierzył. Tak brzmi lepiej. Ale bankowi to się nie spodobało. Mój przyjaciel został zamknięty w więzieniu na dziesięć lat. Wypuścili go jednak wcześniej za dobre sprawowanie. Gdy przebywał

9

za kratami, zmarł jego stary wuj, zostawiając mu kupę pieniędzy. Tak więc okazało się, że mój przyjaciel jest bogatym człowiekiem. Ale coż on pocnie z tym majątkiem? Cięży na nim wina.

— Przykro mi z powodu pańskiego przyjaciela — powiedział Timothy. — Ale dziesięć lat to dużo czasu. Czy ludzie nie zdążyli zapomnieć o jego uczynku?

— Niektórzy nie zapominają nigdy. Na przykład siostry jego żony. Były dla niego bardzo surowe. Jakże on ich nienawidził! Przez te wszystkie lata żył nadzieją, że kiedyś wyrówna z nimi rachunki.

— Jak?

— Są pewne sposoby. Mógłby na przykład zabrać im coś, na czym im bardzo zależy. Bo w końcu on jest samotny... pragnie towarzystwa... o, tak, jest bardzo samotny. Myślę o nim całe popołudnie. Ale nie sądzę, że nie spędziłem z tobą przyjemnie czasu. Na pewno zapamiętam ten dzień na bardzo długo. Teraz jednak pewnie chcesz wrócić, zanim ciotki przyjadą z miasta?

— Tak. Ale tylko dlatego, żeby się nie zamartwiała. Zamierzam im opowiedzieć o naszej wycieczce.

— Nie ukarzą cię?

— Prawdopodobnie tak, ale reprimenda nie łamie kości, jak mawia Linda — zauważył filozoficznie Timothy.

— Nie sądzę, żeby bardzo na ciebie krzyczały, jeśli wrócisz do domu przed nimi i przekazesz im wieści ode mnie. Kupiłeś ciotce prezent, prawda?

— Tak. Ale chciałbym zrobić coś jeszcze. Wciąż mam te dziesięć centów. Kupię za to kwiaty, skoczę do parku i złożę je u stóp pomnika kombatantów. Wie pan, mój ojciec był dzielnym żołnierzem.

fio

— Zginął w Związku Południowej Afryki?

— Och, nie. Wrócił z wojny i ożenił się z mamą, przez jakiś czas pracował w banku. Dopiero potem umarł.

— Tak, umarł — powtórzył pan Jenkins, gdy dotarli do Zakątka. — I pewnie — dodał kpiącym tonem — już martwym pozostanie.

Timothy był oburzony. Jak można było tak mówić

0 innych ludziach! Ciotka Kathleen nazwałaby to „impertynencją”. Ale Timothy i tak lubił nowego znajomego.

— No cóż, żegnaj, synu — powiedział pan Jenkins.

— Czy już się nigdy nie zobaczymy? — zapytał tęsknie Timothy. Czuł, że chciałby spotkać jeszcze pana Jenkinsa.

— Obawiam się, że nie. Wyjeżdżam daleko, bardzo daleko. Mój przyjaciel udaje się do jakiegoś odległego kraju. Chyba się z nim zabiorę. Jest bardzo samotny, jak już ci wspomniałem. Muszę się o niego zatroszczyć.

— Przekaze mu pan, że przykro mi z tego powodu?

1 mam nadzieję, że nie zawsze będzie samotny?

— Przekażę. A ty przekazesz ciotkom wiadomość ode mnie?

— Nie może pan sam tego zrobić? Przecież przyjechał pan tu, żeby się z nimi zobaczyć.

— Obawiam się, że nie dam jednak rady. Powiedz im, że nie powinny się martwić listem, który dostały dziś rano. N"ie muszą już zasięgać konsultacji u prawnika, by przekonać się, czy osoba, która jest autorem listu, rzeczywiście może zrobić to, czym grozi. Znam autora i wiem, że zmienił zdanie. Przekaż im, że ów człowiek wyjeżdża i już nigdy więcej nie będzie ich niepokoił. Zapamiętasz, prawda?

— Pewnie. Czy to sprawi, że ciotki nie będą już zmartwione?

— Na pewno nie z powodu tej osoby. Ale jest pewien warunek — muszą dać ci spokój z tymi lekcjami muzyki i koniecznie dosypywać rodzyneków do piątkowego puddingu. I jeszcze niech pozwolą ci zasypiać przy zapalonym świetle. Jeśli nie posłuchają, autor listu może zacząć je niepokoić ponownie.

— Powiem o lekcjach muzyki i puddingu, ale nie o świetle — rzekł Timothy stanowczym tonem. — Jeśli to, oczywiście, nie przeszkadza tej osobie. Bo widzi pan, nie mogę wyrosnąć na tchórza. Mój tato nie był tchórzem. Jeśli zobaczy się pan z autorem listu, wytłumaczy mu pan wszystko?

— Cóż, może masz rację. Porozmawiaj z doktorem Blythe'em. Chodziłem z nim do college'u, więc na pewno doktor wie, co i jak. A teraz powiem ci coś, co jest przeznaczone tylko dla twoich uszu, synu: spędziliśmy razem wspaniałe czas i nie było w tym nic złego. Pamiętaj jednak: już nigdy więcej nie rozmawiaj z nieznajomym. Timothy uściśnął twardą dłoń pana Jenkinsa.

— Ale pan nie jest nieznajomym — powiedział smutnym głosem.

WIECZÓR DRUGI

NOWY DOM

Gdzie wzgórza sosen, jak śnieg białe Rosną osiki, drząc na wietrze, Ty czekasz, a ja mam najlepsze Chęci, bo ujrzyć Ciebie chciałam. I widzę duchy, Domu Drogi, Które przestąpią twoje progi.

Słodkie kwietniowe szare deszcze I sierpniowego blask księżyca, Październik pełnią barw zachwyca, Zanim grudniowe przyjdą dreszcze. To cię zachwyci — wierz mym słowom, Bo ciągle jesteś taki nowy...

Przyjdzie czas płaczu i radości, Moment zwycięstwa i goryczy, Cień smutku oraz smak słodczy, Przyjdzie czas lęku i miłości. To wszystko znajdzie tu schronienie. To da Ci duszę — sens istnienia.

Dzieci się będą tutaj śmiały, Przyjdą wesela i wzruszenia, I tańce pełne podniecenia Dziewcząt, gdy będą tu czekały, Aż w błogiej ciszy o poranku Spotkają tutaj swych kochanków.

Ujrzysz tęsknotę za bliskością,

Poznasz, czym śmierć i nowe życie,

Czym lekki śmiech i łzy w ukryciu t

— czas obdaruje cię mądrością. Tu przyjdę tak jak innych wielu

— jesteś mej drogi jasnym celem.

Ania Blythe

DR GILBERT BLYTHE: — Czy w wierszu wspominasz o nowym domu, który Tom Lacey zbudował przy drodze do Lowbridge? Pamiętam, że uważnie mu się przyglądałaś.

ZUZANNA BAKER: — Powiadają, że ten dom kosztował go więcej, niż kiedykolwiek będzie w stanie zapłacić. Ale nowy dom to jednak wielka atrakcja, i tego się będę trzymać. Czasem myślę sobie, że... (Tu przerywa, uznając, że może lepiej będzie nie mówić głośno, co stara panna sądzi o nowych domach).

DROZDOWE NIESZPORY

Rozbrzmiewa cichy wiatru ton I słyhać cichy śpiew, Drozdy śpiewają dziś pieśń swą W sadzie, w koronach drzew.

Wieczorna rosa w trawie lśni, Dogasa słońca blask, A drozdów ciągle słyhać trel W poświacie pierwszych gwiazd.

Pieśń ich się niesie niczym hymn, Słucha jej ciemny las, Słuchają cienie śpiących traw I słucha każdy z nas. A mały chochlik poprzez bór Brnie wyteżając wzrok, Przystaje, słysząc ptasi śpiew, Kiedy zapada zmrok.

Posłuchaj, jakże słodki jest Radosny drozdów śpiew. Jak słucha drozdów leśny elf, Mieszkaniec starych drzew. Bo w pieśni tej ukryta jest Leśnych tajemnic moc. Posłuchaj zatem drozdów, gdy Ciemna zapadnie noc.

Ania Blythe

ZUZANNA BAKER: — Lubię śpiew drozdów wieczorną porą!

ANIA BLYTHE: — Czasem dają takie koncerty, że klonowy zagajnik i Dolina Tęczy wydają się nimi wypełnione.

DR GILBERT BLYTHE: — Pamiętasz, jak gwizdały w Nawiedzonym Lesie i Sosnowym Sadzie?

ANIA BLYTHE, cichym głosem: — Nie zapomniałam o niczym, Gilbertcie... O niczym. DR GILBERT BLYTHE: — Ani ja.

tfõ

KUBA BLYTHE, pojawiając się w oknie, krzyczy: — Zakochana para! Zakochana para! Zuzanno, czy zostało jeszcze trochę ciasta? Byłbym za nie wdzięczny sto razy bardziej niż za trele drozdów z całego świata.

ZUZANNA BAKER: — No i to jest chłopak! Chciałabym, żeby Walter zachowywał się podobnie.

NOC

Już zmierzch i dzień powoli gaśnie, Ciemność zasnuwa senną dal. Księżyc magiczny niczym w baśniach Przegląda się wśród fal.

A ja samotna. Pytasz, po co Udaję radość, skrywam strach. Samotność swoją późną nocą W cichych zamykam łzach.

Tam, gdzie się ciągną groźne bagna, Gdzie duchów cienie we mgle drżą, Tam wiatr pieśń śpiewa wokół mogił, By wstali ci, co śpią.

Cienie to siostry me zakłete, Smutny brzeg morza to mój brat. I dobrze, że już nie pamiętam Bólu, gdy gasł mój świat.

Codziennie troski i zmartwienia Zgasną, gdy przyjdzie pora snu. Noc mi przyniesie ukojenie, Spokój po ciężkim dniu.

Ania Blythe

DR GILBERT BLYTHE: — Zdaje mi się, że dałaś się ponieść wyobraźni. Kiedyż to gasł twój świat?

ANIA BLYTHE, z wyrzutem: — Przez całe dzieciństwo, Gilbertcie. Oraz gdy myślałam, że jesteś zakochany w Christine Stuart. I... i kiedy zmarła mała Joyce. Tego chyba nie zapomniawsz, Gilbertcie.

DR GILBERT BLYTHE, z poczuciem winy: — Nie, ale za to ja myślę o tym, że gdy cię poznałem, właśnie zaczynałaś żyć pełnią życia. Masz rację, jest w tym coś egoistycznego. Ale

tak to bywa: ludzie zapominają, bo muszą. Świat nie przetrwałby bez zdolności do zapomniania. Każdego dnia wydarzają się nowe rzeczy, które mogą nas zranić.

ZUZANNA BAKER: — Na przykład ta drzazga, która wbiła się dziś w stopkę Shirleyowi.

MĘŻCZYŻNA I KOBIETA Mężczyzna:

Najdroższa, muszę być jedynym tylko z Twoich snów. Żaden nie mógł wcześniej przyjść, nieś serca wizerunek Niczym różę. Szepty Twe tylko dla mnie są, Twój śmiech; Niech nigdy nie rozdzieli nas innego pocałunek Upiorny. Dla mnie rumieniec białych liczek, Dla mnie Twoje oczy z szafiru siłła utkały. Pani mgły, ognia, mów, żeś jedyny kochanek, Że krucze loki schronienia obcym ustom nie dały.

Kobieta:

Kochany, za nic mam to, kto był wcześniej niż ja, Ozdobne, w jedwabkach kobiety piękne jak w snach,

Zalotne w minionych mrokach, upragnione nocą Zapomnianą... Jedno chcę: niech po mnie żadna. Do dna opróżnić kielich daj, dla innej nawet fusy To za dużo, czy to królowa,

Cyganka,

Czy zakonnica! Mów, że żadnej nie szepniesz znów: „Kocham”, Nie wygra inna, bom Twa jedyna wybranka.

Ania Blythe »

DR GILBERT BLYTHE: — To rodzaj poezji, za którym zdecydowanie nie przepadam.

Niezwykłe, do czego zdolna jest wyobraźnia. Aniu, czy ty naprawdę to napisałaś?

ANIA BLYTHE: — Tak, w Redmond. Lecz oczywiście to wszystko zostało zmyślane, nigdy tych wierszy nie opublikowałam. Zobacz, jaki pożyłkły jest papier! Poza tym wiedz, że byłeś pierwszym.

ZUZANNA BAKER, zdecydowanym tonem: — Może pani tylko się wydaje, że napisała ten wiersz, droga pani doktorowo, ale na pewno było inaczej. Ten wiersz zawieruszył się pomiędzy pani tekstami, i po prostu pani zapomniała. Dlatego też pozwolę sobie powiedzieć, że

— o ile dobrze zrozumiałam — ten wiersz nie jest zbyt przyzwoity. Z pewnością pan doktor się ze mną zgodzi.

DR GILBERT BLYTHE, udając powagę: — No cóż, skoro to ja byłem pierwszym... a nie Charlie Pye...

ANIA BLYTHE, rzucając pożyłkłą stronicę do ognia:

— No, koniec z tymi nonsensami.

DR GILBERT BLYTHE, chwytając kartkę w locie:

— Tylko nie to! Zamierzam poczekać i przekonać się, czy będę również ostatnim. Chciałbym wiedzieć, jak będziesz się zachowywać jako wdowa po mnie.

ZUZANNA BAKER, udając się do kuchni, by przygotować kolację: „Gdybym nie wiedziała, że oni sobie tylko żartują, prawdopodobnie przeraziłabym się. Ale nie byłabym sobie w stanie wyobrazić, by któreś z nich mogło zakochać się w kimś innym. Chociaż mawiają, że pan Meredith zamierza ożenić się z Rosamond West... a przecież to istny święty. W zadziwiającym żyję świecie, ale na szczęście nie sprawuję nad nim władzy. Niech sobie pani Elliott mówi co chce, ale naprawdę nie wydaje mi się, że świat byłby lepszy, gdyby rządziły nim kobiety”.

ODWET

Clarissa Wilcox zmierzała do Lowbridge, ponieważ dowiedziała się, że David Anderson jest umierający. Powiedziała jej to Zuzanna Baker ze Złotego Brzegu. Doktor Blythe z Glen St. Mary opiekował się Andersonem, pomimo że w Lowbridge mieszkał inny lekarz — doktor Parker. Ale lata temu David Anderson pokłócił się z Par-kerem i nie chciał go więcej widzieć.

Clarissa Wilcox pragnęła zobaczyć się z Davidem Andersonem przed jego śmiercią. Musiała mu powiedzieć o kilku sprawach. Czekala na ten moment czterdzieści lat i oto nadarzała się okazja, swoją drogą dzięki Zuzannie Baker, której nienawidziła (między Bakera-mi z Glen St. Mary i Wilcoksami z Mowbray Narrow toczył się odwieczny spór, a Clarissa i Zuzanna, gdy się spotykały, witały się najwyżej skinieniem głowy). Zuzanna była taka dumna, że pracuje jako służąca w Złotym Brzegu! Jakby to było nie wiadomo jakim zaszczytem. Żadne z Wilcoksów nie musiało się nigdzie najmować, by się utrzymać. Niegdyś byli bogatą rodziną i spoglądali z góry na Bakerów, ale tamte czasy już minęły. Teraz byli biedni, co nie przeszkadzało im wciąż traktować Bakerów z wyższością. Mimo wszystko Clarissa była wdzięczna Zuzannie za nowiny o Davidzie Andersonie.

Musiał rzeczywiście być bliski śmierci, bo inaczej Zuzanna Baker nawet by o nim nie wspomniała. W Złotym Brzegu raczej nie plotkowano o pacjentach doktora Blythe'a. Zuzannie co prawda stałe towarzyszyło podekscytowanie, ale i tak była równie beznadziejna jak cała reszta. „Zachowywała się tak, jakby należała do rodziny Blythe'ów!”, pomyślała złośliwie Clarissa. Że też niektórzy mieli czelność tak się pysznić. No, ale czegoż innego można się spodziewać po Bakerach?

Nieważne. I tak najistotniejsze, że dowiedziała się na czas o fatalnym stanie Davida Andersona.

Wiedziała, że ta chwila kiedyś nadejdzie. Pośród wszystkich niesprawiedliwości losu ta jedna, najpotworniejsza, nie mogła się nie wydarzyć: David Anderson, z którym tańczyła za młodu, nie mógł umrzeć, nie wysłuchawszy tego, co miała mu do powiedzenia. Zuzannę Baker zdziwił nagły rumieniec, jaki wykwitł na starej, ziemistej twarzy Clarissy Wilcox, gdy usłyszała, że Anderson umiera. Zuzanna potem zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, wspominając o tym. A jeśli doktor poczuje się urażony?

Ale i tak wszyscy o tym wiedzieli. Nie było to tajemnicą. Zuzanna uznała, że nie powinna się tą sprawą zanadto przejmować, ale na wszelki wypadek opowiedziała o wszystkim doktorowej Blythe.

121

— No tak — skomentowała całą historię pani Blythe — mąż twierdzi, że Anderson może umrzeć w każdej chwili.

To wystarczyło, by uspokoić sumienie Zuzanny.

Clarissa Wilcox wiedziała, że David Anderson jest wciąż na tyle przytomny, by jej wysłuchać — przynajmniej tak głosiły plotki. Właściwie doktor Blythe nawet to potwierdził. Nagły, niespodziewany wylew przykuł do łóżka jej wroga (już wszyscy w Lowbridge i Mowbray Narrows oraz w Glen St. Mary zdążyli zapomnieć

0 trwającej całe pokolenia nienawiści między Clarissą

1 Davidem, a także o jej przyczynach, ale dla Clarissy wszystko było równie świeże, jakby wydarzyło się wczoraj). Wylew sparaliżował Andersona i odebrał mu mowę, a nawet wzrok (nie był w stanie unosić powiek), ale wciąż mógł słyszeć i nie tracił przytomności. Clarissa cieszyła się, że nie będzie mógł jej zobaczyć, zauważyć zmian, jakie czas wyłobił na jej ładnej niegdyś twarzy. Owszem, kiedyś była niebrzydka, chociaż Bakerowie z niej szydzili. No, ale który Baker mógł w ogóle pochwalić się urodą... Z pewnością nie biedna Zuzanna, choć należała do młodszego pokolenia. O tak, Clarissa mogła powiedzieć Davidowi Andersonowi wszystko, na co tylko miała ochotę, bez obawy, że ujrzy w jego oczach cień pogardy.

W końcu pomści Blanche... piękną, ukochaną Blanche, która zmarła jako młoda, śliczna czarnowłosa kobieta. Czy pamiętał ją ktoś jeszcze prócz Clarissy? Może stara ciotka Zuzanny Baker. Czy w ogóle Zuzanna słyszała tę opowieść? Pewnie nie. Całą sprawę wyciszono.

122

Clarissa była ubrana jak zwykle na czarno. Szła zgarbiona i ponura. Nosila żałobę od śmierci Blanche. „To takie dziwactwo Clarissy Wilcox”, mawiali Bakerowie. Owalną twarz Clarissy, w której wciąż jaśniały niebieskie oczy, pokrywały drobne zmarszczki. Zuzanna Baker zauważyła dzisiaj, że jakimś cudem oczy Clarissy pozostały młode, podczas gdy cała reszta postarzała się i zwiędła.

— Droga pani doktorowo — powiedziała, przygotowując z panią Blythe ciasto owocowe.

— Czy lepiej być pięknym za młodu, a potem to piękno wspominać, gdy czas zabiera nam urodę, czy też lepiej zawsze wyglądać tak sobie, żeby na starość niczego nie żałować?

— Dziwne pytania czasem zadajesz, Zuzanno — odparła Ania, krojąc kandyzowaną skórę na drobne pa-seczki. — Jeśli o mnie chodzi, wolałabym być piękną za młodu, a później zachować o tej urodzie wspomnienia.

— No tak, ale pani zawsze była śliczna, pani doktorowo — westchnęła Zuzanna.

— Ja? Piękna? Z rudymi włosami i piegami? — roześmiała się Ania. — Nawet nie wiesz, jak pragnęłam być piękna, Zuzanno. Ale mówią, że stara panna Wilcox była niegdyś urodziwa.

— Wszystkim Wilcoxom się wydawało, że są atrakcyjni — prychnęła Zuzanna. — Mnie tam się Clarissa nigdy nie podobała, za to słyszałam, że jej siostra Blanche naprawdę mogła poszczycić się urodą. Niestety nie pamiętam jej.

— Wy, Bakerowie, nigdy nie umieliście się dogadać z Wilcoxami, Zuzanno — powiedziała Ania z zaciekawieniem. — Pewnie chodzi o jakiś stary rodzinny spór?

— Tak mi opowiadano. Ale szczerze mówiąc, doktorowo, nie mam pojęcia, od czego się to wszystko zaczęło. Wiem tylko, że Wilcoxowie zawsze uważali się za lepszych od Bakerów.

— Coś mi się zdaje, że Bakerowie z kolei uważali się za lepszych od Wilcoxów — wtrącił przekornie doktor, który właśnie wszedł do kuchni.

— Wilcoxowie mieli po prostu więcej pieniędzy — odrzekła Zuzanna. — Ale nie sądzę, żeby Bakerowie w czymkolwiek im ustępowali. Za Clarissą w młodości ponoć uganił się mężczyźni, ale nigdy nie znalazła sobie męża, podobnie jak niektóre z nas.

— Może ona była wyjątkowa? — odezwał się doktor.

Wiedział, że ta uwaga doprowadzi Zuzannę do szału.

Bez słowa podniosła talerz z rodzynekami i wymaszerowała z kuchni.

— Czemu się z nią drażnisz, Gilberte? — upomniała go Ania.

— Bo to takie zabawne — odparł. — Cóż, stary David Anderson z Lowbridge umiera. Wątpię, by przetrwał noc. Mówią, że za młodu był z niego prawdziwy choj-rak. Nie pomyślałabyś tak o nim, gdybyś go teraz zobaczyła.

— Jakże okrutnie obchodzi się z nami czas — westchnęła Ania.

— Jesteś jeszcze za młoda, by wygłaszać tego typu uwagi — zauważył Gilbert. — Poza tym Clarissa Wilcox wygląda całkiem młodo jak na swój wiek. Te jej oczy... i prawie ani jednego siwego pasemka we włosach. Wiesz, kim była żona Andersona?

124

— Nie... Chyba miała na imię Rose... Oczywiście, widziałam nazwisko na jej grobie na cmentarzu w Low-bridge... Podobno David Anderson był zamieszany w jakiś skandal z siostrą Clarissy, Blanche.

— Jaki znowu skandal? — spytał Gilbert.

— No tak, taka stara sprawa przestaje w końcu być skandalem i staje się częścią historii. A teraz muszę iść udobruchać Zuzannę i włożyć ciasto do piekarnika. To na urodziny Kennetha Forda, przyjadą do Wymarzonego Domu w środę. Wiedziałaś?

— Pogodziłaś się już z zamianą Wymarzonego Domu na Złoty Brzeg?

— Dawno temu — odparła Ania, lecz westchnęła. Już nigdy nie zamieszka w takim miejscu jak Wymarzony Dom.

Tymczasem Clarissa Wilcox szła krokiem młodej dziewczyny piaszczystą południową drogą w stronę Lowbridge. Ciemne włosy — choć wśród nich, jak zauważył doktor, nie było ani jednego siwego pasma — nie pasowały do jej pomarszczonej twarzy. Clarissa miała na głowie koronkową siateczkę, którą Blanche zrobiła dla niej lata temu. Siateczka wciąż była w niezłym stanie, bo Clarissa rzadko kiedy wychodziła z domu. Zresztą i tak nigdy nie przejmowała się swoim wyglądem. Miała wąskie usta, na których malował się złowieszczy uśmiech — jeśli w ogóle się uśmiechała. Niewielu ludzi widziało uśmiech Clarissy Wilcox. Z wieczornego nieba nad Zatokę Czterech Wiatrów spływał niezwykle błękitny blask, ale wzmagął się wiatr.

Świszczał w gałęziach wysokich starych świerków, rosnących wzdłuż drogi, a Clarissie wydawało się, że to duchy przeszłości przemawiają do niej szeptem. Nie był to zwyczajny wiatr — ale powiew śmierci, zwiastujący bliski koniec Davida Andersona. Co będzie, jeśli umrze, zanim Clarissa dotrze do jego domu? Przyspieszyła kroku.

W oddali dwa statki wypływały z Przystani Czterech Wiatrów. „Pewnie należą do niego”, pomyślała, zapominając, iż David Anderson już dawno przeszedł na emeryturę. Z pewnością interes prowadzili teraz jego bratankowie. Dokąd płynęły statki? Do Cejlonu? Singapuru? Mandalaju? Niegdyś same te nazwy wywoływały w niej dreszcz ekscytacji i marzyła, by odwiedzić owe kuszące miejsca.

Ale to Rose zwiedziła je u boku Davida... Rose, nie Blanche... Teraz Rose już nie żyje. Lecz statki wciąż wpływają i wypływają z portu, chociaż David Anderson, który był stoczniovcem i armatorem całe swoje życie, już od dawna na nich nie żeglował.

Może zostawił wszystko swojemu synowi. Synowi! Całkiem możliwe!

Clarissa nawet nie wiedziała, że ów syn służył na okrętach jako chirurg i rzadko kiedy był w Lowbridge.

Przed nią rozpościerało się miasteczko Seldom. Tu, na Main Street, wznosiła się okazała rezydencja Davida Andersona, gdzie przez tyle lat królowała Rose. W oczach Clarissy dom wciąż prezentował się wspaniale, choć młodsze pokolenie uważało go za staroświecki. Małutkie białe płatki wiśniowego kwiecica opadały na chodnik w chłodnym wiosennym powietrzu.

Drzwi były otwarte — weszła do środka nie zauważona przez nikogo. Przeszła przez hol, a potem na górę po szerokich schodach wyłożonych aksamitem, który tłumiał kroki. Po drodze mijała jedynie puste pomieszczenia. Doktor Blythe przed chwilą zakończył ostatnią wizytę u Davida Andersona i stał teraz przy bramie, rozmawiając z ubraną na białą pielęgniarką, z której pomocy chciał skorzystać w tym samym czasie co doktor Parker.

— Wydaje mi się, że powinnam udać się do pacjenta doktora Parkera — mówiła z ociąganiem. O wiele chętniej pomogłaby doktorowi Blythe'owi. Był znacznie rozsądniejszy niż doktor Parker, który na przykład krytykował ją za to, że odstępowała od łóżka Andersona, gdy ten wciąż oddychał. Jakby czuwanie u jego boku mogło w czymś pomóc!

— W takim razie proszę jechać do doktora Parkera — powiedział doktor Blythe. — Poproszę o pomoc Lucy Marks, która jest w odwiedzinach u matki w Mowbray Narrows. Tu już nie będzie pani potrzebna — dodał znaczącym tonem.

„Młodzi i głupi — pomyślała Clarissa. — Ta kobieta próbuje flirtować z doktorem Blythe'em”.

Clarissie Wilcox oboje wydawali się dziećmi. Ale jej nie obchodzili. Najważniejsze, żeby znalazła się sam na sam z Davidem Andersonem — po tylu latach w końcu dostała swoją szansę. Wokół niej znajdowały się tylko puste pokoje. „Martwi i umierający szybko zostają zapomniani”, pomyślała z goryczą. Nawet pielęgniarka odeszła od łóża umierającego człowieka. W tym domu

gospodynią powinna być Blanche. Ona na pewno nie opuściłaby męża w chwili śmierci. Nie przyszło Clarissie do głowy, że Blanche, tak jak Rose, mogłaby przecież umrzeć przed Davidem.

Gdy znalazła się na szczycie schodów, zajrzała przez zasłony z wypłowiałego złotego aksamitu, zasłaniające wejście do biblioteki. Nad kominkiem zauważyła portret Rose. A tam przecież powinien wisieć portret Blanche.

Rose przedstawiona była w atlasowej sukni ślubnej o barwie kości słoniowej. David Anderson kazał wykonać portret pewnemu artyście, który wtedy przebywał w Lowbridge. Clarissa pamiętała, jaką sensację wywołał obraz w miasteczku, które było wtedy o wiele mniejsze, nawet fotografię każdy robił sobie najwyżej raz w życiu. Gdy portret został skończony i umieszczony w bibliotece, David wydał przyjęcie, o którym mówiło się przez kilka miesięcy.

Chociaż Clarissa nie spotkała w domu nikogo, wydawało jej się, że wewnątrz wypełniają czyjeś szepty. Wszędzie było pełno cieni... Zdawały się one wyciągać w jej stronę macki. Pewnie były to duchy, które miały towarzyszyć Davidowi Andersonowi w jego ostatniej podróży. Może duchy Rose, Blanche, Lloyda Normana... Bóg wie, kogo jeszcze. Nie powinna się ich bać. Miała coś do powiedzenia, rzeczy, które zadziwiłyby ich wszystkich z wyjątkiem Blanche i może — któż to wie? — Lloyda Normana. Czasu było coraz mniej. W każdej chwili mogła wrócić plotkującą na zewnątrz pielęgniarza.

W końcu odnalazła jego pokój — długi, z kominkiem w głębi, w którym tlił się niewielki ogień. Płomienie wy-

4

glądały jak czerwone kocie języki. A więc to ten pokój dzielił z Rose!

Teraz nie było w środku nikogo z wyjątkiem umierającego Davida Andersona. Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności! Obawiała się, że pielęgniarza mogła tu zostawić gospodynię. W pokoju nie paliło się żadne światło, a drzewa za oknem sprawiały, że w środku zdawało się jeszcze ciemniej. Oczywiście to nie miało już znaczenia dla Davida, który utracił wzrok, natomiast Clarissę atmosfera pokoju napawała przerażeniem, którego źródeł nie potrafiła wyjaśnić. W takim mroku duchy czuły się jak u siebie. Dzisiaj ludzie podobno już nie wierzą w duchy. Słyszała, jak doktor Blythe i doktor Parker naśmiewali się z opowieści o nich. Ale przestaną się śmiać, gdy będą w jej wieku. Jakież to upiory musiały teraz tłoczyć się wokół łóżka Davida Andersona!

Przez otwarte okno wpadała ciężka woń kwitnących krzewów bzu rosnących pod murem. Clarissa nigdy nie lubiła tego zapachu. Kojarzył jej się ze słodką tajemnicą... taką jak miłość między Davidem Andersonem i Blanche Wilcox. Albo... cóż, może i między Rose Anderson i Lloydem Normanem. Nie wiadomo, który już raz Clarissa pomyślała, że chciałaby znać całą prawdę o tej sprawie.

Na stoliku stał flakon pełen białych kwiatów, które zdawały się jaśnieć upiornym blaskiem w mroku pomieszczenia. To było niesamowite. David Anderson nigdy nie przepadał za kwiatami. Najwyraźniej wstawiła je tu pielęgniarza. A może ktoś je przysłał? Przypomniła sobie różę, którą wręczyła mu kiedyś Blanche, a on bez-

trosko upuścił ją na trawę w ogrodzie. Ciekawe, czy lepiej postępował z kwiatami od Rose? Clarissa podniosła wtedy upuszczoną różę; zachowała ją gdzieś zasuszoną, zapomniała jednak gdzie. Może między kartami jakiegoś starego, zakurzonego tomu poezji?

Na ścianie w pobliżu wazonu wisiał portrecik Rose. Namalowano go podczas podróży. Clarissa nienawidziła portretu w bibliotece, ale jeszcze bardziej nie cierpiała tej miniaturki. Podobizna zdawała się emanować zaborczością, jakby pyszniła się, że Rose ma Davida na własność.

Clarissa nie znosiła bladych, lśniących złocistych loków ozdabiających tę pełną życia, zarumienioną twarz. Blanche miała czarne włosy. Duże, okrągłe niebieskie oczy, usta jak różany pąk... Takie wtedy podobały się najbardziej. Kto dzisiaj widywał takie usta? Delikatne ramiona... I one zdarzały się coraz rzadziej. Pielęgniarka miała ramiona kwadratowe jak mężczyzna.

Ramkę wykonano ze złota, na górze wieńczyła ją kokarda. Wiedziała, że Rose wręczyła ją Davidowi podczas którychś jego urodzin, gdy już zaczynała flirtować z Lloydem Normanem. Cóż, Blanche przynajmniej dochowała wierności Davidowi. Kobiety z rodu Wilcok-sów zawsze były wierne swoim mężom, nawet jeśli, zdarzało się, nienawidziły ich.

Mimo wszystko Clarissa cieszyła się, że pokój tonie w mroku. Nie chciała powiedzieć tego, co miała do powiedzenia Davidowi, widząc, jak Rose spogląda na nią triumfalnie z portretu. Jego twarz na poduszce wyglądała jak odlana z wosku. Oczy — szare, mgliste, o których mówiono, że były odziedziczone po matce Irlandce — przykrywały zmarszczone powieki. Piękne dłonie o długich palcach, potrafiące jednak zaciskać się z okrucieństwem, leżały na kołdrze. Pamiętała, jak kiedyś, wiele lat temu, wracali razem do domu. Skąd? Tego nie mogła sobie przypomnieć, zapamiętała natomiast doskonale uścisk jego dłoni. Ale to wszystko działo się przed pojawieniem się Rose...

Wciąż miał głęboki dołeczek w brodzie. Blanche lubiła przekomarzać się z Davidem, wkładając palec w to zagłębienie. Z pewnością robiły to setki innych dziewcząt. Mówi się, że marynarz ma narzeczoną w każdym porcie. Słyszała to również z ust doktora Blythe'a.

Niesamowite, że przysłowia cieszą się o wiele dłuższym życiem niż ludzie.

Przynajmniej nie zmienił się ten dołeczek. Wspaniałe siwe włosy miał odgarnięte z czoła. Był już starym człowiekiem, ale nie wyglądał na swoje lata nawet teraz, gdy leżał tu, umierający.

„David — pomyślała Clarissa — łaskawie pozwala na siebie spoglądać, jakby to był jakiś zaszczyt. Wszyscy Andersonowie tak się zachowywali, ale u Davida było to najbardziej widoczne”.

Clarissa usiadła na krześle. Oddychała szybciej, jakby zmęczyła się bieganiem. Minęło zaledwie kilka sekund, odkąd znalazła się w tym pokoju, a wydawało jej się, że minęło całe stulecie.

Zaskoczyło ją także — nieprzyjemnie zaskoczyło — że czuje strach przed Davidem. Zawsze się go bała,

tSt

é

najwyższy czas to przyznać, ale nie sądziła, iż ogarnie ją strach w takim momencie — w chwili jego śmierci. Nie spodziewała się również, że nawet teraz będzie czuć się w jego obecności jak jakaś idiotka i niezdara. Jakby Andersonowie byli lepsi od Wilcoksów! Okazało się jednak, że David wciąż tak na nią działał...

Zauważyła, że jej szczupłe, poznaczone żyłkami dłonie drżą. Była wściekła. Całe życie czekała na tę chwilę — nie pozwoli, by ktoś odebrał jej tę szansę. Jeśli na korytarzu pojawi się pielęgniarka lub gospodyni, zatrzaśnię im drzwi przed nosem.,

Walczyła ze swoją słabością. Gdy w końcu przemówiła, głos jej brzmiał spokojnie, czysto i dość młodzieńczo. Zdawało jej się, że powróciła do dawnych czasów. Ona i David byli wciąż młodzi... Anderson wcale nie umierał, to jakaś bzdura, zwykłe pogłoski. Ale skoro oni byli młodzi, to i Rose, a na to Clarissa nie mogła się zgodzić. Nie, są już starzy, a ona musi szybko powiedzieć to, co sobie zaplanowała, zanim ktoś zjawi się w pokoju i pokrzykuje jej plany. Stare domostwo wsłuchiwało się w jej słowa, w sącący się jad. Niekiedy nawet wiatr cichł za oknem, jakby cały świat chciał się przysłuchać. Doktor Blythe i pielęgniarka wciąż rozmawiali pod bramą. Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Co by powiedziała pani Blythe, gdyby o tym wiedziała?

— Tej nocy po raz pierwszy od lat zasnę z czystym sumieniem, Davidzie Andersonie. Zasnę równie spokojnym snem jak ty, choć twój sen będzie wieczny. Umrzesz, Davidzie Andersonie. Nigdy nie przypuszczałeś, że ta

chwila kiedyś nadejdzie, prawda? Być może zaznasz wiecznego spoczynku... jeżeli dusza rzeczywiście jest nieśmiertelna. A ja z pewnością odetchnę z ulgą... bo wyznam ci wszystko, co zawsze chciałam zrobić... Czekałam na ten moment wiele lat.

Jakże ja cię nienawidziłam! Nawet byś nie uwierzył. Jakże czekałam dnia, kiedy ujrzę cię na łożu śmierci! Bałam się tylko przez wszystkie te lata, że umrę przed tobą. Wierzyłam jednak, że Bóg nie pozwoli, aby stała się taka niesprawiedliwość. Owszem, świat pełen jest niesprawiedliwości, ale pewne rzeczy po prostu nie mogą się zdarzyć. To była jedna z tych rzeczy. Nie widzisz mnie, Davidzie Andersonie, ale możesz mnie słyszeć — a przynajmniej tak twierdzi doktor Blythe, jeden z nielicznych uczciwych mężczyzn, jakich znam.

Zrujnowałeś życie mojej siostry Blanche i doprowadziłeś do jej śmierci. Wiesz, że zmarła, ale nie masz pojęcia, że żyje jej dziecko! Och, gdybyś tylko był w stanie się poruszyć, pewnie zerwałbyś się w tej chwili z łóżka. O tej tajemnicy wiedzieli nieliczni. My, Wilcoxowie, również mamy swoją dumę, to nie był jedynie przymiot Andersonów. To jest chłopczyk, Davidzie Andersonie. Być może twój jedyny syn. Ach, gdybyś tylko nie był sparaliżowany, pewnie byś się teraz wzdrygnął! Ale ty nigdy nie wątpiłeś w Rose, prawda? Według ciebie była żoną idealną. Tymczasem przez wszystkie te lata... zresztą, to już nieważne. Plotki pozostaną plotkami. Twój syn nazywa się John Lovel. Gdy miał siedemnaście lat, wrócił do Lowbridge, a ty zatrudniłeś go w swoim biurze spedycyjnym. Była to marna, źle płatna praca. Twój syn,

Davidzie. Pamiętasz? Wątpię. Pewnie zapomniawszy o nim dawno temu.

Chyba tylko ja wiedziałam o tej tajemnicy. Może niektórzy jednak czegoś się domyślali, bo John jest bardzo do ciebie podobny. Przepracował u ciebie dwa lata, niestety, zabrał trochę pieniędzy z twojego sejfu. Twój współnik chciał przymknąć oko na całą sprawę, twierdził, że chłopak jest jeszcze taki młody, pewnie nie zadbane o jego dobre wychowanie. Ale ty nie dałeś się przekonać. Pamiętasz, Davidzie Andersonie? Twój syn... Twój syn... poszedł do więzienia. Wyszedł po pięciu latach już jako kryminalista. Twój syn, Davidzie Andersonie! Mam na to wszystko dowody i gdy odejdiesz z tego świata, sprawa ujrzy światło dzienne. Wszyscy się dowiedzą, że oto ty, sprawiedliwy, zacy, szlachetny człowiek... Dawno już ludzie zapomnieli o twoich wybrykach z czasów młodości! Przecież ty nawet byłeś w radzie kościoła, prawda?

Ale gdy umrzesz i będą cię chować obok Rose, wszyscy dowiedzą się, że miałeś romans z dziewczyną, której zrujnowałeś życie, że miałeś syna z nieprawego łoża, który trafił za kratki. Powiadam ci, Davidzie Andersonie, mam dowody.

Jak będzie się czuł ksiądz, odprawiając mszę na twoim pogrzebie? Ja będę się cieszyć. Bo na pewno przyjdę. Latami całymi nie wychodziłam z domu, ale twojego pogrzebu nie przegapiłabym za nic w świecie. Pomyśl tylko, co ludzie powiedzą. Nawet ci młodzi, którzy już cię nie pamiętają, którzy znają cię tylko z nazwiska. Będą plotkować tygodniami.

Oczywiście Andersonowie po-

fS4

starają się zamieść wszystko pod dywan, ale nie dadzą rady. Och, ludzie zbyt kochają plotki, nawet jeśli dotyczą spraw sprzed wielu lat.

Zostaniesz pochowany w grobowcu Andersonów, obok Rose. Na płycie nagrobka po lewej stronie znajduje się puste miejsce na twoje nazwisko. A nie przyszło ci do głowy, Davidzie Andersonie, że Rose wolałaby spocząć obok kogoś innego? Nie, na pewno o tym nie pomyślałeś. W końcu nie można dostąpić większego zaszczytu, niż być pochowanym w grobowcu Andersonów! Koło ciebie powinna jednak leżeć Blanche, nie Rose.

Ludzie przechodzący koło twojego grobu będą szeptać: „Tu leży stary David Anderson, ten hipokryta”. O, tak, tak powiedzą. Już ja się postaram, żeby o niczym nie zapomnieli. Nawet ci najmłodszy. Powiem o wszystkim Zuzannie Baker, będę miała z tego wielką satysfakcję. Zuzanna udaje, że gardzi plotkami, bo stara się pod każdym względem naśladować tę snobkę panią Blythe. Mogłabym opowiedzieć tej pani Blythe kilka historyjek o jej mężu i pielęgniarce albo o nim i o pani Ford, ale to nie moja sprawa. Mnie chodzi o ciebie, Davidzie Andersonie.

Będę pękać ze śmiechu, mijając twój nagrobek! W niedzielę, kiedy udaję się do kościoła, przechodzę koło cmentarza. Jestem na mszy w każdą niedzielę, jeśli tylko dam radę, chociaż ostatnio powoli wychodzi to z mody. I zawsze pokonuję ścieżkę przez cmentarz. Ludzie myślą, że jestem dewotką — jeżeli w ogóle coś o mnie myślą. Ale ja chodzę na cmentarz, żeby się pośmiać — cichutko, pod nosem — zdając sobie sprawę, że wystarczy, iż zacznę mówić, i w proch się obróci ta twoja nieskazitelna reputacja. A wtedy będę się śmiać jeszcze głośniej.

Zawsze byłeś dumnym człowiekiem, Davidzie Andersonie, nawet jak na standardy Andersonów. Pamiętasz, jak nie chciałeś usiąść w szkolnej ławie obok mojego kuzyna, bo był jednym z Wilcoksów? Im byłeś starszy, tym bardziej obrastałeś w dumę. Dumny z małżonki, z prowadzonych interesów, pięknych statków, z rangi kapitana, z bogactwa, ze wspaniałego domu — czy kiedykolwiek pomyślałeś o tym, że Rose wyszła za ciebie właśnie dla tej rezydencji? Dumny ze swego przystojnego syna.

Ale czy jesteś pewien, Davidzie Andersonie, że to na pewno twój syn?

Dochodzimy w końcu do sedna. Otóż inni ludzie nie mieli tej pewności. Spytaj dziadka Zuzanny Baker, gdy spotkasz się z nim na tamtym świecie.

Twoja śliczna Rose miała kochanka. Nie wiedziałeś

0 tym, nie spodziewałeś się tego? Ja o wszystkim wiedziałam — może nawet byłam jedyną — ale inni już coś podejrzewali. Nawet Zuzanna Baker o tym wspomniała, gdy dostałeś wylewu. Podobno jej dziadek widział Rose

1 Lloyd Normana pewnej nocy. Plotkowano po cichutku również o twoim romansie z Blanche, chociaż byliście tacy ostrożni.

Zawsze chciałam ci o wszystkim powiedzieć przed twoją śmiercią. Jakimś cudem wiedziałam, że pożyję dłużej niż ty. Nie tylko dlatego, iż byłam o wiele młodsza, ja po prostu wiedziałam. Ubóstwiałeś Rose, prawda?

Wstawiłeś piękny i kosztowny witraż w kościele w Low-bridge, by uczcić jej pamięć. Nocami światło przenika przez kolorowe szkiełka, pada na jej grób i dotyka grobu Lloyd Normana. Ale on już do niej nie przychodzi, jej twarzyczka nie rumieni się na sam dźwięk jego kroków, jak nieraz to widziałam, zaślepiony Davidzie Andersonie. Jej policzki są teraz zimne; grób to smutny kochanek, Davidzie. Ale ty już o tym wiesz, nareszcie się dowiedziałeś. Wiesz także, że wszystko, co powiedziałam, jest prawdą. Nie okłamuje się umierających. Wiesz już, że twoja żona, twoja piękna Rose, na którą łaska niebios nie spadała chyba zbyt często, była niewierna. Wielu ludzi wszystkiego się domyślało, podczas gdy ty paradowałeś z wysoko uniesionym czołem. Zuzanna Baker opowiadała, jak to jej dziadek podczas chrzcina syna Rose powiedział do swojej żony: „Mądre jest dziecko, które rozpoznaje własnego ojca”. Nabrzmiałe od emocji słowa Clarissy wpadały w ciszę niczym w głęboką studnię. W końcu dała upust swej nienawiści.

Przerwała monolog w ostatniej chwili. Doktor Blythe skończył rozmowę z pielęgniarką i odjechał. Kobieta wracała do swego pacjenta. Na korytarzu słychać było jakieś poruszenie — może to gospodyni wchodziła po schodach na tyłach rezydencji. Ale Clarissie udało się wykonać to, co sobie zaplanowała. Och, zemsta jest słodka.

Nagle zdała sobie sprawę, że znajduje się w pokoju zupełnie sama. Drżącymi dłońmi wyjęła zapalnik i zapaliła świecę stojącą na stole. Uniosła ją — blady, rozedrgany płomyk oświetlił twarz na poduszce.

David Anderson, niegdyś tak pełen wigoru, nie żył. Umarł, gdy do niego przemawiała. Na jego nieruchomej twarzy zastygł uśmiech.

Clarissa zawsze nienawidziła tego uśmiechu, bo nie miała pojęcia, co oznaczał. Teraz również pozostał nieodgadniony. Czyżby wyśmiewał się z niej, ponieważ w obecnej sytuacji żadne słowa nie miały już znaczenia?... f

Wilcoxowie nienawidzili wszystkich Andersonów, ale nie za ten grymas. Pamiętała, jak kiedyś w szkole nauczyciel stwierdził, że David musiał odwiedzić piekło i tam się nauczył takiego uśmiechu. Andersonowie natychmiast doprowadzili do tego, że nauczyciel stracił pracę. Tymczasem dziadek Zuzanny Baker był zdania, że David lubił wyprowadzać ludzi z równowagi za pomocą tego uśmiechu. Podobno zmuszał w ten sposób swoje załogi do posłuszeństwa. Clarissa pamiętała, że Andersonowie mieli problemy z kompletowaniem załogi na statek, jeśli na pokładzie miał znaleźć się David. Zastanawiała się, czy Rose rozumiała znaczenie owego okazywania „radości”.

„Jestem starą panną — powiedziała kiedyś Zuzanna Baker. — I mówię szczerze: nigdy nie znalazłam się w sytuacji, by ten stan rzeczy zmienić. Ale wolę już być starą panną na zawsze, niż wyjść za mąż za kogoś o takim uśmiechu jak David Anderson”.

Gdy pielęgniarka wpadła do pokoju, Clarissa zamarła.

— Nie żyje? — zapytała pielęgniarka. — Cały dzień na to czekaliśmy!

— Umarł, gdy pani sobie flirtowała w najlepsze z doktorem Blythe'em — zjadliwie przygadywała Clarissa.

Pielęgniarka wlepiła w nią zaskoczone spojrzenie. Wiedziała, że Clarissa Wilcox nie do końca ma poukładane w głowie, ale żeby posądzać ją o flirt z doktorem Blythe'em?!

Clarissa poczuła się stara, wykończona, głupia. Ta pielęgniarka kpiała sobie z niej, nawet w obecności zmarłego. Szybkim krokiem opuściła pokój, zostawiając uśmiechniętego Davida, równie aroganckiego w obliczu śmierci, jak i za życia. Bezszelestnie przemknęła na dół i wyszła na ulicę, ciemniejącą w zapadającym zmierzchu. Na zachodzie dogasały resztki słonecznego blasku. Skłębione, pienne fale zatoki rozbijały się o brzeg, wyglądając niczym obnażone kły. Clarissa poczuła przejmujące zimno.

— Chciałabym umrzeć — powiedziała na głos, nie zwracając uwagi na to, że ktoś mógłby usłyszeć. — Tak bardzo go kochałam... Zawsze go kochałam, od czasu gdy byliśmy małymi dziećmi. Mam nadzieję, że mnie nie słyszał. Dobry Boże, oby mnie nie słyszał! Ale tego nigdy się nie dowiem.

WIECZÓR TRZECI

KOCHAM MÓJ DOM

Kocham mój dom i jego cztery ściany I morza szum, i widok wody czystej. I choćby los w bezkresną dal mnie zagnał, Tu twierdza ma i tutaj moja przystań.

Tu każdy gość witany jest życzliwie I każdy kąt serdecznym przyjacielem. I każdy krzew, i wszystkie drzewa w sadzie Tak drogie są i znaczą też tak wiele.

I każdy kwiat swym wita mnie zapachem, I wabią mnie rosnące u stóp zioła, I znam kształt wzgórz, ich miękkie zagłębienia I jodeł cień, co rosną dookoła.

To mądry dom, tak wiele zapamiętał, Jak skrzynia skarbów zachował dobre chwile, Jesienny wieczór i poszarzałe niebo, Wiosenny deszcz, tak dobry i tak miły.

I grał tu walc, i wirowano w tańcu, Radośnie brzmiał szczęśliwej głos dziewczyny.

40

I próżny trud, by znaleźć drugi taki

Cudowny dom, bo dom ten jest jedyny.

I jest tu czar, dla oka niewidzialny,
Coś co tu trwa, co będzie i co było,
Bo zdarza się, że dom jest nieśmiertelny
I wieczny jest, gdy w nim zamieszka miłość.

Ania Blythe

DR GILBERT BLYTHE: — To łatwe... Chodzi o Zielone Wzgórze.

ANIA BLYTHE: — Nie do końca... Piszac wiersz, myślałam jednocześnie o Zielonym Wzgórzu, Domu Marzeń i Złotym Brzegu. Wszystkie razem oznaczają dom, który kocham.

DR GILBERT BLYTHE: — A nie wydaje ci się, droga Aniu, że trochę za mocno przywiązujesz się do pewnych miejsc?

ANIA BLYTHE, wzdychając: — Obawiam się, że to prawda. Ale, jak mawia Zuzanna, taka już się urodziłam, nic na to nie poradzę.

DR GILBERT BLYTHE: — Jak wyraźnie pamiętam te strzeliste jodły na wzgórzu Nawiedzonego Lasu! I masz rację, domy bywają „mądre”. Ale jednak się starzeją.

ANIA BLYTHE, delikatnie: — Nie w naszych wspomnieniach.

PIEŚŃ MORSKA Śpiewaj mi

O tajemnej pokusie morskiej toni,
O skarbach pereł w bezsłonecznych grotach,
Portach marzeń, statkach zgubionych,
Ślodyczy zwilżonych
Warg i syren psotach.

Ust bliskość im daj,
Śmiertelniku, i niech raj
Ziemski rozkosz wniesie w magii kraj,
Że tam bogactwa krocie...
O kupcach zmarłych, ich czerwonym złocie.
Śpiewaj mi

O straszliwej pokusie morza toni,
Pięknych istotach, uściśniętych na śmierć...
O paniach wonnych i ślicznych,
O dzieciach licznych
W walce o oddechu ćwierć.

O sile serc w chłodzie,
Mężów śmiałym tętnie zanikłym w wodzie,
Wilczy brzeg i skał okruchy,
Książąt i królów przewspaniałe duchy!

Śpiewaj mi

O tajemnej pokusie morza toni, Kwiecie piany, dróg jak szafir przejrzystych, Berylu raf i
lśnieniu laguny, Bladej łunie luny
W zatokach krystalicznie czystych, Wielkich salach nocy Cichych, świetlnych, prostej mocy,
Fiolecie nieb, gwiazdach bielą płonących, O hulance wiatru bez końca
Przyjaznemu morskim grzywaczom o wschodzie słońca!

Ania Blythe

42

DR GILBERT BLYTHE: — Obawiam się, że wyrządziłem światu ogromną krzywdę, żeniąc się z tak utalentowaną kobietą i niwecząc jej karierę... Nie oburzaj się, kochanie. Powiedz mi za to, czy przypadkiem inspiracją do napisania tego wiersza nie była Księga życia kapitana Jakuba*?

ANIA BLYTHE: — Owszem... Poza tym, właśnie że będę się oburzać. Jak możesz myśleć, że mogłabym wyżej cenić jakąś karierę niż ciebie? Tego ci nigdy nie wybaczę.

ZUZANNA BAKER: — Brakuje mi chyba wykształcenia, by w pełni zrozumieć pani wiersz, kochana doktorowo, ale nie sądzi pani, że niektórych fragmentów nie powinno się czytać dzieciom? Te fragmenty o syrenkach tęskniących za pocałunkami... (Po czym dodaje cicho:) Poza tym to nie najlepszy przykład dla Waltera. I tego się będę trzymać.

DR GILBERT BLYTHE: — Najwyższy czas, abyśmy wszyscy udali się do łóżek. Jutro czeka mnie skomplikowana operacja.

* Zob. Wymarzony dom Ani.

BLIŹNIAKI URUCHAMIAJĄ WYOBRAŹNIĘ

Jill i P.G. — nazywany również Świniakiem lub Prosiaczkiem, w zależności od nastroju Jill — nudzili się. Nie było to dla nich typowe, bo dzięki swej niezrównanej wyobraźni — która zadziwiała wszystkich i kazała się zastanawiać, co też te dziesięcioletnie małe diabły za chwilę wykombinują — świat nie przestawał wydawać im się intrygujący i fascynujący. Od rana było coś nie w porządku w Zatoczce Półksiężycy, położonej w połowie drogi między Mowbray Narrows i Glen St. Mary. Okazało się, że to dopiero początek wydarzeń, nazwanych później „Przygodą na Letnisku”.

Może coś wspólnego z całą sprawą miały przysmaki, które zjedli bez pozwolenia, gdy ciotka Henrietta źle się czuła, a mama była zbyt zajęta, by mieć na nich oko. Nan i Diana Blythe były akurat u nich w odwiedzinach. Przyjechały z Glen St. Mary.

— Musieliśmy dać im coś porządnego do przekąszenia, mamó.

144

— Nie widzę powodu, dla którego miały w ogóle jeść obiad — odparła mama ostrym tonem. — Przecież były już po kolacji, a poza tym wpadły do nas ledwie na pół godzinki, bo ich ojciec był u chorego w Górnym Glen.

— Pewnie ta stara Zuzanna Baker je głodzi — powiedziała Jill. — Poza tym to sympatyczne dziewczynki, mamó. Szkoda, że nie mieszkamy bliżej.

— Owszem, słyszałam, że rodzina Blythe'ów jest bardzo miła — przyznała mama. — A już z pewnością ich ojciec i matka. Ale jeśli one broją tyle w ciągu tygodnia, ile wy w ciągu pół godziny, współczuję całej rodzinie i chyba lepiej by było, gdyby owa Zuzanna Baker dawała dzieciom Blythe'ów połowę z tego, co im daje — jeśli oczywiście plotki są prawdziwe. Czy dziewczynki powiedziały wam, że są głodzone?

— Nie, nie, są na to zbyt lojalne — odparła Jill. — Ale wystarczy spojrzeć na Zuzannę Baker, by wiedzieć, że gdyby tylko mogła, to zagłodziłaby wszystkich na śmierć. Widziałam ją w kościele.

— No dobrze, zostawmy na razie Zuzannę Baker i bliźniaczki Blythe'ów w spokoju — oświadczyła mama. — Interesuje mnie teraz, kto używał nowego garnka ciotki Henrietty w taki sposób, że jest poobijany, dziurawy i nadaje się tylko do wyrzucenia?

— Och, potrzebowaliśmy czegoś, co wygląda jak rzymski hełm — wyjaśnił beztrosko P.G.

Nie rozumiał, po co robić problemy. Przecież w sklepie w Glen St. Mary sprzedawano dziesiątki o wiele lepszych garnków, które można było w każdej chwili kupić.

Bliźniaków zawsze wszędzie było pełno; bez przerwy brudziły się i zażarcie kłóciły ze sobą. „Trzeba jakoś radzić sobie z monotonią”, mawiała Jill. Pewnie doszłoby do bójki (a kiedy bliźniaki zaczynały ze sobą walczyć, ich zmęczona, przepracowana matka zastanawiała się, czemu los tak ją pokarał), gdyby nie zjawił się Anthony Lennox.

Na szczęście Anthony Lennox wkroczył w ich życie, a dzieci pokochały go od pierwszego wejrzenia. Jill powiedziała później Nan Blythe, że Lennox wygląda, jakby skrywał jakiś mroczny sekret. Jill i Nan były w tym wieku, kiedy uwielbia się wszelkie czarne charaktery. Nikt nie wzbudzał w nich większej sympatii niż ktoś, kto przypominał typa spod ciemnej gwiazdy, który popełnił w swoim życiu niejedną błąd.

— Albo był skruszonym piratem — mówiła Nan.

— A jeszcze lepiej, gdyby wcale nie okazywał skruchy — dodawała Diana Blythe. Jill była przekonana, że zrobiłaby wszystko dla pirata, który nie żałował swoich złych uczynków. Przy okazji dziewczynki odkryły, iż Zuzanna Baker gardzi piratami. Oczywiście ktoś taki byłby w stanie cię zagłodzić na śmierć, gdyby tylko mógł.

— Ależ nie — zaprotestowała lojalnie Diana — Zuzanna nikogo by nie zagłodziła. Mama zawsze ją upomina za to, że daje nam różne smakołyki przed snem. Zuzanna w sprawie piratów powiedziała by pewnie, że jak dorośniemy, to będziemy rozsądniejsze.

— Czy takie uwagi was nie irytują? — oburzała się Nan.

146*

Jill podzielała jej zdanie.

Anthony Lennox wyglądał tak podejrzanie, że można było go oskarżyć o wszystko, co tylko przyjdzie komuś do głowy. Ale czemu bogaty wydawca serii czasopism o ogólnokrajowym zasięgu miał budzić negatywne uczucia w taki poranek, bliźniaki nie miały pojęcia. Nie wiedziały również, dlaczego właściwie był on milionerem (bliźniaczki Blythe'ow usłyszały to od Zuzanny Baker), ani z jakiego powodu postanowił spędzić wakacje na nikomu nie znanej, skromnej Wyspie Księcia Edwarda.

Tymczasem Anthony, podobnie jak bliźniaki, był znudzony. W przeciwieństwie jednak do nich Lennox nudził się chronicznie. Zuzanna Baker twierdziła, że tak to już jest, gdy człowiek nie musi ciężko pracować na swoje bogactwo.

Anthony był znużony: zarabianiem pieniędzy, wydawaniem czasopism, kształtowaniem opinii publicznej, byciem w centrum zainteresowania kobiet (okazał się na tyle nieuprzejmy, że oznajmiał to wszystkim).

Dla niego cały świat stanął w miejscu.

Miał już serdecznie dość Zatoczki Półksiężycy, chociaż spędził tu zaledwie kilka dni. Jaki był głupi, że wrócił do tego miejsca! Mógł się przecież domyślić — właściwie to się domyślał — jak to wszystko się skończy. Kroczył po żwirowej ścieżce, wiatr smagał mu twarz. Ponad jego głową rozpościerało się błękitne niebo, przed nim — granatowe morze. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, rozciągał się wspaniały, czysty, niebieski świat. Mogłoby się wydawać, że do takiego miejsca duchy nie

147

miały dostępu. A jednak on czuł się przez nie nawiedzony. Do diabła!

Mniejsza o to, najgorsza była ta monotonia. Wszystko się do niej sprowadzało. Duchów i nudy Anthony Lennox nie był w stanie znieść. Przez piętnaście lat usiłował uciec od jednego i drugiego. Lekarz zalecił mu wyjazd na lato do jakiegoś ustronnego, spokojnego miejsca, by ukoić zszargane nerwy przed nadejściem jesieni. Ale nie miał chyba na myśli wymarłej miejsciny?

Postanowił po południu stąd wyjechać.

Gdy tylko podjął decyzję, dotarł do miejsca, gdzie na głazie siedziała Jill, udając królową na tronie. P.G. leżał na brzuchu na hałdzie piachu, zbyt znudzony, by nawet unieść głowę.

Anthony przystanął i spojrzał na Jill, na jej zabawną, zuchwałą twarzyczkę, z grzywką rudobrazowych włosów, na nosek, który nie wyglądał jak typowa plamka na twarzy dziesięcioletki, lecz zwracał na siebie uwagę. Patrzył na jej podłużne, zazwyczaj uśmiechnięte usta, których kąciaki w tej chwili jednak opadały.

W tym momencie dusza Anthony'ego Lennoksa związała się z duszą Jill — i już nigdy supeł ten nie miał zostać rozwiązany. Ale to nie nos, usta czy zuchwałość tak go urzekły. Diana Blythe, którą poznał jakiś czas temu, również tak wyglądała, chociaż może nie była aż tak zuchwałą.

Otóż najbardziej niezwykle były oczy Jill — jaśniejące, ocienione czarnymi rzęsami. Znał kiedyś kobietę o takich oczach, choć u napotkanej dziewczynki były one szare niczym burzowe niebo i zdradzające niepo-

korną osobowość. Tymczasem oczy tamtej kobiety były niebieskie, rozmarzone, a jednocześnie dzikie, tajemnicze, rozkoszne.

— Co tam? — odezwał się Anthony.

— Nic tam — odpowiedziała arogancko nadąsana Jill.

— O co chodzi? — nie poddawał się Anthony. — W taki poranek dwójka dzieciaków powinna dokazywać jak para koników polnych.

— O co chodzi?! O co chodzi?! — Jill dała upust swemu niezadowoleniu. — To wszystko wina Prosiaczka!

Prosiaczek jęknął.

— A wzdychaj sobie. Jedyne, co mu dzisiaj wychodzi, to wzdychanie. Nawet nie chce się bawić w udawanie, po prostu nie daje rady. Tarza się w tym piachu i wzdycha. A jeśli człowiek nie potrafi udawać, to... — głos Jill uderzył w dramatyczne nuty — jaki jest sens życia?

— No właśnie, jaki? — chętnie zgodził się z nią Anthony.

— Dziewczyny Blythe'ów zaprosiły nas do siebie, ale przecież nie możemy w kółko tam jeździć. To nie chodzi o to, że ja... — Jill była teraz bliska łez — że mnie brakuje zdrowego rozsądku. Powiedziałam bratu, że mogę udawać kogokolwiek. Ale była moja kolej, a ja miałam ochotę tylko na jedną rzecz. Nan Blythe oświadczyła, że często bawią się z Walterem w udawanie w Tęczowej Dolinie. Ale P.G. mógł wybrać. Bawiłabym się w torturowanie Indian, zabawianie króla, w księżniczkę uwięzioną w zamku przy brzegu morza, egzekucję Edith Cavell, w krainę, gdzie spełniają się marzenia — w to

*j9

szczególnie lubią się bawić dziewczyny Blythe'ow — lub cokolwiek innego. Ale on nie chciał. Twierdzi, że jest wszystkim zmęczony.

Jill musiała zaczerpnąć tchu, więc na chwilę zamilkła, po czym bezlitośnie kopnęła lewą stopą P.G. w gołę.

P.G. przewrócił się na plecy. Lennox przyjrzał się jego twarzy uderzająco podobnej do twarzy Jill, z "tym że P.G. miał ładne piwne oczy i więcej piegów.

— Bawienie się w krainę, gdzie spełniają się marzenia, to największa głupota na świecie — mruknął złośliwie. — Bo marzenia nigdy się nie spełniają. Jill ma po prostu nie po kolei w głowie.

P.G. obrócił się teraz na brzuch, dając szansę Jill na ripostę.

— Jakoś wczoraj nie powiedziałeś tego Nan Blythe

— syknęła. — Uznałeś to za najlepszą zabawę pod słońcem. I lepiej nie leż na brzuchu, nie myśl się dziś za uszami.

P.G. udał, że nie słyszy, ale Jill wiedziała, że jej słowa trafiły w czuły punkt. P.G., jak na chłopca, był dość przewrażliwiony na punkcie czystości.

— A co chciałaś udawać? — zapytał Anthony.

— Chciałam sobie wyobrazić, że jesteśmy bogaci — w rzeczywistości jesteśmy biedni jak myszy kościelne

— że kupiliśmy Sadowe Wzgórze i przywróciliśmy to miejsce do życia. Diana mówi, że one często się w to bawią. Tyle że one mogłyby spełnić swoje marzenia. Ich ojciec jest wziętym lekarzem.

Anthony szeroko otworzył brązowe oczy.

f6O

— Co to za miejsce, to Sadowe Wzgórze? Kiedy i dlaczego podupadło?

— Opowiedz mu o wszystkim — zadrwił P.G. — Tylko niczego nie pomin! Na pewno będzie baaardzo zainteresowany.

— Nazwę wzięliśmy z pewnej książki. Samo miejsce znajduje się jakieś pół mili stąd, w połowie drogi między Zatoczką i Glen. Należy do kogoś, kto lata temu stąd wyjechał i nigdy nie wrócił. Kiedyś było tu pięknie, a Nan mówi, że Zuzanna uważa, iż nawet ładniej niż w Złotym Brzegu, ale ja w to nie wierzę. Widział pan kiedyś Złoty Brzeg?

— O, tak. Byłem tam — powiedział Anthony, puszczając kaczki na wodzie z taką wprawą, że P.G. pozieleniał z zazdrości. — Ale nie znam miejsca zwanego Sadowym Wzgórzem.

— Mówię panu przecież, że to nazwa z książki. Sami ją nadaliśmy. Ale chciałabym, żeby ktoś pokochał Sadowe Wzgórze. Teraz to takie obskurne miejsce, jak mawia Nan. Dachówki roztrzaskane, daszek werandy złamany, okiennice odpadły, a jeden z kominków się zawalił i teraz wszystko porastają łopiany. Jest tam tak pusto i nieprzyjemnie.

— Jakbym słyszał Nan Blythe — mruknął P.G.

— No i co z tego. Ona pewnie powtarzała wszystko po swojej mamie. Podobno pani Blythe pisze opowiadania. W każdym razie płakać mi się chce za każdym razem, gdy widzę Sadowe Wzgórze. Niedobrze, jak dom stoi tak samotnie!

— Jakby domy miały uczucia — prychnął P.G.

fóf

— Ależ oczywiście, mają — zapewnił Anthony. — A czemu właściwie nikt nie kupił tej posiadłości?

— Nikt jej nie chce. Diana twierdzi, że spadkobiercy żądają zbyt wysokiej ceny. Natomiast Zuzanna Baker mówi, że nie przyjęłaby domu, nawet gdyby jej ktoś go podarował. Potrzeba by całej fortuny, żeby odbudować Sadowe Wzgórze. Ja, gdybym była bogata, kupiłabym to miejsce. Prosiaczek też by się skusił i gdyby się tak nie dąsał, przyznałby się do tego.

— I co byś potem zrobiła z Sadowym Wzgórzem?

— Tyle razy wyobrażaliśmy sobie z Prosiaczkiem, że staliśmy się właścicielami domu, że wiemy dokładnie, co i jak byśmy zrobili. Blythe'owie postąpiliby inaczej, ale oni myślą bardziej ekonomicznie. Mnie się wydaje, że skoro już sobie coś wyobrażam, to mogę sobie pozwolić na ekstrawagancję, prawda?

— Prawda. Ale nie odpowiedziałas na moje pytanie.

— Cóż. Na pewno pokrylibyśmy dach nową dachówką, Nan Blythe otynkowałaby ściany, odbudowalibyśmy kominek — co do tego wszyscy byli zgodni — szkoda, że pan nie widział kominka w Złotym Brzegu, zburzylibyśmy starą werandę i zbudowali ładny ganek.

— Zapominasz chyba, że on widział Złoty Brzeg — wtrącił P.G.

— A na polu łopianu urządzilibyśmy różany ogródek. Zuzanna w tej kwestii myśli podobnie. Zdziwiłby się pan, jak bujną wyobraźnię ma Zuzanna Baker. Tylko trzeba ją lepiej poznać.

— Jeśli chodzi o kobiety, to nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć — rzekł Anthony.

162

— To miała być cyniczna uwaga? — spytała Jill, wpatrując się w niego. — Zawsze chciałam usłyszeć coś cynicznego.

— A jak urządziłabyś wnętrze? — Anthony zignorował jej pytanie. — Domyślam się, że też wymaga remontu.

— Och, wyposażylibyśmy wnętrza na podobieństwo pałacu. Mielibyśmy z tego świetną zabawę.

— O tak — wtrącił P.G., który nie mógł dłużej milczeć. — To dlatego Jill lubi sobie wyobrażać remontowanie tego domu. Ma fioła na punkcie zasłon, poduszek i takich tam. Podobnie dziewczyny Blythe'ów. Tyle że one mają odrobinę zdrowego rozsądku — postąpiłyby tak, jak i ja bym postąpił.

— Czyli?

— Jest pan mężczyzną, powinien pan wiedzieć. Wykopałbym tam basen, zbudował kort tenisowy i ogródek skalny — mają taki w Złotym Brzegu. Pierwsza klasa.

— Przecież on widział Złoty Brzeg, sam to przed chwilą powiedziałeś — odgryzła się Jill. — Wie pan, że przenieśli samodzielnie kamienie i głazy aż znad zatoki? Zuzanna Baker im pomogła.

— Ogródek skalny nie kosztowałby wiele — kontynuował P.G. — Niech pan tylko spojrzysz na te kamienie wokół. Ale chciałbym też mieć nad rzeką szopę na łódź, bo przez Sadowe Wzgórze przepływa rzeczka. Och, i jeszcze zagrody dla setek psów! — P.G. westchnął z rozmarzeniem. — Gdyby tylko człowiek był bogaty...

— Ale nie jesteśmy bogaci. Tymczasem wyobraźnia, drogi Prosiaczku, nic nie kosztuje — odparła Jill już mniej gniewnym tonem.

— Czasem kosztuje — odezwał się Anthony. — Kosztuje więcej, niż mógłby zapłacić nawet najbogatszy człowiek na ziemi. Ale pomysł z ogródkiem różanym podoba mi się. Zawsze skrycie marzyłem o hodowli róż.

— No więc czemu pan sobie ich nie posadzi? — zdziwiła się Jill. — Wszyscy wiedzą, że jest pan bogaty. Dziewczyny Blythe'ów mówią, że ich ojciec mówi, że...

— Tu chodzi nie tylko o pieniądze, droga Jill, ale o czas, by się cieszyć różami. Na co mi ogród, który widziałbym raz na kilka lat? Mógłbym na przykład przebywać w Turkmenistanie, a w tym czasie róże by kwitły.

— Ale wiedziałby pan, że ogród różany istnieje — powiedziała Jill. — Ktoś inny mógłby się nim cieszyć podczas pańskiej nieobecności.

— Cóż z ciebie za filozofka! — wykrzyknął Anthony, po czym w mgnieniu oka podjął decyzję, jak zresztą zawsze. — A gdybyśmy tak odbudowali Sadowe Wzgórze? Jill gapiała się na niego w milczeniu. P.G. doszedł do wniosku, że Anthony zwariował. Nan Blythe wspominała, że wie od Zuzanny, iż on ma nie po kolei w głowie.

— Odbudowali? Poważnie pan mówi? Ale jak? Może pan kupić to miejsce?

— Nie muszę kupować. Ono należy do mnie, chociaż nie widziałem go na oczy od piętnastu lat. Wtedy to był po prostu „stary dom Lennox”. Z początku nie wiedziałem, że to właśnie mieliście na myśli.

P.G. przyjrzał się Anthony'emu uważnie i doszedł do wniosku, że Nan ma rację. Jill również na niego patrzyła, ale uznała, że jest on całkiem zdrowy na umyśle.

— A co pan sobie myślał, wyjeżdżając i zostawiając to piękne miejsce na pastwę losu? — spytała Jill karcącym tonem. — Nie dziwię się, że Zuzanna Baker sądzi, iż...

— Nieważne, co sądzi Zuzanna Baker. Kiedyś opowiem wam całą historię. Tymczasem zdecydуйте: wchodzie ze mną w spółkę czy nie? Ja zapewne gotówkę, a wy wprawicie w ruch wyobraźnię. Ale dziewczynki Blythe'ów nie mogą się o niczym dowiedzieć, póki nie skończymy remontu.

— Ale to bardzo fajne dziewczyny — zaprotestowała Jill.

— Nie wątpię. Córkę Gilberta Blythe'a i Ani Shirley muszą być fajne.

— Gdyby przyrzekły, na pewno nie zdradziłyby sekretu — zapewnił P.G.

— Na pewno nie miałyby takiego zamiaru. Ale nie sądzicie, że Zuzannie Baker w mig udałoby się wszystko z nich wyciągnąć?

— Ma pan dużo pieniędzy? — dopytywała się Jill, która postanowiła przejść do rzeczy.

— Jeśli chcemy, by wszystko było tak, jak to sobie wyobraziliśmy, będzie potrzeba milionów...

— E tam — wtrącił nieoczekiwanie P.G. — Ja już to sobie wszystko dawno temu obliczyłem. Wystarczy trzydzieści tysięcy.

Anthony spojrział na niego z przerażeniem, a przynajmniej tak wydawało się Jill.

— Pewnie nie ma pan aż tyle pieniędzy? Wiedziałam, że tak będzie. Zuzanna Baker mówi...

— Jeśli jeszcze raz wspomnicie przy mnie o Zuzannie Baker, podniosę jeden z tych okrągłych kamyków, pójdę do Złotego Brzegu i w nią rzucę. Jak myślicie, czy potem dziewczynki Blythe'ów nadal was będą lubić?

— No, ale zdawało mi się, że pan...

— Och, owszem, byłem trochę zaskoczony — przyznał Anthony. — Ale nie chodzi o sumę. Niczym się nie martw, kochana. Mam trochę drobniaków w skarbonce. Więc jak, wchodzicie w to?

— Jasne! — odparli jednocześnie Jill i P.G. '

Cała ta sytuacja przeciętnemu człowiekowi wydałaby

się nieprawdopodobna, ale dla bliźniaków wszystko było możliwe. Już tyle razy przebywali w krainie wyobraźni, gdzie spełniają się wszelkie marzenia, że nic nie mogło ich zadziwić.

— Mam nadzieję, że wasi rodzice nie będą mieli nic przeciwko naszym planom? — spytał Anthony. — Bo wiecie, często będziecie potrzebni w Sadowym Wzgórzu.

— My nie mamy rodziców — wyjaśniła Jill. — To znaczy, jest mama, rzecz jasna, ale ona jest stale zajęta usługiwaniem ciotce Henriecie, więc nami się już zupełnie nie przejmuję. Na pewno nie będzie się o nas martwić. Poza tym jest pan chyba godny zaufania, co nie?

— Naturalnie. A wasz ojciec... czy on?

— Nie żyje — odparł pogodnie P.G. Ojciec był dla nich jedynie nazwiskiem na nagrobku, zmarł trzy miesiące po ich narodzeniu. — Nie zostawił po sobie złamanego grosza, jak mówi Zuzanna... to znaczy ludzie... więc mama musiała iść do pracy. Uczy w szkole, gdy jesteśmy w domu. Mieszkamy na Zachodzie, wie pan?

fö(T

— Ale w zeszłym roku nie czuła się najlepiej — dodała Jill. — Więc kierownictwo szkoły dało jej roczny urlop.

— Płatny — wtrącił P.G., który w tym momencie myślał tylko o finansach.

— Więc przyjechaliśmy do Zatoczki Półksiężycy, aby mama odpoczęła.

— Odpoczywa, usługując ciotce Henriecie — mruknął ze złością P.G.

— Z deszczu pod rynnę...

— Lepiej jej nie mówmy o całej sprawie — powiedziała Jill. — Mogłaby jeszcze się o nas martwić, a i bez tego ma wystarczająco dużo na głowie, przynajmniej zdaniem Zuzanny... to znaczy ludzi. Póki będziemy wracać o normalnych porach na posiłki i chodzić spać o zwykłej porze, będzie sobie myśleć, że po prostu bawimy się na brzegu, tak jak zwykle. A my już wiemy, jak się zatroszczyć o siebie, panie... Panie?...

— Lennox. Anthony Lennox. Do usług.

— Co pan zamierza zrobić z Sadowym Wzgierzem, jak już zakończymy remont?

Wprowadzi się pan?

— Broń Boże! — wykrzyknął Anthony Lennox.

Coś w tonie jego głosu zniechęcało do zadawania dodatkowych pytań.

Wieczorem udali się do Sadowego Wzgórza. Bliźniaki wprost emanowały entuzjazmem, natomiast Anthony nieomal stchórzył. Przekręcając w zardzewiałym zamku bramy klucz, który odebrał od prawnika z Lowbridge, miał ochotę po prostu uciec.

— Najpierw musimy zburzyć ten straszliwy mur i usunąć bramę — powiedziała Jill. — W murze pełno jest dziur. Przez taką jedną, za stodołą, razem z Prosiaczkiem udawało nam się przeciskać na drugą stronę. Nie mogliśmy jednak wejść do domu ani nawet zajrzeć przez szyby. Ale Zuzanna — to znaczy kobieta, o której nie możemy wspominać, bo inaczej przyłoży jej pan kamieniem — mówiła, że kiedyś było to przyjemne miejsce.

— Cóż, tym razem będziecie mogli się mu przyjrzeć. Obejdziemy cały teren, a potem usiądziemy sobie-na werandzie i zaplanujemy wszystko.

— Ja już dawno temu wszystko zaplanowałam — zapewniła go Jill. — Razem z Nan Blythe wczoraj wymyśliłyśmy, jak można umeblować pokój dzienny. Mam nadzieję, że jej nazwisko mogę wymieniać bez obawy, że zdzieli ją pan kamieniem?

— Możesz. Ale pamiętaj, że Nan nie może o niczym się dowiedzieć.

— Przecież to panu obiecaliśmy — przypomniała z nieco urażoną dumą Jill. — Ale jeśli za często będziemy się kręcić przy Sadowym Wzgórzu, sekret wyjdzie na jaw.

— Nikt jednak nie dowie się o tym, że realizuję wasze pomysły — wyjaśnił Anthony. Wzruszył z rezygnacją ramionami. Mógłby jej posłuchać. Ciekawe, co ona zrobiłaby z tym miejscem. Ale czy to miało dla niego jakiegokolwiek znaczenie? Po odnowieniu Sadowego Wzgórza łatwo będzie znaleźć nabywcę. Kiedyś miałby pewnie kłopoty ze sprzedażą, ale ostatnio na Wyspę przybywa coraz więcej turystów.

W każdym razie posiadłość zupełnie się dla niego nie liczyła. Zupełnie.

A mimo to ręka mu zadrżała, gdy otwierał drzwi wejściowe. Wiedział, co za chwilę ujrzy. Tak, wciąż tam był: wielki kominek w kwadratowym holu, a w kominku — popiół, z czasu, gdy ostatni raz siedział przy ogniu tamtej niezapomnianej nocy, nocy sprzed piętnastu lat, spoglądając rozpacznie prosto w twarz. A potem opuścił ten dom na zawsze. Czemu nie uprzątnięto popiołów? Milton miał przecież nająć kobietę do sprzątania, do utrzymania miejsca w jako takim porządku.

Najwyraźniej niezbyt się przejął tym poleceniem. Wszędzie zalegały grube warstwy kurzu. Jill pociągnęła nosem.

— Na litość boską, proszę zostawić drzwi otwarte — zarządziła. — W tym domu potwornie śmierdzi. Ale czemu się dziwić... Przez piętnaście lat nie wpadł tu ani jeden promyk słońca. Wszystko się jednak zmienia. Gdyby Zuzanna Baker to zobaczyła...

— Zapomniałaś, o czym przestrzegałem? — upomniał ją Anthony.

— Tak. Bo nie miał pan tak naprawdę tego na myśli. Zamierzam mówić o Zuzannie i bliźniaczkach Blythe'ów, kiedy tylko będę chciała, ale nie będę rozmawiać z nimi o remoncie Sadowego Wzgórza. Daję panu na to słowo honoru.

Przez następną godzinę bliźniaki przeżywały cudowne chwile. Zwiedziły cały dom, od strychu po piwnice, a Jill kipiała pomysłami na odnowienie Sadowego Wzgórza. Nawet P.G. udzielał się ten entuzjazm.

Ale jedna rzecz, musiała przyznać Jill, przyprawiała ją o ciarki. Chodziło o zepsuty zegar stojący u podnóża schodów. Wysoki czasomierz z wahadłem, wskazówki pokazywały godzinę dwunastą. Podobny stał w Złotym Brzegu.

— Zatrzymałem go na tej godzinie pewnej nocy, piętnaście lat temu — powiedział Anthony. — Na długo przedtem, nim Blythe'owie sprowadzili się do Glen. Byłem wtedy w sentymentalnym nastroju. Wydawało mi się, że czas stanął dla mnie w miejscu. >

— Gdy już wyremontujemy to miejsce, uruchomię zegar — postanowiła Jill. — Zegar w Złotym Brzegu tyka cały czas. Należał on do pradziadka doktora Blythe'a. Powinien pan widzieć, jak dumna jest z tego zegara Zuzanna Baker. I nawet pani Blythe...

— Nie chcę słyszeć ani słowa o pani Blythe — rzekł ostro Anthony.

— Nie lubi jej pan? — spytała z zaciekawieniem Jill. — Bo my lubimy ją bardzo.

— Oczywiście, że ją lubię. Gdybym poznał ją, zanim spotkała doktora... lub zanim zrobiłem z siebie idiotę... to pewnie poślubiłbym ją, gdyby tylko wyraziła zgodę. Ale z pewnością by mnie nie zechciała. Porzućmy jednak ten temat.

Wyszli na zewnątrz i usiedli na schodkach werandy. Anthony rozejrzał się wokoło. Jakież to było piękne, melancholijne miejsce! A kiedyś było takie wesołe...

Ogród, który uwielbiała jego matka, zarósł chwastami. W odległym kącie, gdzie nie mogło rosnąć nic z wyjątkiem fiołków, dziś panoszył się gąszcz łopianów.

Czuł, że dom robi mu wyrzuty. Kiedyś było w nim pełno ludzi. Zakochiwali się w nim mężczyźni i kobiety. Dzieci przychodziły w nim na świat, umierali starsi. Tragedie i radość. Modlitwa. Spokój. Schronienie.

A mimo to dom nie był usatysfakcjonowany. Tęsknił za czymś więcej. To wstyd, że został porzucony i zaniedbany na tyle lat. Piękny widok roztaczał się od strony werandy: prosto na morze, srebrzysto-szafirowe, cętko-wane karmazynem. Widok rozpościerający się ze Złotego Brzegu, w Przystani Czterech Wiatrów, słyszał z tego, że zapierał dech w piersiach, ale nie mógł się równać z tym tutaj. Stara poczciwa Zuzanna mogła sobie mówić, co chciała.

— Zanim wrócimy do domu — odezwała się Jill — może powie nam pan, czemu zostawił Sadowe Wzgórze na pastwę losu? Obiecał nam pan tę opowieść.

— Obiecałem, że kiedyś wam opowiem — sprostował Anthony.

— No właśnie teraz nadeszło to kiedyś — upierała się Jill. — Najlepiej, żeby pan nie zwlekał dłużej i zaczynał, bo przed zmrokiem musimy być w domu, inaczej mama Zacnie się martwić.

No i w końcu o wszystkim im opowiedział. Nigdy nikomu nie zwierzył się z tej historii. Przez piętnaście lat trzymał język za zębami i rozmyślał. Ale teraz odczuwał coś na kształt ulgi, gdy opowiadał o wszystkim Jill i P.G., którzy słuchali z szeroko otwartymi oczyma. Oczywiście, i tak nic z tego nie rozumieją, ale już sam fakt, że w końcu to z siebie wyrzucił, pozwalał usunąć z duszy ślady gorzkości.

— Był sobie raz pewien głupiec...

— To znaczy pan? — przerwał P.G.

— Cicho! Czy ty w ogóle nie umiesz się zachować? — syknęła wściekle Jill.

— Pal licha dobre maniery. W tym momencie nie jest to istotne. Tak, byłem niegdyś młodym głupcem. Zresztą przez te lata wiele nie zmadrzałem. Oprócz mnie była sobie jeszcze pewna dziewczyna...

— Jak zwykle, musi być dziewczyna — wymamrotał z obrzydzeniem P.G.

— Cicho, Świniak! — warknęła Jill.

Gdy Anthony Lennox opowiadał, jego oczy i ton głosu stawały się coraz bardziej rozmarzone. Jill zdała sobie sprawę, że przestał wyglądać jak pirat — przypominał jej teraz natchnionego poetę.

Z ową dziewczyną przyjaźnił się w dzieciństwie. Potem, gdy już dorośli, zostali kochankami. A kiedy musiał wyjechać za granicę, na uczelnię, podarował jej pierścionek, który obiecała nosić „tak długo, jak długo w jej sercu nie zagości inny mężczyzna”.

Trzy lata później powrócił z Anglii i ujrzał, że ona nie ma już pierścionka na palcu.

Najwyraźniej przestała go kochać. Był zbyt dumny i zraniony, by spytać ją o powody.

— Typowy mężczyzna — skomentowała Jill. — A przecież mogła być jakaś ważna przyczyna! Może pierścionek się poluzował i spadł jej z palca, gdy zmywała naczynia? Albo został uszkodzony i nie miała czasu go naprawić?

— Cóż, w każdym razie zamknąłem dom na cztery spusty — należał już wtedy do mnie, ponieważ rodzice zmarli — i wyjechałem, zostawiając go, by niszczał.

— Niezbyt roztropnie pan postąpił — Jill nie zamierzała niczego owijać w bawełnę. — Trzeba było od razu spytać tę kobietę, czemu nie nosiła pierścionka.

— Ja bym na pewno spytał — wtrącił P.G. — Żadna dziewczyna nie mogłaby wystawić mnie do wiatru. Poza tym zgadzam się z Jill, całą tę sytuację pewnie dałoby się łatwo wytłumaczyć.

— Oczywiście, że istniało wytłumaczenie. Zakochała się w kimś innym. Wkrótce się o tym dowiedziałem.

— Jak?

— Ludzie gadali.

— Ale nie dowiedział się pan tego od niej. Może była równie dumna jak pan.

— A nawet jeśli w tym wszystkim było ziarno prawdy, to nie powinien pan pozwolić, by Sadowe Wzgórze obróciło się w ruinę — powiedział P.G.

— Mężczyźni to takie samolubne wieprzki — podsumowała Jill. — Zuzanna Baker mówi, że doktor Blythe jest najmniej samolubnym mężczyzną, jakiego zna, ale nawet on wpada w szal, jeśli ktoś mu zje kawałek ciasta, który Zuzanna zostawia dla niego w spiżarni.

— Zakochani mężczyźni nigdy nie zachowują się rozsądnie, a już bardzo rzadko nie są samolubni, Jill. Poza tym pamiętaj, że okrutnie cierpiałem.

— Wiem — Jill ujęła swoją opaloną rączką jego dłoń i uściśliła ją po przyjacielsku. — To beznadziejne, jak ktoś cię tak strasznie zawiedzie. Jaka ona była? Och, jaka ona była!

— Błada, nieśmiała, słodziutka. Rzadko się śmiała, ale ten jej śmiech był przecudowny. Była niczym... ni-

czym srebrzysta brzoza otulona światłem księżyca. Mężczyźni za nią szaleli.

Kiedyś pani Blythe wydała mu się do niej podobna, chociaż nie wyglądały tak samo. Może chodziło o pokrewieństwo dusz? Nic dziwnego, że nim wzgardziła. W końcu był tylko biednym chłopakiem, którego ojcowiznę stanowiła niewielka posiadłość na wsi.

— A jej oczy... niebieskie jak morze i jasne niczym gwiazdy. Dla takich oczu można by umrzeć.

— To zupełnie jak Helena trojańska — wymruczała Jill.

— Jaka Helena?

— Trojańska. Chyba pan wie, kim była Helena trojańska?

— Oczywiście. Po prostu umknęły mi już pewne szczegóły z historii antycznej. Chodzi o kobietę, o którą mężczyźni walczyli przez dziesięć lat. Ciekawe, czy zwycięzca uznał, że warto było przelać dla niej tyle krwi?

— Zuzanna Baker twierdzi, że tego niewarta jest żadna kobieta — rzekł P.G. — No, ale co ona może wiedzieć, o nią nikt nigdy nie walczył.

— Dajcie spokój z Zuzanną Baker. Gdy wyobrażacie sobie różne historie, to kogo obsadzacie w roli Heleny trojańskiej? — spytał Anthony.

— Pewną artystkę, która latem wynajmuje dom w sąsiedztwie ciotki Henrietty. Nie wiemy, jak się nazywa, ale za każdym razem, gdy ją spotykamy, cudownie się do nas uśmiecha. Ma takie słodkie błękitne oczy... no, po prostu jest boska.

— Niezła z niej kobietka, ale już ma swoje latka — powiedział P.G., który lubił zgrywać się na twardego cy-

nika, a kiedyś usłyszał, jak doktor Blythe w ten sposób kogoś opisuje.

— Ty już lepiej nic nie mów — ofuknęła go Jill. — Czy ona... ta pana ukochana... wyszła za kogoś?

— Przypuszczam, że tak.

— Przypuszcza pan? To znaczy, że pan nie wie?

— Jej rodzina wyprowadziła się rok później na Zachód. Nie wiem, jak się potoczyły jej losy.

— I nigdy nie zadał pan sobie trudu, żeby się dowiedzieć?! Najwyraźniej Zuzanna Baker ma więcej oleju w głowie niż większość kobiet — powiedziała zdeglustowana Jill.

— Musicie zrozumieć, że byłem zbyt zraniony, by podążać jej śladem. No, chyba wystarczy na dziś. Jeśli nawet wasza matka zwykle się o was nie martwi, to pewnie Helena trojańska już was wyczekuje.

— Helena w ogóle nas nie zna, a mama martwi się o nas z zasady — odparł ze wzburzeniem P.G. — Tylko ciotka Henrietta jest bardzo wymagająca. To siostra naszego

ojca. Zuzanna Baker twierdzi, że to najsrozsza jędra na całej Wyspie. Nawet doktor mówi, że...

— P.G. — poważnym tonem odezwała się Jill. — Przestań rozsiewać plotki, nawet takie, które przekazuje ci Diana Blythe.

— A w której on się podkochuje? — Anthony szeptem spytał Jill. — W Nan czy Dianie?

— W obu — odparła Jill. — Ale wróćmy do tematu domu. Co z nim robimy?

— Jutro wpadnę do miasta i w przyszłym tygodniu możemy zaczynać — powiedział Anthony.

Kilka dni później armia robotników zjawiała się w Sadowym Wzgórzu. Jill była w siódmym niebie. Nigdy w życiu tak dobrze się nie bawiła. Dawała pracownikom kolejne zadania, którym z trudem byli w stanie podołać. Bez mrugnięcia okiem wykonywali każdy jej rozkaz, nie zdając sobie sprawy, że Jill do perfekcji opanowała sztukę wpływania na mężczyzn. Pozwalała, by P.G. i Anthony załatwiali sprawy na zewnątrz, ale jeśli chodzi o sam dom — ostatnie słowo należało do niej.

Stara budowla przez lata była uśpiona, lecz teraz przebudziła się i kipiała energią. Odbudowano kominek, dach pokryto ślicznymi zielonymi i brązowymi dachówkami, a w całym budynku założono elektryczność i zainstalowano mnóstwo nowoczesnych urządzeń. Jill wykazywała się zdumiewającym — jak na tak romantyczną duszę — praktycyzmem w sprawie wyposażenia. Nalegała, by chiński kredens ustawiono na korytarzu między kuchnią a jadalnią. Łazienki: zielona, fiołkowoliliowa i różana — każde piętro charakteryzowało się innym kolorem — wybudowane zostały takim kosztem, że Jill pewnie by zemdlała, gdyby zobaczyła rachunek. Jeśli chodzi o umeblowanie, Jill popuściła wodze fantazji. Głowę miała pełną pomysłów. Anthony musiał sprowadzić chińskie wzory tapet na ściany w holu, niewielki niebieski chiński kredensik z bukietami kwiatów namalowanymi na drzwiczkach oraz wspaniałe, brokatowe, ni to jasnozielone, ni bładozłote zasłony do salonu. Och, Jill z pewnością miała niezły gust! Lustra w każdej szafie; perskie dywaniki wyjątkowo delikatne; mosiężne kosze kominkowe, srebrne kandelabry

i miedziana, ażurowa latarenka, którą zawieszono na odnowionym ganku.

— Przynajmniej ma pan swoje okno — pocieszał Anthony'ego P.G.

O to okno Jill i Anthony stoczyli kilka bitew. On chciał, by wstawiono jedno w holu, obok salonu, tak żeby można było przez nie podziwiać morze i Zatokę Czterech Wiatrów w oddali, natomiast Jill była pewna, że dodatkowe okno zaburzy kompozycję ściany.

Anthony w tej sprawie upierał się zaskakująco mocno, twierdząc, że nic go nie obchodzi zaburzona kompozycja ściany. W końcu poszli na kompromis. On dostanie swoje okno, ona wprowadzi zmiany do już odnowionej, przemalowanej na bladobłękitny kolor sypialni: każe ją wykleić krzykliwą tapetą w papugi. Anthony uważał, że to nie najlepszy pomysł, ale w rezultacie okazało się, że gustowi Jill można było zaufać.

Wreszcie remont zakończono. Robotnicy sobie poszli, cały bałagan uprzątnięto. Sadowe Wzgórze, skąpane w sierpniowym słońcu, wyglądało na piękne, dostojne miejsce, zarówno na zewnątrz, jak i w środku.

— To było boskie lato — westchnęła Jill.

— Też się dobrze bawiłem — przyznał Anthony. — Słyszałem, że twoje przyjaciółki, córki Blythe'ów, wróciły do domu. Może chciałabyś je tu zaprosić?

— Och, one już tu były dziś po południu — powiedziała Jill. — Wszystko im pokazaliśmy. Powiedziały, że dom jest cudowny. Muszę przyznać, że nie były ani trochę zazdrosne. Na pewno Złoty Brzeg wydał im się zwykłą lepianką w porównaniu z Sadowym Wzgórzem.

— Złoty Brzeg jest równie ślicznym miejscem — zaprotestował P.G., który właśnie stamtąd wrócił, posmakowawszy placków Zuzanny Baker.

— Tyle że... — Jill zerknęła z wyrzutem na Antho-ny'ego. — Ten dom pragnie, aby ktoś w nim zamieszkał. Oto jego przewaga nad Złotym Brzegiem. Anthony wzruszył ramionami.

— Ktoś na pewno będzie w nim mieszkał, przynajmniej w lecie. Już mi pewien milioner z Nowego Jorku złożył niezłą ofertę. Chyba dobiję z nim targu.

— Cóż... — westchnęła Jill, poddając się niepodważalnej logice faktów. Oczywiście, jeśli Anthony nie miał ochoty spędzać kolejnego lata w Zatoczce Półksiężycy, należało komuś innemu sprzedać Sadowe Wzgórze. — To i tak lepiej, niż gdyby miał pan znowu zamknąć bramę na kłódkę i wyjechać. Tak czy siak musimy urządzić powitalną imprezę. Wszystko sobie zaplanowałam.

— Nie wątpię. Zamierzasz zaprosić Zuzannę Baker?

— No i po co ten sarkazm? Oczywiście muszą nas odwiedzić państwo Blythe'owie, ale nie żadne pospólstwo. Sam pan rozumie.

— Blythe'owie koniecznie. Chciałbym, żeby pani Blythe rzuciła okiem na dom, nim przejdzie on w cudze ręce.

— Rozpalimy w kominku wielki ogień. Nan Blythe podobno zna miejsce, gdzie moglibyśmy nazbierać mnóstwo suchego drewna. Zapalimy też wszystkie światła, wtedy dom będzie się rewelacyjnie prezentował z zewnątrz, prawda? Przygotujemy jakiś posiłek i urządzimy huczną zabawę. Mama obiecała zapewnić jedzenie.

O wszystkim jej opowiedzieliśmy wczoraj. Ale i tak wcześniej wiedziała już o tym.

— Jak to matki.

— Czy jutrzejszy wieczór panu odpowiada?

— Nawet datę już wyznaczyliście? — zakpił Anthony. — Niech będzie jutro, skoro i tak wszystko postanowione.

— Ale to musi być wieczór, który pan wybierze — powiedziała Jill. — Nie może być powitalnej imprezy bez pana. No i jeszcze termin musi odpowiadać Blythe'om.

— Więc upewnij się, że jutro wieczorem nikomu w Glen nie urodzi się dziecko — zadrwił P.G.

— Nie bądź niemiły — odparła Jill.

— Czy dziecko to coś niemiłego? — spytał P.G. — W takim razie upewnij się, że sama żadnego nigdy nie urodzisz.

— Zamierzam mieć szóstkę — odpowiedziała chłodnym tonem Jill. — Gdyby ta kobieta wciąż nosiła pański pierścionek, panie Lennox, to jak pan myśli, ile mielibyście dzieci?

— Na litość boską, skończmy temat — błagał Anthony. — Może jestem staromodny, ale tego typu pytania mnie zawstydzają. Urządźcie powitalne przyjęcie, kiedy chcecie i jak chcecie. Ale nie obarczajcie mnie winą, jeśli tej nocy doktor Blythe będzie musiał odebrać jakiś poród.

Dzieci zaplanowały coś, czego Anthony nigdy by nie przewidział. Było pewne, że na przyjęciu zjawi się ich matka, a także zawsze chętna uczestniczyć w tego typu

okazjach ciotka Henrietta, ale nie spodziewał się ujrzeć pani Elmsley, owej artystki, której dotąd nie miał okazji poznać.

P.G. nie krył zdziwienia, gdy Jill oświadczyła mu, że zaprosiła panią Elmsley.

— Ale po co? Przecież on jej nawet nie zna.

— Nie bądź głupi, Prosiaczku. Ona umiera z ciekawości, by zobaczyć dom, a niedługo musi wracać do Winnipeg. Zostało strasznie mało czasu. Za mało, by Anthony mógł się w niej zakochać.

— To chcesz, żeby Anthony się w niej zakochał? — P.G. nie krył zdziwienia.

- Pewnie. Jest tak piękna, że się jej nie oprze.
- Ale to mężatka.
- Wdowa, Prosiaczku, wdowa. Chyba nie sądzisz, że chciałabym zeswatać Anthony'ego z mężatką? Nie rozumiesz? Gdyby się w niej zakochał, nie sprzedałby Sadowego Wzgórza i razem przyjeżdżaliby tu na lato. Mieliby trójkę dzieci — dwóch chłopców i dziewczynkę. Dziewczynka zamieszkałaby w pokoju z papugami. Och, myśl, że już wkrótce ktoś zajmie sypialnię z papugami — nawet jeśli by to miała być córka Anthony'ego — doprowadza mnie do szału!
- Ale my i tak wyjedziemy na Zachód. Nie sądzę, żebyśmy tu mieli kiedykolwiek wrócić. Więc nie będziesz już musiała jej oglądać — powiedział P.G. z większą sympatią niż zazwyczaj.
- Ale zawsze będę ją widzieć w tym pokoju oczyma wyobraźni. Mam nadzieję, że papugi wydziobią jej oczy.

Następnego wieczoru, po raz pierwszy od piętnastu lat, Sadowe Wzgórze emanowało blaskiem zapalonych lamp, a w kominku radośnie płonął ogień. Na ścianach niczym paki róż rozkwitły płomykami umocowane w kandelabrach czerwone świece.

Połowa mieszkańców Glen St. Mary, Mowbray Narrows i Lowbridge zeszła się do „starego domu Lennox”. Wśród gości nie było Zuzanny Baker, ale o wszystkim dowiedziała się nazajutrz od Ani i doktora. „Ciekawe, co sądzi o tym wdowa — powiedziała. — Winnipeg być może jest bardzo atrakcyjnym miejscem, mam tam bratanka, ale przecież nie może się równać z Wyspą!”

Jill tańczyła na dywaniku przed kominkiem.

- Wyobrażam sobie, że to magiczny dywan! — wykrzyknęła. — Każdy, kto na niego nastąpi, w mig zapomni o nieprzyjemnych rzeczach z przeszłości. Niech pan spróbuje, Anthony.

Anthony wstał ze stojącego przy kominku fotela i podszedł do okna, za którym widać było nocne niebo skąpane w blasku księżyca. Popatrzył na drogę, czy nadchodzą już jacyś goście. Blythe'owie dzwonili, że trochę się spóźnią. Co prawda nikt w okolicy nie spodziewał się narodzin dziecka, ale Jim Flagg złamał nogę.

- Zaczynam się denerwować. Pani Elmsley powinna już tu być — z niepokojem wyszeptała Jill do P.G. — Mam nadzieję, że nie zapomniała o dzisiejszym przyjęciu. Na artystach podobno za bardzo nie można polegać.

- Czemu Anthony jest jakiś taki dziwny? — szeptem spytał P.G.

To samo pytanie zadawał sam sobie Anthony, spoglądając przez nowe, magiczne okno. Czyżby postradał rozum? A może okno rzeczywiście zostało jakimś cudem zakłęte przez Jill? Ujrzał ją za szybą, przemierzającą oświetlony światłem księżyca trawnik. Szła typowym dla siebie leciutkim krokiem, dzięki któremu uważał, że Beatrice „urodziła się pod roztańczonymi gwiazdami”. Chwilę później stała w drzwiach. Za jej plecami rozpościerały się mroczne sylwetki drzew, a nad tym wszystkim fioletowe, nocne niebo.

Jej słodka twarz... oczy... ciemne sploty włosów... nic się nie zmieniła. Jej nie dało się zmienić.

- Betty! — krzyknął Anthony.
- Mamo! — wrzasnęły bliźniaki. — Gdzie pani Elms-ley? Nie przyjdzie?
- Dzięki Bogu, że się nie zjawi — mruknął pod nosem doktor, który stał tuż za Betty. Poradził sobie ze złamaniem Jima szybciej, niż mu się wydawało. Z twarzy Anthony'ego od razu wyczytał całą tajemnicę. — Przynajmniej w tym momencie lepiej, żeby się nie zjawiła. Aniu, chodź ze mną, obejrzymy ogródek różany. Nie chcę słyszeć ani słowa sprzeciwu. Posłuchaj mnie ten jeden jedyny raz. Anthony doskoczył do drzwi. Chwycił ją za ręce.

— Betty, to ty! Chcesz powiedzieć, że jesteś... jesteś ich matką? Oczywiście mówiły mi, jak się nazywają, ale to takie powszechne nazwisko...
Mama roześmiała się, ponieważ mogła jedynie to zrobić lub się rozplakać — co dla Jill, która w jednej

chwili pojęła wszystko, było jasne. P.G., który wciąż miał problemy ze zrozumieniem sytuacji, stał w milczeniu z szeroko otwartymi ustami.

— Anthony! Pojęcia nie miałam... Nigdy bym nie marzyła, że... Dzieci nie powiedziały mi, jak się nazywasz, poza tym nigdy nie słyszałam o Sadowym Wzgórzu. Całe lato przesiedziałam w domu, opiekując się ciotką Henriettą. Nigdzie nie wychodziłam, nawet plotki do mnie nie docierały. A dzieci wyobrażały sobie, że jesteś... Nazywały cię... Och, myślałam, że to tylko kolejne ich wymysły... Och...

Wszyscy wydawali się tak rozkojarzeni, że Jill musiała ratować sytuację. Nigdy w życiu nie widziała czegoś równie niesamowitego jak mina Lennoksa. Podobnego zdania była Ania Blythe, która jednak nie posłuchała męża i wróciła do środka.

— Mamo, czy pani Elsmley przyjdzie? Nam się zdawało, że...

— Nie przyjdzie, ma migrenę. Prosiła, abym przeprosiła was w jej imieniu.

— Jill — odezwał się nagle Anthony. — Rozporządzałaś mną przez całe lato. Teraz moja kolej. Idźcie sobie gdziekolwiek, ty i P.G., na pół godzinki. A pani, pani Blythe, czy będzie pani łaskawa mi wybaczyć, jeśli...

— Poprosi mnie pan o to samo? Oczywiście. Pójdę przeprosić męża.

— W nagrodę może pani jutro opowiedzieć wszystko Zuzannie — rzekł Anthony.

Gdy Jill i P.G. wrócili, by poinformować, że podano kolację, zastali Anthony'ego i mamę siedzących na so-

173

fie przy kominku. Mama miała ślady łez na policzkach, ale wyglądała na niesamowicie szczęśliwą i ładniejszą niż kiedykolwiek wcześniej. Z jej twarzy zniknął cały smutek.

— Jill — powiedział Anthony. — Historia, którą wam kiedyś opowiedziałem, ma następny rozdział.

— Przyzwoitej osobie nie przystoi podsłuchiwać — doktor napomniął swoją żonę, która znowu zawędrowała w pobliże drzwi do salonu.

— W takim razie nie jestem przyzwoita — odparła Ania. — Ty też nie.

— To wszystko było jednym wielkim błędem — kontynuował Anthony.

— Wiedziałam! — rzekła triumfalnie Jill.

— Ona wciąż nosiła mój pierścionek, tyle że nie na palcu, a na szyi, zawieszony na łańcuszku. Ale nasłuchiwała się o mnie pewnych rzeczy... prawda, Betty?

— Słyszałam, że znalazłeś sobie jakąś dziewczynę.

— Myślała, że zapomniałem o naszym pakcie, więc zdjęła pierścionek z palca i skończyliśmy jak dwoje dumnych, urażonych, niemądrych młodych ludzi.

— Wydawało mi się, że mam tylko jeden cel w życiu — powiedziała mama. — Nie dopuścić do tego, by ludzie zauważyli, że wciąż mi na tobie zależy.

— Udało ci się — przyznał z nutką goryczy w głosie Anthony.

„Historia lubi się powtarzać — pomyślał doktor Blythe. — Ja też sądziłem, że Ania zaręczyła się z Royem Gardnerem...”

f74

„Samo życie — podsumowała w myślach Ania. — Ja też byłam niemal pewna, że Gilbert zaręczył się z Chris-tine Stuart...”

— To czemu wyjechałaś i wyszłaś za ojca? — dopytywała się z wyrzutem Jill.

- Bo... bo byłam samotna... a on miły i dobry... Polubiłam go — odparła mama łamiącym się głosem.
- Cicho, Jill — powiedział Anthony.
- Gdyby wasza mama nie wyszła za waszego ojca, nie byłoby was na tym świecie — rzekł z uśmiechem doktor Blythe, wchodząc do salonu.
- Sama widzisz — mruknął P.G. — A ja bym chciał wiedzieć, czy uda nam się cokolwiek dziś zjeść?
- Wszystko się jakoś ułoży — stwierdził Anthony.
- Zamieszkamy tu razem, a pokój z papugami będzie twój, Jill. I nakręcimy ten stary zegar, bo czas zaczął dla mnie znowu płynąć. Pani Blythe, uczyni nam pani ten zaszczyt i uruchomi zegar?
- Naprawdę będzie pan naszym ojcem? — spytała Jill, gdy odzyskała dech.
- Tak szybko, jak szybko prawnicy i ksiądz mi na to pozwolą.
- Och! — Jill gwałtownie zaczerpnęła powietrza.
- A my z P.G. wyobrażaliśmy sobie dokładnie takie samo zakończenie!

WIECZÓR CZWARTY

DO UPRAGNIONEGO PRZYJACIELA

Mam do Ciebie prawo... Z Twojej twarzy czytam: bystryś, czuły, lojalny, Jak zły — to bosko, gdy szczęśliwy — kapitalny. Śmielsi będziemy podczas trwania tej wycieczki... Chętnie spędzę z Tobą życia zimę, lato. Zagrajmy więc w istnienia grę, nie bacząc na to, Czy zysk, czy strata. Niech gra będzie warta świeczki. Zbyt cenna przyjaźń jest, by mieć przyjaciół rój. Nie wolno jej zmarnować... lecz Tyś jest mój!

Miłość nasza ta sama... Gwiazdki zbłąkane, ponad czasem ekstaza W wietrzną noc, gdy w myśli nie wnika obca skaza. Stare, magiczne bory, czarowne bladeści, Iść możemy otwartą drogą w długi, dżdżysty zmierzch I gdy gasnące słońce złotem oblewa wierzch Ziemi. Czuły blask luno w cygańskiej samotności. Wieczysty maj jest nasz, jesienią lśniąca dni, Fiolet pereł nocy, wiążących nasze sny.

Ofiarujmy sobie

Śmiechu bez złej woli najlepszy podarek, Przelejmy żar słów jak krwi z kielicha ofiarę, Że ufność mamy, to śmiałość milczenia. Przy skrzących ogni błysku weselmy się pospołu Czas smutku przyjdzie potem, nad białą popiołu, Gdy w proch się zmieniają nasze marzenia. Milszy będzie stary kąt i więcej chęci Do rozmów o ogrodach z otchłani pamięci.

Mamy też do siebie prawo...

Prawo, by wiedzieć, czym bliskość, a czym strata trąci, Mam prawo Twoja siał zboże i potem je żąć Ci. Och, brak czasu, by wyznać wszystko to, co chcesz! W latach, co minęły, straciliśmy go wiele, Weźmy więc to, co wiąże nas we wspólnym dziele. Mą rękę chwyć szczerze... już dobrze... dłoń mą bierz... Aż do krańca dróg, gdy pokusa nęci, Dotrzemy, druhu, nie brak nam chęci.

Ania Blythe

DR GILBERT BLYTHE: — Świetny wiersz, Aniu. Nie wiedziałem, że mam aż tak zdolną żonę. Chłopcy, pamiętajcie, że nie ma nic lepszego niż dobry, sprawdzony przyjaciel. Jeden taki przyjaciel wart jest miliony znajomych.

WALTER BLYTHE, w myśli: „Mam nadzieję, że spotkam kiedyś takiego przyjaciela”.

GŁOS, KTÓREGO NIKT NIE SŁYSZY: „Spotkasz. A jej imię to Śmierć”.

ZUZANNA BAKER, w myśli: „Zastanawiam się, czemu właśnie przeszył mnie zimny dreszcz. Moja stara ciotka Lucynda powiedziała, że ktoś właśnie przeszedł po moim grobie”.

NAWIEDZONY OGRÓD

Esme niespecjalnie zależało na spędzeniu weekendu w Longmeadow, w domu Barrych na przedmieściach Charlottetown.

Najchętniej poczekałaby z wizytą u nich do momentu, aż nabierze pewności, że chce wyjść za Allardyce'a. Ale wujek Conrad i ciotka Helen uważali, iż powinna przyjąć zaproszenie, a ponieważ Esme całe życie spełniała każde życzenie ciotek i wujów, uległa i teraz. Poza tym już właściwie było postanowione, że poślubi Allardyce'a. Doktor Blythe, ten z Glen St. Mary, znał rodzinę Barrych bardzo dobrze, chociaż nigdy nie udzielał im porad lekarskich. Uważał, że pomysł ze ślubem to pomyłka. Najwyraźniej wiedział coś o Allardyce'u Barrym. Oczywiście powszechnie uważano go za niezłą partię. Doskonałą wręcz jak dla takiej szarej myszki jak Esme, mawiali ludzie. Nawet jej własna rodzina nie kryła zaskoczenia. Czasem Esme rozmyślała o tym — bardzo często, gdy nikt jej nie widział, rozmawiała sama z sobą, bo,

niestety, nie miała żadnych przyjaciółek od serca — że spotkało ją zbyt wielkie szczęście. Owszem, lubiła Allardyce'a, ale jako przyjaciela... Nie miała natomiast pojęcia, czy... czy polubi go... jako męża.

Czy jednak istnieli inni kandydaci? Oczywiście nie. Głupotą byłoby na poważnie myśleć o Francisie. Zresztą nigdy tak naprawdę nie było żadnego Francis'a. Tyle że... wciąż nie miała co do tego absolutnej pewności. Wydawał się taki prawdziwy w czasie tych odległych już, cudownych chwil, w Birkentrees, w ogrodzie skąpanym w świetle księżyca.

Od czasów dzieciństwa nie widziała się z matką Allardyce'a. Rodzina Barrych, po śmierci ojca Allardyce'a, przeniosła się za granicę. Wrócili dopiero pół roku temu i ponownie wprowadzili się na lato do Longmeadow.

Zdaniem wuja Conrada wszystkie dziewczyny uganiały się za Allardyce'em. Wszystkie z wyjątkiem Esme.

Może właśnie dlatego Allardyce się w niej zakochał? A może dlatego, że wydawała mu się tak różna od innych kobiet? Była bladolicą, uroczą istotką, delikatną i utrzymującą dystans. Krewni nieustannie narzekali, że nie można się z nią dogadać. Wydawała się dziecieniem zmierzchu. Pasowały do niej szare rzeczy, a ona sama zdawała się wiecznie bujać w obłokach. Szła lekkim krokiem, rzadko się śmiała, a wokół niej unosiła się aura smutku, która była jednak piękna i uwodzicielska.

— Nigdy nie znajdzie sobie męża — powiedziała Ania Blythe do Gilberta. — Jest zbyt niezwykła, by zajmować się sprawami doczesnego świata.

9

— Pewnie wyjdzie za mąż za jakiegoś brutala, który będzie ją źle traktował — odparł doktor Blythe. — Tego typu dziewczyny zazwyczaj tak kończą.

— Przynajmniej ma ładne uszy — przyznała Zuzanna Baker.

Mężczyźni, z którymi zadawała się Esme, zawsze pragnęli ją rozśmieszać. Allardyce'owi się udawało. Dlatego go polubiła. Sypał dowcipami jak z rękawa, nie można się było przy nim nie uśmiechać.

Ale czy Francis, dawno temu, również nie był dowcipny? Była prawie pewna, że tak, choć tego nie pamiętała. Pamiętała tylko samego Francis'a.

— A więc brzydkie kaczątko zmieniło się w łabędzia — zażartowała pani Barry, gdy się spotkały.

Chciała rozluźnić trochę atmosferę. Ale Esme, o czym pani Barry nie miała zielonego pojęcia, wcale tego nie potrzebowała. Była zawsze panią samej siebie, powściągliwa i wyniosła, co prawie wszyscy mylnie brali za nieśmiałość. Wszyscy z wyjątkiem doktorowej Blythe, ale ona mieszkała zbyt daleko, by mogły się często widywać.

Esme nie spodobała się uwaga pani Barry, jakoby niegdyś nie grzeszyła urodą i nieoczekiwanie wyrosła na ślicznotkę. Może i nie była najładniejszą dziewczynką, ale przecież nigdy nie uchodziła za brzydulę. Poza tym czyż Francis nie powiedział jej kiedyś, że...

Przywołała się do porządku. Nigdy nie było żadnego Francisa. Musi to sobie wbić do głowy, jeśli zamierza wyjść za Allardyce'a i zostać panią pięknej posiadłości Longmeadow, która, swoją drogą, była jak na jej gust zbyt wielka, zbyt wspaniała i zbyt luksusowa. Esme wolałaby mieszkać w jakimś mniejszym domu, w czymś na podobieństwo Złotego Brzegu w Glen St. Mary lub... Birkentrees. Poczula nagle niewysłowioną tęsknotę za Birkentrees.

Ale i tak nikogo tam obecnie nie było. Od śmierci wuja Johna Page'a dom, zamknięty na cztery spusty, popadał w ruinę, poza tym wiązały się z nim jakieś pogmatwane sprawy sądowe, których szczegółów nie знаła. Nie widziała Birkentrees od dwunastu lat, chociaż leżało zaledwie o trzy mile od domu wuja Conrada. Nie chciała jednak tam wracać. Pewnie dom zarósł chwastami i całkowicie opustoszał. Bała się odwiedzać tamte miejsca bez... ciotki Hester.

Przedziwna ciotka Hester! Na jej wspomnienie Esme zadrżała. Nigdy jednak po jej plecach nie przechodziły ciarki na myśl o Francisie. Czasem wydawało się jej, że czuje swoją drobną dłoń w uścisku jego dłoni, dużej i silnej. Troszkę ją to przerażało. Co będzie, jeśli... jeśli... stanie się taka jak ciotka Hester?!

Dopiero następnego popołudnia po przybyciu do Barrych zobaczyła obraz. Allardyce oprowadził ją po całym domu, a kiedy wkroczyli do gabinetu jego ojca, ujrzała płótno wiszące na ścianie, skryte w cieniu.

Na spokojnej bladej twarzy Esme wykwitły nagle płomieniste rumieńce, po czym zbladła bardziej niż zwykle.

— Kto... kto to jest? — spytała łamiącym się głosem, bojąc się usłyszeć odpowiedź.

— To? — Allardyce nie był przejęty portretem.

Niezbyt obchodziły go stare przedmioty, postanowił zresztą, że nie będą z Esme spędzać wiele czasu w Longmeadow. Mogli gdzie indziej bawić się lepiej. Byłoby to natomiast niezłe miejsce dla jego matki — tu spędziłaby swą starość. Zawsze była dla Allardyce'a pewnym ciężarem, ale Esme to zupełnie co innego. Zgodzi się na wszystko, co on wymyśli, pojedzie za nim wszędzie, a jeśli w jego życiu pojawią się... inne kobiety, nie uwierzy plotkom, a nawet jeśli uwierzy, to nie będzie urządzać awantur. Doktor Blythe wyprowadziłby go z błędu, ale Allardyce nie znał Gilberta, a nawet gdyby go znał, pewnie nie przejąłby się jego opinią. Za to raz spotkał się z panią Blythe, próbował nawet z nią flirtować, lecz następnych prób już nie podejmował i zawsze znacząco wzruszał ramionami, gdy tylko słyszał jej imię. Był zdania, że rudowłose kobiety to jego przekleństwo.

— To mój stryjeczny dziadek, Francis Barry — wyjaśnił Allardyce. — Młody kapitan, żeglarz, rozrabiaka. Żył w drugiej połowie dziewiętnastego wieku. Został kapitanem brygantyny, gdy miał zaledwie siedemnaście lat. Niesamowite, prawda? Pożegłował nią do Buenos Aires z ładunkiem drewna na pokładzie. Tam zmarł. Podobno jego matka się załamała. Był jej oczkiem w głowie. Na szczęście dzisiaj ludziom już tak łatwo serca nie pękają.

— Czyżby? — odezwała się Esme.

— Oczywiście że nie. Inaczej wokół nas pełno byłoby trupów. No, ale ona należała do rodu Dalleyów, a w nich zawsze było coś dziwnego. Przynajmniej tak głoszą plotki. O wiele bardziej przejmowali się wszystkim, niż to

było warte. Tymczasem człowiek musi mieć twardą skórę, bo inaczej szybko pójdzie na dno. Dziadek Francis to był dziarski mężczyzna, pod każdym względem. Ale jeśli chcesz poznać całą historię, musisz porozmawiać z matką. Ona się wprost pławi w rodzinnych opowieściach. O co właściwie chodzi, Esme? Nie wyglądasz najlepiej, skarbie. Za gorąco tu, wyjdźmy na zewnątrz zaczerpnąć świeżego powietrza. To stare domostwo, nzbierało kurzu przez

wszystkie te lata. Ostrzegałem przed tym matkę, gdy wpadła na pomysł, by tu powrócić. Ale nie żałuję, że tak się stało, bo dzięki temu poznałem ciebie.

Esme pozwoliła się zaprowadzić w róg oplecionej winoroślą werandy. Gdy usiadła, poczuła ulgę i mocno chwyciła się oparcia ławki. Przynajmniej te poręcze były prawdziwe; trawniki wokoło też. I Allardyce był prawdziwy — zbyt prawdziwy.

Francis również był rzeczywisty. Przed chwilą ujrzała jego portret! Tyle że tamten Francis zmarł w dziewiętnastym wieku, jak to możliwe, że zaledwie czternaście lat temu tańczyła z nim w ogródku w Birkentrees!

Opowiedziała Allardyce'owi całą historię, nie wdając się w szczegóły. Lecz przywołując ją z przeszłości, na nowo przeżywała każdą chwilę.

Miała wtedy zaledwie osiem lat. Jej rodzice nie żyli, a ona wychowywała się wśród przeróżnych cioć i wujków. Tego lata miała spędzić wakacje w Birkentrees, posiadłości od dawna należącej do rodziny. Zajmował ją wuj John Dalley, staruszek, nestor rodu, w którym ojciec Esme był najmłodszym synem.

*

Mieszkały tam również ciotka Jane, która nigdy nie wyszła za mąż, no i ciotka Hester.

Dziwna ciotka Hester! Ciotka Jane była już stara, przynajmniej tak wtedy wydawało się Esme, natomiast ciotka Hester nie należała do wiekowych, w tamtym czasie nie miała więcej niż dwadzieścia pięć lat.

Każdego lata, które spędzała w Birkentrees, ciotka Hester zachowywała się dziwnie. Esme słyszała, jak ktoś mówił — była tak cichutkim dzieckiem, że nieustannie udawało jej się być świadkiem rozmów starszych, którzy nie odważyliby się otworzyć ust przy bardziej rozgadany dziecku — że ukochany ciotki Hester zmarł, gdy miała dwadzieścia lat. Tyle przynajmniej dowiedziała się Esme, siedząc na swoim małym taboreciku, z łokciami na pulchnych kolankach i podbródkiem wspartym na rączkach, gdy dorośli śmiali się przy niej i plotkowali. Podobno „od tamtej chwili” ciotka Hester nie była już taka jak dawniej.

Większość dzieci bała się Hester, ale nie ona. Lubiała ciotkę, która miała smutne, melancholijne spojrzenie i spacerowała w tę i z powrotem wzdłuż długiej brzoźowej alei w Birkentrees, mówiąc do siebie lub do kogoś, kogo sobie wyobraziła. To właśnie dlatego ludzie nazywali ją dziwaczką.

Miała trupioblada, mroczną twarz i dziwne kruczoczarne włosy, podobne zresztą do włosów Esme. Tyle że w tamtym czasie rzadko podcinana grzywka nieustannie zasłaniała bursztynowe oczy dziewczynki, przez co wyglądała trochę jak zaniedbany kundelek.

Czasami Esme podchodziła do ciotki Hester, chwytając jej zimną rękę w swoje dłonie — trzeba przyznać,

że już w wieku ośmiu lat dłonie miała naprawdę piękne

— i spacerowały w milczeniu.

— Ja bym się na to nie odważył nawet za milion dolarów — przyznał się jej kiedyś jeden z kuzynów.

Tymczasem ciotka Hester nie miała nic przeciwko temu, choć z reguły nie cierpiała towarzystwa.

— Krocze wśród cieni — powiedziała kiedyś do Esme. — W mroku lepiej znaleźć przyjazne dusze niż w świetle dnia. Ale ciebie powinny cieszyć promienie słońca. Mnie kiedyś cieszyły.

— Lubię słońce — odparła Esme. — Ale w mroku również coś mnie pociąga.

— Jeśli lubisz przechadzać się wśród cieni, możesz mi towarzyszyć, kiedy tylko zechcesz.

Esme kochała Birkentrees. Szczególnie intrygował ją mały ogród, do którego nie wolno jej było wchodzić

— wiedziała, że nikt do niego nigdy nie zaglądał. Był zamknięty. Otaczało go wysokie ogrodzenie, na bramie wisiała zardzewiała kłódka. Nikt nie chciał zdradzić Esme, czemu nie można tam wchodzić, lecz ona domyślała się, że za tym wszystkim kryje się jakaś tajemnica. Po zmroku nie zbliżał się tam nikt ze służby. A przecież ogródek nie wyglądał bardzo groźnie, tak przynajmniej można było sądzić na pierwszy rzut oka, spoglądając przez wysokie ogrodzenie, oplątane dziką różą i bluszczem.

Esme miała ochotę dostać się do środka. Pewnego letniego wieczoru, gdy bawiła się w pobliżu, wyczuła w powietrzu coś dziwnego. Nie wiedziała, co to było, nie potrafiła opisać swoich wrażeń. Ale wydawało się jej, że ogród przyciąga ją do siebie.

Zaczęła szybciej oddychać. Chciała poddać się temu wezwaniu, ale była przestraszona. Na jej czole pojawiły się kropelki potu. Zadrżała. W pobliżu nie było nikogo, nawet dziwnej ciotki Hester. Esme zakryła oczy dłońmi i pobięła na oślep do domu.

— Co się stało, Esme? — spytała w holu wysoka, ponura, ale uprzejma ciotka Jane.

— Ogród... ogród mnie pragnie! — wykrzyknęła Esme, nie zdając sobie sprawy ze znaczenia słów, które wypowiedziała zresztą całkiem nieświadomie.

Ciotka Jane nieco pobladła.

— Lepiej nie baw się więcej w pobliżu — mruknęła.

Esme dwa razy nie trzeba było tego powtarzać. Mimo to dziewczynka wciąż kochała ogródek. Sally, jedna ze służących, twierdziła, że jest „nawiedzony”. Esme nie rozumiała tego słowa, a gdy zapytała o to ciotkę Jane, ta wpadła w gniew i zakazała słuchać bredni wygłaszanych przez służbę.

Później nadeszło lato, które odmieniło ciotkę Hester. Esme zresztą podejrzewała to. Słyszała bowiem, jak starsi mówili, iż Hester „ma się lepiej”, jest szczęśliwsza i częściej się uśmiecha. Mówili, że być może „jeszcze z tego wyjdzie”.

Z pewnością ciotka Hester wyglądała radośniej. Już nie spacerowała brzoźową aleją ani nie mówiła do siebie. Zamiast tego przesiadywała nad liliowym stawkiem. Dziewczynka od razu zorientowała się, że ciotka po prostu czeka. Ale na co?

W głębi duszy czuła, że dorośli nie mają racji. Ciotka Hester co prawda wygląda na szczęśliwszą, ale wcale

nie ma się lepiej. Nie podzieliła się jednak tymi spostrzeżeniami z nikim. I tak dorośli nie potraktowaliby jej poważnie. W końcu była „tylko dzieckiem”.

Wreszcie Esme dowiedziała się, na co czeka ciotka Hester.

Pewnego wieczoru bawiła się na trawie, chociaż powinna już spać. Ciotka Jane wyjechała, a gospodyni, pani Thompson, wylądowała w łóżku, cierpiąc na migrenę. Nie znalazł się nikt, kto mógłby zaopiekować się Esme, a ona była przekonana, że sama potrafi najlepiej się o siebie zatroszczyć.

Niektórzy jednak nie podzielali zdania dziewczynki. Państwo Blythe, przejeżdżając obok Birkentrees w drodze do Glen St. Mary, nie kryli zdziwienia.

— Nie powinno się pozwalać małej spędzać tyle czasu z Hester Dalley — rzekł doktor.

— Też mam takie wrażenie — powiedziała Ania Blythe. — Choć z drugiej strony, czemu nie?

— Umysły potrafią na siebie oddziaływać — odparł krótko doktor. — A przynajmniej niektóre umysły. Może nic złego nie stałoby się Nan czy Dianie, ale... Dalley-owie są inni. Większość z nich nie widzi różnicy między rzeczywistością i ułudą.

— Ludzie zawsze mi mówili, że mam wybujałą fantazję — powiedziała Ania.

— To co innego. Esme Dalley jest dzieckiem, na które łatwo wpłynąć, aż za łatwo.

Gdyby była moją córką, to przyznam, że byłbym nieco zaniepokojony. No, ale ona nie ma rodziców i najwyraźniej nikogo nie obchodzi, że zbyt blisko trzyma się ciotki Hester.

— A czy to coś złego? — spytała Ania. — Ja również nie miałam rodziców.
— Ale ty, oprócz swojej wyobraźni, miałas całkiem sporo zdrowego rozsądku, kochanie
— wyjaśnił doktor z uśmiechem. A uśmiech ten zawsze sprawiał, że serce Ani poczynalo bić szybciej, mimo iż byli małżeństwem już od wielu lat.

— Gilbertcie, czy Hester Dalley rzeczywiście postradała zmysły?

— Spytaj psychiatrę, nie mnie. Nie sędzę, żeby można było uznać ją za szaloną. Przynajmniej nikt się nie ośmielił do tej pory. Może ona jest całkiem zdrowa, tylko świat zwariował? Niektórzy twierdzą, że w każdym z nas jest odrobina szaleństwa. Zuzanna na przykład uważa za nienormalnych wiele osób, które dla mnie czy dla ciebie są jak najbardziej zdrowe na umyśle.

— Zuzanna twierdzi, że Hester Dalley jest „szalona”

— powiedziała Ania.

— Cóż, dajmy spokój i tak nie jesteśmy w stanie nic zrobić — rzekł Gilbert. — Ale powtarzam: gdyby Esme Dalley była moją siostrzenicą lub córką, nie dopuściłbym do tak częstych kontaktów z ciotką Hester.

— Nie będąc w stanie podać ani jednego rozsądnego powodu — dodała nieco złośliwie Ania.

— Tak jest, zupełnie jak to mają w zwyczaju kobiety

— odciął się Gilbert.

Tymczasem Esme myślała, że szkoda byłoby iść spać w taką piękną noc. Ta noc należała do elfów, nurzała się w blasku niesamowitego księżyca w pełni. Gdy tak siedziała przy liliowym stawie, mając za towa-

rzysza jedynie starego psiaka Gypa, zjawiała się ciotka Hester.

Pięknie wyglądała w białej sukni i z perłami wpiętymi w czarne włosy. Esme pomyślała, że ciotka wygląda zupełnie jak panna młoda, którą kiedyś widziała.

— Och, ciociu, jakaś ty śliczna! — wykrzyknęła Esme, zdając sobie w tym momencie sprawę, że Hester jest wciąż młodą kobietą. — Czemu nie ubierasz się tak zawsze?

— To miała być moja suknia ślubna — odparła ciotka Hester. — Trzymali ją w zamknięciu, z dala ode mnie. Ale ja wiem, jak zdobyć coś, czego pragnę.

— Jest piękna, tak jak ty — zapewniła Esme, dla której moda i gust nie miały najmniejszego znaczenia.

— Jestem piękna? — powtórzyła ciotka Hester. — Cieszę się. Tej nocy chcę być piękna, malutka Esme. Podzielę się z tobą pewnym sekretem, jeśli obiecasz zachować go dla siebie. Och, oczywiście! Esme uważała, że cudownie będzie znać tajemnicę, o której wiedzieć będzie tylko ciotka i ona.

— Chodź więc — ciotka Hester wyciągnęła rękę, którą ujęła Esme.

Ruszyły po trawie w stronę brzozonej alei oświetlonej blaskiem księżyca. Stary Gyp poczłapał za nimi, ale gdy dotarły do zamkniętej bramy ogrodu, wycofał się z pomrukiem. Sierść zjeżyła mu się na karku.

— No chodź, Gyp — zachęciła go Esme, ale pies cofnął się jeszcze bardziej. — Czemu on się tak dziwnie zachowuje?

Ciotka Hester nie odpowiedziała. Przekręciła w kłódce zardzewiały stary klucz. Zamek ustąpił z taką łatwością, jakby był nowy.

Esme wstrzymała oddech.

— Czy my tam wchodzimy? — wyszeptała bojaźliwie.

— Owszem. Czemu pytasz?

— Bo jestem... trochę przerażona — wyznała Esme.

— Nie bój się. Nic ci się nie stanie.

— To czemu ogródek jest ciągle zamknięty?

— Bo oni nie mają o niczym pojęcia — odrzekła ciotka Hester z pogardą. — Dawno, dawno temu mała Janet Dalley weszła do ogrodu i nigdy już z niego nie wyszła. Pewnie dlatego brama jest stale zamknięta. A przecież ona mogłaby wyjść w każdej chwili, gdyby tylko zechciała!

— Więc czemu nie wyszła? — wyszeptała Esme.

— Kto wie? Może to, co zastała po drugiej stronie, spodobało jej się o wiele bardziej niż świat, który opuściła?

Esme uznała, że to jedna z typowych dla ciotki Hester „dziwaczkich” wypowiedzi.

— A może potknęła się o kamień i wpadła do rzeki? — powiedziała. — Ale jeśli nawet, to czemu nigdy nie odnaleziono jej ciała?

— Nikt nie może zostać w ogrodzie wbrew swojej woli — odparła niecierpliwie Hester.

— Póki jesteś ze mną, niczego nie musisz się obawiać, Esme.

Esme jednak troszkę się bała, ale nie zamierzała się do tego przyznać za nic w świecie.

Trzymała się blisko ciotki Hester, gdy ta otworzyła bramę i weszły do środka. Gyp uciekł, ale Esme i tak już o nim zapomniała. Zapomniała nagle również o swoim strachu.

A więc to był ów tajemniczy, zakazany ogród! Nie było w nim nic przerażającego. Czemu więc brama była zamknięta na kłódkę i nikt się nim nie zajmował? No tak, podobno był „nawiedzony”, przypominała sobie Esme. Teraz przekonała się, że to czcze wymysły. Miała przedziwne wrażenie, jakby trafiła do prawdziwego domu.

Ogród nie zarósł tak bardzo, jak można by się spodziewać. Ale w świetle księżyca wydawał się samotny i opuszczony. On również, podobnie jak ciotka Hester, na coś czekał. Rosło tu mnóstwo chwastów, ale przy południowej ścianie widać było rząd wysokich lilii, które w blasku księżyca wyglądały niczym anioły. W ogrodzie rosło też kilka młodych topól, których listki drżały na wietrze, a w jednym kącie strzelała w niebo smukła biała brzoza. Esme wiedziała (choć nie miała pojęcia skąd), że drzewo to zasadziła niegdyś panna młoda.

Tu i ówdzie widać było nitki ścieżynek, którymi pół wieku temu kroczyli zakochani. Jedna z nich, wyłożona piaskowcem, prowadziła przez środek ogrodu aż na brzeg rzeki, gdzie nie było ogrodzenia, tylko niski kamienny murek, który miał zapobiegać osuwaniu się ziemi. Ale tam... tak, w ogrodzie ktoś był. Młody mężczyzna z rozłożonymi rękoma szedł dróżką wyłożoną piaskowcem.

A ciotka Hester, która zawsze miała smutną twarz, teraz się uśmiechała.

— Geoffrey! — wykrzyknęła.

Wtedy dopiero Esme zrozumiała, co znaczy słowo „nawiedzony”, ale wcale się nie przestraszyła. Tylko głupiec mógł się bać! Siedziała na kamiennym murku, a ciotka Hester i Geoffrey przechadzali się ścieżkami ogrodu, rozmawiając przyciszonymi głosami. Esme nie słyszała, o czym mówili. Nie chciała słyszeć. Wiedziała jedno: miała ochotę odwiedzać ogród każdej nocy, pragnęła tu zostać. Nic dziwnego, że Janet Dalley nigdy stąd nie powróciła.

— Czy przyprowadzisz mnie tu jeszcze? — spytała ciotkę Hester, gdy w końcu wyszły.

— A chciałabyś? — spytała ciotka.

— Tak, o, tak!

— W takim razie nikomu nie możesz zdradzić, że tu byłaś — odrzekła.

— Oczywiście, nic nie powiem, jeśli sobie nie życzysz — zapewniła Esme. — Ale właściwie dlaczego, ciociu Hester?

— Bo niewielu ludzi potrafiłoby zrozumieć — powiedziała ciotka Hester. — Ja też nie rozumiałam, aż do tego lata. Teraz jednak wszystko pojęłam i jestem bardzo szczęśliwa, Esme. Możemy odwiedzać ogród tylko nocami podczas pełni księżyca. Czasem oczekiwanie jest nie do zniesienia. Następnym razem musimy zadbać o jakichś towarzyszy zabaw dla ciebie. Teraz chyba rozumiesz, czemu Janet Dalley nigdy nie wróciła?

— Ale Janet Dalley weszła do ogrodu ponad sześćdziesiąt lat temu! — wykrzyknęła Esme. Znowu zaczynała się bać.

(9*

— W ogrodzie czas nie płynie — odparła ciotka, a na jej twarzy błąkał się spokojny uśmiech. — Janet wróciłaby nawet teraz, gdyby tylko chciała.

— Nie chcę stąd odejść na zawsze — szepnęła Esme.

— Nie musisz. Jak mówię, możesz wrócić, kiedykolwiek zechcesz. Teraz pójdziemy spać, a ty nie myśl o tym aż do następnej pełni księżyca... I ani słowa nikomu.

— Och, nie, nie — zapewniła Esme.

Mówienie o tym komukolwiek było ostatnią rzeczą, o jakiej marzyła. Może doktor Blythe miał jednak rację. W każdym razie Ania Blythe, pochylając się tej nocy nad swoimi dziećmi, dziękowała Bogu, że w ich żyłach nie płynęła ani kropla krwi Dalleyów. Z kolei Zuzanna Baker o całej sprawie nic nie wiedziała, ale gdyby wiedziała, powiedziałaby: „Nie wiem, co myśleli sobie ci ludzie, pozwalając Esme Dalley spędzać tyle czasu w Birkentrees z ową szaloną kobietą. Przecież każdy wie, że szaleństwo jest zaraźliwe”.

Esme nie mogła się doczekać następnej pełni księżyca. Czasem zdawało jej się, że cała ta historia po prostu jej się przyśniła. W świetle dnia ogród wyglądał dokładnie tak samo jak zazwyczaj. Sama jednak nie wiedziała, czy chce, żeby to wszystko okazało się snem, czy też obawia się, iż był to tylko sen.

W trakcie kolejnej pełni ciotka Hester znowu zabrała ją do ogrodu.

Tej nocy wyglądał zupełnie inaczej. Wydawał się pełen ludzi: jedni przychodzili, drudzy odchodzili. Dziewczeta o roześmianych, marzycielskich oczach... smukłe

ys

kobiety podobne do bladych płomieni... szczupli chłopcy... figlarne dzieciaki. Nikt nie zwracał na Esme uwagi z wyjątkiem pewnej dziewczynki, mniej więcej w tym samym wieku, o złocistych lokach, z grzywką przyciętą tuż nad brwiami i wspaniałymi, tęsknymi oczami.

Esme nie miała pojęcia, jakim cudem, ale po prostu wiedziała, że nieznajoma ma na imię Janet. Dziewczynka jeszcze przed chwilą goniła srebrzystozieloną ćmę. Nagle przystanęła i pomachała do Esme, która już, już miała ruszyć za nią — do tej pory zastanawiała się, co by było, gdyby dołączyła do Janet — gdy zjawił się Francis.

Nie wiedziała, skąd zna jego imię. Miała jednak pewność, że mężczyznę zna od zawsze. Był wysoki i smukły, a młodzieńcza twarz wzbudzała, co zaskakujące, respekt. Miał gęste brązowe włosy z przedziałkiem pośrodku i błyszczące granatowe oczy. Ujął dłoń Esme i zaczęli się przechadzać po ogrodzie, prowadząc rozmowę. Nie pamiętała później, o czym mówili, lecz tylko to, że potrafił ją rozśmieszyć.

Gdy Esme przypomniła sobie o Janet i odwróciła się, by jej poszukać, dziewczynki już nie było. Esme niezbyt się przejęła. Francis był taki zabawny i wspaniały — najlepszy przyjaciel. Później tańczyli na niewielkim skwerku przy starej nieczynnej fontannie, którą porastała gęsto mięta. Gdy deptali po jej liściach, wydzielała cudowny zapach.

Muzyka, przy której pływali, sprawiała, że Esme drżała z rozkoszy, choć było w tym wszystkim coś przerażającego. Nie miała pojęcia, skąd dobiega melodia, a gdy pytała o to Francis, wybuchał śmiechem rozkoszniej-

1J4

szym niż te dźwięki. Esme nigdy w życiu nie słyszała, by ktoś śmiał się równie pięknie.

Żadna z osób zjawiających się w ogrodzie nie zwracała na nich najmniejszej uwagi. Nawet ciotka Hester się do nich nie zbliżała — wciąż trzymała się blisko Geoffreya.

Ciotka Jane zaczęła się niepokoić o Esme. Wydawało jej się, że dziewczynka jest coraz bardziej nieszczęśliwa. Nie hasała już po podwórku, nie bawiła się tyle, co kiedyś, lecz ciągle przesiadywała na trawniku, z rozmarzoną twarzą nieustannie czegoś wyczekiwała — zupełnie jak Hester.

— Szkoda, że nie możemy odwiedzać ogrodu każdej nocy — pewnego razu dziewczynka zwierzyła się ciotce.

— Oni pojawiają się tylko w czasie pełni — wyjaśniła ciotka. — Obserwuj fazy księżyca. Gdy stanie się okrągły, a cienie zatańczą na brzozonej alei, znów tam pójdziemy.

Tego dnia Birkentrees odwiedził doktor Blythe i gdy tylko spotkał przypadkiem Conrada Page'a, poradził mu, by jak najszybciej wywiózł siostrzenicę do innego domu.

Kłopot jednak rozwiązał się w inny sposób. Gdy sierpniowy księżyc był już prawie w pełni, ciotka Hester zmarła. Odeszła po cichu, we śnie, a na jej młodej twarzy zastygł wyraz szczęścia i radości. Lekarz stwierdził, że od dłuższego czasu chorowała na serce.

Leżała z bukietem kwiatów w bladych, pięknych dłoniach. Członkowie rodziny przychodzili, by się z nią pożegnać, kobiety popłakiwały, ale wszyscy czuli ulgę,

fj0

że problemy z nieszczęsną Hester definitywnie się skończyły.

Jedynie Esme wypłakiwała sobie oczy po śmierci ciotki. „Odeszła, by już na zawsze związać się z Geof-freym — myślała. — A ja nigdy więcej nie zobaczę Francisa”.

Z początku sama ta myśl zdawała się nie do zniesienia. Esme już nigdy więcej nie wróciła do Birkentrees. Wkrótce zmarł wuj John, a ciotka Jane przeniosła się do Charlottetown.

Ale Esme nigdy nie zapomniała o odwiedzinach w ogrodzie. Czasami myślała, że wszystko jej się przyśniło. Tyle że z każdą taką myślą pojawiała się przeczucie, iż to wcale nie był sen.

— Ten portret twojego dziadka, Allardyce... To wykapany Francis z ogrodu, Francis, którego nigdy nie widziałam w rzeczywistości. Czy Sally miała rację, twierdząc, że ogród jest nawiedzony? Chyba tak.

Allardyce wybuchnął śmiechem i uściśnął jej dłoń. Esme zadygotała. Jakże pragnęła, by Allardyce nie śmiał się z niej, nie patrzył na nią z tym banalnym, nic nie znaczącym (owszem, nic nie znaczącym!) uśmieszkiem. Nagle poczuła, że stoi obok niej obcy mężczyzna.

Tymczasem on miał już przygotowane logiczne wyjaśnienie.

— Sal okazała się po prostu przesadną gąską — powiedział. — A twoja ciotka Hester była... delikatnie ujmując... niespełna rozumu. Widziała w wyobraźni jakichś ludzi w ogrodzie i dziwnym trafem tak wpłynęła

rjf

na ciebie, że również ich zobaczyłaś lub wydawało ci się, iż ich widziałaś. Wiesz przecież, jaka jesteś delikatna, wrażliwa, podatna na wpływy. Śmiało można rzec — sama puściłaś w ruch wyobraźnię. Jak to dzieci. Nie są zdolne do odróżnienia rzeczywistości od fantazji.

Spytaj mojej matki, jakie dziwactwa ja wymyślałem, gdy byłem mały.

— Ciotka Hester ani ja nigdy nie znałyśmy twojego dziadka Francisa — odparła Esme.

— Więc jakim cudem mogłyśmy go sobie wyobrazić?

— Ona mogła widzieć jego portret. Jako dziewczyna często odwiedzała Longmeadow.

To właśnie tutaj poznała Geoffreya Gordona, wiesz? Straszny był z niego naiwniak. Oszalała na jego punkcie. Zresztą ty też mogłaś odwiedzić Longmeadow, tyle że byłaś zbyt mała, by to zapamiętać. Prawdopodobnie także widziałaś ten portret. Ale już nie myśl o tym, złotko.

Szkoda czasu na głupotki. Może takie historyjki są ciekawe, ale również niebezpieczne. Nie uczą odpowiedzialności. Nie przeczę, również od czasu do czasu lubię poczytać jakąś dobrą historię o duchach, ale żyć tym na co dzień... Odradzałbym.

— Znowu to samo... Nie mogę wyjść za ciebie... Nigdy... — powiedziała Esme.

Allardyce'a замуrowało.

— Esme, chyba sobie żartujesz!

Ale ona nie żartowała. Trudno jej było przekonać Allardyce'a, że mówiła całkiem poważnie, lecz w końcu jej się udało. Odszedł zirytowany, wmawiając sobie, że koniec końców dobrze się stało — lepiej nie żenić się

z kobietą, w której żyłach płynie krew Dalleyów. Jego matka wpadła w złość, ale i poczuła ulgę. Wolą, żeby Allardyce zdobył lepszą partię. W końcu szalała za nim jakaś włoska księżniczka — wszyscy o tym wiedzieli. Tymczasem ta nic nie znacząca Esme Dalley nim wzgardziła!

Esme przeżywała trudne chwile. Wuj Conrad i ciotka Helen nie potrafili jej zrozumieć. Zarówno oni, jak i cała rodzina zgodnie uznali, że Esme okazała się bardzo nierozsądna. Jedynie państwo Blythe pochwalili jej decyzję. Ale ponieważ Esme o tym nie wiedziała, nie czuła żadnego pocieszenia.

— Z tego Allardyce'a Barry'ego to niezłe ziółko — rzekł doktor.

— Wierzę ci na słowo, bo nie znam go za dobrze — powiedziała Ania.

— Nie wierzę w tę historyjkę o ruskiej księżniczce — dodała Zuzanna.

Pewnego październikowego wieczoru Esme została sama w domu. Cała rodzina gdzieś wyjechała.

Esme pomyślała o starym ogrodzie w Birkentrees, o dziwacznej ciotce Hester, wściekłym Allardysie Bar-rym i o wszystkich nieprzyjemnościach, jakie ją spotkały w ostatnim czasie. Wiedziała, że rodzina nie wybaczy jej decyzji. Obecnie ledwie ją tolerowali.

Zadrżała, gdy zapragnęła nagle raz jeszcze znaleźć się przy zamkniętej bramie ogrodu, położonego nad brzegiem rzeki. Któż mógł zgadnąć, jakie niesamowitości czekały na nią w miejscu okrytym cieniami?

Czemu nie miałyby tego sprawdzić? Na skróty do Birkentrees to zaledwie trzy mile, a Esme była całkiem wytrzymała, mimo drobnej budowy.

Po godzinie dotarła do Birkentrees. Mury starego domostwa rysowały się mrocznym kształtem na tle zachodzącego słońca. Ponury cień domu kładł się na trawie, a rosnący w dali las świerkowy wyglądał niczym czarny mur. Wokoło wszystko wydawało się zaniedbane i porzucone. Przez kłótnie spadkobierców nie można było sprzedać majątku.

Ale Esme nie interesował dom. Miała ochotę znów kroczyć po tajemniczych ścieżkach zaczarowanego ogrodu, dlatego pospieszyła w stronę brzoźowej alei.

Doktor Gilbert Blythe, przejeżdżając w pobliżu samochodem, rozpoznał Esme.

„Cóż ta dziewczyna robi w tym opuszczonym miejscu?“, zastanawiał się z lekkim niepokojem. Słyszał pogłoski, jakoby Esme Dalley zmieniała się w dziwaczkę, zupełnie jak jej ciotka Hester. Plotki te rozsiewane były głównie przez ludzi, którzy twierdzili także, że Allardyce Barry dał jej kosza.

Doktor Blythe wahał się, czy powinien zatrzymać samochód i zaproponować Esme podwiezienie do domu. Ale w Glen czekał na niego poważny przypadek, przeczuwał też, że dziewczyna nie zabrałaby się z nim. Ania zawsze twierdziła, że Esme ma żelazny charakter kryjący się pod powłoką delikatności, a doktor bardzo liczył się ze zdaniem swej żony.

W jakimkolwiek celu Esme zjawiała się w Birkentrees, na pewno zamierzała dopiąć swego.

Doktor, nie

W

<m

zatrzymując się, pojechał więc dalej w kierunku Glen. Później był z siebie zadowolony: udało mu się zeswatać dwoje ludzi, nie wtrącając się do całej sprawy.

Brama ogrodu stała otworem. Wszystko wydawało się mniejsze, niż to zapamiętała Esme. W miejscu, gdzie niegdyś tańczyła z Francisem — czy raczej: wyobrażała sobie, że tańczy z Francisem — leżały pożółkłe liście i pokryte szronem lodygi.

Lecz wciąż było tu pięknie i tajemniczo. Wokół tańczyły cienie, które zbudziły się, gdy okrążył księżyc wze-szedł na niebie. Nie słyszała nic oprócz westchnień wiatru, szumiącego w jodłach, które rosły pośród złocistych klonów w kącie ogrodu.

Krocząc zarośniętą ścieżką w stronę brzozy, Esme czuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek w życiu.

— Ty nie istniejesz — westchnęła z żalem, myśląc o Francisie. — Nigdy nie istniałeś. Jestem idiotką! Chyba nie powinnam była tak wykorzystać Allardyce'a. Nic dziwnego, że wszyscy się na mnie wściekli, jedynie pani Barry nie kryje zadowolenia.

Biedna Esme nie słyszała opowieści o zagranicznych wojażach Allardyce'a ani o włoskich czy też ruskich księżniczkach. Dla niej Allardyce to wciąż mężczyzna, któremu udawało się czasem ją rozśmieszyć — trochę jak Francis, ale jego przecież nigdy nie spotkała...

Ciekawe, co się stanie z portretem dziadka Francis, gdy rodzina Barrych zamknie Longmeadow i wyjedzie znowu za granicę, tym razem na dobre. Plotki głosiły, że pani Barry nie zamierzała już nigdy więcej wracać do Kanady. Wszystko tu zdawało jej się takie prostackie. No

200

i te dziewczuchy uganiające się za Allardyce'em. Bała się, by nie znalazł sobie jakieś głupiej trzpiotki. Wystarczy, że już Esme Dalley go uwiodła. Dzięki Bogu nic z tego nie wyszło.

Allardyce na szczęście w porę się opamiętał.

Esme myślała o portrecie. Chciałaby go mieć, nawet jeśli był to portret ukochanego ze snu.

Gdy dotarła do starego kamiennego murka, z którego prawie nic już nie zostało, ujrzała Francis, idącego w górę po schodkach od strony rzeki. Ponieważ wielu stopni brakowało, a inne były poluzowane, uważnie stawiał kroki. Ale wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała — może tylko był trochę wyższy i ubrany bardziej nowocześnie. Wciąż miał gęste brązowe włosy i ten sam błysk w niebieskich, przenikliwych oczach, sugerujący niepokorną duszę. (W przyszłości on i Kuba Blythe mieli trafić do tego samego niemieckiego obozu, ale wtedy nikt o czymś takim nawet nie myślał).

Wokół Esme wirowały spiczaste jodły, długa, przyćmiona rzeka i opuszczony ogród.

Wyciągnęła ramiona przed siebie i niechybnie upadłaby, gdyby nie złapał jej w ostatniej chwili, skacząc przez uszkodzony murek.

— Francis! — krzyknęła.

— Francis to moje drugie imię, przyjaciele mówią na mnie Stephen — oświadczył, uśmiechając się. Był to ten sam szczerzy, przyjacielski, uprzejmy uśmiech, który zapamiętała. Esme odzyskała równowagę i odstała od niego o krok, lecz wciąż drżała tak bardzo, że objął ją ramieniem, zupełnie jak niegdyś Francis.

20f

— Obawiam się, że cię wystraszyłem. Przepraszam za to najście. Nie jestem przystojny, ale nie sądziłem, że wyglądam tak koszmarnie, iż na mój widok kobieta niemal zemdleje.

— To... to nie o to chodzi... — wyjąkała Esme, zdając sobie sprawę, jak się wygłupiła. Może rzeczywiście zdziwaczała jak ciotka Hester?

— Być może wkroczyłem na teren prywatny, ale to miejsce wygląda na opuszczone, poza tym powiedziano mi, że mógłbym przejść tędy na skróty. Wybacz, że cię wystraszyłem. ,

— Kim jesteś?! — wykrzyknęła rozemocjonowana Esme. Liczyła się tylko odpowiedź na to pytanie.

— Nikim szczególnym: Stephen Francis Barry, do pani usług. Mam dom na wybrzeżu, ale przenieśliśmy się na wschód kilka dni temu, żeby objąć kierownictwo nad stacją badawczą w zatoce. Wiem, że kiedyś mieszkali tu, w Longmeadow, moi dalecy krewni, więc pomyślałem, że wpadnę i może ich spotkam. Krążą też pogłoski, że wszyscy wyjechali za granicę. Ale — jak mawiał Piłat — „cóż to jest prawda”?

Esme wiedziała już, kim jest ten mężczyzna: trzecim kuzynem z Zachodu, którego wspominał Allardyce, zresztą z pogardą: „On pracuje — mówił takim tonem, jakby to było godne pożałowania. — Nigdy go nie widziałem, nikt z jego stron nie zjawił się na Wschodzie. Widocznie był zbyt zajęty badaniem robaków”.

Esme odsunęła się od nieznajomego jeszcze o kilka kroków, przyglądając mu się z powagą. Nie miała pojęcia, jak pięknie wyglądała skapana w aksamitnym blasku księżyca i otulona cieniem, ale Stephen Barry

202

doskonale to widział. Stał i wpatrywał się w nią, nie mogąc nacieszyć oczu.

— To nie twoje nagłe zjawienie się tak mnie wystraszyło — powiedziała Esme. — Chodzi o to, że wyglądasz identycznie jak ktoś, kogo kiedyś widziałam, a raczej: jak ktoś, kogo sobie wyobraziłam. Wyglądasz jak kapitan Francis Barry z portretu, który kiedyś znajdował się w Longmeadow.

— Stryjeczny dziadek Frank? Mój dziadek zawsze mówił mi, że jestem do niego podobny. Rzeczywiście tak?

— Jak dwie krople wody.

— Więc nic dziwnego, iż wzięłaś mnie za ducha. A ty? Mnie się zdaje, że to ja wyśniłem cię lata temu. Zjawiłaś się tu, jakbyś przybyła prosto z mego snu. Mam nadzieję, że mi się przedstawisz?

— Jestem Esme Dalley.

Nawet w bladym świetle księżyca mogła zauważyć, jak na jego twarzy odmalowuje się rozczarowanie.

— Esme Dalley... Tak, słyszałem. Wybranka Allardyce!

— Ależ nie, nie! — wykrzyknęła z pasją Esme. — W Longmeadow nikt nie mieszka. Dom wystawiono na sprzedaż. Allardyce wraz z matką wyjechali za granicę. Na zawsze, tak mi się zdaje.

— Tak ci się zdaje? Nie wiesz tego? Przecież jesteś jego... jego narzeczoną?

— Nie! — krzyknęła znowu. Z jakiegoś powodu nie mogła znieść myśli, że on o niczym nie wie. — Masz złe wiadomości. Allardyce i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi. A może nawet i to za dużo powiedziane — dodała po

203

chwili, pragnąc trzymać się faktów i przypominając sobie swą ostatnią rozmowę z Allardyce'em. — Poza tym, jak już ci powiedziałam, Allardyce i jego matka wyjechali do Europy. Nie planują powrotu.

— Szkoda — odparł wesoło Stephen. — Miałem nadzieję ich poznać. Zamierzam zostać tu kilka miesięcy, a wśród krewnych zawsze łatwiej się zadomowić. No, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Ujrzałem ciebie, w godzinie duchów, kroczącą w blasku księżyca... Na pewno nie jesteś tylko zjawą, Esme Dalley?

Esme roześmiała się i był to śmiech rozkoszny.

— Na pewno. Ale przyszedł tu, by spotkać ducha. Kiedyś ci o wszystkim opowiem. Wiedziała, że jej nie wykpi tak jak Allardyce. I nie będzie próbował wszystkiego logicznie wyjaśnić. Poza tym to już nie było istotne, czy całą tę historię da się wytłumaczyć. Mogli o niej po prostu razem zapomnieć.

— Może usiądziemy na tym murku i opowiesz mi teraz? — zaproponował Stephen. Mniej więcej w tym samym czasie doktor Blythe relacjonował swojej żonie:

— Widziałem dzisiaj przelotnie Stephena Barry'ego. Przyjechał na kilka miesięcy do Charlottetown. Wspaniały z niego facet. Dobrze by było, gdyby spotkał Esme Dalley... i żeby się w sobie zakochali. Stanowiliby doskonałą parę.

— I kto tu się bawi w swatkę? — sennym tonem wytknęła Ania.

— Kobieta zawsze musi mieć ostatnie słowo — odciął się doktor.

WIECZÓR PIĄTY

DZIEŃ ŚWIĘTOJAŃSKI

Blady świtu blask, perła barwy róż, Gdy wiatr rannej zorzy wędruje po łąkach, Jak gibkie dziewczę jutrenka jest tuż, Zjawia się zwiewna, pośród mgły błaka; Gdy hasa, strąca kropli

rosę I zerka przez gałęzie sosen, A śmiech zrodzony z wód licznych strużek Wiedzie ją, gdzie pstrokate wzgórze.

Wesołą pieśń śpiewa na miły dzień Bo wesołość się wkradła w poranka chłód. Co było wczoraj, na nowo zmień, Zapomnij i smutek miniony, i trud; Po wrzosów stąpa gobelinie Stopką drepcze białą po ścieżynie W stokrotki... Panna nimfa ona Z natury, kusi niezwyciężona.

Południe jest jak senna wróżka, Mak w koronie, w duchów dolinie,

206

Wzywa nas niemych pieszczot dróżka. Snujmy się tam, gdzie z południa wiatr płynie; Leniwie tka złotych zaklęć ton Łagodne jak pieśń, dźwięczne jak dzwon Leniwie nas nęci... podejdź tu, Będziemy jej, choć w tym jednym dniu.

Ta woń: kadzidło, piżmo, róża Wnika w jej dech. Pocałunki jak miód, Magia, co latem odurza, Jej mnogość rozkoszy syci nasz głód; Jest puchar, w nim blaskiem się mieni Snów nektar z Arkadii strumieni. Pijmy pod nieba sennego czasą, Świat niech omija kryjówkę naszą.

Wieczór — anielicy urok,

Nad wzgórza zachodnim czarem. Wpleść

Mgielkę gwiazd zechciała w swój jasny lok

W lśniących oczach pamiętnej historii treść.

Wyniośle kroczy po łąk bezkresie,

Łaskę i pokój nam niesie.

Tuli mocno do piersi jasnej

Drogie wspomnienia, jak dziecię własne.

Przez sosny szmer słysz śpiewania, Jak kryształ pada czystość i chłód rosy, To mądrość dawnego kochania, Bacz: w jej pieśni brzmią minione głosy. Świętą moc tajemnicy nam wskaże, Mroków sekret ofiaruje w darze. Poznamy się, nim sen nas oblecze, Ze nasze dusze wzięła pod pieczę.

Ania Blythe

206

ANIA BLYTHE: — Wiersz powinien być podpisany: Ania Shirley. Napisałam go, gdy miałam kilkanaście lat.

DR GILBERT BLYTHE: — Więc już wtedy miałaś poetyckie aspiracje... I nigdy mi tego nie powiedziałas!

ANIA BLYTHE: — Napisałam ten wiersz u Patty. Wtedy nie byliśmy w najlepszych stosunkach, pamiętasz? Ożeniłbyś się ze mną, gdybyś wiedział już wtedy?

DR GILBERT BLYTHE, drocząc się: — Och, pewnie tak. Ale pewnie byłbym śmiertelnie przerażony. Wiedziałem, że pisywałaś opowiadania. Ale poezja to zupełnie inna para kaloszy.

ZUZANNA BAKER, odczytując wiersz dosłownie: — No też coś!

WSPOMNIENIE

Przez miejski zamęt usłysz me wołanie, Dziś chcę przywołać cudowne wspomnienie:

Zmierzchy na łąkach i łagodne cienie, I nocne chłody, i kwiaty jabłoni. Mgły szarość smutną i szum morskiej toni I jeszcze smutny, blady księżyc w nowiu, Który za wzgórza zielone się schował.

Świerki na wzgórzach widzę gdzieś w oddali I wiatr mnie czule pieści satynowy, Słyszę głos lelka oraz leśnej sowy I wiem, gdy obraz ten mam przed oczami, Że moje serce zostanie z gwiazdami Z tym snem rozkosznym, który mnie uniesie, Z tajemnicami, ukrytymi w lesie. W ulicznym gwarze nie znajdziesz milczenia, Ludzie się spieszą, pędzą jak szaleni, Lecz ja uciekam do krainy cieni.

Tam czeka na mnie dom tak bardzo drogi, Słyszę szum morza, przestępując progi, I w ciszy zmierzchu na pewno się uda Dnia wczorajszego znów odnaleźć cuda.

Na łące maki rozkwitły wspaniale, Wabią mnie ścieżki bliskie mi i znane I delikatne lilie jak śnieg białe. Róże ku słońcu dumne głowy wznoszą I swoją przyjaźń jak prezent przynoszą, Dzwonek gra modry, znowu słyszę echo — to głos cichego leśnych elfów śmiechu.

>

Sama podążę w wędrówkę przed siebie,
Pieszczotą będą wieczorne ciemności.

Wiem, po co idę, w ciszy, w samotności.

I w sny uwierzę, i pójdę daleko,

Gdzie widać wzgórze, gdzie dom na mnie czeka.

Idąc tą drogą, znajdę się tak blisko
sekretu, który cenniejszy niż wszystko.

Ania Blythe

ANIA BLYTHE, śmiejąc się: — Napisałam ten wiersz dwadzieścia lat temu w Redmond...
Żaden wydawca nie chciał go opublikować.

ZUZANNA BAKER, robiąc na drutach: — Co tylko dowodzi, że nie znali się na rzeczy,
droga pani doktorowo. Ale skoro o jabłkach mowa, obawiam się, że w tym roku będziemy
mieć kiepskie zbiory. Jabłonie prawie nie zakwitły.

WALTER BLYTHE: — Ale z pewnością ujrzymy jeszcze księżyc w nowiu. Widziałem taki
wczoraj, w Tęczowej Dolinie.

ZUZANNA BAKER: — Muszę przyznać, że widywałam wzgórza, które wyglądały tak,
jakby się modliły. „Niech cię tak wyobraźnia nie ponosi”, mawiała moja matka. A gdy chodzi
o leśnych mieszkańców, szczególnie jeśli miała pani na myśli elfy, to lepiej się z nimi nie
zadawać. Poza tym elfy nie istnieją, droga pani doktorowo.

WALTER BLYTHE: — Skąd Zuzanna to wie?

ZUZANNA BAKER: — Bo nigdy żadnego elfa nie spotkałam.

WALTER BLYTHE: — A widziała Zuzanna piramidy?

ZUZANNA BAKER, z podziwem: — Ciebie, Walterze, nie przegadam.

DR GILBERT BLYTHE: — Ale dom chyba powinien być zielony, nie szary?

ANIA BLYTHE: — Tak, ale wtedy szary wydawał mi się bardziej romantycznym kolorem.

DR GILBERT BLYTHE: — Pamiętam czerwcowe lilie na Zielonym Wzgórzu... Natomiast
co do niewolników czasu — każdy z nas jest niewolnikiem czasu, Aniu. W ten czy inny
sposób.

ZUZANNA BAKER: — Ale wiele zależy od tego, kto jest naszym panem.

KUBA BLYTHE: — Złoto, zmatowiałe czy nie, jest w naszym świecie bardzo potrzebne,
mamo.

ZUZANNA BAKER: — Bardzo rozsądne stwierdzenie.

DR GILBERT BLYTHE: — Byle tylko nie stać się niewolnikiem złota, Kubo. Może właśnie
dlatego redaktorzy nie chcieli opublikować twojego wiersza, Aniu. Widzieli w nim zbyt mały
zysk, by docenić twoją sztukę.

ZUZANNA BAKER: — Muszę przyznać, że widywałam wzgórza, które wyglądały tak,
jakby się modliły. „Niech cię tak wyobraźnia nie ponosi”, mawiała moja matka. A gdy chodzi
o leśnych mieszkańców, szczególnie jeśli miała pani na myśli elfy, to lepiej się z nimi nie
zadawać. Poza tym elfy nie istnieją, droga pani doktorowo.

WALTER BLYTHE: — Skąd Zuzanna to wie?

ZUZANNA BAKER: — Bo nigdy żadnego elfa nie spotkałam.

WALTER BLYTHE: — A widziała Zuzanna piramidy?

ZUZANNA BAKER, z podziwem: — Ciebie, Walterze, nie przegadam.

DR GILBERT BLYTHE: — Ale dom chyba powinien być zielony, nie szary?

ANIA BLYTHE: — Tak, ale wtedy szary wydawał mi się bardziej romantycznym kolorem.

DR GILBERT BLYTHE: — Pamiętam czerwcowe lilie na Zielonym Wzgórzu... Natomiast co do niewolników czasu — każdy z nas jest niewolnikiem czasu, Aniu. W ten czy inny sposób.

ZUZANNA BAKER: — Ale wiele zależy od tego, kto jest naszym panem.

KUBA BLYTHE: — Złoto, zmatowiałe czy nie, jest w naszym świecie bardzo potrzebne, mamo.

ZUZANNA BAKER: — Bardzo rozsądne stwierdzenie.

DR GILBERT BLYTHE: — Byle tylko nie stać się niewolnikiem złota, Kubo. Może właśnie dlatego redaktorzy nie chcieli opublikować twojego wiersza, Aniu. Widzieli w nim zbyt mały zysk, by docenić twoją sztukę.

SPEŁNIONE MARZENIA

Gdy w sobotni wieczór Anthony Fingold opuszczał dom, miał zamiar jedynie zajść do sklepu w Glen St. Mary po butelkę płynu do nacierania dla żony. Potem, wrócić i położyć się do łóżka.

Zdał sobie sprawę ze smutkiem, że i tak nie ma nic więcej do roboty. Wstawaj rano, pracuj cały dzień, zjedz trzy posiłki, idź spać o wpół do dziesiątej. Cóż to za życie!

Ale Clarze to najwyraźniej nie przeszkadzało. Ba, żaden z sąsiadów w Górnym Glen nie miał nic przeciwko takiemu życiu. Najwyraźniej rutyna nie stanowiła w ich przypadku problemu. Prawdopodobnie jednak nie byli świadomi, ile rzeczy ich tak naprawdę omijało.

Ponurym tonem odezwał się przy kolacji (nie można było zaprzeczyć, iż Clara przyrządzała wyborne kolacje, chociaż Anthony'emu nigdy nie przyszło na myśl, by ją za to pochwalić):

— Tego lata na Wyspie nie wydarzyło się nic ciekawego. Nawet ani jednego pogrzebu.

J2f0

Clara spokojnym tonem przypomniwała, że trzy tygodnie temu zginęło pranie Barnardów z Mowbray Narrows, natomiast jeszcze wcześniej okradziono sklep Cartera Flagga w Glen St. Mary. Po czym podała mu ciasteczka imbirowe.

Czyżby uważała, że ciasteczka imbirowe z powodzeniem mogą zastąpić wielkie tęsknoty i szalone, dzikie, niezapomniane przygody?

Następnie dołała oliwy do ognia, wspominając, że Carter Flagg przecenił piżamy.

Była to jedna z rzeczy, co do których nie mogli dojść do porozumienia: Clara nalegała, by spał w piżamie, on natomiast upierał się przy koszuli nocnej.

— Doktor Blythe śpi w piżamie — westchnęła Clara.

Anthony bardzo cenił doktora Blythe'a — uważał wręcz, że nikt mu nie dorównuje. Zresztą jego żona również wyglądała na w miarę inteligentną kobietę. Co zaś do Zuzanny Baker, gospodyni ze Złotego Brzegu, Anthony pokłócił się z nią lata temu. Podejrzewał, że to właśnie ona zaszczerpiła w Clarze pomysł z piżamą. Mylił się jednak, i to bardzo.

Skradzione pranie w Mowbray Narrows... Oczywiście, że to musiało przydarzyć się właśnie tam! Nic ciekawego nie działo się w Górnym Glen czy w rodzinie Fingoldów. Rabunek w sklepie Cartera? Phi, cóż w tym ciekawego! Zabrano mu jedynie dziesięć dolarów i bełę flaneli. Szkoda gadać. A mimo to ludzie rozprawiali o tym przez kilka dni.

Niedawno wpadła do nich Zuzanna Baker i cały wieczór razem z Clarą przegadały na ten właśnie temat:

J2ff

rabunek w sklepie Cartera. Gdy Zuzanna zbierała się już do wyjścia, ciche szepty w drzwiach domu dotyczyły prawdopodobnie piżamy. Anthony wcale by się tym nie zdziwił. Sam był świadkiem, jak doktor nie tak dawno temu kupował sobie piżamę u Cartera Flagga.

Anthony'ego nie spotkało w całym życiu nic godnego miana „przygody”. Szczytem jego osiągnięć było wspięcie się na drzewo lub rzucenie kamieniem w bezpańskiego psa. Los mu nie sprzyjał. W głębi serca czuł, że mógłby stać się łowcą przygód na miarę Wilhelma Telia, Ryszarda Lwie Serce lub innego sławnego na całym świecie bohatera. Ale urodził się w rodzinie Fingóldów, w Górnym Glen, na Wyspie Księcia Edwarda, więc nie był w stanie zostać bohaterem. Doktor Blythe mógł sobie mówić, że cmentarze pełne są bohaterów, którzy dokonali czynów znacznie wspanialszych niż sławne postaci historyczne. Jego żona była w końcu romantyczką.

Czy Wilhelm Tell nosił piżamę? Chyba nie. Właściwie to w czym on spał? Dlaczego w książkach nie ma rzeczy, które nas najbardziej interesują? Cóż by to było za szczęście, gdyby mógł pokazać Clarze, że bohater jakiejś powieści historycznej lub romansu zakładał do snu koszulę nocną!

Kiedyś zadał takie pytanie, nie pamiętał już komu, ale ów ktoś odpowiedział, że najprawdopodobniej w dawnych czasach bohaterowie spali nago.

Cóż za nieprzyzwoitość. Nie mógł tego obwieścić Clarze.

Czasem marzył o tym, żeby zająć się rozbójnictwem. To byłoby wspaniałe. Przy odrobinie szczęścia mógłby

zostać łotrem, grasującym nocami. Wtedy nie potrzebowałby ani piżamy, ani koszuli nocnej. Oczywiście wielu z nich skończyło na stryczku, ale przynajmniej swoje przeżyli, nim dosięgła ich śmierć. Anthony mógłby zostać przebiegłym i złym zbójem, tańczącym na wrzosowiskach oświetlonych blaskiem księżyca z ponętymi, pięknymi damami, może nawet księżniczkami. Naturalnie w nagrodę za taniec oddawałby im skradzione klejnoty lub złoto. Och, jakie wspaniałe byłoby takie życie! Kapłan metodystów z Lowbridge wygłosił kiedyś kazanie na temat „marzeń o tym, jacy chcielibyśmy być”. I chociaż Anthony i Clara byli zagorzałymi prezbiterianami, akurat wtedy odwiedzili przyjaciół metodystów, więc wybrali się na mszę razem z nimi.

Clarze kazanie się podobało. Pewnie, przecież ona o niczym nie marzy! No, może jedynie o tym, by ujrzeć go w piżamie. Była całkiem zadowolona ze swego nieciekawego życia. Podobnie jak wszyscy ludzie, których Anthony znał. Przynajmniej tak mu się wydawało.

— Do tego właśnie wszystko się sprowadzało — westchnął 'Anthony.

Był tylko niskim, chudym, niepozornym Anthonym Fingoldem, złotą rączką Glen. Jedyne chwile podekscytowania przeżywał, kradnąc śmietankę dla kota. Clara w końcu się o tym dowiedziała, gdyż kiciuś rozlał niewielką ilość smakołyku. Nawet nie nakrzyczyła na męża, chociaż ten przerażony zdał sobie sprawę, że na pewno o wszystkim opowiedziała Zuzannie Baker. No, bo z czego tak by się śmiały? Miał nadzieję, że Zuzanna nie wypapla tej historyjki państwu Blythe. Bo cóż tu

2

opowiadać? Poza tym państwo Blythe na pewno uznają, że takie zachowanie nie przystoi członkowi starszyny kościoła.

Ale irytowało go, że Clara z takim spokojem przeszła do porządku dziennego nad jego zbrodnią. Powiedziała tylko:

— Kot jest już gruby jak beczka. Poza tym mógłbyś dawać mu tyle śmietanki, ile chcesz. Wystarczyło poprosić.

„Ona nawet się ze mną nie kłóci — myślał rozczarowany Anthony. — Gdyby choć raz na jakiś czas porządnie się wściekła. Przynajmniej nie byłoby tak nudno. Podobno Tom Crossbee i jego żona kłócą się codziennie. A to zadrapanie, które miał na twarzy w zeszłą niedzielę, to jej sprawka. To już coś. Ale Clarę drażni jedynie to, że nie chce spać w piżamie. Nie awanturuje się jednak, mówi tylko, że piżamy są teraz modne. Cóż, muszę akceptować

życie takim, jakie ono jest. «Niech Bóg ma w opiece tych, którzy na próżno przywołują marzenia młodości»".

Anthony nie pamiętał, gdzie zasłyszał te słowa. Z pewnością jednak odnosiły się do jego sytuacji. Westchnął. W drodze na wybrzeże minął jakiegoś włóczęgę. Zauważył, że miał on na nogach coś w rodzaju butów, ale nie nosił skarpetek. Przez dziury w koszuli widać było skórę. Palił papierosa; wydawał się zadowolony z siebie i szczęśliwy.

Anthony zazdrościł mu. W końcu ten człowiek mógł przespać całą noc na powietrzu. Tak pewnie czynił. Za dach służyło mu rozgwieżdżone niebo. Nikt nie napominał go, aby założył piżamę. Jakże cudownie musiało żyć

się komuś, kto nie miał zielonego pojęcia, gdzie spędzi kolejną noc!

Doktor Blythe przemknął obok niego swoim nowym samochodem. Nie zaproponował mu jednak podwiezienia, bo Anthony znajdował się już w pobliżu sklepu w Glen. To akurat jednak Anthony'ego nie zasmuciło. Lubił doktora Blythe'a, ale jednocześnie podejrzewał, że doktor traktował go z przymrużeniem oka. No i zdecydowanie za dużo nasłuchiwał się o piżamie Anthony'ego.

Dlaczego wszyscy przeżywali jakieś przygody, tylko nie on, Anthony Fingold? Stary Sam Smallwood z pobliskiej Harbour Mouth podobno w młodości był piratem. Albo został pojmany przez piratów... Anthony nie znał szczegółów. Stary Sam utrzymywał, że prawdziwa była pierwsza wersja, ale Smallwoodowie lubili opowiadać o sobie niestworzone historie. Z kolei Jim Millar cudem uszedł z życiem podczas zderzenia pociągów. Ned MacAllister przeżył trzęsienie ziemi w San Francisco. Nawet stary Frank Carter schwycił złodzieja w swoim kurniku, a potem był świadkiem w sądzie.

Każdy z sąsiadów Anthony'ego miał do opowiedzenia jakąś ciekawą historię, o której potem plotkowano wieczorami w sklepie Cartera. Niektóre z nich nawet zamieszczono w „Enterprise” wychodzącym w Charlotte-town, w rubryce Delii Bradley, poświęconej ciekawym mieszkańcom Wyspy Księcia Edwarda. O Anthonym natomiast nie pisano w gazetach, z wyjątkiem krótkiej wzmianki z okazji jego ślubu.

Problemem było jednak to, że nigdy nie zasiał przysłowiowego ziarna. Nie mógł więc zebrać plonów. Nic

go nie cieszyło. Przed nim była jedynie wizja długich lat wypełnionych nudą. A potem śmierć we własnym łóżku. W łóżku! Anthony cierpiał na samą myśl o tak banalnej śmierci. Jedynym pocieszeniem był fakt, że najprawdopodobniej odejdzie z tego świata w koszuli nocnej. Bo gdyby umarł w piżamie!... Będzie musiał o tym porozmawiać z Claram, gdy następnym razem zechce wymusić na nim spanie w piżamie. Wpadł na pewien pomysł, który mógłby Clare wprost zaszokować, mimo jej nowoczesnego podejścia do życia.

Anthony nigdy nawet się nie upił! Rzecz jasna teraz, gdy był członkiem starszyny kościoła, nie wypadało mu się upijać. Ale gdy był młody! Abner MacAllister również należał do starszyny, a jednak za młodu upijał się wielokrotnie, nim wkroczył na właściwą drogę i się nawrócił. Do diabła, czy człowieka musiało omijać wszystko, co ciekawe, tylko dlatego, że był już starszy i należał do starszyny kościoła?

To nie było tego warte!

Przypomnił sobie, że Jimmy Flagg podobno spał w piżamie... a Jimmy również należał do starszyny. Z drugiej strony jednak wszyscy wiedzieli, jaka była jego żona. Może nawet pastor zakładał piżamę? Ta myśl wstrząsnęła Anthonym. Nigdy wcześniej nie rozważał takiej możliwości. Poczł, że już nigdy więcej nie będzie słuchał kazań pana Mereditha z taką przyjemnością. Mógłby wybaczyć księdzu jego rozkojarzenie, nawet ponowne zaślubiny (których Anthony nie pochwalał). Ale ksiądz śpiący w piżamie?! Musi odkryć prawdę. To nie będzie trudne. Zuzanna Baker pewnie o wszystkim

wie. Ze Złotego Brzegu na pewno dostrzeżę pranie suszące się przy plebanii. Ale czy Anthony zdobędzie się na odwagę i zada Zuzannie odpowiednie pytanie? Nie, nigdy. Będzie musiał któregoś poniedziałku wybrać się do Glen i przekonać się osobiście. „Nie wybraliby mnie do starszyzny, gdyby wiedzieli, jak bardzo jestem zrozpaczony”, myślał, maszerując drogą przez wieś. Oni nigdy nie marzyli o niebezpiecznych przygodach i bohaterskich czynach, podczas gdy on myślał o nich nieustannie. Gdy grabił i palił liście z trawnika Sary Allenby, w wyobraźni walczył z Indianami; gdy malował stodołę George'a Robinsona, buszował w kopalni złota; gdy pomagał Marshallowi Elliottowi zwieźć siano z pola, ratował przed utonięciem cudnej urody dziewczinę, samemu ryzykując własne życie; gdy zakładał okiennice w Złotym Brzegu, przecierał szlaki w jakichś pradawnych puszczech, docierając tam, gdzie nie dotarł przed nim nikt inny; gdy rozładowywał węgiel u Augustusa Palmera, przebywał w niewoli u króla kanibali na wyspie zamieszkałej przez dzikusów; gdy pomagał Trench Moore kruszyć lód, polował na tygrysy w przyrówniko-wych dżunglach; gdy rąbał drewno i pracował w ogrodzie, czuł dreszcz ekscytacji, eksplorując niebezpieczne wody wokół bieguna polarnego; gdy siedział w kościele obok swojej żony Clary, ubranej w swą niedzielną miodową suknię, ograbiał świątynie w Burmie ze szmaragdów wielkich jak gołębie jaja... A może to były rubiny?

Lecz marzenia, chociaż dawały jaką taką satysfakcję, uzmysławiały mu równocześnie, jak wiele go w życiu ominęło. Bohaterstwem w marzeniach nie mógł sprawić, by Caroline Wilkes spojrzała na niego z podziwem. A to było największe pragnienie jego życia, jedno z tych, do których nie mógł się przyznać nikomu: marzył o tym, aby Caroline Wilkes, z domu Mallard, posłała mu pełne podziwu spojrzenie. Trwająca od lat wierność i oddanie Clary były niczym wobec tego nie doświadczonego, nieosiągalnego podziwu w oczach Caroline. W sklepie Anthony usłyszał coś, co sprawiło, że zdecydował się wrócić do domu inną drogą. Była to znacznie dłuższa trasa, przede wszystkim zdecydowanie mniej interesująca, ponieważ wzdłuż niej nie stały żadne domy z wyjątkiem Westlea — nowej letniej rezydencji Wilkesów. Carter Flagg powiedział, że Wilkesowie już tam się zjawili, przyjechali w tym roku wcześniej ze względu na zdrowie starszej pani Wilkes. Zaniepokojony Anthony spytał o szczegóły, na co Carter Flagg odparł lekkim tonem, że chodziło o jakieś ataki, problemy z sercem, jak twierdziła Zuzanna Baker. Podobno w tym roku staruszcze znacznie się pogorszyło. Wilkesowie przywieźli z sobą pielęgniarkę, a doktor Blythe odwiedzał ich dość często. Carter Flagg dodał, że stara pani Wilkes darzyła doktora Blythe'a ogromnym zaufaniem i szacunkiem, mimo że odwiedziła już specjalistów z całego świata. Anthony pomyślał wtedy, że lepiej obrać dłuższą drogę — może uda mu się choć przelotnie zobaczyć Caroline, jeśli akurat będzie przebywać przed domem. Rzadko ją widywał. Od dawna nie chodziła do żadnego z pobliskich kościołów. A odkąd zbudowano Westlea, czyli dwa lata temu, nie wychodziła poza jego mury. Gdy dorosła i, rzecz jasna, wspięła się na wyższy szczebel społecznej drabiny (była przecież córką znanego przedsiębiorcy), Anthony wciąż ją uwielbiał, choć zdawał sobie sprawę, że dla niego była zupełnie nieosiągalna. Nigdy nie pomyślał, by uderzyć do niej w zaloty. No, może czasem w marzeniach. Wiedział jednak, że równie dobrze mógł się oświadczyć królowi. W tajemnicy przeżywał potworne katusze, gdy Caro-line wyszła za jednego z bogatych przedstawicieli rodu Wilkesów z Montrealu (Wilkesowie wpadli w furję, kiedy dowiedzieli się, że jeden z nich ożenił się z kimś z niższych sfer). Anthony uważał, że Ned Wilkes nie był nawet godzien, by wiązać Caroline trzewiczki.

Chociaż, kto na to zasługiwał? Więc Anthony ograniczył się do uwielbiania Caroline w skrytości ducha. Widywał ją jedynie wówczas, gdy odwiedzała krewnych w Lowbridge. Wtedy przychodziła na niedzielne msze do kościoła.

Czytał wszystko, co tylko udało mu się znaleźć na jej temat w gazetach. Rodzina uważała go za szaleńca i dziwaka, bo upierał się, żeby prenumerować czasopismo z Montrealu, w którym znajdowała się rubryka towarzyska.

Często czytywał o niej wzmianki: a to spotykała się z jakimś zagranicznym arystokratą, wyjeżdżała do Europy, a to rodziła dziecko. Zdawała się nigdy nie starzeć.

2

m-

Na fotografiach — podobnie jak we wspomnieniach Anthony'ego — zawsze wyglądała pięknie i imponująco. Czas i troski omijały ją chyba szerokim łukiem.

A jednak miała pewne problemy, o ile w plotkach było choć ziarno prawdy. Ned Wilkes podobno wiódł dość hulawczy tryb życia. Umarł jednak lata temu, a dzieci Caroline dawno już znalazły sobie żony i mężów — w tym dwóch angielskich lordów. Dobiegała już sześćdziesiątki, ale dla Anthony'ego nie miało to znaczenia, sam przecież nie był młodzieńcem, chociaż wciąż się za takiego uważał.

Tymczasem Anthony zaręczył się, potem ożenił z Clary Bryant, która — zdaniem jej rodziny — popełniała wielki błąd, wychodząc za niego. Okazała się dobrą, choć nieco nudną żoną, a w czasach młodości mogła pochwalić się okazałymi kształtami i urodą.

Ale tajemną miłością życia Anthony'ego na zawsze pozostała Caroline Mallard o granatowych niczym morskie fale oczach i zimnym, godnym królowej wyrazie twarzy.

Przynajmniej tak ją zapamiętał. Większość ludzi natomiast uważała ją za nieźle wyglądającą kobietę, której się poszczęściło, bo zdobyła bogatego męża.

Dla Anthony'ego była jednak wielką damą. Arystokratką w każdym calu. Przywilejem było kochać się w niej, nawet beznadziejnie. Przywilejem było marzyć o służeniu jej. Pogardą darzył innych mężczyzn, którzy najpierw się w niej podkochiwali, a potem o niej zapomnieli. On pozostał wierny. Często powtarzał sobie, że chętnie oddałby życie, gdyby tylko dane mu było choć raz dotknąć jej pięknej dłoni.

220

Nie odważył się zadać sobie pytania: „Czy dla niej byłbyś gotów założyć piżamę?”.

Oczywiście Ned Wilkes spał w piżamie. Ale kogo obchodził Ned Wilkes.

Anthony nie zdziwiłby się, gdyby Clara od dawna wiedziała o tym jego sekretnym zadurzeniu, ale nic sobie z tego nie robiła. Uznała pewnie, że to po prostu jego kolejna szalona mrzonka. Poza tym doskonale wiedziała, jak Caroline Wilkes wygląda obecnie i co jej dolega. I czemu rodzina Wilkesów przybyła w tym roku na Wyspę Księcia Edwarda tak wcześnie. Wszyscy wiedzieli. Anthony byłby bardzo zaskoczony, gdyby zdał sobie sprawę, ile wiedziała Clara. Może byłoby to zaskakujące dla większości mężów.

Anthony z dumą myślał, że z biegiem lat jego uczucie do Caroline nie przygasło. Ruszył do domu dłuższą trasą, licząc po cichu, że choć na chwilę ją zobaczy. Serce nie starzeje się nigdy. Caroline nigdy nie dowiedziała się, że ją kochał, a jednak przez całe życie ją ubóstwiał. Oczywiście Clara była mu również droga. Uważał się zresztą za wzorowego męża. I Clara przyznałaby mu rację. Choć jedno w nim jej się nie podobało... Z tego to właśnie powodu cicho wzdychała za każdym razem, gdy mijała Złoty Brzeg i widziała pranie Zuzanny Baker suszące się na sznurach. Ale nie można mieć wszystkiego, powtarzała sobie Clara. Biedna Zuzanna była starą panną i nic jej tego nie mogło wynagrodzić, nawet fakt, że doktor Blythe spał w piżamie.

Gdy Anthony zatrzymał się przy bramie Westlea i zapatrzył z melancholią na dom, gdzie przebywała jego

bogini, na podjeździe zjawił się Abe Saunders. Pracował jako dozorca w Westlea. Jego żona zajmowała się domem. Wilkesowie spędzali tu naprawdę mało czasu. Anthony i Abe nie byli w przyjaznych stosunkach, częściowo za sprawą jakiejś starej, dawno przez wszystkich zapomnianej sprzeczki z czasów szkolnych, a częściowo dlatego, że Abe kiedyś również zalecał się do Clary Bryant. To już była przeszłość, Abe'owi zresztą dobrze się żyło u boku żony, ale tamto uczucie nie całkiem przeminęło i obaj zdawali sobie z tego sprawę.

Anthony był więc zaskoczony, gdy Abe podbiegł do niego i zasypał słowami:

— Tony, nie wyrządziłbyś mi przysługi? Właśnie dostaliśmy z żoną wiadomość, że nasza córka miała wypadek samochodowy w okolicy Narrows. Podobno złamała nogę. Musimy jechać do niej. Zabiorą ją do szpitala w Charlottetown, doktor Blythe trzyma rękę na pulsie. No ale i tak nie możemy jej zostawić samej w takiej chwili. W końcu to krew z krwi, kość z kości! Nie popilnowałbyś domu, póki nie przyjedzie pan Norman Wilkes? Zjawi się wkrótce, jedzie autem z Charlottetown. Starsza pani leży w łóżku i śpi — albo udaje, że śpi, a ten nicpoń George gdzieś przepadł. Nie odważylibyśmy się zostawić domu bez opieki.

— A co z pielęgniarką? — wydusił z siebie zaskoczony Anthony.

— Ma dzisiaj wolne. Dała zastrzyk starszej pani zgodnie z zaleceniami doktora Blythe'a. Jedyne, co musiałbyś zrobić, to posiedzieć i poczekać, aż ktoś się zjawi. Pewnie niedługo wróci George, jeśli nie skoczył do wioski,

żeby spotkać się z jakąś panienką. Ale, na rany Chrystusa, nie zastanawiaj się przez cały wieczór! No to jak?

— A co jeśli... jeśli pani Wilkes nagle dostanie ataku? — wymamrotał Anthony.

— Ona nie miewa żadnych ataków — odparł zniecierpliwiony Abe. — Chodzi o coś... o coś innego. Nie wolno mi o tym mówić. W każdym razie na pewno nie dostanie ataku po zastrzyku. Dostała środek nasenny. — „Jeśli oczywiście ta gąska uważająca się za pielęgniarkę rzeczywiście go zrobiła”, pomyślał Abe, ale nie zamierzał wypowiedzieć tego na głos. — Będzie spać niczym kłoda aż do rana. Zawsze tak jest. Więc? Zgadzasz się czy nie? Nie sądziłem, że będziesz się tak wahał, gdy przyjaciel znalazł się w potrzebie. Jak tak dalej będę zwlekać, to Lula trafi do szpitala, zanim ją zobaczymy.

Wahać się! Abe i jego roztrzęsiona żona (gdyby tak Clara wpadła od czasu do czasu w podobną histerię!) odjechali swoim rozklekotanym samochodem, a Anthony Fingold siedział już w salonie, promieniując szczęściem. Nie mógł uwierzyć, że to nie jest sen.

Oto przebywał w tym samym domu co jego umiłowana Caroline. Czuwał, podczas gdy ona odpoczywała. Czy można sobie wyobrazić bardziej romantyczną sytuację? Oczywiście najlepiej by było, gdyby Clara o niczym się nie dowiedziała, co jest raczej niemożliwe. Tak czy siak zamierzał cieszyć się chwilą. Błogosławiony niech będzie George, osierocony syn jednego z kuzynów Mallardów, za to, że gdzieś się zapodział! Anthony miał nadzieję, że przez kilka godzin w domu nikt się nie zjawi. Zapal fajkę! Odpędź złe myśli! Nikt z wyjątkiem Saundersów

223

nie sugerowałby takich rzeczy. Anthony miał zamiar siedzieć w salonie i przypominać sobie wszystkie wiersze, które kiedykolwiek czytał. Clara wiedziała, że poszedł do sklepu, więc nie będzie się niepokoić. Mimo wszystko nie chciał, by Clara martwiła się o niego, zwłaszcza teraz, gdy był taki szczęśliwy.

— A co ty tu robisz, mały człowieczku?

Anthony Fingold podskoczył, jakby go postrzelono, i w bezgranicznym zdumieniu wlepił wzrok w postać, która właśnie stanęła w drzwiach salonu.

To nie mogła być ona, to nie mogła być jego Caroline, jego piękna, romantyczna, wspaniała, ukochana Caroline. Na ostatniej fotografii, jaką oglądał w montrealskiej gazecie, wyglądała niemalże tak pięknie i sztywnie jak niegdyś.

Ale kim, jeśli nie Caroline mogła być owa wyczerpana, koścista staruszka we flanelowej koszuli nocnej, nie tak ładnej nawet jak koszula nocna Clary? Cienkie, siwe kosmyki włosów opadały na jej pomarszczoną twarz, a wargi zapadły się do środka, dotykając bezzębnych dziąseł. Clara nigdy w życiu nie pokazałaby się nikomu na oczy bez sztucznej szczęki.

Prędzej padłaby trupem.

W tych zapadniętych niebieskich oczach tliło się dziwne światelko — patrzyła na niego tak, że ciarki przechodziły mu po skórze. W dłoni trzymała coś, co wyglądało na sztylet. Anthony co prawda nigdy w życiu nie widział prawdziwego sztyletu, ale oglądał go na obrazkach i wyobrażał sobie, że tą bronią przebija się serca wrogów. Rzeczywistość okazała się jednak okrutniej sza.

— A niech mnie, toż to mały Anthony Fingold, który się we mnie bezgranicznie kochał! — odezwała się zjawą, potrząsając sztyletem. — Pamiętasz stare dobre czasy, Anthony? Gdybym miała więcej rozumu, poślubiłabym ciebie, zamiast Neda Wilkesa. Ale młodym zawsze brakuje rozsądku. Oczywiście powiesz, że nie prosiłeś mnie o rękę. Lecz zrobiłbyś dla mnie wszystko. Każda kobieta o tym wie. Jak tam Clara? Była o mnie taka zazdrosna! To była — musiała być — Caroline. Biedny Anthony przyłożył dłoń do czoła. Gdy w jednej chwili wszystkie marzenia obracają się w pył, trudno sobie z tym poradzić. Wciąż miał nadzieję, że to tylko jakiś koszmar i Clara zaraz go zbudzi.

— Co tu robisz? — dopytywała się Caroline. — Gadaj natychmiast albo... — złowróźnie pomachała sztyletem.

— Jestem tu... bo... bo Abe Saunders poprosił mnie, bym pilnował domu, nim nie wróci wraz z żoną — wy-dukał Anthony. — Musieli pojechać, bo... ich córka miała wypadek i zamierzali zabrać ją do szpitala. Abe nie chciał, by została tu pani sama.

— Kto orzekł, że ich córka musi iść do szpitala?

— Wydaje mi się, że doktor Blythe. Ja...

— W takim razie musiała jechać do szpitala. Doktor Blythe to jedyny rozsądny człowiek na całej Wyspie Księcia Edwarda. Jeśli o mnie chodzi, to biedny Abe nie miał się czym martwić. Przecież nikt by nie uciekł z tym domem na plecach. A w razie czego to o odstraszyłoby każdego złodzieja, nie sądzisz?

236

Anthony spojrział na błyszczący sztylet i musiał zgodzić się z Caroline.

— Ta pożałuj Boże pielęgniarzka ma dzisiaj wychodne, pewnie ugania się za mężczyznami — burknęła Caroline. — Już ja znam ich sztuczki! Mężczyzn tak łatwo nabrać...

— Natomiast George...

— Oh, powiesiłam George'a w szafie — przerwała Caroline. Nagle aż zatrzęsła się od śmiechu. — Zawsze miałam ochotę kogoś zabić — w końcu mi się udało. Niesamowite przeżycie, Anthony Fingoldzie. Czy ty kiedykolwiek kogoś zabiłeś?

— Nie... nie...

— Ach, nie wiesz, co straciłeś! Pyszna zabawa, Anthony, naprawdę. Powinieneś widzieć, jak George kopał nogami powietrze. Chcesz powiedzieć, że nigdy nie miałeś ochoty zabić Clary? Nawet gdy błagała, byś zakładał na noc piżamkę?

A więc wszyscy już wiedzieli! Dzięki Zuzannie Baker, rzecz jasna. Nie miało to jednak znaczenia. Nic już nie miało znaczenia. Przecież Caroline, po tym jak pozbyła się George'a, mogła znowu nabrać ochoty na zabawę i zadźgać sztyletem Anthony'ego!

Staruszka wciąż się śmiała.

— Czemu mnie nie ucałujesz, człowieczku? — zarechotała. — Ludzie zawsze mnie całują. Dobrze wiesz, że sto lat temu oddałbyś duszę za jeden pocałunek ze mną.

Tak, Anthony wiedział. Tyle że nie było to sto lat temu. Ileż razy marzył o pocałowaniu Caroline! Chciał wziąć ją w swoje silne, męskie ramiona i całować jej

piękną twarz. Przypomniawszy sobie, teraz już na dobre przerażony, że całując się z Claram, często zamykał oczy i wyobrażał sobie, że to Caroline.

— No, chodź, pocałuj mnie — powiedziała Caroline, celując w niego sztyletem. — Sprawiliby mi to przyjemność, wiesz? Zawsze chciałam, byś to zrobił.

— Ja... ja... To nie przystoi — wyjąkał Anthony.

Koszmar narastał. Czemu nikt nie może go obudzić?

Pocałować... TO? Nawet nie biorąc pod uwagę zamordowanego George'a i sztyletu! Czy właśnie w ten sposób spełniały się marzenia?

— Kogo w naszym wieku obchodzą konwenanse? — spytała Caroline, wycierając sztylet w koszulę nocną. — O, nie myśl sobie, że to moja koszula, Anthony. Wszystkie kreacje gdzieś poukrywali, a na swoją niebieską, jedwabną koszulę wylałam herbatę, więc pożyczyłam ten ciuch od pani Saunders. Cóż, jeśli nie chcesz mnie pocałować — wy, Fingoldowie, zawsze byliście upartymi diabłami — ja będę musiała pocałować ciebie. Weszła do salonu, zbliżyła się do niego i pocałowała. Anthony cofnął się gwałtownie. Czy tak właśnie wyglądały spełnione marzenia? Mimo to czuł dziwną ulgę, że ta nocna koszula nie należała do Caroline.

— Przestań się gapić, słodki Anthony — rzekła Caroline. — Czy Clara kiedykolwiek cię tak całowała?

Nie, dzięki Bogu nie. I pewnie nigdy nie pocałuje. Clara nie całowała mężczyzn, wymachując im sztyletem przed oczyma.

— Muszę już iść do domu — wydyszał Anthony, zapominając o obietnicy danej Abeowi.

Był przerażony. Caroline Wilkes oszalała. Na tym polegał jej zdrowotny problem! Nie chodziło o słabe serce. Lada chwila mogła posunąć się do przemocy. Bez wątpienia to właśnie były jej „ataki”. Niech szlag trafi Abe'a Saundersa! Anthony jeszcze się z nim policzy. Abe doskonale wie, na co choruje Caroline. Doktor Blythe prawdopodobnie też. I pewnie Clara. Wszyscy spiskowali przeciwko niemu — pragnęli jego śmierci.

— Chcesz mnie zostawić samą w tym pustym, wielkim domu, z martwym chłopcem w szafie? — spytała Caroline, wlepiając w niego spojrzenie i wymachując sztyletem.

— George nic ci nie robi, skoro nie żyje, a sama przyznałaś, że go zabiłaś — odparł Anthony, nabierając odwagi mimo potwornego strachu.

— A skąd wiesz, że trupy nie mogą być groźne dla żywych? — Caroline nie dawała za wygraną. — Byłeś kiedyś martwy, Anthony Fingoldzie?

— Nie — odrzekł Anthony, zastanawiając się, czy za chwilę nie będzie mu dane się o tym przekonać.

— Więc przestań gadać o czymś, o czym nie masz bladego pojęcia — warknęła Caroline.

— Nie wrócisz do domu, póki nie zjawi się tu Abe Saunders. Ale możesz położyć się do łóżka, jeśli taka twoja wola. Tak, to byłby znakomity pomysł, z wielu powodów. Clara nie będzie się martwić. Wie, że może zaufać swojemu małutkiemu Tony'emu. Idź do sypialni w północnym skrzydle.

— Może... jednak... nie — wymamrotał słabo Anthony.

— Nie jestem przyzwyczajona do nieposłuszeństwa — rzekła Caroline, przybierając wyniosłą i dum-

22<P

na postawę, co przychodziło jej tak łatwo, jak łatwo zakłada się ubranie. Doskonale pamiętał ten ton głosu! Idealnie pasował do jedwabnych sukien, włosów ułożonych w fale i do klejnotów. Ale już niekoniecznie do starej, wysłużonej flanelowej koszuli nocnej. I sztyletu!

— Widzisz to ostrze? — Caroline uniosła broń wyżej, ściskając ją w dłoni bardziej kościstej niż jej kostka u stóp, o ile to było w ogóle możliwe. Anthony pomyślał o pulchnych, różowych, może tylko nieco spracowanych dłoniach Clary. — To zatruty sztylet z kolekcji Neda — pogroziła Caroline. — Jedno nakłucie i jesteś martwy. Przebiję cię na wylot, jeśli natychmiast nie pójdziesz spać.

Anthony Fingold wskoczył po schodach na górę, po czym popędził do północnego skrzydła. Marzył tylko o tym, żeby zamknąć się w pokoju i odgrodzić od Caroline. Ale w drzwiach nie było klucza! Ku jego przerażeniu Caroline weszła za nim do środka, po czym otworzyła szufladę komody.

— Oto piżama mojego syna — rzekła, rzucając ubranie Anthony'emu. — Wkładaj raz, dwa, wskakuj do łóżka i śpij jak przystało chrześcijaninowi. Zajrzę do ciebie za chwilę, by sprawdzić, czy wykonałeś polecenia. Clara była dla ciebie zbyt wyrozumiała. Gdybyś się ze mną ożenił, musiałbyś od samego początku zakładać na noc piżamę.

— Jakim... jakim cudem wiesz o tym, że Clara chciała wymusić na mnie spanie w piżamie? — wyjąkał Anthony, którego ciekawość przewyciężyła strach.

22J

na postawę, co przychodziło jej tak łatwo, jak łatwo zakłada się ubranie. Doskonale pamiętał ten ton głosu! Idealnie pasował do jedwabnych sukien, włosów ułożonych w fale i do klejnotów. Ale już niekoniecznie do starej, wysłużonej flanelowej koszuli nocnej. I sztyletu!

— Widzisz to ostrze? — Caroline uniosła broń wyżej, ściskając ją w dłoni bardziej kościstej niż jej kostka u stóp, o ile to było w ogóle możliwe. Anthony pomyślał o pulchnych, różowych, może tylko nieco spracowanych dłoniach Clary. — To zatruty sztylet z kolekcji Neda — pogroziła Caroline. — Jedno nakłucie i jesteś martwy. Przebiję cię na wylot, jeśli natychmiast nie pójdziesz spać.

Anthony Fingold wskoczył po schodach na górę, po czym popędził do północnego skrzydła. Marzył tylko o tym, żeby zamknąć się w pokoju i odgrodzić od Caroline. Ale w drzwiach nie było klucza! Ku jego przerażeniu Caroline weszła za nim do środka, po czym otworzyła szufladę komody.

— Oto piżama mojego syna — rzekła, rzucając ubranie Anthony'emu. — Wkładaj raz, dwa, wskakuj do łóżka i śpij jak przystało chrześcijaninowi. Zajrzę do ciebie za chwilę, by sprawdzić, czy wykonałeś polecenia. Clara była dla ciebie zbyt wyrozumiała. Gdybyś się ze mną ożenił, musiałbyś od samego początku zakładać na noc piżamę.

— Jakim... jakim cudem wiesz o tym, że Clara chciała wymusić na mnie spanie w piżamie? — wyjąkał Anthony, którego ciekawość przewyciężyła strach.

— Wiem o wszystkim — odparła Caroline. — Marsz do łóżka. Kazali ci mnie pilnować! Też mi coś. Już ja im pokażę. Sama się zajmę pilnowaniem. Nie jestem już dzieckiem. Zdajesz sobie sprawę, że ziemia jest płaska? — zapytała nagle, unosząc sztylet.

— Oczywiście, że jest płaska — pospiesznie zgodził się Anthony.

— Idealnie płaska?

— I... idealnie.

— Ależ kłamcy z was, mężczyzn! Przecież istnieją wzgórza.

Opuściła pokój, chichocząc bezgłośnie.

Anthony odetchnął z ulgą, gdy tylko drzwi się zamknęły. Błyskawicznie założył piżamę. Clara od lat usiłowała wymóc to na nim i jej się nie udało. Chociaż Clara nigdy nie groziła mu zatrutym sztyletem. Anthony'emu wydawało się, że minęło sto lat od chwili, w której wpadł do sklepu w Glen St. Mary.

Wszedł pod kołdrę i leżał, drżąc na całym ciele. Co będzie, jeśli Caroline wróci, by sprawdzić, czy wykonał jej polecenia? Czy w domu był jakiś telefon? Nie, przypomniało mu się, że nie było.

Och, gdyby tak leżał we własnym domu, w swoim łóżku, w nocnej koszuli, z kotem śpiącym u jego boku i gorącym termoforem pod stopami... Cholerne szwendające się nie wiadomo gdzie pielęgniarzki, kobiety ze złamanymi nogami w wypadkach samochodowych, znikający młodzieńcy!... Czy ona naprawdę powiesiła George'a w szafie? Brzmiało to nieprawdopodobnie, no ale szalona osoba zdolna była do wszystkiego. Wszystkiego!

230

O którą szafę chodzi? Przecież to może być ta znajdująca się tutaj! Na samą myśl o tym zimny pot zaperlił się na czole Anthony'ego.

To, co następnie zrobiła Caroline, przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Wpadła do pokoju, nawet nie pukając. Słyszał, jak wchodziła po schodach, co przyprawiło go o dreszcze.

Podciągnął kołdrę aż pod samą brodę i patrzył na nią z przerażeniem.

Włożyła teraz na siebie suknię, całkiem ładną, z szarego jedwabiu, oraz okulary w rogowych oprawkach. Miała też sztuczną szczękę, ale włosy wciąż nie uczesane, niczym nie zakryte, zwisające z głowy i opadające na ramiona siwymi strączkami. Na bosych stopach stare, wychodzone kapcie, te same, co wcześniej. Pewnie również należały do pani Saunders.

Ciągle była uzbrojona w sztylet. Anthony czuł, że zbliża się jego koniec.

Już nigdy nie zobaczy Clary, nie poplotkuje sobie w sklepie Cartera Flagga, nigdy nie założy nocnej koszuli. Jakoś wcale go to nie pocieszało, wbrew temu, czego się spodziewał. Bo przecież całun nie był atrakcyjniejszym okryciem. Szkoda, że nie udało mu się uszczęśliwić Clary. Miałaby co wspominać, gdy już go zabraknie.

— Wstawaj — rozkazała Caroline. — Wybierzemy się na przejażdżkę.

Anthony znów oblał się zimnym potem.

— Ja... ja wolałbym zostać... Jest już... późno, a tu... tu całkiem mi wygodnie.

— Powiedziałaś, wstawaj! — Caroline wycelowała w niego ostrze sztyletu.

23

Anthony tym razem posłuchał. Trzeba było spełniać zachcianki szalonej kobiety. Co do licha stało się z Abe'em? Czyżby pojechał z córką aż do Charlottetown? A może ten jego gruchot zepsuł się w drodze? Ujrzał swoje odbicie w lustrze i musiał przyznać, że całkiem nieźle wyglądał w piżamie — bardziej męsko niż w koszuli nocnej. Nie podobał mu się jedynie gust Normana Wilkesa, jeśli chodzi o dobór kolorów.

— Nie przejmuj się ubraniem — rzekła Caroline. — Spiesz mi się. W każdej chwili ktoś może wrócić do domu. Od lat nie przydarzyła mi się taka sposobność.

— Ja... ja... nie mogę wyjść tak ubrany — wyjąkał Anthony, z paniką przyglądając się wściekle pomarańczowej piżamie w fioletowe paski.

— A to czemu? Przecież piżama zakrywa twoje ciało. Zdecydowanie lepiej niż nocna koszula. Wyobrażasz sobie mnie, Caroline Wilkes, jadącą samochodem z mężczyzną w nocnej koszuli? Nie wygłupiaj się.

Anthony wcale się nie wygłupiał, ale zatruty sztylet to zatruty sztylet, musiał ustąpić.

Posłusznie ruszył za Caroline w dół po schodach. Wyszli z domu, przeszli przez trawnik, aż do garażu. Stał przed nim wielki samochód Wilkesów. Anthony wsiadł do środka, ostrze sztyletu wciąż było w niego wymierzone.

— A teraz dodamy gazu — Caroline zarechotała diabelsko, położyła broń na siedzeniu za swoimi plecami i chwyciła za kierownicę.

W sercu Anthony'ego zrodziła się iskierka nadziei: być może uda mu się przejąć sztylet. Ale Caroline zdawała się mieć oczy wokoło głowy.

— Zostaw go w spokoju, mały człowieczku — powiedziała. — Albo cię nim wypatroszę. Myślisz, że pozbyłabym się możliwości obrony, jadąc w towarzystwie tak zdesperowanego osobnika jak ty? A teraz bum, bum i jedziemy! To będzie cudowna przejażdżka. Dawno już nie miałam możliwości prowadzenia samochodu. Kiedyś byłam najlepszym kierowcą w Montrealu. Gdzie byś chciał pojechać?

— Chyba... chyba do domu — wydukał Anthony.

— Do domu? Bzdura! Do domu idzie się wtedy, gdy nie ma się nic do roboty. Clara nie będzie zaniepokojona. Zbyt dobrze cię zna, człowieczku.

O tak, to musiał być koszmarny sen. Nic innego. Jakim cudem bowiem Anthony pędziłby o dziewiątej wieczorem samochodem, który prowadziła Caroline Wilkes? Kiedyś sama myśl o tym wprawiłaby go w błogostan. Pomyślał, że Clara na pewno się denerwuje. Jak każda kobieta martwi się byle czym. Nagle poczuł dziwny niepokój co do uczuć Clary.

— Jedziemy... jedziemy nieco za szybko, czyż nie? — wyszeptał, zastanawiając się, czy ktokolwiek umarł kiedyś ze strachu.

— Jeszcze nie poznałeś szczytu moich możliwości! — zaśmiała się wesoło upioryca siedząca za kierownicą.

Następnie pokazała, na co ją stać naprawdę. Wykonała na poboczu korkociąg, jadąc tylko na dwóch kołach; przejechała przez środek żywopłotu, który był oczkiem w głowie Nathana MacAllistera; przemknęła przez szeroki strumień i ziemniaczane pole; wjechała pod górkę po błotnistej alejce, przez podwórko Johna Petersona; przedziurawiła jeszcze jeden żywopłot i w końcu wysko-

m

czyła na autostradę, na której tej nocy panował wyjątkowo duży ruch. Nie było na niej wiele samochodów, za to mnóstwo zaprzężonych w konie powozów i dorożek, ale biednemu Anthony'emu wydawało się, że droga jest całkowicie zakorkowana.

Nagle potrącili krowę, która bezmyślnie wkroczyła na jezdnię. Anthony miał wrażenie, że zwierzę znikło z drogi w niewyjaśniony sposób. W rzeczywistości samochód jedynie otarł się o krowę, zmuszając do powrotu na pobocze, ale Anthony'emu wydawało się, że krowa została przeniesiona w ów czwarty wymiar, o którym tyle razy rozprawiali doktor Blythe z doktorem Parke-rem. Anthony nie miał pojęcia, czym był czwarty wymiar, ale najwyraźniej każdy, kto tam trafiał, znikał już na zawsze. Cóż, on też niedługo zniknie, za to jego ciało będzie widoczne jak na dłoni, odziane w piżamę Normana Wilkesa. Tom Thaxter zawsze smalił cholewki do Clary. Nawet w tej przerażającej sytuacji Anthony poczuł po raz pierwszy ukłucie zazdrości.

— Dzięki temu skrótowni zaoszczędziliśmy dziesięć minut — chichotała Caroline. — Nie ma to jak skróty — całe życie z nich korzystałam. Dlatego bawiłam się o wiele lepiej niż inne kobiety. A teraz prościutko do Charlottetown. Pokażemy tym niedzielnym kierowcom, co to znaczy udana przejażdżka. Oni o niczym nie mają pojęcia. Czy Clara kiedykolwiek prowadziła samochód?

Dotychczas podczas tej eskapady Anthony pocieszał się myślą, że szaleńcowi nie może przydarzyć się nic złego — gdzieś o tym słyszał albo czytał. Ale teraz stracił

234

* p

już wszelką nadzieję. Nawet obłąkana osoba nie była sobie w stanie poradzić z nocnym ruchem na głównej drodze do Charlottetown, jadąc z tak zawrotną prędkością jak Caroline. W sobotnie noce każdy chłopak w okolicy zabierał swoją dziewczynę na imprezę w mieście i jeśli tylko mógł się pochwalić fordem, korzystał z okazji. Poza tym na trasie były trzy przejazdy kolejowe.

Anthony liczył tylko na to, że śmierć nie okaże się straszna. Śmierć we własnym łóżku nie jawiła mu się już jako coś tak nudnego i nieatrakcyjnego jak kiedyś. Mógł nawet mieć na sobie piżamę.

Nagle potworny dreszcz przeszył Anthony'ego. Będą przecież przejeżdżać przez Lowbridge. A czy przypadkiem Clara nie wspominała, że tego wieczoru odbywać się tam będą uliczna parada i tańce?

Clarze ten pomysł w ogóle się nie spodobał, coś takiego nie mieściło jej się w głowie. Tego typu zabawę organizowano po raz pierwszy w okolicy. Anthony'emu perspektywa tańców i ulicznej parady wydała się romantyczna.

Wszyscy z Lowbridge oczywiście go znali. Mieszkali tam również krewni Clary, ci sami, którym Anthony nigdy nie podobał się w roli jej małżonka.

A jeśli go zobaczą? Pędzącego przez miasto w piżamie i z Caroline Wilkes za kierownicą? Oczywiście, że go zobaczą. Przecież wszyscy będą się bawić na ulicach.

— Należę do starszyny kościoła! — jęknął Anthony.

Teraz dopiero zdał sobie sprawę, jak bardzo cenił swoją pozycję, chociaż wcześniej wyśmiewał się z Clary,

23

która była z niego dumna, i z Zuzanny Baker, która zaczęła żywić do niego większy, choć zakamuflowany, szacunek. Kiedyś miejsce w starszynie wydawało mu się niczym w porównaniu z bohaterskimi czynami.

Teraz jednak zmienił zdanie. Niestety było już za późno. To również zostanie mu odebrane. Nie wiedział jak, nie wiedział, na czym polega procedura degradacji, ale na pewno istnieją sposoby. Na nic tłumaczenie, że podczas nocnej przejażdżki z damą założył piżamę, a nie koszulę nocną. Nikt by się nad czymś takim nawet nie zastanawiał. f

Ludzie uznają pewnie, że się upił. Tak, na pewno tak pomyślą. Jerry Cox musiał zapłacić grzywnę dziesięciu dolarów plus opłatę sądową za jazdę po pijanemu. Natomiast Jim Flaggs spędził dziesięć dni w więzieniu. A jeśli i jego, Anthony'ego Fingolda, wyślą za kratki?! Co się stanie, gdy stara panna Bradley dowie się o jego eskapadzie (na pewno się dowie) i opíše wszystko w tym swoim brukowcu, „Enterprise”, gdzie przez całe lata nie padło ani słowo prawdy?

Biedna, biedna Clara! Już nigdy nie będzie mogła spojrzeć ludziom prosto w oczy. Jak zareaguje na to doktor Parker?! A jaka szczęśliwa będzie Zuzanna Baker, mówiąc z uśmiechem, że wszystko to przewidziała! Straci szacunek bliskich i znajomych! Witaj, śmierci! Lepiej umrzeć, niż spotkać taki los.

— Nie sądziłem, że coś takiego przydarzy mi się w życiu — jęczał Anthony. — Nigdy nie zrobiłem nic złego, no, może jedynie w wyobraźni. Pewnie właśnie za to mam karę. W zeszłym roku pan Meredith wygłosił

236

kazanie, „Człowiek jest taki, jak myśli, którym się oddaje”. Ludzie później długo o tym rozmawiali.

Jeśli rzeczywiście wziąć te słowa pod uwagę, to Anthony był największym grzesznikiem na świecie.

— Ciekawe, czy znajdują siekierę — odezwała się Caroline.

— Jaką siekierę? — spytał Anthony, dzwoniąc zębami.

— Jak to jaką, głupcze?! Tę, którą porąbałam George'a na kawałki. Ukryłam ją pod poluzowanymi deskami tylnego ganku. Pewnie rozgadasz to wszystkim. Mężczyźni nie potrafią utrzymać gęby na kłódkę.

— Podobno powiesiłaś George'a w szafie! — wykrzyknął Anthony, którego z niewytłumaczalnego powodu nagła odmiana losu George'a ostatecznie wytrąciła z równowagi. — Nie mogłaś jednocześnie go powiesić i porąbać na kawałki!

— Czemu nie, mały człowieczku? Najpierw go powiesiłam, a potem odciąłam i porąbałam. Nie sądzisz chyba, że zostawiłabym ciało w szafie, które łatwo mogliby znaleźć? Żaden z zamordowanych przeze mnie mężczyzn nigdy nie został odnaleziony. Miałeś przyjemność zabić kogoś, Anthony?

— Nigdy nie chciałem nikogo zabijać — odparł Anthony, nieco zbyt pośpiesznie, a w jego głosie zabrzmiała fałszywa nutka. — I nie wierzę, że poćwiartowałaś George'a. Tak, tak, możesz mnie przebić sztyletem, jeśli chcesz.

— Mallardowie zdolni są do wszystkiego — zagrzmiała Caroline.

237

Rzeczywiście na to wyglądało. Caroline pędziła drogą z diabelską prędkością, wyprzedzając pojazdy i lawirując między nimi, i nigdy nie zwalniała na zakrętach. Może Anthony czułby się nieco lepiej, gdyby wiedział, że przy takiej prędkości nikt nie jest w stanie zauważyć jego stroju. Rozpoznawano jedynie samochód Wilkesów i przeklinano kierowcę. Nawet doktor Blythe, gdy wrócił do domu, powiedział Ani: „Coś trzeba zrobić z tym Wilkesem. Pozabija ludzi na drodze”.

Siwe włosy Caroline powiewały na wietrze, a jej oczy płonęły. Wiele razy Anthony zaciskał powieki, spodziewając się, że lada chwila w coś uderzą, ale nigdy nic złego się nie stało.

Może rzeczywiście było ziarno prawdy w tym powiedzonku o szaleńcu, któremu nie może stać się krzywda. Na pewno Caroline zatrzyma się, gdy dotrą do Charlottetown. Może jakiś policjant... Ale czy Caroline w ogóle zwróci uwagę na policjanta?

Nagle, jakąś milę przed miastem, Caroline gwałtownie skręciła i wjechała w boczną drogę.

— Samochód, który właśnie tu skręcił, nie podoba mi się — wyjaśniła. — Miałam go na oku od dłuższego czasu.

Dla Anthony'ego nie było w tym nic nadzwyczajnego. Owszem, auto jechało zbyt szybko jak na boczną drogę, pełną zygzakowatych zakrętów. Nawet Caroline nie mogła go dopędzić, choć wciąż utrzymywała się dość blisko. Jechali i jechali, manewrując po zawijasach szosy, aż w końcu Anthony stracił poczucie kierunku i czasu. Wydawało mu się, że podróżują już wiele godzin.

Przejeżdżali teraz przez niezamieszkany teren, porośnięty świerkami. Z pewnością były tu całe poletka krzewów borówek. Zrozpaczony, obejrzał się za siebie.

— My też jesteśmy śledzeni — stęknął. — Może się zatrzymajmy?

— Po co? — odparła Caroline. — Mamy prawo jechać tędy. Niech sobie nas śledzą.

Mówię ci, Anthony Fingoldzie, zamierzam dopaść tych przed nami. Oni coś kombinują. Czy jechaliby z taką prędkością po tak marnej drodze, gdyby nie próbowali uciec przed policją?

No odpowiedz mi, jeśli oczywiście masz choć krztynę rozumu. W szkole byłeś w miarę bystry. I zawsze lepszy ode mnie z arytmetyki. Kochałeś się wtedy we mnie. Ja też miałam na ciebie ochotę, choć prędzej bym umarła, niż się do tego przyznała. Czemu młodzi zachowują się jak krety, Anthony?

Caroline Mallard właśnie przyznała, że podkochiwała się w nim w szkolnych czasach, gdy on był przekonany, że ledwo co zdawała sobie sprawę z jego istnienia. Tymczasem jedyne słowo, które zrobiło na nim wrażenie, brzmiało: „policja”.

Przyjrzał się samochodowi jadącemu ich tropem. Był pewien, że kierowca miał mundur. Poza tym nikt z wyjątkiem policji i szaleńców nie jechałby z taką prędkością. Ścigała ich policja. Nie wiedział, czy to pocieszająca, czy pogębiająca wiadomość. Jednak jakie miało to znaczenie? Caroline przecież nie zatrzyma się z powodu policji. Nie zatrzyma się z żadnego powodu. Ależ to będzie gratka dla „Enterprise”! A jaki powód do płoteczek w Glen! Już nigdy się nie pokaże

\$49

w sklepie Cartera Flagga. Co do Clary, to pewnie od niego odejdzie. Na Wyspie Księcia Edwarda ludzie nie brali rozwodów. Pozostawiali „w separacji”. Był pewien, że ciotka Clary, Ellen, „odseparowała się” od swojego męża.

— No proszę, doganiamy ich — triumfowała Caroline.

Jadący przodem samochód zwolnił nieco, gdy oni pokonywali ostry zakręt szosy. Ścigani wjeżdżali właśnie na most nad strumieniem. Rzeczywiście zmniejszyli prędkość, a Anthony widział wyraźnie w świetle pozołkłego, sierpowatego księżyca, który właśnie wstawał nad horyzontem, jak ktoś wychylił się z auta, po czym wyrzucił z niego torbę, która przeleciała przez poręcz mostu. Może w torbie były szczątki porąbanego George'a? Anthony'emu teraz każda, nawet najbardziej szalona myśl, wydawała się godna rozważenia.

Caroline również zauważyła torbę. Podekscytowana, mocniej przycisnęła pedał gazu i wtedy nastąpiła tak oczekiwana przez Anthony'ego katastrofa. Samochód Wilkesów uderzył w wysłużoną poręcz mostu, która strzaskała się, a oni runęli w dół.

Po tym wypadku aż do końca życia Anthony Fingold wierzył w porzekadło, że szaleńcowi nie może przydarzyć się krzywda.

Samochód został całkowicie rozbity, ale on wypełził z wraka bez najmniejszego zadrapania. Okazało się, że jest na środku płytkiego, błotnistego strumienia. Caroline stanęła za jego plecami. W pobliżu zatrzymał się trzeci samochód — zaparkował obok ścieżki dla krów, 240

która wiodła w dół nasypu, w stronę strumienia. Dwóch mężczyzn i kobieta pośpiesznie schodzili w ich stronę. Jeden z mężczyzn miał na sobie uniform szofera, który Anthony pomylił z mundurem policyjnym. Cała trójka, nawet kierowca, z daleka zalatywali czymś, co Clara nazwałaby „grogiem”.

— Teraz zapłacisz za porwanie mnie — rzekła Caroline. — Mogłeś mnie utopić. I skąd wzięłeś piżamę mojego syna? Jesteś podłym złodziejem, Anthony Fingoldzie, oto kim jesteś! Spójrz, co uczyniłeś z moim autem!

Zaczęła zbliżać się do niego z groźną miną i owym piekielnym sztyletem w dłoni. Anthony zadygotał z przerażenia. Chwycił pierwszą rzecz, jaką miał pod ręką: torbę, która leżała na krawędzi jakiejś kłody. Dziwnie szeleściła, gdy uderzył nią na oślep w uniesioną rękę Caroline.

Zatruty sztylet — w rzeczywistości jedynie stary nożyk do rozcinania kopert — wypadł jej z dłoni i zniknął w ciemnościach.

— A niech mnie, mały człowieczek ma jednak trochę ikry —<rzekła z podziwem Caroline.

Ale Anthony nie zwracał uwagi na tak wytęskniony przejaw podziwu ze strony swej „bogini”. Nawet gdyby prawidłowo odczytał ton głosu Caroline, zupełnie by go to teraz nie obeszło. Już nie był zainteresowany tym, co Caroline Wilkes o nim sądzi.

Wdrapywał się na przeciwległy brzeg strumienia, ściskając w ręce torbę. Nie mogą go złapać. Nie pozwoli na to, by go aresztowano za porwanie szalonej staruszki, której miejsce było w domu wariatów.

24

Gdy zniknął w cieniu drzew, trójka ze „śledzącego” ich samochodu dotarła do Caroline Wilkes, którą znali z widzenia. Zabrali ją do domu. Była posłuszna i potulna jak baranek. Jej „atak” się skończył.

Biedny Anthony pokonał biegiem prawie milę, zanim zorientował się, że nikt go nie goni. Wtedy zatrzymał się, ledwo łapiąc oddech, i rozejrzał wokoło, nie mogąc uwierzyć we własne szczęście. Najwyraźniej po koszmarze dzisiejszej nocy los się w końcu do niego uśmiechnął. Stał na rozległym polu porośniętym borówkami, tuż za Górnym Glen. Podczas tej dzikiej eskapady i pościgu za drugim samochodem musieli zatoczyć koło. Anthony znajdował się jakieś pięć mil od domu. Domu! Nigdy słowo „dom” nie brzmiało dla Anthony'ego Fingolda

tak słodko. Jeśli oczywiście miał jeszcze dom, do którego mógł wrócić. Czytał o ludziach, którym wydawało się, że przebywali gdzieś przez kilka godzin, a tymczasem mijało sto lat. Nie zdziwiłby się, gdyby odkrył, że minął cały wiek, od kiedy wyruszył do sklepu Cartera Flagga po mazidło dla Clary.

Ukochana Clara! Warta setki Caroline Mallard. Oczywiście, trochę mu się od żony oberwie, ale zasłużył sobie na to. Szkoda, że nie może wrócić ubrany w coś innego niż piżama Normana Wilkesa. Ale na tym pustkowiu nie było żadnych gospodarstw, a nawet gdyby były, nie ośmieliłby się pukać do drzwi. Poza tym im rzadziej będzie musiał opowiadać swoją dzisiejszą przygodę, tym lepiej.

242

Godzinę później obolały Anthony, wciąż odziany w pomarańczowo-fioletową piżamę, wkroczył do swojej kuchni. Był bardzo zmęczony. Serce może miał równie młode jak niegdyś, ale odkrył właśnie, że nogi na pewno do najmłodszych nie należą.

Miał nadzieję, że Clara już śpi, ale nie spała. Smakowita przekąska, którą zawsze przygotowywała Anthony'emu, gdy wychodził z domu, wciąż leżała na kuchennym stole, lecz była nie tknięta. Po raz pierwszy od początku ich małżeństwa Anthony ujrzał Clare — tę spokojną, łagodną Clare — na skraju hysterii.

Zaniepokojony Abe Saunders zatelefonował do niej i opowiedział, że widziano Anthony'ego pędzącego samochodem z zawrotną szybkością w towarzystwie Caroline Wilkes, która — jak wszystkim było wiadomo — miała nie po kolei w głowie. Potem zadzwonił również George Mallard. Clara spędziła właściwie cały wieczór uwieszona u słuchawki — dzwoniła lub odbierała kolejne telefony. W Złotym Brzegu nikogo nie było, więc nikt nie mógł pocieszyć Clary. Już miała prosić sąsiadów o zorganizowanie grupy poszukiwawczej, gdy zjawił się Anthony.

Nie wiedział, jak zareaguje jego żona. Przygotował się na prawdziwą awanturę, pierwszą w historii ich małżeństwa. Cokolwiek mu powie, zasłużył sobie na to, bo nie doceniał jej. Ale jego żona odłożyła słuchawkę telefonu, po czym zrobiła coś, czego Anthony zupełnie się nie spodziewał. Clara, która nigdy nie okazywała żadnych uczuć, nagle zalała się łzami.

24<3

— Ta kobieta — łkała — namówiła cię do założenia piżamy. Mnie się to nigdy nie udało, choć starałam się być dobrą żoną! Co to był za koszmarny wieczór! Nie wiedziałeś, że postradała zmysły lata temu?

— Nigdy mi tego nie powiedziałaś! — krzyknął Anthony.

— Nie powiedziałam! Prędzej bym umarła, niż wymówiła przy tobie jej imię. Wiem, że to jej zawsze pragnąłeś. Sądziłam jednak, że dowiedziałeś się o wszystkim od innych ludzi. Wszyscy o tym wiedzą. A teraz zjawiasz się tu po całym wieczorze spędzonym u jej boku. Zjawiasz się w piżamie! Nie zniosę tego. Zażądam rozwodu! Ja...

— Claro, błagam, posłuchaj mnie — prosił Anthony. — Opowiem ci całą historię. Przysięgam, że każde słowo będzie prawdziwe. Ale pozwól mi najpierw przebrać się w coś suchego. Chyba nie chcesz, żebym umarł na zapalenie płuc? Choć wiem, że na to właśnie zasłużyłem.

Ukochana Clara! Żaden mężczyzna nie miał takiej żony. Była warta miliona kobiet podobnych Caroline Mallard. Bez słowa otarła łzy, przyniosła mężowi gruby szlafrok, natarła mu plecy, opatrzyła zadrapania i zaparzyła kubek gorącej herbaty. Mówiąc krótko, niemalże udało jej się przywrócić Anthony'emu szacunek do samego siebie.

Wtedy opowiedział jej o wszystkim. Clara uwierzyła w każde słowo. Czy tak postąpiłaby inna kobieta?

W końcu przypomnieli sobie o torbie leżącej na podłodze.

244

— Może zobaczysz, co jest w środku? — zaproponowała Clara, znowu spokojna i zrównoważona.

Mężczyźni byli tylko mężczyznami, nie da się ich zmienić. To naprawdę nie była wina Anthony'ego. Caroline Wilkes zawsze potrafiła owinąć sobie facetów wokół palca. Stara wiedźma.

Gdy ujrzeni zawartość torby, wymienili zdumione spojrzenia.

— Tu jest... jakieś sześć tysięcy dolarów — wydyszał Anthony. — Co zrobimy?

— Tuż po tym, jak wyszedłeś, dzwoniła Zuzanna Baker. Powiedziała, że Bank Nowej Szkocji został obrabowany — wyjaśniła Clara. — Najwyraźniej rabusie uznali, że ty i Caroline ich ścigacie, więc postanowili pozbyć się łupu. Widocznie skończyła im się amunicja. Wyznaczono nagrodę za złapanie bandytów lub zwrot pieniędzy. Może my ją dostaniemy, Anthony. Bo przecież nie może przypaść Wilkesom. To ty znalazłeś torbę i przyniosłeś ją do domu. Zobaczymy, co na to wszystko powie doktor Blythe.

Anthony był zbyt zmęczony, by cieszyć się wizją nagrody.

— Już za późno, by do kogokolwiek zatelefonować — powiedział. — Ukryję torbę pod stertą ziemniaków w piwnicy.

— Równie dobrze możemy ją schować w szafie w gościnnym pokoju. Będzie tam bezpieczna — uznała Clara. — A my lepiej kładźmy się spać. Z pewnością przyda ci się nieco odpoczynku.

Anthony wyciągnął się w łóżku, stopami dotykając rozgrzanego termoforu. Obok niego leżała urodziwa Clara. Miała zaróżowione policzki, a we włosach papiloty. Nie cierpiał ich, ale były jednak sto razy piękniejsze niż siwe strąki Caroline.

Następnego dnia zacznie przygotowywać ogródek skalny, o którym zawsze marzyła Clara. Zasłużyła na to. W sklepie Cartera Flagga widział materiał flanelowy w biało-niebieskie paski, który nadałby się na piżamę. O tak, Clara była prawdziwym klejnotem wśród kobiet. Nie podważyła ani jednego słowa w całej jego opowieści, w którą niejedna kobieta wcale by nie uwierzyła. Przypuszczał, że Wilkesowie odeślą mu jego ubranie. Oczywiście szybko rozejdzie się w sąsiedztwie, że szarżował po ulicach w towarzystwie Caroline, i to w samej piżamie. Na szczęście o pewnych upokarzających rzeczach nikt się nie dowie. Ufał Clarze. Nawet jeśli Caroline Wilkes powie, że go pocałowała, to i tak nikt jej nie uwierzy. Przed nim kilka nieciekawych tygodni, w których stanie się obiektem plotek, po czym ludzie o wszystkim zapomną. Nagroda, jaką zaoferuje im bank, wynagrodzi wszelkie niedogodności. Może nawet zostanie uznany za bohatera, a nie za... cóż, skończonego głupca.

„Koniec z przygodami — myślał Anthony Fingold, zasypiając. — Co za dużo, to niezdrowo. Nigdy tak naprawdę nie kochałem Caroline Mallard. To było młodzińcze zauroczenie.

Jedyną kobietą w moim życiu jest Clara”.

Szczerze w to wierzył. Może nawet miał rację.

WIECZÓR SZÓSTY

POŻEGNANIE ZE STARYM POKOJEM

Zapada wieczór i słońce gaśnie, Ptaki już cichną, by zabrznieć rano. Ja drzwi zamykam mego pokoju, Wspólnej przeszłości mówię „dobranoc”. Żegnam z czułością te cztery ściany, W niepewną przyszłość spoglądam z drżeniem I wiem, że tutaj byłam szczęśliwa, I wiem, że tutaj miałam schronienie.

W tych czterech ścianach słodkie sny śniłam, A jeszcze cudniej było się zbudzić, Tutaj spędziłam czasy młodości, Śmiechu wśród dobrych, życzliwych ludzi. Nocami księżyc zaglądał do mnie, Widziałam w oknie jego odbicie I zachwycona witałam ranki, Kiedy wstawałam rześka o świcie.

Tutaj splatałam włosy w warkocze I upinałam loki najcudniej.

Stałam przed lustrem, patrząc przed siebie I najładniejsze wkładałam suknie. I tak pragnęłam wyglądać pięknie, By chłopca wdziękiem swym zauroczyć, I tak marzyłam, by wciąż był blisko I tak nie chciałam stracić go z oczu.

Tutaj przeżyłam straszliwe chwile, Ból przeogromny, wielkie cierpienie, Gdy, bliska śmierci, myślałam smutno, Ze to już koniec mego istnienia. Nic mnie, co dobre, nie ominęło I nie jest obce mi to, co trudne. Tutaj przeżyłam radość i smutek, Chwile tragiczne, dziwne i cudne. Żegnaj, pokoju mych lat dziewczęcych, Gdzie każdy drobiazg coś przypomina. Zamykam rozdział mojej młodości, Inna zamieszka tutaj dziewczyna. Zostawiam dla niej ocean wspomnień, Znasz, pokoiku, każde z mych marzeń. Podaruj je dziś nowej mieszkance. A czy się spełnią? Przyszłość pokaże.

I inne dziewczę przeżyje radość, Skosztuje bólu, zazna cierpienia, Będzie się budzić tu i zasypiać, I słuchać wiatru późną jesienią. I inne dziewczę wstanie o świcie I ranne ptasie usłyszy trele Tak jak ja kiedyś, pełna zachwytu... Bądź, pokoiku, jej przyjacielem.

Ania Blythe

24

DR GILBERT BLYTHE: — Nietrudno domyślić się, co zainspirowało cię do napisania tego wiersza, Aniu. Twój stary pokój na Zielonym Wzgórzu?

ANIA BLYTHE: — Tak, w dużej części tak. Pomysł na wiersz przyszedł mi do głowy w nocy przed naszym ślubem. Każde słowo tego utworu to szczerą prawdą. Tamten pokój był moim pierwszym własnym kątem.

DR GILBERT BLYTHE: — Ale jednak często do niego wracałaś.

ANIA BLYTHE, z rozmarzeniem: — Nie, nigdy. Gdy wróciłam na Zielone Wzgórze, byłam już żoną, nie dziewczyną. Ten pokój był moim przyjacielem... Nawet nie wiesz, jak wielkim.

DR GILBERT BLYTHE, drocząc się: — A czy o mnie myślałaś kiedyś w tych swoich chwilach radości?

ANIA BLYTHE: — Być może. Także wtedy, gdy budziłam się wcześniej i widziałam wschód słońca nad Nawiedzonym Lasem.

WALTER BLYTHE: — Uwielbiam obserwować wschody słońca nad Doliną Tęczy.

KUBA BLYTHE: — Nigdy bym nie pomyślał, żeby wstawać tak wcześnie, by oglądać wschody słońca!

DR GILBERT BLYTHE: — I naprawdę się dla mnie stroiłaś?

ANIA BLYTHE: — Oczywiście, że tak. Gdy już się zaręczyliśmy. Chciałam, byś widział we mnie ładną kobietę. Nawet w szkolnych czasach, gdy byliśmy śmiertelnymi wrogami, zależało mi na tym, bym ci się podobała.

KUBA BLYTHE: — Chcesz powiedzieć, mamo, że ty i tato nie lubiliście się w szkole?

24

DR GILBERT BLYTHE: — Twoja mama żywiła do mnie wtedy pewną urazę, mnie jednak zawsze zależało na tym, byśmy zostali przyjaciółmi. Teraz to jednak zamierzchła historia. A kiedy byłaś bliska śmierci?

ANIA BLYTHE: — Nie chodziło o moją śmierć. Myślałam o cieniu twojej śmierci... Gdy wszyscy bali się, że umrzesz na tyfus. Sądziłam wtedy, że i ja umrę. I tej nocy, gdy usłyszałam, że twój stan się poprawia... Ach, to właśnie wtedy przeżyłam chwilę radości!

DR GILBERT BLYTHE: — Na pewno chwila ta nie równała się mojej, gdy odkryłem, że mnie kochasz!

KUBA BLYTHE, na stronie do Nan: — Gdy tata i mama zaczynają mówić do siebie w ten sposób, dowiadujemy się wiele o ich przeszłości.

ZUZANNA BAKER, która w kuchni piecze ciasto, myśli: „Czyż to nie piękne obserwować, jak oni się kochają? Z tego wiersza całkiem sporo zrozumiałam, mimo że stara panna ze mnie”.

NAWIEDZONY POKÓJ

Za ścianą stuka zegar stary, W kominku ogień cicho płonie, Lecz do drzwi już pukają czary,
Kiedy przy ogniu grzejesz dłonie. Spokojna przystań w czasie zimy, Schronienie w porze
zawieruchy, Ale o zmierzchu coś się zmienia I do drzwi już pukają duchy.

Tańczy prześliczna Dorothea, Odgarnia włosy z jasnej twarzy,

260

Tylko na szyi jej i rzęsach Dostrzegam szary pył cmentarzy. Allan namiętnie opowiada
Historie grozy dreszcz budzące, Lecz choć ma usta sine, zimne, To serce ciągle ma gorące.
I nagle słysząc dźwięki skrzypiec, To Will grać musi jak natchniony, Lecz skrzypce leżą
nieruchomo, Któż więc wydobył dziś z nich tony? I słyszę jasny śmiech Howarda I Edith, Jen
i Joe się śmieją, I nagle groza gdzieś umyka, I nagle pachnie znów nadzieją.

I znowu robi się radośnie, Dawne rozpięchły się upiory, Śmiech niczym igła przekłuł balon
I rozjaśniły się wieczory. I znów ujrzałam pewien obraz, Który cichutko przyszedł do mnie:
Słodycz dawnego pocałunku — oto najczulsze z moich wspomnień.

' Ania Blythe

DR GILBERT BLYTHE: — Słodycz dawnego pocałunku?! Mowa o pocałunku z Royem
Gardinerem, jak przypuszczam?

ANIA BLYTHE, z oburzeniem: — Roy nigdy mnie nie pocałował. Poza tym prawie cały ten
wiersz to tylko wytwór wyobraźni.

ZUZANNA BAKER: — Och, nie rozmawiajcie państwo o całowaniu przy dzieciach...

Przepraszam, że się wtrącam, droga pani doktorowo.

KUBA BLYTHE, na stronie do Diany: — Słyszysz, co ona mówi? Jakbyśmy nigdy w życiu
nie widzieli, jak ktoś się całuje.

DIANA BLYTHE, drocząc się: — Ty z pewnością masz pewne doświadczenie. Widziałam,
jak całowałeś Florę Meredith w szkole w zeszłym tygodniu... I jeszcze Marysia Vance. >

KUBA BLYTHE: — Na litość boską, mam nadzieję, że Zuzanna tego nie słyszała.

Wybaczyłaby mi pocałunek z Florą, ale nigdy z Marysią Vance.

DR GILBERT BLYTHE: — Wiesz, Aniu, że na ścianie w saloniku w Górnym Glen wiszą
stare skrzypce? Chyba nikt nigdy na nich nie gra. Zawsze zastanawiałem się, jaka jest ich
historia. O ile mają jakąkolwiek historię.

ANIA BLYTHE: — Mają z pewnością, Gilberte. Możesz pisać o wszystkim, ale zawsze ma
to jakieś odzwierciedlenie w rzeczywistości.

ZUZANNA BAKER, do siebie: — Mogłabym im opowiedzieć historię tych skrzypiec. Ale
tego nie zrobię. Jest zbyt smutna.

PIEŚŃ O ZIMIE

Mróz potężnie ścina nocą dobrze znany nam ten świat,

Pola nasze ukochane pustką okrył śniegu szmat,

Fiolet kiru las spowija, bór to wróg nasz, już nie brat.

Lecz zbieramy się o zmierzchu, płomień w pąsach
mruczy nam,

Wiosna dawno zapomniana, z lata ledwie złota gram.

Przy kominku, jak w ostępach, wciąż przyjaciel jest ten sam.

Przepadł fiołek z głębi dolin, uschła róża, żonkil znikł,

Pieśń wędrowców ścichła w górach, chłód tam gości,

wraz z nim nikt.

Skryte jary nas nie kuszą, naszej rzeki głos już zmiłkł.

Lecz pożółkłe księgi mamy, marzeń moc wciąż nam się śni.

Przed surowej zimy błyskiem zatrzęsniemy mocne drzwi,

U nas w domu, w palenisku, wciąż miłości żar się tli.

Ania Blythe

DR GILBERT BLYTHE: — Stare, staruteńkie światelko, które tliło się tyle lat temu w Avonlea... i nadal płonie, Aniu... Przynajmniej dla mnie.

ANIA BLYTHE: — Dla mnie też. Będzie płonąć wiecznie, Gilbercie.

DR GILBERT BLYTHE: — Jest w tym twoim wierszu coś, co mi się szczególnie podoba.

ZUŻANNA BAKER, do siebie: — Mnie też. Dobrze jest mieć dach nad głową i ciepły ogień w kominku, który ogrzeje cię w taką noc jak ta.

PENELOPE I JEJ TEORIE

Penelope Craig wcześniej opuściła dom pani Elston, gdzie grała w brydża. Musiała jeszcze wieczorem opracować notatki do wykładu na temat psychologii dziecięcej. Kilka problemów wymagało jej szczególnej uwagi, jak choćby kwestia diety bogatej w witaminy. Pozostałe panie żałowały, że Penelope je opuściła, bo była lubiana wśród koleżanek, co jednak nie przeszkodziło, że odrobinę podśmiewały się z niej za jej plecami.

— Też mi pomysł: Penelope Craig adoptująca dziecko! — zaczęła pani Collins.

— Co w tym dziwnego? — spytała pani Blythe, która znalazła się w tym towarzystwie, bo odwiedzała znajomych. — Przecież pani Craig uchodzi za autorytet w sprawach dzieci.

— Och, niewątpliwie. Jest również przewodniczącą tutejszego Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt, założycielką Komitetu na Rzecz Dzieci, wykładowcą Krajowego Związku Klubów Kobiety, a przy okazji to najśłodsza istotka na ziemi. Ale mimo to... sama myśl, że ona adoptuje dziecko...

264

— Czemu pani tak myśli? — dopytywała się pani Blythe, która sama była adoptowanym dzieckiem i pamiętała, że Marylę Cuthbert z Zielonego Wzgórza powszechnie uważano za wariatkę, bo zgodziła się Anię przygarnąć.

— Czemu! — pani Collins wyrzuciła w górę ramiona. — Gdyby знаła pani Penelope Craig tak długo jak my, to nie zadawałaby pani takich pytań. Ma swoje teorie na każdy temat, ale gdy trzeba wykorzystać je w praktyce... I to jeszcze w przypadku chłopca!

Ania przypominała sobie, że Cuthbertowie z początku również chcieli adoptować chłopca. Zaczęła się zastanawiać, jak by Maryla dała sobie z nim radę.

— Z dziewczynką pewnie byłoby jej łatwiej eksperymentować. W końcu na pewno w tych teoriach coś musi być — mówiła pani Collins. — Ale chłopak?! Wyobraźcie sobie tylko Penelope Craig wychowującą jakiegoś urwisa.

— Ile on ma lat? — spytała Ania.

— Podobno około ośmiu. Nie jest w żaden sposób spokrewniony z Penelope. To po prostu syn jej szkolnej przyjaciółki, która niedawno zmarła. A ojciec chłopca umarł tuż po jego urodzeniu. Malec nie miał żadnych kontaktów z mężczyznami, tak przynajmniej twierdzi Penelope.

— Co jej zdaniem jest wielkim atutem — zaśmiała się pani Crosby.

— Czyżby panna Craig nie lubiła mężczyzn? — spytała pani Blythe.

— Och, tak daleko bym się nie posunęła. Nie można powiedzieć, że ich nie lubi.

Powiedziałabym raczej, że

nie lubi zwracać sobie nimi głowy. Doktor Galbraith na pewno miałby pani w tej sprawie niejedno do powiedzenia. Biedny doktor Galbraith. Pani mąż chyba go zna.

— Chyba rzeczywiście wspominał to nazwisko. To bardzo mądry człowiek, prawda? Czy on się kocha w pannie Craig?

Cóż za bezpośrednia osóbką z tej pani Blythe! Ania z kolei myślała, jak trudno wyciągnąć z ludzi najprostsze rzeczy. Wydawało im się, że wszyscy wszystko już o nich wiedzą.

— Można tak powiedzieć. Oświadczał się Penelope wielokrotnie w ciągu ostatnich... no, chyba już dziesięciu lat. Niech policzę... Tak, minęło trzynaście lat od śmierci jego żony.

— Musi być z niego bardzo uparty człowiek — uśmiechnęła się Ania.

— Można tak powiedzieć. Galbraithowie nigdy się nie poddają. Penelope odrzuca jego oświadczyzny w przemyły sposób, co przekonuje doktora, że następnym razem już na pewno mu ulegnie.

— A nie sądzi pani, że kiedyś rzeczywiście tak się stanie? — spytała Ania z uśmiechem, wspominając, jak Gilbert starał się o jej względy.

— Nie sądzę. Penelope nigdy nie wyjdzie za Rogera Galbraitha ani za nikogo innego. „Roger Galbraith — przypomniawszy sobie Ania. — Tak, kojarzę go. Pamiętam, jak Gilbert mówił, że gdy Roger coś sobie postanowi, to nie spocznie, póki nie dopnie swego”.

— Są najlepszymi przyjaciółmi — odezwała się pani Loree. — I przyjaciółmi już pozostaną. Nic więcej z tego nie będzie.

— Czasem coś, co braliśmy za przyjaźń, okazuje się miłością — zauważyła pani Blythe.

— Ona jest bardzo ładna — dodała Ania, przypominając sobie piękne, atra-mentowo czarne włosy panny Craig, które drobnymi loczkami opadały na jej niskie, szerokie, kremowobiałe czoło. Ania tak naprawdę nigdy do końca nie pogodziła się ze swymi rudymi włosami.

— Jest ładna, mądra i kompetentna — zgodziła się pani Collins. — Dlatego właśnie brak jej cierpliwości do mężczyzn.

— Może po prostu wydaje się jej, że ich nie potrzebuje — rzekła Ania.

— Całkiem prawdopodobne. Ale muszę przyznać, że działa mi na nerwy ta sytuacja, Roger Galbraith kręci się koło niej już dziesięć lat, gdy wokoło jest tyle wspaniałych kobiet. Przecież połowa niezamężnych niewiast z Charlottetown przybiegłaby do niego na skinięcie palca. «

— Ile lat ma panna Craig?

— Trzydzieści pięć, choć na tyle nie wygląda, prawda? Niczym w swoim życiu nie musiała się przejmować, nie zaznała też żadnych trosk. Jej matka umarła przy jej narodzinach, więc nawet za nią nie tęskniła. Od tego czasu mieszka w swoim apartamencie z tą starą Martą, jakąś daleką kuzynką. Marta wprost ubóstwia Penelope, a ta cały czas poświęca pracy. Tak jak powiedziałam, jest mądra i kompetentna, ale sama się przekona, że wy-

267

m

chowywanie dziecka w praktyce różni się od wychowywania w teorii.

— Ach te wszystkie teorie! — zaśmiała się pani Tweed, uważając, że ma prawo do kpin jako matka szóstki dzieci. — Penelope ma teorię na każdy temat. Pamiętacie, jak w zeszłym roku urządziła nam pogadankę o wzorcach wychowania dzieci?

Ania przypomniawszy sobie Marylę i panią Linde. Jak one zareagowałyby na ten wykład?

— Mówiła — kontynuowała pani Tweed — że dzieci powinno się wychowywać tak, by nie bały się jść naprzód i ponosić konsekwencji swoich czynów. Niczego nie należy im zabraniać. „Uważam, że dziecko powinno się o wszystkim przekonywać na własnej skórze”, podkreślała.

— Do pewnego stopnia miała rację — zgodziła się pani Blythe. — No, ale istnieją jakieś granice...

— Twierdzi, że dzieciom powinno się pozwolić wyrazić swój indywidualizm — dodała pani Parker.

— Większość dzieciaków wyraża swój indywidualizm — zaśmiała się pani Blythe. — A czy panna Craig w ogóle lubi dzieci? Na to pytanie powinniśmy sobie chyba odpowiedzieć przede wszystkim.

— Raz ją o to spytałam — rzekła pani Collins. — A ona odparła: „Droga Noro, czemu nie zapytasz, czy lubię dorosłych?”. No i co na to powiecie?

— W sumie miała rację — przyznała pani Fulton. — Jedne dzieci się lubi, drugie nie. Wspomnienie Josie Pye przemknęło Ani przez głowę.

— Dobrze o tym wiemy — powiedziała. — Mimo tych wszystkich sentymentalnych bzdur.

J268

— No właśnie. Czy ktokolwiek mógłby polubić tego tłustego, śliniącego się dzieciaka Pakstonów? — stwierdziła pani MacKenzie.

— Matka pewnie uważa go za najcudowniejszą istotkę na ziemi — uśmiechnęła się Ania.

— Zmieniłaby pani zdanie, gdyby usłyszała, jak się na niego wydziera — bez ogródek odparła pani Lawrence. — Nie oszczędza różgi i na pewno syna nie rozpieszcza.

— Pięć tygodni żyłam tylko o maślanie i przytyłam cztery funty — powiedziała pani Williams z goryczą w głosie. Uznała, że najwyższy czas zmienić temat. W końcu pani Blythe była magistrem, mimo że mieszkała w jakimś odległym zakątku na wsi. Ale pozostałe panie zignorowały tę uwagę. Kogo obchodziła waga pani Williams? Czym były tajniki diety wobec Penelope Craig adoptującej chłopca?

— Penelope uważa, że dzieci bić nie wolno — powiedziała pani Rennie. „W tej sprawie na pewno dogadałaby się z Zuzanną”, pomyślała rozbawiona Ania.

— W tym punkcie muszę się z nią zgodzić — stwierdziła pani Fulton.

— Hm... — pani Tweed zacisnęła usta. — Pięciorga moich dzieci nigdy nie uderzyłam. Ale Johnny... Od czasu do czasu musiał dostać porządne lanie, bo inaczej nie dało się z nim wytrzymać. Co pani o tym myśli, pani Blythe?

Ania, która właśnie myślała o Anthonym Pye'u, na szczęście została wybawiona z opresji przez panią Gay-

nor, która jak do tej pory nie odezwała się ani słowem, lecz teraz uznała, że najwyższy czas przemówić:

— Wyobraźcie sobie Penelope Craig wymierzającą klapsa dziecku.

Nikt sobie nie mógł wyobrazić, więc panie powróciły do gry w brydża.

Gdy Penelope wróciła do domu, zastała w salonie doktora Rogera Galbraitha, którego Marta wprost uwielbiała i właśnie częstowała go swymi tłusciutkimi pączkami.

— Co to za pogłoski słyszę, Penny, adoptujesz chłopca? Całe miasto aż huczy.

— Błagałam ją, żeby tego nie robiła — westchnęła Marta tonem sugerującym, że prosiła nawet na kolanach.

— Nie miałam wielkiego wyboru, jeśli chodzi o płeć dziecka — odparła Penelope cichym, uroczym głosem, który wydawał się urzekający nawet wtedy, gdy pobrzmiwało w nim zniecierpliwienie. — Biedny syn Elli nie mógł przecież zostać oddany na wychowanie do obcych ludzi. Gdy już była umierająca, napisała do mnie list, w którym wyraziła swoją prośbę. Spełnienie jej to dla mnie sprawa honoru. Chociaż żałuję, że dziecko Elli nie jest dziewczynką.

— Myślisz, że to miejsce odpowiednie do wychowywania chłopca? — spytał doktor Galbraith, rozglądając się po małym, elegancko urządzonym pokoiku i z powątpiewaniem przeczesując ręką swoje płowe włosy.

— Oczywiście, że nie, szanowny doktorze — odparła chłodno Penelope. — Równie dobrze jak ty zdajesz sobie sprawę, że otoczenie jest niesamowicie ważne dla

nor, która jak do tej pory nie odezwała się ani słowem, lecz teraz uznała, że najwyższy czas przemówić:

— Wyobraźcie sobie Penelope Craig wymierzającą klapsa dziecku.

Nikt sobie nie mógł wyobrazić, więc panie powróciły do gry w brydża.

Gdy Penelope wróciła do domu, zastała w salonie doktora Rogera Galbraitha, którego Marta wprost uwielbiała i właśnie częstowała go swymi tłusciutkimi pączkami.

— Co to za pogłoski słyszę, Penny, adoptujesz chłopca? Całe miasto aż huczy.

— Błagałam ją, żeby tego nie robiła — westchnęła Marta tonem sugerującym, że prosiła nawet na kolanach.

— Nie miałam wielkiego wyboru, jeśli chodzi o płć dziecka — odparła Penelope cichym, uroczym głosem, który wydawał się urzekający nawet wtedy, gdy pobrzmiwało w nim zniecierpliwienie. — Biedny syn Elli nie mógł przecież zostać oddany na wychowanie do obcych ludzi. Gdy już była umierająca, napisała do mnie list, w którym wyraziła swoją prośbę. Spełnienie jej to dla mnie sprawa honoru. Chociaż żałuję, że dziecko Elli nie jest dziewczynką.

— Myślisz, że to miejsce odpowiednie do wychowywania chłopca? — spytał doktor Galbraith, rozglądając się po małym, elegancko urządzonym pokoiku i z powątpiewaniem przeczesując ręką swoje płowe włosy.

— Oczywiście, że nie, szanowny doktorze — odparła chłodno Penelope. — Równie dobrze jak ty zdajesz sobie sprawę, że otoczenie jest niesamowicie ważne dla SÓD

rozwoju dziecka. Dlatego też kupiłam jednopiętrowy domek w Keppoch. Nazwę go Wierzbowy Zakątek. To piękne miejsce, nawet Marta tak uważa.

— Pewnie pełno tam skunksów — odciął się doktor Galbraith. — I moskitów.

— W lecie przyjeżdża tam wielu wczasowiczów — Penelope zignorowała uwagę o skunksach. — Lionel będzie miał się z kim bawić. Oczywiście miejsce, jak każde, ma swoje wady, ale uważam, że dla dziecka to wprost idealny zakątek. Mnóstwo słońca, świeżego powietrza, przestrzeń do zabawy, okazji do kształtowania charakteru... No i weranda, na której Lionel będzie mógł sobie drzemać i z której widok rozciąga się na wzgórze porośnięte świerkami.

— Lionel?!

— Owszem, to dość absurdałne imię, ale z Elli była prawdziwa romantyczka.

— Koledzy będą się z niego naśmiewać. Chociaż i tak nie uniknąłby kpín, gdyby wychowywała go nadopiekuńcza owdowiała matka — rzekł doktor Galbraith, wstając z miejsca. Był bardzo wysoki i dobrze zbudowany, ledwo mieścił się w saloniku Penelope. — Zabierzesz mnie kiedyś do tego twojego Wierzbowego Zakątka? Jaké tam są warunki sanitarne?

— Znakomite. Chyba nie sądzisz, że nie zwróciłam na to uwagi?

— A woda? Pewnie ciągnięta ze studni? Parę lat temu w lecie w Keppoch wybuchła epidemia tyfusu.

— Teraz już na pewno wszystko jest w porządku. Ale może lepiej wpadnij do Wierzbowego Zakątka i sprawdź.

Penelope nieco złagodniała. Wiedziała co prawda wszystko o wychowywaniu owych radosnych, pociesznych istotek zwanych dziećmi, ale tyfus to co innego. Lekarz mógł się do czegoś przydać.

Doktor Galbraith przyjechał po nią następnego popołudnia samochodem i razem wybrali się do Wierzbowego Zakątka.

— Spotkałam panią Blythe na wczorajszej partyjce brydża u pani Elston — powiedziała Penelope. — Jej mąż jest lekarzem, o ile się nie mylę. Znasz go?

— Gilberta Blythe'a? Oczywiście. Jeden z najlepszych lekarzy. A jego żona to urocza istota. »

— Cóż, nie przyjrzałam się jej dokładnie — powiedziała Penelope, zastanawiając się, czemu podziw doktora Galbraitha dla pani Blythe ją zirytował. Przecież to nie miało najmniejszego znaczenia! Ale w sumie nigdy nie przepadała za rudowłosymi kobietami. Doktor Galbraith pochwalił nie tylko studnię, ale właściwie wszystko w Wierzbowym Zakątku. Nie dało się zaprzeczyć: dom i okolica były urocze. Penelope ubiła niezły interes. Sam budynek, choć stary, był przytulny i przestronny, a otaczały go klony i wierzyby. Do ogrodu prowadziła kamienna ścieżka, której brzegi ozdabiały wielkie muszle, gdzie wiosną kwitły kaczęce. Na końcu dróżki znajdowała się obrosnięta różami bramka. Między gałęziami drzew od czasu do czasu dojrzeć można było przeblysł błękitnych wód zatoki. Całą posiadłość otaczał mur z czerwonej cegły, a po obu stronach białej bramy rosły kwitnące jabłonie.

— Prawie tak pięknie jak w Złotym Brzegu — pochwalił doktor Galbraith.
2ÓJ?

— Złotym Brzegu?

— Tak się nazywa posiadłość Blythe'ów w Glen St. Mary. Lubię ten zwyczaj nadawania imion miejscom. Dzięki temu zyskują rys indywidualizmu.

— Och — znowu głos Penelope stał się zimny. Ostatnio wciąż słyszała o tych Blythe'ach. Z pewnością ten cały Jak-mu-tam Brzeg nie był tak śliczny jak Wierzbowy Zakątek. Wnętrze domu prezentowało się równie okazale.

— Myślę, że ten dom wykształci w Lionelu odpowiednią postawę — rzekła z zadowoleniem Penelope. — Stosunek dziecka do własnego domu jest bardzo ważny. Chcę, żeby chłopiec pokochał to miejsce. Cieszę się, że okna jadalni wychodzą na grządkę ostróżek. Cudownie będzie spożywać posiłki, podziwiając je.

— Może chłopiec powinien jednak przyglądać się czemu innemu... Chociaż właściwie Walter Blythe...

— Popatrz na te wiewiórki — przerwała mu Penelope. Czuła, że zaraz zacznie krzyczeć, jeśli doktor Galbraith kolejny raz wspomni o Blythe'ach. — Wyglądają na całkiem potulne. Z pewnością spodobają się chłopcu.

— Trudno stwierdzić, co może się spodobać dziecku. Chociaż pewnie wiewiórki przypadną mu do gustu, jeśli tylko będzie mógł nastraszyć je kotem.

— Nie będziemy mieć kota. Ja ich nie lubię.

— Skoro mówimy o kotach, przedziwna rzecz wydarzyła się w Złotym Brzegu. Mieli tam takiego czarnego...

— Nie mogę się już doczekać przeprowadzki — przerwała doktorowi bez ogródek Penelope. — Nie potrafię zrozumieć, jakim cudem wytrzymałam tyle czasu

3

w mieszkanku. Teraz, w Wierzbowym Zakątku, z moim własnym dzieckiem...

— Nie zapominaj, że to nie twoje dziecko, Penny. A nawet gdyby było, i tak będziesz miała kłopoty.

Doktor Galbraith uniósł wzrok i spojrzał na nią, stojącą o jeden schodek wyżej. Ciemne, pełne dobroci oczy doktora nagle wypełniły się czułością.

— To taki wspaniały dzień, Penny, że nie mogę się oprzeć kolejnym oświadczeniom — rzekł lekko. — Nie odmawiaj mi, chyba że jesteś pewna, iż naprawdę tego nie chcesz. Usta Penelope uniosły się w kącikach w przekornym, ale sympatycznym uśmiechu.

— Mogłabym cię bardzo lubić, gdybyś wciąż nie kazał mi siebie pokochać, Roger. Nasza przyjaźń jest taka udana. Czemu upierasz się, żeby ją zniszczyć? Zrozum to raz na zawsze: w

moim życiu nie ma miejsca dla mężczyzn. — Po czym dodała, nie wiedząc kompletnie czemu: — Szkoda, że pani Blythe nie jest wdową.

— Nie sądziłem, że z twoich ust padną te słowa, Penny — odparł cicho Roger. — Nawet gdyby pani Blythe była wdową, nie miałyby to dla mnie najmniejszego znaczenia. Nigdy nie przepadałem za rudowłosymi kobietami.

— Włosy pani Blythe nie są rude. To śliczny, kasztanowy kolor — zaprotestowała Penelope, której nagle pani Blythe wydała się czarującą postacią.

— Cóż, nie sprzecajmy się na temat odcieni włosów, Penny — głos doktora Galbraitha stał się łżejszy.

Wyczuł, że Penny była zazdrosna o panią Blythe, a gdzie jest zazdrość, tam i nadzieja. Ale w drodze po-

26

w mieszkanku. Teraz, w Wierzbowym Zakątku, z moim własnym dzieckiem...

— Nie zapominaj, że to nie twoje dziecko, Penny. A nawet gdyby było, i tak będziesz miała kłopoty.

Doktor Galbraith uniósł wzrok i spojrzał na nią, stojącą o jeden schodek wyżej. Ciemne, pełne dobroci oczy doktora nagle wypełniły się czułością.

— To taki wspaniały dzień, Penny, że nie mogę się oprzeć kolejnym oświadczeniom — rzekł lekko. — Nie odmawiaj mi, chyba że jesteś pewna, iż naprawdę tego nie chcesz.

Usta Penelope uniosły się w kącikach w przekornym, ale sympatycznym uśmiechu.

— Mogłabym cię bardzo lubić, gdybyś wciąż nie kazał mi siebie pokochać, Roger. Nasza przyjaźń jest taka udana. Czemu upierasz się, żeby ją zniszczyć? Zrozum to raz na zawsze: w moim życiu nie ma miejsca dla mężczyzn. — Po czym dodała, nie wiedząc kompletnie czemu: — Szkoda, że pani Blythe nie jest wdową.

— Nie sądziłem, że z twoich ust padną te słowa, Penny — odparł cicho Roger. — Nawet gdyby pani Blythe była wdową, nie miałyby to dla mnie najmniejszego znaczenia. Nigdy nie przepadałem za rudowłosymi kobietami.

— Włosy pani Blythe nie są rude. To śliczny, kasztanowy kolor — zaprotestowała Penelope, której nagle pani Blythe wydała się czarującą postacią.

— Cóż, nie sprzecajmy się na temat odcieni włosów, Penny — głos doktora Galbraitha stał się łżejszy.

Wyczuł, że Penny była zazdrosna o panią Blythe, a gdzie jest zazdrość, tam i nadzieja. Ale w drodze po-

26

w mieszkanku. Teraz, w Wierzbowym Zakątku, z moim własnym dzieckiem...

— Nie zapominaj, że to nie twoje dziecko, Penny. A nawet gdyby było, i tak będziesz miała kłopoty.

Doktor Galbraith uniósł wzrok i spojrzał na nią, stojącą o jeden schodek wyżej. Ciemne, pełne dobroci oczy doktora nagle wypełniły się czułością.

— To taki wspaniały dzień, Penny, że nie mogę się oprzeć kolejnym oświadczeniom — rzekł lekko. — Nie odmawiaj mi, chyba że jesteś pewna, iż naprawdę tego nie chcesz.

Usta Penelope uniosły się w kącikach w przekornym, ale sympatycznym uśmiechu.

— Mogłabym cię bardzo lubić, gdybyś wciąż nie kazał mi siebie pokochać, Roger. Nasza przyjaźń jest taka udana. Czemu upierasz się, żeby ją zniszczyć? Zrozum to raz na zawsze: w moim życiu nie ma miejsca dla mężczyzn. — Po czym dodała, nie wiedząc kompletnie czemu: — Szkoda, że pani Blythe nie jest wdową.

— Nie sądziłem, że z twoich ust padną te słowa, Penny — odparł cicho Roger. — Nawet gdyby pani Blythe była wdową, nie miałyby to dla mnie najmniejszego znaczenia. Nigdy nie przepadałem za rudowłosymi kobietami.

— Włosy pani Blythe nie są rude. To śliczny, kasztanowy kolor — zaprotestowała Penelope, której nagle pani Blythe wydała się czarującą postacią.

— Cóż, nie sprzecajmy się na temat odcieni włosów, Penny — głos doktora Galbraitha stał się łżejszy.

Wyczuł, że Penny była zazdrosna o panią Blythe, a gdzie jest zazdrość, tam i nadzieja. Ale w drodze po-

wrotnej milczał, podczas gdy Penelope rozprawiała na temat umysłu dziecka oraz swobody, dzięki której będzie ono mogło robić to, na co mu przyjdzie ochota — chodziło o „wyeksponowanie dziecięcego ego”. Oczywiście, trzeba będzie zadbać, by dziecko jadło dużo szpinaku.

— Pani Blythe zrezygnowała z wmuszania swojemu Kubie szpinaku — celowo zauważył doktor.

Ale Penelope już nie obchodziło, co robiła, a czego nie robiła pani Blythe. Raczyła jednak zapytać Rogera, co sądzi o sile sugestii i o wpływaniu na dziecko podczas jego snu.

— Jeśli dziecko śpi, to niech śpi spokojnie. Większość matek jest zachwycona, gdy ich pociechy zasypiają.

— Większość matek! Oczywiście nie chodzi mi o to, żeby dziecko budzić. Po prostu siedzisz przy nim i cichym, spokojnym tonem sugerujesz mu pewne rzeczy.

— Ja nie sugerowałem.

Penelope miała ochotę odgryźć sobie język. Jak mogła zapomnieć, że żona Rogera umarła podczas porodu? '

— Ale coś w tej metodzie może być — powiedział doktor Galbraith, który kiedyś w nieco cyniczny sposób zwierzył się doktorowi Blythe'owi, że swój sukces zawdzięcza temu, iż zawsze doradza ludziom to, czego tak naprawdę w głębi duszy pragną.

— Cudownie będzie obserwować rozwój jego umysłu — rozmarzyła się Penelope.

— Przecież on ma już osiem lat — zauważył oschle Roger. — Jego umysł jest już prawdopodobnie jako tako ukształtowany. Wiesz przecież, co mówi o umysłowości 200

dziecka Kościoła rzymskokatolicki: pierwsze siedem lat i tym podobne. Ale zawsze można mieć nadzieję.

— Ten twój cynizm odbiera ci radość życia, Rogerze — upomniała go łagodnie Penelope.

Chociaż Penelope nigdy by się do tego nie przyznała, cieszyła się, że doktora Galbraitha nie było w pobliżu, gdy zjawił się Lionel. Roger wyjechał na kilka tygodni na urlop. Zanim wróci, Penelope będzie mogła się przyzwyczaić do Lionela i rozwiązać wszelkie problemy. Bo oczywiście jakieś problemy na pewno się pojawiają, co do tego nie miała wątpliwości. Wierzyła jednak, że dzięki niezmiernym, jej zdaniem, pokładom cierpliwości i wyrozumiałości uda jej się pokonać przeszkody.

Kiedy pierwszy raz ujrzała Lionela, przeżyła szok. Odbierała go ze stacji kolejowej, gdzie został przywieziony z Winnipeg przez jakiegoś mężczyznę. Spodziewała się, że ujrzy w Lionelu miniaturkę Elli: złociste loki, błękitne oczęta, drobniutką sylwetkę. Tymczasem chłopiec najwyraźniej bardziej był podobny do ojca, którego nigdy nie widziała. Był niski i przysadzisty, miał gęste czarne włosy, grube czarne brwi, spotykające się niemalże nad nosem, typowe raczej dla dorosłych. Oczy miał czarne i zachmurzone, a usta zaciśnięte uparcie. Nie uśmiechnął się nawet na jej gorące powitanie.

— Jestem ciocia Penelope, kochanie.

— Nie, nie jesteś — odburknął Lionel. — Nie jesteśmy spokrewnieni.

— Cóż... — Penelope poczuła się zbита z tropu. — Nie jestem twoją prawdziwą ciotką, rzecz jasna, ale czy

nie mógłbyś mnie tak nazywać? W końcu byłam najbliższą przyjaciółką twojej matki. Udała ci się podróż, skarbie?

— Nie — odparł Lionel.

Wsiadł razem z nią do samochodu i wlepił wzrok w pustkę: nie patrzył ani na lewo, ani na prawo, ani przed siebie na drogę prowadzącą do Wierzbowego Zakątka.

— Jesteś zmęczony, kochanie?

— Nie.

— Może głodny? Marta coś przyg...

— Nie jestem głodny.

Penelope dała za wygraną. Podręczniki psychologii dziecięcej uczyły, by pozwalać dzieciom milczeć. No więc dała mu spokój, skoro i tak nie chciał z nią rozmawiać. Przebyli całą drogę w ciszy i dopiero gdy Penelope parkowała samochód na podjeździe, Lionel zapytał na widok Marty:

— Kim jest ta paskudna starucha?

— Kochanie... to jest Marta, kuzynka, która ze mną mieszka. Możesz ją również nazywać ciotunią. Polubisz ją, jak lepiej ją poznasz.

— Nie polubię — powiedział Lionel.

— Nie możesz... — Penelope w ostatniej chwili przypomniała sobie, że dzieciom niczego nie wolno zakazywać. Nie chciała przecież uszkodzić chłopcu ego. — Proszę, nie nazywaj jej paskudną.

— A to niby czemu? — spytał Lionel.

— No bo... no bo przecież nie chcesz zranić jej uczuć, prawda? Nikt nie lubi, jak się go nazywa brzydkim, kochanie. Tobie też by się to nie spodobało, prawda?

2

— Ale ja nie jestem brzydki — odburknął Lionel.

W sumie miał rację. Na swój własny sposób był ładnym chłopcem.

Marta podeszła do niego wolnym krokiem i z ponurą miną wyciągnęła rękę w jego stronę. Lionel schował dłonie za plecami.

— Przywitaj się z ciotką Martą, kochanie.

— Nie — odparł Lionel, po czym dodał: — To nie jest moja ciotka.

Penelope poczuła coś, czego nie czuła nigdy dotąd: wielką ochotę, by kimś porządnie potrząsnąć. Tak jej zależało, żeby chłopiec wywarł dobre wrażenie na Marcie. W ostatniej chwili przypomniała sobie jednak o wzorcach wychowawczych.

— Zjedzmy po prostu śniadanie, skarbie — powiedziała wesoło. — Poczujemy się od razu lepiej.

— Czuję się całkiem dobrze — odciął się Lionel. — Poza tym nie jestem żadnym „skarbem”.

Lionel dostał na śniadanie sok pomarańczowy i jajko na miękko. Popatrzył na jedzenie z obrzydzeniem.

— Chcę kielbaski — zażądał.

Ponieważ w domu nie było żadnych kielbasek, jego życzenie nie mogło zostać spełnione. W efekcie chłopiec nic nie zjadł. Penelope ponownie postanowiła się nie wtrącać.

— Czasem dziecku dobrze robi, jak poczuje się lekko zaniedbane — powiedziała, przypominając sobie podręczniki o wychowywaniu dzieci.

Ale gdy nadeszła pora lunchu, a Lionel nadal domagał się kielbasek, opanowało ją potworne uczucie

bezradności. Cały ranek Lionel spędził na frontowym ganku, gapiąc się przed siebie.

Już po wyjeździe Rogera Penelope złożyła wizytę w Złotym Brzegu i nie mogła nie zauważyć różnicy między zachowaniem Lionela a dzieci Blythe'ów.

Po lunchu Lionel znowu odmówił przełknięcia czegokolwiek, skoro na talerzu nie pojawiły się kielbaski. Wrócił na ganek.

— Może nie ma apetytu — zmartwiła się Penelope. — Może powinnam mu dać jakieś lekarstwo...

— Nie potrzebuje żadnego lekarstwa. Potrzebuje, i to bardzo, porządnego lania! — rzekła Marta. Z wyrazu jej twarzy można było wywnioskować, że chętnie wymierzyłaby mu klapsa. Czy to już doszło do tego? Tak szybko? Lionel przebywa w Wierzbowym Zakątku od sześciu godzin, a Marta już chce go bić. Penelope dumnie uniosła głowę.

— Czy ty naprawdę sądzisz, Marto, że podniosłabym rękę na dziecko Elli?

— Mogę cię w tym wyręczyć — odparła Marta z nieskrywaną radością.

— Bzdury. Chłopiec jest po prostu bardzo zmęczony, tęskni za mamą. Jak się już przyzwyczai do nowego miejsca, zacznie jeść to, co powinien. Po prostu trzymajmy się strategii pozostawiania go samemu sobie, Marto.

— Tak chyba będzie najlepiej, skoro nie chcesz go sprać — zgodziła się Marta. — To prawdziwy uparciuch. Od razu, gdy go zobaczyłam, wyczułam, co z niego za ziółko. Zamówić kielbaski na obiad?

Penelope postanowiła się nie poddawać.

— Nie — odrzekła krótko. — Kielbaski są niezdrowe dla dzieci.

— Ja jadłam często kielbasę, gdy byłam mała — powiedziała Marta. — I jakoś mi nie zaszkodziła.

Lionel, który w pociągu pewnie nie zmrużył oka, zasnął na ganku. Nie obudził się, gdy Penelope przeniosła go na kanapę w salonie. Na jego twarzy wykwitły rumieńce, we śnie wyglądał bardzo niewinnie. Jego do tej pory zaciśnięte usta otwarły się i Penelope zauważyła, że chłopcu brakuje jednego zęba. W końcu był tylko dzieckiem. >

„Ma pewnie z pięć funtów nadwagi — pomyślała z niepokojem. — Zdaje mi się, że nie zaszkodzi mu, jeśli przez jakiś czas będzie pościł. Znacznie odbiega od moich wyobrażeń, ale mimo wszystko jest w nim coś, co przyciąga uwagę. Biedna Ella, nie miała pojęcia o dziecięcej psychologii. Na pewno nie dawała sobie z nim rady”.

Na obiad podano pysznego pieczonego kurczaka, ze szpinakiem dla Lionela, oraz lody na deser.

— Chcę kielbaski — powiedział Lionel.

Penelope była bliska rozpacz. Łatwo było mówić:

daj dziecku spokój, niech ponosi konsekwencje swoich czynów. Ale przecież nie można doprowadzić do tego, by zagłodził się na śmierć! Wtedy będzie już raczej za późno na wszelkie konsekwencje.

— Ja... kielbaski przygotujemy ci jutro na śniadanie, skarbie. A teraz spróbuj tego pysznego kurczaka.

— Kielbaski — powtórzył Lionel. — I nie mam na imię „skarb”. Koledzy nazywali mnie Zbój.

270

Marta wyszła z jadalni, a po chwili wróciła z talerzem pełnym kielbasek. Rzuciła Penelope wyzywające spojrzenie.

— Kupiłam trochę na wszelki wypadek — powiedziała. — Zona mojego kuzyna, Mary Peters, ta z Mowbray Narrows, je przyrządziła. To porządna, zdrowa wieprzowina. Nie może iść przecież spać z pustym żołądkiem. Jeszcze by się rozchorował.

Lionel rzucił się na kielbaski i pożarł wszystkie. Zjadł też trochę gotowanego groszku, ale zdecydowanie odmówił wzięcia do ust szpinaku.

— Dam ci pięć centów, jeśli zjesz szpinak — ku przerażeniu Penelope zaproponowała Marta. Jak ona może przekupywać dziecko!

— Dziesięć centów.

Dostał pieniądze i zjadł całą porcję szpinaku. Przynajmniej miał w sobie na tyle przyzwoitości, by dotrzymać słowa. Następnie pochłonął lody, ale znowu zaczął się dąsać, gdy Penelope nie zgodziła się, by dostał trochę kawy.

— Zawsze pijałem kawę — powiedział.

— Kawa nie jest odpowiednia dla małych chłopców, kochanie — odparła i twardo obstawała przy swoim. Nie była jednak w najlepszym nastroju, szczególnie że Lionel powiedział w pewnej chwili:

— Musisz być strasznie stara, skoro nie możesz zapamiętać, że nie nazywam się „skarb”. Penelope nigdy nie zapomniała pierwszych dwóch tygodni pobytu Lionela w Wierzbowym Zakątku. Godził się rezygnować z kiełbasek tylko wtedy, gdy do jajek

dostawał trochę smażonego bekonu, ale oprócz tego, apetyt miał całkiem niezły. Zaczął jeść nawet szpinak, nie oczekując zapłaty.

Ale gdy problem wyżywienia chłopca został częściowo rozwiązany, wciąż pozostawała kwestia, jak uprzyjemnić mu pobyt w Wierzbowym Zakątku. Nie chciał się zaprzyjaźnić z żadnymi dziećmi z sąsiedztwa, stale przesiadywał na ganku i gapił się przed siebie albo wałęsał wkoło domu. Pewnego razu Penelope zabrała go do Złotego Brzegu, gdzie chyba polubił Kubę Blythe'a, bo nazwał go „fajnym kołesiem”, ale przecież nie mogli jeździć do Blythe'ów codziennie. Nie obchodziły go wiewiórki, a huśtawkę, którą kazała dla niego zbudować Penelope na tyłach domu, omijał szerokim łukiem. Wzgardził mechanicznym osiołkiem, kolejką elektryczną, samolocikiem i innymi zabawkami, które mu kupiła. Raz tylko rzucił kamieniem. Niestety wybrał do tego najgorszy moment, bo akurat wtedy, gdy koło bramy przechodziła pani Raynor, żona anglikańskiego pastora. Kamień minął jej nos dosłownie o cal.

— Nie możesz rzucać w ludzi kamieniami, skar... Lionelu — skarciła go nieszczęśliwa Penelope (zapominając, że dzieciom niczego nie wolno zakazywać), gdy stateczna dama już sobie poszła.

— Nie rzuciłem w nią — odparł bezczelnie. — Po prostu rzuciłem. Nie moja wina, że akurat tamtędy przechodziła.

Co noc Penelope wychodziła na ganek (Lionel uparł się sypiać właśnie tam) i urządzała seanse „sugestii”. Marcie wydawało się to jakimś rodzajem czarnej magii.

272

Penelope „sugerowała” Lionelowi: by nie jadł kiełbasek i nie pił kawy, był szczęśliwy, jadał szpinak, by zrozumiał, że jest kochany.

— Stara Marta mnie nie kocha — powiedział pewnego razu, gdy Penelope była przekonana, że już zasnął.

— On nie przyjmuje naszej miłości — rozpaczala Penelope. — Poza tym jak mam mu pozwalać na wszystko, skoro nic nie chce robić? Nie chce wybrać się na przejażdżkę samochodem ani bawić się zabawkami, nie śmieje się nawet. W ogóle się nie uśmiecha, Marto. Zauważyłaś?

— Cóż, niektóre dzieci takie już są — odrzekła. — Ten chłopiec potrzebuje męskiej ręki. Samotna kobieta nie poradzi sobie z wychowaniem Lionela.

Penelope nic nie odpowiedziała. Ale nieco później wpadła na pomysł, by kupić chłopcu psa. W dzieciństwie sama chciała mieć psa, ale jej ojciec za nimi nie przepadał. Podobnie Marta, no i w mieszkaniu nie było miejsca dla czworonoga. Ale Lionel na pewno polubi zwierzę. Chłopiec powinien mieć takiego przyjaciela.

— Zamierzam kupić ci psa, skar... Lionelu.

Łudziła się, że w końcu zobaczy jego rozpromienioną twarz, ale on tylko posłał jej ponure spojrzenie spode łba.

— Psa? A na co mi pies? — naburmuszył się.

— Myślałam, że wszyscy chłopcy lubią psy — wykrztusiła Penelope.

— Ja nie lubię. Kiedyś jeden pies mnie ugryzł. Wolałbym kotka — powiedział Lionel. — W Złotym Brzegu mają wiele kotów.

2

Ani Penelope, ani Marta nie lubiły kotów, ale od czasu kiełbasek to była pierwsza rzecz, jakiej zapragnął Lionel. Penelope wolała mu się tym razem nie sprzeciwiać.

W domu pojawił się więc kociak. Przysłała go ze Złotego Brzegu pani Blythe. Lionel postanowił nazwać go George.

— Ale skar... Lionelu, to jest kotka — westchnęła Penelope. — Tak mi powiedziała Zuzanna Baker.

— Zuzanna Baker myślała, że Jack Frost to kocur — odparł Lionel, który w Złotym Brzegu nasłuchiwał się tylu rzeczy, że Penelope byłaby wielce zdumiona, gdyby się o nich dowiedziała.

— Lepiej nazwij ją Kuleczka — zasugerowała Penelope. — Ma takie miękkie futerko. Albo Psołka.

— Nazywa się George — zdecydował Lionel.

Lionel trzymał się blisko George i razem z nią kładł

się spać, ku przerażeniu Penelope, ale wciąż z nadąsaną miną szwendał się wokół domu i nie chciał się w nic bawić. Przywykły z Martą do jego milczenia — najwyraźniej był małomównym dzieckiem — ale Penelope nie mogła pogodzić się z nieustannie manifestowanym niezadowoleniem. Dawało jej to porządnie w kość. Seanse „sugestii” nie odnosiły żadnego skutku. Próbowала go zabawiać, próbowała zostawiać go w spokoju.

— Jak pójdzie do szkoły, humor mu się poprawi — wyraziła nadzieję Marta. — Zacznie się zadawać z kolegami, będzie miał się z kim bawić. Kiedy byliśmy w Złotym Brzegu, bardziej się ożywił. A państwo Blythe wychowują swoje dzieci bez żadnych teorii i wzorców — dodała.

274

J

— Na pewno stosują różne metody. Sama przyznaj, ich dzieci są bardzo dobrze wychowane. Zaprosiłabym tutaj jakichś chłopców, ale dzieciaki z sąsiedztwa mają dziwną wysypkę na skórze. Nie wiem, czy to zaraźliwe, czy nie, ale postanowiłam nie ryzykować. Ja... chciałabym, żeby Roger już wrócił.

— W mieście jest wielu innych lekarzy — powiedziała Marta. — Nie możesz trzymać dzieciaka pod kloszem przez całe życie. Owszem, jestem starą panną i nie mam doświadczenia w sprawie dzieci, ale tego akurat jestem pewna. Szkoła zaczyna się dopiero za dwa miesiące.

Marta podchodziła do całej sprawy bez emocji. Raczej lubiła Lionela, mimo że nazywał ją starą brzydulą.

Jeśli zostawiało się go w spokoju, nie psocił ani nie pyskował. Czasem trzeba było go przekupić, aby wypił wieczorną szklankę mleka — Marta robiła to częściej, niż się Penelope zdawało — ale wszystkie „zarobione” w ten sposób pieniądze odkładał.

Kiedyś spytał Martę, ile kosztuje bilet kolejowy do Winnipeg. Gdy otrzymał odpowiedź, nie chciał tknąć lunchu. Wieczorem oznajmił Marcie, że nie będzie więcej „chlać mleka”.

— Nie jestem niemowlakiem — dodał.

— A co by na to powiedziała ciotka Penelope? — pogroziła mu Marta.

— Myślisz, że mnie to obchodzi? — odciął się Lionel.

— Powinno. Jest dla ciebie bardzo dobra — powiedziała Marta.

Penelope podjęła pewną decyzję, gdy Lionel wrócił do domu z rozbitym kolaniem. Nie histeryzował z tego

powodu, ale gdy spytała, jak doszło do zranienia, odparł, że spadła na niego dzwonnica kościoła.

— Lionel, przecież to nieprawda! — wykrzyknęła przerażona. — Chyba nie sądzisz, że w to uwierzemy?

— Wiem, że to nieprawda. Gdy Walter Blythe mówi nieprawdziwe rzeczy, jego mama twierdzi, że on ma bujną wyobraźnię.

— To dwie różne sprawy. Walter nie oczekuje, że ktoś mu uwierzy.

— Ja też nie oczekiwałem — odparł Lionel. — Ale tu się nic nigdy nie dzieje, więc trzeba zacząć fantazjować.

Penelope nie wdawała się w dalsze dyskusje. Oczyszczyła i zdezynfekowała ranę. Poczula nagle, że ma ochotę ucałować kolano chłopca. Było takie rozkosznie pulchniutkie i opalone. Bała się jednak, że jeśli to uczyni, Lionel pośle jej jedno z tych swoich pełnych pogardy spojrzeń, którymi czasem rzucał na lewo i prawo bez zastanowienia.

Nie chciał, żeby mu obandażowała ranę, choć Penelope uważała to za konieczność, bojąc się, że może wdać się infekcja.

— Wetrę w kolano trochę żabiej śliny — powiedział Lionel.

— Gdzieżes się czegoś takiego nauczył?! — wykrzyknęła przestraszona Penelope.

— Kuba Blythe mi o tym powiedział. Ale jego ojciec o niczym nie wie — odparł Lionel.

— Miałby na pewno coś przeciwko żabiej ślinie, podobnie jak ty i Marta.

Całe popołudnie Penelope spędziła na intensywnym myśleniu i wieczorem, gdy Lionel i George poszli już spać, obwieściła Marcie:

276

— Doszłam do wniosku, że Lionel potrzebuje towarzysza zabaw. Kumpla, przyjaciela. Każdy chłopiec powinien mieć kolegę. Chłopcy ze Złotego Brzegu mieszkają zbyt daleko. Poza tym ta cała heca z Kubą i żabią śliną... Wiesz, że podobno dziecko, które dorasta jedynie w towarzystwie dorosłych, zapada na kompleks niższości? A może wyższości?...

— Myślę, że nie masz pojęcia, o czym mówisz — odrzekła Marta. — Porozmawiaj z panią Blythe. Jest teraz w mieście, o ile mi wiadomo.

— Może i pani Blythe jest magistrem, ale pierwsze słyszę, żeby była specjalistką w sprawie psychologii dziecięcej.

— Nie znam lepiej wychowanych dzieci niż dzieciaki Blythe'ów — odparowała Marta.

— Tak czy siak zdecydowałam, że Lionel potrzebuje przyjaciela.

— Chyba nie chcesz adoptować następnego chłopca? — przestraszyła się Marta.

— Adoptować? Nie. Koniec z adopcjami, Marto. Ale myślę o tym, żeby sprowadzić tu jakiegoś na lato, zanim zacznie się szkoła. Pani Elwood mówiła o takim jednym wczoraj. Chyba nazywa się Theodore Wells.

— Bratanek Jima Wellsa! Penelopo Craig! Czy jego matka nie jest przypadkiem aktorką lub kimś w tym rodzaju?

— Tak, nazywa się Sandra Valdez. Brat Jima Wellsa ożenił się z nią dziesięć lat temu w Londynie albo w Nowym Jorku, albo gdzie indziej. Wkrótce się jednak rozstali i Sydney powrócił tu z synem. Umarł na far-

277

mie Jima. Jim opiekował się chłopakiem, ale jak wiesz, umarł w zeszłym miesiącu, a jego żona powiedziała, że nie jest w stanie teraz zajmować się Theodore'em, bo ma za dużo na głowie.

— Nigdy zbytnio nie cieszyli się, że z nimi zamieszkał, o ile się orientuję — mruknęła Marta.

- Zona Jima chce mu znaleźć dom zastępczy, póki nie skontaktuje się z Sandrą Valdez. To nie może być przypadek, Marto.
- Myślę, że tu jak zwykle chodzi o pieniądze — osądziła Marta.
- Nie mów tak. Pani Elwood twierdzi, że chłopiec jest bardzo sympatyczny, wygląda jak aniołek.
- Pani Elwood plecie, co jej ślina na język przyniesie. Przecież to siostra pani Wells. Penelope, nie zdajesz sobie sprawy, jaki naprawdę jest ten chłopiec ani jaki będzie miał wpływ na Lionela.
- Pani Elwood twierdzi, że wszystkie dzieci Wellsów są dobrze wychowane.
- Tak powiedziała? Coś podobnego. W końcu to jej siostrzeńcy i siostrzenice.
- Powiedzmy, że Theodore lubi od czasu do czasu psocić.
- A więc przyznała się do tego? Cóż, dzieci powinny być skore do psot. Może i jestem starą panną, ale to wiem na pewno. Powiadają, że dzieciaki Blythe'ow, których tak lubisz przywoływać...
- Bardzo rzadko o nich wspominam, Marto! Ale doktor Galbraith... cóż, jedna rzecz zawsze niepokoi-

ła mnie w Lionelu. Nie jest wystarczająco swawolny. W gruncie rzeczy nie robi żadnych psikusów. To nienormalne. Gdy zjawi się tu Theodore...

- Theodore! To jeszcze gorsze imię niż Lionel.
- Marto, nie bądź niemiła — poprosiła Penelope. — Wiesz, że mam rację.
- Gdybyś była mężatką, nie interesowałaby mnie liczba adoptowanych przez ciebie dzieci. Ale dla nas, starych panien, wychowanie dwóch chłopców może okazać się zbyt...
- Dostyc tego, Marto. Kobieta, która studiowała psychologię dziecięcą, jak ja, wie znacznie więcej o wychowaniu dzieci niż niejedna matka. Podjęłam decyzję.
- Och, jakże bym chciała, aby doktor Roger był w domu! — ubolewała Marta. Choć i on pewnie nie mógłby sprawić, aby Penelope zmieniła zdanie. Theodore wyglądał tak, jak powinien wyglądać Lionel. Był szczupły, miał delikatne rysy twarzy, złocistoru-de włosy i niesamowicie błyszczące szare oczy.
- A więc to jest Theodore — oznajmiła uroczyście Penelope.
- Tak, proszę pani — uśmiechnął się czarująco Theodore. Nie było w nim ani śladu typowej dla Lionela gburowatości.
- A to jest Lionel — przedstawiła ich Penelope.
- Słyszałem o nim co nieco — powiedział Theodore. — Cześć, Zbój.
- Cześć, Rudy — zaczął odezwać się Lionel.

2Z9

*

- Może idźcie się pobawić do ogrodu, nim podamy kolację? — zasugerowała Penelope, a uśmiech nie schodził jej z twarzy. Wszystko układało się lepiej, niż przypuszczała. Marta jednak węszyła kłopoty. Wiedziała co nieco o Theodorze Wellsie. Parę minut później od strony podwórza dobiegły ich wściekłe, mrożące krew w żyłach wrzaski i zawrodożenie. Penelope i Marta rzuciły się tam, zaniepokojone. Znalazły chłopców tarzających się na żwirowej ścieżce. Kopali się, tłukli i wyzywali. Ledwie zdołały ich od siebie odciągnąć. Buzie mieli całe ubrudzone pyłem. Theodore miał rozciętą wargę, a Lionel stracił kolejny ząb. George przycupnęła na gałęzi klonu, przyglądając się ogonowi i najwyraźniej zastanawiając, czy to jej część ciała.
 - Och, dzieci drogie! — wykrzyknęła roztrzęsiona Penelope. — To okropne. Nie możecie się bić. Nie możecie!
- W końcu nadszedł ten moment: Penelope zapomniała o wszelkich wzorcach wychowania.

— Pociągnął George za ogon — warknął Lionel. — Nikt nie będzie ciągnąć za ogon mojego kota.

— A skąd miałem wiedzieć, że to twój kot? — odciął się Rudy. — Poza tym ty pierwszy zacząłeś. Niech pani spojrzy na moją wargę, panno Craig.

— Krwawi — zadrżała Penelope. Ledwo mogła znieść widok krwi. Zaraz robiło jej się niedobrze.

— To tylko zadrapanie — odezwała się Marta. — Nałożę na nie trochę wazeliny.

280

— Proszę ucałować ranę i sprawić, by się zagoiła

— zadrwił Theodore.

Lionel nic nie powiedział. Był zbyt zajęty szukaniem swego zęba.

„Przynajmniej nie jest beksą — pocieszała się Penelope. — Żaden z nich nie jest beksą”.

Marta zabrała Lionela do kuchni. Był posłuszny, bo udało mu się znaleźć wybity ząb.

Penelope zaprowadziła Theodore’a do łazienki, gdzie wbrew jego woli obmyła mu twarz, odkrywając przy okazji, że trzeba było opatrzyć dodatkowo szyję i resztę ciała. Kąpiel była wskazana.

— Raaany, nie cierpię być taki czysty — powiedział Theodore, przyglądając się sobie już po wszystkim. — Czy pani się myje codziennie?

— Oczywiście, skarbie.

— Cała?

— Naturalnie.

— A czy nie wystarczy, że opłuczę raz w tygodniu twarz przy pompie? — dopytywał się Theodore. — Mogę na panią mówić mamó? Tak ładnie pani pachnie.

— „Myślę, że „ciociu” będzie o wiele odpowiedniejsze

— rzekła niepewnie Penelope.

— Mam całą masę ciotek, ale ani jednej mamy — odparł Theodore. — Jednak jak sobie życzysz. Ten ząb Zbója i tak by wypadł. I na co kotom ogony, jeśli nie można za nie ciągnąć?

— Ale chyba nie chcesz krzywdzić zwierzątek? Gdybyś był małym kociakiem i miał ogon, chciałbyś, żeby ktoś za niego ciągnął?

— Gdybym był kociakiem i ogonek miał... — zaśpiewał Theodore. Naprawdę zaśpiewał, ładnym, czystym, pełnym słodczy głosem.

Lionel też potrafił śpiewać, jak się okazało. Po obiedzie obaj zasiedli na stopniach ganku i odśpiewali mnóstwo różnych piosenek. Niektóre z nich Penelope uznała za nieprzyzwoite, ale i tak cieszyła się, że Lionel w końcu czymś się zainteresował. Miała rację. Chłopcu potrzeba było po prostu przyjaciela.

— Słyszałaś, jak odśpiewali końcówkę jednej z pieśni religijnych? — oburzała się Marta.

— Na pewno nie brzmiało to jak w kościele. Co będzie, jeśli wszystko słyszała pani Raynor?

Pani Raynor niczego nie słyszała, ale przechodząca koło Wierzbowego Zakątka pani Embree usłyszała każde słowo. Następnego dnia o wybryku chłopców grzmiała cała okolica. Ktoś przekazał wszystko Penelope przez telefon. Czy była pewna, że Theodore Wells to odpowiedni kompan dla Lionela?

Penelope, która wydusiła prawdę z Marty, sama się nad tym zastanawiała. Tuż przed lunchem Marta znalazła chłopców przy pompie.

— Co się stało? — spytała, patrząc Lionelowi prosto w oczy.

— Nic — odparł Lionel.

Penelope dobiegła do nich.

— Co się stało?

— Rudy żuł buraka i napluł na mnie — burknął Lionel.

— Och, Theodore!

— No co, powiedziałaś, że nie wolno nam się bić! — krzyknął Theodore, w którym najwyraźniej narastał gniew. — Nie pozostało mi nic oprócz plucia.

— Ale po co w ogóle pluć? — jęknęła Penelope.

— Powiedział, że jego ojciec na pewno kłąłby lepiej od mojego, gdyby żył. Nie pozwolę nikomu obrażać mojej rodziny. Nie jestem maminsynkiem. Ale jeśli nie mogę się bić, będę pluć. I to pluć ostro. Niestety zapomniałem o tym buraku — przyznał z rozbrajającą szczerością.

— Są tylko dwie możliwości, Penelope — powiedziała Marta, gdy już twarz Lionela została oczyszczona. — Możesz odesłać Theodore'a z powrotem do jego ciotki...

— Nie mogę, Marto. Wyglądałoby to na... na... To byłoby jak przyznanie się do porażki. Pomyśl tylko, jak Roger by się ze mnie śmiał.

„A więc nagle zaczynasz się liczyć z opinią Rogera”, pomyślała z satysfakcją Marta.

— Poza tym spójrz, jak zmienił się Lionel — upierała się Penelope. — W końcu się czymś zainteresował.

— W takim razie pozostaje ci drugie wyjście: pozwól im ze sobą walczyć, kiedy tylko mają na to ochotę. Chłopcom to nie zaszkodzi. W ten sposób dadzą upust swojej diabelskiej energii. Popatrz no na nich, bawią się za garażem, szukają dżdżownic jak para przyjaciół. Zupełnie zapomnieli o bójkach i pluciu. Nie, nie przywołuj mi tu dzieciarni ze Złotego Brzegu. Pamiętaj, że tamci mają innych rodziców i zostali zupełnie inaczej wychowani.

— Oczywiście, frustracja to najgorsze, co się może dziecku przydarzyć — wymamrotała Penelope, reszt-

283

kami sił trzymając się kilku formułek wpojonych przez podręczniki.

Pomiędzy Lionelem i Theodore'em nie było już złości. Owszem, mieli drobną sprzeczkę jeszcze tego samego dnia, ale chwilę później poszli łowić ryby w pobliskim strumieniu i wrócili z dumnymi minami do domu, przynosząc łup: kilka drobnych pstrągów, które Marta usmażyła im na kolację. Może należało zgodzić się na bójkę, skoro chłopcy mieli na nie ochotę. Ale Penelope z ubolewaniem stwierdziła, że pozwala chłopcom walczyć nie dlatego, że jest zwolenniczką teorii likwidowania wszelkich frustracji między dziećmi, lecz po prostu nie umie ich powstrzymać. Czuła się bezradna. Zastanawiała się również, jakie poglądy na dobre wychowanie miała pani Elwood. Niemożliwe przecież, żeby pani Elwood... Mimo wszystko pocieszała się myślą, że w ciągu tych kilku trudnych tygodni udało się rozwiązać jeden problem. Lionel w końcu czymś się zajął. Od rana do wieczora razem z Theodore'em nieustannie się bawili, ciągle „coś tam kombinowali”, jak mawiała Marta. Dość często się bili i cała okolica musiała słyszeć ich dzikie wrzaski. Pewnie sąsiedzi byli przekonani, że chłopcy są regularnie bici przez Penelope. Jednak pewnego dnia Lionel raczył jej wyjaśnić:

— Zanim pojawił się Rudy, byłem tu strasznie samotny. Nie miałem się z kim bić.

Theodore miał wybuchowy charakter, ale uspokajał się równie szybko. Niekiedy nawet Marta, chcąc nie chcąc, przyznawała, że ma on pewien urok. W końcu te psoty były normalne dla dzieci w ich wieku, pocieszała

2

się Penelope. Z pewnością chłopcy ze Złotego Brzegu tak samo rozrabiali.

Na przykład ten wąż w pralni. Oczywiście, Marta śmiertelnie się wystraszyła.

— Ale to dobry wąż — upierał się Theodore. — Nie ukąsi cię.

Fakt, był niegroźny, niejadowity, ale mimo wszystko wąż.

A jak pięknie Theodore przekonywał panią Peabo-dy, że jej kapeluszowi nic się nie stanie, jeśli go położy na ławce. Wcale nie zamierzał na nim usiąść. Penelope chciałaby mu wierzyć, ale wiedziała, że chłopcy nie cierpieli pani Peabody. Trudno się zresztą dziwić. Po co więc zostawiała kapelusz na ławce ogrodowej, skoro, jak twierdziła, był prosto z Paryża. A

przecież o wiele ładniejszy miała pani Blythe podczas ostatnich odwiedzin w Charlottetown, chociaż kupiła kapelusz u miejscowej modystki.

Oczywiście Lionel nie powinien oblać wodą ze szlauchu syna piekarza, to pewne. A jak tragicznie wyglądał salon po ich bitwie na poduszki! Niestety jedna poduszka się-rozpruła, pech, że w tym samym czasie wpadła w odwiedziny pani Raynor wraz z biskupem i jego rodziną. Goście na szczęście okazali wyrozumiałość, a biskup opowiedział nawet, że gdy był małym chłopcem, psocił jeszcze bardziej. Jego żona nie powstrzymała się wtedy i przypomniała, że jednak za każdy psikus ojciec sprawiał przyszłemu biskupowi porządne manto. Biskup odparł na to, że czasy się zmieniały i dzisiaj dzieci wychowuje się inaczej. Z kolei pani Raynor miała minę

taką, jakby podejrzewała, że cała ta afera z fruującym pierzem zaplanowana była z góry, by ją obrazić.

Penelope najbardziej dziwiła się, gdy ludzie winili chłopców za ową noc, gdy Penelope i Marta były przekonane, że dzieci zaginęły. Przecież to była wina jej i Marty — mogły się domyślić, że trzeba zajrzeć na stryszek. Obaj po kolacji bez słowa poszli na górę. Spali smacznie, a kotka umościła się między nimi. Tymczasem większość letników wyruszyła na ich poszukiwania i niewiele brakowało, a wezwano by policję z Charlottetown. Tamtej nocy Penelope po raz pierwszy w życiu bliska była hysterii, gdy usłyszała, że widziano chłopców, jak wsiadali do jakiegoś samochodu prowadzonego przez bardzo podejrzanego osobnika.

W końcu ktoś zasugerował, by sprawdzić stryszek. „Nikt by się tego nie spodziewał po tych dwóch małych demonach”, mówili później ludzie, gdy już odkryto, że zmęczeni chłopcy po prostu położyli się do łóżek. Nawet Marta nie kryła oburzenia na ludzkie gadanie.

Powiedziała, że Kuba Blythe ze Złotego Brzegu zachował się kiedyś dokładnie tak samo i nikomu na myśl nawet nie przyszło, aby go ukarać. O wszystkim opowiedziała Marcie Zuzanna Baker, która cieszyła się, że Kubie nie przydarzyło się nic złego.

Ale pewnego dnia Theodore musiał zostać ukarany, gdyż wyciął swoje inicjały w nowiutkim stole w jadalni. Stało się to akurat wtedy, gdy Penelope przebywała na spotkaniu Komitetu na Rzecz Dzieci. Zanim wróciła do domu, Marta wymierzyła mu kilka klapsów, po czym Theodore wykrzyknął pogardliwie:

t
M

— Wcale mnie nie bolało! Co ty wiesz o klapsach. Powinnaś wziąć kilka lekcji u ciotki Elli.

„Czasami w domu naprawdę brakuje mężczyzny”, pomyślała z goryczą Marta.

Penelope niemalże przyznała jej rację, patrząc na blat swego, jeszcze do popołudnia pięknego, stołu.

Nigdy też nie zapomni tego popołudnia, gdy odwiedziła panią Freeman. Dowiedziała się, że Theodore napuścił na siebie psy pani Freeman i pani Anstey. W efekcie pani Anstey, neurotyczka, została zabrana do szpitala. Jej ukochany piesek stracił kawałek ucha. Mało tego: Theodore i Lionel zdarli z biednego małego Bobby'ego Greena wszystkie ubrania i zmusili go, by wrócił do domu na golasa.

— Na golasa! — powtórzyła pani Freeman z przerażeniem w głosie.

— Cóż, dzieci letnią porą zakładają na siebie niewiele... — biedna Penelope próbowała ratować sytuację.

— Ale nie biegają po ulicy całkowicie nagie — odrzekła pani Freeman. — Może z wyjątkiem wieczorów nad zatoką, gdy nikt ich nie widzi. Skarciłam Theodo-re'a i Lionela, ale oni w odpowiedzi zrobili wulgarne miny.

Penelope nie miała pojęcia, na czym polegała wulgarność min chłopców i wołała nie pytać. „Mam tylko nadzieję, że nie rozplaczę się przed powrotem do domu”, pomyślała. Ale gdy tylko wróciła do domu, odebrała telefon od pana Banksa, który mieszkał przy kościele. Theodore i Lionel zabrali z nagrobka małego Davida Archbolda marmurowe jagnię i zaczęli się nim bawić.

Co prawda figurka poluzowała się lata temu, ale do tej pory nikt nie śmiał jej tknąć. Penelope wysłała Martę, by sprowadziła chłopców do domu i umieściła jagnię z powrotem na nagrobku, ale niestety chłopcy wrzucili figurkę do rzeki. Penelope musiała poprosić Toma Martina, by ją wyłowił. Zajęło mu to trzy dni, po czym okazało się, że jedno z uszu jagnięcia ukruszyło się i nigdy go nie odnaleziono. W tym czasie pani Archbold leżała w łóżku, doglądana przez dwóch lekarzy. Choć od czasu śmierci małego Davida minęło czterdzieści lat.

Wkrótce telefon znów się rozdzwonił, doprowadzając Penelope do szaleństwa. Ludzie odkryli, że panna Craig jest przeczulona na punkcie tych swoich diabłów, łatwiej im więc było wyrzucić z siebie pretensje przez telefon, potem odłożyć słuchawkę, niż skarżyć się bezpośrednio.

— Może by tak pani zatroszczyła się o swoich chłopców, panno Craig? Bawili się w polowanie na słonie. I upolowali harpunem moją krowę.

— Panno Craig, wydaje mi się, że pani chłopcy wykopują zdechłego skunksa w zagajniku pana Dowlinga.

— Panno Craig, jeden z pani chłopców zachował się wobec mnie nad wyraz impertynencko. Nazwał mnie starym ptaszyskiem, gdy przegoniłam go z moich grządek kwiatowych.

— Panno Craig, przykro mi, ale nie mogę dłużej zezwalać, by moje dzieci bawiły się z pani chłopcami. Strasznie przeklinają. Jeden z nich groził, że kopnie Ro-binę „w dupę”.

— Bo powiedziała, że jestem bękartem, którego pani wyciągnęła z rynsztoku — usprawiedliwiał się Theodore. — Poza tym wcale nie kopnąłem jej w pupę. Jedynie powiedziałem, że to zrobię, jeśli się nie przymknie.

— Panno Craig, chyba nie wie pani o tym, że pani chłopcy opychali się niedojrzalymi jabłkami z tego starego, zapuszczonego sadu Carsonów.

O tym akurat Penelope się dowiedziała, bo aż do bladego świtu musiała czuwać przy łobuzach, którzy niestety po tych jabłkach się rozchorowali. Mimo nalegań Marty nie chciała jednak posłać po Rogera.

— Już zapomniałam, co to spokojny, głęboki sen — powiedziała, po czym zadrżała. Czyżby zaczęła uskarżać się na swój los?

Na dobre musiała się pożegnać z tak ukochaną ciszą. Spokojna o chłopców była jedynie wtedy, gdy spali albo śpiewali sobie o zmierzchu w sadzie. Wówczas rzeczywiście wyglądali jak aniołki. Dlaczego ludzie byli dla nich tacy surowi? Marta opowiedziała jej, jak to zasłyszała od przyjaciółki z Glen St. Mary, że kiedyś chłopcy Blythe'ów przywiązali do pnia swojego kolegę i go podpalili. A jednak wszyscy uważali rodzinę ze Złotego Brzegu za wzorową.

„Pewnie ode mnie więcej oczekują, bo uchodzę za eksperta w dziedzinie psychologii dziecięcej — pomyślała Penelope, ciężko wzdychając. — Nic dziwnego, że spodziewają się, iż wychowam chodzące ideały”.

Pewnego dnia Lionel się do niej uśmiechnął — tak nagle, spontanicznie. Ten radosny uśmiech, odsłaniający

braki w uzębieniu, odmienił jego twarz. Penelope również się do niego uśmiechnęła.

— Już za dwa tygodnie zaczyna się szkoła — powiedziała Marcie. — Wtedy sytuacja się poprawi.

— Albo pogorszy — mruknęła Marta. — W szkole uczyć ich będzie nauczycielka. A oni potrzebują męskiej ręki.

— Dzieci Blythe'ów mają ojca, a mimo to krążą o nich takie opowieści, że...

— Pamiętam, jak sama mówiłaś, żeby nie wierzyć w połowę tego, co opowiadają ludzie — wtrąciła Marta. — Poza tym od twoich chłopców oczekuje się więcej. Przez lata opowiadałaś o tym, jak należy wychowywać dzieci. Pani Blythe zaś po prostu robi swoje.

— Tylko mi tu nie przywołuj pani Blythe — Penelope poczuła nagle rozdrażnienie. — Nie wierzę, by jej dzieci były w czymkolwiek lepsze od innych.

— Nie pamiętam, by kiedykolwiek twierdziła, że są lepsze — odparła Marta. — To Zuzanna szerzy taką propagandę.

— Jak tam rodzinka? — zagadnął doktor Galbraith podczas swej pierwszej wizyty po powrocie z wakacji.

— Wspaniale — odparła bohatersko Penelope.

Bo przecież wiodło im się wspaniale, przekonywała siebie. To nie było kłamstwo. Chłopcy byli zdrowi, szczęśliwi, normalni. Roger Galbraith nie mógł się za nic w świecie dowiedzieć, jak Penelope całymi nocami zamartwia się o nich, rozpacza z powodu całkowitego

go fiaska swych teorii wychowawczych i drży na sam dźwięk dzwonka telefonu.

— Ale ty nie wyglądasz za dobrze, Penny — powiedział doktor Galbraith, a na jego twarzy malowała się troska. — Schudłaś, masz podkrążone, zmęczone oczy.

— To przez te upały — odparła Penelope, zdając sobie sprawę, że kłamie. — Mieliliśmy okrutnie gorące lato.

Cóż, to akurat prawda. Była potwornie zmęczona. Nagle to do niej dotarło. Tymczasem gdy niedawno spotkała panią Blythe, ta wyglądała całkiem nieźle. Wpadały na siebie ostatnio bardzo często, pani Blythe miała wielu znajomych wśród letników, a drogę między Glen St. Mary i Charlottetown samochodem pokonywało się w mig. Pani Blythe wyglądała kwitnąco, a miała szóstkę dzieci. Penelope nigdy by się do tego nie przyznała, ale zaczynała nienawidzić pani Blythe. Tak, ona, Penelope, która nikogo w całym swoim życiu nie darzyła nienawiścią. Cóż zrobiła jej pani Blythe? Nic, oprócz tego, że miała rodzinę, którą wszyscy wychwalali pod niebiosa. Penelope nigdy nie przyznałaby się do zazdrości. Poza tym nasłuchiwała się o Blythe'ach tego i owego. Nieważne, czy była to prawda, czy nie.

Tej jesieni i zimy nie wygłosi żadnych wykładów. Pani Blythe nigdy nie jeździła po kraju z odczytami. O, znowu myśli o tej kobiecie! Tak czy siak nie można podróżować po kraju i opowiadać innym kobietom, jak wychowywać dzieci, skoro samemu trzeba się zatroszczyć o dwóch chłopców. Zamierzała stać się gospodynią domową tak jak pani Blythe.

39

„Ta kobieta staje się moją obsesją — pomyślała z rozpaczą Penelope. — Muszę przestać o niej myśleć. Jej dzieci mają przewagę, na którą moi chłopcy nie mogą liczyć. Szkoda, że Roger przyjaźni się z doktorem Blythe'em, bo wciąż wysłuchuję opowieści o dzieciach ze Złotego Brzegu. A Theodore i Lionel przynajmniej nie próbowali nikogo spalić żywcem. Poza tym pani Blythe była sierotą, nawet nie wiadomo, skąd pochodzi. Działa mi na nerwy, bo Marta nieustannie przywołuje wypowiedzi jakiejś Zuzanny Baker (kimkolwiek ona jest). Nic mnie nie obchodzi idealna rodzina ze Złotego Brzegu. Być może pani Blythe uczęszczała na moje wykłady”.

Ostatnia myśl była pocieszająca. Penelope przestała się obawiać, że osuwa się na skraj szaleństwa. No i w końcu Roger powrócił. To również było pocieszające, chociaż Penelope nigdy nie przyznałaby tego głośno.

— Proszę, ciociu Penelope — powiedział Lionel, który w końcu, w całkiem naturalny sposób, zaczął tak do niej mówić, gdy zjawił się Theodore. — Rudy zeskoczył z dachu garażu i leży na kamiennym podjeździe. Myślę, że nie żyje. Powiedział, że skoczy, jeśli nie kupię zdechłego szczura, którego gdzieś znalazł, i nie nakarmię nim George. Ale ja wiedziałem, że George nie zje martwego szczura, więc nie kupiłem. A Rudy dotrzymał słowa. Czy pogrzeby są drogie?

To była chyba najdłuższa wypowiedź w życiu Lione-la, przynajmniej wygłoszona do dorosłej osoby.

Zanim skończył, Penelope i Marta już biegły w szaleńczym pędzie przez podwórze w stronę garażu.

Theodore leżał twarzą w dół na stercie groźnie wyglądających kamieni.

— Połamał sobie wszystkie kości — zagrzmiała Marta.

Penelope załamała rękę.

— Dzwon po Rogera, Marto. Prędko!

Marta pobiegła ile sił w nogach. Gdy tylko zniknęła we wnętrzu domu, na podwórzu zjawiła się złotowłosa dama w ukwieconym szyfonie, z nieskazitelną cerą i bardzo czerwonymi ustami. Posuwistym krokiem zbliżyła się do Penelope, zastygłej w przerażeniu, bojącej się choćby dotknąć Theodore'a.

— Panna Craig, jak mniemam? Jestem Sandra Val-dez. Przyjechałam, aby... Czy to MOJE DZIECKO?!

Z wrzaskiem przeszywającym uszy damulka rzuciła się na zakurzoną ziemię obok nieruchomego, powykręcane go ciała Theodore'a.

Penelope chwyciła ją za ramię.

— Proszę wstać! Niech się pani nawet nie waży go dotknąć. Może mu pani zrobić krzywdę. Lekarz zjawi się lada chwila.

— To tak opiekuje się pani moim skarbem?! — zawodziła dama o szkarłatnych wargach, które nie pobladły nawet odrobinę, podobnie zresztą jak jej policzki. — Mój jedyny, malutki synek! Panno Craig, żądam wyjaśnień! Co pani najlepszego uczyniła?

— Nic, nic. Sam sobie zrobił krzywdę.

Och, życie było okropne! Czy Roger nigdy się nie zjawi? A jeśli pojechał do jakiegoś pacjenta? W mieście

byli inni lekarze, rzecz jasna, ale ona im nie ufała. Tylko Roger mógł pomóc.

— Sprawdź, czy Rudy może poruszyć palcami u stóp

— odezwał się Lionel. — Jeśli może, to kręgosłup nie został złamany. Powiedz mu, żeby poruszył palcami u stóp, ciociu.

— Och, mój syn, mój synek, mój biedny synek!

— jęczała pani Valdez, kołysząc się w przód i w tył nad najwyraźniej nieprzytomnym chłopcem. — Nie powinnam zostawiać cię pod opieką obcych! Powinnam sama się tobą zająć!

— Co to za harmider?

Doktor Galbraith wpadł do nich z wizytą, podczas gdy Marta wciąż usiłowała się do niego dodzwonić. Penelope nie obchodziło, że u boku Rogera stał doktor Blythe. Jechali gdzieś na konsultacje. Nie liczyło się teraz nic i nikt prócz Theodore'a. Penelope niemal uwiesiła się na piersi Rogera.

— Och, Roger! Theodore skoczył z dachu. Wydaje mi się, że nie żyje... A ta kobieta... och, możesz mu jakoś pomóc?

— Nie, jeśli umarł — odparł sceptycznie doktor Galbraith. Zdawał się zachowywać w tej sytuacji stoicki spokój.

— UMARŁ?! — Sandra Valdez zerwała się z ziemi i doskoczyła do doktora niczym królowa w jakiejś tragedii.

— Nie sędzę — odparł doktor Galbraith równie spokojnym tonem.

2J4

Doktor Blythe zdawał się powstrzymywać uśmiech.

Doktor Galbraith pochylił się, by zbadać puls Theodore'a. Jego usta zacisnęły się złowieszczo, po czym odwrócił chłopca na plecy, nie zważając na jego ewentualne urazy. Niebieskie oczy Theodore'a otwarły się.

— Mój syneczku — westchnęła Sandra Valdez. — Och, powiedz, że żyjesz! Powiedz mi! Pisnęła głośno, gdy doktor bezceremonialnie chwycił Theodore'a za ramię i postawił na nogi.

— Co za brutal! Rzeźnik! Panno Craig, proszę mi natychmiast wyjaśnić, czemu wzywa pani do pomocy kogoś takiego? Z pewnością w Charlottetown można znaleźć lekarza, który...

— Doktor Galbraith to jeden z najlepszych lekarzy na Wyspie — oburzyła się Marta.

— Co to ma znaczyć? — powiedział doktor Galbraith tonem, który Theodore natychmiast zrozumiał. Doktor Blythe się roześmiał.

— Chciałem ich wszystkich przestraszyć — przyznał się Theodore z niespotykaną u niego potulnością. — Nie skoczyłem z dachu. Tylko tak powiedziałem Zbójowi, żeby go nastraszyć. A kiedy się odwrócił, po prostu tu podbiegłem, krzyknąłem i padłem na ziemię. To wszystko, naprawdę.

Doktor Galbraith odwrócił się w stronę Penelope:

— Już ja dam temu młodzieńcowi nauczkę, którą długo popamięta. A ty wyjdiesz za mnie w ciągu trzech tygodni. Nie proszę cię. Oświadczam ci to. Nie chcę słyszeć żadnego sprzeciwu! Najwyższa pora, żeby ktoś

2JÓ

coś z tym wszystkim zrobił. Psychologia dziecięca może i jest potrzebna, ale od czasu mojego wyjazdu straciłaś na wadze piętnaście funtów. Moja cierpliwość jest bliska wyczerpania.

— Gratulacje — powiedział ten okropny doktor Blythe.

— Ani się waż tknąć Rudego! — wrzasnął Lionel. — To nie twoja sprawa. Ciotka Penelope nas wychowuje. Jeśli choćby ruszysz palcem, ugryzę cię. Ja...

Doktor Blythe chwycił Lionela za kark i posadził go na słupku bramy.

— Dosyć tego, chłopcze. Posiedzisz tu sobie, aż doktor Galbraith pozwoli ci zejść. Kilka minut później pewne odgłosy dochodzące z wnętrza stodoły wyraźnie świadczyły o tym, że Theodore nie pozostał obojętny na klapsy doktora.

— On go zabije — jęknęła Sandra Valdez, po czym znowu zaczęła piszczeć.

— Och, nic mu się nie stanie — zapewnił z uśmiechem doktor Blythe.

Ale to właśnie Penelope, nikt inny, stanęła naprzeciw Sandry Valdez.

— Niech się pani nie wtrąca. Theodore'owi zbierało się na lanie od dłuższego czasu.

Doktorze Blythe, może się pan śmiać do woli.

— Nie śmieję się z pani, panno Craig — zapewnił ją Gilbert przeproszającym tonem. — Śmiałem się z żartu Theodore'a. Wiedziałem od samego początku, że udaje. Podobnie Galbraith.

— Gdy to wszystko się skończy, może pani zabrać Theodore'a, pani Valdez — powiedziała Penelope. — Zbój mi wystarczy.

Sandra Valdez natychmiast spotulniała i zaczęła się inaczej zachowywać:

— Ja... ja go nie potrzebuję. Dziecko przeszkadzałoby mi w karierze. Chyba zdaje sobie pani z tego sprawę. Chciałam się tylko upewnić, że trafił do dobrego domu i jest należycie traktowany.

— Owszem, trafił. I owszem, jest.

— I że ma kochającą matkę.

— Będzie miał matkę. I ojca — dodała Penelope. — Niech się pan śmieje, doktorze Blythe. Pańskie dzieci są takie doskonałe.

— Daleko im do doskonałości — powiedział Gilbert, który już się nie uśmiechał. — Szczerze mówiąc, są — mówię o chłopcach — bardzo podobni do Lionela i Theodore'a. Ale w domu znajdują się trzy osoby, które w razie czego mogą im zwrócić uwagę. To dlatego dajemy sobie z nimi radę. Jeśli lanie jest konieczne, czekamy, aż Zuzanny Baker nie będzie w domu. Bardzo się cieszę, że zgodziła się pani w końcu poślubić doktora Galbraitha.

— A kto panu powiedział, że się zgodziłam? — zarumieniła się Penelope.

— Słyszałem jego słowa. I wiedziałem, że podjęła pani decyzję, gdy zabroniła się pani wtrącać Sandrze Valdez. My, lekarze, mamy intuicję w takich sprawach. Wcale nie jestem przeciwnikiem pani badań nad psycho-

Ż97

logią dzieci, panno Craig. Z takich studiów można nauczyć się mnóstwa pożytecznych rzeczy. Moja żona ma całą półkę książek na temat wychowywania dzieci. Ale od czasu do czasu...

— Trzeba skorzystać z innych metod — przyznała Penelope. — Ależ ze mnie idiotka, doktorze Blythe. Mam nadzieję, że pan i pani Blythe wpadniecie do Wierzbowego Zakątku, gdy następnym razem będziecie w mieście. Chciałabym... lepiej poznać pańską małżonkę.

— Jeśli chodzi o mnie, to zwykle przyjeżdżam do miasta tylko w związku z pracą, ale z pewnością żona będzie zachwycona pani zaproszeniem. Była panią oczarowana po tym spotkaniu u pani Elston.

— Naprawdę? — ucieszyła się Penelope, dziwiąc się jednocześnie, czemu czuje się taka wyróżniona. — Z pewnością miałybyśmy sobie wiele do powiedzenia.

Odgłosy dobiegające ze stodoły umilkły.

— Czy doktor Galbraith będzie nas często bił? — zapytał zaciekawiony Lionel.

— Na pewno nie — zapewnił doktor Blythe. — Po pierwsze, nie będzie takiej konieczności. Po drugie, jestem pewien, że ciotka Penelope na to nie pozwoli.

— Na pewno nie potrafi go powstrzymać, jeśli podejmie decyzję — powątpiewał Lionel.

— Założę się, że pani Blythe nie umie powstrzymać pana.

— Och, czyżby? Niewiele jeszcze wiesz o małżeństwie, ale kiedyś dowiesz się niejednego, chłopcze. Tak czy siak zachęcam do ożenku. Jeśli zaś chodzi o doktora Galbraitha, to na pewno polubisz go w roli wuja.

— Zawsze go lubiłem i uważam, że ciocia Penelope powinna już dawno wyjść za niego — powiedział Lionel.

— Skąd wiesz, że on chciał się ze mną ożenić?! — wykrzyknęła zdumiona Penelope.

— Rudy mi powiedział. Wszyscy to wiedzą. Dobrze, że w domu zjawia się mężczyzna. Pokaże Marcie, gdzie jej miejsce.

— Lionel, nie mów w ten sposób o ciotce Marcie.

— Na pewno nie będzie nazywał mnie Lionel.

— Czemu? Nie lubisz swojego imienia? — dopytywała się Penelope.

— To takie babskie imię.

— Takie imię nadała ci twoja mama — wypomniała mu Penelope. — Rzecz jasna, mogło ją nieco ponieść, w głębi duszy była prawdziwą romantyczką, ale...

— Nie chcę słyszeć ani jednego złego słowa o mojej matce — ostrzegł Lionel.

Penelope nie potrafiła tego wyjaśnić, ale ostatnie słowa chłopca ucieszyły ją. Tymczasem Rudy i doktor Galbraith, gdy wyszli ze stodoły, wyglądali jak para całkiem niezłych przyjaciół. Widocznie lanie nie okazało się zbyt bolesne. Roger nie należał do mężczyzn lubiących przemoc. I proszę, nawet pani Blythe czytywała książki o wychowaniu dzieci. Świat okazał się całkiem przyjazny. Rudy i Zbój byli po prostu normalnymi chłopcami, jakich wielu. Penelope powiedziałaaby wręcz, że byli równie dobrymi dziećmi jak synowie Blythe'ów, tyle że tamci od początku mieli ojca. No, ale ojca będą mieć teraz i Rudy, i Zbój...

WIECZÓR SIÓDMY

SUKCES

Podaj mi puchar, pijmy słodki napój, Choć smak goryczy poznał każdy z nas. Urok młodości dawno już za nami, Przed nami dziwny i nieznaný czas. Wiesz, jak brzmi śmiech i jak smakuje łza, Pij więc do dna!

Podaj mi puchar, tak mi jakoś tęskno, Choć szczerozłoty w słońcu pięknie lśni. W nim się odbiją chwile trosk i smutku Ciężkie, bolesne, zapomniane dni, Inni się bawią, z trosk szyderczo drwią I lekko śpią.

Podaj mi puchar, to nasza zapłata Za brak uśmiechu, miłości i snu, Wielkie marzenia nigdy nie spełnione Za ból i walkę do utraty tchu. Tak, wiem, że kłamię, wznosząc toast ten Za dobry sen.

300

Zabierz mi puchar — napój otumania, Przynosi drżenie, kradnie spokój mój, Ja wolę moje zwykłe, proste życie, Uczciwą pracę i codzienny znój.

. Połysk brylantów to fałszywa rzecz, Mówię jej: precz!

Ania Blythe

ANIA BLYTHE: — Chłopcy, napisałam dzisiaj wiersz, który nie spodoba się waszemu ojcu. (Czyta wiersz na głos)

KUBA BLYTHE: — Mamo, skąd przyszedł ci do głowy pomysł na taki wiersz? Jestem pewien, że ty i tata osiągnęliście życiowy sukces.

ANIA BLYTHE: — Och, ja tylko dawałam wyraz pewnemu nastrojowi... Wyobraziłam sobie człowieka, który poświęcił wszystko, by osiągnąć sukces, i gdy już to się stało, zdał sobie sprawę, że gra niewarta była świeczki. Ale nie chciał się do tego przyznać. Wielu jest takich ludzi na świecie.

KUBA BLYTHE: — A czy to nie dlatego, że ich pragnienie sukcesu bywa samolubne, a ich poświęcenie nie przyniosło im niczego dobrego?

ZUZANNA BAKER: — Cóż, twój ojciec jest lekarzem, którego praktyka odniosła wielki sukces. Z pewnością nie żałuje wszelkich swych poświęceń i uważa, że warto było swego czasu pocierpieć.

ANIA BLYTHE: — Oczywiście. Gilbert zawsze chciał pomagać ludziom.

WALTER BLYTHE: — Lepiej nie pokazuj ojcu tego wiersza, mamo. Jeszcze pomyśli, że to o nim.

ZUZANNA BAKER: — Wasz ojciec ma za dużo zdrowego rozsądku, by tak pomyśleć, Walterze. Na pewno zrozumie, co wasza matka miała na myśli. Ja też rozumiem, oczywiście na swój sposób. Stary Tom Scott z Mowbray Narrows całe życie spędził na oszczędzaniu, żałował wszystkiego swojej rodzinie. I na łożu śmierci powiedział: „Coś mi się widzi, że to wszystko nie było warte moich poświęceń, chłopcy. Strwonicie moją fortunę na rozrywki". I tak też się stało. Ale pani i pani mąż, droga pani doktorowo, niczego sobie nie żalowaliście, a jednak odnieśliście sukces. Chyba niewiele w życiu przeszło obok was. Tak mi się zdaje.

ANIA BLYTHE, rozmarzona: — Gdyby Szekspir prowadził dziennik! Cóż on mógł sądzić o sukcesie? Pamiętam, że stary Richard Clark z Carmody miał zwyczaj mawiać: „Gdy w niebie

spotkam Mojżesza, zapytam go o...". Więc gdy ja spotkam Szekspira w niebie, zadam mu z milion pytań.

ZUZANNA BAKER: — Jeśli dobrze zapamiętałam to, czego uczono mnie o Szekspirze w szkole, szczerze wątpię, czy po śmierci trafił do nieba. Korzystając z okazji, Walterze, chciałabym przypomnieć, że pisanie poezji to rozrywka dla kobiet, ale mężczyźnie nie przystoi.

WROTA MARZEŃ

Szukam ukrytej w cieniach bramy,
Gdy jasne słońce już zachodzi.
Szukam jej w snach i pod chmurami,
W księżycu blasku, gwiazd powodzi.

302

I znajdę ją schowaną cudnie, Gdy ją oświetli blask południa.

Gwiazdy mi wskażą leśną drogę, Rozświetlą ciemne mroki nocy. Tajemne pieśni mnie powiodą Ku miejscu, które zauroczy. Z wewnętrznym drżeniem i zachwytem Pójdę przed siebie bladym światem.

Kwiaty uklonią mi się miękko, Spijając chciwie ranną rosę. Uklęknę obok kwiatów róży, W pamięci obraz ich zaniosę. Promienie, co się w bramie śmieją. Czystą napęlnię mnie nadzieją. Ujrzę, jak wznoszą swoje wieże Zamki czarowne niczym w baśniach. Łąki się ścielą jak dywany I barwy kwiatów świat rozjaśnia. Pieśń miękka frazą się rozwinie
O tym, że piękno nie przeminie.

i

Gdzieś nieprzebyte jeszcze chwile Radosne, miłe, pełne śmiechu

I dni szczęśliwe i spokojne.

W dolinach niesie się ich echo. I co pomoże, kto mi wskaże Drogę do mojej bramy marzeń?

Ania Blythe

ANIA BLYTHE: — Napisałam ten wiersz w Alejce Zakochanych, gdy uczyłam w szkole w Avonlea... Dzięki

SOS

tobie, Gilbercie. Wtedy wydawało mi się, że co krok natrafiam na wrota marzeń.

ZUZANNA BAKER: — Czy mogłaby mi pani wyjaśnić, droga pani doktorowo, czym jest czarowny zamek i czy rzeczywiście był taki w Avonlea?

ANIA BLYTHE: — Czarowny zamek to coś, o czym marzymy. Marzymy, że staniemy się pewnego dnia jego właścicielami. Mój zamek okazał się w rzeczywistości Domkiem Marzeń.

DR GILBERT BLYTHE: — Alejka Zakochanych była pięknym miejscem. Wciąż robi na mnie wrażenie. Mój czarowny zamek okazał się tym samym, czym dla ciebie, Aniu. I wszyscy w młodości zastanawiamy się, kiedy odnajdziemy wrota do naszych marzeń.

ANIA BLYTHE: — My w końcu odnaleźliśmy nasze, po wielu nieporozumieniach.

ZUZANNA BAKER: — Złoty Brzeg wydaje mi się zamkiem w porównaniu do tej nieszczęsnej spizaren-ki w Domku Marzeń, której nigdy nie zapomnę. Jeśli czarowne zamki mają tak pojemne spizarnie jak Złoty Brzeg, to i ja je lubię.

STARA TWARZ

Spokojna niby skoszona łąka Tonąca w bladym świetle księżycy, Zmarszczki na czole i wokół oczu — stara twarz, która ciągle zachwyca. Piękno młodości już przeminęło. Lata przeżyte w wielkim zachwycie,

304

Na starej twarzy zostały ślady Podróży, którą zowiemy życiem.

Starość to suma tajemnych przygód, Pieśń, w której słyhać miłości echa, Na które dzisiaj niemłode oczy Patrzą z leciutkim, drwiącym uśmiechem. Starość przeżyła to, co niełatwe.

Mineły chwile wstrętne, okrutne. Dzisiejsza starość twarz ma cierpliwą, Dojrzałą, mądrą i... trochę smutną.

Zycie na starość jest przyjacielem, I mniej w nim strachu, choć mniej urody. I wzrok na starość czasem jest lepszy, Bo widzi więcej niż oczy młode. I widzi Głębię i Tajemnicę, Wśród gór wysokich, tak jakby w czarach, I mam nadzieję, i pragnę widzieć Taką twarz w lustrze, gdy będę stara.

Ania Blythe

DR GILBERT BLYTHE: — To jeden z twoich lepszych wierszy, Aniu. I chyba wiem, skąd czerpałaś inspirację. Chodzi o starego Kapitana Jima?

ANIA BLYTHE, rozmarzona: — Częściowo tak. Ale myślałam również o innych osobach... Wszystkie zwały się w jedną.

ZUZANNA BAKER: — Ten wiersz przypomina mi o wuju mojej matki.

DR GILBERT BLYTHE: — Naprawdę uważasz, że życie to wspaniała rzecz, Aniu?

SOS

ANIA BLYTHE, uśmiechając się: — Z pewnością życie bywa wspaniałe, nie sądzisz?

ZUZANNA BAKER, do siebie: — Cóż, ja tam nigdy nie byłam piękna, zbrzydnąć nie mogę, więc jeśli o to chodzi, starości się nie boję. A jeśli ten stary dziwak Wąsacz zestarzeje się, również to nie zaszkodzi jego urodzie. Ale i tak jest wspaniały.

POJEDNANIE

Panna Shelley szła właśnie do Lowbridge, by przebaczyć Lisie Stephens, że ta trzydzieści lat temu skradła jej Ronalda Evansa.

Trudno było podjąć taką decyzję. Całymi nocami o tym myślała. W efekcie zbladła i zmizerniała tak bardzo, że aż jej siostrzenica skonsultowała się potajemnie z doktorem Blythe'em, który przepisał pannie Shelley środek wzmacniający.

Ale panna Shelley nie chciała nic zażywać. Wciąż toczyła ze sobą wewnętrzny bój, jednak każdy następny ranek uzmysławiał jej, że znowu przegrała. Nie będzie mogła spojrzeć wielebnemu Meredithowi w twarz, póki nie odniesie zwycięstwa. On żył na innym, bardziej duchowym poziomie rzeczywistości, by zacytować panią Blythe, trudno więc byłoby mu zrozumieć wagę tak przyziemnych spraw jak jej kłótnia z Lisie Stephens.

— Musimy nauczyć się przebaczać. Nie powinniśmy rozpamiętywać przeszłości, nie powinniśmy pławić się

<307

w goryczy, żywić do ludzi żalu i urazy — mówił, a wyglądał wtedy jak natchniony prorok. Prezbiterianie z Glen St. Mary wprost go ubóstwiali, szczególnie panna Shelley. Był wdowcem, miał rodzinę, ale ona ignorowała takie szczegóły. Tak samo jak zignorowała słowa pani Blythe, gdy ta, wychodząc po kazaniu z kościoła, powiedziała mężowi: „Chyba będę musiała teraz wybaczyć Josie Pye”.

Panna Shelley nie miała pojęcia, kim była Josie Pye ani o co pokłóciła się z panią Blythe. Na pewno jednak nie był to tak poważny spór jak ten między nią a Lisie Stephens.

Panna Shelley nie wyobrażała sobie, że doktorowa Blythe może żywić urazę przez trzydzieści lat. Lubiała ją, ale uważała za raczej płytką osobkę. Kiedyś nawet głośno wyraziła opinię, że doktor Blythe powinien sobie wybrać na małżonkę kogoś o bardziej skomplikowanej osobowości.

Sąsiedzi panny Shelley nie mieli wątpliwości, iż tą wymarzoną małżonką dla doktora miała być jej siostrzenica. Ale panna Shelley o tych plotkach nie wiedziała, z czasem zresztą polubiła panią Blythe.

W końcu też postanowiła wybaczyć Lisie. Mało tego: zdecydowała, że ją odwiedzi i osobiście jej to powie.

Zwycięstwo nad samą sobą znacznie podniosło ją na duchu. Gdyby tylko wiedział o tym pastor Meredith! Ale nie mogła się łudzić. Nigdy by mu o tym nie powiedziała, Lisie też na pewno by się nie zdradziła słówkiem. Mocniej otuliła się swoim mizernym, podszytym marnym futrem płaszczykiem i przyjrzała się mijającym ją

308

przechodniom. Na ich twarzach można było zauważyć wyraz ubolewania. Z pewnością żaden nie odniósł podobnego zwycięstwa nad samym sobą jak panna Shelley.

Przyjaźniła się z Lisie Stephens przez całe dzieciństwo, a nawet dłużej. Lisie nie mogła narzekać na brak adoratorów, jednak Myrtle Shelley, niziutka, drobniotka, rudowłosa dziewczyna o wielkich niebieskich oczach, nie spotkała na swej drodze nikogo interesującego, aż do czasu Ronalda Evansa. Lisie przebywała wtedy w Toronto z wizytą u ciotki. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Ronald był przystojny, dobrze zbudowany, miał lśniące, ciemne włosy i ciemne oczy. W Glen St. Mary nie było drugiego takiego. I wszystko było w porządku aż do tańców w stodole.

Siwowłosa Myrtle Shelley pamięta tę zabawę, jakby to było wczoraj. Tak jej wyczekiwała... Właśnie wtedy miała po raz pierwszy zatańczyć z Ronaldem. Następnie on odprowadził ją do domu w blasku księżyca, który zdawał się zwiastować nadejście cudu. Może nawet Ronald by ją pocałował. Dziewczęta z Glen St. Mary często były całowane przez chłopców — niektóre się tym przechwalały — ale ona, Myrtle Shelley, nigdy przez nikogo nie została pocałowana.

Pamięta sukienkę, jaką założyła na tańce. Jej matka uznała ją za zbyt frywolną. Była bładozielona, z czerwonym paskiem. Sądziła, że będzie jej w niej do twarzy. Ronald kiedyś powiedział, iż jej skóra jest niczym kwiat. Przyjemnie było słuchać takich komplementów, chociaż świadczyło to o próżności. Niewiele miłych rzeczy słyszała w swoim życiu.

309

Gdy dotarła pod stodołę, niemal natychmiast zauważyła Ronalda tańczącego z Lisie, która akurat tego dnia powróciła z Toronto. Pomachał tylko Myrtle na przywitanie. Większą część wieczoru bawił się z Lisie, a gdy nie tańczyli, przesiadywali w jednym z powozów ustawionych za stodołą.

Zjadł razem z nią kolację, po czym zniknęli. Nawet nie spojrzał na Myrtle tymi swoimi pięknymi, beztroskimi oczyma.

Natknęła się na nich nieco później, gdy stali pod rozświetlonymi chińskimi lampionami. Lisie była podekscytowana i zarumieniona. Gęste włosy o barwie pszenicy związała niebieską wstążką. Lekko skośne, złocistobłękitne oczy lśniły. Czy ktokolwiek miał ładniejsze oczy od niej?

— Witaj, kochana — powiedziała swobodnym tonem do Myrtle. — Właśnie wróciłam. Co porabiałaś, gdy mnie nie było? Pewnie jak zwykle: zapracowana jak pszczołka. Panie Evans, poznał pan już moją przyjaciółkę, pannę Shelley? Znamy się od lat. Myrtle uniosła dłoń i wymierzyła Lisie policzek.

— Na miłość boską, o co ci chodzi, Myrtle Shelley? — wykrzyknęła oburzona Lisie. Trzeba oddać jej sprawiedliwość: Lisie nie miała pojęcia, za co została uderzona. Nie wiedziała, że Ronald Evans zalecał się do Myrtle Shelley — chociaż gdyby wiedziała, pewnie nie zachowywałaby się inaczej.

Myrtle milcząco odwróciła się na pięcie i poszła do domu.

— Ale zazdrośnica! — wykrzyknęła Lisie, gdy Ronald pospieszył z niezdarnym wyjaśnieniem.

Przez kilka następnych tygodni Lisie afiszowała się w towarzystwie Ronalda, po czym rzuciła go, nim ten wyjechał z Glen St. Mary. Stwierdziła, że miał pusto w głowie i w kieszeni. Próbowала się pogodzić z Myrtle, ale bez powodzenia.

Następnej wiosny Lisie wyszła za mąż za Justina Rogersa, kupca z Lowbridge, który uganiał się za nią latami. Przeprowadziła się do Lowbridge. Od tej pory Myrtle Shelley ani razu jej nie widziała, chociaż dziesięć lat temu doszła do niej wiadomość o śmierci Justina Rogersa. Ale teraz, trzydzieści lat po tamtej straszliwej nocy, zamierzała w końcu przebaczyć Lisie. Była zachwycona swoją decyzją.

Z Glen do Lowbridge był kawał drogi, a panna Shelley kategorycznie odmawiała, gdy ktoś chciał ją podwieźć. Stopy miała już obolałe, dokuczliwy, silny wiatr wyciskał łzy z jej bladych, niebieskich oczu. Miała również zaczerwieniony czubek nosa. Ale jakoś się trzymała.

Dom Lisie wyglądał na schludny i dobrze utrzymany. Mówiono, że Justin Rogers zostawił małżonce sporo pieniędzy. Parapet okna na wykuszu ozdobiony był kwiatami geranium i begoniami. Panna Shelley nie miała szczęścia do begonii, mimo że Zuzanna Baker podarowała jej szczepki z najzdrowszych roślin w Złotym Brzegu.

Lisie otworzyła drzwi. Panna Shelley od razu ją poznała. Te same gładkie rysy twarzy, te same skośne oczy, złociste włosy, tu i ówdzie przyprószone siwizną.

„Tak samo impertynencka jak zawsze! — uniosła się w duchu Myrtle. — Szminka! W wieku pięćdziesięciu lat!”

Ale zauważyła również, że Lisie zaczęły się robić worki pod oczyma. Przez moment czerpała z tego satysfakcję, aż przypomniała sobie pastora Mereditha.

— Ja... wydaje mi się, że powinnam pamiętać pani twarz — odezwała się Lisie. Głos jej się nie zmienił. Wciąż był jedwabście gładki.

— To ja, Myrtle Shelley.

— Myrtle, kochana! Nigdy bym cię nie poznała! Ile to już lat? Rzadko opuszczam dom, ale tak się cieszę, że cię widzę. Kiedyś byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami, prawda? Wchodź, wchodź do środka. Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że szłaś pieszo aż z Glen? Biedactwo! Pewnie padasz ze zmęczenia. Ktoś powinien był cię podwieźć. Ludzie robią się coraz bardziej samolubni.

— Nie chciałam, aby mnie podwożono — rzekła Myrtle.

— Zawsze taka niezależna, no i niezły z ciebie był piechur. Pamiętasz, jakie sobie urządzałyśmy długie spacery wzdłuż brzegu zatoki?

— Owszem, pamiętam — powiedziała Myrtle. — Pamiętam również pewien spacer, który odbyłam samotnie.

— Och, usiądź sobie tutaj — odparła Lisie, zastanawiając się, co też Myrtle ma na myśli. Słyszała o tym, że Myrtle stawiała się coraz większą dziwaczką. Ale miała dopiero pięćdziesiąt lat — za wcześnie chyba, by umysł zaczął odmawiać jej posłuszeństwa. Lisie Rogers w wieku pięćdziesięciu lat wciąż uważała się za dość

3

młodą. Poza tym doktor Blythe myślał, że ma dopiero czterdzieści. — Tu ci będzie wygodniej. Ale drzysz! Zaraz zrobię ci dobrej herbatki, rozgrzejesz się. Pamiętasz, jak śmiałyśmy się ze staruszek wpadających do siebie na herbatę? Pięćdziesiąt lat wydawało nam się czymś absurdalnym, prawda?

— Nie przyszedł tu na herbatę — rzekła Myrtle.

— Oczywiście, że nie. Ale i tak się napijemy. To żaden problem. Powspominamy sobie stare czasy. Nie ma nic lepszego niż ploteczki przy filiżance herbaty, prawda, kochana? Mamy milion spraw do omówienia. Czy przypadkiem całe lata temu nie pokłóciłyśmy się o jakieś głupstewko? O co właściwie poszło?

Panna Shelley nie zamierzała co prawda siadać w domu Lisle Rogers, ale w końcu przycupnęła na wskazanym miejscu, bo czuła się dziwnie.

— Poszło o to, że... że odebrałaś mi Ronalda Evan-sa. Podczas tańców w stodole — wyznała kamiennym tonem.

Lisle Rogers przez moment stała nieruchomo, wpatrując się w Myrtle. Następnie wzruszyła pulchnymi ramionami.

— A kimże, u licha, był Ronald Evans? Nazwisko coś mi mówi... Czy o niego się pożarliśmy? Ależ z nas były idiotki! W tamtych czasach byłam postrachem chłopaków. Wystarczyło, że na któregoś spojrzałam. To przez te moje oczy. Ludzie mówili, że coś w nich jest, jakaś magnetyczna siła. Nawet teraz kręci się koło mnie kilku starych kawalerów i wdowców... Ale ja mam dosyć mężczyzn. Wszyscy są tacy sami, winą za swe błędy obar-

3

czają kobiety. Mądrze zrobiłaś, nie wychodząc nigdy za mąż. Zuzanna Baker twierdzi, że jedyną znaną jej kobietą, z którą chętnie zamieniłaby się miejscami, jest pani Blythe. Nigdy jej nie spotkałam, jaka ona jest?

Ale Myrtle Shelley nie przyszła do Lowbridge, by dyskutować o jakiejś pani Blythe. Nie odpowiedziała więc, co jednak w żaden sposób nie spieszyło pani Rogers.

— Teraz sobie przypominam Ronalda. Co się z nim stało? To taki chłoptaş, dobrze się z nim tańczyło, był przystojny. Niestety wciąż deptał mi po palcach. Nie mogłam potem po raz drugi założyć tych pantofelków. Ale prawie komplementy potrafił. Teraz to wszystko do mnie wraca, chociaż nie myślałam o nim od lat. Czy mężczyźni nie są zabawni? Wyciągnij stopy przed kominkiem.

— Pamiętasz, że wtedy uderzyłam cię w twarz? — naciskała Myrtle.

Lisie Rogers wybuchnęła śmiechem, nasypując herbaty do czajniczka.

— Naprawdę mnie uderzyłaś? Tak, to całkiem możliwe. Nie przypominam sobie. Zresztą nieważne, szkoda roztrząsać sprawy przeszłości. Przebacz i zapomnij — oto moje motto. Zapomnijmy więc o tych głupotach z dawnych lat i cieszymy się własnym towarzystwem. Przecież byliśmy wtedy ledwie dziećmi! Ludzie potrafią się pokłócić o takie drobnostki... Myrtle przyszła tu, by wybaczyć, a zamiast tego jej wybaczone?!

Wstała czerwona jak burak. Bładoniebieskie oczy zabłysły gniewnym płomieniem. Z rozmysłem uderzyła

3

w uśmiechniętą twarz Lisie — był to twardy dokładnie wymierzony policzek.

— Nie pamiętałaś pierwszego razu — rzekła. — Może więc zapamiętasz ten.

Usatysfakcjonowana panna Shelley maszerowała z powrotem do Glen St. Mary, nie zważając na zimny wiatr i obolałe stopy. Nie przejmowała się nawet tym, co sobie pomyśli wielebny Meredith. Rzadko kiedy robiła coś, co dawało jej poczucie, że jej życie ma sens. O tak, Lisie zapamięta sobie ten policzek na długie lata.

OSZUKANE DZIECKO

Ceremonia pogrzebowa wuja Stephena Brewstera dobiegła końca — a przynajmniej ta część, która odbywała się w domu. Wszyscy udali się na cmentarz albo poroz-chodzili do własnych domów — wszyscy z wyjątkiem Patricka, który chciał, aby mówiono na niego Pat, lecz nikt go nie słuchał, może z wyjątkiem Waltera Blythe'a z Glen St. Mary. Patrick rzadko widywał się z Walterem. Wuj Stephen nie przepadał za Blythe'ami. Twierdził, że nie lubi wykształconych kobiet — nauka je rozpuszcza, odgania od domowych obowiązków. Tak więc jedynie chłopcy Brewsterów nazywali Patricka Patem. Zresztą i tak najczęściej przezywali go Patty i pękali ze śmiechu, bo wiedzieli, że tego nienawidzi.

Cieszył się, że nie zabrali go na pogrzeb. Cmentarze zawsze go przerażały, chociaż właściwie nie potrafił powiedzieć dlaczego. Ojciec, którego nie pamiętał, i matka, którą pamiętał jak przez mgłę, zostali wchłonięci przez cmentarną ziemię.

Pustka wielkiego domu nagle go przytłoczyła. Samotność potrafi być straszliwa dla każdego, a już szczególnie dla ośmioletniego chłopca, za którym nikt nie przepada. Patrick doskonale

wiedział, że nikt go nie lubi. Może z wyjątkiem Waltera Blythe'a, z którym nawiązał dziwną więź podczas tych kilku spotkań. Walter był jak Patrick: cichy, marzycielski, wrażliwy, i otwarcie przyznawał, że boi się tego i owego.

Patricka przerażało właściwie wszystko. Może dlatego wuj Stephen go nie lubił. Był spokojnym, wrażliwym, bujającym w obłokach chłopcem... zupełnie jak Walter Blythe. Wuj tymczasem żywił sympatię do chłopców agresywnych i żywiołowych, chłopaków na schwał, jak mawiał. Prawdę mówiąc, Stephen Brewster nie lubił żadnego typu chłopców. Patrick zdawał sobie sprawę, że niewiele wie, ale o tym był święcie przekonany, mimo iż ludzie mówili, jaki to wuj był dla niego dobry i jak bardzo Patrick powinien być mu wdzięczny. Pokojówki, ubrane w swoje sztywne, wykrochma-lone fartuszki, krzątały się przy sprzątaniu pokoi, szepcząc między sobą o tym, jak bardzo panicz Patrick musiał przeżyć śmierć wuja. Chłopiec poszedł do biblioteki, skąd nie było słychać plotkowania służących i gdzie bladło poczucie winy wywoływane przez te szeptaki — Patrick wiedział, że pokojówki nie mają racji. Śmierć wuja w ogóle go nie poruszyła. A powinna. Czuł, że powinna, ale nie chciał udawać smutku.

Wiedział, jak poczulby się Walter Blythe, gdyby zmarł jego ojciec, czy nawet wuj Davy. Ale on nie był w stanie poczuć tego samego w stosunku do wuja Stephena.

Dlatego też skrył się w pogrążonej w ciszy bibliotece, przysiadł na parapecie i przez okno obserwował rosnące opodal klony, skapane we wrześnieowym słońcu.

Dom również za nim nie przepadał. Podczas tych kilku krótkich wizyt w Złotym Brzegu (musiało istnieć jakieś odległe pokrewieństwo między matką doktora Blythe'a i wujem Stephenem, bo inaczej na pewno nie pozwolono by mu tam jechać) po prostu czuł, że tamten dom kocha wszystkich swoich mieszkańców. „To dlatego, że i my kochamy nasz dom”, wyjaśnił mu Walter. Ale Dębowy Gaj obserwował Patricka z niechęcią. Może dlatego, że domostwo było tak wielkie, okazałe, że lekceważyło sobie niepozornego chłopczyka, który czuł się tu zagubiony i nic nie znaczący. Może dom lubił, gdy ludzie się go bali, zupełnie jak wuj Stephen. Patrick i o tym był przekonany, choć nie wiedział, skąd to przekonanie się bierze. Nawet Walter Blythe nie potrafił tego wyjaśnić. Walter bał się wielu rzeczy, ale jednego nie rozumiał: jak można czuć strach przed własną rodziną? No ale rodzina Waltera była zupełnie inna. Patrick również nie bałby się państwa Blythe'ów.

Dziwna była świadomość, że wuj Stephen nie żyje. Wręcz trudno było w to uwierzyć. Nawet teraz Patrick widział stryja jak żywego: siedzi tam w swoim fotelu z wysokim oparciem, ubrany w brokatowy szlafrok. Patrzy na chłopca tak, jakby sam nigdy nie był młody.

Nie wyglądał staro, chociaż odkąd Patrick pamiętał, miał siwe włosy. Wuj cierpiał na jakąś chorobę serca i doktor Galbraith często wpadał, by go zbadać. A czasem z Glen St. Mary przyjeżdżał doktor Blythe na konsultacje. W takich przypadkach Patrick zawsze czuł potworny wstyd, gdyż bardzo lubił doktora Blythe'a. Otóż wuj Stephen był wobec niego okropnie niegrzeczny. Doktor Blythe zdawał się tym jednak nie przejmować. Chłopiec czasem słyszał nawet, jak razem z doktorem Galbraithem wybuchali śmiechem, wyjeżdżając z Dębowego Gaju — zupełnie jakby śmiali się z jakiegoś dowcipu. Patrick kochał panią i pana Blythe'ów, ale uważał, by nie zdradzić się z tymi uczuciami przed wujem. Miał dziwne przeczucie, że gdyby jego sekret wyszedł na jaw, nie mógłby już jeździć do Złotego Brzegu.

Wuj Stephen zazwyczaj był wobec wszystkich zdystansowany i sarkastyczny. Ale gdy chciał, potrafił być zabawny i sympatyczny. Przynajmniej niektórzy uważali go za takiego. Patrick nie. Ani razu nie słyszał śmiejącego się stryja. Dlaczego? Natomiast Złoty Brzeg rozbrzmiewał radością. Nawet stara Zuzanna Baker miała nieraz uśmiechniętą twarz. Zastanawiał się, jakby to było mieszkać z kimś, kto od czasu do czasu wybucha śmiechem. Zastanawiał się również, co teraz, po śmierci wuja, z nim będzie. Czy zostanie w tym nieprzyjaznym domostwie, a panna Sperry będzie udzielać mu lekcji i gapić się na niego

karzącym wzrokiem zza szkieł okularów, gdy zrobi błąd w dyktandzie? Taka perspektywa napawała go przerażeniem. Gdyby tylko mógł uciec — gdziekolwiek — ot, choćby wskoczyć do autobusu, który właśnie jedzie drogą...

Patrick zawsze chciał udać się na przejażdżkę autobusem. Dzieciaki ze Złotego Brzegu często korzystały

z tego środka komunikacji. On, rzecz jasna, nigdy nie otrzymał pozwolenia. Jeśli już miał opuścić mury rezydencji, wsiadał do wielkiego auta prowadzonego przez szofera Henry'ego. Nie lubił wielkiego auta i wiedział, że Henry uważa go za głaba. Słyszał, jak kiedyś kierowca mówił tak do gospodyni.

Gdyby tak choć raz przejechać się autobusem! Albo — jak sobie planowali kiedyś z Walterem — pognać przez kraj na grzbiecie czarnego rumaka! Walter wybrałby białego, a jego mama nie śmiała się, gdy to usłyszała. Przeskakiwać ponad płotami bez żadnego wysiłku! To byłoby wspaniałe. Patrick pędziłby na koniu w swoim innym świecie. Ale ten inny świat zdawał się teraz zbyt odległy. Nie mógł do niego wkroczyć.

Walter Blythe również miał swój inny świat. I jego matka to rozumiała. Ale Patrick przypominał sobie, jak kiedyś doktor Blythe, śmiejąc się, powiedział, że jeśli połamie sobie nogi w czasie którejś z ich dzikich eskapad, bardzo boleśnie to odczują, bo w ich wyimaginowanym świecie leki znieczulające nie zostały jeszcze odkryte. Doktor Blythe najwyraźniej uważał, że wiek, w którym obecnie żyli, był lepszy niż poprzednie stulecia. Patrick, odkąd pamięta, przebywał w Dębowym Gaju z wujem Stephenem. Ale nie zapomniał również innego domu, jak z odległego snu, w którym mieszkał z matką. To było śliczne miejsce — trochę podobne do Złotego Brzegu. Dom stał na wzgórzu, zdawał się uśmiechać do każdego, kto zmierzał w jego kierunku. Przylegał do niego ogród, którego ścieżki zdobiły grządki karmazyno-wego geranium i wielkie białe muszle. A w oddali za roz-

320

ległymi, spokojnymi łakami rozciągały się piaszczyste wydmy, skąpane w nierzeczywistym, magicznym świetle słońca. Nad wydmami fruwały mewy. A po podwórzu spacerowało stadko białych kaczek — ktoś karmił je chlebem z miodem. Patrick był bardzo blisko tego innego świata; tak blisko, że wystarczył jeden krok, aby znaleźć się w nim na zawsze. Ktoś podobny do doktora Blythe'a, tyle że młodszy, nosił go na ramieniu i zwracał się do niego Pat.

Jakiś czas później zniknęła matka. Niektórzy mówili, że poszła do nieba, ale Patrick wierzył, że po prostu udała się do innego świata. Wuj Stephen powiedział mu, że zmarła — Patrick nie rozumiał, co to oznacza. Potem wuj dodał, że nie lubi płaczących bachorów. Więc chłopiec pozwalał sobie jedynie na uronienie kilku łez w nocy, gdy leżał w łóżku.

Teraz również nie płakał. Szczerze mówiąc, nawet nie miał na to ochoty — może dlatego gospodyni uznała Patricka za najbardziej nieczułe dziecko, jakie kiedykolwiek spotkała. Za to marzył o psie. Wuj Stephen nienawidził zwierząt, a panna Sperry nigdy by na czworonoga nie pozwoliła. Twierdziła, że psy są niehigieniczne. Ale przecież w Złotym Brzegu mieszkali, a pan Blythe był lekarzem.

W innym świecie również żyły psy i raczej jelenie w rozległych lasach oraz konie o lśniącej maści i zgrabnych nogach. Były tam wiewiórki, tak oswojone, że jadły ludziom z ręki, i wspaniałe lwy o bujnych grzywach. Wszystkie zwierzęta robiły wrażenie bardzo przyjaznych.

Pojawiła się tam też dziewczynka w szkarłatnej sukience! Nie taka jak dziewczynki ze Złotego Brzegu (choć bardzo je lubił). O niej Patrick nigdy nie opowiedział Walterowi. Zawsze na niego czekała, chętna do zabawy i do rozmów. Czasem pokazywała mu złośliwie język, zupełnie jak Rilla ze Złotego Brzegu, tyle że ani trochę nie była do niej podobna. Co by o niej powiedziała panna Sperry? Najprawdopodobniej rzekłaby tym swoim lodowatym tonem: „Trzymaj swoją wyobraźnię na wodzy, Patricku. W tej chwili interesuje

nas świat rzeczywisty. Podane przez ciebie rozwiązanie tego zadania jest BŁĘDNE".
Dokładnie tak by powiedziała, łącznie z wielkimi literami. Podobnie mówiłaby Zuzanna Baker, gdyby była nauczycielką. Tyle że Zuzanna nie była nauczycielką, poza tym Patrick raczej ją lubił, może z wyjątkiem chwil, gdy karciła Waltera za to, że pisał wiersze. Gdy wszyscy wrócili z cmentarza, udali się do biblioteki, by odczytać testament wuja Stephen. O obecność rodziny prosił mecenas Atkins. Nie bardzo mieli na to ochotę, testament przecież ich nie dotyczył. Pieniądze miały trafić do Patricka, Stephen wielokrotnie to powtarzał. Pochodziły w końcu od jego matki. Stephen był ich przyrodnim bratem, podczas gdy ojciec Patricka był bratem z krwi i kości. No, ale i tak pozostawała kwestia opiekuna. Ktoś musi nim zostać. Najprawdopodobniej mecenas Atkins, ale w przypadku takiego ekscentryka jak Stephen niczego nie można być pewnym.

Patrick obserwował, jak wchodzi do biblioteki. Wszyscy udawali zapłakanych. Ciotka Melanie Hall, wuj

John Brewster, ciotka Elizabeth Brewster, wuj Frederick Brewster, ciotka Fanny Brewster, ciotka Lilian Brewster i jej kuzynka oraz panna Cynthia Adams. Bał się każdej z tych osób. Zawsze go o coś obwiniali. Gdy napotkał spojrzenie ciotki Lilian, nerwowo wyprostował się na krześle.

Już sam jej wzrok zdawał się mówić: „Siedź porządnie!”.

Dziwne. Gdy bywał w Żółtym Brzegu, Zuzanna karciła dzieci dokładnie za to samo. Ale nigdy nie miał jej tego za złe, wręcz starał się jej słuchać.

Na końcu do biblioteki wszedł adwokat Atkins, miał ze sobą jakieś dokumenty. Był przystojny i nosił okulary w rogowej oprawie, które sprawiały, że wyglądał jak sowa. Sowa, która miała zamiar rzucić się na biedną, trzęsącą się myszkę. Takie wyobrażenie Atkinsa nie było zgodne z rzeczywistością. To był uczciwy człowiek, który miał sporo kłopotów ze swoim klientem i nie pochwalał testamentu w obecnej formie.

Był krótki i konkretny. Nawet Patrick go zrozumiał.

Dębowy Gaj miał zostać sprzedany. Patrick się ucieszył. Przynajmniej nie będzie musiał tu zostać dłużej. Atkinsa wyznaczono na jego prawnego opiekuna, ale było też postanowione, że chłopiec zamieszka z ciotką lub wujem do czasu, aż skończy dwadzieścia jeden lat i odziedziczy fortunę, która teraz nie miała dla niego żadnego znaczenia. Patrick miał jednak pewność, że w przyszłości starczy na kupienie domu, który będzie przypominać Żółty Brzeg. Teraz sam powinien wybrać krewnych, u których chce zostać, ale potem zmiana miejsca za-
323

mieszkania nie będzie możliwa, chyba że krewni umrą. Jednak żeby chłopiec nie musiał decydować się w ciemno, z każdą ciotką i każdym wujkiem pobędzie na próbę przez trzy miesiące. Po tym czasie dokona ostatecznego wyboru. Opiekun otrzymywać będzie rocznie dwa tysiące dolarów do momentu, aż Patrick skończy dwadzieścia jeden lat. Suma ta ma wystarczyć na jego utrzymanie.

Patrick znowu zaczął wiercić się na krześle. „Ciotka Lilian niech się gapi do woli, ale muszę coś zrobić, żeby zachować resztkę spokoju”, pomyślał.

Nie chciał zamieszkać z żadną z tych ciotek ani wujków. Gdyby tak mógł pojechać do Glen St. Mary i Zatrzymać się w Żółtym Brzegu! Sama myśl o tym wprawiała go w niebiański nastrój. Ale cóż, mieszkańcy Żółtego Brzegu nie są jego rodziną, a jeśli nawet istnieją więzy pokrewieństwa, to tak odległe, że się nie liczą.

Z obecnymi w bibliotece nie chciał mieć nic wspólnego. Na samą myśl o czekających go miesiącach wzbierała w nim gorycz i nienawiść. Wuj Stephen doskonale

o tym wiedział.

Ciotka Melanie Hall, potężnie zbudowana, silna

1 opiekuneczka, była wdową. Miała ochotę wszystkich pouczać. Doktor Blythe stwierdził kiedyś, że najchętniej doradzałaby samemu Panu Bogu.

Wuj John Brewster zawsze poklepywał Patricka po plecach, a z kolei ciotka Elizabeth Brewster miała niesamowicie pociągłą twarz: wysokie czoło, długi nos, szeroką górną wargę i długi podbródek. Patrick nie mógł na nią patrzeć. Życ w towarzystwie tej kobiety przez całe lata! Nie, nie potrafiłby.

Wuj Frederick Brewster to chudy, wyniszczony człowiek, z którym na dodatek nikt się nie liczy. Ale za to ciotka Fanny w każdym calu była ciotką. Wuj Stephen powiedział, że to ona w tym związku nosiła spodnie. Patrick nie miał pojęcia, co to znaczy, wiedział jedno: nie chciał mieszkać z ciotką Fanny.

Ciotka Lilian nie wyszła za mąż. Podobnie Cynthia Adams. Udawały, że wcale im na mężczyznach nie zależy, ale Patrick czuł, że było dokładnie na odwrót. Wuj Stephen nie spotykał się nigdy jednocześnie z ciotką Lilian i Cynthią Adams. „Mogę znieść najwyżej jedną starą pannę”, mawiał.

— Kto by pomyślał, że Stephen wymyśli coś tak idiotycznego! — rzekła ciotka Fanny z niechęcią. — Widzę, że doktor Blythe był jednym ze świadków. Nie zdziwiłabym się, gdyby to on natchnął do tego pomysłu Stephena.

W głębi ducha myślała: „To ja powinnam zaopiekować się Patrickiem. Musi mieszkać z innymi dziećmi. Zawsze po powrocie ze Złotego Brzegu był trochę inny. Nie mam najlepszego mniemania o Blythe'ach, ale stanowią rodzinę, Patrickowi ewidentnie jej brakuje. Ale mnie raczej nie wybierze. Nigdy mnie nie lubił. Pewnie Stephen zatruł jego umysł plotkami na mój temat. Ale trzy miesiące próby... To wystarczająco dużo czasu, żeby go zdobyć, jeśli tylko będziemy dla niego mili. Te dwa tysiące wystarczyłyby na szkołę dla naszego syna. Bez nich nie damy rady. I mogłabym w końcu pojechać na jakieś wakacje z Frederickiem. Szkoda, że nie zwróciłam na to dziecko większej uwagi, ale zawsze był z niego taki nieśmiały dziwak, zupełnie jak z tego Waltera

Blythe'a. Na pewno będą problemy, bo moi chłopcy lubią rozrabiać. Nie mam już na nich żadnego wpływu. Ech, dzieci dorastają i przestają słuchać rodziców. Mijają stare dobre czasy”.

„Pieniądze wystarczyłyby na ślub Amy — myślała ciotka Elizabeth. — Chłopiec nigdy nie będzie szczęśliwy z tymi okropnymi łobuzami Fanny. To istne diabyły. Już myśl o tym, że stara panna pokroju Lilian miałaby się nim zaopiekować, jest po prostu śmieszna. A ta pelerynka z szynszyli... Melanie nie mogłaby się już bardziej obnosić ze swoim nowym płaszczem. Widziałam przecu-downy koronkowy obrus w sklepie Moore'a i Stebbinsa. Wiem, rzecz jasna, że Patrick mnie nie lubi, Stephen też o tym wiedział, ale w ciągu trzech miesięcy...”

„Powinien się wprowadzić do mnie — myślała ciotka Lilian. — Stephen doskonale o tym wiedział. Potrzebuję pieniędzy bardziej niż którekolwiek z nich. Mam już dosyć oszczędzania na każdym kroku, a gdybym miała więcej, być może George Imlay... Oczywiście wizja mieszkania razem z chłopcem pod jednym dachem jest przerażająca, szczególnie gdy wejdzie w okres dojrzewania. Poza tym on się mnie boi. Nigdy nie próbował tego ukryć, ale przez trzy miesiące... Tyle że Cynthia jest taka niezdecydowana. Może sobie udawać, iż go lubi, a chłopiec i tak przejrzy ją na wylot. Zresztą nie rozumiem, jak można w ogóle lubić dzieci. Niektórzy świetnie udają — taka na przykład pani doktorowa Blythe... Na samą myśl o niej robi mi się niedobrze”.

— Cóż, w takim razie wszyscy zaczynamy od zera! — oznajmił wuj John, wybuchając tubalnym śmiechem,

który zawsze niepokoił Patricka. Właściwie to nie był śmiech — raczej ryk. Poklepał szczupłutkie plecy Patricka swoją wielką, grubą dłońią.

Patrick nie lubił grubych dłoni.

— Do którego z nas wprowadzisz się na początku, mój chłopcze?

Patrick nie dokonał wyboru. Szare wielkie oczy miał szeroko otwarte. Patrzył na nich kolejno wzrokiem uwiecznionego zwierzęcia. Ciotka Lilian zastanawiała się, czy rzeczywiście jest półgłówkiem. Niektórzy twierdzili, że Walter Blythe jest upośledzony, no, ale przecież między chłopcami nie było żadnego pokrewieństwa, może niewielkie... Kiedyś powiedziała o tym Zuzannie Baker.

— Cóż na to poradzimy... — rzekł wuj Frederick drżącym głosem.

— Najlepiej ciągnijmy losy — oznajmiła ciotka Melanie. — Tak będzie najsprawiedliwiej, jeśli w ogóle całą tę sprawę można uznać za uczciwą. Innej możliwości nie widzę. Mecenase Atkins, dziwię się, że nie doradził pan Stephenowi...

— Pan Brewster niechętnie przyjmował jakiegokolwiek rady — odparł sucho Atkins. Wszyscy doskonale zdawali sobie z tego sprawę.

— Z pewnością ktoś poddał mu ten pomysł. Doktor Blythe...

— Doktor Blythe akurat tamtego dnia był tu z wizytą, więc poprosiłem go na świadka. Tyle miał z całą sprawą wspólnego.

— Na szczęście wszyscy mieszkamy blisko siebie, więc chłopak nie będzie musiał zmieniać szkoły co trzy miesiące.

327

A więc miał chodzić do szkoły! Patrickowi spodobała się ta perspektywa. Wszystko będzie lepsze od panny Sperry. Poza tym chłopcy ze Złotego Brzegu chodzili do szkoły i uważali, że jest fajna. Przynajmniej Kuba tak sądził. Nie był pewien co do Waltera.

— Biedactwo! — załamała ręce ciotka Lilian.

Tego już było zbyt wiele dla Patricka. Wyszedł z biblioteki. Niech sobie sami ciągną losy! Nie obchodziło go, do kogo trafi na początku.

Nagle przypomniało mu się, że gdy jakiś czas temu skaleczył się w palec w Złotym Brzegu, a Zuzanna Baker powiedziała do niego: „Biedactwo!”, to mu się podobało. Ech, dziwny był ten świat, strasznie skomplikowany.

— Trudne dziecko, co do tego nie ma wątpliwości

— rzekła ciotka Elizabeth. — Ale to w końcu nasz obowiązek...

— O, nie, nie nazywałabym go trudnym dzieckiem

— odparła ciotka Fanny, która z zasady nie zgadzała się z Elizabeth. — Może troszkę dziwny, nietypowy jak na przeciętnego ośmiolatka, ale to wszystko. Poza tym dziwisz się mu? W końcu mieszkał ze Stephenem. A jego matka? Żadnej rodziny, żadnego oparcia... Ojciec dorobił się pieniędzy w jakiejś kopalni na Zachodzie. Patrick na pewno by znormalniał, gdyby poprzebywał z dziećmi, i w końcu by sobie wybił z głowy ten „inny świat”.

— Jaki znowu inny świat? Z pewnością Stephen...

— Och, nie wiem... Ma te swoje fantazje. Panna Sperry jakoś się o nich dowiedziała. Ta kobieta jest w stanie poznać każdy sekret. Podejrzewam, że podsłuchiwała rozmowę Patricka i Waltera Blythe'a. Nie popierałam zażyłych stosunków Stephena z tamtą rodziną. Ale on, oczywiście, nigdy mnie nie słuchał. Panna Sperry też się tym niepokoiła. Powiedziałam, żeby się nie przejmowała, chłopak z tego wyrośnie. Tak niewiele osób rozumie umysł dziecka. Powinniście posłuchać doktorowej Galbraith...

— Och, doskonale wiemy, że ma lekkiego świra na punkcie wychowania dzieci. Chociaż od kiedy wyszła za mąż...

— No już, już... Do niczego w ten sposób nie dojdziemy — zagrzmiał wuj John.

— O to właśnie chodziło Stephenowi — powiedziała ciotka Fanny. — Chciał nas ze sobą skłócić. Już ja tam wiem, jaki był. Ale skoro musimy przejść przez ten absurdalny rytuał...

— Jak inaczej moglibyśmy to załatwić? — spytała ciotka Lilian.

— Nie zamierzam się z tobą kłócić, Lilian. Każde z nas ma wziąć chłopca do siebie na trzy miesiące, to jasne. Po tym okresie do niego należeć będzie ostateczna decyzja. Musi ją podjąć, czy to mu się podoba, czy nie. Wtedy nikt nie będzie ciągnął losów.

Patrick przypadł ciotce Elizabeth na wrzesień, październik i listopad. Wezwano go do biblioteki, posłusznie się zjawił, a ciotka Elizabeth pocałowała go i oznajmiła rezultat losowania. Nie spodobał mu się ten całus, bo nie lubił ciotki. A całusy pani Blythe zawsze sprawiały mu przyjemność.

Pojechał do domu ciotki Elizabeth — opuścił Dębowy Gaj bez żalu. Na miejscu pocałowała go również ku-

<329

m

zynka Amy, ale ona była już dorosłą panienką, z polakie-rowanymi na czerwono paznokciami. Przypomniało mu się, jak doktor Blythe wyśmiewał malowane paznokcie. Patrick nie lubił również Amy. Czy z nim było coś nie tak? Dlaczego nie przepadał za swymi krewnymi? Dzieci ze Złotego Brzegu uwielbiały całą swoją rodzinę. Tak czy siak później zbyt często nie widywał ani Amy, ani kuzyna Oscara. Gdy się przypadkiem spotykali, mówili tylko: „Cześć, mały!”. Zawsze wydawali się jacyś nadąsani.

Ku swojej uldze rzadko przebywał również z ciotką Elizabeth. Była zawsze niesamowicie zajęta: aranżowała spotkania brydżowe, udzielała się społecznie. Widywał ją właściwie tylko podczas posiłków, gdy jej końska twarz i wspomnienie całusa odbierały mu resztki apetytu. Oby tylko go nie całowała!

Ale cała rodzina ciotki była dla niego nad wyraz miła. Czuł, że bardzo się starają. Gdyby mogli, spełniliby każdy jego kaprys. Tymczasem on poprosił ich tylko o jedną rzecz. Pewnego sobotniego październikowego popołudnia nieśmiało zapytał ciotkę Elizabeth, czy nie mógłby pojechać autobusem. Tylko kawaleczek.

Ciotka Elizabeth tak się przeraziła, że jej długa twarz jeszcze bardziej się wydłużyła, choć wcześniej Patrick uważał to za niemożliwe.

— Kochanie, w autobusie by ci się nie spodobało. Jeśli tego pragniesz, to w każdej chwili Amy, Oscar czy ja możemy cię wziąć na przejażdżkę samochodem. Dokądkolwiek zechcesz.

330

Okazało się jednak, że Patrick nie chce jechać „dokądkolwiek”, tylko do Glen St. Mary, lecz doskonale zdawał sobie sprawę, że ciotka mu na to nie pozwoli. Nie lubiła Blythe’ów.

Chłopiec już więcej nie wspominał o autobusie. Ciotka obsypywała go prezentami zupełnie Patrickowi niepotrzebnymi. Wuj John porykiwał mu do ucha, klepał po plecach i codziennie dawał słodczy — był przekonany, że dla chłopca to musi być miła odmiana po latach spędzonych pod jednym dachem z tym wariatem Stephenem. On, John Brewster, zna się na wychowywaniu młodych ludzi. Nie miał pojęcia, że Patrick nie przepadał za słodczymi i większość oddawał praczce, by zaniósła je swoim dzieciom.

Wuj John każdego ranka odwoził go do szkoły, żartując po drodze. Większości tych dowcipów Patrick nie rozumiał. Z kolei Amy i ciotka Elizabeth zaglądały do niego wieczorami. W szkole nie poznał nowych przyjaciół. Synowie ciotki Fanny również tam się uczyli i wszystkim odpowiedzieli, że Patrick to maminsynek. Inni z kolei zaczęli go przezywać Paniusia. Ale i tak wolał szkołę od lekcji z panną Sperry.

W domu — to znaczy w domu ciotki Elizabeth — większość czasu spędzał skulony na parapecie okna przy schodach. Pomiędzy sąsiednimi domami dostrzegał zarysy odległego wzgórza, porośniętego fioletowo-szarymi lasami.

Na wzgórzu stał dom, który zdawał się górować nad całą resztą. Patrick zastanawiał się, kto mógł tam mieszkać. Na pewno nie był to Złoty Brzeg — Glen St. Mary

położona była znacznie dalej. Ale coś w wyglądzie tego domu przypominało mu Złoty Brzeg. Nie potrafił tylko powiedzieć co.

Gdy listopad chylił się ku końcowi, a szron pokrył lodowatymi pocałunkami szyby, Patrick spojrzął ponad ośnieżonymi dachami domów na malujący się w barwach wczesnego zmierzchu budynek, w którym rozbłyskało światelko, osławiając dzikość skutej lodem okolicy. Chłopiec pomyślał, że być może dom znajduje się w innym świecie.

A może żyła tam dziewczynka w szkarłatnej sukience? Póki widział światelko przebijające się do- niego z oddali, nie czuł się taki samotny i niechciany.

Bo tak naprawdę nikt z wujostwa go nie chciał. Pragnęli tylko jego pieniędzy. Patrick nie umiałby wyjaśnić, skąd ta pewność, ale był o tym przekonany.

— Obawiam się, że nigdy nie zrozumie tego chłopca — westchnęła ciotka Elizabeth do wuja Johna, który z kolei uważał, że rozumie Patricka doskonale. W końcu też kiedyś był chłopcem, a wszyscy mali chłopcy byli do siebie podobni... Może z wyjątkiem tego dziwaka Waltera Blythe'a z Glen St. Mary. Wuj John podejrzewał, że ów Walter miał nie po kolei w głowie. Chłopak, który pisze poezje! W pełni zgadzał się z Zuzanną Baker, która kiedyś zwierzyła mu się, że martwi ją zachowanie Waltera. Ale doktor i jego żona zdawali się w ogóle tym nie przejmować. Z kolei doktor Galbraith tylko się śmiał, gdy ktoś poruszał ten temat. No ale żona doktora Gal-braitha także nie była normalna. Elizabeth miała swoje wady, ale przynajmniej nie zamęczała go teoriami na temat wychowywania dzieci.

c332

położona była znacznie dalej. Ale coś w wyglądzie tego domu przypominało mu Złoty Brzeg. Nie potrafił tylko powiedzieć co.

Gdy listopad chylił się ku końcowi, a szron pokrył lodowatymi pocałunkami szyby, Patrick spojrzął ponad ośnieżonymi dachami domów na malujący się w barwach wczesnego zmierzchu budynek, w którym rozbłyskało światelko, osławiając dzikość skutej lodem okolicy. Chłopiec pomyślał, że być może dom znajduje się w innym świecie.

A może żyła tam dziewczynka w szkarłatnej sukience? Póki widział światelko przebijające się do» niego z oddali, nie czuł się taki samotny i niechciany.

Bo tak naprawdę nikt z wujostwa go nie chciał. Pragnęli tylko jego pieniędzy. Patrick nie umiałby wyjaśnić, skąd ta pewność, ale był o tym przekonany.

— Obawiam się, że nigdy nie zrozumie tego chłopca — westchnęła ciotka Elizabeth do wuja Johna, który z kolei uważał, że rozumie Patricka doskonale. W końcu też kiedyś był chłopcem, a wszyscy mali chłopcy byli do siebie podobni... Może z wyjątkiem tego dziwaka Waltera Blythe'a z Glen St. Mary. Wuj John podejrzewał, że ów Walter miał nie po kolei w głowie. Chłopak, który pisze poezje! W pełni zgadzał się z Zuzanną Baker, która kiedyś zwierzyła mu się, że martwi ją zachowanie Waltera. Ale doktor i jego żona zdawali się w ogóle tym nie przejmować. Z kolei doktor Galbraith tylko się śmiał, gdy ktoś poruszał ten temat. No ale żona doktora Gal-braitha także nie była normalna. Elizabeth miała swoje wady, ale przynajmniej nie zamęczała go teoriami na temat wychowywania dzieci.

— Obawiam się, że nigdy go nie zrozumie — ciągnęła Elizabeth.

— Założę się, że nas polubi bardziej od chłopaków Fan — rzekł wuj John, który nie miał wątpliwości, iż to właśnie ich rodzinę na końcu wybierze chłopiec.

— Zrobiliśmy wszystko, a mimo to go nie dostaniemy.

— No cóż, niektórzy chłopcy tacy po prostu są — wyciszeni.

— Ale on jakby zamknął się w skorupie. Amy twierdzi, że on ją denerwuje.

— Wiele nie potrzeba, by zdenerwować Amy — odparł wuj John. — Gdyby była taka jak pani doktorowa Blythe...

— Nie chcę słyszeć ani słowa o pani Blythe — rzekła wyniośle ciotka Elizabeth. — Już od dawna wiem, że w twoich oczach to kobieta wprost idealna.

- Ależ Elizabeth...
- Nie zamierzam się z tobą kłócić. Po prostu nie zamierzam. Sądziłam, że rozmawiamy o Patricku.
- Dobrze, więc co z Patrickiem? Wygląda na szczęśliwego i zadowolonego. Zresztą wcale mnie to nie dziwi. Wy, kobiety, wszędzie widzicie problemy. Zobaczysz, że nas wybierze.
- Te jego oczy... one nie są normalne. Nawet ty musiałeś to zauważyć, John.
- Nie dostrzegłem niczego nienormalnego w jego oczach. Może zabierz go do okulisty?
- Wydaje się, jakby przeszywał cię wzrokiem, jakby szukał w tobie czegoś, czego nie może znaleźć — wyjaśniła ciotka Elizabeth z rzadko u niej występującym

333

przebłyśkiem wrażliwości. — Naprawdę myślisz, że on nas wybierze, John?

— Nie mam cienia wątpliwości. Przecież chłopcy Fanny zamęczą go na śmierć. Z kolei Melanie i Lilian pojęcia nie mają o wychowywaniu dzieci. Nie martw się. Z radością do nas powróci, gdy nadejdzie odpowiednia pora. Ręczę za to głową. Ciotka Elizabeth nie była taka pewna. Szkoda, że nie potrafiła poprosić Patricka o złożenie obietnicy, iż do nich wróci. Nie zdobyła się jednak na odwagę. Z Patrickiem było coś nie tak. John może sobie ręczyć głową za to czy tamto, ale nie zna się na dzieciach. To w końcu ona wychowywała Amy i Oscara.

— Kochanie, jeśli twoi kuzyni u ciotki Fanny zbyt często zajmą ci się skórą, zawsze możesz wpaść do nas, by trochę odpocząć. — To wszystko, na co się zdobyła.

— Och, chyba nie będą mi przeszkadzać — odparł krótko Patrick.

Musieli być naprawdę nieznośni, by dobrowolnie wrócił do ciotki Elizabeth. Żeby tylko pozwolono mu wpaść do Glen St. Mary!

Ale nikt nie wyraził na to zgody, mimo że pani Blythe przysłała serdeczne zaproszenie.

Patrick zastanawiał się, skąd ta niechęć do rodziny Blythe'ów, ale nie odważył się spytać wprost.

Synowie ciotki Fanny, Joe i Bill, byli rzeczywiście straszni. Nieustannie mu dokuczali, gdy tylko ciotka Fanny i wuj Frederick znikali z pola widzenia. A jednocześnie udawali, że są dla niego mili:

— Bo trzeba być uprzejmym wobec dziewczynek — mówił Joe.

Gdy Bill stłukł filiżankę z chińskiej porcelany — niezwykle ozdobną, będącą częścią skarbu z Letniego Pałacu, jak twierdziła ciotka — powiedział bez wahania, że to sprawka Patricka. Skończyło się na lekkiej reprimendzie dla Patricka, chociaż gdyby ciotka wiedziała, kto naprawdę stłukł filiżankę, Billa spotkałaby straszliwa kara.

— Będziemy zawsze na ciebie wszystko zwać, bo i tak ci się nie oberwie — powiedział Joe.

— Mama chce się upewnić, że to właśnie nas wybierzesz, gdy przyjdzie pora. Ale nie rób tego. To istna diablina.

Patrick mógł sobie pozwolić na wszystko, a i tak nie dostawał bury. Jak Joe i Bill go za to nienawidzili! Gdyby im powiedział, że też nie jest zadowolony z takiego specjalnego traktowania, nigdy by mu nie uwierzyli. Uważał, że powinien być ukarany, gdyby rzeczywiście robił wszystkie te rzeczy. Czuł, że Joe i Bill nie cierpieli tej jego nietykalności, nawet jeśli wykorzystywali ją do własnych celów.

Z okien domu ciotki Fanny nie mógł dojrzeć budynku na wzgórzu — tęsknił za tym widokiem. Ale przynajmniej ciotka go nie całowała, poza tym dość polubił wuja Fredericka. Mimo że wuj właściwie w domu się nie liczył. To było bardzo sprawnie prowadzone gospodarstwo — tak mówili ludzie. Tak sprawnie, że aż przygnębiająco. Dla każdego, z wyjątkiem Patricka, niewybaczalną zbrodnią było nieodłożenie książki na półkę, przesunięcie dywanika czy rzucenie na oparcie fotela swetra. Patrick nie utrzymywał porządku, więc

ciotka Fanny wciąż musiała się powstrzymywać przed wybuchami gniewu. Nie sądziła, że chłopiec jest w stanie wy-

SSÓ
czuć jej prawdziwe emocje, ale gdy nadszedł czas jego przeprowadzki do ciotki Lilian, Fanny wcale nie była pewna, czy on jeszcze kiedykolwiek tu wróci.

— Znalazł tu prawdziwy dom — powiedziała wujowi Frederickowi. — Nie sądzę jednak, by umiał to docenić. A taką wagę przywiązywałam do spraw wyżywienia! Bóg wie, co Lilian każe mu jeść. Pojęcia nie ma o wychowywaniu dzieci.

— To dziecko zostało oszukane — rzekł wuj Frede-rick. — Było oszukiwane przez całe swoje życie.

Ciotka Fanny nie zważała na uwagi męża. Oszukany? Absurd! Problem polegał na tym, że Patrickowi zbyt pobłażano. Spełniano każdą jego zachciankę. Marzyła o tym, by zrobić dla swoich synów tyle, ile zrobiono dla Patricka.

Marzec, kwiecień i maj przypadły ciotce Lilian.

Ciotka Lilian w kółko się nad chłopcem użalała i krytykowała jego stroje, aż w pewnym momencie Patrick poczuł, że jeszcze chwila, a zwariuje. Musiał spać na górze, w pokoju na końcu upiornego korytarza, gdzie nigdy nie paliło się światło. Ciotka Lilian dostawała niemalże zawału, gdy ktoś pozostawiał przez przypadek zapaloną żarówkę. Twierdziła, że musi oszczędzać na rachunkach za prąd, ponieważ nie jest tak bogata jak wuj Stephen. Światło zapalone na parterze w zupełności wystarczało do oświetlenia piętra. Patrick zresztą zawsze zapominał je gasić.

Jeśli chodzi o pannę Adams, to zwykle traktowała go jak jakiegoś wstrętnego czarnego robaka, a jej chudy perski kot nie chciał mieć z nim do czynienia. Patrick

<?<5Yf

próbował się z nim zaprzyjaźnić, bo bardzo chciał mieć jakieś zwierzątko, ale bez sukcesu. Panna Adams nie miała żadnego powodu, by wywalczyć sobie jego sympatię. Doskonale wiedziała, że i tak nie żyłoby się jej lepiej, gdyby Patrick trafił do ciotki Lilian, a poza tym nienawidziła dzieci.

Patrick co prawda nie przepadał za wujem Johnem czy Frederickiem, ale ten dom — zupełnie pozbawiony mężczyzn — był wprost nie do zniesienia. Tylko czy rzeczywiście chodziło o mężczyzn? Wyobrażał sobie, że całkiem przyjemnie mieszkałoby mu się tylko w towarzystwie Zuzanny Baker.

Trochę lepiej było u ciotki Melanie, pomimo jej nad-opiekuńczości. Przynajmniej go nie całowała ani nie użalała się nad nim. Poza tym miała psa, tresowanego, który potrafił robić różne sztuczki, zupełnie jak psy ze Złotego Brzegu: aportował, znosił kości do domu, turlał się po grządkach z bratkami. Miał cudowną sierść w czarne łatki. Wabił się Chwat i lubił Patricka.

Gdyby tylko ciotka Melanie wciąż go nie pouczała i nie powtarzała jego słów, Patrick byłby niemalże zadowolony. Tymczasem bał się wprost odezwać, bo wiedział, że ciotka natychmiast powtórzy jego słowa pierwszej lepszej osobie, którą napotka.

Nalegała, by sypiał w wielkiej, przestronnej sypialni, podczas gdy on chciał spać w małym pokoju na końcu korytarza. Wymykał się do niego, gdy tylko mógł, bo z okna był niezły widok na dom na wzgórzu — odległy, otoczony dolinami pełnymi fioletowych cieni. Od czasu do czasu letnie mgły spływały do dolin, ale nigdy nie podnosiły

337

się tak wysoko, by dotrzeć do domu na wzgórzu. Dom stał spokojnie ponad nimi, żył sobie własnym tajemniczym życiem. Przynajmniej w wyobrażeniach Patricka.

Chłopiec u ciotki Melanie był mniej nieszczęśliwy niż podczas pobytu u innych członków rodziny. Nikt nie prawił mu sarkastycznych uwag, żadne łobuzy mu nie dokuczały. Ale i tak

nie czuł się szczęśliwy. Niedługo miała nadejść chwila, kiedy powinien zdecydować, u kogo zatrzyma się na następne dwanaście lat.

Dzień za dniem ów moment zbliżał się nieubłaganie. Mecenas Atkins poinformował go o dokładnej dacie, gdy będzie musiał podjąć decyzję.

Tymczasem on nie chciał mieszkać u żadnego z nich. Więcej: myśl o takiej perspektywie przyprawiała go

0 mdłości. Wszyscy byli dla niego bardzo mili. Zbyt mili

1 przesadni w swej uprzejmości. Mała połajanka w Złotym Brzegu byłaby znacznie przyjemniejsza.

Jednocześnie wszyscy, mniej lub bardziej umiejętnie, starali się nastawić go przeciwko reszcie.

Chciał zamieszkać z kimś, kogo lubi i kto lubi jego za to, jaki jest, a nie za to, że oznaczał dwa tysiące dolarów pensji rocznie. Patrick miał wrażenie, że gdyby wuj Stephen żył, uśmiechałby się na myśl o trudnym położeniu chłopca.

Gdy nadeszły dziewiąte urodziny Patricka, ciotka Melanie spytała, jak chciałby je spędzić.

Zapytał, czy mógłby pojechać do Glen St. Mary i pobyć z Blythe'ami w Złotym Brzegu.

Ciotka Melanie zmarszczyła brwi. Odparła, że nie został tam zaproszony. Patrick zdawał sobie sprawę, że

33 <9

to przecież nie było istotne, ale wiedział również, iż nie otrzyma pozwolenia na wyjazd.

Poprosił więc o możliwość przejażdżki autobusem. Tym razem ciotka Melanie roześmiała się i odrzekła z lekceważeniem:

— Nie sędzę, żeby to był sposób na uczczenie twoich urodzin, skarbie. Może lepiej urządzić przyjęcie? Zaprosz kolegów ze szkoły. Chcesz urządzić przyjęcie, prawda? Patrick czuł, że jego zdanie i tak nie ma znaczenia. Przyjęcie miało się odbyć. Jakoś sobie poradzi. Może nawet powiedzieć „dziękuję” na widok wszystkich drogich prezentów od wujków i cioci, z których żaden tak naprawdę nie sprawi mu radości.

— Mogę zaprosić Waltera Blythe'a? — spytał.

Ciotka Melanie znowu zmarszczyła brwi. Nie pojmowała tej jego sympatii dla Blythe'ów. Może i są w porządku, na swój sposób, ale...

— Oni mieszkają zbyt daleko, skarbie — wyjaśniła. — Nie sędzę, żeby Walter mógł przybyć. Poza tym to zwykły dzieciak ze wsi, nie ktoś, z kim będziesz utrzymywać znajomość w niedalekiej przyszłości.

— To najfajniejszy chłopak, jakiego znam — odparł Patrick z oburzeniem.

<

— Gusta zmieniają się nam z wiekiem — rzekła ciotka pobłażliwym tonem. — Podobno straszny z niego maminsynek i tchórz.

— To nieprawda! — wykrzyknął zdenerwowany Patrick. — On jest fajny. Fajny! Oni wszyscy są bardzo mili. A pani Blythe jest najmiłą kobietą na świecie.

— Bo nie znasz zbyt wielu kobiet, skarbie — odparła ciotka Melanie. — Z pewnością panna Sperry to nie

49

był dobry obiekt do porównań. A chyba nie powiesz, że pani Blythe jest sympatyczniejsza niż... no, na przykład ja albo wręcz ciotka Fanny lub Lilian?

Patrick nie miał odwagi powiedzieć: „tak”.

Rankiem w dniu jego urodzin Chwat został potrącony przez ciężarówkę. Ciotka Melanie nie bardzo przejęła się śmiercią psa. Pies był jedynie zabezpieczeniem przed włamywaczami, można było go zastąpić innym. Poza tym był dość męczący — stale znosił do domu te kości. Wszystkie pokojówki się na niego skarżyły. I było niezbyt przyjemnie, gdy gość wchodził do

salonu, a na fotelu leżała wielka, obgryziona kość. Nie wspominając już o sierści na dywanie. Ciotka Melanie postanowiła, że sprawi sobie teraz pekińczyka. Były takie słodkie, miały takie cudowne mordki. Patrick z pewnością polubi pekińczyka. Czemu też wcześniej nie wpadła na ten pomysł?

Kiedy zabierano ciało biednego Chwata, Patrick stał przy bramie smutny i równocześnie wprost kipiał z wściekłości — przyjęcie urodzinowe w momencie, gdy zabrakło jedynej istoty, na której mu zależało?! To było nie do wytrzymania! Musi coś zrobić.

Drogą zbliżał się wielki czerwono-żółty autobus. Patrick włożył rękę do kieszeni — było tam pięćdziesiąt centów. Pobiegł na przystanek i oznajmił kierowcy, że chce pojechać tak daleko, na ile pozwoli mu bilet za pięćdziesiąt centów.

— Pewnie nie dojadę za te pieniądze do Glen St. Mary?

— Niestety nie — odparł kierowca, który nieźle dogadywał się z chłopcami takimi jak Patrick. — Musiałbyś

tS40

wysiąść jakieś dwadzieścia mil wcześniej. Poza tym do Glen jedzie się inną trasą. Ale coś ci powiem — zabiorę cię aż do Westbridge. Wskakuj.

Z początku Patrick był zbyt zasmucony śmiercią Chwata, by cieszyć się wymarzoną przejażdżką. Widok biegnących drogą obok siebie dwóch psów ras chow--chow i dog sprawił, że posmutniał jeszcze bardziej. Ale z każdą chwilą chłopcu poprawiał się nastrój. Wyobraził sobie, że obok siedzi Walter Blythe i razem omawiają każdy szczegół podróży. Droga, wznosząca się stopniowo, była piękna. Świerkowe lasy; strumyki; piękne rozległe łąki porastające tereny wokół Glen St. Mary; ogrody pełne barwnych malw, floksów, nagietków — zupełnie jak w ogródku Zuzanny Baker w Złotym Brzegu. Powietrze było takie czyste i przejrzyste! Wszystko, co mijał, zdawało mu się interesujące. Wielki prątkowany kot siedzący na schodkach domu. Starszy mężczyzna malujący ściany swego domu na żółto. Kamienny mur z furtką, która mogłaby — powinna! — prowadzić do innego świata. Wyobraził sobie, co razem z Walterem mogliby znaleźć po drugiej stronie. Przejażdżka autobusem była wielką przyjemnością — dokładnie tak jak przewidywał. Przynajmniej tu nie czekało go rozczerowanie. Nawet roześmiał się pod nosem, gdy wyobraził sobie zdumienie na twarzy ciotki Melanie i alarm, jaki spowodowało jego zniknięcie.

I nagle go zobaczył. Droga wspięła się aż na szczyt odległych wzgórz, które widać było z miasta.

Oto on — niewiarygodne, a jednak. Dom, który Patrick tak pokochał. Widział go z bardzo daleka, ale

c341

m

natychmiast rozpoznał. Stał na rogu skrzyżowania. Patrick podskoczył na siedzeniu i poprosił kierowcę, by go wypuścił. Kierowca spełnił prośbę chłopca, mimo że czuł, iż coś jest nie tak z tym dzieckiem... coś dziwnego... Jakaś różnica, której pocziwiec nie potrafił uchwycić, różnica między Patrickiem a innymi dziećmi.

Patrick obserwował oddalający się autobus bez żalu czy zastanowienia, jakim cudem wróci do miasta. Nie troszczył się o powrót. Niech go szukają aż do skutku. Rozejrzał się wokół, chłonąc każdy najdrobniejszy szczegół.

Ujrzał bramę, a nad nią napis z rustykalnych liter ułożonych w łuk: „Bezczas”. Bezczas! Co za piękna nazwa! Dom znajdujący się za bramą był biały, z drewnianym oszalowaniem.

Wyglądał przyjaźnie i kojarzył mu się ze Złotym Brzegiem, chociaż Złoty Brzeg zbudowany był z cegieł, a ten dom — z drewna.

Las, który zdawał się otaczać tę posiadłość, gdy patrzyło się na nią z wielkiej odległości, wcale nie znajdował się tak blisko, ale wszędzie w okolicy rosły drzewa: rozłożyste klony, brzozy niczym smukłe srebrzyste duchy, rzędy świerków wzdłuż ogrodzeń. Dom wyglądał jak jedno z gospodarstw w Glen St. Mary. Zabawne było to, że gdy patrzyło się na południe, wcale nie miało się wrażenia, iż stoi na wzgórzu. W tamtą stronę rozciągał się rozległy, równinny teren pokryty farmami i sadami. Dopiero gdy zwróciło się wzrok na północ i popatrzyło w dół, daleko aż za miasto, w stronę morza, człowiek zdawał sobie sprawę, na jakiej wysokości się znajduje.

Patrick miał dziwne uczucie, że już kiedyś to wszystko widział. Może w innym świecie, który z dnia na dzień stawał się mu coraz bliższy? Nawet nazwa gospodarstwa wydała się znajoma. Młody mężczyzna opierał się o bramę, strugając drewniany kołek. U jego boku siedział pies, cytrynowo-biały seter o pięknych oczach. Mężczyzna był wysoki, szczupły i opalony; miał błękitne oczy i niesforną grzywę złocistorudych włosów.

Uśmiechał się tak, jak lubił Patrick — szczerze.

— Witaj, nieznajomy — powiedział. — Co sądzisz o pogodzie?

Miał bardzo miły głos, który jakimś cudem wydał się Patrickowi znajomy. Ale chłopiec nigdy wcześniej nie widział tego człowieka.

— Pogoda? W porządku — odpowiedział.

— Masz na myśli to, że jedynie pogoda jest w porządku? — spytał młodzieniec. — Chyba się z tobą zgodzę. Ale czy widok nie jest piękny? Goście zawsze się nim zachwycają. Widać stąd na dwadzieścia mil. Dostrzeżesz nawet Zatokę Czterech Wiatrów w Glen St. Mary.

Patrick chętnie spojrział we wskazanym kierunku.

— Tam mieszka Walter Blythe — powiedział. — Zna pan Blythe'ów?

— A kto ich nie zna? — odparł młody człowiek. — Ale coś mi się zdaje, że pomimo pogody i pięknych widoczków masz problemy, jak niemal każdy na tej nieszczęsnej planecie. Patrick nabrał ochoty na zwierzenia. To dziwne uczucie. Nigdy czegoś takiego nie robił, może z wyjątkiem wizyt w Złotym Brzegu.

343

— Nasz pies został dziś rano zabity, a ja po prostu musiałem się wyrwać z domu. Ciotka Melanie chciała urządzić dla mnie przyjęcie, ale nie mogłem w nim uczestniczyć.

— Oczywiście, że nie mogłeś! Kto by tego od ciebie oczekiwał? Że też ludzie robią takie rzeczy. Mogę zapytać, jak masz na imię?

— Jestem Pat Brewster.

Młodzieniec upuścił kołek na ziemię. Znalazł go dopiero po chwili.

— Ach... tak... Cóż, ja się nazywam Bernard Andrews albo — jeśli wolisz — Barney.

Mówi ci to coś?

— Podobają mi się — powiedział Pat, zastanawiając się, czemu Barney tak mu się przygląda. Znowu miał wrażenie, że już gdzieś go widział. To było jednak niemożliwe. Po chwili napięcie znikło z twarzy Barneya, na jego miejsce pojawił się uśmiech. Otworzył bramę.

— Jeśli o jedenastej wyjechałeś z Charlottetown, musisz być głodny. Może zjesz z nami obiad?

— Czy nie będę przeszkadzał? — spytał grzecznie Pat. Wiedział, jak niechętnie ciotka Melanie przyjmuje nieproszonych gości, mimo że szeroko się do nich uśmiecha.

— Ani trochę. Niespodziewani goście nas nie przerażają. Po prostu dolejemy wody do zupy.

Pat z radością został z nimi. Barney skończył strugać kolejny kołek, a gdy zauważył, że Pat zaczął głaskać psa, powiedział poważnym tonem:

— Nie baw się z Jiggsem przed obiadem, proszę. Był dziś niegrzeczny. Zjadł kotce cały posiłek. Już któryś raz

c344

mu się to przydarzyło. A ona opiekuje się siódmką kociąt. Jeśli zaczniesz go głaskać, pomyśli sobie, że zostało mu tak szybko przebaczone. Musi się nauczyć, że tak robić nie wolno. A uwielbia być głaskany. Różne metody działają na różne psy. Jak uczyłeś posłuszeństwa Chwata?

— Nikt go nie uczył — powiedział Pat.

Barney pokręcił głową.

— O, to błąd. Każdy pies wymaga trochę dyscypliny, trzeba tylko znaleźć odpowiednie sposoby. Ale po obiedzie możesz się pobawić z Jiggsem, ile chcesz.

Ruszyli w stronę domu przez ogród, który wyglądał na lekko zapuszczony, a jednak sprawiał niezwykle wrażenie miejsca, w którym niegdyś bawiły się dzieci.

Ścieżka obrzeżona była rabatami geranium i muszlami, zupełnie jak w ogrodzie Zuzanny Baker w Złotym Brzegu. W sumie całe to miejsce troszkę przypominało Złoty Brzeg, a jednocześnie zupełnie nie było do niego podobne. Złoty Brzeg był raczej okazałym domem, podczas gdy ten wyglądał na zwykłą farmę.

Na trawniku stała stara łódź wypełniona kolorowymi petuniami. Przeszli po płaskich, gładkich kamieniach chodnikowych, które wyglądały tak, jakby ktoś położył je na trawie setki lat temu. Po drugiej stronie drogi stał inny dom, równie przyjaźnie wyglądający. Na jego podwórzu lśniła plamka szkarłatu.

Obchodząc go dokoła, minęli maszerujące rzędkiem stadko ślicznych białych kaczuszek.

— Ja już tu byłem! — wykrzyknął Pat. — Dawno temu, gdy byłem malutki. Pamiętam! Pamiętam takie kaczki!

S46

— Nic dziwnego — odparł spokojnie Barney. — Zawsze hodowaliśmy białe kaczki. Wiele osób przychodzi do nas kupić jajka.

Pat był tak wstrząśnięty swoim odkryciem, że nie mógł nawet przywitać się z kotką, która grzecznie powiedziała do niego „miau”. Siedziała na ganku obok kosza pełnego kociąt. Była ładna i puszysta, chociaż Jiggs podbierał jej jedzenie.

— Nie chciałbyś kotka? — spytał Barney. — Bardzo je lubimy, ale osiem to jednak za dużo, nawet jak na Bezczas. Walter ze Złotego Brzegu zaklepał sobie jednego pomimo sprzeciwów Zuzanny.

— Och, więc znasz mieszkańców Złotego Brzegu?! — wykrzyknął Pat, czując, że znowu odnalazł coś, co ich łączy.

— Znam młodych Blythe'ów całkiem nieźle. Przychodzą tu czasem po jajka, mimo że to spory kawałek drogi. A oto ciocia Holly — dodał, otwierając brązowe kuchenne drzwi. — Nie bój się jej. Wszyscy dobrzy ludzie są jej przyjaciółmi.

Pat w ogóle się jej nie przestraszył. Była kruchą staruszką o twarzy pełnej zmarszczek.

Spodobała mu się dobroć drzemiąca w jej oczach.

Zaprowadziła go do małej sypialni przy kuchni, by umył sobie ręce. Pat uznał pokój za stary i przyjemny, zupełnie jak cały ten dom, jak sama ciocia Holly. Na podłodze leżał czysty, wytarty dywan, znajdowały się tam również dzban i niebieska emaliowana miednica.

Z pokoju wychodziły na ogród otwarte drzwi — przed zamknięciem powstrzymywała je różowa koncha. Gdzie

już widział tak wielką muszlę? Nagle sobie przypomniał. Zuzanna Baker w Złotym Brzegu miała taką w swojej sypialni. Opowiadała, że jej wuj, żeglarz, przywiózł ją kiedyś z Zachodnich Indii.

Pat pomyślał sobie, że byłoby cudownie wskoczyć nocą do tego łóżka, przykryć się kolorową kołdrą i obserwować przez otwarte drzwi malwy i rozgwieżdżone niebo, zupełnie jak na ganku w Złotym Brzegu. Wiedział jednak, że może tylko o tym pomarzyć. Na długo przed nadejściem zmierzchu znajdzie go ciotka Melanie, nawet jeśli w tym celu będzie musiała wezwać policję.

— Zjesz obiad teraz, czy poczekasz, aż zostanie podany? — spytał Barney z łobuzerskim uśmiechem, gdy Pat wrócił do kuchni z rękoma starannie umyтыми.

— Zjem teraz, dziękuję — odpowiedział z uśmiechem Pat. Właściwie po raz pierwszy w życiu na jego twarzy zagościł tak szeroki uśmiech. Wcześniej uczono go uśmiechać się najwyżej lekko.

Najwyraźniej dziś na obiad nie było zupy, ale za to dużo szynki i pieczonych ziemniaków. Barney podał mu pełen talerz.

— Zakładam, że chłopięce apetyty nie zmieniły się od czasu, gdy byłem młodszy — powiedział. — Zuzanna Baker ciągle narzeka, że nie może zaspokoić apetytu chłopców ze Złotego Brzegu. Z dziewczynkami jest za to na odwrót.

Pat dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest głodny. Jeszcze żadna potrawa tak mu nie smakowała. Niewiele mówiono przy stole. Barney chyba poddał się jakimś niewesołym wspomnieniom, choć Patowi trudno było

347

zrozumieć, jakim cudem ktokolwiek na farmie Bezczas mógł być nieszczęśliwy.

Jiggs siedział obok nóg Pata i od czasu do czasu uderzał łagodnie ogonem o podłogę. W pewnym momencie wyszedł na ganek, polizał głowę kotki i wrócił do chłopca. Co prawda kara jeszcze się nie skończyła, ale Pat rzucił psu kawałek szynki, a Barney udawał, że niczego nie widzi.

Na deser zjedli szarlotkę z bitą śmietaną. Pat miał zresztą wrażenie, że cały ten posiłek jest czymś więcej niż tylko sposobem na zaspokojenie głodu — obiad na farmie Barneya wlał w niego nowe życie.

— Jak zamierzasz spędzić popołudnie, Pat? — spytał Barney, gdy już nie mogli przełknąć ani kęsa, mimo że ciotka Holly ledwo co przegryzła, a i Barney nie miał apetytu, o który można by go posądzać.

— Czy mógłbym tutaj zostać? — poprosił Pat.

— Nie ma sprawy — odrzekł Barney. — Muszę naprawić płot za stodołą. Zechciałbyś mi pomóc?

Pat wiedział, że Barney jest po prostu grzeczny. W niczym tak naprawdę nie musiał mu pomagać, ale chciał pójść z Barneyem. Mężczyzna wyciągnął w jego stronę rękę, a on ją ujął.

— Twoi krewni nie będą się o ciebie martwić? — spytał Barney. — Z kim właściwie teraz mieszkasz?

Pat mu powiedział.

— Zrobimy tak: zatelefonuję do twojego domu i powiem, że spędzasz popołudnie na farmie Bezczas i że wrócisz wieczorem — powiedział Barney. — Może być?

48

— Myślę, że tak będzie najlepiej — westchnął Pat. Wzdrygał się na myśl, że musi wrócić do ciotki Melanie, ale, oczywiście, to było nieuniknione.

— Szkoda, że nie mogę zostać tu na zawsze — mruknął tęsknie.

Barney zignorował to życzenie.

— Chodź — powiedział, biorąc Pata za rękę.

„Dobrze, że jego dłoń nie jest gruba — pomyślał Pat. — Lubię dotyk przyjemnej, gładkiej, zimnej dłoni, jak doktora Blythe'a”.

Podobało mu się również to, że sympatia Barneya była szczera. Barney lubił Pata takiego, jakim był. Pat po prostu to wiedział.

Chłopiec siedział na wielkim omszałym kamieniu leżącym w zacienionym miejscu, tuż koło świerkowego lasu za stodołą, podczas gdy Barney pracował przy ogrodzeniu. Chwilami nachodziła go myśl, że Barneya wcale nie interesuje płot. Ale to jakaś bzdura. Każdego powinien fascynować taki wspaniały płot zbudowany ze sztachet, pomiędzy których wyrastały różne rośliny.

W dole, za złocistymi wydmami, radośnie szumiało morze, zupełnie jak w Złotym Brzegu, tyle że stamtąd do morza było nieco dalej. Znowu powracały wspomnienia. Stawały się z każdą chwilą coraz wyraźniejsze.

Nad czubkami drzew przemykały obłoki, wokoło unosił się zapach spalonych słońcem traw. Przepęniało go głębokie, cudowne poczucie zadowolenia. Nigdy, nawet w Złotym Brzegu, nie wyobrażał sobie, że można być tak szczęśliwym.

34J

— Myślę, że tak będzie najlepiej — westchnął Pat. Wzdrygał się na myśl, że musi wrócić do ciotki Melanie, ale, oczywiście, to było nieuniknione.

— Szkoda, że nie mogę zostać tu na zawsze — mruknął tęsknie.

Barney zignorował to życzenie.

— Chodź — powiedział, biorąc Pata za rękę.

„Dobrze, że jego dłoń nie jest gruba — pomyślał Pat. — Lubię dotyk przyjemnej, gładkiej, zimnej dłoni, jak doktora Blythe'a”.

Podobało mu się również to, że sympatia Barneya była szczera. Barney lubił Pata takiego, jakim był. Pat po prostu to wiedział.

Chłopiec siedział na wielkim omszałym kamieniu leżącym w zacienionym miejscu, tuż koło świerkowego lasu za stodołą, podczas gdy Barney pracował przy ogrodzeniu. Chwilami nachodziła go myśl, że Barneya wcale nie interesuje płot. Ale to jakaś bzdura. Każdego powinien fascynować taki wspaniały płot zbudowany ze sztachet, pomiędzy których wyrastały różne rośliny.

W dole, za złocistymi wydmami, radośnie szumiało morze, zupełnie jak w Złotym Brzegu, tyle że stamtąd do morza było nieco dalej. Znowu powracały wspomnienia. Stawały się z każdą chwilą coraz wyraźniejsze.

Nad czubkami drzew przemykały obłoki, wokoło unosił się zapach spalonych słońcem traw. Przepęniało go głębokie, cudowne poczucie zadowolenia. Nigdy, nawet w Złotym Brzegu, nie wyobrażał sobie, że można być tak szczęśliwym.

34J

— Myślę, że tak będzie najlepiej — westchnął Pat. Wzdrygał się na myśl, że musi wrócić do ciotki Melanie, ale, oczywiście, to było nieuniknione.

— Szkoda, że nie mogę zostać tu na zawsze — mruknął tęsknie.

Barney zignorował to życzenie.

— Chodź — powiedział, biorąc Pata za rękę.

„Dobrze, że jego dłoń nie jest gruba — pomyślał Pat. — Lubię dotyk przyjemnej, gładkiej, zimnej dłoni, jak doktora Blythe'a”.

Podobało mu się również to, że sympatia Barneya była szczera. Barney lubił Pata takiego, jakim był. Pat po prostu to wiedział.

Chłopiec siedział na wielkim omszałym kamieniu leżącym w zacienionym miejscu, tuż koło świerkowego lasu za stodołą, podczas gdy Barney pracował przy ogrodzeniu. Chwilami nachodziła go myśl, że Barneya wcale nie interesuje płot. Ale to jakaś bzdura. Każdego

powinien fascynować taki wspaniały płot zbudowany ze sztachet, pomiędzy których wyrastały różne rośliny.

W dole, za złocistymi wydhami, radośnie szumiało morze, zupełnie jak w Złotym Brzegu, tyle że stamtąd do morza było nieco dalej. Znowu powracały wspomnienia. Stawały się z każdą chwilą coraz wyraźniejsze.

Nad czubkami drzew przemykały obłoki, wokoło unosił się zapach spalonych słońcem traw. Przepełniało go głębokie, cudowne poczucie zadowolenia. Nigdy, nawet w Złotym Brzegu, nie wyobrażał sobie, że można być tak szczęśliwym.

349

Chciał zostać tu na zawsze; ciotka Melanie i reszta krewnych była o miliony lat świetlnych stąd, miliony mil. Wiedział, że pod wieczór będzie musiał wrócić do paskudnego, klockowatego domu ciotki Melanie w Char-lottetown i wszystko zostanie mu wybaczone. Ale teraz farma Bezczas należała do niego! Znała go, podobnie jak on znał ją.

Późnym popołudniem ciotka Holly przyniosła mu pajdę chleba z masłem i brązowym cukrem. Zupełnie jak Zuzanna w Złotym Brzegu. Ze zdumieniem spostrzegł, że znowu bardzo zgłodniał i tak skromny posiłek smakuje wspaniale.

Gdy zjadał chleb, Barney przysiadł się do niego.

— Jak się czujesz jako właściciel tych okolic? — spytał Pat.

— Wiedziałbym, gdybym rzeczywiście nim był — odparł Barney z goryczą w głosie. — Mówiąc krótko: byłbym w siódmym niebie.

W głosie Barneya był taki smutek, że Pat nie ośmielił się zadać kolejnych pytań. Kto w takim razie jest właścicielem Bezczasu? Pat miał pewność — choć nie wiedział, skąd ona się brała — że Barney nie był tu na służbie.

Bezczas powinien należeć do niego. O co tu chodzi?

Poszli na podwórze. Chłopiec wyczuł, że Barney zrobił się nieco bardziej spięty.

Z domu po drugiej stronie drogi wyszła młoda kobieta. Na głowie miała błękitną chustę, spod której wymykały się złociste loki, przypominające kolorem włosy Rilli Blythe ze Złotego Brzegu. Jej radosne orzechowe oczy ozdabiały zarumienioną twarz.

360

Była opalona na złocisty kolor, miała szczupłe ramiona, a szła takim krokiem, jakby za chwilę miała wznieść się w powietrze. Podobnie poruszały się dziewczynki w Złotym Brzegu, a nawet pani Blythe, chociaż była o wiele starsza. Pat pomyślał, że kobieta była jak pachnące geranium, jak świeży chleb i odległe, złociste wydmy. Obok niej maszerowała dziewczynka w czerwonej sukieneczce.

— Oto i Barbara Anna oraz mała squaw! — Barney udawał zaskoczonego.

Pat zastanawiał się, skąd to przedstawienie. Wiedział przecież, że Barney już wcześniej je zobaczył.

Chłopiec zauważył specyficzne spojrzenie Barneya. Sam bardziej zainteresował się dziewczynką w czerwonej sukience. Lubił Rillę Blythe, ale nigdy nie budziła w nim podobnych uczuć. Poza tym był pewien, że Rilla nikomu nie pokazałaby języka, była na to zbyt dobrze wychowana. I gdyby Zuzanna ją na czymś takim przyłapała! Nawet pani Blythe okazałaby niezadowolenie.

— A kogo my tu mamy? — spytała Barbara Anna. Jej głos był jak jej wygląd: świeży i radosny. Pat wyczuł jednak, że niewiele brakuje, a dziewczyna się rozpłaczę.

— To jest Pat Brewster — rzekł Barney, gdy przeszli przez boczną furtkę, która wyglądała na często używaną. — Oczywiście słyszałaś o Patricku Brewsterze? — spytał lekkim tonem.

Przez moment w orzechowych oczach Barbary Anny pojawił się dziwny błysk. Pat miał przeczucie, że kobieta sporo o nim wiedziała. Ale czy cały ten dzień nie jest pełen niesamowitych wydarzeń? Czy jedno więcej w ogóle

miało znaczenie? Bliski był stwierdzenia, że to wszystko musi mu się po prostu śnić. Radosne oczy Barbary Anny — choć czy rzeczywiście były takie radosne? — zabłysły, gdy patrzyła na Pata, a na jej twarzy wykwitł szeroki, cudowny uśmiech, zupełnie jak u pani Blythe. Czemu, na Boga, wszystko w Bezczasie przypominało mu o Złotym Brzegu?

Naprawdę, te dwa miejsca nie miały właściwie ze sobą nic wspólnego!

Pat czuł, że zna Barbarę Annę od lat. Nie miałby nic przeciwko temu, gdyby nazwała go „biedactwem”. Mogłaby go nawet ucałować.

— A to jest mała squaw — powtórzył Barney.

Czasem dochodzi do niesamowitych zdarzeń. Oto i dziewczynka w szkarłacie. Stała tam i pokazywała mu język! Oczywiście, że to musi być sen. Ale jakież piękny! Pat miał nadzieję, że długo jeszcze się nie przebudzi.

Mała squaw, najwyraźniej nic nie robiąca sobie z kukuśników Barbary Anny, znowu pokazała mu język. Miała śliczny języczek, równie czerwony jak jej usteczka i sukienka.

Wykonała potrójny piruet na bosaka, po czym usiadła na wielkim kawale granitu przy bramie. Pat chciałby usiąść koło niej, ale był zbyt nieśmiały. Przysiadł więc na odwróconej dnem do góry bańce na mleko i zaczął wpatrywać się w dziewczynkę, podczas gdy Barbara Anna i Barney rozmawiali, patrząc na siebie takim wzrokiem, jakby ich spojrzenia mówiły zupełnie coś innego niż ich słowa. Pat znów zastanawiał się, skąd właściwie o tym wie. Ale przecież we śnie wszystko było możliwe.

362

Rozmawiali przyciszonym tonem i nie przypuszczali chyba, że Pat ich słyszy. Ale chłopiec miał niezwykle dobry słuch.

— Zdecydowałam się na wycieczkę na Zachód — powiedziała lekko Barbara Anna.

— A co ze Wzgórzem? — spytał Barney równie lekko.

— Ach, nic, nic — głos Barbary Anny zdradzał, że ze Wzgórzem stało się coś strasznego, a to wywołało wzburzenie Pata.

— Wiesz, człowiekowi może się znudzić przebywanie ciągle w tym samym miejscu. Nieprawda! Komu mogłoby się znudzić mieszkanie w Bezczasie?

— Nie lubię cię — rzekła mała squaw. Ale to akurat w tym momencie nie miało znaczenia. Małą squaw rozsierdził ten brak uwagi, więc pokazała Patowi język i zajęła się Jiggsem.

— Bezczas jest rzeczywiście nudny — powiedział Barney.

— Mieszkanie z zawsze miłym bratem i jego żoną, nawet z rozkoszną małą squaw, może stać się monotonne mówiła Barbara Anna, podnosząc kotkę, która zaczęła mruczeć. — I nagle może się okazać, że nikt cię nie potrzebuje! Czy mała squaw może dostać jedno kociątko?

— Może dostać wszystkie, jeśli chce — odparł Barney. — Oczywiście z wyjątkiem tego, które obiecałem Blythe'om.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że godzą się na dodatkowego kota? Myślałam, że Zuzanna Baker...

SÓŚ

WÓ

— Zuzanna nie ma ostatniego słowa w Złotym Brzegu, choć wielu tak uważa. Więc naprawdę jedziesz na Zachód?

Pat znowu wyczuł, że w powietrzu wisi jakaś poważna sprawa. Próbował odwrócić uwagę małej squaw od Jiggsa, ale bez skutku.

— Długo cię nie będzie? — spytał obojętnym tonem Barney.

— Cóż, ciotka Ella chce, żebym spędziła z nią zimę.

— Barbara Anna postawiła kota na ziemi. Szykowała się do odejścia.

- Pewnie chciałaby, żebyś została z nią dłużej.
- Całkiem prawdopodobne — zgodziła się Barbara Anna.
- Myślisz, że możesz zostać tam już na zawsze?
- spytał Barney.
- No wiesz, na Zachodzie jest więcej możliwości — odparła Barbara Anna. — Chodź, mała squaw. Musimy iść. Już i tak zabrałyśmy tym panom zbyt dużo czasu.
- Ja nie chcę iść — oznajmiła mała squaw. — Chcę zostać i pobawić się z Patem.
- No cóż... — odezwał się Barney. Pat, mimo euforii, w jaką wpadł po ostatnich słowach squaw, znowu doznał dziwnego przeczucia, że słowa „no cóż”, wypowiedziane przez Barneya pozornie lekkim tonem, kosztowały go bardzo wiele. Wyglądał teraz na dziesięć lat starszego niż w rzeczywistości. — Z pewnością będziesz się tam dobrze bawić. Tęskniłbym za tobą... gdybym musiał spędzić więcej czasu na Wzgórzu. Ale też wyjeżdżam.

364

Pata ogarnęła beznadziejna pustka. Po raz pierwszy miał ochotę się obudzić. Sen nie był już taki piękny.

Barbara Anna powiedziała tylko:

- O?

Mała squaw, widząc, że jej zaloty nie spotkały się z odzewem, wróciła do zabawy z Jiggsem.

- Tak. Hipoteka w końcu mnie dopadła.
- Och! — wydusiła z siebie Barbara Anna. Pat modlił się, by kotka przestała mruczeć. To mruczenie nie pasowało do obecnej atmosfery.
- Tak. Z hipotekami tak to już jest.
- Ale może...

- Nie, nie ma już wątpliwości. Pursey zjawił się wczoraj z ultimatum.

Oczy Barbary Anny pociemniały, zamgliły się, posmutniały. Pat czuł, że rozpłakałaby się, gdyby była sama. Ale czemu? Sny wypełnione były zbyt wieloma tajemnicami. Nawet mała squaw była zagadką. Dlaczego, na przykład, udawała, że zajęta jest igraszkami z Jiggsem, gdy Pat wiedział doskonale, iż najchętniej pokazałaby mu język?

- Szkoda, wielka szkoda! — oburzała się Barbara Anna.

„A co ją to właściwie obchodzi?”, zastanawiał się Pat.

- Cztery pokolenia waszej rodziny mieszkały w Bez-czasie. I po tym, ile wysiłku w to wszystko włożyłeś...

Mała squaw odwróciła się od Jiggsa i spróbowała schwycić kotkę. Ale Pat jej nie pozwolił. Może dzięki temu wreszcie pokaże mu język?

Sóó

- Gdybyś nie wydał tyle pieniędzy na operacje ciotki Holly! — wzburzenie Barbary Anny wzrastało coraz bardziej.

Mała squaw próbowała wyjąć z palca u stopy kolec ostu. Pat marzył o tym, by zaoferować swą pomoc i potrzymać przez chwilę jedną z tych zakurzonych, opalonych stopek, ale...

- A teraz, gdy ona czuje się lepiej, a ty mógłbyś łączyć pieniądze, on orzeka przepadek!

Co znaczy „orzekać przepadek”? Mała squaw sama pozbyła się ostu, a teraz patrzyła na odległe morze. Pat uznał, że chyba nie lubi zbyt samodzielnych kobiet.

- Nie winię Purseya — powiedział Barney. — Był do tej pory bardzo cierpliwy. Nie dołożył przez te lata ani centa odsetek! Gdybym mógł pokazać mu jakiś plan spłaty... Ale nie jestem w stanie. Och, wiem, kiedy należy się poddać.

- Co zamierzasz zrobić? — głos Barbary Anny zrobił się nagle bardzo łagodny.

— Cóż, ciotka Holly i ja nie pomrzemy z głodu. Dostałem ofertę pracy na farmie lisów. Starczy, byśmy z ciotunią jakoś wiazali koniec z końcem.

— Ty i lisia farma... — przerwała mu Barbara Anna.

— Z czegoś żyć trzeba. Ale przyznaję, niezbyt podoba mi się perspektywa doglądania uwieczonych w klatkach zwierząt.

Gorycz w głosie Barneya była nie do zniesienia. Sprawiała, że Pat zapomniał nawet o małej squaw. Tak, najwyższa pora, by się obudzić.

366

Barbara Anna rozluźniła swoją błękitną chustę, jak gdyby ta zaczęła ją dusić. Jeszcze bardziej ściszyła głos, ale Pat i tak ją słyszał. Oczywiście — w snach słyszy się wszystko. O czym ona mówi? Chłopiec teraz już naprawdę zapomniał o małej squaw.

— Gdybyś... gdybyś załatwił sprawy ze Stephenem Brewsterem przed jego śmiercią! Masz takie samo prawo do chłopca jak tamci z miasta. Może nawet większe! Oni są tylko dalszymi krewnymi. Miałbyś za co spłacić hipotekę. Namawiałam cię, prosiłam, wiesz o tym dobrze! Ale mężczyźni nigdy nie słuchają kobiet!

O czym ona mówi? Sny były doprawdy przedziwne. Mała squaw dostrzegła kolejną igłę ostu w palcu, ale w tym momencie mogłaby mieć wszystkie palce pokłute ostem, a Pat i tak nie zwróciłby uwagi. Co Barbara Anna i Barney wiedzieli o wuju Stephenie? Co Barney miał z nim wspólnego?

— Nie zakwalifikowałbym się, Barbaro. To w końcu tylko stara farma na odludziu... — On chyba nie mówi o Bezczasie?! — Tylko wiejska szkółka, gdzie mógłby się uczyć... — „A czy w Złotym Brzegu też nie było jedynie wiejskiej szkółki?”, myślał oszołomiony Pat.

— I tylko stara ciotka Holly, która mogłaby się nim zająć. Nie zrobiłbym tego dzieciakowi. To byłoby niesprawiedliwe.

— O wiele bardziej sprawiedliwe, niż ci się zdaje

— Barbara Anna nie kryła wzburzenia. — Mężczyźni to najgłupsze istoty na ziemi. Mała squaw zrobiła taką minę, jakby w pełni zgadzała się ze słowami kobiety.

367

— No, a moja дума...

— Ach, tak, twoja дума! — wykrzyknęła Barbara Anna z taką złością, że aż mała squaw podskoczyła, a Jiggs rozejrzał się niespokojnie. — Ty już lepiej nic nie mów o tej swojej dumie. Wszystko o niej wiem. Poświęciłbyś dla niej wszystko, wszystkich!

Pat czuł, że nie powinien pozwolić jej mówić takich rzeczy do Barneya. Ale jak mógł ją powstrzymać? Poza tym musi się dowiedzieć, co z całą sprawą miał wspólnego wuj Stephen, nawet jeśli to miałyby oznaczać, że mała squaw już nigdy więcej nie pokaże mu języka. Zresztą nie miała chyba takiego zamiaru. Interesowała się tylko ostem. Niech jej będzie.

— Nie wszystko — tymczasem odparł Barney. — Ale nie jestem nędznym robakiem. Brewsterowie patrzyli z góry na moją siostrę, gdy ojciec Pata żenił się z nią — jakby była jakimś insektem. Wiesz o tym doskonale.

— A kimże są Brewsterowie! — wykrzyknęła ze złością Barbara Anna. — Każdy wie, w jaki sposób dorobili się fortuny. Nie mają się czym chwalić. Ich dwa pokolenia przeciw sześciu pokoleniom Andrewsów.

— Po prostu nie zamierzałem iść do nich na kolanach — upierał się Barney. — Tak czy siak nie oddaliby mi chłopca.

— A czy mecenas Atkins o wszystkim cię nie poinformował?

— Owszem, poinformował.

— Nie powstrzymałoby go, gdyby zechciał się tu zjawić. Mecenas Atkins to uczciwy człowiek. Poza tym każdy wie o testamencie Stephena Brewstera.

368

— Obciążył mnie hipoteką specjalnie — wyznał z goryczą Barney — Sądził, że jeśli się upomnę o chłopca, to zostanie przez małego wyśmiany Tak samo jak on wyśmiałby mnie. Sądziś, że dziecko wychowane w Dębowym Gaju mogłoby zamieszkać tutaj?

Barney machnął ręką w kierunku skrzypiącej bramy, starego, obitego drewnem domu, który rozpaczliwie wymagał malowania, i przestarzałej kosiarki na podwórzu. Ale Patowi zdawało się, że Barney wskazał na łódź pełną petunii, na Jiggsa, sypialnię z drzwiami wychodzącymi na ogród, na długie, płaskie łąki za domem, na niewidzianą jeszcze szkołę, gdzie chłopcy nazywaliby go „Pat” i gdzie w jednej z ławek siedziałaby mała squaw, która od czasu do czasu pokazywałaby mu język. Jeśli oczywiście zechciałaby.

Pat wstał i na trzęsących się nogach podszedł do Barneya. Nie wiedział, czy uda mu się wykrzesać z siebie parę słów, ale musiał spróbować. Pewne rzeczy trzeba wyjaśnić i chyba tylko on był w stanie — lub chciał — je wyjaśnić. Mała squaw przestała bawić się ostem i posłała mu charakterystyczne spojrzenie. Jiggs pomachał ogonem, jakby przeczuwał, co się święci.

— Jesteś moim wujkiem? — zapytał, patrząc swymi szarymi oczyma w niebieskie oczy Barneya wypełnione bólem. Dziwne, że wcześniej nie dostrzegł tego cierpienia maskowanego śmiechem!

Barney się wystraszył. Czyżby dzieciak ich podsłuchiwał? Barbara Anna również się spłoszyła. Podobnie mała squaw, ale to chyba z powodu szczególnie dużego kolca w palcu. Jiggs zaczął szybciej machać ogonem,

a kotka zamruczała głośniej. Jednocześnie rozkwakały się wszystkie kaczki.

— Tak — odparł wolno Barney. — Jestem najmłodszym bratem twojej mamy. Byłem ledwie dzieckiem, gdy poślubiła twojego ojca. To jej stary dom.

— Wiedziałem... że skądś go znam — rzekł Pat. — Nie wiedziałem tylko skąd.

— To siła przeczuć — powiedziała Barbara Anna. — Ludzie często odczuwają pewne rzeczy, których teoretycznie nie powinni wiedzieć. Chodziłam do szkoły z twoją mamą. Była oczywiście starsza ode mnie. Cudowna osoba.

— Wiele razy chciałem cię zobaczyć, Pat — przyznał Barney. — Widziałem cię tylko raz, gdy miałeś pięć lat. Mama przyprowadziła cię tu, gdy Stephena Brewstera nie było w mieście.

— Pamiętam! — wykrzyknął Pat. — Wiedziałem, że już tu byłem!

— Ale krewni twojego ojca nie pozwolili, byś nadal do nas wpadał — mówił Barney. — I kiedy twoja mama zmarła, uznałem, że i tak nic dobrego by z tego nie wynikło. Pojechałem do Złotego Brzegu, gdy się dowiedziałem, że jesteś tam z wizytą, ale spóźniłem się o jeden dzień. Już cię tam nie było, wróciłeś do domu.

— Domu! — powtórzył Pat.

— „Domu!” — powtórzyła mała squaw, tylko po to, by naśladować ton głosu Pata i zwrócić na siebie jego uwagę.

Pat nie myślał o niczym poza jedną sprawą, która się w tym momencie liczyła.

360

— Skoro jesteś moim wujkiem, chcę zamieszkać z tobą — oznajmił. — Nie przygarnąłbyś mnie dla pieniędzy, prawda?

— Chętnie bym się tobą zaopiekował, nawet gdybyś nie miał grosza przy duszy — odrzekł uczciwie Barney.

— Przygarnąłbyś mnie takiego, jaki jestem? — spytał Pat.

— Tak. Ale będę z tobą szczery, Pat. Pieniądze bardzo by mi się przydały.

— Przydałyby się na wykupienie farmy Bezczas — trafnie ocenił Pat.

— Tak, ale skąd o tym wiesz?

— Nie mam pojęcia... Po prostu wiem. A jeśli coś przeszkrobie, skarcisz mnie?

— Jeśli będę mógł... — odparł Barney, rzucając znaczące spojrzenie w stronę Barbary Anny, która nie patrzyła na niego, lecz zdawała się zajęta zabawą z Jiggsem. Mała squaw natomiast wciąż zajmowała się ostami.

Pat był zmieszany. Kto miał pozwalać lub zabraniać czegokolwiek Barneyowi? Z pewnością ciotka Holly by się nie wtrącała. To pytanie pozostało na razie bez odpowiedzi.

— Muszę z tobą zamieszkać — naciskał. — Mogę to zrobić, wiesz? Mogę sam wybrać. Tak, Bernard Andrews wiedział. Wiedział również, patrząc w oczy Pata, że nie chodziło tu o przejęcie legalnej opieki nad chłopcem ani o dwa tysiące dolarów rocznie... Nie chodziło nawet o Barbarę Annę, która łowiła każde jego słowo, udając, że bawi się z Jiggsem.

Chodziło o dwie dusze, którym pisane było być razem i o dziecko, które miało prawo kochać i być kochane.

— Ale czy byłbyś tu szczęśliwy?

— Szczęśliwy? Tutaj? — Chłopiec patrzył na farmę, na Barbarę Annę i na małą squaw, która w końcu pokazała mu język, zapominając chyba o ostach. — Och, wujku Barneyu! Wujku Barneyu!

— Co o tym sądzisz, Barbaro Anno? — spytał Barney.

— To z pewnością nie moja sprawa — odparła.

„Oczywiście, że nie jej”, pomyślał Pat i zdziwił się, gdy Barney nagle wybuchnął śmiechem — prawdziwym śmiechem, pełnym radości i młodzieńczej siły. Był to zupełnie inny rodzaj śmiechu niż ten, który Pat słyszał wcześniej. Barbara Anna również się roześmiała. Udawała, że bawią ją wygłupy małej squaw, ale Pat czuł, że chodziło o co innego. Śmiała się z tego samego co Barney. Mała squaw również zachichotała, naśladując całą resztę, po czym wysunęła język. Pat postanowił, że jeśli jeszcze raz to zrobi, on jakoś zareaguje. Jeszcze nie wiedział jak. Z pewnością jednak dziewczynki nie mogą myśleć, że mogą robić, co im się żywnie podoba tylko dlatego, że są dziewczynkami. Co to, to nie!

A jak pięknie zaróżowiły się policzki Barbary Anny! Szkoda, że wyjeżdża. Pat chciałby, żeby została w pobliżu. Na szczęście nie zamierzała zabrać ze sobą małej squaw. Poza tym czemu, och, czemu Barney nie odpowiedział mu na pytanie? W końcu to była jedyna naprawdę istotna sprawa.

30J2

— Cuda się zdarzają, jak widać — odezwał się w końcu Barney. — Cóż, czekamy w takim razie na twój przyjazd, Pat. Ale wcześniej będziemy musieli stoczyć o ciebie niezłą walkę.

— A czy walka w ogóle będzie konieczna? — spytał Pat. — Oni się chętnie mnie pozbędą. Żadne z nich mnie nie lubi.

— Może nie... Ale lubią pieniądze, miej to na uwadze. Najwyraźniej ty i ja jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Bezczas jest gotowy na twoje przyjęcie.

Pat usiadł ponownie na bańce na mleko. Czuł, że dłużej nie ustoi na trzęsących się nogach. Nie wiedział, o co chodziło Barneyowi z tą walką, ale był pewien, że Barney wygra. I o co chodziło z Barbarą Anną? Ona chyba nie płacze?

Ucieszył się, gdy mała squaw pokazała mu język. Rzeczywistość stała się bardziej realna. W końcu to nie mógł być...

— To nie jest sen, prawda? — spytał z obawą.

— Nie, chociaż czuję się, jakbym śnił — odparł Barney. — Ale wszystko dzieje się naprawdę. Miałś rację, Barbaro Anno. Powinienem się upomnieć o Pata dawno temu.

— Cuda się zdarzają — przedrzeźniała go Barbara Anna. — Mężczyzna przyznający się do błędu!

Ona płakała! W jej oczach błyszczały prawdziwe łzy. Dorośli zachowywali się czasem dziwnie. Nie rozumiał także, czemu język małej squaw nie odpadł jeszcze od tego ciągłego wystawiania. Postanowił, że zabroni jej zachowywać się w ten sposób. Nie wiedział tylko, jak

tego dokonać. A jeśli zacznie pokazywać język innym chłopcom? Nie mógł do tego dopuścić. Wtem przypomniał sobie o swoich manierach. Nie może zrobić złego wrażenia na wuju Barneyu. Wuju Bar-neyu! Jakże miło brzmiały te słowa. Tak inaczej od słów: „wuj Stephen”, „wuj John” czy nawet „wuj Frederick”.

— Dziękuję, wujku Barneyu — powiedział Pat. — Strasznie fajnie, że mogę tu zamieszkać.

— Strasznie fajnie — zgodził się Barney.

Znowu się uśmiechnął, a Barbara Anna śmiała się przez łzy. Nawet uradowana była mała squaw — jak ona właściwie miała na imię? Będzie się musiał szybko dowiedzieć. Nie pozwoli, aby obcy mówili do niej per „mała squaw”. I jak będzie się zwracał do Barbary Anny? Choć to nieistotne. Ona przecież wyjeżdża. Więc czemu tak płacze?

— Ja... ja chciałbym, żeby pani nie jechała na Zachód — powiedział cicho. Rzeczywiście z całego serca pragnął, żeby pozostała w jego życiu.

— Och! — Barney znowu wybuchnął długim, niskim, zaraźliwym śmiechem. Patowi zdawało się, że taki śmiech każdego może rozchmurzyć. Nawet wuja Stephena. Albo pannę Cyn-thię Adams. Co, swoją drogą, byłoby największym cudem dzisiejszego dnia. Ależ ma urodziny!

Pat czuł, słysząc śmiech Barneya, że i on zacznie wkrótce się uśmiechać. Zupełnie jak dzieciaki w Złotym Brzegu. Pat często zastanawiał się nad tym, jak często śmiech rozbrzmiewał w rodzinie Blythe'ów. Śmiała się nawet Zuzanna Baker! Pat był pewien, że od tej pory bę-

4

* &

dzie mógł częściej odwiedzać Złoty Brzeg. Może nawet Walter będzie do niego przyjeżdżał. Pat podejrzewał, że doktor Blythe był lekarzem ciotki Holly, mimo że mieszkał tak daleko. W każdym razie już nikt nigdy nie zabroni mu się śmiać. Wuj Stephen zawsze wydawał się poirytowany, słysząc śmiech Pata. Z kolei w domach ciotki Fanny, ciotki Melanie i ciotki Lilian chyba ani razu nie słyszał, by ktokolwiek się śmiał. Cóż, może śmiali się synowie ciotki Fanny... ale nie był to ten sam rodzaj śmiechu, jak w Złotym Brzegu czy w Bezczasie. Pat nagle zdał sobie sprawę, jak różne mogą być powody śmiechu. Czasami człowiek śmiał się, bo po prostu miał taką ochotę. Czasami śmiał się dlatego, że śmiali się inni. Teraz Pat roześmiał się, patrząc na małą squaw. Roześmiał się, bo taką miał ochotę.

— Z czego się śmiesz? — zapytała zawadiacko.

— Z twojego języka — odparł Pat, zdziwiony swoją odwagą.

— Jeśli będziesz śmiał się z mojego języka, złoję ci tylek — rzekła mała squaw.

— Nie chcę słyszeć takiego języka — powiedziała Barbara Anna.

— Ale wszyscy tak mówią w szkole — odparła mała squaw, trochę jednak zawstydzona swoim zachowaniem.

— Nieważne, jak mówią w szkole. Ty tak mówić nie będziesz — powiedziała Barbara Anna. — Pamiętaj, że jesteś damą.

— A czemu damy nie mogą mówić tak jak mężczyźni? — nie poddawała się mała squaw. Barbara Anna nie

odpowiedziała. Słuchała, co mówił do niej Barney. Ale o czym właściwie mówił Barney?

— Och — wciąż się śmiał. — Barbara Anna w najbliższym czasie nie wybiera się na Zachód.

— A gdzie?

— Oto jest pytanie. Gdzie się wybierasz, Barbaro Anno?

Młoda kobieta była czerwona jak burak.

— Ja... być może przeprowadzę się do domu po drugiej stronie ulicy — odparła. — Co... co o tym myślisz, Barney?

— Skoro już łaskawie pytasz mnie o zdanie, to ci powiem, że to bardzo dobry pomysł — przyznał Barney.

— Chyba ten jeden raz cię posłucham — roześmiała się Barbara Anna.

Pat miał wrażenie, że Barney i Barbara Anna chcieliby, aby teraz on i mała squaw znaleźli się daleko, daleko stąd. I, co jeszcze dziwniejsze, wcale się temu nie sprzeciwiał. Ale jednego musiał się jeszcze dowiedzieć. Potem spytał małą squaw, czy nie chciałaby obejrzeć kociąt.

— Gdzie jedzie Barbara Anna? — nalegał. — Po drugiej stronie drogi jest tylko Bezczas.

— Więc będziemy musieli pozwolić jej zamieszkać z nami, w Bezczasie — powiedział Barney. — Miałbyś coś przeciwko temu?

— Byłoby cudownie — powiedział Pat poważnym tonem. — Czy mała squaw również się wprowadzi?

— Obawiam się, że jej ojciec i mama tak łatwo by nam jej nie oddali — odparł Barney.

— Ale zapewniam

6

cię, że będziesz ją często widywał. Może nawet zbyt często.

— Bzdury! — obruszył się Pat.

Nigdy wcześniej nie odważył się do nikogo tak odezwać. Ale w Bezczasie można było mówić różne rzeczy.

O co chodziło małej squaw?

— Chodźmy obejrzeć kotki — powiedziała. — Może mama pozwoli mi wziąć jednego, choć Walter Blythe zaklepał sobie najładniejszego. Nie lubię Waltera. A ty?

— Czemu go nie lubisz? — spytał Pat, czując, że kocha Waltera z całego serca.

— Bo nie obchodzi go, czy pokazuję mu język, czy nie — wyjaśniła mała squaw.

Poszli obejrzeć kocięta, zostawiając Barbarę Annę i Barneya wpatrujących się w siebie — przynajmniej dopóty, dopóki dzieci nie znikły z pola widzenia.

— Czeka cię ostra walka z Brewsterami! — powiedziała Barbara Anna.

— Czuję, że mogę walczyć z całym światem! — zapewnił ją Barney.

SZALEŃCZA WYPRAWA

Lincoln Burns umieścił przy drodze tabliczkę, która zapraszała wszystkich chętnych do jego wielkiego sadu, gdzie można się było poczęstować jabłkiem. „Dzięki właśnie takim gestom odslania się charakter człowieka”, mawiała Ania Blythe.

Wszyscy byli zgodni co do tego, że Lincoln był dobry dla swej matki. Nie każdy syn z taką cierpliwością wytrzymywałby jej dziwactwa. Usługiwał jej od lat, wykonywał większość prac domowych, bo żadna pokojówka nie zagrzała u nich miejsca na dłużej. Niewyparzony język staruszki skutecznie odstraszał dziewczyny. On z kolei zawsze był niezwykle wyrozumiały. „Spóźniony Lincoln Burns”, mawiano o nim, bo nie zdążał z niczym na czas. Jednym z jego sympatyczniejszych nawyków było notoryczne zjawianie się w kościele, gdy msza dobiegała końca. Nie słyszano też, by cokolwiek wyprowadziło go z równowagi. Zuzanna Baker ze Złotego Brzegu twierdziła, że brakuje mu ikry i dlatego się nie wścieka.

I oto, ku zaskoczeniu wszystkich, pani Burns zmarła. Nikt nie spodziewałby się po niej czegoś równie zdecydowanego. Przez ostatnie dziesięć lat była zawieszona między życiem a śmiercią: drażliwa, nieracjonalna, nerwowa inwalidka. Ludzie twierdzili, że doktor Blythe na wizytach u niej musiał zbić fortunę.

Teraz leżała w świątecznym ubraniu w starej bawialni, a na zewnątrz z nieba sypały białe płatki śniegu, mimo że nadeszła już wiosna. Śnieg okrywał okolicę mglistym, urzekającym welonem. Taki rodzaj piękna zachwycał Lincolna. Czuł się teraz bardzo samotny, chociaż niewiele osób — może z wyjątkiem państwa Blythe'ów — było w stanie w to uwierzyć. Wszyscy, łącznie z jego matką, sądzili, że jej śmierć przyniesie mu upragnioną ulgę.

— Niedługo już znikną kłopoty, którymi cię obarczam, jak twierdzi Zuzanna Baker — powiedziała mu matka na dzień przed swoją śmiercią. Mawiała tak codziennie od dziesięciu lat. Poza tym Zuzanna Baker wcale nie wypowiedziała tych słów. „Znając tę kreaturę, droga pani doktorowo — zauważyła natomiast — dożyje do dziewięćdziesiątki”.

Ale Zuzanna się myliła, a Lincoln cieszył się, że odpowiedział matce:

— Mamo, dobrze wiesz, że nie sprawiasz mi żadnych kłopotów.

Tak, obecnie zdał sobie sprawę, że będzie bardzo samotny. Matka nadawała jego życiu jakiś sens i cel. Teraz, gdy odeszła, miał wrażenie, że statek jego życia pozbawiony został sternika, zboczył z wyznaczonego kursu.

Wkrótce Helen będzie go namawiać na żeniączkę, był tego pewien. Matka zawsze broniła go przed zakusami Helen, choć udawała przekonaną, że Lincoln wprost pali się do małżeństwa.

— Ty tylko czekasz, aż umrę, by się ożenić — zrzędziła.

Nie było sensu w kółko jej przekonywać, iż nie spieszy mu się do małżeństwa.

— Kto by tam zechciał takiego starego kawalera? — usiłował żartować.

— O, wiele kobiet ostrzy sobie na ciebie pazurki — odburknęła pani Burns. — Kiedy mnie zabraknie, jedna z nich się na ciebie rzuci. Doktor Blythe znowu przepisał mi inne leki. Czasem zdaje mi się, że już najchętniej by się ode mnie uwolnił. Może nawet chętnie pozbyłby się też Zuzanny Baker. A pani Blythe to podobno uznana swatka.

— Nie jestem co prawda młody — zaśmiał się Lincoln — ale Zuzanna Baker jest dla mnie chyba za stara.

— Jest starsza jedynie o piętnaście lat. Myśli, że nie wiem, ile ma wiosen na karku. Cóż, myli się. Poza tym ty jesteś tak uległy, że zgodziłbyś się z nią ożenić, gdyby tylko cię poprosiła. Nie chciałbyś problemów związanych z odrzuceniem oświadczyn.

— Mama dobrze wygląda, prawda? — zagadnął Helen, która weszła do starej bawialni. Pani Marsh płakała — czemu, nie wiedział nikt. Uważała, że Lincoln jest nieczuły, bo nie uрониł ani łzy.

— Pięknie — szlochała. — Pięknie i tak naturalnie.

c370

Lincoln uważał, że słowo „naturalnie” nie jest odpowiednie. Jej twarz była zbyt gładka i spokojna. Ale stwierdził, że wygląda zaskakująco młodo. Odkąd pamiętał, jej twarz była pomarszczona i gościł na niej grymas rozdrażnienia. Po raz pierwszy zrozumiał, czemu ojciec z nią się ożenił. Była bardzo chora i wiele wycierpiała. Nawet Zuzanna Baker to przyznała, a doktor Blythe miał wręcz pewność.

Lincoln westchnął. O tak, życie bez mamy to już nie będzie to samo. Teraz zaczną się prawdziwe problemy.

— Co teraz zamierzasz zrobić, Lincolnie? — spytała jego siostra.

Pomyślał, że Helen mogłaby jeszcze trochę odczekać z poruszaniem tego tematu. Ale Helen nigdy niczego nie odkładała na później. Miała całkowicie odmienny charakter niż Lincoln.

— Chyba będę musiał radzić sobie tak, jak radzą sobie w Avonlea — odparł cicho.

Helen połknęła haczyk.

— A jak sobie radzą w Avonlea?

— Najlepiej jak potrafią — wyjaśnił równie spokojnym tonem.

— Och, dorośnij wreszcie — mruknęła Helen. — Nie przystoi żartować w ten sposób, gdy mama nawet nie spoczęła w grobie.

— To nie dowcip — odparł Lincoln. To był słowny żarcik. W dodatku niezbyt oryginalny. Słyszał, jak doktor Blythe parę razy go użył.

— Lincolnie, nigdy nie pomyślałeś o swojej sytuacji. Teraz zostałeś sam, a to nie jest zabawne. Nie mam po-

jęcia, kto mógłby się zająć prowadzeniem domu. Musisz się ożenić. Powinieneś się ożenić już dziesięć lat temu.

— A kto by się wprowadził do domu, w którym mieszkała mama?

— Niejedna kobieta. Po prostu matka była dla ciebie wymówką, a tak naprawdę jesteś zbyt leniwy, by się do kogoś zalecać. Dobrze cię znam.

Lincoln uważał, że wcale go nie zna, mimo więzów pokrewieństwa i faktu, że mieszkała w sąsiedztwie. W końcu zawsze różnili się poglądami na życie. Helen marzyła o pieniądzach i sukcesach. Lincoln — o pięknie. Nieistotny był dla niego nieurodzaj, byle tylko nadeszła cudna jesień, wraz z astrami i kwitnącymi wrzosami.

Podobnie jak inni mieszkańcy Mowbray Narrows, był już przyzwyczajony do niedzielnych spacerów po swojej posiadłości. Ale w przeciwieństwie do innych, on nie był zainteresowany jedynie tym, jak się mają plony, drzewa czy owce. Jego ciekawiły po prostu drzewa rosnące na tyłach domu... małe poletka, otoczone świerkami... szare, wietrzne łąki o zmierzchu... alejka, na której tańczyły cienie.

— Ten człowiek wie, co jest w życiu najważniejsze

— powiedziała pewnego razu Ania Blythe do swojego męża.

— Zdrowego rozsądku trochę mu brak — osądziła Zuzanna Baker — ale podejrzewam, że mając taką matkę, gdzieś trzeba było szukać pocieszenia.

— Lena Mills wyszłaby za ciebie — ciągnęła Helen

— albo Jen Craig, choć ona ma zeza, albo Sara Viles. Co

prawda do najmłodszych już nie należy, ale nie możesz sobie pozwolić na wybrzydzenie.

Posłuchaj mojej rady, Lincolnie. Bierz się do roboty i znajdź sobie żonę. Od razu staniesz się innym człowiekiem.

— Ale ja nie chcę stać się innym człowiekiem — zaprotestował Lincoln. — To mogłoby się okazać uciążliwe, jak mawia doktor Blythe.

Helen go zignorowała. Tak należało postępować z Lincolnem. Jeśli tylko dało mu się szansę, mógł na okrągło opowiadać te bzdury o swoim ogrodzie czy o kuropatwach, które każdej zimy zbierały się pod tą samą jabłonią, zamiast o naprawdę istotnych sprawach, jak choćby ceny zbytu czy stonka ziemniaczana.

— Musisz się ożenić, koniec, kropka. Nie obchodzi mnie, kim ona będzie, byle tylko była godna szacunku. Nie możesz pracować w polu i jednocześnie przygotowywać sobie posiłków. Poza tym masz już swoje lata. Pomyśl, jak miło będzie wracać zmęczonym z pracy do czystego domu i na dobrą kolację.

Owszem, Lincoln czasem o tym myślał. Przyznawał, że wizja takiego życia była nawet kusząca. Ale na świecie liczyło się coś więcej niż tylko czysty dom i wygoda — ostrzegł go doktor Blythe, gdy pewne plotki zaczęły krążyć po okolicy.

O tym Helen nic nie wiedziała. Pamiętał, jak kiedyś przejeżdżał w jesienny wieczór koło Złotego Brzegu. Ze środka dolatywał rozkoszny zapach pieczonego mięsa będący zwiastunem pysznej uczyty. Niewątpliwie Zuzanna Baker szykowała kolację dla doktora. Żadna potrawa nie wydała się wówczas Lincolnowi równie smakowita.

Ale, jak kiedyś zauważyła przy nim pani Blythe, to wyobraźnia nie powoduje przesytu czy niestrawności. „Można mieć dość rzeczywistego życia, ale nigdy nie ma się dość marzeń”, powiedziała.

Pewnego późnowiosennego wieczoru Lincoln krzątał się aż do późnych godzin. Zazdrościł doktorowi Blythe'owi.

Lubił przebywać nocami poza domem. Lubił stać na swym wzgórzu, samotnie podziwiać gwiazdy. Lubił spacerować pod ciemnymi koronami statecznych drzew, które zdawały się go rozumieć. Lubił rozkoszować się pięknem mroku albo niezwykłym kryształowym światłem księżyca.

Gdyby ożenił się z jakąkolwiek znaną mu kobietą, czy nadal mógłby tak spędzać czas? Bał się, że niedługo będzie musiał się ożenić. Helen się uparła i nie dawała mu spokoju. W ten czy inny sposób dopnie swego.

Cóż, w pewnym sensie miała rację. Pewnie lepiej byłoby, gdyby się ożenił. Ale nie znał żadnej kobiety, którą lubiłby na tyle, by uderzać do niej w konkury. Lena Mills... owszem, to sympatyczna dziewczyna, bardzo „rozgarnięta”, jak kiedyś wyraziła się o niej Zuzanna Baker. Lincoln wzruszył ramionami. Jen Craig również była w porządku, ale Craigowie od zawsze uganiaли się jedynie za pieniędzmi, poza tym Jen miała zęza. Podejrzewał, że Jen zmusiłaby go do sprzedaży pięknego dębowego zagajnika i kazałaby zaorać mglisty stary sad... Ten sam, który tak podziwiała pani Blythe, ponieważ przypominał jej o domu dzieciństwa w Avonlea.

374

Lincoln wiedział, że nie ugiąłby się przed żądaniami żadnej kobiety.

— Porządny człowiek z tego Lincolna Burnsa — powiedział kiedyś Gilbert Blythe do swojej żony — ale brak mu twardego kręgosłupa.

— Cóż, panie doktorze — wtrąciła się Zuzanna. — Taki już jest i nic na to nie poradzi. A Sara Viles? O, tak, Sara była miłą dziewczyną... szczupłą, ciemnowłosą, o brązowych oczach, bardzo bystrą i odrobinę złośliwą. Była godna zainteresowania. Ale Lincoln trochę się obawiał jej intelektu i sarkastycznych docinek. Sprawiała, że w jej towarzystwie czuł się jak głupiec. Pani doktorowa Blythe również była inteligentna, a z pewnością potrafiła być sarkastyczna, ale Lincoln był pewien, że nigdy nie sprawiła, że jej mąż poczuł się głupszy od niej.

Wszystko sprowadzało się do jednego: Lincoln był przekonany, że nikt nigdy nie zrozumie go tak dobrze, jak on rozumiał siebie.

A jednak... najwyraźniej Helen postanowiła, że ożeni się z którąś z owych kobiet. Jakże tu uciec przed taką intrygą? Był bliski zasięgnięcia konsultacji w tej sprawie u państwa Blythe'ów. Wątpił jednak, by mogli coś wskórać. Trudno byłoby mierzyć się z Helen. < Nagle w jego umyśle pojawiło się wspomnienie pewnego mglistego dnia, o którym wszyscy już zdążyli zapomnieć.

Miał wtedy dziesięć lub jedenaście lat i wybrał się z matką w odwiedzinach do wuja Charliego Taprella,

376

mieszkającego w Mowbray Narrows. Cała wizyta była jedną wielką udręką dla nieśmiałego Lincolna. Siedział sztywno wyprostowany na brzegu niewygodnego krzesła w paskudnym salonie. Ależ to był brzydki pokój! Gzyms kominka zapchano okropnymi litografiami, a meble pomalowano w ohydne róże. Tymczasem matce wszystko się niezwykle podobało. Jego trzy kuzynki, Lily, Edith i Maggie, siedziały na sofie i podśmiewały się z niego. Uważano je za bardzo ładne, miały zaróżowione policzki i okrągłe, jasne oczy. Ale Lincoln ich nie podziwiał — bał się ich, więc na wszelki wypadek utkwiał wzrok w wielkiej purpurowej róży pod swoimi stopami.

— Aleś ty wstydlivy! — zaśmiała się Edith.

— Z którą z nas się ożenisz, gdy dorośniesz? — spytała Lily.

Zachichotały, a dorośli ryknęli śmiechem.

— Wezmę taśmę krawiecką mamy i zmierzę jego buzię — zdecydowała Maggie.

— Cemu nie porozmawiasz z kuzynkami, Lincolnie? — niecierpliwiła się matka. — Pomyślą sobie, że pozbawiony jesteś dobrych manier.

— Może kot odgryzł mu język — zachichotała złośliwie Lily. Lincoln wstał, zdesperowany i udręczony.

— Chciałbym stąd wyjść, mamó. To miejsce jest dla mnie zbyt eleganckie.

— Możesz przejść się na wybrzeże, jeśli chcesz — powiedziała ciotka Sophy, która raczej go lubiła. — Ca-therine, co się z nim stało? Nie jest już dzieckiem. Nie-
c976

mieszkającego w Mowbray Narrows. Cała wizyta była jedną wielką udręką dla nieśmiałego Lincoln. Siedział sztywno wyprostowany na brzegu niewygodnego krzesła w paskudnym salonie. Ależ to był brzydki pokój! Gzyms kominka zapchano okropnymi litografiami, a meble pomalowano w ohydne róże. Tymczasem matce wszystko się niezwykle podobało. Jego trzy kuzynki, Lily, Edith i Maggie, siedziały na sofie i podśmiewały się z niego. Uważano je za bardzo ładne, miały zaróżowione policzki i okrągłe, jasne oczy. Ale Lincoln ich nie podziwiał — bał się ich, więc na wszelki wypadek utkwiał wzrok w wielkiej purpurowej róży pod swoimi stopami.

— Aleś ty wstydlivy! — zaśmiała się Edith.

— Z którą z nas się ożenisz, gdy dorośniesz? — spytała Lily. Zachichotały, a dorośli ryknęli śmiechem.

— Wezmę taśmę krawiecką mamy i zmierzę jego buzię — zdecydowała Maggie.

— Cemu nie porozmawiasz z kuzynkami, Lincolnie? — niecierpliwiła się matka. — Pomyślą sobie, że pozbawiony jesteś dobrych manier.

— Może kot odgryzł mu język — zachichotała złośliwie Lily. Lincoln wstał, zdesperowany i udręczony.

— Chciałbym stąd wyjść, mamó. To miejsce jest dla mnie zbyt eleganckie.

— Możesz przejść się na wybrzeże, jeśli chcesz — powiedziała ciotka Sophy, która raczej go lubiła. — Ca-therine, co się z nim stało? Nie jest już dzieckiem. Nie-
c376

stety, moje dziewczynki zbyt lubią się przekomarzać. Już wielokrotnie zwracałam im uwagę, ale nie słuchają.

To był główny problem: świat nie słuchał. Lincoln nigdy nie zmienił swojego zdania.

Odetchnął z ulgą, gdy wyszedł na zewnątrz. Między domem a zatoką natknął się na zagajnik porosły starymi świerkami, a za nim pole pełne jaskrów. Mniej więcej pośrodku pola Lincoln spotkał dziewczynkę, może o rok młodszą. Spoglądała na niego nieśmiało szaroniebieski-mi oczyma, których barwa przypominała wody zatoki skąpane w białych promieniach słońca. Nie śmiała się.

Lincoln, który zwykle bał się wszystkich dziewczynek, przed tą nie odczuwał strachu. Razem, trochę onieśmieleni, ale zadowoleni, poszli na plażę, gdzie lepiłi babki z piasku. Nie pamiętał już, czy była ładna, czy nie, ale miała łagodny, słodki głos i piękne, szczupłe opalone dłonie. Dowiedział się, że ma na imię Janet. Mieszkała w małym białym domu po drugiej stronie świerkowego zagajnika.

Ofiarował jej błękitny koralik i obiecał, że następnym razem przywiezie jej muszlę znad Oceanu Indyjskiego, którą miał w domu. Obiecał również, że gdy dorośnie, to się z nią ożeni. Wydawała się zadowolona.

— Pamiętaj, żeby na mnie czekać — nalegał Lincoln. — Minie strasznie dużo czasu, nim dorosnę. Ale nie zmęczy cię czekanie, prawda?

Potrząsnęła przecząco głową. Nie była gadatliwa. Lincoln nie pamiętał wiele z tego, co mówiła. Gdy mama przyszła na pole jaskrów i zawołała go, Lincoln zostawił dziewczynkę, gdy ta ozdabiała kamyczkami-

-rodzynkami swoją piaskową babkę. Zanim wysoka wydma zakryła jej sylwetkę, odwrócił się do niej i pomachał na pożegnanie.

Już nigdy więcej jej nie zobaczył. Teraz jest już panią w średnim wieku, na pewno wyszła za mąż. Ale nagle zapragnął przekonać się o tym osobiście. Tylko jak? Nie znał nawet jej nazwiska.

Wspomnienie dziewczynki nie opuszczało go przez całe lato. Ciekawe, bo wcześniej nie myślał o niej tak intensywnie. Przypuszczał, że nieustanne gderanie Helen na temat małżeństwa przywołało te myśli. Nie chciał się żenić. Ale nie przeszkadzałoby mu zbytnio, gdyby spotkał na swej drodze kobietę pokroju pani Blythe albo... albo gdyby odnalazł tę małą znad brzegu i odkrył, że jednak nie wyszła za mąż.

Pewnej nocy, budząc się z okropnego koszmaru, w którym żenił się jednocześnie z Leną, Jen i Sarą, a na dodatek z Zuzanną Baker, postanowił ostatecznie, że spróbuje ją odnaleźć.

Z niezwykłą dla siebie konsekwencją poszukiwania rozpoczął już następnego ranka, mimo iż w czasie ostatniej rozmowy doktor Blythe powiedział: „Nie żęń się, póki nie znajdziesz właściwej kobiety, Lincolnie, niezależnie od tego, jak bardzo naciskać będą twoje krewne”.

— Miałeś szczęście, że znalazłeś wybrankę serca w młodości — odpowiedział Lincoln. — W moim wieku będę musiał poślubić taką, jaka się nawinie.

Wyprowadził powóz, zaprzągnął konia i pojechał do oddalonego o wiele mil domu wuja Charliego. W jego

sercu mieszały się ze sobą nadzieja i obawa. Wiedział, że cała ta wyprawa to po prostu strata czasu, ale co z tego? Nikt przecież nie musi wiedzieć o tym wariactwie. Poza tym nie było nic podejrzanego w odwiedzinach u wuja.

Przypomniało mu się też, jak pani Blythe powiedziała kiedyś, iż od czasu do czasu warto zrobić z siebie głupca. Ma się wtedy wrażenie, że człowiek cofa się do przeszłości.

Właściwie to od tamtego pamiętnego dnia nie odwiedził wuja Charliego. Teraz mogło być inaczej. Niesforne kuzynki powychodziły za mąż i opuściły rodzinny dom, więc zastanie na miejscu jedynie wuja i ciotkę Sophy.

Ucieszyli się z jego przyjazdu.

Salonik był równie ohydny jak za pierwszym razem. Lincoln zastanawiał się, jakim cudem tak brzydki pokój przetrwał w niezmienionym stanie tyle lat.

„Najwyraźniej Bóg o nim zapomniał dawno temu”, mawiała pani Blythe.

— Życie nie może składać się z samych pięknych rzeczy, kochana Aniu — tłumaczył żonie doktor. Był świadkiem wielu cierpień, bólu i brzydoty. — Ale i tak w świecie nie brakuje piękna. Pomyśl o Alei Zakochanych.

— Albo o księżycu wschodzącym nad Nawiedzonym Lasem— zgodziła się Ania.

Z drugiej strony fakt, że nic się w salonie wujostwa nie zmieniło, dawał Lincolnowi poczucie, że wrócił do wygodnej przeszłości. Na szczęście kolację zjedli w starej, słonecznej kuchni, gdzie nie wszystko było „takie gustowne”. Co ciekawe, Lincoln nie miał żadnych problemów, żeby nawiązać swobodną konwersację z wu-

<*Z9

jem. W końcu przemógł się nawet i zapytał, kto mieszka w tym osobliwym, starym białym domku po drugiej stronie świerkowego gaju.

— Harvey Blakes — odpowiedział wuj Charlie.

— I Janet — dodała ciotka Sophy.

— Ach, tak, no i Janet — mruknął wuj Charlie, jakby Janet była kimś zupełnie nieistotnym.

Lincolnowi drżała ręka, gdy odstawiał kubek z herbatą. Pokręcił głową na widok ciastka podsuwanego mu przez ciotkę. Miał dość.

— A więc... Janet wciąż tu... mieszka? — wydusił z siebie.

f

— W rzeczy samej — odburknął wuj Charlie, a w jego głosie kryła się nieuświadomiona chyba nutka pogardy, jaką mężczyźni czują wobec starych panien.

— Janet to kochana dziewczyna — zaprotestowała ciotka.

— Zbyt niepozorna — orzekł wuj Charlie. — Zdecydowanie za spokojna. Mężczyźni lubią kobiety z wigorem. Jak pani doktorowa Blythe. Oto kobieta dla ciebie. Poznałem ją dopiero zeszłej zimy, gdy Sophy dostała zapalenia płuc. Mówię ci, pomogła Sophy bardziej niż doktor.

Lincoln podziwiał panią Blythe tak jak wszyscy, ale po latach niekończącego się zrządzenia matki czuł, że spokojna kobieta byłaby dla niego idealna. Wstał.

— Chyba się przejdę nad brzeg — powiedział.

Chciał zejść do białego domku, ale opuściła go odwaga. Bo cóż by powiedział? I tak go nie pamięta. Obejrzy sobie zatoczkę i wróci do domu.

380

Ruszył na przełaj przez pole, które niegdyś porastały setki jaskrów, a teraz służyło za pastwisko. Tu i ówdzie wystawały kępki koniczyń. Nie zdziwił się, gdy na końcu piaszczystej drogi zobaczył kobietę przyglądającą się morskim falom. Jakimś cudem wszystko do siebie pasowało, jakby to zdarzenie ktoś zaplanował wieki temu.

Był całkiem blisko, gdy się odwróciła.

Poznałby ją w każdych okolicznościach. Te same łagodne szaroniebieskie oczy i te same piękne dłonie. Patrzyła na niego lekko rozkojarzona, jakby przeczuwała, że nie jest to ktoś nieznajomy, ale nie miała pewności.

— Czy piaskowa babka gotowa? — zapytał Lincoln.

Oczywiście czystym wariactwem było zaczynać rozmowę w ten sposób, ale czy cały dzień nie był odrobinę szalony? W jej oczach pojawił się błysk rozpoznania.

— Czy to... jesteś Lincolnem Burnsem?

Przytaknął skinieniem głowy.

— Więc pamiętasz mnie i to popołudnie, gdy lepiłiśmy babki z piasku? — zapytał. Janet uśmiechnęła się, a uśmiech sprawił, że jej twarz pdmłodniała i stała się jeszcze cudowniej sza.

— Oczywiście, że pamiętam — powiedziała, jakby czegoś takiego nie dało się zapomnieć.

Zaczęli spacerować wzdłuż brzegu. Z początku milczeli. Lincoln był zadowolony. Pogaduszki były czymś tak powszechnym, nie pasowały do tego czarodziejskiego miejsca i czasu. Nad zatoką wstawał ogromny księżyc. Wiatr poruszał trawami piaszczystych wydm, a morskie fale delikatnie muskały brzeg.

Niedługo będą musieli zawrócić. Przed nimi zaczynał się skalisty fragment wybrzeża. U wejścia do Zatoki Czterech Wiatrów rozbłyskało światło.

Lincoln czuł, że nim powrócą, coś musi zostać postanowione, ale jak miał to, na Boga, załatwić? Absurdem byłoby zapytać: „Wyjdiesz za mnie?”. Przecież nie widział tej kobiety od dwudziestu pięciu lat. Ale tylko to przychodziło mu do głowy, więc zadał owo pytanie, nieporęcznie i ze ściśniętym gardłem.

„No, dokonałem tego”, pomyślał, trzęsąc się z przejęcia.

Janet popatrzyła na niego. W świetle księżyca jej oczy były poważne i nieprzeniknione.

— Długo na ciebie czekałam — powiedziała. — Obiecałeś, że wrócisz.

Lincoln się roześmiał. Nagle prysnęły wszelkie jego obawy, nabrał pewności siebie. Nie czuł strachu przed perspektywą poślubienia Janet. Ona zrozumie, czemu wystawił taką tabliczkę przed sadem i dlaczego leśne polany miały dla niego tak wielki urok. Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

— Wiesz, zawsze się trochę spóźniam — powiedział. — Mówią na mnie Spóźniony Lincoln Burns. Ale lepiej późno niż wcale, kochana Janet.

— Wciąż mam ten niebieski koralik. A gdzie muszla, którą mi obiecałeś?

— W domu, na gzymsie kominka w bawialni — odparł. — Czeka na ciebie.

PRZYGANIAŁ KOCIOŁ GARNKOWI

Phyllis Christine otworzyła oczy: bardzo duże, ciemnobrązowe oczy, których długie rzęsy przez całą noc spoczywały na jej kremowych policzkach niczym wachlarze z jedwabiu — no, może nie przez całą noc, ale na pewno przez tę jej resztkę, która pozostała po wieczornych tańcach w Glen St. Mary.

Uśmiechnęła się swym najpiękniejszym uśmiechem do ciotuni Clack Claxton, która stała przy łóżku z tacą. Chrissie wyglądała dokładnie tak samo jak lata temu — gdy była jedynie małą dziewczynką — niczym dojrzałe, różane jabłuszko, zdrowe i dorodne. Tylko ciotunia nazywała ją Chrissie. Dla całej reszty istniała jako Phyllis, czego teraz nie znosiła!

— Droga ciotuniu, nie powinnaś! Zamierzałam właśnie wstać. Trzeba było mnie zawołać, naprawdę lubię wstawać o poranku, im wcześniej, tym lepiej — tyle że nikt mi nie wierzy. Zdziwiłabyś się, gdybym ci powiedziała, ile wschodów słońca widziałam. Wymykałam się z łóżka, by je podziwiać, a potem z powrotem wskaki-

383

wałam pod kołdrę. Ale naprawdę nie oczekuję i nie chcę żadnego obsługiwania mnie. Tatuś nie wysłał mnie tu, by mnie niańczono. Chciał, żebym nabrała dyscypliny. Więc koniec z przynoszeniem tac.

— No nie wiem, rybeńko — odparła pani Claxton łagodnym głosem. — Pomyślałam sobie po prostu, że będziesz zmęczona po tych wczorajszych hulankach.

W tonie Clack wyczuwało się dezaprobatę dla tego typu rozrywek. Uważała, że Chrissie nie powinna brać w nich udziału. Clarkowie z Ashburn nigdy nie chodzili na potańcówki.

Oczywiście Nan, Diana, może nawet Rilla Blythe na pewno wczoraj się zjawily, choć były ciut za młode na tańce. No ale doktor Blythe musiał się przecież ludziom przypodobać, a poza tym podobno Kenneth Ford uganiał się za Rillą, chociaż byli jeszcze dziećmi.

Ale Chrissie się uparła, że pójdzie tańczyć. A gdy Chrissie coś postanowi, nikt, z wyjątkiem starej pani Clark, nie może jej powstrzymać — a ostatnio to już nawet pani Clark nie była tak skuteczna jak niegdyś, co pani Claxton stwierdzała ze skrywaną satysfakcją.

Chrissie zatem udała się na tańce. Mało tego — zabrała ze sobą ciasto, by wystawić je na aukcji. Ciasto upiekła samodzielnie. To był taki zwyczaj. Bóg wie, który z okolicznych dzieciaków kupił placek i pożarł go w towarzystwie Phyllis Christine Dunbar Clark — która nosiła imiona po dwóch babciach. Obie obróciłyby się w grobie, gdyby wiedziały, że ich wnuczka dzieli się ciastem z jakimś przypadkowym łobuzem podczas hulanki w stodole.

384

wałam pod kołdrę. Ale naprawdę nie oczekuję i nie chcę żadnego obsługiwania mnie. Tatuś nie wysłał mnie tu, by mnie niańczono. Chciał, żebym nabrała dyscypliny. Więc koniec z przynoszeniem tac.

— No nie wiem, rybeńko — odparła pani Claxton łagodnym głosem. — Pomyślałam sobie po prostu, że będziesz zmęczona po tych wczorajszych hulankach.

W tonie Clack wyczuwało się dezaprobatę dla tego typu rozrywek. Uważała, że Chrissie nie powinna brać w nich udziału. Clarkowie z Ashburn nigdy nie chodzili na potańcówki.

Oczywiście Nan, Diana, może nawet Rilla Blythe na pewno wczoraj się zjawily, choć były ciut za młode na tańce. No ale doktor Blythe musiał się przecież ludziom przypodobać, a poza tym podobno Kenneth Ford uganiał się za Rillą, chociaż byli jeszcze dziećmi.

Ale Chrissie się uparła, że pójdzie tańczyć. A gdy Chrissie coś postanowi, nikt, z wyjątkiem starej pani Clark, nie może jej powstrzymać — a ostatnio to już nawet pani Clark nie była tak skuteczna jak niegdyś, co pani Claxton stwierdzała ze skrywaną satysfakcją.

Chrissie zatem udała się na tańce. Mało tego — zabrała ze sobą ciasto, by wystawić je na aukcji. Ciasto upiekła samodzielnie. To był taki zwyczaj. Bóg wie, który z okolicznych dzieciaków kupił placek i pożarł go w towarzystwie Phyllis Christine Dunbar Clark — która nosiła imiona po dwóch babciach. Obie obróciłyby się w grobie, gdyby wiedziały, że ich wnuczka dzieli się ciastem z jakimś przypadkowym łobuzem podczas hulanki w stodole.

384

No, ale gdyby ciasto kupił Kenneth Ford lub Kuba Blythe, sytuacja nie byłaby taka zła. Tyle że wszyscy mieli równe szanse. Poza tym każdy wiedział, że Kuba Blythe i Faith jakaś tam mieli się ku sobie, choć rzecz jasna byli na to zdecydowanie za młodzi. W dzisiejszych czasach już dzieciaki się w sobie zakochują. Za jej czasów tak nie było. Clack westchnęła. No, ale stara pani Clark, ciotka Chrissie, która wychowała dziewczynkę po śmierci jej matki, wciąż przecież żyła. „Wychowała”, też coś! Clack miała własne zdanie na ten temat. Ale czemu, na litość boską, pozwoliła Chrissie przyjechać tu, do Wspomnienia na cały miesiąc, gdy wcześniej nigdy nie zgadzała się na odwiedziny małej u starej piastunki? To była rzeczywiście zagadka. Stara pani Clark i pani Claxton szczerze, choć skrycie, nienawidziły się przez wszystkie te lata spędzone w Ashburn. Pani Clark nie cierpiała Clack, bo Phyllis Christine kochała piastunkę bardzo, a ciotki nie kochała w ogóle, mimo że ta ją wprost zarzucała podarunkami.

Pani Clark miała jednak wpływy, więc zadbała o to, żeby dziewczynka już nigdy nie odwiedziła Polly Clax-ton, której wuj pozostawił w spadku trochę pieniędzy i mały domek na wsi, w jakiejś zapyziałej dziurze o nazwie Mowbray Narrows. Dom nazywał się Wspomnienie i Polly natychmiast się tam przeprowadziła, opuszczając w każdym calu poprawną i profesjonalnie zaprojektowaną posiadłość w Ashburn, położoną w okolicy Charlottetown. Żał z powodu rozstania z ukochaną

<3&ó

f

Chrissie mieszał się z satysfakcją, że uciekła spod jarzma pani Clark. Liczyła na to, że Chrissie będzie mogła ją odwiedzać, ale nadzieje okazały się próżne. Mogła zresztą się tego spodziewać. Nie miała nawet pewności, czyjej kartki, które wysyłała Chrissie na każde urodziny, docierały do adresatki.

Oczywiście Chrissie owych pocztówek nigdy nie dostała. Stara pani Clark już o to zadbała. Dlatego też gdy Chrissie nagle i niespodziewanie zjawiła się u niej, i to na cały miesiąc, ciotunia'Clack była ogromnie ciekawa, jaka to tajemnica kryła się za tym przybyciem. Oczywiście nie posiadała się również z radości.

Na razie jednak nie zadawała żadnych pytań. Gdy Chrissie poczuje, że jest gotowa, o wszystkim jej powie. A jeśli taki moment nie nadejdzie — też dobrze. Dla ciotuni Clack wystarczającą nagrodą był widok jej ukochanego maleństwa, z którym przez pięć lat nie miała kontaktu. Znowu mogła rozpieszczać swoją Chrissie i spełniać wszelkie jej zachcianki. Clack była jednak święcie przekonana, że za całą sprawą stała stara pani Clark, choć na razie nie domyślała się dlaczego. W każdym razie jej władza nie sięgała poza Ashburn, a już na pewno nie rządziła tu, we Wspomnieniu. Polly Claxton zrobi wszystko, by pokrzyżować jej plany. Mimo to była ciekawa. Znała panią Clark na tyle dobrze, by wiedzieć, że zwykła ona dopinać swego. Była w stanie nawet sprawić, że Adam wierzył, iż czarne jest białe, i na odwrót.

386

Clack (zawsze już miała pozostać dla Chrissie ciotunią Clack) uniosła żaluzje, a Chrissie (zawsze będzie tak nazywana we Wspomnieniu, nigdy Phyllis) uniosła się na łokciu i wyjrzała przez okno na rzeczkę, wijącą się niczym lśniący niebieski wąż po zboczu fioletowego wzgórza. Tuż pod oknem rozciągało się poletko, białe jak śnieg od rosnących tam

stokrotek. Sam dom zaś stał w przyjemnym cieniu wielkiego klonu, którego gałęzie nachylały się lekko nad dachem. Gdzieś w dali widać było białe kożuchy morskich fal w Zatoce Czterech Wiatrów, rozległe, skapane w słońcu piaszczyste wydmy i czerwone klify.

Taki spokój, łagodność i piękno zdawały się czymś nierealnym. To tato wysłał ją tutaj, choć Chrissie wiedziała, że namówił ją do tego ciotunia, twierdząc, że ten nudny, oddalony od cywilizacji zakątek nauczy ją dyscypliny. Chrissie się uśmiechnęła.

A jej uśmiech rozbrajał każdego człowieka, z wyjątkiem Adama Clarka i ciotuni Clack.

Nawet Clack uważała, że w gruncie rzeczy tańce w stodole, podczas których nie dochodziło do żadnych ekscesów, były całkiem przyzwoitą formą spędzania wolnego czasu, a Clarkowie byli po prostu zbyt zadufani

w sobie. W rzeczywistości myślała głównie o starej pani

*

Clark, choć prędzej by umarła, niż się do tego przyznała. Całkiem możliwe, że stara pani Clark miała jakiś ukryty cel, wysyłając Chrissie do Wspomnienia. Bo jednego Clack była pewna: wszystko zostało uknute przez panią Clark. W końcu mieszkały razem przez pięć lat — zdążyła ją poznać i wie, że pani Clark zawsze stawia na swoim.

387

Podniosła szyfonową żonkilową sukienkę, którą Chrissie miała na sobie wczoraj, i zawiesiła z czułością w szafie, zachwycona, że znów może pomagać Chrissie. Oczywiście pani Clark była zdania, iż młode dziewczęta powinny samodzielnie dbać o własną garderobę. Zuzanna Baker ze Złotego Brzegu mówiła, że jej podopieczne muszą same troszczyć się o sukienki.

Ale mimo wszystko każdy by przyznał, że Blythe'owie to nie to samo, co Clarkowie.

Jej rybieńka musiała ślicznie wyglądać w tym stroju, ze złocistobrazowymi kręconymi kosmykami zaczesanymi za śliczne uszka...

Clack nie wiedziała — a gdyby się dowiedziała, dostałaby apopleksji — że sukienka kosztowała Adama Clarka siedemdziesiąt dolarów. Owszem, była ładna, ale nie ładniejsza od sukienek dziewczynek Blythe'ów, a przecież Zuzanna Baker mówi, iż same sobie szyją kreacje. Jedynym pocieszeniem dla pani Clack byłaby świadomość, że wydanie tak dużej sumy musiało zboleć panią Clark, która kupowanie sukienek uważała za grzech. Najchętniej wszystkie pieniądze posłałaby na misje. Choćby z tego względu Clack wybaczyłaby Adamowi Clarkowi wszelkie zakupy.

— Kochana ciotuniu! Świeży chleb z masłem! Odkąd wyjechałaś, nie jadłam takich pyszności. Ciotka twierdzi, że to niezdrowe.

— Może i niezdrowe, przynajmniej tak uważa doktor Blythe.

— Wszyscy tutaj chyba ubóstwiają tego doktora Blythea.

— Jak na mężczyznę jest całkiem w porządku — odparła ostrożnie Clack, która w ogień by wskoczyła za każdym z rodziny Blythe'ów. — Ale pajda chleba z masłem od czasu do czasu nikomu jeszcze nie zaszkodziła. Niekiedy Zuzanna Baker piecze takie bochny, a pani Blythe tylko się uśmiecha, gdy doktor się zajada, i mówi: „Cóż to za pyszny chleb, Zuzanno!”. Z mężczyznami trzeba umieć się obchodzić. Nauczysz się.

— Och, i truskawki!

— Zebrałam je dziś rano z ogródka na tyłach domu. Świeżuteńkie.

— I śmietanka w tym ślicznym dzbanuszk, ozdobionym wersami jakiegoś wiersza! Ciotunia nalegała kiedyś, byś jej go odsprzedała. Pamiętasz?

— Kiedy już mnie nie będzie na tym świecie, rybeń-ko, ty dostaniesz ten dzbanuszek. Zapiłam ci go w testamencie. Pamiętaj.

— Nie opowiadaj o testamentach i umieraniu w tak piękny poranek, kochana Clack. Spójrz na te złociste i fioletowe bratki! Sama je wyhodowałaś?

— Zuzanna Baker przyniosła mi sadzonki — przyznała niechętnie Clack. — Pani Blythe ma świetną rękę do bratków. Czy jej córki były na wczorajszej zabawie, Chrissie?

— Oczywiście, że były. Właściwie wszyscy się zjawili! Nie wiem, czemu się tak sprzeciwiałaś mojemu wyjściu, droga Clack...

— Bo mi się zdawało, że...

— Myślałaś, że to poniżej godności Clarków? Bądź szczerą, Clack. A może bałaś się ciotuni?

3<9j

— Nigdy nie bałam się twojej ciotki. Ale jestem przekonana, że to ona stoi za pomysłem wysłania cię tutaj. Zawsze musi postawić na swoim.

— To nie był pomysł ciotuni, tylko taty.

— Ona go do tego namówiła. Ale nie zamierzam się z tobą sprzeczać, rybeńko. Głodna jesteś?

— Głodna? Od twojej niezrównanej wczorajszej kolacji nic w ustach nie miałam z wyjątkiem kawałka ciasta. I to przełknęłam tylko kawałek — mój partner poczuł się dość urażony. Oczywiście Kenneth Ford kupił placek Rilly Blythe — tej dzieciny. Nie wiem, jakim cudem rozpoznał, że to właśnie jej.

— Zuzanna Baker ma specjalny sposób fałdowania brzegów swoich ciast — wyjaśniła Clack. — W każdej dziedzinie życia istnieją pewne sztuczki, rybeńko! Nawet stolarze wbijają czasem gwoździe za pomocą śrubokręta. Chłopcy zwykle wiedzą, czyje ciasta zostały wystawione na aukcje. Choć przyznaję, że dziewczynki Blythe'ów są dość młode jak na takie harce. Ale to ich sprawa. Przypuszczam, że tłumy wielbicieli uganiały się za ich wypiekami?

— O, tak, Blythe'ówny wydają się dość popularne. No chyba że fałdki Zuzanny tak na wszystkich podziały. Mój partner nie miał ciasta z tak ozdobnymi brzegami. Chyba nie pochodzi stąd. Również zjadł tylko kawałek. Mam nadzieję, że nie pomyślał, iż to mój wypiek. Potem już niewiele tańczyłam, zapewniam cię.

— A kto kupił twoje ciasto? — spytała Clack z udawaną obojętnością, wkładając prawidła do pantofelków na nieprzyzwoicie wysokich obcasach.

490

— Jakiś młodzieniec o nazwisku Don Glynne. Podobno jest nowym ogrodnikiem u panny Merrion.

— A, słyszałam, że panna Merrion zatrudniła ogrodnika — rzekła Clack, starając się ukryć przerażenie wywołane wiadomością, iż Chrissie jadła ciasto z ogrodnikiem. Chociaż... ogrodnik był sto razy lepszy od najemnego robotnika... — Przyjechał tu tydzień temu. Podobno panna Merrion jest bardzo zadowolona, więc ten Glynne musi być niezłym pracownikiem. Jej trudno dogodzić. W ciągu roku pięć razy zmieniała ogrodników. Wiesz, że mieszka tuż za Lowbridge? Ludzie chwalą jej dom, bo ma śliczny ogródek skalny i stawy. Sprowadziła się tu kilka lat temu, a ogrodnictwo to jej hobby.

— Tak, Don mi opowiadał. Zresztą dość długo rozmawialiśmy i tańczyliśmy. Szczerze mówiąc, poza Blythe'ami i Fordami był jedyną sensowną osobą na tej imprezie.

— Nie wątpię — odparła Clack najbardziej sarkastycznym tonem, na jaki było ją stać. Miała nadzieję, że o wszystkim dowie się stara pani Clark.

— Polubiłam go, kochana Clack. Jak tylko się poznaliśmy, poczułam, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Spodobał mi się, bo jest wysoki, ma szerokie ramiona, lśniąco czarne włosy, wyraźne brwi, a pod nimi granatowoczarne, mgliste oczy... Najprzystojniejszy chłopak na zabawie, może z wyjątkiem Kuby Blythe'a, który — swoją drogą — podobno się zaręczył z córką pastora.

— Toż to jakieś bzdury, kochanieńka.
— Co jest bzdurą, droga Clack? To, że Kuba Blythe jest przystojny, czy to, że zaręczył się z Faith Meredith?

— Ani jedno, ani drugie. Kuba jest przystojnym młodzieńcem, a Faith Meredith z pewnością okaże się wspaniałą żoną, gdy nadejdzie właściwy czas. Bo przecież to jeszcze dzieci, Kuba niedługo wyjedzie na studia. Zamierza być lekarzem jak jego ojciec. Mam nadzieję, że okaże się przynajmniej w połowie tak zdolny jak doktor Blythe.

— Ależ wy wszyscy ubóstwiacie tych Blythe'ów! Jasne, to miła rodzina, ale...

— Gdyby nie doktor Blythe, nie byłoby mnie dzisiaj wśród żywych — przerwała Clack.

— Jestem mu zatem winna dozgonną wdzięczność. Ale wróćmy do sedna sprawy. Co ci się wydaje taką bzdurą?

— No, jak to co: sympatia do mężczyzny tylko z powodu jego granatowoczarnych oczu! Najpodlejszy drań, jakiego kiedykolwiek spotkałam, też miał takie oczy. Gnije teraz w więzieniu.

— Lepszego argumentu nie mogłaś wymyślić, ciotuniu. Założę się, że George ma idealne, zielonoagrestowe oczy.

Clack znieruchomiała. Poczula, że jeszcze chwila, a odkryje prawdziwy powód, dla którego stara pani Clark zezwoliła Chrissie na przyjazd do Wspomnienia. Starła się jednak zachować stoicki spokój.

— Jaki znowu George? — spytała, podnosząc tacę z łóżka Chrissie z pozorną obojętnością.

— „Jaki znowu George?“, pyta. Jakby istniał na ziemi ktoś, kto nie zna George'a!

— Znam z tuzin różnych George'ów — odparła niewzruszona Clack.

492

— Cóż, mogę ci opowiedzieć całą tę historię. Dowiesz się, dlaczego zostałam tu przysłana. Oczywiście, jeśli cię to interesuje. Bo jeśli nie, to nie ma sensu, abym cię zanudzała, Clack.

— Och, wiesz dobrze, że mnie to ciekawi — odrzekła dyplomatycznie Clack. — Poza tym doskonale wiem, że za wszystkim stoi twoja ciotka.

— Również mam takie podejrzenia. Z pewnością tato sam by tego nie wymyślił.

— Jeśli twoja ciotka coś uknuła, możesz się poddać już teraz — rzekła Clack. — Ona i tak postawi na swoim, o to się nie bój.

— Tym razem będzie inaczej, Clack. Będzie inaczej. No, ale jeśli chcesz się dowiedzieć... tylko pamiętaj, że to tajemnica... Nie możesz powiedzieć nawet Zuzannie Baker.

— Ani Zuzannie Baker, ani nikomu nie zdradzam sekretów innych ludzi — uniosła się dumą Clack.

— A więc on nazywa się George Fraser i jest mężczyzną, którego — zdaniem tatusia i ciotuni — powinnam poślubić. Oto cała prawda, kochana Clack.
Polly Claxton замуrowało.

— Masz go poślubić, a nawet nie wiesz, jakiego koloru ma oczy?

Mówiąc to, uświadomiła sobie, że przecież ona sama zdążyła już zapomnieć, jakiego koloru oczy miał jej mąż. Chyba były szaroniebieskie.

— Nie wiem, bo nigdy go nie widziałam, kochana Clack.

aps

— Nigdy?! I zamierzasz za niego wyjść za mąż? — Clack nie mogła otrząsnąć się z oszołomienia. Cóż ta stara pani Clark kombinowała?

— Nigdy — potwierdziła Chrissie — i mam nadzieję, że go nie zobaczę. Chociaż, oczywiście, czuję niepokój. Wiesz dobrze, że ciotunia jest w stanie dążyć do celu po trupach. Ponadto tym razem ma po swojej stronie tatusia.

O tak, Clack dobrze zdawała sobie z tego sprawę. Ale czemu, do licha, stara pani Clark i Adam Clark uparli się, aby Chrissie wyszła za mężczyznę, którego nie chce? Adam Clark zwykle brał stronę Chrissie, chociaż — jak przyznała Clack z odrobiną złośliwości — rzadko jej to wychodziło na dobre. W końcu i tak pani Clark stawiała na swoim. W grę muszą wchodzić pieniądze. Clack zdawała sobie sprawę, że Adam Clark wcale nie był tak bogaty, jak ludzie mówili.

— Ciotunia się uprze i mnie wyswata — mówiła Chrissie z uniesieniem. — A ja nie chcę wyjść za George'a. Po prostu nie chcę.

— Zakochałaś się w kimś innym? — spytała Clack, pełna obaw. To rzeczywiście skomplikuje sprawy. W Chrissie krążyła przecież krew Clarków — była równie uparta jak cała reszta. — Czemu oni chcą, żebyś wyszła za George'a? I jak to się stało, że go nie znasz?

— Ponieważ jest kuzynem w trzeciej linii czy kimś w tym rodzaju. Mieszka od dziecka na wybrzeżu. A wiesz, że Clarkowie są zdania, iż nie powinno się poślubiać kogoś, kto nie jest w najmniejszym stopniu z tobą spokrewniony.

— Tak, wiem. Rodzinna tradycja — pokiwała głową Clack. — A on pewnie nie ma pieniędzy.

4

— Och, ten cały George ma pieniędzy jak lodu!

„To wiele wyjaśnia”, pomyślała Clack, ale była zbyt pruderyjna, by powiedzieć to na głos.

— Bo widzisz, mój stryjeczny dziadek Edward umarł jakiś rok temu. Był nieprzyzwoicie bogaty.

— Są rzeczy gorsze od pieniędzy — zawyrokowała Clack. — Z taką fortuną mogłabyś zdziałać wiele dobrego.

— Jestem pewna, że stryjeczny dziadek Edward nic dobrego z pomocą swych pieniędzy nie zdziałał. Po prostu rozkoszował się ich gromadzeniem. Nie sądziliśmy jednak, że dostaniemy jego miliony. Pamiętasz o tej starej kłótni?

Tak, Clack pamiętała. Adam Clark opowiedział jej kiedyś o wszystkim, gdy wypił o kieliszek za dużo. Pani Clark z pewnością prędzej by umarła, niż podzieliła się rodzinnymi historiami ze służącą.

— Cóż, to oczywiście była jeszcze jedna przeżarta przez mole tradycja, którą piastowaliśmy. Więc byliśmy zszokowani, gdy odczytano jego testament. Testamenty są potworne, prawda Clack?

— Rzeczywiście potrafią sprawić mnóstwo kłopotów

— zgodziła się Clack. — Ale właściwie, jak tu sobie bez nich poradzić? Mogę spytać, cóż takiego było w testamencie dziadka?

— Możesz pytać o cokolwiek, kochana.

— Zostawił ci jakieś pieniądze?

— Aż takiego szczęścia nie miałam, a przynajmniej

— nie do końca. Zostawił cały majątek temu obrzydliwemu George owi Fraserowi i mnie, jeśli się pobierzemy, nim skończę dwadzieścia jeden lat. A to już za rok. Czy słyszałaś kiedykolwiek o czymś równie okropnym,

SJÓ

beznadziejnym i wiktoriańskim, droga Clack? No, odpowiedz.

— Mogło być o wiele gorzej — odparła Clack. — Słyszałam już o dziwniejszych testamentach.

Clack nie miała pojęcia, co oznacza słowo „wiktoriański”, ale o jednym była przekonana: Chrissie nie spodobała się ostatnia wola dziadka Edwarda, i trudno było się dziewczynie dziwić. Dla nikogo nie byłoby przyjemne wychodzić za mąż za kogoś, kogo się nigdy nie widziało. Ale teraz rozumiała pobudki Adama Clarka i pani Clark. Oni przecież wierzyli w siłę pieniądza. Chrissie była inna, ale to pewnie po zmarłej matce. Nie miała w sobie prawie nic z charakteru Clarków. Ale też — nigdy nie zaznała biedy.

— A co się stanie, jeśli nie będziesz chciała wyjść za niego? Albo on się z tobą nie ożeni? — tej ostatniej możliwości Clack tak naprawdę nie brała pod uwagę. Może zakochał się już w innej dziewczynie? Clack zadrżała. Ależ wszystko by się skomplikowało. Ale wysłać Chrissie do Wspomnienia na miesiąc, by przełamać jej opory? To dopiero nonsens! Nie... stara pani Clark z pewnością musiała coś kombinować.

— Oby to nie skończyło się szpitalem. Oczywiście powiedziałam, że nie wyjdę za niego. To dlatego ukarano mnie zesłaniem tutaj. Ale nie masz pojęcia, jak się cieszę, że mogłam do ciebie przyjechać, kochana.

— Na pewno nie cieszysz się bardziej niż ja — wyznała szczerze Polly Claxton.

— Wyobraź sobie, Clack, że ten cały George napisał ojcu list, iż ma jakieś interesy do załatwienia, więc w le-

cie nas nie odwiedzi, ale spróbuje jesienią. Ta kreatura zatem pracuje.

— To chyba nie świadczy o nim źle, skarbie — zauważyła mądra Clack.

— Nie twierdzę, że to źle. Lubię ludzi, którzy nie boją się pracy. Ale mógł okazać mi większe zainteresowanie. Nie ulega wątpliwości, że po prostu nie chciał przyjechać. I tyle.

— Może podobnie jak tobie nie podoba mu się perspektywa ożenku z kimś, kogo nie widział na oczy — zasugerowała Clack.

— Przynajmniej mógł przyjechać, poznać mnie, porozmawiać o tej całej sytuacji. Ale nie przyjechał, a tatuś — nakłoniony przez ciotunię, co do tego obie nie mamy przecież wątpliwości, Clack — wymyślił, że pojedzie na wybrzeże i zabierze mnie ze sobą. Wyobrażasz to sobie?

— Rzeczywiście, to głupota — zgodziła się Clack, która uważała ten pomysł wprost za idiotyczny.

— Chcieli mnie tam zaciągnąć, bym się zgodziła na ślub! Tak się bali, że miliony przejdą im koło nosa.

— Hmm — mruknęła Clack.

— Boją się, że George może zakochać się w kimś innym. Może już jest zakochany! O tym wcześniej nie pomyślałam.

— Całkiem możliwe — zgodziła się Clack. — Przecież nigdy cię nie widział.

— Może to dlatego nie zrezygnował z załatwiania swoich głupich interesów, by przyjechać do mnie. Ale mógłby nam wprost powiedzieć. Cóż, jeśli tak się spr-

497

wy mają, to jest remis, boja też mu odmówiłam i zamierzam się tej decyzji trzymać.

Urządziłam awanturę.

— Całkiem możliwe — przyznała Clack, przypominając sobie własne awantury z panią Clark. Były to satysfakcjonujące wspomnienia, bo nie każdy konflikt kończył się zwycięstwem pani Clark.

— Wiesz, jak trudno przekonać ciocię do czegokolwiek, w co sama nie wierzy.

— Och, wiem doskonale, rybeńko.

— Nie masz pojęcia, jak to miło, gdy ktoś -znowu zwraca się do ciebie „rybeńko"! A co do ciotki, to jej oczywiście w głowie się nie mieści, że można wzgardzić pięcioma milionami.

— To mnóstwo pieniędzy — zauważyła Clack.
— Kochana Clack, nie bądź materialistką. Przecież to nie w twoim stylu. Chcesz mi powiedzieć, że za takie pieniądze gotowa byłabyś poślubić kogoś, kogo nie widziałaś ani razu?
— Nie, rybeńko. Ale na pewno bym postarała się go poznać.
— Nawet gdyby nie chciał cię odwiedzić?
— Nie... Ale jakoś bym to załatwiła.
— Clack, mam wrażenie, że przesłaś na stronę wroga.
— Nigdy, rybeńko. Znasz mnie przecież. Chciałam tylko, byś spojrzała na obie strony medalu.
— Jest tylko jedna strona. Cóż, skończyło się na tym, że zostałam przysłana tutaj, a raczej dano mi wybór — albo jadę tu, albo na wybrzeże. Nie zastanawiałam się nawet przez ułamek sekundy. „Popelniasz błąd”, ostrzegła ciotunia lodowatym tonem.

338

— Znam ten ton — westchnęła Clack.
— Odparłam, że mam prawo do podejmowania własnych decyzji.
„Jak my wszyscy — pomyślała pani Clack. — Ale nie mamy prawa do obarczania winą za konsekwencje innych ludzi. Choć większość z nas i tak to robi”. Na głos natomiast zapytała:
— I co na to twoja ciotka?
— Och, powiedziała tylko: „W rzeczy samej”. Wyobrażasz sobie? Chyba nie muszę ci przypominać, jakim tonem wypowiedziała te słowa. Poza tym wiesz, że gdy ciotka mówiła „W rzeczy samej”, zwykle się poddawałam. Ale nie tym razem. Cieszyłam się, że nie dałam za wygraną... I poczułam ulgę.
„Chwilową”, pomyślała Clack.
— Miałam nieprzyjemne wrażenie, że ciotka i tak postawi na swoim.
„Bo to prawda”, skwitowała w myślach Clack.
— Ale tym razem jej się nie uda.
— Ten George mógłby się okazać miłym chłopakiem, rybeńko.
— Clack, on jest gruby. Nie mam wątpliwości, że jest gruby. Nie znam szczupłego George'a.
— George Mallard jest chudziutki jak szczapa.
— Wyjątek potwierdzający regułę. Poza tym w domu wisi zdjęcie George'a Frasera, które jego matka przesłała ciotce, gdy był malutki. Przynajmniej jego matka miała odrobinę zdrowego rozsądku i nie rozpamiętywała starych klótni. To dziecko na fotografii jest grube i rozwrzeszczane.

9

— Ale niemowlęta się zmieniają, rybeńko. Niektórzy z najszczuplejszych ludzi, jakich znam, w dzieciństwie byli pulchniutcy.
— Mam wrażenie graniczące z pewnością, że George się nie zmienił. To na pewno tłuścioch z twarzą okrągłą jak księżyc w pełni. Kto by chciał poślubić księżyc w pełni?
— Wiele kobiet — powiedziała Clack. — I są z nimi bardzo szczęśliwe. Ale wolałabym, żebyś omówiła tę sprawę z panią Blythe.
— Ależ Clack, przecież mówiłam ci, że to tajemnica.
— I tajemnicą rzecz jasna pozostanie, kwiatuszku. Ale pani Blythe wie wszystko o mężczyznach...
— Wydaje mi się, że otaczasz owych Blythe'ów jakąś czcią, ciotuniu. Ciągłe ich cytujesz.
— Otaczam czcią jedynie Stwórcę — odparła karcącym tonem Clack. — Ale jednak pani Blythe zeswatała ze sobą tyle osób...
— To mnie nie przekonuje, Clack. Nie chcę, by ktoś mi szukał męża.

Mówiła poważnie. Zabawnie byłoby odegrać się na starej pani Clark. Ale czy komukolwiek się to udało? Clack sobie nie przypominała.

— Wiem, że mogę na tobie polegać, ciotuniu. I pamiętaj, ani słowa Blythe'om czy Zuzannie Baker.

— Jakbym ja kiedykolwiek zdradzała sekrety Zuzannie Baker! To znaczy, mam na myśli sekrety innych osób.

— No proszę, zjadłam wszystkie truskawki. Pycha. Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam truskawki. Nawet

400

m

i*

wylizałam talerz, kiedy wyciągałaś moją spinę z kosza na pranie.

— Och, nie, rybeńko. Czy Clarkom to przystoi?

— A myślisz, że Nan Blythe wylizałaby talerz?

— Sądzę, że to mało prawdopodobne. Została dobrze wychowana. Zuzanna Baker twierdzi, że...

— Nieważne, co sądzi Zuzanna Baker. Nic mnie nie obchodzą opinie ani jej, ani Blythe'ów. Uważam, że oni są miłą rodziną — szkoda, że Kuba Blythe nie jest parę lat starszy. On na pewno nie utyje i nie ma na imię George.

— Co zamierzasz dziś robić, rybeńko?

— Jak to co? Zamierzam przeżyć dzisiejszy dzień, kochana Clack. Tak dawno już nie byłam radosna. Wiesz przecież, że w Ashburn się nie żyje. Po prostu się egzystuje. Jeśli zaś chodzi o konkretne plany, to wybieram się z Donem po południu do miasta.

— Donem? Jakim Donem?

— Kochana Clack, już zdążyłaś zapomnieć? Chodzi o chłopaka, który kupił moje ciasto i zjadł je z inną dziewczyną. Zastanawiam się natomiast, co stało się z resztą ciasta, które kupił mój partner. Nie słyszałaś, żeby komuś zdechł pies?

— Tylko nie mów, że masz na myśli Dona Glynne'a, tego ogrodnika od panny Merrion?

— A kogóż by innego? Przecież nie mieszkają tu dwaj chłopcy, którzy się identycznie nazywają. Don wybiera się do miasta po kosiarkę i jakieś ślimaki do nowego cementowego stawku, który urządza w ogrodzie panny Merrion.

Clack musiała usiąść. Czuliła, że nie obejdzie się bez wyrażenia sprzeciwu:

— Rybeńko, a nie sądzisz, że powinnaś być odrobinę bardziej... wymagająca? Toż to w końcu tylko ogrodnik, najemny pracownik.

— Jestem pewna, że to wspomniała ogrodnik, jeśli prawdą jest to, co opowiadałaś mi o pannie Merrion. Straszna z niej dziwaczka, zdaniem Dona, ale na ogrodach się zna.

— Mówisz do niego „Don”?

— Oczywiście, droga Clack. Chciałabyś, żebym się do niego zwracała „panie ogrodniku”? On mówi do mnie „Chrissie”. Powiedziałam, że nazywam się Christi-ne Dunbar. No nie patrz tak na mnie, kochana. To żadne oszustwo, odrobinę podkoloryzowałam, dla bezpieczeństwa. Nigdy by się ze mną nie zaprzyjaźnił, gdyby się dowiedział, że jestem córką Adama Clarka.

— Pewnie nie — zgodziła się Clack, zachowując resztki powagi.

— Myśli, że jestem twoją siostrzenicą. Bo mówię na ciebie „ciociu”. Mam nadzieję, że nie wstydzisz się, iż zostałam twoją siostrzenicą?

— Rybeńko... j

— I mam wrażenie, Clack, choć osobiście nic mu nie mówiłam, naprawdę, że on sądzi, iż pracuję w mieście jako guwernantka. Powiedziałam tylko, że życie guwernantki musi być nudne i ciężkie.

— Pewna jestem, że pani Blythe nigdy nie zezwoliłaby swoim dziewczynkom na uganianie się za... służącym.

402

— Clack, jeśli jeszcze raz przywołasz w jakimkolwiek sensie rodzinę Blythe'ów, to czymś w ciebie rzucę. Aha, Don pochwalił też ciasto, choć nie wiedział, że to ja je upiekłam! A dziś wieczorem wybieramy się do Zatoki Czterech Wiatrów, by popływać w świetle księżyca. No nie patrz tak, kochana. Oprócz nas będzie jeszcze mnóstwo innych osób. Nie przejmuj się, najdroższa Clack. To tylko taka mała przygoda. Na pewno się nie zakocham w ogrodniku panny Merrion, jeśli to bałaś się usłyszeć.

— Nie bałam się. Bo nie mogłabyś zapomnieć, że należysz do rodu Clarków z Ashburn.

— Nie mogłabym? Och, nie masz pojęcia, jakie byłoby to łatwe. Nie masz pojęcia, jak zmęczona jestem byciem Clarkówną z Ashburn. Ale mimo to nie zamierzam zakochiwać się w Donie Glynnie, mimo jego zamglonych, niebieskich oczu.

— Ale co z nim?

Clack czuła, że trafiła w sedno.

— Och, on też się we mnie nie zakocha. Wydał mi się bardzo zrównoważonym, rozsądnym mężczyzną, który po prostu szuka rozrywki na lato. Poza tym... mężczyźni chyba potrafią sami o siebie zadbać?

Clack, która przez całe życie sama w to święcie wierzyła, nie mogła nie zgodzić się z Chrissie, ale mimo to...

— Lecz kto to widział uganiać się za towarzystwem pospolitych ludzi...

— On jest bardziej inteligentny niż większość młodych ludzi z moich okolic. Na pewno zgodziłby się pojechać na Wschód, by poznać dziewczynę, którą przed

swoją śmiercią wybrał mu na żonę stryj. Spakowałby parę rzeczy do walizki i wsiadł w pierwszy pociąg.

— Ale skąd ty to wiesz, rybeńko?

— Poczekaj, aż zobaczysz jego oczy, Clack. Charakter mężczyzny można poznać po jego oczach.

— Nie zawsze, rybeńko — mruknęła Clack. — Jeden z najwspanialszych mężczyzn, jakich znałam, miał, jak ty to mówisz, zielonoagrestowe oczy, wylupiate zresztą.

— Oczywiście, zawsze są jakieś wyjątki. Clack, czy ja jestem zepsuta?

— Oczywiście, że nie.

— Ciotka jest innego zdania. Podobnie tato. Cóż, niech się dzieje, co chce. Zdaje mi się, że skończy się na tym, iż poślubię tego całego George'a.

— Nigdy nie wyjdiesz za mąż za kogoś, kogo nie kochasz, rybeńko.

— Ale zawsze potrzebowaliśmy pieniędzy, żeby utrzymać pewien poziom życia, mimo że byliśmy rodem Clarków. A to nie jest nic przyjemnego Clack, naprawdę.

— Lepsze to niż małżeństwo z mężczyzną o zielono-agrestowych oczach — odparła Clack, z łatwością żonglując argumentami.

— Och, on może nie ma agrestowych oczu. Może jest piękny niczym bóg. Ciotka powiedziała mi kiedyś, że zdolna jestem tylko do pustych egzaltacji.

— Bujda — oburzyła się Clack.

— Cóż, może miała rację. Ty nie jesteś obiektywna, bo trzymasz moją stronę. W każdym razie jeśli to prawda, może powinnam po prostu znaleźć sobie najlepszą partię...

— Nie podoba mi się to, co mówisz, rybeńko — rzekła zde gustowana Clack. — To do ciebie nie podobne.

— Bo, jak już ci mówiłam, ty mnie idealizujesz. W rzeczywistości jestem jak inne dziewczęta. W dodatku pełna sprzeczności, jak to u Clarków. Gdyby tato i ciotka sprzeciwiali się temu małżeństwu, ja całą duszą dążyłabym do niego. Ale nieważne. Mogę się rozkoszować tym cudownym miesiącem, a potem będę musiała podjąć decyzję, więc nie zepsuj mi tego czasu, kochana Clack.

— Taka się już urodziłaś — powiedziała Clack zrezygnowanym głosem. Postanowiła umyć od wszystkiego ręce. Poza tym i tak Chrissie postąpi, jak będzie chciała, nie licząc się z nikim, z wyjątkiem starej pani Clark.

Nic innego nie pozostawało do zrobienia. Przekonywanie Chrissie nie miało sensu. Musiała nawet zignorować Zuzannę Baker, która napomknęła, że Clarkównie z Ashburn nie przystoi zadawać się z ogrodnikiem panny Merrion.

Poza tym nie mogła nie polubić Dona Glynne'a, mimo że próbowała go znienawidzić. Rzeczywiście wzbudzał wielką sympatię, a jego oczy były niezwykle. Nawet gdy miał na sobie kombinezon ogrodnika. Bo właśnie w takim stroju i za kierownicą rozklekotanego forda, którego panna Merrion używała swoim pracownikom, przyjechał po Chrissie po południu.

Clack wytrzymała jakoś całą tę sytuację tylko dzięki temu, że wyobrażała sobie minę starej pani Clark na widok tych dwojga oddalających się szosą. Zadowolona, rozkoszna Chrissie w błękitnej sukience obok młodzieńca w wypłowiałym kombinezonie.

40

— Lubisz mnie dziś tak samo jak wczoraj wieczór? — spytał Don bez ogródek. Uderzyło ją, że nadal tak samo go lubi, mimo wszystkich tych bzdur naopowiadanych Clack. Wcześniej wydawało jej się, że magia nocy zblednie w świetle dnia.

Ale w swoim kombinezonie wydawał się nawet przystojniejszy niż w eleganckim ubraniu. A co do magii — magia była wszędzie. Gdy pędzili kabrioletem w złocistych promieniach popołudniowego słońca, cała okolica zdawała się wprost emanować czarem.

Loki Chrissie wiatr zwał do tyłu, odsłaniając twarzyczkę, a w jej oczach zabłyśły gwiazdy. Pęk róż z ogrodu panny Merrion leżał na jej kolanach, a zapach kwiatów pobudzał jej zmysły. Don Glynne nie wierzył, że Chrissie będzie tak ładna jak wieczorem na tańcach, lecz okazało się, że jest jeszcze ładniejsza. Zajechali do miasta, Don kupił kosiarkę, zamówił ślimaki do nowego stawu, po czym ruszyli w stronę domu, obierając tym razem inną drogę — wijącą się wśród mrocznych świerków. Don powiedział jej, że lubi swoją pracę.

— Kiedyś urządzę własny ogród, tajemniczy ogród, do którego wstęp będą mieć tylko nieliczni. Będą go podziwiał albo krytykować, albo po prostu oglądać.

— Czemu?

— Bo ludzie zawsze podziwiają nie to co trzeba. Tylko państwo Blythe'owie zachwycali się tym, czym należy w ogrodzie panny Merrion, od kiedy u niej pracuję. Zrozumieli, o co w tym wszystkim chodzi.

Serce Chrissie znowu rozdarło ukłucie zazdrości.

40f

— Naprawdę nikomu nie pozwolisz go zobaczyć? — zapytała ze smutkiem. — To znaczy... nikomu, kto nie byłby w stanie dostrzec w nim tego, czym warto się zachwycać? Don rzucił jej krótkie spojrzenie.

— Och, na pewno poznam tych, którym warto pokazać mój ogród. To kwestia intuicji. Ale na pewno nie będą przetaczać się przez niego tłumy. Mam już dość zwiedzających u panny Merrion. Oczywiście przyjechali, bo dowiedzieli się, że ogród panny Merrion jest

najładniejszy na całej Wyspie. Mam ochotę potopić ich w ogrodowych stawach. Ale panna Merrion lubi zwiedzających. Czasem zdaje mi się, że właśnie dlatego utrzymuje ogród — by ludzie się nim zachwycali.

— Panna Merrion musi kochać niektóre swoje kwiaty — pospieszyła z usprawiedliwieniem Chrissie.

— Och, tak, lubi mieć bukiet kwiatów na stole w salonie, szczególnie gdy ma gości. Ale w ogóle nie przejmuję się samym ogrodem. Jak słusznie zauważyła pani Blythe, w ogrodzie trzeba pracować samemu, bo inaczej dużo się traci. Zechcesz kiedyś wpaść i obejrzeć go?

— Ale być może będę zachwycać się nie tym, co trzeba.

— Zaryzykuję. Mam wrażenie, że spodobała ci się właściwe rzeczy, natomiast podobnie jak Blythe'owie przejdiesz obojętnie obok tych niewłaściwych.

— Przypuszczam, że do utrzymania takiego ogrodu potrzeba masę pieniędzy?

— O tak. Ale to znakomicie wydane pieniądze. Jak inaczej mógłbym się uczciwie utrzymać? Panna Mer-

407

— Naprawdę nikomu nie pozwolisz go zobaczyć? — zapytała ze smutkiem. — To znaczy... nikomu, kto nie byłby w stanie dostrzec w nim tego, czym warto się zachwycać? Don rzucił jej krótkie spojrzenie.

— Och, na pewno poznam tych, którym warto pokazać mój ogród. To kwestia intuicji. Ale na pewno nie będą przetaczać się przez niego tłumy. Mam już dość zwiedzających u panny Merrion. Oczywiście przyjechali, bo dowiedzieli się, że ogród panny Merrion jest najładniejszy na całej Wyspie. Mam ochotę potopić ich w ogrodowych stawach. Ale panna Merrion lubi zwiedzających. Czasem zdaje mi się, że właśnie dlatego utrzymuje ogród — by ludzie się nim zachwycali.

— Panna Merrion musi kochać niektóre swoje kwiaty — pospieszyła z usprawiedliwieniem Chrissie.

— Och, tak, lubi mieć bukiet kwiatów na stole w salonie, szczególnie gdy ma gości. Ale w ogóle nie przejmuję się samym ogrodem. Jak słusznie zauważyła pani Blythe, w ogrodzie trzeba pracować samemu, bo inaczej dużo się traci. Zechcesz kiedyś wpaść i obejrzeć go?

— Ale być może będę zachwycać się nie tym, co trzeba.

— Zaryzykuję. Mam wrażenie, że spodobała ci się właściwe rzeczy, natomiast podobnie jak Blythe'owie przejdiesz obojętnie obok tych niewłaściwych.

— Przypuszczam, że do utrzymania takiego ogrodu potrzeba masę pieniędzy?

— O tak. Ale to znakomicie wydane pieniądze. Jak inaczej mógłbym się uczciwie utrzymać? Panna Mer-

407

rion podobno ma masę pieniędzy. To dlatego nigdy nie wyszła za mąż — bała się, że adoratorzy czyhali tylko na jej majątek. Śmiem twierdzić, że tak właśnie było. Widziałas kiedyś pannę Merrion?

— Nie.

— Cóż, możliwe, że nie była w młodości najpiękniejsza.

— To straszne, wychodzić za kogoś dla pieniędzy

— stwierdziła z zapalem Chrissie.

— Okropne. Albo zenić się z kimś, aby otrzymać pieniądze.

— Pie... pie... — wyjąkała Chrissie. — Ale... myślisz, że gorzej jest w przypadku kobiety czy mężczyzny?

— Nie ma żadnej różnicy — odparł Don. — Oczywiście, kiedyś kobieta nie mogła mieć własnego zdania, ale dziś nie może się już niczym usprawiedliwiać.

— A jeśli wychowano ją tak, że nie mogłaby się zajmować niczym użytecznym?

— W takim razie jej rodziców lub opiekunów powinno się wychłostać — powiedział Don. — Uważam, że małżeństwo można zawierać tylko z jednego powodu: z czystej, szczerzej miłości.

— Ale czasem ludzie mylą miłość z zauroczeniem

— zauważyła Chrissie.

— W tym cały tragizm życia — westchnął Don. — Trudno odróżnić miłość od namiętności. Ale gdybyś była gotowa dla kogoś zrezygnować z wszelkich bogactw, nie miałabyś problemów z wyczuciem różnicy. No, musimy wracać do domu, bo powinienem jeszcze spryskać róże przed kolacją. Panna Merriion ma na tym punkcie fioła.

40<9

Dobry pracownik musi zadowalać swego pracodawcę, jeśli chce utrzymać posadę. Masz wciąż ochotę na wieczorne pływanie?

— Oczywiście, jeśli i ty masz ochotę.

I tak wieczorem poszli popływać, mimo cichej, chociaż wyraźnej dezaprobaty Clack. Później przycupnęli na starej, odwróconej do góry dnem łodzi rybackiej i obserwowali, jak księżyc odbija się w morzu. Wiatr świszcział między wydrami, a drobne, srebrne fale muskały brzeg. Daleko w Zatoce Czterech Wiatrów podnosiły się mgły niczym tańczące wiedźmy.

Kto by uwierzył, że Ashburn znajduje się tak niedaleko stąd? W tym momencie zdawało się istnieć na innej planecie.

Don powiedział jej, że będą mogli podziwiać jedynie zachód słońca, nic więcej. Nic więcej?

A profil Do-na? A jego szczupłe, zgrabne plecy? Długie, umięśnione i opalone ramiona?

Wyobraziła sobie okropne, pulchne, blade cielsko George'a w stroju kąpielowym i aż zadrżała.

— Zastanawiam się, co się stanie, jeśli wezmę cię za rękę — odezwał się Don.

Nic się nie stało — a przynajmniej nic widzialnego. Chrissie znowu zadrżała na myśl, co by powiedziała o tym wszystkim Clack. Co do ciotki Clark — cóż, dziewczyna postanowiła w ogóle o tym nie myśleć.

Dotyk palców Dona powodował delikatne dreszcze, które wędrowały w górę ramienia niczym fale nieziemskiego ognia. Czy inne dziewczyny też czuły coś

4

podobnego, gdy dotykali ich chłopcy? Zdawało się to niemożliwe. Tylko Don mógł wywoływać takie uczucia. Ale przecież poznała go ledwie wczoraj.

„Och, gdybym tylko nie była Clarkówną! — myślała. — Ale z drugiej strony, Don po prostu ze mną flirtuje. Tak jak ja z nim. To nic więcej dla niego nie znaczy. Myśli, że jestem siostrzenicą Clack, że pracuję jako pielęgniarka i należę do tej samej klasy społecznej co on. Szkoda, że musiałam tak mu nakłamać. Ale czy to było konieczne? Czemu tak się przejmuję, co on sobie o mnie pomyśli? Chyba zależy mi na ochronieniu dumy rodu Clarków. A tak się zawsze wyśmiewałam z tego typu zachowań. Jestem równie zła jak ciocia. No ale Don i tak o mnie zapomni, a tato i ciocia zrozumieją, że nie wyjdę za mężczyznę, którego oni podsuwają mi pod nos. Tymczasem spędzę sobie uroczy miesiąc z kochaną Clack”.

W ciągu następnych tygodni Clack czasem podejrzewała, że Chrissie zapomniała, jak się nazywa. Przy zdrowych zmysłach trzymało ją tylko poczucie, że jej rybeńka na pewno nie robi nic zdożnego. Musiała się w końcu trochę rozerwać, prawda? Mowbray Narrows było bardzo spokojnym miejscem.

Don Glynne i Chrissie chodzili pływać każdego wieczoru, a już wkrótce — także każdego ranka. Clack nie miała już po co przynosić tac ze śniadaniem. Don przychodził pod okno dziewczyny i gwizdał — co Clack uznawała za dość nieprzyzwoite. Skąd w ogóle wiedział, które okno należy do pokoju Chrissie?

4f0

Następnie jechali na plażę, skąpaną w złocistej poświacie półprzezroczystego blasku wschodzącego słońca.

Clack uważała, że o wiele gorszą rzeczą było pływanie o poranku niż wieczorem. Inni młodzi ludzie z Glen St. Mary, Górnego Glen czy Mowbray Narrows chodzili się kąpać wieczorami, więc Clack dała za wygraną, ale na poranne wyprawy zgodzić się nie mogła. Nikt inny nie pływał o poranku, nikt z wyjątkiem letników, ale oni nie należeli do rodziny Clarków.

Jedynym pocieszeniem dla Clack było wyobrażanie sobie reakcji pani Clark na to wszystko. Ale ta o niczym nie wiedziała. A może jednak? Clack jakoś nie mogła się pogodzić z myślą, że ktokolwiek byłby w stanie przechytrzyć panią Clark. Bo co do Adama, to jego dało się wystawić do wiatru tak łatwo jak każdego mężczyznę.

Czasem Chrissie przyprowadzała Dona na śniadanie i Clack musiała być dla niego uprzejma. Nie mogła go nie lubić. Wiedziała też, że panna Merrion bardzo chwali Dona, twierdzi, iż nigdy nie miała ogrodnika, który wykazywałby aż takie zainteresowanie własną pracą.

Po śniadaniu Don i Chrissie szli do ogródka, jedli czerwone porzeczki aż do czasu, gdy Don musiał się stawić u panny Merrion, podczas gdy inni pracownicy dopiero wstawali. Don twierdził, że ostatnimi czasy kucharka była zaniepokojona, bo rano nie był głodny. „Ale gdzie bym zmieścił dwa śniadania?”, pytał ciotkę Clack.

Razem z Chrissie śmiali się i rozmawiali, jedząc porzeczki. Clack często miała ochotę dowiedzieć się,

4tf

0 czym tak debatują, ale była zbyt dobrze wychowana, by podsłuchiwać. Stara pani Clark podsłuchiwałaby bez skrupułów, Clack nie miała co do tego wątpliwości. Ale nie zamierzała jej naśladować.

Kiedy Don miał wolne popołudnia, wybierali się na piknik rozklekotanym fordem. Jechali do jakichś odosobnionych zakątków między wzgórzami. Pikniki niepokoiły Clack nawet bardziej niż wspólne pływanie. Od czasu do czasu ostrzegała Chrissie, ale ta tylko reagowała śmiechem:

— Przecież sama mówisz, że ciotka i tak postawi na swoim, więc wyjdę za George'a.

— Ja mam na myśli tego biednego chłopaka' — odpierała Clack, starając się zachować powagę.

Chrissie również jego miała na myśli, choć się do tego nie przyznawała. Wiedziała, że Don Glynne był w niej zakochany, i to poważnie. Wiedziała, że powinna z nim natychmiast zerwać, ale — ku swemu przerażeniu

— nie była w stanie. Nie mogła również wyjść za niego za mąż.

„Nie przypuszczałam, że duma Clarków jest we mnie tak głęboko zakorzeniona — dręczyła się myślami. — Jestem równie zła jak ciotka. Założmy, że przyprawię ich wszystkich o zawał serca, łącznie z kochaną Clack,

1 wyjdę za Dona? Mogę sprawić z łatwością, że mi się oświadczy. Wydaje mu się, iż jestem zwykłą guwernantką. Ale mimo to mogłoby mi się udać. A dla George'a

— figa z makiem!"

Czasem szukali małży, gdy fale nie były zbyt wysokie, a Clack gotowała z nich potem pyszną zupę i mimo iż

była nieszczęśliwa, z przyjemnością patrzyła, jak się nią zajadają. Bo cały ten miesiąc, z którego tak na początku się cieszyła, okazał się dla niej bardzo niefortunny. Pocieszała się jedynie tym, że stara pani Clark zawsze postawi na swoim.

„Pomyśleć, że nadszedł czas, kiedy znajduję w tym ukojenie", myślała z rozgoryczeniem.

Mało tego, Don i Chrissie wzięli nawet udział w imprezie tanecznej w Walk Inn — gospodzie letników. Clack dowiedziała się od Zuzanny Baker, że nie tańczyli w środku, tylko samotnie na zewnątrz, wśród drzew, do przytłumionej muzyki dobiegającej z wnętrza gospody, a blask

księżycy padał na ich twarze. Księżycowe noce tego lata były po prostu cudowne — przynajmniej takiego zdania byli Chrissie i Don. Dla innych noce te nie różniły się zbyt od pozostałych.

Raz biedna Clack usłyszała od sąsiadów, jakoby Chrissie widziano, gdy pomagała kosić trawniki u panny Merrion, ale nie dała wiary pogłoskom, nie pytała o nic nawet Zuzanny Baker.

Szkoda, że nie wierzyła, bo to była prawda. Chrissie pomagała w spryskiwaniu róż i w usuwaniu chwastów. Nauczyła się sporo o ogrodnictwie. Niewątpliwie Don znał się na swoim fachu. Chrissie niewiele wiedziała o Donie i nie próbowała się dowiedzieć, ale z rozmów wywnioskowała, że gdzieś tam miał wuja, który był farmerem albo hodowcą jabłek, albo kimś w tym stylu. Innych krewnych wartych wspomnienia Don nie miał.

Biedna Clack była w tym czasie najniebezpieczniejszą istotą na ziemi. Próbowала zasięgnąć o ogrodniku jakichś

informacji, ale nikt nic o Donie Glynne nie wiedział, nawet Zuzanna Baker. A jeśli Zuzanna Baker nie wiedziała czegoś o kimś w promieniu trzydziestu mil, znaczyło, że nie było to warte uwagi — jak mawiał doktor Blythe. Czasem wręcz oskarżał — rzecz jasna, z przymrużeniem oka — swoją żonę o to, że słucha Zuzanny Baker.

— Jakże inaczej mam się czegośkolwiek dowiedzieć?

— broniła się Ania. — Zuzanna twierdzi, że panna Clark bezwstydnie flirtuje z tym ogrodnikiem panny Merrion. Biedna Polly Claxton zamartwia się z tego powodu na śmierć.

— Panna Claxton o nic nie powinna się martwić

— odrzekł doktor. — Don Glynne potrafi o siebie zadbać. Żadna kobieta nie wystrychnie go na dudka. Jeśli ta dziewczyna Clarków myśli, że go przechytrzy, jest w wielkim błędzie. Co do reszty, droga Aniu, trzymaj się od tego wszystkiego z daleka. Dobrze ci radzę.

Przypomnij sobie, jak skończyły się twoje ostatnie próby swatania ludzi.

— Nie chcę już o tym więcej słuchać — odpowiedziała zagniewana Ania. — Z pewnością nie zamierzam swatać ze sobą Dona Glynne'a i panny Clark. W końcu to córka Adama Clarka.

— Akurat to nie jest istotne — powiedział Gilbert.

— Zdradzę ci plotkę, o której wiedzą już wszyscy. Adam Clark jest na krawędzi bankructwa. A jego siostra utrzymuje, że córka Adama poślubi jakiegoś mężczyznę z zachodu. Dlatego możesz być pewna, że między panną Clark a Donem Glynne'em nie dojdzie do niczego poważniejszego.

4

— Dziewczęta słyną z tego, że popełniają w życiu różne głupstwa — powiedziała Ania.

— Na przykład ty: poślubiłaś biednego, młodego lekarza i zamieszkałaś z nim w skromnej chatce, którą uparcie nazywałaś Domem Marzeń.

— Gilbertcie Blythe! Poprosiłam Zuzannę, żeby zrobiła na podwieczorek twoje ulubione ciasto cytrynowe, ale zaraz jej powiem, że zmieniłam zdanie.

— Jeśli to zrobisz...

— Ciasto upiekę sama — powiedziała Ania ze śmiechem. Tym samym śmiechem, z którego słynęła. Bo nie nadeszła jeszcze Wielka Wojna, a na twarz Ani nie padł cień. Don Glynne wiedział chyba wszystko o sławnych ogrodach z historii, romansów i legend, poczynając od rajskiego ogrodu. Dużo o nich opowiadał Chrissie, gdy plewili chwasty, urządzali pikniki czy uganiali się w sadzie za ćmami. Raz Chrissie potknęła się o wystający korzeń i Don ją w porę złapał. Czuła, że trzymają w objęciach nieco dłużej, niż było konieczne, i podobało jej się to. Wiedziała też, że on wie, że jej się podoba. I wiedziała jeszcze, że nigdy nie poślubi George'a.

Niezbyt pocieszyłoby to Clack. Oczywiście, pewnym zwycięstwem byłoby przekonanie, że choć raz sprawy nie potoczyłyby się według życzeń pani Clark, ale Clack nie chciała też, by Chrissie wyszła za mąż za ogrodnika panny Merriion.

„Nie ma sensu niczego oczekiwać — rozmyślała nieszczęsna Polly Claxton. — Tak czekałam na miesiąc

w towarzystwie Chrissie i jak to się skończyło! Czy nie powinnam ostrzec Adama Clarka?

Nie, lepiej nie. Nie zamierzam włączać się w gierki starej pani Clark. Nie mam wątpliwości, że o całej sprawie wie tyle co ja”.

Raz Chrissie usłyszała, jak ktoś mówi o niej: „Dziewczyna Dona Glynne'a", i z przerażeniem uzmysłowiła sobie, iż to ją ucieszyło, zamiast zdenerwować. Do Clack również docierały takie określenia — nawet nie raz — i niemal doprowadzały ją do omdleń. Na szczęście Chrissie nazywała się Clark, a Clarkowie nie poślubiali ogrodników. Nie było po prostu takiej możliwości, niezależnie od tego, jak bardzo granatowe były ich oczy, jak byli wysocy czy jak szerokie mieli ramiona.

Oczywiście, łatwo było zauważyć, że Don Glynne szaleje za Chrissie, ale Clack pocieszała się myślą, że mężczyźni powinni troszczyć się sami o siebie. Była zdania, iż ci najsilniejsi muszą otrzymywać od czasu do czasu porządną nauczkę.

Gdy zobaczyła, jak Don częstuje Chrissie ćwiartką jabłka, podając je wbite na czubek ogrodniczego noża, od razu jej ulżyło. Szkoda, że taki miły chłopak miał takie maniery.

Przecież wyglądał na dżentelmena!

Chrissie owoc niezwykle smakował — lepszego nigdy nie jadła. Wiedziała, że nóż był czysty, Don umył go w strumieniu, zanim zaczął kroić jabłko.

Ale dopiero gdy Don pocałował ją po raz pierwszy, pewnej nocy na plaży, i na jedną chwilę stał się centrum jej wszechświata, uzmysłowiła sobie coś jeszcze.

— Od tej pory należysz do mnie — powiedział zdecydowanym tonem.

4

Chrissie wiedziała, że jest tylko jedna możliwość ucieczki i skorzystała z niej.

— Bądźmy rozsądni — powiedziała tonem lekkim jak morska piana zastygająca na piasku. — Wiesz dobrze, że to dłużej nie może trwać. Bardzo mi się spodobałeś, ale jako kolega na lato. Niestety zimą muszę się zaręczyć z kimś innym. Naprawdę.

— A więc... tak się sprawy mają — powiedział Don.

— Wiedziałaś, prawda?

— Chyba powinienem się być domyślić — roześmiał się. — Życie to jakiś żart. A po co są żarty, jeśli nie po to, żeby się z nich śmiać?

Popatrzył na Chrissie. Miała na sobie srebrzystą sukienkę i wyglądała jak syrena, która dopiero co wyszła z morza.

Wiedziała, że uważa ją za najpiękniejszą istotę na świecie. To jedna z tych rzeczy, które kobiety wiedzą bez słów.

— A gdybym tak powiedział — kontynuował Don — że musisz wyjść za mnie i skończyć z tymi głupstwami?

— Nie spodobałaby ci się moja reakcja — odparła Chrissie równie lekkim tonem. Sądząc po jego minie, będzie musiała posunąć się do kłamstwa, którego chciała za wszelką cenę uniknąć. — Bo widzisz, lubię cię jako przyjaciela, ale nic więcej.

— I to wszystko?

Wracali w ponurym milczeniu brzegiem oświetlonym blaskiem księżyca. Ale przy końcu świerkowego gaju, gdzie droga rozwidła się, a jedna z odnóg prowadzi do domu panny Merriion, Don się odezwał:

— Myślę, że kłamałaś, twierdząc, że mnie nie kochasz. Prawdziwy powód tkwi gdzie indziej. Uważasz, że ogrodnik to niewłaściwa partia dla guwernantki.

— Nie bądź śmieszny, Don.

- Prawda często okazuje się śmieszna.
 - Dobrze, powiem ci prawdę. Przez całe lato udawałam. Tak, tak, wstydę się tego, ale to niczego nie zmienia. Nie jestem guwernantką. Nie mam pojęcia, jakim cudem mogłabym uwierzyć, że naprawdę nią jestem.
 - Podejrzewam, że wiesz bardzo dobrze — po prostu zależało ci na tym, bym uwierzył, iż jesteś guwernantką.
 - Mogłabym się łatwo dowiedzieć prawdy, pytając ludzi z okolicy.
 - Sądzisz, że miałam ochotę plotkować na twój temat z sąsiadami?
 - Cóż, nie nazywam się także Chrissie Dunbar. Jestem Christine Phyllis Dunbar, córka Adama Clarka z Ashburn, choć to pewnie nic ci nie mówi.
 - Och, wręcz przeciwnie — odparł Don wolno, a jego ton stał się lodowaty. — Wiem, kim jest Adam Clark, znam rodzinę Clarków. Najwyraźniej zostałem wyprowadzony w pole. No, ale jak widać, łatwo mnie nabrać. Chyba zbyt ufałam ludziom. Uwierzyłam nawet pani Blythe, gdy mi powiedziała, że...
 - ...że co? — dopytywała się Chrissie z zazdrością.
 - Nieważne. Chodziło o niewinną odpowiedź na zadane przeze mnie niewinne pytanie. Odpowiedź, której każdy mógłby mi udzielić. To powszechna wiedza. Wszystko sprowadza się do faktu, że wyszedłem bez trudu na idiotę. Łatwiej być już nie mogło, panno Clark.

 - Wyjeżdżam jutro — powiedziała chłodnym tonem Chrissie. Wciąż czuła się dotknięta tym, że nie wie, co powiedziała pani Blythe. Nie żeby to miało jakieś znaczenie.
 - A więc to pożegnanie?
 - Tak.
 - Zegnam zatem, panno Clark.
- I odszedł. Zniknął. Z początku nie mogła w to uwierzyć. A potem znowu się okłamała, szepcząc:
- Dzięki Bogu.
- Udała się do swojego pokoju i postanowiła, że popłacze sobie do dziesiątej, a następnie wymaże Dona Glynne'a z pamięci na zawsze.
- Płakała tak, jak zaplanowała. Cichutko, w poduszkę, żeby Clack jej nie usłyszał.
- Następnie wstała, chwyciła ohydny figurkę krowy, którą Clack z niewiadomych powodów trzymała na stoliku (krowę podarował jej jakiś dawny oblubieniec), i wyrzuciła ją przez okno. Krowa roztrzaskała się satysfakcjonująco na chodniku.
- Chrissie od razu poczuła się lepiej.
- Za jakieś dwadzieścia lat mi przejdzie — powiedziała.
- O świcie, gdy na zewnątrz wciąż było chłodno, Chrissie spakowała walizkę. Była gotowa do wyjazdu, gdy zaskoczona Clack weszła do sypialni.
- Minał miesiąc, kochana, więc wracam do Ash-burn. Nie zaprzeczaj, że w głębi duszy czujesz ulgę z tego powodu. Martwiłaś się, co to będzie ze mną i Donem. Nie musiałaś. Gdybyś wiedziała, jak bardzo nie musiałaś! Nienawidzę Dona Glynne'a. Nienawidzę go! „Akurat”, pomyślała Clack. Po czym spytała:

4(9)

- Zamierzasz wyjść za George'a?
 - Nie. Ciotka i tato mogą sobie wpadać w gniew i furję, ale nic nie zmusi mnie do poślubienia George'a.
- „Akurat”, powtórzyła w myślach Clack.
- Gdy Phyllis — znowu musiała myśleć o sobie jako o Phyllis — wróciła do Ashburn, ciotka przyjrzała jej się krytycznym wzrokiem.
- Wyglądasz na wykończoną, skarbie. Domyślam się, jak potwornie wynudziłaś się we Wspomnieniu. Gdybyś posłuchała ojca, wszystko byłoby zupełnie inaczej.

— Cudownie spędziłam czas we Wspomnieniu — odparła Phyllis. — Było tam tak cicho i spokojnie. Chciałam oświadczyć, ciotuniu, że nie zamierzam wyjść za George'a Frasera i nie życzę sobie, by ktokolwiek wspominał jego imię. Nie zamierzam za nikogo wychodzić za mąż.

— Dobrze, skarbie — odparła ciotka głosem tak potulnym, że aż Phyllis spojrzała na nią zaniepokojona. Czy ciotunia dobrze się czuje?

Phyllis pojechała do miasta i kupiła sobie przepiękną nową sukienkę, wprost boskiego kroju, wykonaną z czarnej siateczki, ozdobionej rządkami drobnutkich falbanek na spódnicy i wielką czerwoną różą na dekolcie — różą równie czerwoną jak te, które pomagała spryskiwać Donowi w ogrodzie panny Merriion.

Nie zauważyła dziwnej miny sprzedawcy, gdy mu powiedziała, że chce kupić suknię.

Tego wieczoru założyła ją na uroczystą kolację, którą jej ojciec urządził dla jakiegoś ważnego Anglika. Pod-

czas posiłku wprost tryskała znakomitym humorem, zachowując się dość zuchwale.

— Córką spędziła właśnie miesiąc na wsi u swojej dawnej piastunki — wyjaśniał przepraszającym tonem Adam Clark, który uznał, że Phyllis posunęła się za daleko. — To... taka jej reakcja na monotonię owego miejsca.

Monotonia?! Raczej cisza i spokój! To Ashburn wydawało się okropnie nudnym miejscem, stwierdziła, wyglądając w nocy przez okno. Potwornie ciche i spokojne, z upiornym, obrzydliwym księżycem zawieszonym na niebie.

Ten sam księżyc pewnie świecił także dla Dona. Co teraz robi? Tańczy pewnie z jakąś dziewczyną w gospodzie Walk Inn. A jeśli już myślał o Chrissie, to ze złością i pogardą za to, że go oszukała.

Ale czy to miało jakiekolwiek znaczenie? Żadnego.

Wakacje we Wspomnieniu dobiegły końca. Zdecydowanie. Równie zdecydowanie George został odstawiony na bok. Potworny grubas!

Już nigdy nie ujrzy wysokiego, szczupłego Dona, ale przynajmniej nie będzie musiała wyjść za tłustego George'a. A co do milionów stryja Edwarda...

„Prędzej wynajmowałabym pokoje, by pomóc Donowi, niż wydawała miliony w towarzystwie George'a", pomyślała z absurdalną zawziętością.

Ale czy nie byłoby absurdem wychodzić za mąż za ogrodnika? Poza tym i tak straciła na to szanse. Ciotka Clark i tato pewnie już pogodzili się z jej odmową poślubienia George'a. Ani jedno, ani drugie słówkiem o nim nie wspominało, podobnie jak milczeli na temat wyprawy na wybrzeże.

I nagle je usłyszała — gwizdy Dona! Identyczne jak rankami we Wspomnieniu!

Dobiegały z okolic zarośli na tyłach Ashburn. Don był tutaj! Nie miała co do tego wątpliwości. Może ją nienawidził, może nią pogardzał, ale był tutaj, wzywał ją — sprawił, że jej serce rwało się do niego.

Oczywiście, że skłamała, twierdząc, iż go nie kocha. A on jej nie uwierzył. Dzięki Bogu, nie uwierzył jej. Czy go kocha? Już ona mu pokaże, co do niego naprawdę czuje. Być może on teraz chce wyrównać z nią rachunki, ale to nie ma znaczenia. Liczyło się tylko to, że przybył. I nagle pożałowała, że rozbiła porcelanową krówkę biednej ciotuni Polly.

Pognała schodami w dół i bocznymi drzwiami na zewnątrz, a następnie na przełaj mokrego od rosy trawnika. Jej suknia ciągnęła się po trawie. Ale gdzie by się tym przejmowała! Jako żona ogrodnika nie będzie potrzebować sukien wieczorowych. A może jednak? Przecież chyba nawet ogrodnicy urządzają jakieś przyjęcia. Ale i to nie ma znaczenia. Będzie szczęśliwa z Donem choćby na pustyni, a bez niego nawet w raju cierpiałyby potwornie.

Nie powiedzieli ani słowa, gdy się zobaczyli — przez dłuższy czas. Co nie znaczy, że stali nieruchomo. W tamtej chwili nie widzieli świata poza sobą.

Lecz w końcu...

— Więc jednak skłamałaś — powiedział Don.

— Tak — odparła już teraz na zawsze Chrissie, nigdy więcej Phyllis. — I myślę, że doskonale o tym wiedziałeś.

422

— Gdy się trochę uspokoiłem, dotarło to do mnie

— odparł Don. — A wiesz, gdzie trafiają kłamliwe małe dziewczynki?

— Tak. Do nieba. Bo właśnie tam się teraz znajduję.

— Gdybym nie przyjechał, to co byś zrobiła?

— Wróciłabym do Wspomnienia. Ech, ten cały Anglik! Co za nudziarz. Nawet agrestowy George byłby lepszy.

— Myślisz, że będziesz kiedykolwiek żałować, że nie poślubiłaś George'a?

— Nigdy.

Znowu nastąpiło milczenie.

— Ja zawsze będę miał zapewnioną pracę jako ogrodnik — powiedział Don. — Ale co na to wszystko twoja rodzina?

— Pewnie nigdy mi tego nie wybaczą, a już przynajmniej ciotka, ale nie dbam o to.

— Och, myślę, że ci wybaczą — powiedział Don.

— O ich przebaczenie się nie martwię. Pytanie brzmi: czy ty mi wybaczysz.

— Wybaczać tobie? Co?

— To, że cię okrutnie oszukałem.

— Oszukałeś? O czym ty u licha mówisz?

— Chrissy, kochanie... Przytul się do mnie... o, tak... Nie podnoś głowy ani nic nie mów, dopóki nie skończę. Nie jestem Don Glynne.

— Nie jesteś?! — wykrzyknęła Chrissie, już na samym początku ignorując jego prośbę.

— Więc kim jesteś?

— Cóż... no więc... moja matka nazywała się Glynne... Nie, stój spokojnie. Przyjechałem na Wschód, żeby zo-

423

baczyć... żeby kogoś odwiedzić. Przyjechałem tu w tym samym momencie, gdy ty wyjechałaś. Twoje oczy powaliły mnie na kolana. Postanowiłem pojechać za tobą. I pojechałem...

— Skąd wiedziałeś, gdzie wyjechałam?

— Och, popytałem tu i ówdzie. Miałem szczęście, że dostałem pracę u panny Merrion.

Bo naprawdę jestem niezłym ogrodnikiem. To moje hobby. Mój stryj miał najpiękniejszy ogród na wybrzeżu. Poza tym uczyłem się ogrodnictwa na uniwersytecie.

— Donie Glynne...

— Poczekaj, poczekaj... Najgorszego jeszcze nie słyszałaś. Prosiłem, żebyś wytrzymała do końca.

— Mam nadzieję, że z nikim się nie ożeniłaś? Albo nie zaręczyłaś?

— Nie ja. Czekałem na swój ideał. Poza tym w zeszłym roku zdobyłem puchar za kompozycję róż na zawodach kwiaciarskich. Sama więc widzisz, że nie udaję kogoś, kim nie jestem.

— Don, do czego zmierzasz?

— Widzę, że dziewczyny po prostu nie mogą usiedzieć cicho. Prosiłem, żebyś milczała, aż skończę opowiadać.

— Ale jesteś taki tajemniczy. Co mam ci wybaczyć?

— Oszustwo. Czyste oszustwo.

— Wybaczyłabym ci wszystko.
— Pewnego dnia — Don zmienił temat — zamierzam mieć ogrody, przy których ogród panny Merrion będzie niczym. Pomożesz mi je plewić, kochana?
— Oczywiście, ale...

424

— Nie, jeszcze chwilka. Bo wiem, że mi nie wybaczysz.
— Może ty jesteś rozwodnikiem?
— Nie. Jest o wiele gorzej. A mimo to musisz mi wybaczyć. Poza wszystkim, zrobiłem dokładnie to samo co ty.
— Ja?
— Tak. A słyszałaś to stare przysłowie: przyganiał kocioł garnkowi?
Chrissie wtuliła się mocniej w jego ramiona, jeśli to w ogóle było możliwe.
— Takie rzeczy po prostu nie mogą się zdarzać — powiedziała. — To sprawa przeznaczenia. Nie sądzisz, Don?
— Owszem, wierzę, że wszystko zostało z góry ustalone. Jestem w końcu wiernym prezbiterianinem.
— Ale to trochę straszne, jak pomyślę, co powie ciotka.
— Jedno ci mogę obiecać: ciotka nic złego nie powie. Nawet kochana ciotunia Polly nie będzie narzekać. Ale odczuje satysfakcję, bo okaże się, że była wieszczką.
— Don, przestań w końcu być taki tajemniczy! Czy ktokolwiek wiedział o twoim sekrecie?
— Nikt z wyjątkiem panny Merrion i pani Clark.
— Ciotki Clark?!
— Przypuszczałem, że mi nie wybaczysz. Już sam ton twego głosu to zdradza.
Don ucałował jej włosy. Wiedział, iż w końcu Chrissie mu wybaczy; przeczuwał też, że będzie mu to wypominać do końca życia.

»

Ale była tego warta!

— W rzeczywistości nazywam się George Donald Fraser — powiedział, starając się, by jego głos brzmiał spokojnie. — Ja... ja nie chciałem się żenić z nikim dla pieniędzy, tak samo jak ty. Już przestań się wiercić. Teraz musisz wyjść za mnie, czy to ci się podoba, czy nie. Znowu ucałował jej cudowne włosy. Wiedział, że już mu wybaczyła, ale nie powie mu tego od razu.

— Cóż, lepiej będzie, jeśli to po prostu z siebie wyduszę. Kochana Chrissie, jestem George Donald Glynne Fraser. Cały ten pomysł z wybrzeżem to była farsa.

— Tak się cieszę, że nie jesteś gruby i nie masz agrestowych oczu — powiedziała. Tylko tyle. Przynajmniej na razie. — Czy Clack o wszystkim wiedziała? I jak mnie odnalazłeś? Znowu ją pocałował.

— Nie, Clack nie... i dlatego tak się martwiła. Ale Blythe'owie coś podejrzewali. Trudno nabrać doktora Blythe'a, lecz na szczęście potrafi trzymać język za zębami. Pewnie między innymi dlatego taki dobry z niego lekarz.

Nastąpił kolejny długi pocałunek. Ale jednej rzeczy Chrissie by mu nigdy nie wybaczyła. Żadna kobieta by nie wybaczyła.

Trochę nagiął prawdę. Nigdy jej nie powie, że przybył do Ashburn, gdy Chrissie już wyjechała, i cały plan uknuła ciotka za przyzwoleniem ojca Chrissie. Stara pani Clark była szkolną przyjaciółką Jane Merrion.

Tak więc Clack całkiem nieźle oceniła starą panią Clark.

Walter Blythe był poetą w rodzinie ze Złotego Brzegu.

Jego matka pochwałała pisarskie ambicje Waltera, reszta rodziny traktowała je jako przejściowe zainteresowanie, a Zuzanna Baker otwarcie je potępiała.

Nadeszła pierwsza wojna światowa. Na front zostali wysłani wszyscy synowie Blythe'ów, Walter zginął pod Courcelette. Zniszczył większość swoich wierszy przed wyjazdem, ale kilka zostawił matce.

Pani Blythe czasami czyta wieczorami swoje wiersze reszcie rodziny. Niekiedy czyta również utwory Waltera, częściowo po to, by utrzymać żywą pamięć o nim w sercach jego siostr i braci, a częściowo, by sprawić przyjemność Zuzannie, która teraz każdy zapisany przez Waltera wers traktuje jak relikwię.

KOLEJNY ZMIERZCH W ŻŁOTYM BRZEGU

EPIZOD

To była chwila i wiatru drzenie, Które jak cichy szelest zabrzmiało, I usłyszałem ciuchutki chichot, A może mi się tylko zdawało...

I deszczowego obłoku chmura Spadła na łąki — czy to złudzenie? Czy może magia zaczarowała Chmurę, i łąki, i suchą ziemię?

Wydmy się nagle stały srebrzyste, A księżyc plażę ozłacał całą, I czary stały się rzeczywiste! A może mi się tylko zdawało...

Łódź kołysała się pośród fali, A ja stanąłem nad cichą rzeką I nagle wielki żal mnie ogarnął, Ze czyjeś usta są tak daleko...

I szedłem z Nocą — gwiazd czarodziejką, Wśród gwiazd powodzi za nią zdążałem,
430

Aż dotarliśmy do wschodu słońca, I Noc odeszła, a ja zostałem.

Przynieś mi, wietrze, wczorajszą chwilę, Za to wspomnienie oddam Ci wszystko, I przynieś słodycz tego uczucia, Gdy czyjeś usta były tak blisko...

Walter Blythe

KUBA BLYTHE: — Zastanawiam się, czy biedny Walter choć raz pocałował dziewczynę.

FLORA MEREDITH, cicho: — Owszem, pocałował Unę na do widzenia tuż przed wyjazdem.

RILLA BLYTHE: — Ale ten wiersz został napisany wcześniej, więc musiało chodzić o wymarzony pocałunek.

ZUZANNA BAKER, ze smutkiem: — Pamiętam dzień, w którym go napisał, pod tamtym klonem. Skarciłam go, że traci cenny czas, podczas gdy Ian Flagg jest od niego lepszy z arytmetyki. Och, jakże tego teraz żałuję!

NAN BLYTHE: — Nie płacz, Zuzanno. Wszyscy robimy rzeczy, których potem żałujemy. Ja też śmiałam się z Waltera i jego wierszy.

RUSZAJMY W DROGĘ

Łąki przede mną jasne się ścielą, Na wzgórzach stada owiec lśnią bielą, Wabią w ogrodach żółte żonkile, Aby przystanąć tam choć na chwilę. I wciąż są piękne ogrody stare Kuszą zapachem, ujmują czarem.

431

Patrz, mgła poranna zasnuła drzewa, W sennej dolinie wiatr cicho śpiewa. Poranne słońce z uśmiechem złoci Wydmy i ciemne krzaki paproci. I chciałbym przysiąc gdzieś nad strumieniem, Aby się słodkim oddać marzeniom.

Gwiazdy mi leśną oświetlą ścieżkę Do pól dalekich i dalej jeszcze, Księżyc uśmiechnie się tam, na niebie Kiedy spokojny pójdę przed siebie. A ja powrócę w domowe progi — oto cel mojej pielgrzymiej drogi. ,

Będę szedł pośród sadów i lasów Gnany wspomnieniem dawnego czasu. Wskaże mi drogę poranna zorza I dźwięki wiatru, i szum morza. I wreszcie stanę przed domu drzwiami Z czułością w sercu i wspomnieniami.

Potem usiądę na starym ganku W ciszy wieczoru czy o poranku, Poczuję dotyk matczynej dłoni, Jak gdybym przyszedł tu właśnie do niej. I wiem, mój domu ukryty w mroku, Ze tutaj zawsze odnajdę spokój.

Ania Blythe

DR GILBERT BLYTHE: — Myślałaś o starych, dobrych czasach w Avonlea, gdy pisałaś ten wiersz, prawda, Aniu?

ANIA BLYTHE: — Częściowo... a częściowo myślałam o pokoju, który świat na zawsze utracił. Nic nie jest takie samo od czasu wojny, Gilberte. Nigdy już nic nie będzie takie samo.

432

DR GILBERT BLYTHE: — To prawda. Ale wiemy o tym, że nasz syn oddał życie za ojczyznę. Poza tym w Złotym Brzegu nadal panuje miłość i pokój, najdroższa.

CZERWCOWY DZIEŃ

Przybiegnij do mnie w czerwcowy dzień, W miesiącu słońca oraz przygody I uciekniemy od wszelkich trosk, Będę szczęśliwy, wolny i młody. Nie będzie w nas już żadnej chciwości, Jedynie uśmiech — siła młodości. Patrz, rosną dziko przy drodze róże

— oto jest urok naszej podróży.

Zapamiętamy paproci kształt I błękit nieba, zielone liście, W promieniach słońca grzeją się ćmy, Skrzydła motyli lśnią się srebrzyście. A lęk przegońmy, idźmy z nadzieją, I serce śpiewa, oczy się śmieją, Bo z nocną gwiazdą mamy spotkanie. Piękne czerwcowe jest wędrowanie.

Zegnaj więc czasie zgryzot i trosk. Żegnajcie smutki mej codzienności. Woła nas barwny cygański los I dusza dziecka, pełna ufności. Wśród pól, strumyków i lasów starych Jakby zniknęły wszelkie zegary. Pójdziemy leśną, zieloną drogą

— tam nas odnajdziesz, w tę noc czerwcową...

Walter Blythe

433

DR GILBERT BLYTHE, w myśli: „Dość banalne wersy... Ale chłopak miał załączki talentu. Zawsze wydawał się starszy, niż wyglądał. Jak to się dzieje, że młodzi ludzie tak lubią pisać wiersze o starości i zmęczeniu? Walter kochał przyrodę — to po matce”.

ZUZANNA BAKER, w myśli: „Również chciałabym, żeby na świecie nie płynął czas. Żałuję też, że kiedykolwiek karmiłam Waltera za pisanie wierszy”.

KUBA BLYTHE, na stronie do Flory Meredith: — Mama czyta nam od czasu do czasu wiersze Waltera. Ciekawe, jak się z tym czuje.

FLORA MEREDITH, na stronie: — Myślę, że dobrze. Pomaga jej to ukoić ból. Myślisz, że ja nie czytałabym w kółko twoich listów, gdybyś nie wrócił z tego niemieckiego więzienia?

WIATR JESIENNY

Wiatr jesienny mnie prowadził pośród ścieżek, Gdy drogami szedłem, gdzie dumne wyżyny. Wśród zieleni można było dostrzec ludzi W porze zmierzchu, gdzie cienie jedliny.

Zobaczyłem starych bogów w ciemnym lesie, Wiatr mi drogę wskazał, a bóstwa się śmiały.

Pośród drzew spotkałem fauny i satyra, Pośród gęstych traw przed wiatrem się chowały.

Świerki nam śpiewały pieśni, piłem wino I wiatr uznał, że jest przyjaźń między nami, Szliśmy razem ciemną nocą, hen, w dal siną, Pod gwiaździstym wielkim niebem, pod chmurami.

434

Jakże błogo, słodko spałem aż do świtu,

Gdy wnet sny się me rozpierzchnęły w jednej chwili,

Bo wiatr stał u moich drzwi i cicho wołał:

„Może byśmy naszą podróż powtórzyli?”.

Walter Blythe

RILLA BLYTHE: — Tak Walter wyobrażał sobie wiatr. Lubił słuchać, jak świszczę między gałęziami drzew w Dolinie Tęczy. Poza tym myślę, że naprawdę wierzył w Zielony Ludek, Zuzanno. A już na pewno, gdy był mały.

ZUZANNA BAKER, zdecydowanym tonem: — Ale z pewnością nie wierzył w stare bóstwa, Rillo. Nie przekonasz mnie, że Walter był poganinem. Chodził do kościoła i szkółki niedzielnej. I podobało mu się.

DR GILBERT BLYTHE: — Gdyby Walter musiał tak często podróżować podczas wietrznej pogody jak ja, nim pojawiły się pierwsze samochody... Ale jako chłopiec również lubilem wiatr. Pamiętasz, jak szeptał w Alejce Zakochanych, Aniu?

ANIA BLYTHE: — Jakbym mogła zapomnieć o czymkolwiek związanym z Alejką Zakochanych! Pamiętam też, jak był nad Przystanią pewnej burzliwej nocy, gdy czekałam na twój powrót do Domku Marzeń. A ty pamiętasz, Zuzanno?

ZUZANNA BAKER, żarliwie: — O, tak, pamiętam!

DZIKIE ZAKĄTKI

Jest taka radość, która nie minie,
Choćby mijały zimy i lata,

Choćbyś na drugim końcu był świata, Znajdziesz ją w pełnej cieni dolinie. Znajdziesz ją, kiedy staniesz o brzasku W pachnącym lesie, w słonecznym blasku.

Rozbrzmiewa w leśnych gajach muzyka, Wiatr cicho struny gałęzi trąca I noc zapada, magią pachnąca, I pieśń rozbrzmiewa piękna i dzika. W blasku księżyca wzgórza się bielą, Mrokiem okryte niczym pościelą.

I barw tysiącem pola się mienia, A świat zatonął w dumnej purpurze. W ogrodzie kwitną precudne róże I krzew przy źródle wabi zielenią. I jeszcze białe młodziutkie sosny Wdzięczne jak młodość i urok wiosny.

Tam przystajemy jak kochankowie. Słuchając rzeki, wiatru i deszczu, I zadziwieni, że można jeszcze Słuchać, co wiatru szum nam opowie. I dawne bóstwa przestąpią progi Niczym wędrowcy z dalekiej drogi.

Ach, jak uwielbiam dzikie zakątki, Krainę elfów, faunów i echa, Pełną radości, żartów i śmiechu, Tam leśny chochlik robi porządki. Spotkasz tam lasu dobrego ducha Jeśli... zatrzymasz się i... posłuchasz...

Walter Blythe

436

ANIA BLYTHE, wzdychając: — Walter zawsze kochał dzikie miejsca. Jakże ubóstwiał Dolinę Tęczy i pustkowia Górnego Glen!

ZUZANNA BAKER, pod nosem: — Nieczęsto kwestionuję decyzje Wszechmocnego. Zastanawiam się jednak, po co Bóg powołuje do życia umysł zdolny do tworzenia takich wierszy, po czym pozwala mu zginąć przedwcześnie.

DLA NIEJ SAMEJ

Wdzięczna Ci jestem za to, że w moim życiu Było mi dane poznać smak miłości. Dziękuję szczerze, że ją w sercu czuję, Mimo że kocham Cię bez wzajemności. I dla miłości poświęcam swe życie, Mimo iż tyle przynosi cierpienia, Bo choć nie zaznam słodkiego spełnienia, To kochać będę Cię skrycie.

Ania Blythe

DR GILBERT BLYTHE, w myśli: „To znakomicie opisuje moje uczucia, które żywiłem, gdy sądziłem, że Ania zamierza wyjść za Roya Gardinera. Dziwne, że Ania zaczęła pisać częściej po śmierci Waltera. Jakby w jakiś zadziwiający sposób talent Waltera spłynął na nią. Powinno być na odwrót. Cóż, pewnie to jakiś sposób na ukojenie bólu, który wszyscy czujemy, wspominając Waltera”.

ZMIANA

Patrz, to niezwykle: słońce weszło, Tak jak i wczoraj też wschodziło.
437

Czerwone maki cieszą oczy I niby nic się nie zmieniło...

Wiatr tak jak wczoraj pieści drzewa, Drżą delikatnie kruche liście, Wzgórza jak wczoraj toną w słońcu I fale rzeki lśnią srebrzyście.

Szkarłatna róża tak jak wczoraj Ozdabia ogród, że aż miło. Tylko nadzieja ma odeszła, Poza tym nic się nie zmieniło.

Ania Blythe

*

DR GILBERT BLYTHE: — Pamiętam dzień, w którym „odeszła ma nadzieja” na zdobycie ciebie, Aniu.

ANIA BLYTHE: — Ja również pamiętam coś takiego. UNA MEREDITH, w myśli:

„Pamiętam, gdy umarła moja nadzieja... Gdy nadeszły wieści o śmierci Waltera”.

ZUZANNA BAKER, w myśli: „Pamiętam wieczór, gdy w końcu zdecydowałam, że zostanę starą panną. Ciekawe, czy Wąsacz stracił nadzieję, po tym jak ścigałam go po podwórku z kociołkiem z farbą. O ile dobrze rozumiem, pisanie poezji polega na rymowaniu tego, o czym wszyscy myślimy. Czemu nie myślałam o takich sprawach, gdy mieszkaliśmy w Domku Marzeń? No tak, wtedy nikt nie mówił o wojnie, a Walter nawet się jeszcze nie urodził. Ciekawe, czy droga pani doktorowa myśli o Walterze lub małej Joyce. Nie, nie wygląda na to, nie jest przecież smutna. To po prostu jeden z wierszy, które pisze dla rozrywki”.

438

ZNAM

Znam pełną fiołków cudną dolinę, Gdzie strumyk szemrze i mgła opada, Topola szumi, chłodny cień brzozy Leśne historie mi opowiada.

Znam ścieżkę, która wiedzie przez wzgórza, Gdzie królik między paproć ucieka. Barwne motyle tańczą radośnie I gdzie nie spojrzę — coś mnie urzeka.

Znam wzgórze — jodły rosną tam stare, Ich pieśń ku morzu, wydmom ucieka. I znam dolinę, o zmierzchu szarą I dom w dolinie, gdzie ktoś na mnie czeka.

Walter Blythe

RILLA BLYTHE: — Walter napisał ten wiersz, myśląc o Dolinie Tęczy. Pisał o niej praktycznie w każdym swoim utworze.

KUBA BLYTHE: — A o co chodzi z tym „domem w dolinie”?

RILI BLYTHE: — Och, tu chodziło o Złoty Brzeg i mamę. Ale dla niego „dom w dolinie” miał bardziej romantyczny wydźwięk. Nie możesz zbyt dosłownie rozumieć tego, o czym mowa w wierszu.

ZUZANNA BAKER: — Wydaje mi się, że nigdy nie można rozumieć niczego zbyt dosłownie. Żyję na tyle długo, by być o tym przekonana. Są na tym świecie rzeczy prawdziwsze od faktów, jak powiedziała kiedyś droga pani doktorowa.

STRZEŻ SIĘ, BRACIE

W gospodarstwie Randebushów z Górnego Glen już od piętnastu lat, czyli od momentu, gdy zmarła Nancy, ukochana żona Amosa Randebusha, nie nastąpiły, żadne zmiany. Amos, jego brat Timothy i Matilda Merry po prostu kroczyli przez życie w spokoju i z zadowoleniem. A z pewnością Amos i Timothy byli zadowoleni. Jeśli zaś Matilda Merry nie zawsze była szczęśliwa, to z własnej winy. Miała przecież dobrą posadę gospodyni i dolegliwość, o której z wielką przyjemnością lubiła rozprawiać, w postaci chronicznego reumatyzmu. Ludzie mówili, że stanowi istną żyłę złota dla doktora Blythe'a. Amos płacił jej dobrze i nigdy nie narzekał na zbyt wilgotne herbatniki czy spaloną pieczeń. Czasem wzdychał, patrząc na nią, gdy siedziała na honorowym miejscu przy stole, i porównywał jej siwe włosy i pesymistyczną

naturę z lśnącymi lokami oraz różanymi policzkami Nancy. Ale nigdy nic nie mówił. A jeśli chodzi o reumatyzm, to kobieta przecież musi mieć o czym gadać.

440

Timothy miał do życia podejście bardziej filozoficzne. Żył mu się z Matildą bardzo dobrze. Nancy świetnie wyglądała i była dobrą gospodynią, ale przesadzała ze swoją manią utrzymywania wszystkiego w idealnym porządku! Nim wpuściła gościa do domu, zmuszała go do zeskrobywania grudek błota z podeszew butów. Nie robiła wyjątku nawet dla pastora czy doktora Blythe'a. Amos od czasu do czasu buntował się przeciwko tym zasadom, ale teraz pamiętał tylko miłe chwile. Tak właśnie na człowieka działały kobiety, nawet po śmierci. Timothy zaś dziękował niebiosom, że żadna z nich nie owinęła go sobie wokół palca. Zawsze szczerze nie cierpiał kobiet, może z wyjątkiem pani Blythe, którą tolerował, za to szczególnie nienawidził panny Winkworth. Dołącz-ki w policzkach, okropność! Wytworna i egzaltowana, dajcie spokój! Włosy ufarbowane na kolor toffi i uwodzicielskie spojrzenie! Ratuj się, kto może! Czy ktokolwiek się spodziewał, że Amos okaże się takim głupcem? Jednej pauczki mu mało? Najwidoczniej. Amos, mężczyzna zupełnie pozbawiony kręgosłupa, nie miał szans w starciu z zalotną, podstępą desperatką pokroju tej całej Winkworth! Amos, dałbyś sobie na wstrzymanie! Może i był bezbronny wobec zalotów tej kobiety, może i pani Blythe włączyła się do sprawy (podobno uwielbiała swatać ludzi), ale Amos na szczęście ma brata, który uratuje go z opresji.

Panna Alma Winkworth zatrzymała się u Knappów w Glen St. Mary. To właśnie Knappowie opowiadali, że Alma pracuje w salonie piękności Hillier w Bostonie, że przeszła niedawno operację i potrzebuje nieco dłuższych

44 f

niż typowe, dwutygodniowe, wakacji przed powrotem do pracy Timothy w ogóle nie wierzył, że Alma była operowana. Najprawdopodobniej to tylko element intrygi doktorostwa Blythe'ów. Alma Winkworth nie wyglądałaby tak kwitnąco, gdyby właśnie przeszła operację. Najwyraźniej ktoś tu próbował wzbudzić czyjaś sympatię. Na pewno przyjechała do Glen St. Mary, by upolować jakiegoś mężczyznę i, o zgrozo, bliska była zwycięstwa. Na szczęście Timothy był gotów zrobić wszystko, by do tego nie dopuścić...

Pierwszy raz ujrzeni ją w kościele — siedziała z przodu, w ławce Blythe'ów (Maria Knapp nigdy nie chodziła do kościoła). Uśmiechnięta, z nienaganną cerą i fryzurą, zupełnie jakby stanowiła żywą reklamę salonu piękności.

Od tej pory Amos nie był już tym samym człowiekiem. Następnego wieczoru pod byle jakim pozorem wybrał się do Knappów, co oczywiście z chęcią wykorzystała owa modliszka.

Wystarczy tylko na niego popatrzeć, od razu widać, co mu zrobiła. Była to akurat pora żniw, gdy mężczyźni dzielili czas głównie między pracę i sen, a tymczasem Amos snuł się beczynnie przez całe dni, a wieczorami golił się, stroił, wyrównywał wąsy i pędził do Glen pod jakimś pozorem, na przykład z powodu zebrania Stowarzyszenia Hodowców Lisów. Kolejnym złym znakiem było to, że Amos nagle stał się wyczulony na punkcie swojego wieku. Gdy podczas jego pięćdziesiątych urodzin Timothy gratulował mu spędzenia półwiecza na tym świecie, Amos z rozdrażnieniem odparował, że czuje się najwyżej na czterdzieści lat. Ta cała Winkworth powiedziała Blythe'om, że ma

442

czterdzieści lat, niewątpliwie w celu zachęcenia Amosa, bo po cóż innego niezamężna kobieta przyznawałaby się do swego wieku, gdyby nie miała w zanadrzu niegodziwego planu?

Timothy'emu zdawało się, że tylko cud może odwieść brata od oświadczenia się Almie Winkworth. Na razie jeszcze do tego nie doszło, tego Timothy był pewien, bo Amos wciąż wyglądał na zdenerwowanego i niepewnego. Prawdopodobnie niedługo zdobędzie się na odwagę. Musi to zrobić w ciągu dziesięciu dni, bo później wybiera się do Toronto na

Wystawę Krajową, gdzie będzie doglądał srebrnych lisów, które Stowarzyszenie Hodowców Lisów tam posyła. Spędzi w Toronto dwa tygodnie, co oznacza, że gdy wróci, nie zastanie już tej całej Winkworth. Dlatego też Timothy był pewien, że Amos oświadczy się jej przed wyjazdem.

Nie można do tego dopuścić! Bracia żyli tyle lat w idealnej harmonii, przykładowie, czyż jakaś kobieta miała to przekreślić? I nagle z nieba spłynęło na Timothy'ego natchnienie. Joe's Island! Oto odpowiedź na jego modlitwy!

Szczegóły przysparzały mu zmartwień. Był pod presją czasu, mimo iż wysilał umysł — nie umiał wymyślić sposobu na zwabienie Winkworth na Joe's Island, tak by nikt inny o tym nie wiedział.

Los uśmiechnął się do Timothy'ego. Pani Knapp przyjechała na zakupy do Górnego Glen i przy okazji wpadła z wizytą do Matildy Merry. Usiadły sobie na tylnym ganku, bujały się w fotelach i plotkowały. W pewnym momencie Timothy, który leżał na kuchennej sofie

443

tuż pod oknem, usłyszał coś, co natychmiast postawiło go na nogi. Panna Winkworth, mówiła pani Knapp, wybierała się na dzień lub dwa do Charlottetown, by spędzić trochę czasu z przyjaciółką, która tam mieszka. Zamierza popłynąć promem. Podobnie zresztą pani doktorowa Blythe, która z kolei wybiera się do Avonlea.

A więc to dlatego Amos wydawał się taki przygnębiony i smutny przez cały dzień i chciał dostać od doktora Blythe'a pigułki na wątrobę — pomyślał z lekką pogardą Timothy. A niech to licha! Musi być naprawdę zadurzony po uszy, skoro perspektywa kilkudniowej rozłąki z ukochaną zmusza go do zażywania leku. Ale cóż, im większy ogień, tym szybciej się wypali. Amos niedługo wyleczy się z zauroczenia i będzie wdzięczny bratu za pomoc, szybciej niż skończą się pigułki od doktora Blythe'a.

Timothy nie tracił czasu. Był pewien, że Amos będzie chciał podwieźć Almę na dworzec, ale samochód Amosa wciąż stał w garażu. Timothy poszedł do stodoły i wyprowadził swoje auto. Bał się teraz jedynie tego, że Amos może zadzwonić po panią Blythe.

— A gdzie on się wybiera? — zastanawiała się pani Knapp, gdy samochód Timothy'ego przemknął przez podwórze.

— Pewnie na przystań po ryby — powiedziała Matilda. — Gdyby jechał do kogoś z wizytą, ogoliłby się i przebrał, nawet gdyby chodziło o wyprawę do Złotego Brzegu po jakieś lekarstwa. Timothy ma czterdzieści pięć lat na karku, ale wciąż próżny jest jak paw.

— Cóż, przystojny z niego mężczyzna — zauważyła pani Knapp. — Wygląda o wiele lepiej niż brat. Amos

444

ma typ urody, który pani Blythe nazwałaby: niczym nie wyróżniający się.

— Myślisz, że Amos i goszcząca u ciebie panna Winkworth mają się ku sobie? — spytała Matilda.

— Bez wątpienia — odparła pani Knapp. — Amos poświęca jej wiele uwagi. A pani Blythe zrobiła wszystko, by ich ze sobą poznać. Chyba nic nie powstrzyma jej od swatania ludzi. Mnie się też zdaje, że panna Winkworth dosyć już ma samotnej wędrówki przez życie. Ale pewności nie mam, to bardzo samodzielna istota.

Alma Winkworth siedziała na werandzie u Knappów, gdy Timothy zajechał przed dom. Ubrana była do podróży w elegancki kostiumik i kapelusik z zieloną kokardą. U jej stóp stała walizka.

— Dobry wieczór, panno Winkworth — przywitał się Timothy. — Przepraszam, brat nie mógł się zjawić. Wyskoczyła mu jakaś sprawa w związku z lisami. Ja zabiorę panią na dworzec.

— To bardzo miłe z pańskiej strony, panie Rande-bush.

Z pewnością ma przyjemny głos. I bardzo elegancką sylwetkę. A jak patrzy na człowieka! Od razu Timothy zdał sobie sprawę, że tego dnia się nie ogolił, a drobinki sieczki miał przyczepione do swetra.

— Lepiej się pospieszmy — stwierdził ponuro. — Pociąg niedługo odjedzie.

Nie podejrzewając niczego, Alma Winkworth wsiadła do samochodu. Timothy nie posiadał się z radości. Szło o wiele łatwiej, niż przypuszczał. Całe szczęście, że Alma nie umówiła się wcześniej z panią Blythe.

Problemy zaczęły się, gdy zjechali z głównej drogi Górnego Glen w pełną kolein, zarośniętą dróżką prowadzącą do zatoki. Alma Winkworth zrobiła się podejrzliwa.

— Ta droga nie prowadzi na dworzec, prawda? — spytała z nutką lekkiej zadumy.

— Prawda — odparł Timothy, jeszcze bardziej ponurym głosem niż zwykle. — Nie jedziemy na stację kolejową.

— Panie Randebush...

Utkwiła spojrzenie w parze srogich oczu.

— Nic się pani nie stanie. Wszystko będzie dobrze, póki będzie pani robić to, co powiem, i zachowa spokój.

Alma głośno nabrała powietrza w odruchu zaniepokojenia, po czym zamilkła. Najwyraźniej uznała, że z szaleńcami lepiej nie zadzierać.

— Proszę wysiadać — powiedział Timothy, gdy dojechali do końca drogi. — Proszę iść wzdłuż przystani i wsiąść do zacumowanej tam łodzi.

W okolicy nie było żywej duszy. Alma Winkworth ruszyła wzdłuż starej przystani, a Timothy tuż za nią. Czuł się wspaniale, niczym jakiś pirat. Proszę bardzo! Znalazł sposób na załatwienie sprawy. A pani Blythe zawsze mówiła, że kobiety są równie przebiegłe jak mężczyźni.

Gdy już odcumowali i wolno płynęli wodami zatoki, Alma odezwała się cichym głosem, który drżał leciutko, co było wprost rozbijające:

— Gdzie... gdzie mnie pan zabiera, panie Randebush?

446

Nic nie stało na przeszkodzie, by jej powiedzieć.

— Zabieram panią na Joe's Island. To cztery mile stąd. Zamierzam zostawić tam panią na kilka dni. Powody zostawię dla siebie, jakby powiedział doktor Blythe. Jak już obiecałem, żadna krzywda się pani nie stanie, zresztą niczego tam nie będzie pani brakować. Na wyspie znajduje się domek letniskowy Kennetha Forda, a ja się nim opiekuję. Tego lata Fordowie wybrali się do Europy na wakacje. W spiżarni jest mnóstwo puszek z jedzeniem, sprawny piec, a pani umie przecież gotować.

Przyjęła to z wielką godnością, musiał przyznać. Prawdopodobnie każda znana mu kobieta, może z wyjątkiem pani Blythe, wpadłaby na miejscu Almy w histerię. A ona nawet nie zapytała, co nim powoduje. Pewnie zgadła, niech ją diabli. Siedzi po prostu w łodzi spokojna i opanowana, jakby codziennie ją ktoś porywał.

— Nie wydaje się panu, że ktoś podniesie alarm, gdy odkryje, że zaginęłam? — spytała po dłuższej chwili.

— A komu będzie pani brakowało? — odparł. — Amos pomyśli, że bała się pani spóźnić na pociąg i pojechała na dworzec wcześniej.

— Nie było w planie, by pański brat mnie podwoził. Chciałam zabrać się z Flaggami — wyjaśniła. — A co będzie, jeśli nie wrócę pojutrze do domu? Czy pani Knapp nie zacznie się niepokoić?

— Nie. Dojdzie do wniosku, że zdecydowała się pani przedłużyć pobyt w mieście. A Blythe'owie zostaną w Avonlea przez dwa tygodnie. Poza tym, nawet gdyby ludzie zaczęli się zastanawiać, dojdą po prostu do

447

wniosku, że wróciła pani do Bostonu, by uniknąć płacenia za pobyt w Górnym Glen.

Alma Winkworth nic nie odpowiedziała na te okrutne słowa. Patrzyła w dal, w stronę słońca zachodzącego nad wodami zatoki. W charakterystyczny sposób przekrzywiła głowę. Mały kosmyk barwy toffi wyswobodził się spod jej kapelusika. Nagle się uśmiechnęła.

Timothy poczuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach.

— Wieje dzisiaj z zachodu, prawda? — zauważyła z rozmarzeniem. — Och, niech pan spojrzy, panie Randebush, Gwiazda Wieczorna.

Jakby nikt wcześniej nie widział Gwiazdy Wieczornej !

Oczywiście, zdawała sobie sprawę, że odsłania swoją piękną szyję, gdy uniosła głowę, by spojrzeć w niebo.

Porywanie kobiet to niebezpieczny proceder. Zupełnie nie podobały mu się ciarki przechodzące po plecach.

Może zdawało jej się, że on wcale nie chce jej zostawić na Joe's Island? Pewnie wścieknie się dopiero wtedy, gdy przekona się, iż to prawda. Cóż, będzie miała dużo miejsca, by dać upust swej złości. W promieniu czterech mil ani jednego zabudowania. W pobliżu Joe's Island, gdy nikt na niej nie mieszkał, przepływały tylko łodzie rybackie. Poza tym nigdy tam nie cumowały. Przez solidne okiennice na pewno nie będzie przebijać światło, a gdyby nawet ktoś zauważył dym, pomyśli pewnie, że to Timothy sprząta i wietrzy w domu.

Ojej, udał mu się ten niecny plan!

— Niebo nad Glen St. Mary zazwyczaj pełne jest gwiazd — uciął krótko.

Alma Winkworth nie odezwała się więcej. Siedziała i wpatrywała się w odnalezioną przez siebie gwiazdę, aż przybili do przystani na Joe's Island.

— No, jesteśmy na miejscu — rzekł Timothy.

— Och, panie Randebush, naprawdę zamierza mnie pan porzucić w tym odosobnionym miejscu? Czy nic nie jest w stanie wpłynąć na zmianę pańskiego zdania? Niech pan pomyśli, co powie pani Blythe, gdy się dowie.

— Droga pani — odezwał się Timothy surowym tonem, tym bardziej surowym, że w tej kobiecie rzeczywiście było coś fascynującego, a poza tym wielce sobie cenił dobrą opinię Blythe'ow. — Łatwiej ulepić coś z granitu, niż sprawić, by Randebush zmienił raz powziętą decyzję.

— Pani Blythe powiedziała mi, że jesteście bardzo uparci — rzekła łagodnym tonem, wychodząc na przystań.

i

Pachniała zniewalająco, co niewątpliwie stanowiło kolejną reklamę salonu piękności, chociaż pani Blythe pachniała podobnie, gdy zjawiała się w kościele.

Dom Kennetha Forda zbudowany został na wysokim skalistym cyplu na północnej stronie wysepki. Drzwi i okiennice zabezpieczono porządnymi zamkami. Timothy miał komplet kluczy, a przynajmniej tak mu się wydawało. Był pewny, że nawet Blythe'owie nie posiadali wszystkich kluczy. W domku znajdowało się wszystko, czego ktoś mógł potrzebować: woda bieżąca, jedzenie w puszkach, kawa, herbata.

— Będzie tu pani całkiem wygodnie. Jest ciemno, rzecz jasna, ale mnóstwo tu lamp i węgla. Północna sypialnia przewietrzona, zadbałem o to wczoraj.

Timothy był czerwony na twarzy. Zrozumiał, że rozmowa z damą na temat sypialni jest czymś nieprzyzwoitym.

Bez słowa wyszedł i zamknął drzwi. Nagle ogarnęły go wyrzuty sumienia. Czuł się tak, jakby kogoś uwięził.

„Nie rozklejaj się, Timothy Randebushu — upomniął się surowo. — Amosa trzeba ratować, a to jedyny sposób. Wiesz dobrze, że nie możesz jej wypuścić. Natychmiast da znać załodze jakiejś łodzi rybackiej. Gdy wieje ze wschodu, łodzie czasem przepływają bardzo blisko Joe's Island”.

W połowie drogi powrotnej pomyślał: „A niech mnie! Czy w domu Fordów zostały zapalki?”. Po wejściu do domu co prawda zapalił lampę, ale jeśli Alma będzie chciała ją napęlnić, zgaśnie. I co wtedy?

Ku swemu zadziwieniu i przerażeniu, Timothy nie zmrużył tej nocy oka.

Cóż, w końcu nie porywa się kobiet codziennie. Z pewnością takie zdarzenie nadszarpnęło mu nerwy. Ale niech już przestanie się zastanawiać, czy miała jakieś zapalki!

A niech to licha! Jeśli brakło jej zapalek, nie będzie miała jak gotować! Zagłodzi się na śmierć. Nie... Przecież mięso w puszkach nadawało się do jedzenia. Zimne co prawda, ale utrzymają przy życiu.

„Obróć się na bok i śpij, Timothy Randebushu”. Odwrócił się, to prawda, ale usnąć nie zdołał.

460

Najgorsze, że następnego dnia nie mógł dostarczyć jej zapalek. Trzeba było zwieźć pszenicę z pola, a gdyby wybrał się na Joe's Island — co zajmie mu pół dnia — wzbudzi podejrzenia Amosa. Tak przynajmniej rozumował.

Dzień zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Gdy zboże zostało przetransportowane, Timothy ogolił się i pospiesznie przebrał, po czym, nie czekając na kolację, pod pozorem, że musi się spotkać z kimś w interesach na przystani, wszedł do samochodu i pojechał w stronę wybrzeża, zatrzymując się po drodze, by kupić w sklepie zapalki.

Wieczór był zimny i mglisty, a ostry wiatr wiał w stronę zatoki. Timothy był zmarznięty do szpiku kości, gdy w końcu postawił stopę na brzegu Joe's Island. Kiedy otworzył kuchenne drzwi (wcześniej na wszelki wypadek pukając), ujrzał coś absolutnie zachwycającego.

W kominku radośnie buzował ogień. Alma Wink-worth, w koronkowej niebieskiej sukience i w różowym fartuchu, piekła placki z dorsza. Całą kuchnię wypełniał apetyczny zapach, zmieszany z aromatem kawy. Na piecu stała też taca pełna złocistobrazowych babeczek. Jej policzki zaczerwienione były od ciepła bijącego z pieca, oczy błyszczały, a włosy kręconymi kosmykami opadały na czoło. Timothy skarcił się w myślach za nazwanie jej oczu „lśniącymi”.

„No pięknie, rozklejam się! Jeszcze gorzej niż Amos. A niech to licha!” Coś działo się z jego żołądkiem. Wcześniej kręgosłup, teraz żołądek. To pewnie przez zapachy kolacji. Od południa nie miał nic w ustach.

4

■m

— O, pan Randebush. Tak się cieszę, że pana widzę — powiedziała.

Timothy nie miał pojęcia, jak jej się to udało, ale sprawiła, że poczuł się niczym księżę z bajki.

— Może pan siądzie na chwilę? — zaproponowała.

— Nie, dziękuję. — Timothy był jeszcze bardziej ob-cesowy niż zwykle. — Muszę wracać do siebie na kolację.

— Och, panie Randebush, a nie zjadłby pan ze mną? Jedzenia wystarczy dla dwojga, a źle się je w samotności. Poza tym te ciastka zrobiłam według sławnego przepisu Zuzanny Baker. Podarowała mi go jako specjalny prezent.

Timothy przekonywał siebie, że to aromat kawy tak go zniewala. Nic dziwnego, w porównaniu z lurą, którą Matilda śmiała nazywać kawą!

Nagle spostrzegł, że wzięła od niego kapelusz i łagodnie posadziła na krześle.

— Niech pan tu posiedzi, a ja zdejmę z ognia placki z dorsza. Wiem, że z głodnym mężczyzną lepiej nie rozmawiać.

Pyszne placki dorszowe! Pyszne babeczki! Pyszna kawa! I do tego zdrowy rozsądek! Nie chciała zadrećzać Timothy'ego rozmową. Po prostu dała mu się nasycić w milczeniu. Ale nawet później dziwne uczucie w żołądku nie zniknęło. O co więc chodzi? Doktor Blythe zawsze mówił, że im mniej uwagi poświęca się żołądkowi, tym lepiej. Niewielu lekarzy miało taką wiedzę jak doktor Blythe.

— Dobrze, gdy w domu przebywa mężczyzna — powiedziała Alma Winkworth, gdy Timothy wypił drugą filiżankę kawy.

462

— Pewnie czuje się tu pani samotnie — burknął Timothy, za co w myślach natychmiast się skarcił. Oczywiście, należało uratować Amosa z jej szponów, ale nie trzeba było przy okazji robić z siebie błazna.

Randebushowie zawsze szczylicili się nienagannymi manierami. Ale ona na pewno nie nabierze go na gadki o samotności i pochlebstwa. Musi się jakoś jej oprzeć!

— Troszeczkę — przyznała ze smutkiem. — Może zostanie pan chwilkę, porozmawia ze mną?

— Nie mogę, droga pani. Poplotkuje sobie pani z panią Knapp i panią Blythe.

— Pani Blythe nigdy nie plotkuje, a pani Knapp jest w tych stronach nowa.

— Nie mogę, proszę pani. Dziękuję za kolację. Zuzanna Baker lepszych placków by nie upiekła. Muszę się zbierać.

Patrzyła na niego z podziwem, wspierając podbródek na złożonych dłoniach. Już od wielu lat żadna kobieta nie spoglądała na niego z podziwem.

— Przypuszczam, że nie ma pan przy sobie aspiryny? — odezwała się znowu ze smutkiem w głosie. — Obawiam się, że będę miała migrenę. Od czasu do czasu zażywam aspirynę.

Timothy nie miał lekarstwa. Myślał o aspirynie w drodze powrotnej i prawie przez całą noc. A jeśli ona tam cierpi w samotności? Nic nie mógł na to poradzić. Będzie musiał wrócić następnego wieczoru i przywieźć jej lekarstwo.

Spakował aspirynę. Spakował również owiniętą w brązowy papier paczkę z dwoma wieprzowymi kotle-

\

4

tami oraz dwa funty masła zawinięte w liście rabarbaru. Matilda Merry zdziwiona była zniknięciem pożywienia, ale nigdy się nie dowiedziała, co się z nim stało.

Gdy zjawił się w domku letniskowym, Alma Winkworth siedziała przy rozpalonym kominku w salonie. Miała na sobie wiśniową aksamitną suknię, a w uszach malutkie, czerwone kolczyki. A niech to licha! Co też kobiety wożą w neseserach!

Wybiegła mu na spotkanie z rozłożonymi rękoma. Miała śliczne dłonie.

— Och, czekałam na pana cały wieczór, panie Randebush, z nadzieją, że się pan zjawi. Bez aspiryny było mi ciężko w nocy. A pan ją przywiózł!

— Mam nadzieję, że nie jest przeterminowana. Musiałem kupić w sklepie, skoro doktor Blythe wyjechał.

— Z pewnością mi pomoże. Jest pan naprawdę miły i uczynny. Musi pan tu zostać chwilkę i ze mną porozmawiać.

Timothy, uznając, że dziwne uczucie w żołądku to stan przewlekły i będzie musiał się skonsultować z doktorem Blythe'em, usiadł wolno.

— Amos sprawił, że jego pierwsza żona zapracowała się na śmierć — powiedział, nie mając pojęcia, dlaczego właściwie to mówi. Od razu poczuł skruchę. — Nieprawda. Sama zapracowała się na śmierć. Natomiast on jej nie powstrzymał.

Pojawiły się kolejne wyrzuty sumienia. A niech to! Co z niego za człowiek, tak oczerniać brata!

— Nie sędzę, by był w stanie jej pomóc. Niektóre kobiety takie już są.

464

Alma Winkworth roześmiała się. Jej śmiech, jak zresztą cała reszta, był przyjemny.

— Ależ ma pan dar do ujmowania rzeczy, panie Randebush.

Płomienie z kominka rozjaśniały jej błyszczące włosy i piękną suknię. W drodze powrotnej Timothy wciąż miał ją przed oczami.

Podziękowała mu gorąco za wizytę i spytała, czy wpadnie jeszcze. Może i wpadnie, za dzień lub dwa. Oczywiście, czuła się tu strasznie samotna, nie mogąc się odezwać choćby do psa. Może przywiezie jej psa. Nie, to bez sensu. Pies mógłby szczekaniem przyciągnąć czyjaś uwagę. Ale kot? Czemu nie. Wspomniała, że lubi koty. Oraz że chyba słyszała w nocy popiskiwanie szczura. Przywiezie jej kota. Najlepiej już jutro wieczorem. Szczury potrafią wyrządzić mnóstwo szkód.

O czwartej po południu następnego dnia Timothy wiosłował po wodach zatoki. Na dziobie leżało wijące się, miauczące bezkształtne zawiniątko: kot Matildy Merry schowany w worku na ziemniaki.

Timothy podejrzewał, że Matilda poruszy niebo i ziemię, gdy odkryje, że zniknął jej zwierzak, ale gdy się porwało kobietę, to uprowadzenie czyjegoś kota nie robi już większego wrażenia.

Alma nalegała, by Timothy zjadł z nią kolację i zdawała się zachwycona kotem. Gdy po posiłku siedzieli przy stole i rozmawiali, trzymała puszystą kulkę na kolanach, głaszcząc ją. Timothy przeżył chwilę grozy, gdy zdał sobie sprawę, że zazdrości zwierzakowi.

466

Następnego dnia Amos nagle oznajmił, że do Toronto jedzie w poniedziałek, nie w środę. Trzeba było się zaopiekować lisami jeszcze przed otwarciem wystawy. Timothy poczuł ulgę. Amos ostatnio nie był najsympatyczniejszym współlokatorem. Pewnie martwi się, że Alma tak długo bawi w Charlottetown. Nie znał jej adresu, więc nie mógł nawet jej wysledzić. Cóż, skoro Amos wyjeżdża, wkrótce będzie można uwolnić Almę. Myśl ta jednak zamiast wprawić go w euforię, przyprawiała o rozpacz. Trochę czasu minęło, nim zrozumiał, co się z nim dzieje. Nie udał się na Joe's Island ani tego wieczoru, ani następnego. Nie popłynie tam choćby za milion dolarów, przekonywał siebie.

Ale trzeciego dnia musiał się wybrać na wyspę, bo Amos był już w drodze do Toronto, nie istniała więc potrzeba więzienia Almy. Poza tym Blythe'owie już wrócili, a Timothy nie ufał pani Blythe. Jak na kobietę, była zbyt sprytna.

— Myślałam, że już nigdy pan nie wróci — powiedziała Alma z lekkim wyrzutem. — Tak bardzo za panem tęskniłam.

Jednym spojrzeniem swych łagodnych oczu mogła przekazać więcej niż większość kobiet za pomocą tysiąca słów. Czar owych spojrzeń pokonał Timothy'ego, w końcu zdał sobie z tego sprawę. Ale się nie przejął.

„Jestem wrakiem, mam strzaskane burty i rufę”, pomyślał o sobie ze wstrętem. Tak naprawdę zrozumiał to, gdy spojrzała na gwiazdę. W pewnym sensie poczuł ulgę, gdy przyznał się sam przed sobą. Pewnie wszyscy

by się z niego śmiali, może z wyjątkiem pani Blythe. Wiedział, że ona by go nie wyśmiała.

— Amos wyjechał do Toronto, więc przyjechałem, by panią uwolnić — wydusił z siebie. Przez ułamek sekundy zdawało mu się, że nie jest zachwycona takim obrotem spraw. A potem zapytała:

— Mógłby pan powiedzieć, czemu mnie tu przywiózł?

— Chciałem powstrzymać Amosa przed oświadczeniem się pani — wymamrotał Timothy. Niech już się dowie całej prawdy.

— Pański brat poprosił mnie o rękę dzień przed porwaniem — powiedziała cicho. — Odmówiłam. Nie mogłabym poślubić żadnego mężczyzny, nie kochając go. Naprawdę nie mogłabym, choć bardzo chcę mieć normalną rodzinę.

Jej słowa nie miały żadnego sensu. Timothy gapił się bezmyślnie. Posłała mu przebiegły uśmiezek.

— Oczywiście byłoby miło być spokrewnioną z panem, drogi panie Randebush. Timothy odchrząknął.

— Panno Winkworth, Almo, nigdy nie należałem do osób, które owijają w bawełnę. Pani Blythe potwierdziłaby moje słowa, gdyby tu była.

Pani Blythe opowiedziała Almie wiele różnych rzeczy o Timothy, ale Alma miała własne zdanie.

— Czy wyjdzie pani za mnie? — spytał Timothy. — Ja... ja bardzo lubię gwiazdy. Pani Blythe mogłaby potwierdzić. Mam ładny dom, na własnej farmie... wystarczy drobny remont i dobudowanie werandy. Chciałbym się panią zaopiekować...

Alma Winkworth uśmiechnęła się ponownie, a w tym uśmiechu kryła się ulga. Koniec z bezczelnymi klientami w salonie piękności, koniec urlopów w tanich pensjonacikach. Oto przystojny mężczyzna, którego podziwiała od pierwszego wejrzenia, od spotkania w kościółku w Glen St. Mary („Czemu nie postarasz się zdobyć Timothy'ego Randebusha? — przekomarzała się z nią pani Blythe. — Jest lepszy od Amosa pod każdym względem”). Podeszła do niego. Timothy Randebush, aż drżąc od miłości, wypełniającej go po raz pierwszy od czterdziestu pięciu lat, wziął ją w ramiona.

Godzinę — a może sto lat — później Timothy, niosąc kota i neseserek (Matilda Merry zastanawiała się potem, gdzie tak długo podziewał się jej ulubieniec, no ale koty chadzają własnymi ścieżkami), ruszył przez hol do bocznego wyjścia.

— Wyjdziemy tędy, panno Winkworth — Almo, kochanie. Tędy łatwiej ci będzie zejść na plażę.

Położył na ziemi neseserek i worek z kotem, wybrał odpowiedni klucz i spróbował przekręcić go w zamku. Nie chciał się obrócić. Nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły bez problemu.

— A niech to! Drzwi były otwarte! — wykrzyknął.

— Tak, były otwarte cały czas — powiedziała spokojnym tonem Alma. — Razem z panią Blythe byliśmy tu któregoś dnia i chyba zapomnieliśmy zamknąć. Ona ma klucze do tego domku, wiesz?

WIECZÓR DRUGI

WIATR

Pamiętam tę chwilę, gdy szłam za głosem wiatru I usłyszałam elfiego dźwięk nucenia, I nie wiem — już daleko brzmiał czy blisko, Lecz nagle gdzieś poczułam serca drżenie. Nieważne z której wieje strony Wiatr — mój kochanek ulubiony, I czy. dzień jasny, czy noc głucha Pieśń wiatru pieści moje ucho.

Już nowy dzień i nowy wiatr od morza, W powietrzu mróz i morza smak słonego Tak zimno mi i drżała moja dusza I bałam się podmuchu surowego. I bardzo był to wiatr okrutny, Pełen wyrzutu, zimny, smutny, I gorzko szeptał, i szeleścił, Snując magiczne opowieści.

Był inny wiatr — samotny pan pustkowia Znad głuchych pól — nie spotkasz tam nikogo,

Z bezludnych ziem, z jałowych pól tu przybył, Tu do mnie biegł wieczorną, gwiezdą drogą I o pustyni opowiadał

— świecie spokoju oraz ładu, Krainie srebrzystego piasku
I o porankach pełnych blasku.

A potem wiał wiatr kwietnych wzgórz zielonych, Łagodny duch długiego wędrowania,
Słyszałam, jak cichutko się roześmiał I śpiewał pieśń — swój hymn podróžowania. Szalony
wspólnik mej wędrowki, On wie, gdzie elfów są kryjówki, Na zachód wskaże mi ścieżynę
— tam czeka na mnie odpoczynek.

I przybył wreszcie wiatr, który mi najdroższy Znad dolin wiał, tak pełen łagodności. I czułam
woń ogniska oraz domu, Przyjaźni, snu i dobry smak miłości. Niósł zapach sadu i ogrodu,
Wspomnienie wschodu i zachodu. Tak dobry był i przede wszystkim On zawsze będzie mi
tak bliski.

Ania Blythe

DR GILBERT BLYTHE: — Jak już wspominałem, zawsze lubilem wiatr.

ZUZANNA BAKER: — Ja tego samego powiedzieć nie mogę. W nocy brzmi przerażająco,
wyjąc pod okapem.

460

Z bezludnych ziem, z jałowych pól tu przybył, Tu do mnie biegł wieczorną, gwieźdną drogą I
o pustyni opowiadał

— świecie spokoju oraz ładu, Krainie srebrzystego piasku

I o porankach pełnych blasku.

A potem wiał wiatr kwietnych wzgórz zielonych, Łagodny duch długiego wędrowania,
Słyszałam, jak cichutko się roześmiał I śpiewał pieśń — swój hymn podróžowania. Szalony
wspólnik mej wędrowki, On wie, gdzie elfów są kryjówki, Na zachód wskaże mi ścieżynę
— tam czeka na mnie odpoczynek.

I przybył wreszcie wiatr, który mi najdroższy Znad dolin wiał, tak pełen łagodności. I czułam
woń ogniska oraz domu, Przyjaźni, snu i dobry smak miłości. Niósł zapach sadu i ogrodu,
Wspomnienie wschodu i zachodu. Tak dobry był i przede wszystkim On zawsze będzie mi
tak bliski.

Ania Blythe

DR GILBERT BLYTHE: — Jak już wspominałem, zawsze lubilem wiatr.

ZUZANNA BAKER: — Ja tego samego powiedzieć nie mogę. W nocy brzmi przerażająco,
wyjąc pod okapem.

KUBA BLYTHE: — Podoba mi się wers o woni ogniska oraz domu, mamó. Gdy
siedzieliśmy w okopach, często myślałem o wietrze wiejącym nad przystanią w pobliżu
Złotego Brzegu.

DR GILBERT BLYTHE: — Twój wiersz przypomina mi utwór Waltera, choć w pewnym
sensie jest zupełnie inny. Myślę, że to jeden z twoich najlepszych utworów, Aniu. Jesteś w
coraz lepszej formie, co oznacza, że pewne rany zaczynają się goić.

ANIA BLYTHE, ze smutkiem: — Ale blizny po nich zostaną na zawsze, Gilbertcie.

DR GILBERT BLYTHE: — Owszem. Nie myśl, że sobie z tego nie zdaję sprawy, kochanie.

SNY PANNY MŁODEJ

Moj ukochany, zobacz, już świta I dziwne zjawy wokoło. Nade mną zimna grobowca płyta I
takie chłodne me czoło.

I tak mi zimno — przytul mnie, miły, Słuchaj, co śniłam, śpiąc przy twym boku, Umarłam,
ciało me do mogiły Złożono, leżę w chłodzie i mroku, Grobowiec niedaleko kościoła, Lecz
głosów nie słysząc ludzi, Wzgprza zielone ciągną się wkoło (Och, jak pragnęłam się
zbudzić!).

Czerwone róże kwitną na mym grobie, Wiosna wokoło, słyszę ptaków trele,

A ja złożona w dusznym, ciemnym grobie, A ja nieżywa, w ziemi i popiele. Wiatr goni
chmury niczym perły białe I dziwne nade mną cienie — to jawa czy przywidzenie? Czy
śniłam, czy to widziałam?

W jedwabnej sukni mnie pogrzebałeś
Twarz ma lokami owita
Me usta bledsze od szaty białej.
Kwiat w moich sztywnych dłoniach przekwita.
(I tak cię proszę, i tak zaklinam,
spraw, by nie przyszła śmierci godzina!)
Choć ziemia oczy mi przysłoniła, Lud do kościoła spieszący widziałam. Żony, matki,
dziewczęta na cmentarz bieżyły. Tak zimna glina wokół mego ciała. I te kobiety, takie piękne
wszystkie Tu podążają, gdzie mogiły bliskich. A przy mnie Margaret stara stała, Szyderczo
imię me odczytała, Kiedy jej uśmiech zły ujrzałam, W mym zimnym grobie aż zadrzałam.
Szły do kościoła niekochane kobiety I bracia, których rozdziela nienawiść, I głodne dzieci,
niewinne dziewczęta I Lawrence, którego duszę zżera zawiść. I szedł za mury także ten Jock
sknera I panna — gorycz z jej oczu wyziera. A Lawrence, choć nie mówił niczego W oczach
miał kpinę — wiem, że szydził z czegoś.

46

A ja złożona w dusznym, ciemnym grobie, A ja nieżywa, w ziemi i popiele. Wiatr goni
chmury niczym perły białe I dziwne nade mną cienie — to jawa czy przywidzenie? Czy
śniłam, czy to widziałam?

W jedwabnej sukni mnie pogrzebałeś

Twarz ma lokami owita

Me usta bledsze od szaty białej.

Kwiat w moich sztywnych dłoniach przekwita.

(I tak cię proszę, i tak zaklinam,

spraw, by nie przyszła śmierci godzina!)

Choć ziemia oczy mi przysłoniła, Lud do kościoła spieszący widziałam. Żony, matki,
dziewczęta na cmentarz bieżyły. Tak zimna glina wokół mego ciała. I te kobiety, takie piękne
wszystkie Tu podążają, gdzie mogiły bliskich. A przy mnie Margaret stara stała, Szyderczo
imię me odczytała, Kiedy jej uśmiech zły ujrzałam, W mym zimnym grobie aż zadrzałam.
Szły do kościoła niekochane kobiety I bracia, których rozdziela nienawiść, I głodne dzieci,
niewinne dziewczęta I Lawrence, którego duszę zżera zawiść. I szedł za mury także ten Jock
sknera I panna — gorycz z jej oczu wyziera. A Lawrence, choć nie mówił niczego W oczach
miał kpinę — wiem, że szydził z czegoś.

462

(Kto leży w grobie, czasem więcej widzi

— wiem, z czego Lawrence szydził!)

Wtem dreszcz mnie przeszył — zobaczyłam ciebie! Przeszedłeś obok z inną dziewczyną! I
już me serce znów zabić chciało

— podążaliście naszą doliną. Policzki jej zarumienione,

Na palcu piękny lśnił pierścionek. Włosy jej jasne wokół twarzy, Uczuciem cię ogromnym
darzy, Przy młynie mieszka, zawsze cię kochała. Jej usta czerwone, moje — jak śnieg białe.

Ona — wysoka, oczy jak wrzosa,

Ja — taka drobna i mała,

Ona ma piękne błyszczące włosy,

A moje serce martwe, twarde jak skała.

Już mnie nie dostrzegasz...

I już nie widzisz mych rąk ni twarzy,

Ją czułym wzrokiem obdarzysz,

Oczy me puste, twarz moja blada,

Śmierć moje ciało, szaty rozkłada.

(Umieram, tracę siły,

Ocal mnie, proszę, od śmierci, miły!)

Och, jakże zmarzłam, ogrzej mnie, proszę, Koszmarny sen już przeminął, Całuj me czoło,
pieść moje włosy Tak, aby znak śmierci zginął. Inna dziewczyna mi się przyśniła

— powiedz, czy droższą niż ja ci była? (Och, jakież sen był straszliwy!)

Ania Blythe

DR GILBERT BLYTHE: — Najdroższa, ani mi w głowie wtrącanie się do twojej twórczości,
ale czy przypadkiem ten wiersz nie jest zbyt ponury?

ZUZANNA BAKER, pod nosem: — Przed śmiercią Waltera nie pisała w ten sposób nigdy.
Szkoda, że nie spędziłam więcej czasu w szkole, może lepiej zrozumiałabym ten wiersz. Poza
tym nigdy nie lekceważyłam znaczenia snów, od czasu snów panny Oliver w czasie wojny.
Ale wydaje mi się, że Absalom Flag mógłby dłużej poczekać z ponownym ożenkiem.
Ciekawe, czy droga pani doktorowa myślała właśnie o nim i Jen Elliott. Co zaś się tyczy owej
panny młodej, która nigdy nie zaznała miłości... cóż, już się tym nie przejmuję. Pani Blythe
na pewno nie chciała urazić moich uczuć i tego się będę trzymać.

ANIA BLYTHE: — Cały ten wiersz powstał z inspiracji pewną opowieścią, którą usłyszałam
dawno temu.

DR GILBERT BLYTHE: — To po prostu do ciebie nie pasuje... A w każdym razie nie do
mojej kochanej Ani z czasów Avonlea.

ANIA BLYTHE, próbując się roześmiać: — Czy ty po mojej śmierci ożeniłbyś się ponownie
równie szybko?

DR GILBERT BLYTHE, ze śmiechem: — Nawet szybciej, gdyby tylko Zuzanna na to
pozwoliła. Czy przypadkiem nie pora już na kolację?

ZUZANNA BAKER: — Kolacja już gotowa, podobnie jak pańskie ulubione ciasto.

DR GILBERT BLYTHE, w myśli: „Najwyższa pora, by Ania pojechała gdzieś na
wycieczkę”.

464

PIEŚŃ MAJOWA

Majowe słońce złoci fale morza. Czy słyszysz głos ten? to wróciły ptaki I wabią pieśnią
pośród drzew konarów, I już wędrowcy wrócili na szlaki. I wiatr wesoły szumi już w
dolinach, Radosne pieśni opowiada wzgórzom I utrudzonym wędrowcom pomaga, Aby
dotarli do celu podróży.

A słodki zapach majowego słońca Przywołać musi odległe wspomnienia, I możesz znaleźć w
zielonych kotlinach Coś magicznego i pełnego drżenia. Świty majowe jasne są i rześkie I
kryształowo czysty blask południa. Magia przychodzi bowiem w porze zmierzchu, Kiedy na
niebie księżyc wszędzie cudny.

I niczym serca kolorowych ptaków Świat nieskończoną pieśnią wnet rozbrzmiewa, A dusze
nasze pełne są radości, Pełne spełnienia, zachwytu i śpiewu. Maj •naszym świętem i urodą
życia I chociaż młodość nasza przeminęła, Wiosna przynosi wszystkim, co najlepsze, I
naszym siwym włosom lat ujęła.

A więc odrzućmy smutki, ból i troski, Bo razem z Wiosną znów jesteśmy młodzi. Z radością
w sercach i majowym słońcem Setnych możemy doczekać urodzin!

Walter Blythe

ZUZANNA BAKER: — Zwykłam myśleć, że wiosną nikt nie może czuć się stary i smutny,
ale życie nauczyło mnie czego innego.

RILLA BLYTHE (która przybyła do domu z wizytą): — Walter napisał ten wiersz w Dolinie
Tęczy. Och, przywołuje wszystkie wspomnienia. Mamo... mamo!

ANIA BLYTHE: — Rillo, kochanie. Walter udał się do miejsca, gdzie panuje wieczna wiosna. Wszyscy kiedyś czuliśmy się tak jak on. I może nawet miał rację. W maju człowiekowi ubywa lat... Tylko my się zmieniliśmy.

NADCHODZI PANNA MŁODA

Stary kościół w Glen St. Mary wypełniony był po brzegi. Jakimś sposobem ten właśnie ślub zapowiadał się na niezwykły. Nieczęsto w dodatku odbywały się kościelne śluby w Glen St. Mary, a już szczególnie rzadko śluby letników. Ktoś z Charlottetown grał cichutko i w wolnym tempie Marsz weselny, a członkowie rodzin młodej pały, zebrani w małych grupkach lub pojedynczo, śpiewali. Głosy odbijały się echem, to wznosząc się, to opadając, niczym fale łagodnych dźwięków.

Znudzony dziennikarz z „Daily Enterprise” siedział w ostatnim rzędzie i notował: „Stary kościółek w Glen St. Mary pękał w szwach tego popołudnia z okazji ślubu Evelyn, córki państwa March, przebywających na wakacjach w Glen St. Mary, oraz doktora Darcy’ego Phillipsa, profesora biologii z McGill, syna pani EW. Phillips i zmarłego Fredericka Phillipsa z Mowbray Narrows.

Świątynia została pięknie udekorowana białymi wianuszkami przygotowanymi przez uczennice szkoły

46J

w Glen St. Mary. Pannę młodą do ołtarza poprowadził ojciec. Miała na sobie satynową suknię barwy kości słoniowej, w kroju wiktoriańskim. Welon ślubny z unikatowej starej koronki zdobiła aureola pereł.

Pierwszą druhną była Marnie March, siostra panny młodej, natomiast trzy pozostałe — panna Rhea Bailey, panna Rilla Blythe i panna Janet Smali — miały na sobie srebrne suknie i barwinkowe kapelusiki oraz bukiety niebieskich irysów. Pan Taki-to-a-taki był drużbą, a służby porządkowe... itp., itd.

Przyjęcie odbyło się w Merestead, pięknym nowym letnim domu Marchów w Glen St. Mary, gdzie dorodne róże stanowiły elegancką ozdobę pomieszczeń. W centralnym miejscu stołu stał śliczny tort przygotowany przez Mary Hamilton, która od trzydziestu lat pracowała u Marchów jako kucharka, piastunka i ukochany członek rodziny.

Pani March przyjęła gości w modnej szarej sukni z niedużym trenem, zgrabnym kapelusiku z czarnej słomki i bukietem fiołków przypiętym do sukni.

Pani Phillips ubrana była w niebieską szyfonową suknię, do której przypięła bukiet żółtych różyczek, na głowie miała dopasowany kapelusz. Z kolei pani Blythe, jedna z goszczących osób, wyglądała czarująco w bładozielonej szyfonowej sukni.

Po weselu nowożeńcy udali się w podróż poślubną do siedziby pana młodego na Juniper Island w Muskoka, Ontario. Pannie młodej towarzyszyła grupa... itp., itd.

Wśród zaproszonych gości obecni byli pani Helen Bailey, panna Prue Davis, pani Barbara Morse, pan Dou-

468

glas March (stryj panny młodej, krzepki osiemdziesięcioletek z Mowbray Narrows), pani Jakubowa Blythe i inni".

Ciotka Helen Bailey, siostra ojca panny młodej i matka trzech niezamężnych i niezaręczonych córek (jedna z nich była druhną), myślała:

„Amy w końcu wydała Evelyn za mąż. Cóż to musi być za ulga! Przecież Evelyn to już dziewczyna nie pierwszej młodości. W dodatku z cerą, która szybko się starzeje — nie taką jak u pani Blythe. Swoją drogą, czy ta kobieta kiedykolwiek się zestarzeje? I jeszcze ten romans z Elmerem Owenem — to prawdziwy sukces, że udało się wydać ją za mąż, nawet jeśli owym mężem okazał się dość ubogi profesor pokroju Darcy’ego Phillipsa. Pamiętam, jak ganiał na bosaka po Glen St. Mary i psocił z chłopcami ze Złotego Brzegu.

Amy była po prostu załamana, gdy odwołano zaręczyny z Elmerem. Próbowwała to zatuszować, ale i tak wszyscy wiedzieli. Rzecz jasna Evelyn w ogóle go nie kochała, pożądała za to jego pieniędzy. Ta dziewczyna w ogóle nie ma serca, nie byłaby w stanie nikogo pokochać.

Zastanawiam się, o co tak naprawdę poszło między nią i Elmerem. Nikt nie wie, ale ta głupiutka pani Blythe robi mądre miny, gdy się o tej sprawie wspomina. Oczywiście jego rodzice nie pochwalali zaręczyn, ale Elmer na początku wydawał się bardzo zaangażowany. Amy z pewnością była przekonana, że owinęła go sobie wokół palca. Jakże się tymi zaręczynami pyszniła! Co za

4&

pierścione! Evelyn niemal dostała zawału serca, gdy musiała go oddać. Nie wiadomo, kiedy Darcy Phillips będzie mógł sobie pozwolić na podarowanie jej pierścionka ze szmaragdem. Darcy'ego traktowała niezwykle obcesowo, aż do momentu, gdy rzucił ją Elmer. Łatwo zdobyć faceta, jeśli nie myśli się o tym, co się robi. Moje biedne córeczki mają w sobie za mało tupetu jak na dzisiejsze czasy. Są słodkie, dobrze wychowane, kobiece — ale takie przymioty już się nie liczą. Doktor Blythe może sobie mówić, że kobiety są takie same w każdym wieku. Co on tam wie! Nie... dzisiaj mężczyznę trzeba prześladować, aby go zdobyć. No i gdzie oni są? Siedzenia w tych wiejskich kościółkach są potwornie twarde. Patrzcie tylko na tego komara na tłustym policzku Mortona Graya! Czy ten człowiek nic nie czuje? Pewnie jest na to zbyt gruboskórny. Miałabym ochotę wymierzyć mu silny policzek

— taka jestem podenerwowana.

A iluż tu gości! I do tego te kmiotki z Glen St. Mary i Mowbray Narrows. Przypuszczam, że wystawny ślub to dla nich nie lada gratka. Prue Davis ma nową sukienkę

— stara się zachowywać tak, jakby to była byle jaka okazja. Biedna Prue! Barbara Morse opowiada o wszystkich nieprzyjemne rzeczy. Widzę to po jej minie. Och, pani Blythe właśnie ją uciszyła. Ale to nie powstrzyma Barbary. Przemożna chęć dominacji! Plotkowałyby nawet na pogrzebie, więc czemu by nie na eleganckim ślubie, gdy wszyscy wiedzą, że panna młoda bierze sobie pana młodego jako nagrodę pocieszenia, natomiast pan mło-

470

dy bierze sobie pannę młodą jako... Bóg raczy wiedzieć jako co. Może po prostu dlatego, że zwróciła na niego uwagę. Cóż za bzdury opowiada pani Blythe, twierdząc, że kochali się od dawna. Każdy wie, że całe życie darli ze sobą koty. Evelyn, zupełnie jak pani Blythe, pod warstwą lukru skrywa diabelską duszę. Ciekawa jestem, czy doktor Blythe jest rzeczywiście taki szczęśliwy... Nie... niemożliwe.

Czy to naprawdę stary wuj Jima, Douglas? Przypuszczam, że mogli sprosić wszystkich kuzynów ze wsi, skoro pan młody to po prostu Darcy, a ślub odbywa się w Glen St. Mary. Ale gdyby wychodziła za Elmera, na pewno pobieraliby się w kościele w mieście i cała ta hołota nie zostałaby zaproszona. Wuj Douglas zdaje się dobrze bawić. W końcu wesele to wesele, nieważne jakie. Będzie miał o czym rozpowiadać przez lata.

A co ma na sobie Rose Osgood? Chyba po prostu sięgnęła do rodzinnego kufra i wyciągnęła stamtąd pierwszą lepszą szmatę. Dziwię się, że pani Blythe, było nie było mieszkanka Glen St. Mary, zawsze wygląda jak należy. Cóż, najwyraźniej jej córki...

O, wreszcie zaczęli grać Wagnera, dzięki Bogu. Idą. Czterech drużbów, cztery drużny, dwie dziewczynki z kwiatami i paż. Phi! Mam nadzieję, że wszystko zostało opłacone. Te białe chryzantemy musiały kosztować Jima fortunę. Nie wierzę, by kwiaty rzeczywiście pochodziły z ogrodu w Złotym Brzegu. Jakim cudem wyhodowałiby takie chryzantemy w zapyziałej wioszczynie pokroju Glen St. Mary? Jak Jim za to wszystko zapłaci... nie mam pojęcia.

Evelyn prezentuje się dobrze, ale krój jej sukni powinien być inny. Wygląda, jakby się przechylała do tyłu, jakby cierpiała na lordozę — tak chyba dzisiaj nazywają to skrzywienie kręgosłupa. Evelyn po prostu triumfuje — jaka pewna siebie! Pamiętam, jak Amy urządziła herbatkę, by ogłosić, że córka wychodzi za mąż. Zachowywała się dziwacznie! No, ale oczywiście po siedmiu latach każdy powinien nabrać pewności siebie.

Darcy do najprzystojniejszych nie należy, ma zbyt pociągłą twarz, ale nieszczęsna Rhea wygląda równie dobrze jak pozostałe druhny. Ten odcień niebieskiego jest zbyt nużący — pewnie właśnie dlatego wybrała go Evelyn. Jej siostra Marnie prezentuje się jak Cyganka. Tyle że Cyganki nie są aż tak pulchne. Amy będzie miała spore trudności, by wydać ją za mąż, jeszcze większe niż w przypadku Evelyn. Rilla Blythe wygląda całkiem nieźle. W córkach Blythe'ow rzeczywiście coś jest — choć nigdy nie przyznam tego na głos przy ich matce.

«Tak!» — och, moja droga, nie trzeba było aż tak krzyczeć. Każdy wie, że chętnie bierzesz go sobie za męża. Nawet mieszkańcy Glen St. Mary zdają sobie sprawę z tego, że Darcy to twoja ostatnia szansa. Dziwnie się to wszystko plecie. Oczywiście Blythe'owie mogą sobie mieć mnóstwo przyjaciół w Montrealu i Toronto. A pani Blythe może i uchodzi za osobę nie lubiącą plotek, za to znakomicie jej się udaje wyciąganie różnych wyznań od ludzi — przebiegła kobieta. Jeśli zaś chodzi o Evelyn, to pensja profesorska lepsza jest od zasiłku starej panny, bez dwóch zdań. O, idą do zakrystii. Pani Phillips! Widać, jak się nadyma z tego powodu. A patrzcie, ja-

472

kie spojrzenia posyła Rilla Blythe Kennethowi Fordowi. A mówią, że dziewczyny Blythe'ów z nikim nie flirtują. Wątpię jednak, czy Rilli uda się usidlić Kennetha, mimo wysiłków jej matki. Ale to nie moja sprawa. Być może biedna Evelyn znajdzie szczęście. Choć nie sądzę, by ktokolwiek był szczęśliwy, gdy wychodzi za mąż, by ratować twarz, bo inny ją porzucił. Czy w tym szalonym świecie jest ktoś szczęśliwy? Podobno Blythe'owie — ale kto wie, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami? Nawet stara Zuzanna Baker nie ma pojęcia, idę o zakład. A nawet jeśli wie, to jest zbyt lojalna, by cokolwiek wyznać.

A teraz gratulacje i prezenty oraz oczywiście głupiutki żarciki. A potem wycieczka do Muskoka w nowym samochodzie Darcy'ego. Ciekawe, czy «The Enterprise» napisze o samochodzie. Bo jest pewna różnica między tym gruchotem a cudem Elmera za piętnaście tysięcy dolarów. Ba, nawet packard Jima jest lepszy. Evelyn będzie musiała z wielu rzeczy teraz zrezygnować. Jim rozpieszczał swoją rodzinę. O, idą. Ale pochód".

Prue Davis, mająca swoje lata i z góry zazdrosna o wszystkie panny młode, myślała:

„To zabawne, że Evelyn wychodzi za mąż za Darcy'ego Phillipsa po tym, jak go przez wszystkie te lata tak haniebnie traktowała. On jest tylko biednym, młodym uczonym. No, ale oczywiście w czasie sztormu każdy port dobry. Ona ma już dwadzieścia pięć lat, a wygląda na więcej, szczerze mówiąc. To dlatego wybrała takie młode druhny? Jaka słodka ta Rilla Blythe. Jakimś trafem córki Blythe'ow to jedyne dziewczyny, które polubiłam, a ich matka to kobieta, którą mogłabym na-

47S

prawdę pokochać. Gdybym ja miała taką matkę! Cóż, musimy przyjmować godnie wszystko, co nam zsyła los, łącznie z rodzicami i dziećmi. Darcy jest sympatyczny i bystry. Był czas, gdy mogłam go zdobyć bez wysiłku, po jednej z tych ich koszmarnych kłótni. Ale jak zwykle się zagapiłam. Taki ze mnie głuptas, przegapiam każdą szansę. Oczywiście, wystarczyło, że Evelyn kiwnęła palcem, a on już przyszedł na kolanach. Żadna nie miała szans. To chyba przez to jej niezwykle spojrzenie spod wółprzymkniętych powiek. Podobną umiejętność mają dziewczyny Blythe'ow. Cóż, niektórym się poszczęściło.

Mam nadzieję, że nie poplamie tej sukni — pod tym względem przyjęcia są okropne. Bóg wie, kiedy będę mogła sobie sprawić następną kreację. Nadchodzą. Evelyn dobrze wygląda.

Muszę przyznać, że ma gust, wie, jak się ubrać. Z takim wyczuciem człowiek się po prostu rodzi. A popatrzcie na Rillę Blythe. Założę się, że jej sukienka kosztowała jedną dziesiątą tego, co musiały wydać na swoje kreacje inne panie. Podobno sukienka Rilli uszyta została w Charlottetown, a pozostałe przyjechały z Montrealu. No ale sami spójrzcie, jak pięknie wygląda. Podobnie fryzura. Nigdy za to nie podobały mi się popielatoblond włosy Evelyn. Ho, ho, zauważyłam u siebie pierwszy siwy włos. My, Davisowie, siwiejemy w młodym wieku. Los potrafi być okrutny".

— Jak się pani ma, pani Blythe? Uroczy ślub, czyż nie?

„No, no, Prue Davis, czy ty nie masz swojej dumy? Odrzuć głowę do tyłu i patrz na wszystkich tak, jakbyś była cesarzową świata.

474

Dzięki Bogu, już koniec. Mam nadzieję, że nikt do mnie nie będzie zagadywał. Nie znam tu nikogo z wyjątkiem Blythe'ow, a oni już sobie poszli. Szkoda, że przyjęcie też się nie skończyło. Zaczynam nienawidzić takich imprez. «Co? Prue, wciąż nazywasz się Davis? Kiedy zostaniemy zaproszeni na twój ślub?» Pomijając tego typu uwagi, nikt do mnie się nie odzywa z wyjątkiem starych, żonatych mężczyzn. Moja uroda przemija, a intelekt na nikim nie robi wrażenia. Czasem powiem coś mądrego, a ludzie wydają się zakłopotani i zmieszani. Powinnam po prostu milczeć, nie udawać, że jestem bystra i zadowolona. Ale chyba większość ludzi musi udawać. Czasami tylko myślę, że pani Blythe...

Och, widzę kogoś znajomego".

— Jak się pani ma, pani Thompson? Cóż to za uroczne wesele! A jaka czarująca panna młoda! Och, ja? Wie pani, mnie nie tak łatwo uwieść. Poza tym niezależność to wspinała rzecz, pani Thompson.

„Oczywiście nie uwierzyła w ani jedno moje słowo, ale człowiek musi zachować pozory". Kuzynka Barbara Morse powiedziała do przyjaciółki:

— To po to przyjechałam aż z Toronto?! Te całe więzi rodzinne... lekka przesada. Ale zawsze lubiłam Jima, poza tym każda wyprawa na Wyspę Księcia Edwarda warta jest wydanych pieniędzy.

— Zdaje mi się, że siedzę tu już od wieków. Ale trzeba zjawić się w kościele wcześniej, jeśli chce się mieć dobre miejsca w nawie, bo gdy siedzisz gdzie indziej, to nic nie widać. Poza tym przyjemnie obserwować ludzi wcho-

4 76

dzących do kościoła. Nie żeby było co podziwiać, większość to okoliczni wieśniacy. Chyba jedynie Blythe'owie ze Złotego Brzegu są kulturalni. Pani Blythe wydała mi się czarującą kobietą. Z kolei doktor, jak to mężczyźni, robi wrażenie, że zjadł wszystkie rozumy. Ale tworzą przeuroczą rodzinę.

— Goście panny młodej oczywiście się spóźnią. Nikt z rodziny Jima nigdy nie mógł pochwalić się punktualnością. Zaprosili chyba wszystkich... i wszyscy się zjawili. Oczywiście o tej porze wycieczka na Wyspę jest pełna uroku. Muszę tu kiedyś wrócić. Ach, więc ty przyjeżdżasz tu każdego lata? Przypuszczam zatem, że znasz mieszkańców? Och, masz domek letniskowy w Avon-lea? To zdaje się stary dom doktora Blythe'a? Czy to nie zaskakujące, że człowiek jego pokroju osiadł w takim miejscu jak Glen St. Mary? Cóż, to musiała być sprawka przeznaczenia.

— Czemu Mattie Powell nie usunęła tych ohydnych pieprzyków? Zabiegi elektrolizy działałyby cuda. Naprawdę, niektórzy ludzie zupełnie nie dbają o swój wygląd. Patrz, jaka gruba zrobiła się Mabel Mattingly. Ale nie powinnam plotkować. Sama nie dałabym się zważyć. Potem przez tydzień chodzę podłamana. Jane Morris z Toronto powiedziała mi, że straciła cztery funty w biodrach, żywiąc się samą maślanką. Może bym tak... ale nie, nie dałabym rady. Zbyt lubię dobrze zjeść. Mam nadzieję, że na weselu dostaniemy coś

pysznego. Tyle że z Amy nigdy nie była dobra gospodyni. Rzecz jasna, Mary Hamilton jest niezłą kucharką. To pewnie dlatego co roku zabierają ją z sobą do Merestead. Och, wiem, 476'

wiem, traktują ją jak członka rodziny. Amy zawsze psuła swoją służbę.

— Patrz na Carry Ware! Cóż to za stary szyfon ma na sobie. Można by się spodziewać, że przynajmniej na ślub założy coś nowego. Nawet Min Carstairs przyszła w nowej sukience. Podobno Carstairsowie mają teraz więcej pieniędzy. Mieszkają w Charlottetown, wiesz? A Andrew Carstairs jest tak zły jak odtłuszczone mleko. Oczywiście te kolory — róż i srebro — pasują do młodszej kobiety, a nie do niej. Co? Chcesz powiedzieć, że ona jest w wieku pani Blythe? Cóż, kobiety z miast starzeją się o wiele szybciej niż te ze wsi. Zgadza się, pani Blythe to najlepiej ubrana kobieta w tym towarzystwie. Przynajmniej takie sprawia wrażenie. Podobno wszystkie swoje ubrania szyje w Charlottetown. No, ale niektórzy ludzie po prostu mają świetny gust.

— A mówiąc o wieku, powiedz mi, czemu Sue Mac-Kenzie stara się wyglądać na trzydzieści pięć lat, podczas gdy ma czterdzieści siedem? Nie jestem okrutna, Boże broń, ale po prostu się zastanawiam. Słyszałam, że kiedy ona wychodziła za męża, ojciec kazał jej iść do łazienki i zmyć puder z twarzy. Gdyby ją teraz zobaczył! Podobno pani Blythe w ogóle się nie maluje. Ale ludzi ze wsi tak łatwo zmylić. Nie mogłaby wyglądać tak dobrze bez makijażu. Jeśli zaś chodzi o ojca Sue, to był naprawdę stary i zdolny do tak dziwnych rzeczy w napadach gniewu!... Nie mówił ani słowa, ale był w stanie spalić dywan albo pociąć piłą krzesło na części!

— Prue Davis dobrze się ubiera, ale powinna się pośpieszyć z zamążpójściem. Współczuję kobietom, które

w takich chwilach wciąż czekają na własny ślub. Musi im być ciężko.

— Tak, to jedna z córek Blythe'ow. Ale to na pewno nie Rilla, bo Rilla jest jedną z drухen. Też mi pomysł: cztery drухny na wiejskim weselu! Ale Amy zawsze mierzyła wysoko.

— Na tyłach kościoła siedzi stara Mary Hamilton. Oczywiście jedzenie przygotowali kucharze z Charlottetown, a szkoda, bo chętnie spróbowałabym kuchni Mary. Podobno zrobiła tort weselny razem z Zuzanną Baker. Zuzanna ma przepis, którym z nikim nie chce się podzielić.

— Tak, rodzina Jima zawsze przesadnie przejmowała się Mary, a raczej Mollie, bo tak ją czasem nazywają. Na przykład kiedy Jim kupił swój pierwszy samochód, nalegali, by Mary nauczyła się go prowadzić. I nawet pozwolili jej siadać za kierownicą. Podobno kilka razy policja wlepiła jej mandat za przekraczanie prędkości. O, tak, to sprawka irlandzkiej krwi. Przedziwne, że udało jej się dogadać z Zuzanną Baker. Trudno wyobrazić sobie kobiety o tak różnych charakterach. Ale jest bardzo oddana pannie młodej, przynajmniej ludzie tak twierdzą. Mary wie, którą stronę chleba należy smarować, no a my wszyscy przecież znamy temperament Evelyn! Patrz, jak się na wszystkich gapi i papla z Zuzanną Baker. Założę się, że wymieniają się dziwnymi historyjkami.

— Jeśli się zaraz nie zjawia, to chyba oszaleję. Już dziesięć minut po czasie. Może Evelyn zmieniła zdanie? A może Darcy się ulotnił wzorem Elmera. Mów, co 478

chcesz, ale nie uwierzę, że on naprawdę kocha Evelyn. Popatrz na Waltera Starrocksa! Nigdy nie zapomnę ich ślubu, jak stał przy ołtarzu z polami surduta całymi w kociej sierści. Walterowi robią się worki pod oczami. Tak, to prawda, że wszyscy się starzejemy. Ale wyobrażam sobie, że Ella Starrocks daje mu popalić. Nie mów, że o niczym nie słyszałaś! Przypomnij mi, to ci kiedyś opowiem.

— W końcu się zjawili. Pal sześć te welony jak aureole, ale Evelyn zawsze musi mieć na sobie coś modnego. Ciekawe, jak będzie zaspokajać swoje wykwintne gusta z pensji Darcy'ego. W tym odcieniu Marnie nie jest do twarzy. Ale już Rilla Blythe wygląda w nim bardzo ładnie. Co do Rhei — cóż, nieważne, co ona ma na sobie... Szkoda tylko, że psuje swoim wyglądem ogólną harmonię, prawda? Marnie to nieskomplikowana osóbką, więc znajdzie sobie niezłego męża, wspomnisz moje słowa. Nie wiem, jakim sposobem, ale to po prostu widać. Widocznie to dość powszechne zjawisko.

— Darcy wygląda tak, jakby zwyciężył w walce o Evelyn z setką innych admiratorów, a to przecież kwestia wyboru Hobsona. On jednak o niczym nie wie. Och, ale z niego brzydka, może tylko oczy ma niczego sobie. Ale żony brzydkich mężów są zwykle szczęśliwe. Nie muszą stale knuć, jak by tu ich zachować przy sobie.

— No, całkiem nieźle poszło. Amy pewnie zadowolona. Tak się przejmuję drobnostkami. Pewnie już od miesiąca modliła się codziennie o ładną pogodę. Podobno pani Blythe wierzy w moc modlitwy. Słyszałaś coś równie zabawnego?

Wuj Douglas March myślał sobie:

4

„Dużo tu atrakcyjnych pań. Rzadko się dzisiaj widzi zgrabne niewiasty. Kiedyś nosiły grzywkę i bufiaste suknie, ale w gruncie rzeczy były takie same jak współczesne kobiety — tak twierdzi przynajmniej doktor Blythe. Jego żona to największa ślicznotka wśród obecnych. Przynajmniej wygląda jak kobieta. Kościół wypełniony po brzegi. Będę musiał o wszystkim opowiedzieć żonie. Szkoda, że nie mogła przybyć. Ale reumatyzm to reumatyzm, jak mawia doktor Blythe.

Jest pewna różnica między tym ślubem a ślubem mego ojca. Jego ojciec podarował mu z tej okazji czternastoletniego konia, dwuletniego żrebaka, zestaw uprząży, sanie i żywność. Zapłacił dwadzieścia dolarów za ubrania, pastora, załatwienie papierów, kupił trochę krzeseł, stół i piec. No bo po co zaharowujemy się na śmierć, jeśli nie po to, by podarować naszym dzieciom coś, czego sami w ich wieku nie mieliśmy? A jednak nie wydają się szczęśliwsi niż my. Dziwny jest ten świat.

Nadchodzą. Aż miło patrzeć na Evelyn. Kiedy znika z pola widzenia, uwierzyć nie mogę, że jest tak ładna, jak ją zapamiętałem. O, widzę, ma nos po Jimie. Kropla w kroplę. Niech będzie, choć Amy to stara śliczna kotka — zawsze ją lubiłem. Ten pan młody też niczego sobie. Może niezbyt przystojny, ale wygląda na godnego zaufania. Ładna sukienka! Moja mama wychodziła za mąż w welonie zakonniczy. Czy dziś jeszcze ktokolwiek zakłada welon zakonniczy? Ładna nazwa i ładnie wygląda. Ach, gdy się wspomina dawne czasy, człowiek sobie uzmysławia, że już nie jest młody. Najlepsze dni za mną, ale co przeżyłem, to moje.

4(90

O, proszę, stara Mollie Hamilton w tylnym rzędzie, uśmiecha się jak psotna dziewczynka, którą zawsze była. Miała włosy jak rdzawy nefryt, gdy Amy ją zatrudniła podczas pierwszej wizyty Mollie na Wyspie. Mary teraz jest już całkiem siwa jak borsuk. Musieli ją dobrze traktować, skoro tyle czasu z nimi wytrzymała. Dzisiaj już nie ma takich jak ona. Zawsze deklarowała, że nigdy nie wyjdzie za mąż, bo mężczyznom ufać nie można. Cóż, obietnicy dotrzymała. Mądra z niej kobieta. Na ziemi żyje niewielu mężczyzn godnych zaufania, przyznaję to, mimo że sam jestem mężczyzną. Doktor Blythe to wyjątek. Jemu powierzyłbym swoje życie.

Za dawnych czasów bywały zupełnie inne przyjęcia weselne. «Nie jedz tego, czego nie będziesz mógł strawić», mówiła mi żonka. «Można strawić wszystko, jeśli się tylko ma odwagę», odparłem. Podobno doktor Blythe kiedyś tak powiedział, ale żonka o tym nie wie. Nie zaszkodzi, by od czasu do czasu słyszała mądre rzeczy z ust męża. Ładny ślub, ładny. A jaka szczęśliwa panna młoda! Żyję na tym świecie już długo, potrafię więc odróżnić prawdziwe uczucie od udawanego. Bóg mi świadkiem. Nigdy się nie rozstaną. Żonka

przeczyta relację ze ślubu w «The Enterprise». Ja bym tego nie umiał opowiedzieć. «The Enterprise» i pani Blythe — ona też ładnie to podsumuje. Tylko muszę ostrzec panią Blythe, by nie mówiła żoncy, że jadłem ciężkostrawne potrawy. Na szczęście to kobieta godna zaufania. Takich również jest niewiele. Doktor Blythe to szczęściarz".

Jedna z bardziej cynicznych kobiet goszczących na ślubie mamrotała pod nosem:

„Hmm, białe chryzantemy i palmy. Nieźle się przygotowali, choć podobno chryzantemy pochodzą z ogródeczka w Złotym Brzegu. A do kościoła przyszedł każdy, kto powinien był przyjść. Krewnych bez liku i oczywiście ciekawscy gapie z Glen i okolicznych wiosek. Mam nadzieję, że pan młody nie zostanie zcałowany na śmierć, choć dzisiaj już dzięki Bogu tego całowania nie ma aż tak dużo. Nawet sprowadzili tu starego stryja Douglasa z Mowbray Narrows. Siedzi w miejscu wydzielonym dla gości. Ależ musieli się poświęcić, zapraszając go, a już szczególnie Amy! Jim co prawda troszczył się o rodzinę, ale Amy w najmniejszym stopniu. Oczywiście, to wuj Jima, nie jej, ale i tak na jedno wychodzi. Biedna Prue Davis — uśmiecha się ustami, ale nie oczami. Porzucona nadzieja zatruwa serce. Dziwne, nauczyłam się tej maksymy w szkółce niedzielnej pięćdziesiąt lat temu. Gdyby tylko Prue wiedziała, jaką jest atrakcyjną kobietą! Naftalina! Któż, na Boga, śmierdzi naftaliną o tej porze roku? O, nadchodzą. Evelyn dobrze wygląda. Zawsze miała korzystny profil, no i rzęsy. Koniec ze starą miłością, początek nowej. Jeszcze dwa miesiące temu była zaręczona z Elmerem Owenem, a teraz wychodzi za mąż za człowieka, którego zawsze nienawidziła. Biedny Darcy! Przypuszczam, że całe te wystawne zaślubiny planowane były na ślub z Elmerem. Nawet suknia. Amy wygląda na zmartwioną. Cóż, byłam świadkiem, jak obie moje córki wychodziły za niewłaściwych mężczyzn.

Marnie wygląda olśniewająco. Ma w sobie dwa razy więcej energii niż Evelyn, ale nikt nawet okiem na nią

482

nie rzuci, gdy Evelyn jest w pobliżu. Może teraz, gdy Evelyn wyjeżdża, Marnie dostanie swoją szansę.

Jim zachowuje się jak należy — dobrze wytresowany mąż. Szalał za mną, nim poznał Amy. Gdyby ożenił się ze mną, pewnie wiodłoby mu się lepiej w interesach, ale czy byłby szczęśliwszy? Wątpię. Nie sądzę, bym była w stanie tak go motywować jak Amy. Moje poczucie humoru by w tym przeszkadzało. Najprawdopodobniej skończyłoby się rozwodem. Czy ten pastor wszystkie msze odklepuje w ten sposób? Zdaje się, że do perfekcji opanował sztukę przemawiania przez pięćdziesiąt minut, podczas których nie pada nic istotnego. Oczywiście, nie jestem autorytetem w dziedzinie mszy świętych. Zdaje się, że Blythe'owie chodzą do kościoła co niedziela. Siła przyzwyczajenia. Ale podobno między ich rodziną i jakąś jeszcze niedługo dojdzie do zaręczyn. Pewnie chcą być z wszystkimi w dobrych stosunkach.

Ta stateczna stara wdowa w niebieskim szyfonie i staromodnym sznurze pereł to chyba matka Darcy'ego. Podobąo poświęciła mu całe życie, a teraz musi go oddać jakiejś panience. Pewnie nienawidzi Evelyn! Osler miał rację, twierdząc, że każdy powinien być uśpiony chloroformem w wieku czterdziestu lat. A może sześćdziesięciu? Tak czy siak chodziło o kobiety. Czy to nie dziwne, że nie cierpią oddawać swoich synów innym kobietom, podczas gdy chętnie pozbyłyby się córek?

Ale widowisko z tej Rhei Bailey! Wynędzniałe dziewczęta nie powinny zakładać takich sukieneczek. Ale, oczywiście, w tym wypadku nie miała wyboru. Na nic by się

4&S

zdały zmiany. Córki Baileyów nigdy nie miały dobrego gustu.

«Na dobre i na złe». Brzmi pięknie. Ale czy na tym świecie rzeczywiście istnieje coś takiego jak miłość? Wierzmy w nią wszyscy, póki nie przekroczymy dwudziestki. Nawet ja w nią wierzyłam. Nim wyszłam za Ramsey'a, całymi nocami nie mogłam spać, bo o nim marzyłam.

Po ślubie też nie mogłam zasnąć, ale z zupełnie innych powodów. Zastanawiałam się mianowicie, z kim mnie zdradza. Ciekawa jestem, jak mu tam w nowym związku. Czasem żałuję, że się z nim rozwiodłam. Dom i pozycja to naprawdę wiele.

No, skończyło się. Panna Evelyn March stała się panią Phillips. Daję im trzy lata. Potem rozwód. A przynajmniej zaczną myśleć o rozwodzie. Oczywiście Darcy został tak wychowany, że być może na rozwód się nie zdobędzie. Nie sędzę, żeby farmerzy z Mowbray Narrows często się rozwodzili. Ale zastanawia mnie, ilu ożeniłoby się ponownie z tą samą kobietą. Doktor Blythe na pewno by tak postąpił — co do tego nie mam wątpliwości. Ale reszta... Jest tak, jak mówi ta stara dziwaczka Zuzanna Baker: «Jeśli nie wyjdiesz za mąż, będziesz żałować, że nie wyszłaś, a jeśli wyjdiesz — będziesz żałować, że wyszłaś». Ale każdy chciałby dostać choć jedną szansę".

Matka panny młodej z lekkim roztargnieniem myślała:

„Nie będę płakać — zawsze obiecywałam sobie, że nie będę płakać na ślubie córek — ale co my pocniemy bez naszej kochanej Evelyn? Dzięki Bogu, Jim usiadł na

484

właściwym miejscu. Evie coś blado wygląda. Mówiłam jej, żeby się lekko umalowała, ale ani Jim, ani Darcy nie lubią umalowanych kobiet. Pamiętam, że czerwieniłam się jak cegła podczas własnego ślubu — oczywiście w dzisiejszych czasach panna młoda powinna być trupio blada. Marnie wygląda bardzo dobrze — wyraz szczęścia na twarzy pasuje do dziecka. Jak cudownie wszystko się ułożyło! Nigdy nie pochwalałam zaręczyn Evie z Elmerem, mimo że to kochany chłopak, ale miałam wrażenie, że jej serce bije dla innego — matki wyczuwają takie rzeczy. Z kolei Marnie naprawdę go kocha. Szkoda, że nie mógł dzisiaj się zjawić, choć oczywiście byłoby to dość niezręczne — nikt by nie zrozumiał.

Zawsze ubóstwiałam Darcy'ego. Nie jest bogaty, ale na pewno nie będzie się im żyło gorzej niż mnie i Jimowi, gdy zaczynaliśmy. Poza tym Evie to świetna kucharka i gospodyni, co zawdzięcza kochanej Mary. Zdaje się, że nie dawniej niż wczoraj urządzaliśmy zaręczynową herbatkę dla Evie. Jaka była wtedy słodziutka — wszyscy tak mówili — nazywali ją «różanym pączkiem», taka była nieśmiała.

Patricia Miller i jej syn artysta jednak się zjawili. Mam nadzieję, że się nie pogniewa, bo nie zawiesiliśmy obrazka, który nam przysłał. Ale nikt nie potrafił ocenić, gdzie jest góra, a gdzie dół. Współczesne malarstwo jest takie dziwaczne.

Mam nadzieję, że przyjęcie się uda. I nikt nie zauważy wytartego dywanu w holu. I mam jeszcze nadzieję, że rachunki nie będą koszmarnie wysokie. Miło

4<96

ze strony Blythe'ów, że podarowali nam chryzantemy, choć nie spodziewałam się aż tylu róż w sali przyjęć. Ale Jim się uparł, że jego córka powinna mieć wystawne wesele. Kochany Jim, ubóstwia swoje córki. Jesteśmy szczęśliwym małżeństwem, choć oczywiście mieliśmy zarówno wzloty, jak i upadki, nawet kłótnie. Podobno doktor Blythe i jego żona nigdy się nie kłóć, aleja w to nie uwierzę. Na pewno jakieś sprzeczki im się zdarzają. Jak każdemu.

Ogłasza ich mężem i żoną... Nie będę płakać... Nie będę. Wystarczy, że Jim ma łzy w oczach. Pewnie ludzie pomyślą, że nie mam uczuć...".

Matka pana młodego rozmyślała:

„Mój kochany chłopiec! Jak dobrze wygląda! Nie

>

wiem, czy to odpowiednia kandydatka dla niego, bo w końcu została wychowana w domu bogacza, ale jeśli uczyni go szczęśliwym, to co mnie do tego? Zuzanna Baker powiedziała mi, że dowiedziała się od Mary Hamilton, iż ta dziewczyna ze wszystkim umie sobie poradzić. Gdyby tylko jego kochany ojciec dożył tego dnia! Cieszę się, że w prezencie podarowałam im meble z holenderskiego orzecha do jadalni. Gdy ja wychodziłam za mąż, towarzyszyła mi tylko jedna drużna. Miała kapelusik z białej koronki z opadającym rondem. Rilla Blythe jest

najładniejsza ze wszystkich druchen. Darcy całuje swoją żonę — swoją żonę! — jak dziwnie to brzmi. Mój syneczek się ożenił. Ona ma śliczną twarz. Kocha go — tego jestem pewna — mimo zaręczyn z Elmerem Owenem. Nie rozumiałam tego — i pewnie nigdy nie zrozumieć — ale Darcy się cieszy, więc pewnie wszystko w porzą-

486

ku. Jaki byłby świat bez młodych ludzi? A jednak czas mija tak szybko. Nim się obejrzymy, a już jesteśmy starzy. Trudno w to uwierzyć. Budzimy się pewnego dnia i odkrywamy, że nagle się zestarzeliliśmy. Ale koniec użalania się! Darcy jest szczęśliwy. Tylko to się liczy. I wierzę, że ten stan długo potrwa. Ale dziwne, że kiedyś tak się kłócili — od czasu, kiedy Marchowie zaczęli przyjeżdżać do Glen St. Mary, na długo nim zbudowali Me-restead. Ojciec Darcy'ego i ja nigdy się nie kłóciliśmy. No, ale myśmy się poznali już jako dorośli ludzie, to była miłość od pierwszego wejrzenia. Dzisiaj wszystko jest inaczej, niech mówią, co chcą. Straciłam syna, ale jeśli jest szczęśliwy...".

Ojciec panny młodej myślał:

„Moja dziewczynka ślicznie wygląda. Troszkę blada, ale nie przepadam za umalowanymi niewiastami. Dzięki Bogu, znowu w modzie są przyzwoite sukienki. Zdaje się, że niedawno przed ołtarzem stałem ja, a obok Amy. Evie nie jest tak śliczną panną młodą, jaką była moja żona. Vy tej sukni Amy do twarzy. Wygląda tak młodo jak reszta dziewcząt... Cudowna kobieta. Gdybym miał wybrać ponownie, wybrałbym Amy. Z nikim nie mógłbym jej porównać. Pewnie niedługo stracimy również Marnie. Cóż, kiedyś żyliśmy z Amy tylko we dwoje, więc chyba przywyknijemy ponownie do tej samotności. Tyle że wtedy... byliśmy młodzi... To jednak robi pewną różnicę. Ale jeśli dziewczynki są szczęśliwe...".

Drużba myślał:

„Nigdy nie wpadnę w takie tarapaty, choć ta druhna jest śliczna — ma elfie oczy, błyszczące niczym gwiazd-

ki... Ale ten podróżuje najszybciej, kto podróżuje samotnie. Druhna Blythe'owna też jest piękna, lecz podobno już się z kimś zaręczyła. Panna młoda wygląda jak chłodna, oziębła zakonniczka w białym habicie. Ciekawe, czemu Darcy tak za nią szaleje. Słyszałem co nieco o jakichś innych zaręczynach. Mam nadzieję, że Darcy nie służy jej jako nagroda pocieszenia. Całe szczęście, że podeszwy moich butów nie skrzypią, gdy kroczę wzdłuż nawy, jak skrzypiały Halowi Crowderowi. Mam też nadzieję, że nie upuszczę obrączki, tak jak zdarzyło się Joemu Raynorowi — potoczyła się prosto pod stopy dziewczyny, którą pan młody rzucił dla nowej wybranki. Jak na wiejski kościółek — całkiem niezłe dekoracje. No, już po wszystkim. Darcy zaobráczkowany. Biedak!".

Pierwsza druhna, Marnie March, myślała:

„Jak smutno i pusto będzie bez kochanej Evie! Zawsze była dla mnie taka dobra. Ale mam za to Elmera, a to dla mnie ważniejsze niż cokolwiek w świecie. Chociaż nie rozumiem, dlaczego Evelyn wołała Darcy'ego od Elmera, jestem jej za to dogłębnie wdzięczna. Szkoda, że jest taki bogaty. Ludzie powiedzą, że wychodzę za niego dla pieniędzy. A ja bym rzuciła się mu w ramiona, nawet gdyby nie miał grosza przy duszy! Darcy to porządny facet. Myślę, że polubię go jako szwagra, choć nie znoszę, gdy się śmieje. Jego śmiech brzmi szyderczo. Ale chyba jego intencje są inne. Szkoda, że Elmer mnie teraz nie widzi. Ten odcień niebieskiego pasuje do mnie. Może jednak nie tak dobrze jak do Rilli Blythe. Z tym kolorem komponują się bardziej włosy nieco jaśniejsze niż moje. Ciekawe, czy ona rzeczywiście jest zaręczona

488

z Kennethem Fordem i czy kocha go tak, jak ja kocham Elmera. Nie, to niemożliwe.

Och, to okropne — a jednocześnie cudowne i boskie — kochać kogoś tak, jak ja kocham Elmera. My, Marche'owie, gdy już się zakochujemy, to na amen. Pamiętam te okropne

tygodnie, gdy wszystko wskazywało na to, że ożeni się z Evie! I pomyśleć, że nazwałam go kiedyś przystojniakiem z reklamy! Och, mam nadzieję, iż nie przytyję. Po weselu na śniadanie pić będę tylko sok pomarańczowy. To powinno pomóc. A Blythe'owny jedzą, co im się podoba, a i tak są szczupłe jak trzcinki. Taki los.

Ale byłaby afera, gdybym brała ślub z Elmerem również dzisiaj, tak jak chciał. Czy w ogóle kiedyś sprawa by przycichła? Wątpię. Ludzie w kółko by plotkowali. Dziwne, że człowiek nigdy nie może robić tego, co chce, z obawy przed tym, co inni powiedzą. Tak czy siak potrzebowałam odrobiny wytchnienia po zaręczynach z Elmerem. Nasz ślub nie będzie taki wystawny, tego jestem pewna. Och, jak przerażająco poważna jest ta ceremonia! «Aż śmierć nas nie rozłączy». Ja i Elmer powiemy to z przekonaniem. Aż mnie ciarki przechodzą. Och, Elmerze!"

Pan młody myślał:

„Czy ona naprawdę zostanie moją żoną po tym, w jak bestialski sposób ją traktowałem? Już od czasu, gdy byliśmy dziećmi, a oni mieszkali w tej chatce, w sąsiedztwie naszej farmy w Narrows. Byłem wtedy zazdrośnym młodym głupcem! Mollie siedzi pewnie gdzieś z tyłu. Niech Bóg ją błogosławi. Gdy pomyślę, co by się bez

4

niej stało... Nadchodzi! A ja muszę tu stać jak kołek, zamiast pognać w jej kierunku i chwycić ją w ramiona! Jak pięknie Evie wygląda! Boże, spraw, abym uczynił ją szczęśliwą... niech będę jej wart... Szkoda, że nie jestem lepszym człowiekiem... już koniec... oto moja żona... Moja żona!"

Panna młoda myślała:

„Czy to jakiś cudowny sen? Czy nie obudzę się zaraz i nie okaże się, że muszę poślubić Elmera? Och, wtedy niech stanie się coś, co przerwie ceremonię... Pastor mógłby paść trupem... nie wygląda na całkiem zdrowego. Pomyśleć, że Darcy kochał mnie przez cały ten czas, gdy ja sądziłam, że mnie nienawidzi! Och, gdyby Mollie go nie złapała...

Marnie ślicznie wygląda. Mam nadzieję, że będzie tak szczęśliwą panną młodą jak ja. No, prawie tak szczęśliwą, bo nic nie może się równać mojemu szczęściu.

Jaka to cudownie dostojna uroczystość! I ten jego głos, gdy wypowiada sakramentalne «Tak»! Teraz ja, mam nadzieję, że wszyscy mnie słyszeli. Żadna panna młoda na świecie nie wypowiadała tych słów z podobnym uczuciem szczęścia. Jestem jego żoną".

Wielebny John Meredith myślał:

„Nie wiem, skąd, ale mam przeczucie, że ci dwoje, którym właśnie udzieliłem ślubu, są bardzo szczęśliwi. Szkoda, że inni tak rzadko doświadczają tego uczucia. Cóż, mam nadzieję, że będą tak szczęśliwi jak Rosamond i ja".

Mary Hamilton powiedziała do swej przyjaciółki, Zuzanny Baker:

<90

— Z pewnością, droga Zuzanno, zalety siedzenia w tylnej ławce polegają na tym, że widzisz wszystkich i wszystko bez konieczności kręcenia głową. Evie, niech Bóg ją błogosławi, chciała, żebym usiadła na miejscu dla gości. Nigdy nie unosiła się fałszywą dumą. Aleja sama najlepiej znam swoje miejsce. O, oto i doktor, i pani Blythe. Jak na swoje lata wygląda wspaniale, dziewczęco.

— Bo w głębi duszy pozostała dziewczynką — westchnęła Zuzanna. — Ale od śmierci Waltera nie jest już tą samą osobą.

— Cóż, przynajmniej zginął w słusznej sprawie. Mój bratanek też poszedł na wojnę i poległ. Dziś jednak jestem dumną i szczęśliwą kobietą, Zuzanno Baker.

— Wcale się nie dziwię, jeśli to, co słyszałam, to prawda. Ale czy można wierzyć pogłoskom?

— Nie, jedna dziesiąta plotek może okazuje się prawdziwa. Ale ja ci powiem prawdę, Zuzanno, jeśli przysięgniesz, że pary z ust nie puścisz na ten temat. Bo podobno jesteś straszna plotkara, mówiono mi, gdy zaczęłam tu przychodzić, ile to już lat temu?

— Nieważne — odparła Zuzanna, która nie lubiła, jak przypominano o jej wieku. — Opowiadaj, nim się zjawia.

— A więc, Zuzanno Baker, byłam świadkiem cudu, a właściwie to kilku cudów.

— Ślub Evie i Darcy'ego to rzeczywiście cud — zgodziła się Zuzanna. — Wszyscy myśleli, że oni się nienawidzą.

— Nie wszyscy, Zuzanno. Nie ja. Zawsze przeczuwałam, jak jest naprawdę. Jeśli zaś chodzi o cuda, to po-

<9*

0

dobnie jak wiele innych rzeczy, cuda występują w trójkach. Zauważyłaś?

— No pewnie.

— Cóż, dwa miesiące temu nie spodziewałam się, że tak to się wszystko potoczy.

Sytuacja była straszliwie poplątana: mój kwiatusek miał poślubić nie tego mężczyznę, co trzeba, serce Marnie było złamane... Straszny galimatias, nie wierzyłam, że sam Bóg byłby w stanie rozplątać to wszystko.

— A więc ona rzeczywiście była zaręczona z Elmerem Owenem? Słyszałam od kilku osób, ale nie miałam pewności.

— Oczywiście, że była. Ale słówkiem nie piśniesz, Zuzanno?

— Może jeśli mnie pani doktorowa wprost zapyta... — zawahała się Zuzanna.

— Mnie tam nie przeszkadza, jeśli ona się dowie. Pewnie zresztą nie przepada za plotkami, a ludzie mówią, że umie trzymać język za zębami.

— I to jeszcze jak — zapewniła Zuzanna — szczególnie, gdy chodzi o ważną sprawę. Nigdy na przykład nikomu nie powiedziała o mnie i o Wąsaczu.

— Może i nie mówiła, ale i tak wszyscy się dowiedzieli.

— Och, wiesz, jak to jest z plotkami. Oczywiście, Wąsacz gadał na prawo i lewo. Spokoju mi nie daje do dziś.

— A czego tyś się spodziewała po mężczyźnie? Ale wracając do mojej historii. Otóż zapamiętaj sobie, Zuzanno: Evie była od zawsze przeznaczona Darcy'emu!

4J2

— Może i tak. Ale przecież oni stale się ze sobą kłócili.

— A może nie pamiętasz, jak Rilla i Kenneth Ford walczyli jak pies z kotem, gdy byli dziećmi?

— To co innego — pospieszyła Zuzanna z wyjaśnieniem.

— Dokładnie to samo. Dzieciaki zawsze się ze sobą sprzecają. Ale odkąd podrośli, Darcy i Evie byli w sobie zakochani, tyle że nie zdawali sobie z tego sprawy. Takie były te ich zaloty. Kto się czubi, ten się lubi. Zaczęło się od momentu, gdy się poznali. On miał dziesięć lat, ona siedem. Marchowie pomieszkiwali u Phillipsów, czekając, aż skończy się budowa domu. Rzuciła w niego plackiem błota, bo zadawał się ze swoją młodszą kuzynką, która puszczała mu zalotne spojrzenia.

— W tamtych czasach młodzi zaczynali z takimi sprawami zbyt wcześnie — westchnęła Zuzanna. — Może gdyby moja matka nie upominała mnie, bym się przyzwociła zachowywała w towarzystwie chłopców... Ale teraz już za późno... I jestem ze swego życia zadowolona, przynajmniej dopóki mogę pracować.

— Bądź pewna, że kiedyś nie zaczynali wcześniej niż dziś. Ale jak będziesz mi tak przerywać, Zuzanno Baker...

— No opowiadaj. Ale powiedz mi... czy kiedykolwiek poprosił cię o rękę jakiś przyzwoity mężczyzna?

— Ba, miliony! Tak właśnie odpowiadam na tego typu impertynenckie pytania.

— Wychowano mnie, bym zawsze mówiła prawdę — odparła z dumą Zuzanna.

— Cóż, jeśli nie chcesz usłyszeć mojej opowieści...

4J3

— Mów, mów — westchnęła Zuzanna z rezygnacją.

— A więc w rewanżu za ten błotny placek oblał ją wodą ze szlauchu. Rozpętała się awantura! Obie matki zaczęły ich besztać. Takie historie powtarzały się każdego lata, gdy przyjeżdżaliśmy do Narrows. W końcu ich bójkę stały się czymś w rodzaju rodzinnej tradycji. Wreszcie matka Evie zabroniła jej przyjeżdżać do Phil-lipsów...

— Ludzie mówili, że podobno była zbyt dumna, aby przestawać z ludźmi ze wsi — wtrąciła Zuzanna.

— No i masz przykład kłamstwa. Nie żyje na całym świecie kobieta, która ma w sobie mniej fałszywej dumy niż pani March.

— Z wyjątkiem pani doktorowej — mruknęła pod nosem Zuzanna.

— Darcy rzucał w nią błotem, bo wydawało mu się, że jest zainteresowana innymi chłopakami, dobrze o tym wiedziałam. Podobnie ona: burzyła jego zamki z piasku, bo jej się podobał, tyle że nie była tego świadoma. Gdy zaczęli dorastać, wcale nie było lepiej...

— Kenneth i Rilla przeciwnie, nabrali trochę zdrowego rozsądku — wtrąciła Zuzanna. Ale wiedziała już, że nie należy przerywać Mary, poza tym chciała usłyszeć resztę historii, nim zjawi się panna młoda z orszakem.

— Było znacznie gorzej. Ona wciąż szydziła z niego, wyzłościwiała się, a on z niej drwił. I oboje aż bledli z zazdrości, gdy którekolwiek ośmieliło się popatrzeć na kogoś innego. Jak oni histeryzowali! Nie odzywali się do siebie tygodniami. Wszyscy myśleli, że się nie cierpią. Wszyscy, z wyjątkiem starej Mollie Hamilton, która goto-

4

wała w kuchni i karmiła ich, jak przychodzili razem na przekąskę podczas nielicznych chwil, gdy się nie kłócili.

„Zupełnie jak Kenneth i Rilla”, pomyślała Zuzanna.

— Czy mogłam nie widzieć, jak było naprawdę? Stara Mollie nie była ślepa, Zuzanno Baker. On szalał na jej punkcie, a jej śliczne oczęta aż promieniowały miłością do niego, choć myślała, że Darcy w ogóle nie chce jej znać. Ale myślałam sobie wtedy: „Są młodzi, wszystko się dobrze skończy”. A tymczasem lepiej, żeby się ze sobą tłukli, niż spacerowali w świetle księżyca, flirtowali i flirtowali. Ale się uśmieiałam, gdy widziałam, jak się opluwają, jak się ze sobą kłócą — nawet lekarstw nie musiałam zażywać.

— Ludzie są naprawdę różni — zauważyła Zuzanna. — Gdy dzieci ze Złotego Brzegu pokłóciły się z Fordami albo Meredithami, całą noc nie mogłam zmrużyć oka, tak się martwiłam. Całe szczęście, że doktor i pani doktorowa mieli więcej zdrowego rozsądku. Pani doktorowa pocieszała mnie: „Dzieci psociły tak od zarania dziejów”. Pewnie ma rację. Choć w naszych czasach aż tak nie było. Ale pamiętam, jak zażarcie walczyli z sobą Darcy Phillips i Evelyn March. Aż ziemia się trzęsła!

— Ale w końcu, Zuzanno, nie było mi do śmiechu.

0 coś się straszliwie pokłócili, lecz nigdy nie dowiedziałam się o co. Darcy wyjechał na uczelnię, nie godząc się z Evelyn. Przez dwa lata nie przyjeżdżał do domu, a to mnie bardzo martwiło. Mijał miesiąc za miesiącem

1 chociaż na pewno nie posłaliby go na wojnę, bo był krótkowidzem, to jednak tu, na miejscu, chłopaków nie brakowało. A przecież Darcy był bardzo urodziwym mło-

4\$6

dzieńcem, z oczami szarymi jak dym. Evie nosiła czoło wysoko, udawała, że w ogóle ją to nie obchodzi, ale ja tam lepiej wiedziałam. Lata mijały, przyjaciółki wychodziły za mąż, a świat stawał się coraz większy i pusty.

„O, znam ja to uczucie — pomyślała Zuzanna. — Nie wiem, co by się ze mną stało, gdybym nie trafiła do Złotego Brzegu. Doktor lubi przekomarzać się ze mną na temat starego Wąsacza, ale teraz — gdy już przeszła mi złość na tego durnia — przynajmniej mogę powiedzieć, że jeden mężczyzna chciał się ze mną ożenić, choć Bóg wie, z jakiego powodu”.

— Aż tu ostatniej zimy Evelyn zebrała się i pojechała do Montrealu z wizytą do kogoś. Wróciła zaręczona z Elmerem Owenem.

„Ach, wreszcie usłyszysz prawdę na ten temat — pomyślała triumfująco Zuzanna. — Wszystkie zasłyszane plotki dotyczące Evelyn przyprawiały mnie o zawrót głowy. Jedni gadali, że się zaręczyła, drudzy, że się nie zaręczyła, a pani doktorowa twierdziła, iż nic nikomu do tego, że to sprawa Evelyn i Elmera. Może i tak, ale człowiek lubi znać prawdę”.

— Zamurowało mnie z zaskoczenia! — powiedziała Mary. — Przecież doskonale wiedziałam, że ona go nie kochała. Nie chodziło też o jego pieniądze, Zuzanno Baker.

„Dokonałam wyboru, Mollie”, oznajmiła wielko-pańskim tonem.

„Też bym tak powiedziała, gdybym zdecydowała się wyjść za Wąsacza”, pomyślała Zuzanna.

— „Ależ to nie jest odpowiedni mężczyzna dla ciebie, mówię jej. Jak się spotka tego jedyne, nie myśli się

o wybieraniu. Po prostu się pasuje do tej drugiej osoby”. Tak jak ty pasujesz do Darcy'ego — miałam ochotę dodać, ale się powstrzymałam. Oczywiście, wszyscy zaczęli gadać, że wychodzi za Elmera, bo to milioner i świetna partia. Może słyszałaś o tym, Zuzanno Baker.

— Co nieco — odrzekła ostrożnie Zuzanna, która słyszała o wszystkim i nawet w to uwierzyła. — Ale zawsze tak gadają, gdy kobieta wychodzi za bogatego mężczyznę.

— Myślałam, że umrę ze złości, Zuzanno. Byłam gotowa znienawidzić wręcz tego Elmera, gdy przyjechał w czerwcu. Ale nie byłam w stanie, bo okazał się naprawdę przyjemnym młodzieńcem, mimo fortuny.

— Pani doktorowa mówiła, że to jeden z najsympatyczniejszych mężczyzn, jakich poznała, i że Evelyn ma wielkie szczęście.

— Och, cóż, trudno ją winić, skoro o niczym nie wiedziała. Wszyscy go polubiliśmy, nawet Evie. Marnie z początku zachowywała dystans... och, to wspaniała dziewczyna, Zuzanno Baker.

— Zawsze ją lubiłam, choć rzadko widywałam — przyznała Zuzanna, dodając w myślach: „Nie była w sobie tak zadufana jak Evelyn”.

— Evie jednak była moją ulubienicą, bo opiekowałam się nią, gdy była malutka, a jej matka ciężko chorowała.

„Zupełnie jak ja i Shirley”, pomyślała Zuzanna.

— Więc zawsze wydawało mi się, że jest moją córeczką. Ale gdy zauważyłam, że Marnie, ta słodziutka istotka wpadła w przygnębienie, zamartwiałam się, Zuzanno Baker.

497

— Kiedy Shirley zachorował na szkarlatynę, też odchodziłam od zmysłów — powiedziała Zuzanna. — Ale cieszę się na myśl, że nie zawiodłam pani doktorowej. Noc w noc...

— Marnie nie mogła znieść rozmów o ślubie. Początkowo myślałam, że smuci się, bo Evie ma się wkrótce wyprowadzić, czasem podejrzewałam, że może jest zła na Elmera za to, że powiedział do niej: „Witaj, Cyganeczko”, gdy Evie ich sobie przedstawiała. „Witaj, przystojniaku z reklamy”, odparła Marnie. Już ona potrafiła się odciąć, gdy ludzie się z nią

przekomarzali. Ślepa byłam, Zuzanno Baker, ale dopiero gdy się patrzy na sprawę z dystansu, widać, że rozwiązanie było tuż pod nosem.

— Szczera prawda, Mary Hamilton — zgodziła się Zuzanna, zastanawiając się, czy Mary kiedykolwiek dotrze do puenty opowieści.

— Ale wtedy nie mogłam zrozumieć, o co tam tak naprawdę chodzi. W każdym razie pozornie wszystko było w porządku: zaplanowali sobie ślub, po czym El-mer powrócił do Montrealu. Poszłam sprzątać, najpierw do pokoju Marnie. Myślałam, że jej nie ma, ale zastałam ją w środku, zapłakaną! Zuzanno Baker. Płakała z wdziękiem: cichutko, tylko wielkie łzy staczały się po jej śliczniutkich, malutkich brązowych policzkach.

„Dokładnie tak samo płacze pani doktorowa — pomyślała Zuzanna. — Tak powinno się płakać. Przypominam sobie, gdy Shirley... I Walter...”

— „Kochanie, co się dzieje?”, spytałam, lekko spanikowana. Rzadko kiedy widziało się płaczącą Marnie.

„Och, nic, nic takiego — odpowiedziała. — Po prostu jestem zakochana w mężczyźnie, którego ma poślubić moja siostra. A mam być jej druhną! Chciałabym umrzeć”. A mnie zatkało, Zuzanno Baker!

„To zupełnie jak mnie, gdy Riłla przyniosła niemowlę w wazie do zupy — pomyślała Zuzanna. — Nigdy tego dnia nie zapomnę!”

— Nie mogłam wymyślić nic mądrego w odpowiedzi — kontynuowała Mary. — Więc wypaliłam: „Na świecie jest wielu mężczyzn, kochaniutki. Po co rozpaczać z powodu jednego?”. „Bo on jest tym jedynym”, wychlipiało biedactwo.

— Choć jestem starą panną, domyśliłam się, że tak odpowie — rzekła Zuzanna.

— „Ale niczym się nie martw”, powiedziała Marnie. Jakby można było rozkazać człowiekowi, by po prostu przestał się martwić! „Evelyn o niczym się nie dowie, niczego nawet nie podejrzewa. Och, och, Mollie! Kiedy go pierwszy raz ujrzałam, przeżwałam go przystojniakiem z reklamy, a teraz, gdybym mogła, całowałabym go po stopach! Mollie, ale o tym wiem tylko ja i ty. Jeśli komuś wygadasz, zamorduję cię z zimną krwią”, wyznała. Więc nie powinnam ci niczego mówić, Zuzanno Baker, moje sumienie...

— Daj spokój z sumieniem, Mary Hamilton. Marnie chodziło o to, żebyś nie wypaplała nikomu z jej otoczenia, poza tym wiele się od tamtego czasu zmieniło. Teraz pewnie nie miałyby nic przeciwko temu — powiedziała Zuzanna z lekkim poczuciem winy, choć jednocześnie pocieszała się, że ona nie podzieliłaby się tym z nikim.

99

— Jak miałam powiedzieć komukolwiek? — Mary Hamilton zbyt zaangażowana była w opowieść, by zwracać uwagę na wstawki Zuzanny. — Gdybym potrafiła zdziałać cokolwiek dobrego mówieniem, weszłabym na dach i krzyczała wniebogłose. Ale nie mogłam, więc trzymałam język za zębami. I jakby tego było mało, tuż po zaręczynach zjawił się mój cudowny Darcy, wściekły jak diabli — od razu poznałam — ale również zimny jak lód. Słyszałam, jak się kłócili na werandzie. Nie, żeby podśluchiwała specjalnie, Zuzanno Baker, ale jeśli ludzie są ci tak bliscy, jak oni byli mnie, trudno ich niechcący nie słyszeć. Sprzeczka była krótka i burzliwa.

„Zamierzasz sprzedać się dla pieniędzy? Nie uwierzę w to, póki nie usłyszę tego z twoich ust”, mówił Darcy. „Zamierzam wyjść za Elmera Owena — odparła grzecznie Evelyn. — Bo tak się składa, że go kocham”. „Kłamiesz”, odrzekł Darcy, co już nie było takie grzeczne, prawda Zuzanno? A na to Evie tonem bardziej lodowatym niż jego, dumna, a zarazem błada z gniewu: „Zejdź mi z oczu, Darcy Phillipsie, i nie mieszaj się do moich spraw”.

„Gdy wyższa warstwa kłóci się ze sobą, znikają różnice klasowe — pomyślała Zuzanna. — To wszystko brzmi tak jak słowa Właszcza, gdy wpadał w szal”.

— „Trzymam cię za słowo — odparł Darcy. — Wyjeżdżam dziś do Nowego Jorku”. Miał tam odbyć roczny staż, cokolwiek by to znaczyło. „Już nigdy mnie nie zobaczysz, Evelyn March”. Słyszałaś kiedyś cokolwiek takiego?

600

— Wiele razy — powiedziała Zuzanna.

— No i po tych słowach odszedł. A moje biedactwo wchodzi do kuchni, patrzy na mnie, wciąż z czołem uniesionym wysoko, ale twarz błąda jak śmierć: „Odszedł, Mollie — powiedziała. — I nigdy nie wróci. A ja mam ochotę umrzeć”. „Chcesz, aby wrócił? — pytam. — Tylko żadnych kłamstw, kochana. Kłamstwo bywa wygodne, bo daje wytchnienie kobiecie, ale tym razem sprawa jest zbyt poważna. Wszystko się poplątało, a ja chcę to rozplątać. Muszę tylko wiedzieć, od czego zacząć”. „Chcę, by wrócił, bo jest jedynym mężczyzną, jakiego kochałam i będę kochać — odpowiada, jakbym tego nie wiedziała od samego początku! — Oto twoja prawda. Ale już za późno. Pociąg odjeżdża za piętnaście minut. Nie mogłam się poddać, duma by mi nie pozwoliła! A teraz już go nie ma... Poza tym on i tak mnie nienawidzi!”

Tego dnia akurat czyściłam piec olejowy, Zuzanno, więc domyślasz się, że nie wyglądałam najlepiej. Ale nie było czasu, by stroić się w kreacje z Paryża. Pognałam do garażu. Na szczęście autko stało w środku.

Wyjechałam, wykręciłam i pojechałam, prosto przez stawik liliowy. Ale wtedy myślałam tylko o tym, żeby zdążyć na stację, nim pociąg odjedzie. Drogą nigdy bym nie zdążyła, ale znałam pewien skrót.

„Ma na myśli tę dróżkę przy Narrow Road — pomyślała Zuzanna. — Nie używano jej od lat, byłam pewna, że jest zablokowana. Ale dla kobiety pokroju Mary Hamilton...”

— Pędziłam szosą z prędkością, jakiej nie osiągnął żaden mężczyzna...

„Doktor opowiadał, jak to raz spotkał się z nią na drodze i ledwo uniknął czołowego zderzenia”, przypomniała sobie Zuzanna.

— Niebiosom dziękowałam, że nie spotkałam żadnego patrolu policyjnego. Nigdy wcześniej nie miałam takiej przyjemności z jazdy siedemdziesiąt na godzinę. Gdy tak pędziłam, nagle na poboczu zauważyłam czarnego kota. Stał i jakby się zastanawiał, czy przekroczyć jezdnię. Pomyślisz sobie, że stara przesądna baba ze mnie, Zuzanno Baker...

— Ależ skąd — zaprzeczyła Zuzanna. — Nie wiem, jak to jest z tymi kotami, ale pewien czarny kocur przeciął mi drogę tego wieczoru, gdy dowiedzieliśmy się

o śmierci Waltera. Ale mniejsza z tym. Natomiast sny to inna sprawa. Podczas wojny panna Oliver zatrzymała się w Złotym Brzegu — jakie ta dziewczyna miewała sny!

1 każdy z nich się spełniał. Nawet doktor... Ale o kotach każdy z nas może mieć własne zdanie. Opowiadałam ci o naszym Jacku Froście?

— Tak. Poza tym myślałam, że jesteś zainteresowana wysłuchaniem mojej historii.

— Tak, tak, mów dalej — przyznała ze skrucą Zuzanna.

— Więc szczęście chyba tego dnia się mnie trzymało albo Stara Kostucha załatwiała swe interesy w innej części świata, bo kot odwrócił się i pobiegł w przeciwnym kierunku. A ja bez problemu wjechałam w boczną dróżkę.

To była niesamowita przejażdżka, Zuzanno Baker. Już pewnie drugi raz mi się taka przygoda nie przyda-

602

rzy. Przecięłam zaorane pole, strumień, błotnistą aleję i podwórko gospodarstwa Wilsonów. Przysięgam, że nawet otarłam się o krowę, chociaż gdzie ona pognęła, gdy ją uderzyłam, nie mam pojęcia...

— Ja ci powiem — odezwała się Zuzanna. — Nic się złego nie stało, zdarłaś jej tylko skórę i zupełnie straciła mleko. I gdyby doktor nie przekonał Joego Wilsona, a jego straty finansowe nie zostały wyrównane, dręczyłby cię do końca życia.

— Śmigałam między snopami siana, przejechałam przez pole szparagów, a potem zobaczyłam świerkowy żywopłot i drucianą siatkę. Zostało mi zaledwie kilka minut. Mogłam zatrzymać się i pognać na dworzec, znajdował się zaledwie po drugiej stronie, ale byłam zbyt podekscytowana, więc zamiast na hamulec, nacisnęłam na pedał gazu.

„Dzięki Bogu, że nigdy nie nauczyłam się prowadzić samochodu”, pomyślała Zuzanna.

— Przejechałam więc przez ten żywopłot...

— Sam Carter przysięgał, że nigdy w życiu czegoś takiego nie widział — wtrąciła Zuzanna.

— ...i przez drucianą siatkę i wypadłam prosto na peron. Na szczęście żywopłot i siatka trochę mnie wyhamowały, więc niczego na stacji nie uszkodziłam. Darcy właśnie wsiadał do wagonu...

„No, w końcu dochodzimy do interesującej części — pomyślała Zuzanna. — Wszyscy się zastanawiali, co takiego Mary mu powiedziała”.

— Złapałam go za ramię i mówię...

SOS

„Złapała go za oba ramiona”, poprawiła w myślach Zuzanna.

— „...Darcy Phillipsie, Evelyn ma przez ciebie złamane serce, więc czym prędzej do niej wracaj. A jeśli choć raz jeszcze usłyszę, jak się kłócicie, przysięgam, że przełożę was przez kolano i spiorę na kwaśne jabłko. Mam już dosyć tych nonsensownych awantur i nieporozumień. Czas, byście dorośli”.

„Czy ludzie kiedykolwiek dorastają? — zastanawiała się Zuzanna. — Chyba tylko doktor i pani doktorowa dojrzeeli. Wąsacz na pewno nie. Jak on uciekał!” Zuzanna przypomniała sobie z wyraźną satysfakcją gar pełen gotującego się barwnika, przed którym wspomnianemu Wąsaczowi udało się umknąć.

— „Nie chcę teraz słyszeć ani słowa!”, powiedziałam mu poważnym tonem.

„Podobno tak nim potrząsała, że niemalże pogruchotała mu kości”, pomyślała Zuzanna. Nikt jednak nie miał pojęcia, z jakiego powodu.

— „Po prostu rób, co ci powiem”, zarządziłam. Dzisiaj sama widzisz, co z tego wynikło, Zuzanno Baker. Na szczęście firma ubezpieczeniowa zachowała się rozsądnie.

„Szczęśliwie dla biednego Jima Marcha”, pomyślała Zuzanna.

— Ale jeszcze nie słyszałaś wszystkiego. Gdy Evie powiedziała Elmerowi, że jednak nie wyjdzie za niego i zamierza poślubić Darcy Phillipsa, wszyscy spodziewali się afery! Ale on to przyjął ze spokojem i powiedział... No jak myślisz, co powiedział, Zuzanno Baker?

604

— Lepiej, żebym nie zgadywała, co powiedział lub pomyślał jakiś mężczyzna — odparła Zuzanna. — Oj, zdaje mi się, że panna młoda nadchodzi...

— A więc powiedział: „To szwagier, którego wybrałem”. Nie miała pojęcia, o co mu chodziło. Ale tydzień później zjawił się w swym eleganckim niebieskim samochodzie z lśniącymi kołpakami. Dowiedziałam się, że gdy tylko ujrzał Marnie, wiedział już, że popełnił błąd, planując ślub z Evie, ale był zbyt wielkim dżentelmenem, by wszystko odwołać. Gdyby musiał, ożeniłby się z Evie bez zmruczenia oka.

— Może by się nie ożenił, gdyby usłyszał, że i Marnie się w nim zakochała — zauważyła Zuzanna. — Och, oto panna młoda. Jestem ci zobowiązana, Mary, za podzielenie się ze mną tą historią. Jeśli będziesz chciała się czegokolwiek dowiedzieć — a nie będzie to związane ze Złotym Brzegiem i rodziną Blythe'ow — chętnie ci opowiem.

— Nadchodzą, Zuanno Baker. Aż się jaśniej w kościele robi, gdy jest w nim moja ślicznotka, prawda? Długo nie będzie piękniejszej panny młodej.

„To zależy, kiedy Rilla i Kenneth Ford zamierzają wziąć ślub — pomyślała Zuzanna. — Choć Rilla zapewnia, że nie będzie brać ślubu w kościele. Woli trawnik Złotego Brzegu.”

Może i ma rację. Podczas takich kościelnych uroczystości ludzie za bardzo plotkują".

— A teraz lepiej zamknijmy jadaczki, Zuzanno Baker, póki nie zostaną ogłoszeni mężem i żoną. Ciężar spadnie mi z serca. Wrócisz ze mną do domu, Zuzanno, na filiżankę herbaty? Pokażę ci prezenty, bardzo

SOS

eleganckie. Widziałaś kiedyś ładniejszą pannę młodą? Jestem pewna, że nigdy nie było szczęśliwszej.

„Chciałabym, żeby ktoś to powiedział pani doktorowej", pomyślała Zuzanna. A na głos:

— Podobno nie jest zbyt zamożny.

— Niezamożny? Miej rozum, Zuzanno Baker. Mówię ci, oni są bogaci ponad wszelką miarę.

— Taka stara panna jak ja nie zna się na tych sprawach — rzekła z godnością Zuzanna.

— Ale masz rację, Mary Hamilton, może i masz rację. „Człowiek wiele się uczy, po prostu obserwując", mawiała Rebeka Dew. Doktor i pani Blythe też byli niezamożni, gdy się pobierali. Ach, przypominały mi się ich szczęśliwe chwile w Wymarzonym Domu! Wielka szkoda, że już nigdy tam nie wrócą. Dziękuję za zaproszenie, Mary, ale muszę wracać do Złotego Brzegu. Mam swoje obowiązki. Wypiję z tobą herbatę, gdy wszystko się już trochę uspokoi. Jestem ci naprawdę wdzięczna za opowieść. Gdybyś słyszała krążące po okolicy plotki...

— Oczywiście, domyślam się, co ludzie opowiadają — rzekła Mary. — Ale posłuchaj mej rady, Zuzanno Baker: naucz się prowadzić samochód. Nie znasz dnia ni godziny, gdy ta umiejętność okaże się przydatna.

— W moim wieku?! Toż to dopiero byłby cyrk. Nie — zdecydowanie odparła Zuzanna.

— Zaufam moim nogom, póki mogę na nie liczyć, Mary Hamilton.

WIECZÓR TRZECI

ODCHODZĄCA DUSZA

W noc najciemniejszą, proszę, stań w oknie, Gdy ktoś umiera. I nie zatrzymuj odchodzącego, Drzwi otwieraj,

Choć ból Twój wielki — pozwól mu odejść, Niechaj wyrusza w ostatnią drogę.

Za oknem słyhać wśród wiatru głosy, Kogoś wołają

I duszę, która od nas odchodzi, Tak przyzywają.

Kto z nią podąży wśród mgły i dymu? Pójdzie samotnie. Ty jej nie wstrzymuj.

Gdy ktoś umiera w noc najciemniejszą, Ty otwórz okno,

Duszy zmarłego pozwól odfrunąć W drogę samotną.

Niczym kochankę śmierć ją przytuli. Tobie zostały łzy. I moc bólu.

Ania Blythe

607

DR GILBERT BLYTHE: — Chyba zabronię ci pisanie tego typu wierszy, Aniu. Widziałem zbyt wiele śmierci...

ZUZANNA BAKER: — A czy widział doktor kiedykolwiek śmierć kogoś w pomieszczeniu o zamkniętych oknach i drzwiach? Och, tak, tak, można sądzić, że to tylko przesąd, ale lepiej od tej pory zwracać na takie rzeczy uwagę.

ANIA BLYTHE, cichym głosem: — Walter napisał dwa pierwsze wersy tuż przed... swoim odejściem. Ja... pomyślałam, że dokończę ten wiersz.

f

MÓJ DOM

Zbudowałem dom mój pośród drzew i kwiatów, Tam gdzie rzędy krzewów i jodły strzeliste, A w ogrodzie bratki i żółte żonkile. Mienią się kolory złote i srebrzyste. Z mego domu widok jest na cudne wzgórza, Widzisz drzwi szerokie na końcu ulicy, Małe okna latem odbijają

błękit, A zimową porą w czas wielkiej śnieżycy. Dach nad głową znajdzie tam pielgrzym
znużony, Lecz piękna budowla jeszcze nie jest domem.

Jeśli bowiem on ma domem być prawdziwym, Potrzeba mu wiatru, gęstych mgieł i mroku.
Niechaj przyjdzie rosa, jesienna szaruga, Niech pozna, czym chłód jest i łagodny spokój.
Niechaj pies zaszczeka i macha ogonem I wesoło mrucząc, koty niech biegają, I niech w
porze zmierzchu na wysokiej jodle Wesolutkie drozdy swoją pieśń śpiewają.

SCh?

I w promieniach słońca i w porze ciemności Niechaj dom ten ludzie obdarzą miłością.

Aby stał się domem, trzeba mu tajemnic, Barwne kwiaty w oknach będą jego twarzą. Niech
ktoś śni tu błogo, śmieje się i kocha I niech przyjaciele przy kominku gwarzą. Trzeba, by ktoś
śpiewał tutaj albo płakał, Niech ktoś tutaj kocha i ślubuje miłość, Aby dom ten poznał, czym
jest śmiech i smutek, Trzeba, by się wiele tutaj wydarzyło. I gdy pozna smutną noc i dzień
szczęśliwy, Już nie będzie murem, lecz domem prawdziwym.

Walter Blythe

DR GILBERT BLYTHE: — Ten wiersz zaskakująco przypomina twój, Aniu, zatytułowany
Nowy Dom. Ale chyba nie to było celem Waltera.

DIANA BLYTHE: — Nie, on naprawdę opisywał Złoty Brzeg. Pokazywał mi ten wiersz tuż
przed... swoim odejściem.

WSPOMNIENIA

Za oknem widzę szarą wodę I księżyc mgła oplata. Cicho opada liść topoli W oddali błękit
lata. I pośród krzaków brzęczą pszczoły. Ich pieśń — jak ptaków trel wesoły.

Noc otuliła ciemną przystań I wieje wiatr od morza.

ÓÓJ

Uśpione sosny szumią cicho, Śpiewają białe brzozy. Wiele brzmi w pieśni lasu dźwięków —
tylko skąd w brzozach tyle lęku?

Przy furtce rośnie świeża mięta I obok kwiat paproci. Dzień już się skrył za horyzontem I
słońce piasek złoci. O zmierzchu fale się kołyszają, A mnie otula nagła cisza.

Ania Blythe

*

DR GILBERT BLYTHE, w myśli: „W okolicy nie rosną żadne sosny. Nie rosły także w
Avonlea, więc Ania musiała je sobie wyobrazić na potrzeby tego wiersza. A może nie
znalazła rymów do wyrazu «świerk». Ale brzozy umieszcza praktycznie w każdym swoim
utworze. Nie dziwi mnie to. To piękne drzewa. Każdy wers tego wiersza przywołuje osobne
wspomnienie”.

ZUZANNA BAKER, cerując, myśli: „Gdy pisała ostatnią linijkę, myślała o Walterze. Nie
mogę pozwolić, by zauważyła, że się wzruszyłam. Co do pszczoł, dziwne z nich stworzenia.
Mój dziadek był pszczelarzem, żadna pszczoła nie użądliła go ani razu. Natomiast
wystarczyło, by moja babcia zbliżyła się do ula, a już była użądlna. Nie mogę myśleć o tym
wszystkim, bo zaraz rozplaczę się jak dziecko”.

NIEPOZORNA KOBIECINA

Drobny, zimny deszcz kropił przez cały dzień i dopiero po zmierzchu mżawka nieco osłabła,
choć wiatr wciąż hulał na zewnątrz. Rodzina Johna Andersona siedziała w bawialni — wciąż
tak nazywali ów pokój — ohydne domostwa na przedmieściach Lowbridge. Czekali, aż
ciotka Ursula, która umierała w pokoju na górze, w końcu wyzionie ducha i będzie spokój.
Żadne z nich nie wypowiedziało tych myśli na głos, ale w głębi duszy tak właśnie myśleli.
W ich zachowaniu, w każdym ich słowie wyczuwało się dostojałość, ale wewnątrz wprost
zwijali się ze złości i niecierpliwości. Doktor Parsons postanowił zostać do samego końca,
ponieważ ciotka Ursula była kuzynką jego dziadka, a poza tym pani Anderson prosiła, by z
nimi zaczekał.

Na razie nie mógł sprzeciwiać się woli ludzi, nawet odległych krewnych. Dopiero co rozpoczął swoją praktykę w Lowbridge. Do tej pory wielkim szacunkiem cieszył się tu doktor Parker. Prawie każdy korzystał z jego usług,

61 f

może z wyjątkiem kilku staruszek, które go nie lubiły i nalegały, by z wizytą przyjeżdżał doktor Blythe z Glen St. Mary. Nawet większość rodziny Andersonów leczyła się u niego. W oczach doktora Parsonsa obaj byli już starymi lekarzami, którzy powinni dać szansę młodszemu.

Przy każdej okazji doktor Parsons starał się być posłuszny i robił wszystko, co mógł, by zdobyć zaufanie mieszkańców. W dzisiejszych czasach nie było innego wyjścia. Dobrze się mówiło o bezinteresowności, ale w gruncie rzeczy to był stek bzdur. Każdy musi dbać o siebie.

Gdyby tak zdobył przychyłność Zoe Maylock, pomijając kwestie miłosne, bardzo by mu to pomogło. May-lockowie byli co prawda niezbyt zamożną rodziną, ale mieli spore wpływy w Lowbridge. Oni również nigdy nie wzywali doktora Parkera. Kiedy którekolwiek zachorowało, posyłali po doktora Blythe'a. Między Parkerami

1 Andersonami kiedyś doszło do jakichś sporów. To było dawno temu, ale złość pozostaje żywa przez całe lata!

Doktor Parker mógł się śmiać z tego wszystkiego i udawać, że niczym się nie przejmuje, ale młody doktor wiedział swoje. Dziś nauka lepiej rozumiała ludzką naturę niż w czasach, gdy studiował stary doktor Parker.

W każdym razie młody doktor Parsons miał zamiar być tak posłuszny, jak to tylko możliwe. Każdy dodatkowy pacjent był na wagę złota. Minie trochę czasu, nim z jego praktyki będą płynąć takie zyski, by mógł się ożenić bez obaw. A niech to diabli. Wątpił nawet, czy John Anderson zapłaci mu, bo wyglądało na to, że staruszka, która konała tak długo, jest bez grosza przy duszy.

Mówiono, że doktor Blythe — i czasem nawet doktor Parker, choć ten miał więcej wyrachowania w tych sprawach — leczył starych ludzi za darmo. Cóż, on nie będzie aż takim naiwniakiem. Przybył do starej Ursuli, bo chciał poznać Andersonów — część z nich była wciąż całkiem zamożna. Przy okazji miał nadzieję, że przejmie pacjentów doktora Blythe'a — to niesamowite, jak duży wpływ, mimo podeszłego wieku, miał ów człowiek na okolicznych mieszkańców. Ludzie mawiali, że odkąd w Wielkiej Wojnie zginął jego syn, Blythe nigdy już nie był tym samym człowiekiem.

Tymczasem zbliżała się kolejna wojna i podobno kilku jego wnuków wybierało się na front, na przykład Gilbert Ford, który służył w lotnictwie. Ludzie od czasu do czasu dawali do zrozumienia Parsonsowi, że i on powinien się zgłosić. Nawet Zoe nieraz zdradzała zbyt wielki podziw dla tego Gilberta Forda. Ale to wszystko stek bzdur. Ochotników nie brakuje.

Tymczasem on postara się zrobić, co tylko można, dla podupadłych rodzin pokroju Andersonów. Przodkowie owych Andersonów byli niegdyś bogaci i wpływowi — tak przynajmniej głośiły plotki. Największy nagrobek na cmentarzu w Lowbridge należał do Davida Andersona. Obecnie pokrywał go mech i porosty, ale niegdyś rzeczywiście taki grób musiał robić wrażenie.

Chyba przypominał sobie jakąś dziwną historyjkę o tym samym Davidzie i jego pogrzebie... Stara Zuzanna Baker z Glen St. Mary opowiedziała ją staruszce. Ale z pewnością były to jedynie plotki. Zuzanna dziecinnieje na stare lata. Ludzie mawiali, że Blythe'owie ze Złotego Brzegu trzymali ją przy sobie powodowani zwykłym współczuciem. Tak, z pewnością owa historyjka to tylko plotki. Pomiedzy Andersonami i Bakerami nigdy nie było przyjaźni... Chociaż i ta sprawa należała do zamierzchłej przeszłości, jak mawiała pani Blythe ze Złotego

Brzegu. Jej syn zginął w Wielkiej Wojnie... Inny wrócił poważnie ranny. Aż trzech jej synów poszło na wojnę, ludzie mówili. Młodzi głupcy!

Ale ci, którzy przetrwali, byli teraz starymi ludźmi... A przynajmniej tak nazywał ich ten nieopierzony młody doktor Parsons. Jeden z ich synów podobno kochał się w Zoe. Była całkiem popularna. Wydawało mu się jednak, że to on miał tu przewagę, poza tym podobno państwo Blythe'owie nie pochwalali owego romansu. Inne z kolei plotki głosiły, że ów młodzian zostawił Zoe, bo kiedyś wyśmiewała się z Zuzanny Baker. A może chodziło o Gilberta Forda?

Cóż, to nie miało znaczenia. Cała ta historia nie trzymała się kupy. Bo któż o zdrowych zmysłach zerwałby z Zoe Maylock? Nie zrobiłby tego nawet Gilbert Ford, obnoszący się z tym, że mieszka w Toronto.

No, jeśli Bóg da — młody doktor Parsons ukradkiem zerknął na zegarek — stara Ursula Anderson już powinna być martwa, a przynajmniej tak mu się zdawało. Był pewien, że reszta Andersonów po cichu będzie się cieszyć. Nie winił ich za to. O ile się orientował, kosztowała ich kupę pieniędzy w ostatnich latach, a wcześniej zarabiała jako krawcowa. Na myśl o tym zachciało mu się śmiać. Bawiła go wizja kobiet noszących suknie wykonane przez Ursulę Anderson. Taka nieszczęśnica musiałaby wyglądać w owej kreacji jak postać żywcem wyjęta z poblakłej fotografii lub czarno-białych rycin, które musiał dość często podziwiać.

Czy ta kobieta na górze nigdy nie umrze? Szkoda, że nie wymyślił czegoś, by oddalić się z tego miejsca już jakiś czas temu. Obowiązki obowiązkami, ale to już przesada. Poza tym było za późno, by wpaść do Zoe. Może Walter Blythe — nazwany tak oczywiście po swoim wujku — spędza z nią ten wieczór? Cóż, niech wygra najlepszy! Doktor Parsons nie miał wątpliwości, kto okaże się zwycięzcą. Zoe może i będzie zła — albo przynajmniej uda zdenerwowaną — ale doktor zawsze może wymyślić jakieś usprawiedliwienie. Na szczęście Gilbert Ford, którego w głębi duszy obawiał się bardziej niż Waltera Blythe'a, wyjechał do Toronto.

Zoe i te jej cudowne oczy, śliczne białe dłonie i kojący głos! Wręcz absurdalne wydawało się, że Zoe i ciotka Ursula były tej samej płci. Nie, to niemożliwe, po prostu niemożliwe. Koniec, kropka. Ursula Anderson nigdy nie była śliczną dziewczyną o gładkiej, zdrowej cerze i pełnych czerwonych ustach. Gdyby nie grymaszenie pani Anderson, spędzałby ten wieczór z Zoe, zamiast siedzieć tu, w tym dusznym pokoiku Andersonów, czekając aż pewna staruszka, która nigdy nikogo nie obchodziła, umrze, i zastanawiając się, jakim cudem pani Anderson mogła wytrzymać z tak paskudnym dywanem na podłodze.

Zaczął dumać nad tym, jak urządzić swój dom on i Zoe, jeśli — a raczej gdy — ją zdobędzie. Żadna po-

siadłość w Lowbridge mu nie odpowiada. Będzie musiał zbudować coś nowego. Coś w stylu domu w Złotym Brzegu, tyle że bardziej nowoczesny. Chociaż i tak — o dziwo — Złoty Brzeg zawsze wydawał się w miarę na czasie. Doktor Parsons musiał to przyznać. Nie umiał powiedzieć, dlaczego tak się działo. Może to dlatego, że wciąż pełno było tam dzieci? Nie... dom sprawiał dokładnie takie samo wrażenie, gdy stał pusty. Tak czy siak on i Zoe zamieszkają w rezydencji nowoczesnej w każdym calu. Jeśli zaś chodzi o dzieci — będą musieli z nimi trochę poczekać. Wielkie rodziny wyszły już z mody, podobnie jak wiele innych rzeczy. Na przykład takie dywany!

Pani Anderson była z kolei bardzo dumna z owego dywanu, który podarował jej wuj z Charlottetown. Teraz jednak była bardzo rozdrażniona i poirytowana. Ciotka Ursula wybrała sobie najgorszy moment na umieranie. Zbliżał się ślub Emmy, trzeba też przygotować wyprawkę Phila do Queen's Academy. I jeszcze wydatki na pogrzeb. Cóż, rachunki zapłaci się nieco później. Co do doktora Parsonsa, to oczywiście musieli wezwać jego, bo był

dalekim krewnym. Chętniej jednak posłałaby po doktora Blythe'a z Glen St. Mary, a nawet starego doktora Parkera. Kogóż obchodziły w takiej chwili zadawnione spory? I czemu wciąż kręcił się tu doktor Parsons, skoro i tak nic nie mógł poradzić? Oczywiście poprosiła, by został, z grzeczności, ale chyba domyślił się, że nie jest tu mile widziany. Ciotka Ursula doprowadzała wszystkich do szału tym długim umieraniem. Ale ona taka właśnie była. Pewnie

dlatego nigdy nie wyszła za mąż. Mężczyźni lubią bardziej energiczne kobiety. Równie dobrze mogłaby konać do rana. Pani Anderson знаła kobietę, która żyła jeszcze tydzień po tym, jak lekarz oznajmił, że umrze w ciągu kilku godzin. Lekarze tak naprawdę niewiele wiedzą. Powiedziała Johnowi, że powinni wezwać bardziej doświadczonego doktora. Żadne z nich nie zmrużyło tej nocy oka, a John był wprost wykończony. Nie spał przez tyle nocy. Nie można było ufać Maggie McLean. Oczywiście pani Anderson też przydałaby się odrobina snu.

Ścisłe rzecz biorąc, John właśnie pochrapywał na sofie. Było to dość niestosowne zachowanie, uznała. Ale nie miała serca, by go budzić. Gdyby ten narwaniec, doktor Parsons, w końcu sobie poszedł, może i ona by się zdrzemnęła. Jeśli zaś chodzi o Emmy i Phila, to bardzo czekali na dzisiejszą zabawę u Bess Rodney. A w takich okolicznościach nie mogli nigdzie iść. Nic dziwnego, że byli w podłych nastrojach, biedactwa. Ale cóż by się takiego, stało, gdyby poszli na te tańce? Ludzie by plotkowali! No tak, to najpotężniejsza broń na świecie.

Pani Anderson ziewnęła, mając nadzieję, że doktor Parsons zrozumie aluzję. Ale on w ogóle nie zareagował. Starszy doktor miałby większe wyczucie.

Zastanawiała się, prawie zapadając w drzemkę, czy między Parsonsem a Zoe Maylock rzeczywiście coś było. Skoro tak, to szkoda jej Parsonsa. Każdy zna temperament Zoe. Państwo Blythe'owie dobrze zrobili, powstrzymując Waltera przed odwiedzaniem jej. Jeśli zaś chodzi o Gilberta Forda, to ludzie mówią, że podobno

W

zaręczył się z kimś w Toronto, a z Zoe Maylock po prostu flirtuje. Dzięki Bogu Phil był zupełnie inny. Żaden z niego bawidamek. A nawet jeśli miał coś z charakteru Andersonów, wiedział, jak nad nim zapanować. Chyba powinna pójść na górę i sprawdzić, czy Maggie McLean śpi. Ale nie chciały obudzić biednego Johna.

Emmy i Phil Anderson rzeczywiście byli niezadowoleni. Wydawało im się absurdalne, że musieli zostać w domu, rezygnując z imprezy, ponieważ stara ciotka Ursula postanowiła umrzeć. Miała osiemdziesiąt pięć lat, a od piętnastu wcale się nie zmieniała — była po prostu brzydką staruchą, która niewiele mówiła, choć gdy przebywała sama w pokoju, coś tam do siebie mamrotała. Należała do wymarłego, zamierchłego pokolenia — pokolenia tych okropnych czarno-białych rycin, których matka nie chciała zdjąć ze ścian, pokolenia obrazów z brodatymi mężczyznami i kobiet w sukniach zapiętych pod samą szyję. „Oni na pewno nie należeli do ludzkiej rasy”, myślała Emmy.

Na szczęście wszyscy powymierali. Jak surowo i stosownie wyglądał dziadek Anderson — istne wcielenie niezłomnej prawości — który szczycił się tym, że za jego czasu w rodzinie Andersonów nigdy nie wybuchł żaden skandal. Ale przecież słyszała o jego bracie, Davidzie Andersonie. On na pewno nie był wzorem cnót wszelakich, zdaniem Zuzanny Baker. Ale to zamierchłe czasy. Któż by się nimi przejmował? Tamci byli braćmi ciotki Ursuli. Doprawdy, trudno sobie wyobrazić, że ciotka miała braci! Emmy nie była w stanie uwierzyć, by ciotka żywiła przywiązanie do jakiegokolwiek członka swej rodziny.

„Na pewno nigdy nie lubiła żadnego z nas — pomyślała Emmy. — A byliśmy dla niej tacy mili!”

Wuj Alec, który przyjechał z farmy w Glen St. Mary, bo tak wypadło, jako jedyny się nie nudził. Wręcz przeciwnie, dość mu się podobały takie sytuacje, choć oczywiście nigdy by się do tego nie przyznał. Ba, do wielu innych rzeczy również nie mógłby się przyznać!

Nie dało się zaprzeczyć, że śmierci i pogrzebom towarzyszył pewien dramatyzm. Owszem, w umieraniu ciotki Ursuli nie krył się żaden dramatyzm, podobnie zresztą jak w jej życiu. Jej siostry w czasach młodości były wesołymi dziewczętami, ale ciotka od samego początku była cicha, zamknięta w sobie.

Mimo wszystko śmierć to śmierć — w dodatku sprzyjała jej atmosfera: ciemno, za oknami wyjący wicher,

0 szyby wściekle uderzają krople deszczu. Wuj Alec uważał, że letnie wieczory skąpane w blasku księżyca

1 powietrze przesycone zapachem kwiatów nie pasowały do śmierci. Chociaż, jeśli dobrze się nad tym zastanowić, ludzie przecież umierali o każdej porze dnia i nocy, w każdych warunkach.

John i Aggie byli spokojni i dystyngowani, jak tego wymagała okazja. No, John może był dystyngowany do czasu, aż nie zasnął. Młodzież wprost nie mogła ukryć swego zniecierpliwienia. Wuj Alec nie winił ich. Rzecz jasna, w ogóle im nie przyszło do głowy, że i oni kiedyś umrą.

Ciotka Ursula nie umrze przed odpływem. Wychowała się nad morzem, a jeśli się żyło nad morzem przez osiemdziesiąt pięć lat, po prostu było to niemożliwe. Słyszał, jak doktor Parker wyśmiewał ów przesąd. Doktor Blythe co prawda się nie śmiał, ale wuj Alec wiedział, że i on w to nie wierzy.

— Gdyby sprawdził dane, sam by się przekonał — mruknął wuj Alec.

Ursula co prawda znajdowała się teraz dość daleko od morza, ale to nie miało najmniejszego znaczenia.

— Pomyśl sobie tylko: przez osiemdziesiąt pięć lat być starą panną — nagle odezwała się Emmy. Zadrżała.

— No, koszmar — zgodził się Phil.

— Dzieci — upomniała ich matka. — Nie zapominajcie, że ona umiera.

— A co za różnica? — zniecierpliwiała się Emmy.

— Nie zawsze była starą panną — powiedział wuj Alec. — Mówi się, że starą panną zostajesz, gdy skończysz dwadzieścia pięć lat. A ciotka Ursula była po prostu zwykłą kobietą, o której nikt nie pamiętał.

Ciotka Ursula była istotą zasługującą na współczucie, ale i pogardę. Bo wuj Alec gardził starymi pannami. Mówiono, że ciotka Ursula nigdy nie miała nawet żadnego wielbiciela. Ale mało o niej wiedział. W końcu była tylko niepozorną istotą, o której nikt nie rozmawiał. Z pewnością nie dawała powodów do plotek. I rzeczywiście dość długo umierała. Tej nocy odpływ miał nadejść nieco później. Niemalże zazdrościł tej drzemki Johnowi. Biedny John! Narobił sporego bałaganu. Większość Andersonów zarabiała pieniądze. Stryjeczny dziadek David natomiast... kiedyś był bogaty. Ale jego syn błyskawicznie przepuścił całą ojcowiznę.

620

— Gdybym miała tak nudne i bezbarwne życie jak ciotka Ursula, to sama bym się zabiła — powiedziała Emmy.

— Emmy! — oburzył się wuj Alec. — Nie wolno tak mówić. Na każdego przychodzi jego czas.

— Nic mnie to nie obchodzi — odparła Emmy. — Osiemdziesiąt pięć lat i ani jednego ciekawego zdarzenia? No ale trudno sobie wyobrazić, by ktokolwiek mógł się w niej zakochać.

— Trudno sobie to wyobrazić w przypadku każdej starszej osoby — powiedział wuj Alec. — Weźmy mnie na przykład. Na pewno myślisz o mnie tak samo jak o swojej ciotce. A

jednak w młodości był ze mnie zuch chłopak. Kiedyś też będziesz stara, Emmy, i ludzie będą o tobie myśleć tak samo, jak ty o mnie. Poza tym kto wie, może ciotka Ursula miała jakiegoś narzeczonego.

— Nie ona — Emmy wzruszyła ramionami. Nigdy nie być kochanym, jakie to straszne! Nigdy nie zaznać miłości! — Po prostu całe życie spędziła w domach innych ludzi, szyjąc dla nich ubrania, aż w końcu zrobiła się z niej taka dziwaczka, że nikt jej nie chciał. Nie sądzę zresztą, by kiedykolwiek wzbudzała zainteresowanie. Wyobraźcie sobie ciotkę Ursulę szyjącą sukienki! Nigdy nie widziałam, by cokolwiek uszyła. Co najwyżej łątała spodnie. Pewnie stale tylko to robiła, biedaczka.

— Och, wydaje mi się, że kiedyś była całkiem niezłą krawcową — powiedział wuj Alec.
— Za dwadzieścia lat to, co dziś uważacie za modne, będzie co najwyżej reliktem przeszłości, równie zabawnym.

621

— Za dwadzieścia lat nie będzie modnych ciuchów — Phil wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Ludzie będą chodzić nago.

— Phil! — z obowiązku upomniała go matka.

Nie wierzyła w te Alecowe bzdury o odpływach, ale z pewnością stara ciotka Ursula... może Maggie zasnęła. Powinna pójść na górę i sprawdzić. Ale nie miała siły, bo dokuczał jej reumatyzm i rwało ją w kościach. Jeśli zaś chodzi o te opowiadki o starych pannach, to zupełnie jej się nie podobają. Ona była już starą panną, gdy John postanowił się z nią ożenić.

— Ciotka Ursula robiła przepyszne ciasto biszkoptowe, lepszego nie jadłem — zauważył wuj Alec.

— Idealne epitafium! — odparła Emmy.

Doktor Parsons się roześmiał. Ale matka znów upomniała Emmy, uznając to za swój obowiązek. Mimo to była dumna, że córka ma cięty język.

— Ona umiera — przypomniał wuj Alec, również z obowiązku.

— Już od wielu godzin — burknął Phil. — Tak, tak, znam twoje teorie o odpływach, wuju, ale nie wierzę w nie. Doktorze Parsons, na pewno widział pan ludzi umierających podczas przyływu?

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem — odparł doktor Parsons wymijająco. — Przypuszczam, Phil, że tobie najbardziej przypadła do gustu teoria Oslera: wszyscy powinni być usypiani za pomocą chloroformu po przekroczeniu sześćdziesiątki.

— To by uwolniło świat od wielu utrapień — ziewnął Phil.

622

— Phil, nie pozwolę, abyś wygadywał takie rzeczy. Za trzy lata i ja będę mieć sześćdziesiąt lat — powiedziała jego matka srogim tonem.

— Nie znasz się na żartach, mamó?

— Nie, jeśli w domu jest umierająca osoba — odparła pani Anderson jeszcze ostrzej.

— A co pan sądzi o teorii Oslera, doktorze? — spytał Phil.

— Nie sądzę, by to były dokładnie jego słowa — odparł doktor Parsons. — On tylko stwierdził, że sześćdziesięcioletni człowiek najlepsze lata ma już za sobą. Oczywiście są wyjątki. Ale zarówno ty, jak i ja jesteśmy na tyle młodzi, że nie musimy się tym przejmować — dodał, przypominając sobie, że zarówno John Anderson, jak i ten dziwny wuj Alec już byli po sześćdziesiątce. Nie powinno się obrażać ludzi. Czasem wystarczył taki drobiazg, by w razie czego wezwać innego lekarza.

Phil się poddał. Pozostawało czekanie. To nie mogło trwać wiecznie. Ciotka Ursula w końcu umrze i zostanie pochowana — im tańszym kosztem, tym lepiej. Grabarz będzie się musiał upominać o zapłatę. Parsons zresztą też. Ciotka Ursula opuści dom po raz pierwszy od dziesięciu lat i spocznie w rodzinnym grobowcu, jakoś się ją tam upchnie. A na jednej z

kamiennych tabliczek znajdzie się odrobina miejsca, by napisać, kiedy się urodziła i kiedy zmarła.

Boże, ale marna egzystencja! Przecież nic więcej o jej życiu nie dało się powiedzieć. Pewnie nawet nigdy nie miała w sobie tyle energii, by coś z tym swoim życiem zrobić. Ludzie z jej pokolenia akceptowali wszystko jak

ÓJ8S

wyroki boskie, czyż nie? Po prostu wegetowali. I czemu oni musieli się nią zająć, gdy już nie była w stanie na siebie zarobić? Przecież było o wiele więcej bogatszych rodzin Andersonów. Lecz tamci nie dali nawet centa na jej utrzymanie. Cóż, on, Phil, nie będzie takim durniem. Gdy dorośnie, żadni bezużyteczni krewni nie będą wisieć u jego szyi. Jeśli nie będą mieli się za co utrzymać, wyśle ich do przytułku. Był pewien, że doktor Parsons zgodziłby się z nim — choć niezbyt lubił tego lekarza.

— Dziwne, jak bardzo panna Anderson przypadła do gustu temu staremu psu — odezwał się nagle doktor, by nawiązać jakąkolwiek rozmowę. Nie obchodził go Phil i na pewno nie zamierzał dyskutować z nim o teoriach Oslera.

Jakoś przez gardło nie przeszły mu słowa: „Dziwne, jak ten stary pies ją kocha”. Trudno było sobie wyobrazić, by nawet pies darzył uczuciem Ursulę Anderson. Toż to było wprost komiczne. Pewnie dawała mu jakieś kości.

— W ogóle nie opuszcza jej pokoju. Po prostu leży przy jej łóżku i się w nią wpatruje.

— Zawsze lubiła go mieć przy sobie, nawet gdy był jeszcze szczeniakiem — powiedział wuj Alec. — Chyba czuła się przy nim bezpiecznie. Przez większość swego życia była samotna.

— Cóż, nie mogliśmy nieustannie przesiadywać z nią w domu — powiedziała pani Anderson z rozdrażnieniem. — Czuła się wtedy całkiem nieźle, poza tym twierdziła, że nie potrzebuje towarzystwa.

624

— Wiem, wiem — powiedział wuj Alec uspokajającym tonem. — Wszyscy byliście bardzo dobrzy dla ciotki Ursuli, Aggie.

— Mam nadzieję — odparła pani Anderson nieco urażona. — My przynajmniej ją przysparzyliśmy, daliśmy jej dach nad głową, podczas gdy inni nawet nie zaprosili jej na tydzień do siebie, a byli z nią bliżej spokrewnieni niż nasza rodzina.

— Miała wielkie szczęście, że spędziła starość w tak porządnym domu — przymilał się doktor Parsons. — Pewnie niewiele pozostawi w spadku. — Myślał o zapłacie za swoje usługi.

— Nic nie pozostawi — odparła pani Anderson, wciąż urażona. — Odkąd tu zamieszkała, nie miała centa przy duszy. Trochę nas to zaskoczyło, przyznaję. Gdy pracowała jako krawcowa, musiała przecież zarabiać dość dużo. Co zrobiła z tymi pieniędzmi? Oto pytanie, które zadaje sobie od dawna rodzina Andersonów. Na pewno nic nie wydała na siebie. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek widziała ją ubraną w coś ładnego, nawet gdy byłam mała — ona była wtedy w średnim wieku... Chociaż ja wtedy, podobnie jak wszyscy młodzi ludzie — tu rzuciła karcące spojrzenie w stronę Emmy i Phila — uznawałam, że każdy o dziesięć lat starszy od mnie to istny matuzalem.

— A może gdzieś przechowywała te pieniądze? — zasugerował Phil. — Fajnie byłoby, gdybyśmy natrafili na jakiś kuferek lub rulon banknotów!

Pani Anderson, która już nieraz grzebała w rzeczach ciotki Ursuli, jedynie majestatycznie zmarszczyła brwi.

Jak można wygadywać takie rzeczy przy doktorze Parsonsie! Oczywiście on wszystko powtórzy Zoe Maylock, co oznacza, że łađa chwila dowie się cała wieś. Zostaną sami, to rozprawi się z Philem. Ale co to da, gdy stało się, co się stało?

— Może nie powinienem tego mówić, ale wydaje mi się, że pomagała bratu Willowi — powiedział wuj Alec, rzucając doktorowi spojrzenie pełne dezaprobaty. Być może lepiej było nie sugerować przy nieznajomym, że każdy z rodziny Andersonów miał problemy finansowe.

— Wiecie, miał dużą rodzinę i wciąż brakowało mu pieniędzy.

— W takim razie ktoś z jego rodziny powinien zaopiekować się ciotką Ursulą, a przynajmniej nas wspomóc — odburknęła pani Anderson.

Szybko się jednak opanowała. W domu przebywała przecież umierająca osoba. I doktor Parsons, czyli tak naprawdę Zoe Maylock. Zresztą po co wzywali doktora do ciotki Ursuli. Już żaden lekarz nie może jej pomóc.

Ale gdyby nie posłali po lekarza, dopiero by ludzie gadali!

O, tak, śmierć zawitała do starego domu, gdzie została powitana z przyjemnością, a najbardziej z jej przyjścia cieszyła się Ursula Anderson. Tak długo na nią czekała i wreszcie poczuła, że śmierć się zbliża. Co za radosna nowina. Wiedziała, że nikt nie zapłaci po jej odejściu, ale to nie miało znaczenia.

Pusty, zapuszczony pokój, który uznano za wystarczająco dobry dla ciotki Ursuli, wypełniały cienie, rzuca-

ne przez migotliwy świecznik, stojący na nocnej szafce przy łóżku. Ciotka Ursula pozwalała, by palono tu tylko świece. Lampy były niebezpieczne, a elektryczność wydawała jej się czymś zupełnie niezrozumiałym. Andersonowie odrobinę ogarnęli pokój, wiedząc, że przyjdzie lekarz, ale i tak wyglądał nędznie. Na sekretarzyku stał wazon z poblakłymi sztucznymi kwiatami, rzucając dziwne, egzotyczne cienie na nie wytapetowaną ścianę nad łóżkiem. Emmy była wdzięczna, że w końcu stało się coś, co zmusiło matkę do usunięcia wazonu z niszy w ścianie przy schodach. Słyszała, że podobno Zoe nabijała się z ludzi, którzy mieli sztuczne kwiaty.

Maggie McLean, która miała czuwać przy starej Ursuli, spała na krześle, tak jak podejrzewała Aggie Anderson. Maggie winna była małą przysługę Johnowi Andersonowi — w innym przypadku na pewno nie zgodziłaby się tu przyjść. Wiedziała, że jej nie zapłaci. Ależ podupadł ten ród Andersonów! Maggie była na tyle stara, by pamiętać czasy, gdy rodzina przeżywała swoją świetność. Pamięta nawet ten dziwny skandal przed pogrzebem Davida Andersona. Niewielu ludzi uwierzyło w to, co tam zaszło. Mówiono, że Clarissa Wilcox postradała zmysły i że Wilcoxowie zawsze nienawidzili Andersonów, więc nikt, z wyjątkiem Zuzanny Baker ze Złotego Brzegu, nawet tych pogłosek nie rozważał. Poza tym Blythe'owie wkrótce i ją zmusili do milczenia.

Maggie mogła uciąć sobie drzemkę. Ursula Anderson była nieprzytomna lub przejawiała resztki przytomności, więc Maggie nie mogła już nic dla niej uczynić. Ale oczywiście ktoś powinien czuwać przy zmarłym.

627

W pewnym sensie żal jej było starej Ursuli Anderson. Miała takie nudne życie.

Wiatr wył przeraźliwie w konarach starego świerku za oknem — wył i zawodził, a czasem nagle ryczał, po czym cichł, a wtedy słychać było padający deszcz. Czasem okno drżało, jakby coś próbowało niecierpliwie dostać się do środka.

Ursula Anderson leżała nieruchomo na łóżku. Można by pomyśleć, że już nie żyje, gdyby nie jej wielkie, zapadłe szare oczy. Przez wiele lat były przygaszone i zamglone, lecz teraz znów błyszczały, zdawały się dwoma ognikami zdobiącymi pergaminową skórę.

Szarą flanelową koszulę nocną miała zapiętą aż pod samą brzydką, pofałdowaną szyję. Na poduszce kosmyk siwych włosów, niesamowicie gęstych jak na Wiek Ursuli. Jej zmizerowane stare ciało spokojnie spoczywało pod wyblakłą narzutą i cienkimi kocami. Błede, splecione dłonie leżały na kołdrze.

Wiedziała, że umiera, że wszyscy chcieli, by odeszła jak najprędzej i nie ma nikogo, komu sprawi to przykrość. Może z wyjątkiem starego psa.

Chciałaby, aby położył się w łóżku obok niej, ale Maggie McLean nie pozwoliłaby na to. Czasami patrzyła w jego łagodne, stare ślepia — patrzyła długo i spokojnie, tak jak niegdyś. Cieszyła się, że umiera. I cieszyła się, że Maggie McLean śpi. Myślała teraz o całym swoim życiu, życiu, którym pogardzali ci czekający w saloniku na dole — wiedziała o tym doskonale. Nie zamieniłaby się z żadnym z nich. Od czasu do czasu śmiała się, prawie bezgłośnie, słabo. Nie chciała w końcu za żadne

628

skarby świata obudzić Maggie McLean. Maggie od razu narobiłaby zamieszania, chciałaby jej w czymkolwiek pomóc. A ona niczego nie chciała, z wyjątkiem jednego: pragnęła umrzeć w spokoju.

Jej ciałem co jakiś czas wstrząsały dreszcze.

Zdawała sobie sprawę, że zrobiła się bardzo brzydka, ale w młodości taka nie była, choć również nikt nie uważał jej za ładną. Uchodziła po prostu za „jedną z Andersonówien”, nie mogła poszczycić się urodą. Za to miała długie kruczoczarne włosy, łagodne, duże szare oczy, kremową cerę i śliczne dłonie. Tak, miała śliczne dłonie — często Larry jej to powtarzał; twierdził, że to najpiękniejsze dłonie, jakie kiedykolwiek widział, a widywał dłonie należące do królowych. Nikt oprócz niego nie zachwycał się nimi. Jej siostry uchodziły za ładne, ale miały pulchne ręce. Ludzie patrzyli tylko na twarz i sylwetkę. Teraz miała dłonie brzydkie — powykrzywiane i opuchłe od ciągłego szycia i z powodu wieku. Ale i tak wyglądały lepiej niż dłonie Maggie McLean.

Za młodu była raczej niska i drobna, nikt więc nie zwracał na nią uwagi, za to podziwiano jej żywiołowe, urodziwe siostry. Nigdy nie próbowała przyciągnąć czyjejś uwagi i rzeczywiście nie miała wielbiciela. Ale też nigdy go nie potrzebowała, choć nikt by pewnie w to nie uwierzył — a przynajmniej żaden z młodzieńców z Lowbridge, Glen St. Mary czy Mowbray Narrows nie zwrócił jej uwagi. Nie myśleli ani nie zachowywali się tak jak ona — pewnie nic by się pod tym względem nie zmieniło, nawet gdyby zechcieli z nią porozmawiać.

Ó2J

Całe dzieciństwo i młodość spędziła pod okiem matki; nie mogła mieć własnego zdania na żaden temat. Czasem myślała sobie, że byliby bardzo zaskoczeni, gdyby usłyszeli jej myśli. Zaskoczeni, a może wręcz zszokowani.

Nagle nastąpiła zmiana. Stare szare oczy pociemniały, po czym rozbłysły, gdy myślała o tamtych zdarzeniach. Jej ciotka Nan napisała list, w którym prosiła, by „jedna z dziewcząt” przyjechała do niej na rok, gdyż jej jedyna córka wyjechała jako misjonarka do Indii. Ciotka Nan mieszkała w odległej, niewielkiej wiosce rybackiej, służącej również za kolonię letnią. Była wdową, Ursula nigdy wcześniej jej nie widziała. Ale to właśnie ona miała tam pojechać, bo żadna z jej siostr nie zgodziła się, by spędzić rok w dziurze o nazwie Zatoczka Półksiężycy.

Ursula wybrała się w podróż z przyjemnością. Spodobały jej się opowieści o Zatoczce Półksiężycy, a także opowieści ojca o jego siostrze Nan. Ursula nabrała przekonania, że ciotka Nan okaże się inna niż pozostałe ciotki — była cicha i spokojna jak ona.

— Nan nie zagada człowieka na śmierć — powiedział kiedyś jej ojciec.

U ciotki Nan nie było wiele do roboty, więc większość czasu spędzała na wybrzeżu, pośród wydym. Letnisko znajdowało się o wiele dalej i rzadko kiedy wczasowicze zapuszczali się w te okolice. Ale to właśnie tam go poznała. Malował. Był gościem pewnej bogatej rodziny, która spędzała lato w następnej zatoczce, ale nigdy nie przychodzili do Zatoczki Półksiężycy — uważali, że nie ma tam nic atrakcyjnego.

630

Był młodym Anglikiem, artystą, przed którym światowa kariera stała otworem. Podobno jego starszy brat miał tytuł szlachecki i to pewnie dlatego zaproszono go do Lincolnow. Bo z pewnością nie interesowała ich sztuka.

Ale dla Ursuli był po prostu Larrym — jej ukochanym. Uwielbiała jego obrazy, a brat ze szlacheckim tytułem nic dla niej nie znaczył.

— Jesteś najbardziej niezwykłą istotą, jaką kiedykolwiek spotkałem — powiedział jej pewnego razu Larry. — Rzeczy, które tyle znaczą dla większości ludzi, dla ciebie zdają się zupełnie bezwartościowe. Czasem odnoszę wrażenie, że nie jesteś z tego świata.

Nigdy nie знаła kogoś tak czarującego, ani nawet nie marzyła o kimś takim. Pokochali się od pierwszego wejrzenia. Ursula wiedziała, że inaczej być nie może. Nie miała wątpliwości, że wcześniej już kochał wiele kobiet i był przez nie kochany, ale nie była zazdrosna. Był zbyt cudowny, by kochać zbyt długo jakąkolwiek kobietę, a już szczególnie kogoś tak niepozornego jak ona. Ale na razie kochał ją. Wiedziała o tym. Tego jednego, czarodziejskiego lata zakochał się w niej i nic nie mogło tego zmienić. Nikt w świecie, poza nią samą, o tym nie wiedział. Nawet cioci Nan nie przyznała się, że go zna. Nieświadoma stara Maggie McLean żałowała jej. Ale Maggie McLean przez nikogo nie była tak kochana. Aggie Anderson użalała się nad nią, ale Aggie nawet nie wiedziała, co to prawdziwa miłość. Wyszła za Johna, by nie zostać na zawsze starą panną. Myślała, że nikt o tym nie wie, a wiedzieli wszyscy, śmiejąc się za jej plecami.

Nikt natomiast nie znał sekretu Ursuli. Tego była pewna.

Zdawała sobie sprawę, że małżeństwo w ogóle nie wchodzi w rachubę. Myśl o tym nawet nie pojawiła się w jej głowie. Ani w jego. A jednak przez całe życie pamiętał małą Ursulę — wspominał ją, gdy piękne, olśniewające kobiety zalecały się do niego. W Ursuli było coś, czego nie odnalazł w innych. Czasem zdawało mu się, że właśnie z tego powodu pozostał kawalerem.

Oczywiście, nie mógł się z nią ożenić. Sam pomysł był absurdalny. Który to wielki artysta poślubił swoją kucharkę? A jednak... na łożu śmierci Sir Lawrence wspominał tylko Ursulę, nikogo innego, nawet nie księżnę Jak-jej-tam, która wyszłaby za niego, gdyby tylko to zasugerował.

Kochali się codziennie, w każdy delikatny, szmaragdowy wieczór i noc lśniąca kryształowym przepychem. Zapamiętała wszystkie te chwile. Mówił jej szalone, cudowne rzeczy — nie zapominała ani jednej, ani jednego z owych słów miłości wypowiedzianych wiele lat temu. Czy ktokolwiek mógłby powiedzieć coś takiego Maggie McLean pochrapującej na krześle? Jej włosy były teraz siwe i potargane. Pamięta jednak, jak wyjął z nich spinki i ukrył twarz w tych lśniących falach.

Przypominała sobie wschody księżyca, które obserwowali na odległych plażach, gdzie białą szczytki starych okrętów. Uwielbiał wietrzne noce, ale ona wołała spokojne. Nie uległy zapomnieniu zamglone wzgórza i tajemnicze wydmy, łodzie rybackie wpływające do za-
632

toki, a zwłaszcza jego czułe, pełne pasji słowa. Maggie McLean obraziłaby się, gdyby ktokolwiek tak do niej przemawiał. Biedna stara Maggie, pochrapuje sobie, nie zakosztowawszy życia. Jakże Ursula jej współczuje!

Uniosła na moment swe powykręcane dłonie, po czym pozwoliła im opaść z powrotem na koldrę.

Namałował jej dłonie chyba z setki razy — potem stały się sławne, choć nikt nie wiedział, a może nie zastanawiał się, do kogo należą. Nikt oprócz pogardzanej Ursuli Anderson nie znał tej tajemnicy. Nigdy nie znudził się chwaleniem jej dłoni.

— Każdy z tych słodkich paluszków należy ucałować — szeptał.

Tylko Ursula wiedziała, że ludzie podziwiali obecnie te palce w niezliczonych europejskich galeriach sztuki. Miała kolekcję jego drzeworytów; trzymała je w zniszczonym starym

pudełku, z którym się nigdy nie rozstawała. Nikt nie wiedział, z jakiego powodu. Ale nie zadawali pytań, wiedzieli, że Ursula jest dziwaczką. Jedyne raz niemalże pokłóciła się z Aggie Anderson, gdy podczas porządków Aggie zamierzała spalić pudełko. Przecież nie było w nim nic oprócz spłowiałych rysunków.

— Cóż ty w nich widzisz, Ursulo? — spytała. — Jeśli tak lubisz obrazki, to mamy kilka starych chromolito-grafii i wizerunków godeł, które możesz...

— Czy tam również widać takie dłonie? — wyszeptała Ursula.

Aggie Anderson wzruszyła ramionami i dała za wygraną. Ludzie w podeszłym wieku dziecinnieli. Trzeba

ÓSS

im ustępować. Dłonie, też coś. Większość kobiet była bardzo brzydka, mimo szlacheckich tytułów.

Skończyło się pamiętne lato. Zimny wrześnieowy wiatr zaczął hulać między niesamowitymi wydmy. Larry odjechał, obiecał pisać, ale nigdy nie przysłał żadnego listu. Bezlitosny los schwytał Ursulę za gardło. Czuła potrzebę, żeby o wszystkim opowiedzieć ciotce Nan.

Nikommu innemu nie odważy się zwierzyć. Nie może wrócić do domu, do pyszałkowej matki i ojca. Już lepiej wybrać się w nocy na wydmy i skończyć z tym wszystkim. Teraz jednak bardzo się cieszy, że się powstrzymała. Gdyby Larry się dowiedział, na pewno by go to zabolalo. Prędeż da się pociąć, niż przyczyni się do jego cierpienia.

Gdy minął pierwszy szok, ciotka Nan okazała się dla niej bardzo dobra. Współczuła Ursuli i o nic jej nie obwiniała.

— Powinnam się lepiej tobą zaopiekować — lamentowała. — Ale myślałam, że skoro jesteś z rodziny Andersonów... A ten drań cię zwodził i zostawił.

Ursula skrywała gniew na ciotkę Nan dla dobra Larry'ego. Wiedziała, że ciotka obwinia zupełnie innego mężczyznę. Dziwny ogień pojawił się w jej zmęczonych szarych oczach.

— Nikt mnie nie zwodził — powiedziała. — Nie jestem aż tak słaba. Wiem, co robiłam. I nie jest mi przykro. Nie jest mi przykro.

Ciotka Nan nie potrafiła tego pojąć. Jednak nie opuściła Ursuli w potrzebie. Zatrzymała ją przy sobie pod jakimś pretekstem i sprowadziła do domu zaufaną ko-

634

bietę, która była w stanie przyjąć poród. Dobre imię Andersonów musiało być uratowane.

Niewiele brakowało, a młoda kobieta zmarłaby przy porodzie — nawet ciotka Nan uważała, że tak byłoby lepiej — sama Ursula cieszyła się, że udało jej się przeżyć.

Urodziła dziewczynkę, która miała szare oczy po matce i złociste loki po Larrym. Państwo Burnleyowie z Charlottetown byli zamożni i od dawna pragnęli adoptować dziecko.

Ursuli zdawało się, że tego nie zniesie, ale dla dobra Larry'ego uległa. Chciała, by jego dziecko wychowywało się w dobrych warunkach. Powróciła do Lowbridge, jeszcze bardziej wyciszona i niepozorna. Andersonowie, którzy łudzili się, że przyjedzie zaręczona, nie przyjęli jej z otwartymi rękoma. Próbowali zeswatać ją ze starym wdowcem z Glen St. Mary, ale Ursuli wszyscy mężczyźni w porównaniu z Larry'm wydawali się niezdolni lub prostacy. Na szczęście odnalazła w swym życiu pewną słodycz, której nikt by nie podejrzewał. Nie martwiła się już brakiem zainteresowania ze strony mężczyzn. Jej daleki kuzyn, potrzebując asystentki, zaproponował, że nauczy ją krawiectwa, i ku zaskoczeniu wszystkich Ursula odkryła w sobie talent do szycia.

Często wychodziła z domu, by szyć u klientów, i nieraz zaglądała do Burnleyów. Pani Burnley uważała, że nikt nie potrafił tak dopasować sukienki jak Ursula Anderson. Ursula widziała często małą Isabel (pani Burnley nadała jej swoje imię). Obserwowała, jak dorasta i jak z pulchnego maleństwa przemienia się w ślicz-

ÓSÓ

nią dziewczynę. Czasami tak podobna była do Larry'ego, że serce Ursuli wyrывало się z piersi. Miała podobny głos i podobne gesty. Ursula nigdy nie dojrzała w córce podobieństwa do siebie, może z wyjątkiem oczu. Mała była piękna i czarująca, dokładnie taka, jaka powinna być córka Larry'ego. Burnleyowie wprost ją ubóstwiali i niczego jej nie żalowali. Większość sukienek uszyła jej Ursula. Gdy dokonywała przymiarek, czasem jej palce dotykały skóry dziewczyny, a wtedy Ursula czuła się niemal tak, jakby dotykała Larry'ego.

Isabel ją lubiła.

— Myślę, że ta małomówna, dziwna krawcowa naprawdę mnie kocha — mówiła. — Nigdy mi tego nie powiedziała, oczywiście, ale czasem widzę, jak na mnie patrzy. W taki niesamowity sposób, zupełnie jakbym do niej należała.

— Biedactwo, tak niewiele ma z życia — odpowiadała pani Burnley. — Jej własna rodzina w ogóle się o nią nie troszczy. Bądź dla niej tak dobra, jak tylko potrafisz, Isabel. Jednej tylko rzeczy Ursula nie mogła znieść: gdy słyszała, jak Isabel mówi do pani Burnley „mamo”. Wtedy czuła się tak, jakby ktoś rozrywał jej duszę na kawałki. W tych momentach nienawidziła pani Burnley i jednocześnie czuła odrazę do samej siebie za tak negatywne uczucia względem osoby, która przecież była taka dobra dla jej córki. Tak czy siak Ursula niczego nie dawała po sobie poznać. Pani Burnley nawet przez ułamek sekundy nie domyślała się prawdziwych uczuć krawcowej. Uważała wręcz, że nie ma ona żadnych uczuć.

ÓS6

W końcu jednak Isabel wyszła za mąż. Burnleyowie byli zadowoleni z zięcia, choć cierpieli z powodu rozstania z nią. Jej wybranek był przystojnym mężczyzną, pochodził z dobrej rodziny i był bogaty. Wszyscy sądzili, że Isabel się poszczęściło. Oczywiście, po okolicy krążyły pewne plotki... ale o bogatych młodzieńcach, którzy lubią się zabawić, zawsze snuje się niezliczone opowieści. Pani Burnley uważała, że tacy mężczyźni po prostu muszą się wyszaleć. Gdy tylko ożeni się z Isabel, Geof-frey Boyd się usatkuje. Nie miała co do tego wątpliwości. Przecież jej mąż w młodości był strasznym lekko-duchem, a proszę, jakim wzorowym mężem się okazał.

Ursula przygotowała prawie całą wyprawę ślubną, łącznie z koronkowymi bibelocikami. Nie dawało jej to jednak ani zadowolenia, ani spokoju. Nie podobał jej się ten Geoffrey Boyd. Oczywiście, Isabel była w nim zakochana po uszy, Ursula zaś zdawała sobie sprawę, że mało który młody człowiek mógł uchodzić za świętego — nawet Larry nie stanowiłby dla innych wzoru. Ale chodziło o co innego. Nie podobało jej się coś w samym Geoffreju Boydzie, coś, co budziło jej niepokój. Isabel wprost promieniała szczęściem, więc Ursula po prostu starała się stłumić swoje obawy i cieszyć się radością córki.

Pozwolono jej pomóc Isabel w ubraniu się do ślubu. Isabel z pewnym rozbawieniem obserwowała, jak starej pannie Anderson drżą ręce. Ursula zawsze była dla Isabel „starą panną Anderson”, mimo że miała wtedy zaledwie czterdzieści lat. Isabel była bardzo zadowolona z krawcowej, postanowiła więc, że będzie dawać jej tyle

637

zleceń, ile to tylko możliwe, mimo że w sklepach zaczęło się pojawiać coraz więcej gotowych sukien, a krawiectwo przestawało być tak popularne jak niegdyś.

Dlatego w ciągu następnych czterech lat Ursula często bywała w domu Isabel. To były lata prawdziwych tortur. Obserwowała bowiem, jak miłość Isabel zmienia się z pełnej pasji adoracji najpierw w strach, przerażenie, a w końcu najgorsze: w nienawiść.

Geoffrey Boyd znudził się żoną w ciągu roku i nawet nie próbował tego ukrywać. Zdradzał ją w jawny sposób, wszyscy o tym wiedzieli, a w dodatku był dla niej diabelnie okrutny. Czasem zdawało się, że jedyną przyjemność czerpał z zadawania jej bólu. I zawsze zanosił się głośnym, koszmarnym rechotem, gdy robił coś okropnego lub mówił przykre słowa, przy czym dbał o to, by nikt, może z wyjątkiem tej przygłupiej Anderson, go nie słyszał.

Burnleyowie wiedzieli, że małżeństwo okazało się porażką, ale nie chcieli tego głośno przyznać. W tamtych czasach takie sprawy były najgłębiej ukrywane. Poza tym bogactwo wynagradzało wiele utrapień.

Ursula nienawidziła Boyda tak bardzo, że wydawało jej się wręcz, iż jej nienawiść stała się namacalna i ciągle jej towarzyszy. Mimo że Ursula była dla niego nikim, on, czując jej nienawiść, starał się pozyskać jej sympatię i przy każdej nadarzającej się okazji posyłał krawcowej łagodny, przymilny uśmiezek.

Nieustannie była zbulwersowana tym, co się działo w domu Boydów, ale nie mogła wydusić z siebie ani słowa protestu. Pewnie tylko dlatego Geoffrey Boyd pozwalał, by Isabel ją przyjmowała. Nie obawiał się zanadto

638

tęgo, co mogłaby powiedzieć krawcowa. Ale z kolei klan Andersonów pełen był zapalonych plotkarzy i chociaż ta cała Ursula miała nie po kolei w głowie, to kto wie, czy, gdy zechce, nie powtórzy ludziom tego lub owego. Burnleyowie byli natomiast wciąż bogaci — a przynajmniej tak to wyglądało. Geoffrey Boyd miał więc wystarczające powody, by żyć z nimi w zgodzie. Był tak ujmująco uprzejmy dla Isabel w ich towarzystwie, że ci nie wierzyli w krążące na jego temat plotki.

Sześć lat po ślubie Isabel wyszło na jaw, że Burnleyowie stracili większość majątku. Niemal natychmiast Boyd postanowił rozwieść się z Isabel, oczywiście pod wymyślonym pretekstem, pozywając do sądu jakiegoś mężczyznę z miasta.

Rozwód w tamtych czasach to była prawdziwa tragedia. W dodatku wszyscy wiedzieli, że Isabel jest adoptowana. „Krew prawdę powie”, mówili, spoglądając znacząco. Wszyscy uwierzyli w stawiane jej zarzuty, wszyscy z wyjątkiem Ursuli Anderson. Jakimś sposobem Isabel czuła, że stara krawcowa zawsze stanie po jej stronie.

Geoffrey oznajmił Isabel, że jeśli będzie walczyć w sądzie o swe dobre imię, on wyjedzie z ich synem. Ursula przeczuwała, że i tak zabierze chłopca, byle tylko sprawić przykrość żonie, choć wcale dziecka nie kochał. Nigdy nawet nie udawał miłości. Mały Patrick był delikatnym dzieckiem, a Geoffrey Boyd nie miał cierpliwości do chorowitych dzieci. Raz spytał Isabel, czy Patrick odziedziczył wątłe zdrowie po jej ojcu czy po matce. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Isabel zawsze miała kompleksy z powodu tego, iż była adoptowanym dzie-

639

kiem, nie przepuszczał więc okazji, by jej dopiec. Przed laty zaś, gdy się dopiero do niej zalecał, wmawiał jej, że dzięki adopcji jest bliższa jego sercu.

„A może — myślała Ursula — powinnam mu powiedzieć, że jej ojcem był wielki artysta, sir Lawrence Ainsley”.

„Popatrzcie, co też wygaduje ta stara ropucha”, tak pewnie odpowie albo jeszcze gorzej.

Burnleyowie wpadną w furję. Ciotka Nan już niestety nie żyła, więc nie ma nikogo, kto mógłby potwierdzić, że Ursula była kochanką wielkiego malarza. Postanowiła, że nie dopuści do rozwodu. Wymyśli jakiś sposób.

Pewnego dnia szła w jednym z pokoi na górze, kiedy Geoffrey Boyd wrócił do domu pijany i bezlitośnie zaczął bić Patricka w bibliotece. Isabel klęczała przy drzwiach, zawodząc straszliwie. Ostatnim razem, gdy Geoffrey wrócił pijany, powiesił swojego teriera w stajni i zachłostał go na śmierć. Czy zabije również Patricka?

Gdy wyszedł z biblioteki, a płaczący chłopiec podbiegł do matki, powiedział do żony:

— Gdy już będę mieć Patricka tylko dla siebie — a stanie się to prędzej czy później, moja droga — codziennie będzie dostawał nauczkę. Wychowałam go na mięczaka. Ja zrobię z niego mężczyznę. A może twój ojciec był pastorem, jak sądzisz?

Ursula w czasie awantury nie przestawała szyc w milczeniu. Nie pomyliła ani jednego szwu. Nawet Isabel wydawało się wówczas, że Ursula nie ma uczuć. Ale gdy Geoffrey zaczął wchodzić na górę po schodach,

ona już na niego czekała u ich szczytu. Isabel zabrała Patricka do jego pokoju. Nikogo nie było w pobliżu. Oczy krawcowej błyszczały złowieszczo, a jej drobna, niepozorna sylwetka, odziana w prostą czarną suknię, była cała rozedrgana.

— Zjeżdżaj mi z drogi, do diabła — syknął Geoffrey. — Zawsze stałaś po jej stronie.

— Bo jestem jej matką — powiedziała Ursula. — A jej ojcem jest Sir Lawrence Ainsley. Geoffrey wybuchnął pijackim śmiechem.

— A czemu nie król Anglii? — warknął. — Ty matką kogokolwiek?! — wykrzyknął po chwili, po czym dorzucił przekleństwo, zbyt ordynarne, by je tu przytoczyć.

Ursula wyciągnęła przed siebie ręce, wciąż piękne mimo ciężkiej pracy, ręce, po których całował ją Larry i które malował, dłonie, które tak podziwiano na jednym z jego portretów przedstawiających włoską księżniczkę.

Ursula mocno pchnęła chwiejącego się Geoffreya. Zrobiła to specjalnie, wiedziała, czym to się skończy, była świadoma konsekwencji. Nie troszczyła się także

o to, czy zostanie za swój uczynek powieszona, czy nie. Nic nie miało znaczenia z wyjątkiem uratowania Isabel

1 Patricka.

Geoffrey Boyd runął ze schodów, uderzając o marmurową podłogę. Ursula patrzyła na jego ciało przez kilka chwil, triumfując. Nie czuła się tak od czasu, gdy Larry po raz pierwszy powiedział, że ją kocha.

Geoffrey Boyd leżał na dole przeraźliwie powykręcany. Czuła, że złamał sobie kark. W całym domu zaległa cisza. Po paru sekundach wróciła do pokoju i zaczęła

64 Y

żyć dalej, jakby nigdy nic. Opanował ją spokój. Isabel była bezpieczna.

Nikt nie postawił Ursuli zarzutów. Ciało Geoffreya znalazła pokojówka i narobiła wrzasku.

Następnie rozpoczęły się zwykłe formalności. Podczas przesłuchania Ursula zeznała, że niczego nie słyszała. Podobnie jak reszta domowników. Nikogo nie zdziwił fakt, że Geoffrey Boyd wrócił do domu pijany, bo — jak się okazało — zdarzało mu się to dość często. To był jedyny pikantny szczegół podczas raczej nudnego śledztwa. Najwyraźniej denat potknął się na schodach i spadł z nich. Ludzie byli zdziwieni, że stało się to dopiero teraz. Powinien umrzeć dawno temu. Szkoda tylko, że jednak nie będzie rozwodu. W czasie procesu mogłoby wyjść na jaw wiele pikantnych szczegółów. Burnleyowie na pewno odetchnęli z ulgą, chociaż wszyscy żalowali, że nie mogą cieszyć się z nauczki, jaką dostali za adopcję dziecka, o którym nic nie wiedzieli — albo przynajmniej utrzymują, że nic nie wiedzą. Dziwne jednak, że Isabel wyrosła na kobietę zaskakująco podobną do matki Jamesa Burnleya!

Jeśli zaś chodzi o Ursulę Anderson, to nikt o niej nie dyskutował, może z wyjątkiem wzmianki, że będzie jej brakować prac krawieckich u Boydów.

Najgorsze kłopoty Isabel miała za sobą. Ale okazało się, że została prawie bez grosza.

Państwo Burnleyowie zmarli jedno po drugim, w ciągu tygodnia — nie, nie, nie było mowy o samobójstwie lub czymś równie okropnym. Pani Burnley zapadła na zapalenie płuc, a pan Burnley cierpiał od dawna na jakąś przewlekłą chorobę. Pozosta-

642

wili po sobie tylko długi. No ale tak to już bywa z tymi, co mierzą wyżej, niż należy.

Isabel i Patrick zamieszkali w chatce w Charlotte-town. Wyglądało to tak, jakby młoda wdowa spadła w drabinie społecznej o kilka szczebli. Geoffrey Boyd przepuścił prawie całą swoją fortunę. Ale mimo że musiała teraz zaciskać pasa, Isabel była z Patrickiem o wiele szczęśliwsza niż w ubiegłych latach.

Ursula co miesiąc wysyłała córce trochę pieniędzy. Isabel nie miała pojęcia, od kogo je dostaje, podejrzewała, że od starej ciotki Geoffreya, która ją chyba polubiła. Przestała

widywać Ursulę Anderson, a przynajmniej — nie zauważała jej. Za to Ursula widywała ją bardzo często.

Gdy Ursula miała pięćdziesiąt lat, trzydziestoletnia Isabel wyszła ponownie za mąż za bogatego mężczyznę i przeprowadziła się do Stanów Zjednoczonych. Ursula śledziła jej karierę w gazetach i szyla cudowne ubranka dla jej dzieci — wnuków Larry'ego. Isabel była dość przywiązana do starej poczciwej krawcowej, za każdym razem wysyłała jej listy z podziękowaniami, chciała jej nawet płacić za ubrania, ale Ursula nie przyjmowała ani centa. Po wyjeździe Isabel Ursula nie miała wielu zleceń. Tak często pracowała dla niej, że straciła większość klientów. Ale jakoś wiązała koniec z końcem, aż stuknęła jej siedemdziesiątka. Wtedy jej bratanek, John Anderson, przygarnął ją — podobno przy sprzeciwie reszty rodziny. Isabel już wtedy nie żyła, podobnie jak Sir Lawrence. Ursula przeczytała ich nekrologi w gazetach. Bardzo się

tym nie przejęła. To wszystko działo się dawno temu, stali się dla niej już właściwie obcymi ludźmi. Nie byli już Larrym i Isabel, których znała.

Wiedziała, że drugie małżeństwo Isabel było szczęśliwe, z czego bardzo się cieszyła. Dobrze było umrzeć w kwiecie wieku, nim na człowieka zaczęły opadać cienie.

Jeśli zaś chodzi o Sir Lawrence'a, osiągnął międzynarodową sławę. Jednym z najwspanialszych jego dzieł — o czym przeczytała w gazetach — były freski na ścianach wielkiego kościoła. Wszyscy podziwiali piękno dłoni Marii Dziewicy na owych malowidłach. „Tak, warto było przeżyć wszystkie te lata — pomyślała stara Ursula, gdy Maggie McLean wciąż głośno chrapała, a stary pies wiercił się niespokojnie, jakby wyczuwał obecność Boga. — Niczego nie żałuję. Nawet zabójstwa Geoffreya Boyda. Człowiek powinien żałować za swe grzechy w chwili śmierci, lecz ja nie żałuję. Zabicie go było naturalnym odruchem — tak jakbym pozbyła się jadowitego węża. Ależ wicher dmie! Larry zawsze kochał wiatr... Ciekawe, czy słyszy go z grobu. Pewnie ci na dole w bawialni użalają się nade mną. Głupcy! Głupcy! Miałam dobre życie. Przeżyłam szczęśliwe chwile. Czy oni mogą się pochwalić tym samym? Nikt nie kochał Aggie tak, jak Larry kochał mnie — nikt jej w ogóle nie kochał. I nikt nie kochał biednego Johna. Owszem, wszyscy mną pogardzali. Ale ja przynajmniej żyłam! O, tak, żyłam, a oni wcale... Przynajmniej nikt z mojego pokolenia. Zgrzeszyłam — tak osądziliby mnie ludzie. Byłam morderczynią — oskarżiliby mnie”.

644

tym nie przejęła. To wszystko działo się dawno temu, stali się dla niej już właściwie obcymi ludźmi. Nie byli już Larrym i Isabel, których znała.

Wiedziała, że drugie małżeństwo Isabel było szczęśliwe, z czego bardzo się cieszyła. Dobrze było umrzeć w kwiecie wieku, nim na człowieka zaczęły opadać cienie.

Jeśli zaś chodzi o Sir Lawrence'a, osiągnął międzynarodową sławę. Jednym z najwspanialszych jego dzieł — o czym przeczytała w gazetach — były freski na ścianach wielkiego kościoła. Wszyscy podziwiali piękno dłoni Marii Dziewicy na owych malowidłach. „Tak, warto było przeżyć wszystkie te lata — pomyślała stara Ursula, gdy Maggie McLean wciąż głośno chrapała, a stary pies wiercił się niespokojnie, jakby wyczuwał obecność Boga. — Niczego nie żałuję. Nawet zabójstwa Geoffreya Boyda. Człowiek powinien żałować za swe grzechy w chwili śmierci, lecz ja nie żałuję. Zabicie go było naturalnym odruchem — tak jakbym pozbyła się jadowitego węża. Ależ wicher dmie! Larry zawsze kochał wiatr... Ciekawe, czy słyszy go z grobu. Pewnie ci na dole w bawialni użalają się nade mną. Głupcy! Głupcy! Miałam dobre życie. Przeżyłam szczęśliwe chwile. Czy oni mogą się pochwalić tym samym? Nikt nie kochał Aggie tak, jak Larry kochał mnie — nikt jej w ogóle nie kochał. I nikt nie kochał biednego Johna. Owszem, wszyscy mną pogardzali. Ale ja przynajmniej żyłam! O, tak, żyłam, a oni wcale... Przynajmniej nikt z mojego pokolenia. Zgrzeszyłam — tak osądziliby mnie ludzie. Byłam morderczynią — oskarżiliby mnie”.

tym nie przejęła. To wszystko działo się dawno temu, stali się dla niej już właściwie obcymi ludźmi. Nie byli już Larrym i Isabel, których znała.

Wiedziała, że drugie małżeństwo Isabel było szczęśliwe, z czego bardzo się cieszyła. Dobrze było umrzeć w kwiecie wieku, nim na człowieka zaczęły opadać cienie.

Jeśli zaś chodzi o Sir Lawrence'a, osiągnął międzynarodową sławę. Jednym z najwspanialszych jego dzieł — o czym przeczytała w gazetach — były freski na ścianach wielkiego kościoła. Wszyscy podziwiali piękno dłoni Marii Dziewicy na owych malowidłach. „Tak, warto było przeżyć wszystkie te lata — pomyślała stara Ursula, gdy Maggie McLean wciąż głośno chrapała, a stary pies wiercił się niespokojnie, jakby wyczuwał obecność Boga. — Niczego nie żałuję. Nawet zabójstwa Geoffreya Boyda. Człowiek powinien żałować za swe grzechy w chwili śmierci, lecz ja nie żałuję. Zabicie go było naturalnym odruchem — tak jakbym pozbyła się jadowitego węża. Ależ wicher dmie! Larry zawsze kochał wiatr... Ciekawe, czy słyszy go z grobu. Pewnie ci na dole w bawialni użalają się nade mną. Głupcy! Głupcy! Miałam dobre życie. Przeżyłam szczęśliwe chwile. Czy oni mogą się pochwalić tym samym? Nikt nie kochał Aggie tak, jak Larry kochał mnie — nikt jej w ogóle nie kochał. I nikt nie kochał biednego Johna. Owszem, wszyscy mną pogardzali. Ale ja przynajmniej żyłam! O, tak, żyłam, a oni wcale... Przynajmniej nikt z mojego pokolenia. Zgrzeszyłam — tak osądziłoby mnie ludzie. Byłam morderczynią — oskarżyliby mnie”.

— Ale żyłam!

Wypowiedziała ostatnie słowa z taką siłą i tak głośno, że aż Maggie McLean podskoczyła i zaniepokojona spojrzała w stronę łóżka. Obudziła się akurat w porę

— pocziwa stara Ursula umierała. Jej oczy błyszczały jeszcze chwilę lub dwie, gdy reszta ciała znieruchomiała na wieki. Było w nich coś młodzieńczego, jakaś triumfująca siła. Stary pies uniósł łeb i wydał z siebie smutny skowyt.

„Dzięki Bogu, że nie spałam — pomyślała Maggie.

— Andersonowie nigdy by mi nie wybaczyli, gdybym przespała jej śmierć”.

— Zamknij się, stary kundlu! Przyprawiasz mnie o ciarki.

„Hmm, staruszka wygląda jakoś inaczej niż za życia. Cóż, wszyscy prędzej czy później pomrzemy. Nie sądzę jednak, że żałoba po biednej Ursuli potrwa długo. Ona zawsze była taka... bez życia. Dziwne, bo większość Andersonów miała w sobie dużo animuszu, choć brakowało im za to innych rzeczy”.

Maggie zeszła na dół, po drodze wyrównując pomięte ubranie.

— Odeszła — oznajmiła poważnym tonem. — Umarła spokojnie, niczym zapadające w sen dziecko.

Wszyscy starali się nie wyglądać na takich, którym ulżyło. Aggie trąciła Johna łokciem, by się przebudził. Doktor Parsons wstał z krzesła, po czym starał się nie wyglądać na aż tak ożywionego.

— Cóż, przeżyła swoje lata... — „Dziękuję za takie życie!”, dodał w myślach. — Jeśli państwo sobie życzą,

«

w drodze powrotnej wstąpię do przedsiębiorcy pogrzebowego i poproszę, by tu przybył.

Przypuszczam, że chcielibyście, aby uroczystość była... jak najskromniejsza?

Ledwo powstrzymał się od powiedzenia „najtańsza”. Ależ by palnął gafę! Wystarczyłoby do zrujnowania jego kariery. Ale czy Blythe lub Parker w ogóle zaproponowałiby, że sami sprowadzą przedsiębiorcę pogrzebowego? Na pewno nie oni. Liczyły się właśnie te drobne rzeczy. Za dziesięć lat przejmie większość ich pacjentów.

— Dziękuję panu — powiedziała poważnym tonem Aggie.

— To bardzo miłe z pańskiej strony — dodał John, który ku swemu zaskoczeniu pomyślał, że będzie mu brakować ciotki Ursuli.

Nikt nie był w stanie załatać dziury tak jak ona. Ale w końcu szyla przez całe swoje życie. Nie umiała robić nic innego. Dziwne, gdzie podziały się wszystkie zarobione przez nią pieniądze.

Doktor wyszedł. Deszcz przestał padać, a księżyc momentami ukazywał się pomiędzy pędzącymi chmurami. Parsons dzisiaj już nie spotka się z Zoe, ale może jutro... O ile jakaś nieszczęsna kobiecina nie postanowi rodzić dziecka. Pomyślał sobie o pięknej, tętniącej życiem Zoe, a potem o martwej starej Ursuli Anderson leżącej w swoim pokoju we flanelowej koszuli nocnej.

Czy kiedykolwiek żyła?

— A nie mówiłem, że umrze wraz z odpływem? — triumfował wuj Alec. — Wy, młodzi, na niczym się nie znacie.

• M

w drodze powrotnej wstąpię do przedsiębiorcy pogrzebowego i poproszę, by tu przybył. Przypuszczam, że chcielibyście, aby uroczystość była... jak najskromniejsza?

Ledwo powstrzymał się od powiedzenia „najtańsza”. Ależ by palnął gafę! Wystarczyłaby do zrujnowania jego kariery. Ale czy Blythe lub Parker w ogóle zaproponowałiby, że sami sprowadzą przedsiębiorcę pogrzebowego? Na pewno nie oni. Liczyły się właśnie te drobne rzeczy. Za dziesięć lat przejmie większość ich pacjentów.

— Dziękuję panu — powiedziała poważnym tonem Aggie.

— To bardzo miłe z pańskiej strony — dodał John, który ku swemu zaskoczeniu pomyślał, że będzie mu brakować ciotki Ursuli.

Nikt nie był w stanie załatać dziury tak jak ona. Ale w końcu szyla przez całe swoje życie. Nie umiała robić nic innego. Dziwne, gdzie podziały się wszystkie zarobione przez nią pieniądze.

Doktor wyszedł. Deszcz przestał padać, a księżyc momentami ukazywał się pomiędzy pędzącymi chmurami. Parsons dzisiaj już nie spotka się z Zoe, ale może jutro... O ile jakaś nieszczęsna kobiecina nie postanowi rodzić dziecka. Pomyślał sobie o pięknej, tętniącej życiem Zoe, a potem o martwej starej Ursuli Anderson leżącej w swoim pokoju we flanelowej koszuli nocnej.

Czy kiedykolwiek żyła?

— A nie mówiłem, że umrze wraz z odpływem? — triumfował wuj Alec. — Wy, młodzi, na niczym się nie znacie.

WIECZÓR CZWARTY

KANADYJSKI ZMROK

Na zachodzie niebo czerwienieje, Gwiazdy użyczają swego blasku, Wydmy toną w szarym, mglistym mroku, Srebrne cienie kładą się na piasku. Patrz, mak wodny na powierzchni stawu, Czule tulą go zielone trawy.

U stóp wzgórza topole prastare Szumią o dawnych czasach i świętach, Leśnych mężów, co w północnych puszczach Wiedli życie — drzewo to pamięta. Jeszcze nie wiesz, lecz las Ci opowie, Że mieszkają w nim wciąż ci mężowie.

Ale wabią nas groźne ciemności, Aby pobiec tam, gdzie drzewa, trzciny, Przyzywają nas pachnące zioła, Pełne świerków uśpione doliny. I choć kusi wielobarwna zorza, Ja wybieram drogę nad brzeg morza.

c547

A tam w porcie czekające statki, Cichy szelest chłodnej morskiej fali, Tylko jedną z łodzi niczym zjawę blask księżyca oświećla w oddali. I nim słońca ciepło ją ogrzeje, Ja przesyłam jej moją nadzieję.

Walter Blythe

RILLA BLYTHE: — Walter opisuje czarodziejski urok wybrzeża. Ale wydaje mi się, że bardziej lubił lasy. Ileż wieczorów spędziliśmy wspólnie! A potem to tragiczne rozstanie! Czuję jednak, że jego dobre serce i jego nadzieja są wciąż przy mnie, choć koszarne wspomnienie dnia, w którym otrzymaliśmy wieści o jego śmierci, czasem mnie przytłacza. A teraz Gilbert wstąpił do sił lotniczych i znowu muszę czekać! Jakże poezje Waltera denerwowały biedną Zuzannę! Gdy myślę o Walterze, zaczynam niemal mieć wyrzuty sumienia z powodu radości, jaką czułam, gdy powrócił Ken. Ale nie wiem, co zrobiłabym, gdybym miała go już nigdy nie ujrzeć. Nie potrafiłabym być tak dzielna jak Una.

NA SPACER Z WIOSNĄ

Wyruszam dziś na spacer z wiosną, Majowe kwiaty u stóp mych rosną. Starzy bogowie tańczą z nami, Z majem i wiosną, nad łakami. A my przed siebie podążymy, Tajemne łuny zobaczymy,

648

Gdzie chochlik zdradzi tajemnice I dzikie drzewa nas zachwycą. A leśne driady pośród kwiatów Powiodą nas ku dziwnym światom.

I zobaczymy nagle czary, Którym nie dalibyśmy wiary... Dostrzeżesz w trawie srebrne lśnienie I skuszą Cię tajemne cienie. Leśnego cichy szum strumyka Niczym magiczna brzmi muzyka, A pośród dzikich drzew olszyny Srebrzą się zwoje pajęczyny. I sosna zdradzi nam zaklętą Coś, czego nikt już nie pamięta.

Chodź spotkać wiosnę i przygodę. Czy dziś wybierzesz polną drogę, Czy tam gdzie ciemne są doliny? Niezwykły toast dziś wznosimy: Za zdrowie wiatru i radości, Za wiecznie piękny świat młodości, Za pieśni, które niesie echo, Za czysty dźwięk zdrowego śmiechu, Za świat wiosennym tchnący czarem

— wiosna niezwykłą daje wiarę. *

Walter Blythe

DR GILBERT BLYTHE: — O tak, wiosną człowiek jest w stanie uwierzyć we wszystko. Pamiętam tę odległą już wiosnę, gdy wierzyłem, że mimo wszystko zdobędę twoje względy, Aniu.

64

KUBA BLYTHE: — Rany, tato! Chcesz powiedzieć, że nie byłeś pewien, czy zdobędziesz względy mamy?

DR GILBERT BLYTHE: — Ech, wy młodzi nie wiecie wielu rzeczy na temat czasów młodości mojej czy waszej mamy. Niełatwo mi było ją zdobyć, o tym mogę was zapewnić.

ZUZANNA BAKER: — Nawet wiosną trudno byłoby mi uwierzyć, że pani doktorowa mogłaby nie chcieć za męża pana doktora. Gdybym to ja była młodą dziewczyną i taki mężczyzna jak doktor Blythe choćby raz spojrzał na mnie... (Kręci głową, myśląc, jak dziwny jest ten świat).

DR GILBERT BLYTHE: — Ania czasami w ogóle się do mnie nie chciała odezwać!

ANIA BLYTHE: — Ten wers powinien brzmieć: „Młodość niezwykłą daje wiarę” (wzdycha).

DR GILBERT BLYTHE: — Zgadza się z tobą. Straciliśmy syna, Aniu, jak wielu innych rodziców, lecz zachowaliśmy wspomnienia o nim. A dusze są nieśmiertelne. Wciąż wiosną możemy spacerować w towarzystwie Waltera.

SMUTEK

Dzisiaj o świecie przed moim progiem Przystanął smutek, jakby był wrogiem, Przyszedł
znienacka, we mgle i mroku Zabrał mi radość, przegonił spokój. I nic nie przyniósł mi na
osłodę I nagle zewsząd powiało chłodem. Choć tak wierzyłam, że cud się stanie, Wiedziałam,
że on dłużej zostanie.

ÓÓÓ

Gdy do kościoła pobiegłam rankiem, Czułam, jak wiernie czeka pod gankiem, A gdy
wieczne gasło ognisko, Czułam, że smutek jest bardzo blisko. I gdy nie znikał z mojego
domu, Tak bardzo chciałam, by ktoś mi pomógł.

Teraz nie cieszą mnie skrzypiec dźwięki, Bo dni mijają w smutku i lęku. Nie czuję kwiatów
cudnych zapachów, Tylko woń smutnej grozy i strachu. I słonecznego nie czuję żaru, Jakby
świat stracił połowę czaru. I jakby prysły wszelkie marzenia, Smutek wypełnił moje istnienie.
A choć tak tęsknię do dawnej siebie, Do słońca blasku i gwiazd na niebie, Smutek niechciany
pod dach przyjęłam, To, co mi przyniósł, jak prezent wzięłam. I połączyła nas jakaś bliskość,
On wiedział o mnie, ja — o nim wszystko. I choć uśmiechu dał mi niewiele, To został smutek
mym przyjacielem...

Lecz niczym w baśni zegar wybija Północ — i nagle smutek przemija, I nagle wszystko
dziwnie się zmienia, Jakby wracały dawne marzenia. Lecz sama nie wiem, zerkając w lustro,
Dlaczego w sercu nagle tak pusto. Bo w głębi serca łkam po cichutku: „Proszę, nie odchodź,
niechciany smutku”.

Ania Blythe

Sól

ANIA BLYTHE, wzdychając: — Napisałam ten wiersz lata temu, po śmierci Mateusza. Od
tamtego czasu nauczyłam się jednak, że niekiedy smutek potrafi być wierny...

UNA MEREDITH: — O, tak.

ZUZANNA BAKER, wracając z ogrodu, myśli: „Ciekawe, czemu oni wszyscy mają takie
poważne miny. Pewnie rozmyślają o śmierci Waltera. Zawsze podejrzewałam, że Una była w
nim zakochana. Na kolację upiekę babeczki... To powinno ich rozweselić”.

POKÓJ

Ten pokój należy do duchów, W kominku ogień się żarzy, A w lustrach cień się odbija
Zamglonych i bladych twarzy.

Młody kochanek wciąż tęskni, Kocha wytrwale i skrycie, A ból, co dręczy go stale, Zniknie
nad ranem, o świecie.

Hiszpańska młoda dziewczyna Wie, czym jest ból i tęsknota, Samotność zżera jej duszę,
Zabija ją ta zgryzota.

Skąpiec przelicza swe złoto, Nad księgą tkwi w samotności I wzdycha wciąż niespokojny,
Więzień swej własnej chciwości.

662

I ta, którą zżera nienawiść I która nie umie przebaczyć, Nieszczęście jej świat ogarnęło, Choć
mogła się wyrwać z rozpacz.

Bo duchów szczęśliwych, spokojnych Nie spotkasz w tym cichym pokoju, Tu zjawy wracają
w rozpacz. We łzach, w wielkim smutku i znoju.

Powietrze tu pachnie kłamstwami, Okrutnym szyderstwem i drwiną. I ściany są pełne
okrucieństw, Bo znają i gorycz, i kpinę.

Czy ktoś by uwierzył, że tutaj, W pokoju tak ciepłym i miłym, Gdzie cienie łagodne się kładą,
Tak straszne się rzeczy zdarzyły?

Ania Blythe

ZUZANNA BAKER: — Pamiętam, że słyszałam opowieść o hiszpańskiej narzeczonej, gdy byłam małą dziewczynką. Podobno jakiś kapitan statku przywiózł ją ze sobą i biedaczka umarła z tęsknoty za domem. Mówiono, że potem widywano jej ducha. Myśli doktor, że to możliwe?

DR GILBERT BLYTHE: — A czy Zuzanna wierzy w duchy?

ZUZANNA BAKER: — Oczywiście, że nie. Ale... ale... KUBA BLYTHE: — Ale mimo to Zuzanna się ich boi. ZUZANNA BAKER, zdecydowanym tonem: — Nie boję się!

Ó6S

ANIA BLYTHE: — Dziwne, że praktycznie każdy, kogo znamy, jakiegoś ducha widział.

KUBA BLYTHE: — Albo mu się wydawało, że widział. A kim był ten stary nieszczęśnik, mamó?

ZUZANNA BAKER: — Założę się, że był to stary Sam Flagg na drodze do Lowbridge. Mam rację, droga pani doktorowo? To on dla zysku obdarłby ze skóry nawet pchłę.

ANIA BLYTHE: — Nigdy o nim nie słyszałam. Cały wiersz to wytwór mojej wyobraźni, z wyjątkiem hiszpańskiej narzeczonej. I lepiej wbijcie to sobie do głów.

FLORA BLYTHE: — Rozumiemy, rozumiemy. Twój wiersz mógłby opisywać właściwie każdy pokój na ziemi, w którym ludzie spędzili wiele czasu.

DROGA DO WCZORAJ

Susette co prawda nie była zaręczona z Harveyem Brooksem, ale gdy tylko wróciła z wizyty w Glenellyn, wiedziała, że niedługo się zaręczy. Skoro Harvey posunął się tak daleko i zaprosił ją do Glenellyn, by poznała jego matkę, ciotkę Clare, ciotkę Ruth i paru innych krewnych, musiało to oznaczać tylko jedno: w końcu postanowił się z nią ożenić. Harvey najwyraźniej nie uważał, że zgodę powinna wyrazić jeszcze jego wybranka.

No i miał rację. Bo Susette już dawno temu zdecydowała się na jego sakramentalne „Wydziesz za mnie?” odpowiedzieć „Tak”. Cóż innego mogłaby zrobić nikomu nie znana redaktorka małego prowincjonalnego pisemka, gdy Harvey Brooks raczył się zniżyć do jej poziomu? Przyjmując zaloty Harveya, przyjmowało się również bogactwo, pozycję społeczną, piękny dom, no i... no i Harveya.

Susette zrobiła zniecierpliwioną minę, zakładając zielony kapelusik, który częściowo przykrył jej złocisto-brązowe włosy.

óóó

— Jesteś najbardziej nieracjonalną osobą, jaką znam — powiedziała do siebie. — Harvey to niezła partia, nie tylko ze względu na to, co posiada, ale i z powodu tego, jaki jest. Jest... jest wprost bez zarzutu: przystojny, wypiełgnowany, świetnie wychowany, odniósł sukces zawodowy. Czego więcej ci potrzeba, Susette King? Tobie, która biegałaś na bosaka po farmie w Glen St. Mary do dwunastego roku życia. Teraz, mając lat dwadzieścia osiem, oszukujesz samą siebie i otoczenie, twierdząc, że robisz karierę. Powinnaś raczej skakać z radości, że Harvey Brooks — sam Harvey Brooks, który, zbyt zajęty zbijaniem majątku na handlu czarnymi lisami, nie zaprzętał sobie głowy miłością, ale gdyby musiał, to wybrałby raczej jakąś hrabinę — postanowił się w tobie zakochać, zresztą ku przerażeniu całego klanu. Oczywiście bardzo lubiła Harveya. Podobało jej się, że tak wiele mógł jej zaoferować. Zamierzała go poślubić. Co do tego nie było wątpliwości, myślała sobie, jadąc swoim autkiem do Glenellyn tamtego popołudnia. A mimo to była lekko zdenerwowana. Wkrótce zostanie poddana ocenie rodziny Harvey'a, która miała o sobie duże mniemanie. Już w momencie gdy zobaczyła Glenellyn, szczerze je znienawidziła.

Pani Brooks raczyła się z nią przywitać, a ciotka Clara nawet ją ucałowała. Susette tego się nie spodziewała. Zdawało jej się, że zbyt szybko i nieodwołalnie przyjęli ją do rodziny. Cała reszta zaproszonych gości, spokrewnionych z Harveyem, uściśnęła jej dłoń w sposób elegancki, ale i z przyjemnością. Mimo jednak po-

óóf

całunku ciotki Clary miała wrażenie, że nie do końca ją zaakceptowali.

Ciotka Clara, która znana była z tego, że potrafi wypowiadać najbardziej jadowite słowa niezwykle słodkim tonem, spytała Susette, czy nie jest zmęczona po ciężkim dniu w dusznym biurze.

— Niech no sobie przypomnę... Pracujesz w „The Enterprise”? To podobno konserwatywne pisemko, nieprawdaż?

— Nie. Niezależne — odparła Susette, a jej zielone oczy zabłyśły groźnie.

Pani Brooks może by w tym momencie westchnęła, gdyby była zdolna do ludzkich odruchów. Nie ufała zielonookim kobietom. Pani Gilbertowa Blythe miała zielone oczy, pani Brooks nigdy jej nie lubiła.

— Harveyu — powiedziała Susette następnego dnia podczas lunchu — dziś po południu wybieram się na wagary. Wsiadę do samochodu i pojadę drogą do przeszłości. Innymi słowy, wybieram się na starą farmę w Glen St. Mary, gdzie spędzałam lato jako dziecko.

— Pojadę z tobą — powiedział Harvey.

— Nie. Chcę jechać sama. Urządzą sobie randkę ze wspomnieniami. Zanudziłbyś się na śmierć.

Harvey lekko zmarszczył brwi. Nie rozumiał tego kaprysu Susette, a gdy czegoś nie rozumiał, potępiał to. Ale Susette przekrzywiła głowę w sposób, który zdradzał wojowniczą naturę, lepiej więc było z nią nie zadzierać.

Zaczerpnęła głęboko tchu, przejeżdżając przez bramy Glenellyn. Przed nią wiała się cudowna droga. Nie

667

prosta szosa — takich Susette nie cierpiała. Kochała natomiast zakręty, wzniesienia i dolinki. Zastanawiała się, co też działo się z jej bliższymi i dalszymi kuzynami, z którymi spędziła tyle cudownych chwil na farmie. A co z Blythe'ami, którzy tak często tam bywali? Straciła z nimi kontakt. Zapomniała o wszystkich z wyjątkiem Letty'ego, który był jej specjalnym przyjacielem, oraz Jacka Halla, który był uczciwym sztywniakiem — przezywali go Dingdong. No i pamięta jeszcze Dicka. Nigdy nie zapomni Dicka, łobuza, chwalipięty i gaduły. Nienawidziła go. Nie cierpieli go wszyscy. Przypomniła sobie, ile razy bił się z Kubą Blythe'em.

„Ależ był z niego wstręciuch! — wspominała Susette.

— Gdyby jeszcze był brzydki, to można by mu wybaczyć. Ale to był całkiem przystojny chłopak. Miał ładne oczy

— duże, szare, takie diabelskie. Ciekawe, co z niego wyrosło. Pewnie już się ożenił.

Przypuszczam, że szybko znalazł sobie żonę, na której może się wyżywać. Och, chciałabym znów spotkać Dicka i dać mu w twarz, tak jak to zrobiła kiedyś Di Blythe”.

Wielkie chmury zakryły niebo, a Susette w końcu skręciła i przejechała przez dobrze znaną bramę farmy w Glen St. Mary. Serce zabiło jej mocniej, gdy zobaczyła to samo drewniane ogrodzenie. Stary dom wciąż tam stał, nic się nie zmienił. Ten sam trawnik, ogród, te same przebłyśki wody w stawku pomiędzy starymi świerkami. Wszystko było czyste i w idealnym porządku, więc z pewnością Roddy lub ktoś inny tu mieszkał. Ale w oczy rzuciło się natychmiast również to, że miejsce zdawało

śTcfP

się chwilowo opuszczone. Tymczasem nadciągała burza, jeśli więc Susette nie uda się wejść do środka, będzie musiała wrócić do Glenellyn.

Już miała ze smutkiem zawrócić, gdy nagle zza węgła domu wyszedł młody mężczyzna i spojrzał na nią.

— Ależ to... Dick... Dick... — wydukała.

Pobiegła do niego z rozłożonymi ramionami. Cieszyła się, że widzi choćby Dicka. Mimo że go nie cierpiała, to wciąż stanowił część jej przeszłości, która nagle stała się jej o wiele bliższa, niemalże namacalna.

Dick ujął jej dłonie i przyciągnął bliżej siebie. Popatrzył prosto w jej zielone oczy, a Susette poczuła dziwny, niewytłumaczalny dreszcz. Nigdy nie przeżyła czegoś takiego pod wpływem spojrzeń Harveya.

— Musisz być Susette, Susette King — powiedział wolno Dick. — Nikt inny nie mógłby mieć takich oczu. Zawsze kojarzyły mi się z oczyma pani Blythe.

— Tak, to ja, Susette. Zatrzymałam się w Glenellyn, letniej posiadłości Brooksów, wiesz?

— Wiem. Wszyscy znają Glenellyn. — Chyba zapomniał o tym, że należałoby puścić jej dłonie.

— Kiedy dowiedziałam się, że to tak blisko Glen, musiałam tu przyjechać. Spodziewałam się, iż spotkam starą paczkę przyjaciół, odwiedzę Blythe'ow... Ale zdaje się, że nikogo nie ma w domu. Kto tu teraz mieszka? I skąd ty się tu wziąłeś, Dick?

Susette mówiła jak najęta, bo wciąż nie wiedziała, co się z nią przed chwilą stało, i bała się dowiedzieć. Ale pamięta, że przecież nie cierpiała Dicka — nie cierpieli go wszyscy.

Wyrwała dłonie z jego uścisku.

ÓÓJ

— Roddy mieszka tu z żoną. Zatrzymałem się u nich na kilka dni, przygotowuję się na wyjazd do Peru. Jestem skromnym inżynierem lądowym, wiesz? Wylatuję jutro. Miałem zresztą zrobić to dziś z samego rana. Dzięki Bogu jednak zmieniłem plany.

Nagle pewne wspomnienie obudziło się w pamięci Susette. Dick kiedyś pocałował ją wbrew jej woli, za co wymierzyła mu policzek. Nie wiedziała, czemu na to wspomnienie ogniste rumieńce wystąpiły jej na twarzy. I dlaczego tamto zdarzenie nagle przestało wydawać jej się potwornym upokorzeniem. Przecież Kuba Blythe za każdym razem przypominał jej o tym, gdy chciał ją zezłościć.

— Ja również powinnam dziękować Bogu — zaśmiała się — bo skoro już tu jesteś, być może wpuścisz mnie do domu, gdy zacznie padać. Bardzo chciałabym się rozejrzeć po okolicy, ale bałabym się zostać ze strachu przed ulewą.

— Śmiesz się dokładnie tak samo jak dawniej, Susette — powiedział Dick. — Nikt z naszej paczki tak uroczo się nie śmiał. Może tylko Nan Blythe. A twoje oczy... jakie one są naprawdę? Nigdy nie potrafiłem określić koloru. Rzecz jasna, trudno nazwać ten szarozielony gwiazdny blask.

„Nie podobały ci się te oczy — pomyślała Susette. — Kiedyś nie wygłaszałeś tak płomiennych mów”. I nagle — wszystko tego niezwykłego popołudnia zdawało się dziać nagle — wydało jej się niesamowicie ważne, by Dick dowiedział się, że zawsze go nie cierpiała. Nienawidzi go do tej pory.

s6b

*

— Roddy mieszka tu z żoną. Zatrzymałem się u nich na kilka dni, przygotowuję się na wyjazd do Peru. Jestem skromnym inżynierem lądowym, wiesz? Wylatuję jutro. Miałem zresztą zrobić to dziś z samego rana. Dzięki Bogu jednak zmieniłem plany.

Nagle pewne wspomnienie obudziło się w pamięci Susette. Dick kiedyś pocałował ją wbrew jej woli, za co wymierzyła mu policzek. Nie wiedziała, czemu na to wspomnienie ogniste rumieńce wystąpiły jej na twarzy. I dlaczego tamto zdarzenie nagle przestało wydawać jej się potwornym upokorzeniem. Przecież Kuba "Blythe za każdym razem przypominał jej o tym, gdy chciał ją zezłościć.

— Ja również powinnam dziękować Bogu — zaśmiała się — bo skoro już tu jesteś, być może wpuścisz mnie do domu, gdy zacznie padać. Bardzo chciałabym się rozejrzeć po okolicy, ale bałabym się zostać ze strachu przed ulewą.

— Śmiejesz się dokładnie tak samo jak dawniej, Susette — powiedział Dick. — Nikt z naszej paczki tak uroczo się nie śmiał. Może tylko Nan Blythe. A twoje oczy... jakie one są naprawdę? Nigdy nie potrafiłem określić koloru. Rzecz jasna, trudno nazwać ten szarzielony gwiezdny blask.

„Nie podobały ci się te oczy — pomyślała Susette. — Kiedyś nie wygłaszałeś tak płomiennych mów”. I nagle — wszystko tego niezwykłego popołudnia zdawało się dziać nagle — wydało jej się niesamowicie ważne, by Dick dowiedział się, że zawsze go nie cierpiała. Nienawidzi go do tej pory.

óóó

— Pamiętasz, jak się kłóciliśmy? Jak tobą gardziłam? Jak wszyscy cię nienawidziliśmy?

— Zdecydowanie nie dogadywaliśmy się jako dzieci — przyznał Dick. — Ale... bądź sprawiedliwa, Susette. Czy to tylko z mojej winy?

— Oczywiście! — wykrzyknęła Susette z o wiele większą pasją, niż było potrzeba. — To ty zawsze robiłeś najgorsze rzeczy. Pamiętasz, jak wepchnąłeś mnie w pokrzywy i zniszczyłeś moją różową szyfonową sukienkę? Jak wyśmiewałeś się z moich piegów? Jak spaliłeś na stosie moją lalkę? Albo jak oblepiłeś płaszczyk Bruna rzepami? Albo jak...

— ...jak cię pocałowałem — dokończył Dick z diabelskim uśmieszkiem. — Ale Kuba Blythe też cię raz pocałował i jakoś się wtedy nie oburzałaś.

— A pamiętasz, jak ci się za to oberwało?! — wykrzyknęła Susette z nieskrywaną satysfakcją, ignorując wzmiankę o Kubie Blythe, który za całusa otrzymał tylko lekkiego kuksańca. — Dostałeś w nos tak mocno, że aż krew ci pociekła!

— Oczywiście, kiedyś był ze mnie łobuz. Ale to dawno temu. Na to jedno popołudnie zapomnij, że mnie nienawidzisz, chociaż, jeśli mam być szczerzy, to wolę, byś mnie nienawidziła, niż żebyś w ogóle o mnie nie myślała. Chodź, przejdziemy się po wszystkich dawnych miejscach z dzieciństwa. Skoro mnie nie lubisz, nie musisz udawać, że jest inaczej.

— Powinnam jednak wracać do domu — westchnęła Susette. — Zaraz lunie, Harvey będzie się martwił.

— Jaki Harvey?

óóy

— Mężczyzna, za którego wychodzę za mąż — powiedziała Susette, zastanawiając się, czemu z taką radością oświadczyła to Dickowi. Dick przez moment się nie odzywał.

— Ach, oczywiście, facet od lisów — powiedział w końcu. — Ale nie masz na palcu pierścionka zaręczynowego. Od razu zauważyłem.

— Bo... bo to jeszcze nie ustalone — wyjąkała Susette. — Ale dzisiaj się zaręczymy. Zamierza mi się oświadczyć wieczorem. To dlatego stamtąd uciekłam. Tak mi się zdaje...

— Słyszałem o tym wspaniałym człowieku. Wszyscy słyszeli — cedził słowa Dick. — Cóż, Harvey ma nade mną pewną przewagę, ale, jak powiada Kuba Blythe, rzetelny pracownik jest w stanie zdziałać cuda w jedno popołudnie.

— Nie opowiadaj bzdur — ucieła Susette. — Przespacerujmy się. Chcę zobaczyć jak najwięcej, nim się rozpada. Cudownie, że na farmie nic się nie zmieniło. Nawet te stare białe kamienie wokoło kwiatowych rabatek są takie same. Pamiętasz, jak Zuzanna Baker ze Złotego Brzegu upierała się przy białych kamieniach wokół grządek, a my się z niej śmialiśmy?

— Susette, bez wątpienia jesteś najbardziej niezwykłą istotą, jaką znam — powiedział Dick.

— Mówisz tak każdej dziewczynie pół godziny po poznaniu? Pamiętaj, że już dawno temu przestałam być panną na wydaniu.

— Gdybym w ten sposób kiedykolwiek pomyślał, to pewnie bym powiedział. Ale nie pomyślałem. Ostatnio

Ó&2

postanowiłem, że będę mówił to, o czym w danej chwili myślę. Rilla Blythe podobno zawsze tak robi. Nie masz pojęcia, jak wtedy jest ciekawie. Poza tym życie jest zbyt nudne, gdy pewne rzeczy pozostają niewypowiedziane.

— Może i tak. — Susette zastanowiła się, co by było, gdyby tak powiedziała Harveyowi wszystko, o czym myśli.

— No i nie poznałem cię pół godziny temu. Minęły całe lata. Jesteśmy dalekimi kuzynami, prawda? I starymi przy... wrogami. Więc czemu nie mogę powiedzieć, że jesteś wyjątkowa, piękna, czarująca? Ze masz włosy barwy zachodzącego słońca na tle starych jodeł? I twoje oczy są jak tamten stawek o brzasku, a twoja skóra przypomina płatek róży?

— Pamiętasz, jak wymieniliśmy przy naszych znajomych wszystkie moje wady? — zapytała Susette. — Powiedziałeś, że mam włosy jak suche siano, oczy jak kot i w dodatku jestem piegowata. Kuba Blythe przyłożył ci za to — dodała, czując wdzięczność wobec Kuby, której nigdy mu nie okazała.

— O rany! A ty znowu swoje — jęknął Dick. — Czemu po prostu nie zapomnisz o przeszłości?

„No, czemu?“, zastanowiła się Susette. Dlaczego miała wrażenie, że musi wyciągać sprawy z przeszłości i rozpamiętywać, jak nieznośny był Dick? Nie powinna o tym ani przez chwilę zapominać. On na pewno aż tak bardzo się nie zmienił. Ludzie się nie zmieniają. Po prostu nauczył się maskować swoją nikczemność czarującym zachowaniem, które przychodziło mu o tyle łatwo, że dobrze wyglądał. Nagle Susette poczuła lekką panikę.

66

Musi natychmiast wracać do Glenellyn, zanim... Zanim zaczną padać.

— Nie możesz — odparł Dick. — O, słysząc pierwsze grzmoty. Bądź rozsądna i wejdź do środka, przeczekaaj burzę. Potem dokończymy nasz spacer.

— Ale już jest piąta — zaprotestowała. — Jeśli nie wyjadę natychmiast, spóźnię się na kolację.

— Coś ci przygotuję. Nan Blythe nauczyła mnie gotować.

— Nie wierzę! Nan cię nie cierpiała! — wykrzyknęła Susette, nie mogąc się opanować. Dick wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Nie miałeś pojęcia, ale Nan i ja byliśmy całkiem niezłymi przyjaciółmi, mimo że kłóciliśmy się przy innych. Tak czy siak nie pozwól ci jechać do Glenellyn przed burzą. Zawsze byłaś odważną diabolicą, ale tym razem nie postawisz na swoim. Wiesz przecież, jak nasze drogi wyglądają w czasie deszczu.

Susette poddała się — miała świadomość, że nie poradzi sobie na krętej drodze w czasie ulewy. Nawet po przejściu burzy nie będzie łatwo. Poza tym chciała odrobinę nastraszyć Harveya, choć ten jeden jedyny raz. I w końcu miała wrażenie, że wciąż nie dała Dickowi do zrozumienia, jak bardzo go nienawidzi. Nie zamierzała opuścić farmy, póki nie powie, co naprawdę o nim myśli.

Weszli do domu. Wnętrze było nieco inne, niż zapamiętała: nowe meble, zasłony, dywany, nowe obrazy na ścianach. Ale niektóre pokoje pozostały takie jak dawniej. Susette zwiedziła je wszystkie, podczas gdy Dick przygotowywał jedzenie w kuchni. Gdy wróciła do salo-

64

nu — w czasach jej dzieciństwa pokój służył za bawialnię — deszcz spływał po szybach, a pioruny rozrywały niebo. Zazwyczaj Susette uwielbiała burzę. Zastanawiała się, czy Harvey będzie się martwił. Ciotka Clara na pewno nie okaże zaniepokojenia.

Do salonu wszedł Dick, niosąc tacę, na której znajdował się dzbanek z herbatą, talerz z tostami i słoik dżemu. Z kredensu wyjął zastawę — stary serwis ciotki Marion w różyczki oraz brązowy dzbanuszek z kremową obwódką.

— Pamiętasz? Di Blythe dała ten dzbanek ciotce w zamian za ten, który rozbiła. Ależ miał niezwykłą pamięć, jeśli chodziło o córki Blythe'ow! Ale Susette postanowiła nie zaprzętać sobie nimi głowy.

— Och — westchnęła — ten tost jest pyszny.

— Pamiętaj, miałem dobrą nauczycielkę — uśmiechnął się Dick. — Przysuń sobie krzesło, to się przełamiemy chlebem. Nie zapomnij pochwalić mojej herbatki. Jestem ekspertem w jej parzeniu.

— Pewnie Nan Blythe cię tego nauczyła? — nie powstrzymała się Susette.

— Owszem, dała mi parę wskazówek. Ale akurat do tego miałem wrodzony talent.

— Chwalipięta jak za dawnych lat. — Ale posłusznie przysunęła sobie krzesło do stołu. Herbatą rzeczywiście była dobra. Podobnie tost. Trudno było sobie wyobrazić Dicka robiącego tosty. Jeśli zaś chodzi o dżem, z pewnością został przyrządzony według przepisu Zuzanny Baker — ten bowiem słynał w całym Glen St. Mary.

6

— Kubek herbaty, kawałek chleba i ty! — zuchwale ogłosił Dick. Susette postanowiła chwilowo się nie wściekać. Ale czemu, och, czemu tak przyjemnie było siedzieć w tym pogrążonym w półmroku pokoju, pijąc herbatę, pogryzając tosty w towarzystwie okropnego Dicka?

— Powinnam zatelefonować do Glenellyn — odezwała się niepewnie.

— To się raczej nie uda. Linia nigdy nie działa w czasie burzy. Gdybym był na miejscu Harveya Brooksa, już bym przeszukiwał okolice. Susette, czy kiedykolwiek ktoś ci powiedział, że patrząc w ten sposób, doprowadzasz ludzi do szaleństwa? To spojrzenie przyćmiewa nawet sławny uśmiech Rilli Blythe.

— Pamiętasz — odparła Susette — jak bawiliśmy się w Robinsona Crusoe i nie pozwoliłeś mi być Piętasz-kiem, bo byłam dziewczynką?

— No i miałem rację! Taki Piętaszek jak ty zbyt rozpraszałby Robinsona! Wyjaśniłem to Blythe'om i później przyznali mi rację.

„Jeśli jeszcze raz wspomni o Blythe'ach, rzucę w niego tym dzbankiem”, pomyślała Susette. Dużo później — może po kilku godzinach, a może miesiącach, latach nawet — Susette zdała sobie sprawę, iż mimo że burza przeszła, deszcz wciąż kroił, jakby zanosilo się na padanie przez następne kilka dni. Popatrzyła na zegarek i wykrzyknęła przerażona:

— Już wpół do siódmej! Za godzinę w Glenellyn podadzą kolację. Nigdy nie dotrę tam na czas!

ó6F

— Kubek herbaty, kawałek chleba i ty! — zuchwale ogłosił Dick.

Susette postanowiła chwilowo się nie wściekać. Ale czemu, och, czemu tak przyjemnie było siedzieć w tym pogrążonym w półmroku pokoju, pijąc herbatę, pogryzając tosty w towarzystwie okropnego Dicka?

— Powinnam zatelefonować do Glenellyn — odezwała się niepewnie.

— To się raczej nie uda. Linia nigdy nie działa w czasie burzy. Gdybym był na miejscu Harveya Brooksa, już bym przeszukiwał okolice. Susette, czy kiedykolwiek ktoś ci powiedział, że patrząc w ten sposób, doprowadzasz ludzi do szaleństwa? To spojrzenie przyćmiewa nawet sławny uśmiech Rilli Blythe.

— Pamiętasz — odparła Susette — jak bawiliśmy się w Robinsona Crusoe i nie pozwoliłeś mi być Piętasz-kiem, bo byłam dziewczynką?

— No i miałem rację! Taki Piętaszek jak ty zbyt rozpraszałby Robinsona! Wyjaśniłem to Blythe'om i później przyznali mi rację.

„Jeśli jeszcze raz wspomni o Blythe'ach, rzucę w niego tym dzbankiem”, pomyślała Susette. Dużo później — może po kilku godzinach, a może miesiącach, latach nawet — Susette zdała sobie sprawę, iż mimo że burza przeszła, deszcz wciąż kroił, jakby zanosilo się na padanie przez następne kilka dni. Popatrzyła na zegarek i wykrzyknęła przerażona:

— Już wpół do siódmej! Za godzinę w Glenellyn podadzą kolację. Nigdy nie dotrę tam na czas!

ÓÓF

— No pewnie, że nie dotrzesz — potwierdził Dick. — Susette, pomyśl trochę. W tym swoim autku nigdy nie pokonasz powrotnej drogi, ona jest teraz całkowicie nieprzejezdna. Nie wrócisz dzisiaj. Musisz zostać tu na noc.

— Bzdury! Nie mogę tu zostać. Muszę zatelefonować. Harvey po mnie przyjedzie...

— Spróbuj zadzwonić...

Susette spróbowała. W słuchawce nie było sygnału. Stała przez kilka minut przy telefonie, zastanawiając się, czemu nie jest tym faktem zasmucona.

— Ja... ja nie wiem, co robić — jęknęła. — Szaleństwem byłoby jechać z powrotem w czasie deszczu, ale jutro rano muszę być w redakcji i... i...

— A co z oświadczeniami Harveya? — Dick uśmiechnął się. — Nieważne, Susette. Będą inne oświadczenia. Rano sam ci się oświadczę. Może mi nie wyjść najlepiej, nigdy wcześniej tego nie robiłem, ale co mam powiedzieć, powiem. Kiedyś niemalże oświadczyłem się Rilli Blythe, no ale ona już flirtowała z Kenem Fordem...

Susette usiadła wściekła na krześle. Była bezradna. Dick zapalił świece — informując przy okazji, że świecznik był prezentem ślubnym dla Roddy'ego i jego żony od państwa Blythe'ów — po czym usiadł i założył nogę na nogę. Nie prawił już więcej komplementów Susette, nie wspominał o Harveyu, nie wychwalał Blythe'ów pod niebiosa. Cały wieczór opowiadał o lotnictwie. Susette łapczywie chwyciła każde jego słowo. Zapomniała, że nienawidzi Dicka aż do momentu, kiedy znalazła się

6

w gościnnej sypialni na piętrze, w pościeli pachnącej lawendą.

„Przypomnij sobie — upominała się rozpaczliwie — jak wyzywał się na innych chłopcach, jak kiedyś wykręcił rękę Jacka, by zmusić go do przeprosin, jak okłamał ciotkę Marion, że to Jack zjadł ciasto, jak postąpił z kociakiem...”

Te wspomnienia były nieznośne. Susette ukryła twarz w poduszce i głośno jęknęła. Z radością przypominała sobie, jak Kuba Blythe sprzął Dicka za te podłe uczynki. Mimo wszystko wspomnienia o Dicku były nie do zniesienia. Nienawidziła go. Naprawdę. Zamierzała czmychnąć stąd o zmierzchu, tak żeby nigdy więcej go nie oglądać. >

Nagle Susette wyprostowała się na łóżku i pogroziła ciemnościom swoją drobną bladą rączką. Bo przypominała sobie właśnie, co się z nią stało, gdy przypadkiem dotknęła palców Dicka, kiedy podawał jej drugi kubek herbaty.

— Nie zakocham się w nim! Nie zakocham!

Była przerażona. Gdy ujęła czające się niebezpieczeństwo w słowa, wprost osłupiała ze strachu. Nie było innego wyjścia — z samego rana musi stąd uciec, by znowu poczuć się bezpieczniej u boku Harveya...

Gdy Susette się obudziła, wiedziała już coś, o czym nie miała pojęcia, gdy zasypiała. Wtedy jeszcze bała się przyznać do tego nawet przed sobą. Cichutko wstała z łóżka i podreptała do okna. Jeszcze nie widać było słońca, ale poranne niebo za wschodnim wzgórzem po-

6

rośniętym świerkami miało barwę pączka róży. Tu i ówdzie po nieboskłonie sunęły bladożłote chmury. Na sre-brzystozielonym stawku pojawiały się drobniutkie fale. W oddali

unosily się opary bladych, błękitnych mgieł. Susette wiedziała, że albo natychmiast odjedzie w stronę tych ślicznych porannych mgieł, albo stanie się coś strasznego.

Ubrała się szybko i po cichu. Równie cicho i błyskawicznie zeszła po schodach, otworzyła frontowe drzwi i wyszła na zewnątrz. Rozejrzała się wokoło, z zachwytem wstrzymując oddech. Słońce już weszło, oświetliło śliczny świat, który, niczym nowo narodzone dziecko, spoglądał na złocistą tarczę. Zapomniała już, jak pięknie wyglądała farma o świcie. Wczoraj nie udało jej się zobaczyć wszystkich miejsc z dzieciństwa. A może ma jeszcze trochę czasu, by choć rzucić okiem na stawek? Dick na pewno śpi.

Raz jeszcze wkroczy do tego złocistego świata. Przemknie się tą starą ścieżyną, a wiatr będzie jej jedynym towarzyszem. Trawy będą muskać jej stopy porannym chłodem, a woda szemrać będzie pieśń — ten jeden ostatni raz, nim wróci do Harveya.

Gdy była już niemalże przy stawie, do jej nozdrzy dobiegł podejrzany zapach. Nim zdała sobie sprawę, co się święci, wyszła zza drzew i ujrzała Dicka siedzącego przy niewielkim ognisku. Smażył bekon; obok stał dzbanek z kawą. Na trawie rozłożony był obrus, a na obrusie... Co to? Truskawki! Truskawki na wielkim zielonym liściu! Kiedy to ostatnio jadła truskawki, a już szczególnie pyszne truskawki z farmy? Przypomniała sobie, jak w ja-

6

kimś śnie, że Kuba Blythe znał sekretne miejsce, gdzie rosły najsłodsze i największe truskawki.

Dick pomachał do niej widelcem, na który nakłuty był kawałek bekonu.

— Grzeczna dziewczynka! Właśnie miałem cię wołać. Musimy się pospieszyć, jeśli mamy być w mieście na czas. Poza tym, nie chciałem stracić okazji widoku ciebie, skąpanej w świetle, jakby powiedziała Nan Blythe. Patrz, co mam dla ciebie. Znalazłem tajemną polankę Kuby Blythe'a, tuż za starym pastwiskiem. Co za szczęście! No ale ta farma słynie z tego, że przynosi ludziom szczęście. Mam też bukiet czerwonych orlików, które tak ci się podobały. Znajdź sobie wygodne miejsce na tej skałce i siadaj.

Susette posłuchała. Czuła się nieco oszołomiona. Dick nalał jej kawy i poczęstował bekonem, potem truskawkami. Jedli w milczeniu. W stawku odbijały się cudowne barwy, a tu i ówdzie widać było niewielkie plamki półprzezroczystego cienia. Nad Glen St. Mary wznosiły się wspaniałe, przykryte białymi chmurami góry, pełne bursztynowych dolin. Pewnie już niedługo nad tymi górami lecieć będzie Dick. Urok chwili skłonił ją do wygłoszenia banalnej uwagi:

— Dam miedziaka za twoje myśli.

— Zastanawiałem się właśnie, co by się stało, gdybym powiedział do ciebie „kochanie” — rzekł poważnie.

— Poszłabym sobie, rzecz jasna! — odparła Susette. — Zresztą i tak muszę iść. Nie możemy tu siedzieć całą wieczność.

— Czemu? — spytał Dick.

670

— To głupie pytanie, które pozostawię bez odpowiedzi — odparła Susette, podnosząc się z miejsca.

Dick również wstał.

— A ja zamierzam sobie odpowiedzieć. Nie możemy tu przesiadywać przez całą wieczność, mimo iż jest bosko, bo pojutrze odlatuję. Nie ma więc zbyt wiele czasu, byśmy polecili do Montrealu, załatwili formalności i wzięli ślub.

— Oszałałeś — powiedziała Susette.

— Pamiętasz ulubiony cytat Waltera Blythe'a? „Biedna to rodzina, która nie może pozwolić sobie na jednego szaleńca”. Nigdy nie przepadałem za poezją, ale czy ktoś kiedyś nie napisał o tym wiersza? Pewien jestem, że Walter kiedyś recytował coś takiego:

W szaleństwie drzemie dzika rozkosz,

O której nie wie nikt prócz szaleńca.

— Nigdy nie byłam aż tak zaprzyjaźniona z Bly-the'ami jak najwyraźniej ty — chłodno odparła Susette.

— Szkoda. Są wspaniałą rodziną.

— Wracam do domu, wsiadam do samochodu i wracam do Glenellyn — postanowiła Susette.

— Wiem, że taki właśnie masz zamiar, ale niewiele potrzeba, byś zmieniła zdanie. Susette rozejrzała się wkoło bezradnie. A potem spojrzała na Dicka. W następnej chwili znalazła się w jego ramionach; pocałował ją — był to długi, dziki, gwałtowny, odbierający dech w piersiach pocałunek.

— Nie wiesz, że patrząc na mężczyznę tymi swoimi oczyma, wprost prosisz go, by cię pocałował? Jesteś mo-

07

ja, Susette. Uczyniłem cię moją tym pocałunkiem. Nie należysz do nikogo, oprócz mnie. Susette stała nieruchomo. Wiedziała, że właśnie przeżywa jedną z nielicznych cudownych chwil w swoim życiu. Wiedziała też, że nigdy nie poślubi Harveya.

— Za piętnaście minut jedziemy do Charlottetown — mówił Dick. — Tyle czasu zajmie mi odstawienie do kuchni patelni Roddy'ego i zamknięcie twojego samochodu w stodole. Może tu na nas poczekać, aż za trzy lata wrócimy z Peru.

Susette poszła do sypialni po zegarek, który zostawiła pod poduszką. Wydawało jej się, że została oczarowana — dosłownie oczarowana. Innej możliwości nie ma. Pamięta, jak śmiali się z Gilberta Blythe'a, gdy przyznał, że może istnieć coś takiego jak „oczarowanie”, wtedy, na starym poletku. To musi być oczarowanie. Gdyby tylko zapomniała o kociątku! Chociaż..., tak wielu chłopców miało na sumieniu okrutne uczynki.

Gdy wróciła nad staw, z początku nigdzie nie mogła dojrzeć Dicka. Nagle zauważyła go — stał trochę dalej, w cieniu świerków. Był odwrócony do niej plecami, na ramieniu przycupnęła mu ruda wiewiórka. Karmił ją czymś, a ona popiskiwała mu do ucha. Susette znieruchomiała. Właśnie zdała sobie sprawę z kolejnej rzeczy. Uciekłyby, gdyby właśnie w tym momencie Dick się nie odwrócił. Wiewiórka dała susa na gałąź, a Dick podbiegł do niej.

— Widziałaś to stworzonko? Pamiętasz, jak Kuba Blythe zawsze lubił wiewiórki? Mnie również darzyły

672

sympatią. Lubią mnie wszelkie futerkowe i pierzaste stworzonka.

— Ty nie jesteś Dick — powiedziała Susette, zniżając nieco ton głosu i patrząc na niego poważnie.

Dick się zatrzymał.

— Nie — powiedział. — Nie jestem. Zastanawiałem się, jak ci to powiedzieć. Ale jak się domyśliłaś?

— Gdy zobaczyłam tę wiewiórkę na twoim ramieniu. Zwierzęta nie cierpiały Dicka, był dla nich taki okrutny. A ludzie aż tak się nie zmieniają. Żadna wiewiórka nie przysiadłaby na jego ramieniu. To dlatego Blythe'owie tak go nie cierpieli. Mogę zapytać, kim w takim razie jesteś?

— Zgadzaając się wyjść za mnie za mąż, masz prawo wiedzieć — odparł poważnym tonem. — Nazywam się Jerry Thornton, kuzyn Dicka ze strony ciotki Marion, ale nie spokrewniony z tobą. Przyjaźniłem się z Kubą Blythe'em. Mieszkalem w Charlottetown, ale przyjechałem tu pewnego lata, ciebie akurat nie było. Usłyszałem opowieści o tobie od innych, szczególnie od Kuby, który podkochiwał się w tobie, nim nie spotkał Faith Mere-dith. To ty nazwałaś mnie Dick. Bałem się, że jeśli będę grał w'otwarte karty, nie zostaniesz tu tak długo, bym mógł sprawić, że mnie pokochasz. Pomyślałem, że mam większe szanse jako

Dick, mimo że żywiłaś do niego tak wielką urazę. Zawsze byliśmy do siebie podobni — nasze babcie były siostrami — ale, przysięgam, mamy zupełnie odmienne charaktery. Poza tym Dick jest żonaty, jak zresztą większość z naszej starej paczki.

— To by do niego pasowało — powiedziała Susette.

Jerry spojrział na nią z lekką obawą.

— Mój mały błąd chyba nie przekreśli tego, co zdarzyło się między nami, Susette?

— A czemu miałby? — odparła Susette. — Lecz powiedz mi dwie rzeczy. Po pierwsze, skąd wiedziałeś, że Dick kiedyś mnie pocałował?

— Phi, każdy chłopak by cię pocałował, gdyby tylko miał szansę! — zakpił Jerry.

— A skąd wiedziałeś, że lubię dzikie orliki?

— Każdy je lubi — odrzekł Jerry.

AU REVOIR

CHCĘ

Już w ulic gwarze czuję ból,

Za miasta chcę wyjść próg, Gdzie księżyc marzy pośród pól

U brzegu starych strug. Tam, poprzez chwiejny sosen las, Dostrzegę domu światła blask.

Chcę poczuć wiatr, co chłodzi twarz,

Z odległych frunąc wzgórz Polami koniczyny, aż

Na skraj pogodnych mórz I słyszeć huk spienionych grzyw Bijących o skalisty klif.

Blichtr mierzi mnie, salonów wzlot,

Chcę odejść w ciemną noc Ogrodu, gdzie zieleni splot

I białych lilii moc... Zaczernię wonnych mroków łyk, Ich przyjaźń cenię tak jak nikt.

Chcę słuchać głosu dżdżu, gdy mży, Wiosennych jego mów.

Chcę słuchać, kiedy ciało drży, Przyjemnych, dawnych słów.

By śnieg wiśniowych płatków spadł

I białą okrył cały sad.

Na sen chcę czasu, bo gdy śnię, Wstrzymuję pośpiech, lęk.

Trąbienie, wrzaski zmienić chcę Na drozda nocny dźwięk.

I na zabawę chętkę mam...

Dziś wracać chcę do domu sam!

Walter Blythe

ZUZANNA BAKER: — Niekóre fragmenty tego wiersza potrafię zrozumieć. Ale przede wszystkim jest to, jak mawia droga pani doktorowa, wytwór wyobraźni. Walter nie spędził większej ilości czasu w jakimkolwiek mieście w okresie, gdy powstał ten wiersz. Był przecież wtedy ledwie nastolatkiem. A Lowbridge miastem nazwać nie można. Nigdy nie zapomnę nocy, gdy uciekł od doktora Parkera i wracał do domu po ciemku sześć mil*. Poza tym jestem pewna, że ani ogród tutaj, ani ten w Domku Marzeń nie był „plataniną zieleni”. Kwiaty wiśni wydają się bielsze niż zwykle tego roku. Jakże Walter je kochał, szczególnie te dziko rosnące w Dolinie Tęczy. Ale właściwie Walter kochał wszystko, co piękne. „Zuzanno — mawiał do mnie — świat jest pełen piękna”. Był zbyt młody, by wiedzieć, że to nie do końca prawda. Ale przyznaję, że parę pięknych rzeczy na tym świecie jest. Jutro muszę wyrwać chwasty z rabatki fiołków. Zawsze robiliśmy to

* Zob. Ania ze Złotego Brzegu.

676

razem. „Spójrz na te ich osobliwe oblicza, Zuzanno”, mówił. Nie wiem, co miał na myśli, ale rzeczywiście fiołki mają twarze. I tego się będę trzymać.

PIELGRZYM

Wiatr lekko powiał znad wzgórza I deszcz nadciąga z zachodu, Ja na wędrówkę wyruszam Spragniony wielkiej przygody.

I pójdę wśród zjaw i czarów Wsłuchany i urzeczony. Chmury odpłyną daleko. Gwiazdy zabłyszcą zdziwione.

Księżyc zabłyśnie nieduży Niczym na dziecku obrazku, Łagodnie rozświetli niebo I brzozy obleje blaskiem.

Ja swoje kroki skieruję Ku Jasom nieznanym i ciemnym, Gdzie kurz pokrył moje marzenia I śmierci mrok spłynął tajemny.

I wiosna będzie już moja, I lato gorące i słotne, Jesienne wieczory przy winie I biała zimowa samotność.

Tu drzew mnie korony otulą, Gałęzie ochronią jak strażę, A tam, gdzie wydm ciągną się grzbiety, Wiatr ostry poczuje na twarzy.

Nie biegnąc, nie stając po drodze,

Tak pójdę daleko przed siebie

Wpatrzony łagodnie w oblicze

Mej gwiazdy — wskazówki na niebie.

Walter Blythe

DIANA BLYTHE: — Napisał to tuż przed wybuchem wojny.

DR GILBERT BLYTHE: — Dziecko piszące o swych dawnych marzeniach!

ANIA BLYTHE: — To chyba jedyny moment, kiedy możemy o nich mówić. Potem, gdy jesteśmy starsi, wspomnianie dawnych pragnień przesycane jest goryczą.

ZUZANNA BAKER, zdecydowanym tonem: —Pani i pan doktor nigdy się nie zestarzeją, droga pani doktorowo.

ANIA BLYTHE, wzdychając: — Czasem czuję się stara, nawet starsza niż w rzeczywistości.

FLORA BLYTHE: — Piękno było gwiazdą polarną Waltera, jego przewodniczką... Wiemy już, że piękno będzie towarzyszyć mu teraz już zawsze, mamo.

PIEŚŃ O WIOŚNIE

Cygański wiatr, co gra i dmie, Gdzie pęka buku pąk,

Niech wie, że słyszę wiosny śmiech W srebrzystej mowie łąk.

O mgiełko, wtoczyc mleczny kłęb W zielony, dziki jar ty chciej,

Gdy w gazie sukni skrywasz klomb, Królowej służysz swej.

Ziarenko, w żyznej glebie tkwisz, Chwyć słońce, deszcze pij,

Z radością w swej powłoce śpisz, Narodzin pulsie bij.

Nadziei fiołek kwitnie już, Tak kwitniesz u mych nóg,

Obsypie drogi szkarłat róż, Gdy wiosnę zwróci Bóg.

Walter Blythe

DR GILBERT BLYTHE: — Owszem, Bóg zawsze zsyła wiosnę, dzięki mu za to.

ZUZANNA BAKER: — Choć w tym roku nadeszła dość późno. Żonkile dopiero zaczynają rozkwitać. (Do siebie): — Jakże Walter kochał żonkile!

ANIA BLYTHE: — Kiedyś lubiłam zimę — nawet przez ostatnie dwadzieścia lat. Teraz jednak zastanawiam się, jak moglibyśmy ją przetrwać, gdyby nie nadzieja na to, że po zimie przyjdzie wiosna.

DR GILBERT BLYTHE: — Czyżby życie u mego boku było a? tak ciężkie, Aniu?

ZUZANNA BAKER, w myśli: „Kochany doktor musi zawsze sobie pożartować”.

POKŁOSIE I

Był taki czas, kiedy byliśmy młodzi,

Kto bał się walk? Dziś — starość już doskwiera.

I nawet tchórz też stawał się odważny,

Czy wtedy ktoś z nas lękał się umierać?

9

Ziarenko, w żyznej glebie tkwisz, Chwyć słońce, deszcze pij,

Z radością w swej powłoce śpisz, Narodzin pulsie bij.
Nadziei fiołek kwitnie już, Tak kwitniesz u mych nóg,
Obsypie drogi szkarłat róż, Gdy wiosnę zwróci Bóg.

Walter Blythe

DR GILBERT BLYTHE: — Owszem, Bóg zawsze zsyła wiosnę, dzięki mu za to.

ZUZANNA BAKER: — Choć w tym roku nadeszła dość późno. Żonkile dopiero zaczynają rozkwitać. (Do siebie): — Jakże Walter kochał żonkile!

ANIA BLYTHE: — Kiedyś lubiłam zimę — nawet przez ostatnie dwadzieścia lat. Teraz jednak zastanawiam się, jak moglibyśmy ją przetrwać, gdyby nie nadzieja na to, że po zimie przyjdzie wiosna.

DR GILBERT BLYTHE: — Czyżby życie u mego boku było a? tak ciężkie, Aniu?

ZUZANNA BAKER, w myśli: „Kochany doktor musi zawsze sobie pożartować”.

POKŁOSIE

I

Był taki czas, kiedy byliśmy młodzi,
Kto bał się walk? Dziś — starość już doskwiera.
I nawet tchórz też stawał się odważny,
Czy wtedy ktoś z nas lękał się umierać?

73

A zbrojny lud diabelskim wybuchł śmiechem I zapach krwi piekielną radość wzniecił, I była noc, gdy z mych rąk zginął człowiek, I tyle gwiazd, i księżyc jasny świecił.
Tak młody był, że mógł być moim bratem, Nie czułem nic, patrzyłem nań wesoło, Jak kuli strzał śmiertelnie wskroś go przeszył, Tak smukły był i tak miał blade czoło... Uniosłem broń w geście mojego męstwa, A wokół wróg i martwe, krwawe ciała I zapach krwi, co jeszcze ostygła,

I tryumf mój, i gorzki smak zwycięstwa.

II

Kto młody był — ten starość znosi godnie, Lecz piękna już — choć bliskie — nie zobaczy,
Bo myśmy już stanęli u wrót piekieł, Ich straszny żar poranił nasze oczy. Szczęśliwsi są ci, którzy zmarli wcześniej, Bo pamięć ich przez śmierć jest wyczyszczona, I mogą trwać w spokojnym zapomnieniu, Bo ginie pamięć, kiedy człowiek kona.

Nie minie wstyd i już nie zapomnimy, Nienawiść trwa i wróci wstyd o świecie, Spokojny sen nie naszym przeznaczeniem, Bo z moich rąk ktoś kiedyś stracił życie. I niesie wiatr głosy i różne dźwięki, Nieważne, gdzie skieruję swe spojrzenie, Tam gaśnie świt i wraca to wspomnienie Człowieka, co z mojej umierał ręki.

Walter Blythe

Ó&O

Wiersz ten został napisany „gdzieś we Francji” w roku bitwy pod Courcellette. Został przesłany do matki z resztą rzeczy Waltera. Nie czytała tego wiersza nikomu z wyjątkiem Kuby Blythe'a, który twierdzi: „Walter nigdy nikogo nie zabił, mamó. Ale widział... widział to...”.

ANIA BLYTHE, spokojnie: — Jestem wdzięczna, że Walter nie powrócił. Obawiam się, że nie mogłby żyć z takimi wspomnieniami... A gdyby teraz ujrzał, jak bezowocne okazało się ich poświęcenie, gdyby ujrzał potworności Holokaustu...

KUBA BLYTHE, myśląc o Kubie Juniorze i młodym Walterze: — Wiem... wiem. Nawet ja, choć skórę mam twardszą niż Walter... Ale porozmawiajmy o czymś innym. Kto powiedział: „Zapominamy, bo musimy”? Miał z pewnością rację.

t

KONIEC

POŻEGNANIE Z WYSPĄ KSIĘCIA EDWARDA,

CZYLI ZAMIAST POSŁOWIA BENJAMIN LEFEBYRE

Kiedy po raz pierwszy zjawiłem się w archiwach Uniwersytetu w Guelph w 1999 roku, by przeczytać manuskrypt Ani z Wyspy Księcia Edwarda L.M. Montgomery, nie miałem pojęcia, jakiego literackiego odkrycia wkrótce dokonam. Przez długi czas nie podważałem opinii badaczy, którzy utrzymywali, że Ania z Wyspy Księcia Edwarda została opublikowana w całości w 1974 roku, z wyjątkiem krótkiego wstępu autorki. Zbiór nosił tytuł *The Road to Yesterday* (wydanie pol. *Spełnione marzenia*). Ale pewnego dnia dowiedziałem się, że jedna z moich znajomych czytała manuskrypt i według niej *Spełnione marzenia* są mocno okrojona wersją całości. Była tak dobra, że wysłała mi swoje notatki ze streszczeniem brakujących fragmentów. Zachęciła mnie również, bym sam przeczytał pełną wersję tekstu. Gdy to uczyniłem, przekonałem się, że z książki Ani z Wyspy Księcia Edwarda wycięto spore ustępy: zniknęły nie tylko wiersze oraz interludia o objętości prawie stu stron, ale z samych opowiadań usunięto również niektóre akapity. Pomyślałem wtedy, że warto rzecz zbadać dokładniej. Usiadłem więc pewnego słonecznego popołudnia przy jednym z biurk archiwum i wkrótce otrzymałem dwa dodatkowe maszynopisy Ani z Wyspy Księcia Edwarda — każdy z nich znacznie różnił

ćk92

POŻEGNANIE Z WYSPĄ KSIĘCIA EDWARDA, CZYLI ZAMIAST POSŁOWIA BENJAMIN LEFEBYRE

Kiedy po raz pierwszy zjawiłem się w archiwach Uniwersytetu w Guelph w 1999 roku, by przeczytać manuskrypt Ani z Wyspy Księcia Edwarda L.M. Montgomery, nie miałem pojęcia, jakiego literackiego odkrycia wkrótce dokonam. Przez długi czas nie podważałem opinii badaczy, którzy utrzymywali, że Ania z Wyspy Księcia Edwarda została opublikowana w całości w 1974 roku, z wyjątkiem krótkiego wstępu autorki. Zbiór nosił tytuł *The Road to Yesterday* (wydanie pol. *Spełnione marzenia*). Ale pewnego dnia dowiedziałem się, że jedna z moich znajomych czytała manuskrypt i według niej *Spełnione marzenia* są mocno okrojona wersją całości. Była tak dobra, że wysłała mi swoje notatki ze streszczeniem brakujących fragmentów. Zachęciła mnie również, bym sam przeczytał pełną wersję tekstu. Gdy to uczyniłem, przekonałem się, że z książki Ani z Wyspy Księcia Edwarda wycięto spore ustępy: zniknęły nie tylko wiersze oraz interludia o objętości prawie stu stron, ale z samych opowiadań usunięto również niektóre akapity. Pomyślałem wtedy, że warto rzecz zbadać dokładniej. Usiadłem więc pewnego słonecznego popołudnia przy jednym z biurk archiwum i wkrótce otrzymałem dwa dodatkowe maszynopisy Ani z Wyspy Księcia Edwarda — każdy z nich znacznie różnił

się od znanej mi wersji tekstu. Zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie natrafiłem właśnie na ukryty skarb. Dotarło do mnie, że ostatnia książka Montgomery, którą ukończyła pod koniec swego życia w 1942 roku, może całkowicie zmienić sposób, w jaki czytelnicy patrzą na autorkę i jej dzieło.

Pierwszą rzeczą, która uderzyła mnie w trakcie lektury trzech wersji maszynopisów Ani z Wyspy Księcia Edwarda, była ich ogólna atmosfera i wymowa, zupełnie odmienna od wcześniejszych utworów Montgomery. W białych bawełnianych rękawiczkach, które miały chronić oryginalne dokumenty, zapisywałem w notesie listę powracających wątków: cudzołóstwo, nieślubne pochodzenie, mizoginia, morderstwo, zemsta, gorycz, nienawiść, starzenie się i śmierć. Z pewnością tematów tych większość czytelników z twórczością Montgomery nie kojarzyła. Nieco później, gdy rozmawiałem o swym odkryciu z przyjaciółmi i kolegami z pracy (niektórzy z nich znali twórczość Montgomery bardzo powierzchownie), wszyscy orzekli jednogłośnie: oto natrafiłem na dzieło zupełnie różne od poprzednich książek autorki Ani z Zielonego Wzgórza.

Z czasem jednak zacząłem się zastanawiać, czy zmiana tematyki i tonu opowieści rzeczywiście była tak gwałtowna i niespodziewana. Znam co najmniej kilka osób, które regularnie czytają wszystkie książki Montgomery w porządku chronologicznym, poczynając od Ani z Zielonego Wzgórza (1908), na Ani ze Złotego Brzegu (1939) kończąc — a to po to, by prześledzić, w jaki sposób zmieniał się styl i światopogląd autorki w trakcie jej kariery pisarskiej. Nieraz postępowałem tak samo i za każdym razem, gdy czytam te — znane już przecież doskonale — książki, odkrywam w nich coś nowego. Gdy sięgnąłem po starsze utwory Montgomery po kilku miesiącach zagłębiania się w tekście Ani z Wyspy Księcia Edwarda, zauważyłem, że niektóre z wątków z mojej listy zaczynam dostrzegać także w innych książkach Montgomery. Było to dla mnie bardzo zaskakujące.

3

Powszechnie wiadomo, że Montgomery cierpiała na napady depresji i rozpacz w trakcie swego całego dorosłego życia, ale gdy we wrześniu 2008 roku ujawniono, że przyczyną śmierci pisarki było przedawkowanie leków, zastanawiałem się, czy przypadkiem Montgomery nie popełniła samobójstwa. Gdyby to była prawda, w tekście Ani z Wyspy Księcia Edwarda znaleźć można by pewne odwołania do tego zamiaru. Poza tym nekrolog zamieszczony w „The Globe and Mail” sugeruje, że książka mogła mieć jakiś związek ze śmiercią autorki. W nekrologu z 25 kwietnia 1942 roku czytamy, że Montgomery „zmarła nagle wczoraj”, po czym: „Przez ostatnie dwa lata ciężko chorowała, lecz w trakcie zeszłej zimy pani Macdonald zebrała w jeden tom opowiadania, wcześniej publikowane w prasie, a pisane na przestrzeni wielu lat. Zbiór trafił do rąk wydawnictwa ledwie wczoraj”. I choć nekrolog nie daje odpowiedzi na pytanie, czy to Montgomery, czy też ktoś inny dostarczył maszynopis do wydawcy, to jednak obecność maszynopisu i jego kalkowej kopii w archiwach McClellanda i Stewarta potwierdza, że książka rzeczywiście do nich dotarła.

Czytelnicy, którzy pochłaniali wcześniejsze dzieła Montgomery — dwadzieścia powieści, ponad pięćset opowiadań, pięćset wierszy, dziesięć tomów dzienników i liczne eseje — w gruncie rzeczy znajdą w jej ostatniej książce wiele znajomych motywów. Montgomery i tym razem pisze o tym, do czego nas już przyzwyczaiła: o sierotach tęskniących za prawdziwym domem, o parach, które po latach w końcu wkraczają na drogę małżeństwa, o nowo zyskanych rodzinach czy wreszcie o żalach i nieporozumieniach, które po latach zostają wyjaśnione i zapomniane. Montgomery wraca również do opozycji, które rozważała w trakcie całej swojej kariery: romantyczne czy realistyczne spojrzenie na rzeczywistość?, indywidualizm czy życie we wspólnocie?, nadzieja czy beznadzieja?, harmonia czy konflikt?, porządek czy chaos?, pamięć

6(94

czy zapominanie? Podobnie jak jej bohaterowie, którzy często muszą godzić własne ambicje z oczekiwaniami najbliższych lub otoczenia, tak i Montgomery zawsze próbowała znaleźć złoty środek pomiędzy historiami, które chciała przekazać czytelnikom, i odpowiednią, przewidywalną formułą tych opowieści. Częściowo właśnie z tego powodu, a częściowo dlatego, że jej własne małżeństwo okazało się katastrofą, romansowe zakończenia wielu jej opowiadań czytelnikom nie zawsze przypadły do gustu. W Ani z Wyspy Księcia Edwarda Montgomery nieco przesuwa punkt ciężkości, ale jednocześnie zachowuje znajomą formułę, po raz ostatni dając głos jej najbardziej znanym bohaterom: Ani i Gilbertowi Blythe'om, szóstce ich dzieci, gospodyni Zuzannie Baker oraz przyjaciółom i sąsiadom z okolicy. O ile jednak wszystkie te elementy są nam znane, zmienił się sposób, w jaki zostały przedstawione. W czasie gdy świat ogarnięty był drugą wojną światową, Montgomery powróciła w ostatniej części serii o Ani z Zielonego Wzgórza do dwóch konwencji, wobec których zawsze miała mieszane uczucia: mianowicie do wątku romansowego i sequela, czyli kontynuacji. Montgomery obie te konwencje jednocześnie kochała i nienawidziła. Czuła się złapana w pułapkę oczekiwań czytelników — z jednej strony wiedziała, że pisząc dalsze

części przygód Ani, potrafi sporo zarobić, z drugiej strony uważała to za przejaw twórczej stagnacji. Chociaż motywy zalotów i małżeństwa często pojawiają się w jej książkach, prywatnie narzekała, że dziwnie się czuje, pisząc „romanse”. Wolą humor wynikający z kontrastu pokoleń, różnic między młodymi i starszymi. Trudno było Montgomery zakończyć romantyczny wątek Ani Shirley Blythe w satysfakcjonujący czytelników sposób, ale sześć lat po publikacji Ani z Avonlea (1909), naciskana przez wydawcę, napisała w końcu Anię na uniwersytecie (1915), gdzie Ania godzi się wyjść za Gilberta Blythe'a.

„refer

To zakończyło romansowy wątek Ani, ale jednocześnie Montgomery odkryła, że skoro ma już wiernych czytelników, może dać swoim bohaterom zupełnie nowe życie, poruszając jednocześnie tematy, które w tamtym czasie najbardziej ją interesowały — a był to okres Wielkiej Wojny z lat 1914-1918. Montgomery bardzo przeżywała wieści nadchodzące z pola walki, śledziła wszelkie wzmianki na ten temat w prasie. I chociaż akcja jej dwóch następnych powieści rozgrywa się kilka lat wcześniej, napisane są one w czasie wojny i niebezpośrednio do takiej tematyki nawiązują: Wymarzony dom Ani (1917), opowiadający o pierwszych latach małżeństwa Ani i Gilberta, skupia się na dwóch ważnych wydarzeniach: śmierci córeczki Joyce, i przyjściu na świat najstarszego syna, Kuby. Z kolei Dolina Tęczy (1919), z akcją umiejscowioną trzynaście lat później, skupia się na przygodach dzieci Blythe'ów i ich przyjaciół. Następna powieść Montgomery, Rilla ze Złotego Brzegu (1921), ponownie opisuje ich perypetie: dzieci Ani i Gilberta wchodzą w dorosłość. Książka pokazuje, jakie piętno Wielka Wojna odcisnęła na losach rodziny Blythe'ów. Pisanie tej powieści, planowanej już w 1917 roku, Montgomery zaczęła cztery miesiące po zawieszeniu broni. Wiedziała zatem, jakie było zakończenie wojny, liczyła również na narodziny nowego, utopijnego świata. Choć głównymi bohaterkami książki są pozostające w czasie wojny w domu przedstawicielki dwóch pokoleń kobiet, które musiały przystosować się do gwałtownie zmieniającego się świata: Rilla Blythe i gospodyni Zuzanna Baker, powieść opisuje również całą generację młodych mężczyzn, których los odzwierciedla postać syna Ani i Gilberta, Waltera. Walter, młody poeta z aspiracjami, toczy wewnętrzny bój pomiędzy swą miłością do piękna i obowiązkiem służenia krajowi. Jego śmierć symbolizuje wielką ofiarę, złożoną w obronie Imperium Brytyjskiego, a jego wiersz, Kobziarz, jest inspirującym apelem o odwagę i optymizm w obliczu przerażającego chaosu. Choć

czytelnicy Rilli ze Złotego Brzegu mogli poznać zaledwie jedną frazę z tego wiersza — wezwanie do nieporzucania nadziei, kojarzące się z In Flanders Fields Johna McCrae — wiersz Kobziarz Waltera Blythe'a jest jedynym wojennym lirykiem Montgomery wartym wspominania.

Kończąc tę drugą trylogię książek o Ani w 1920 roku, Montgomery zapisała w dzienniku, że nie zamierza pisać kolejnych części. Czekają na nią nowe pomysły do zrealizowania, w tym pseudoautobiograficzna trylogia o młodej dziewczynie Emi-ly Starr, marzącej o karierze pisarki. Montgomery obmyślała również fabułę innej, bardziej dojrzałej powieści, która jednak nigdy nie powstała. Była uwiązana do konwencji, dzięki której jej wcześniejsze książki osiągnęły taki sukces, a ekonomiczny chaos, który zapanował po krachu na giełdzie w 1929 roku, sprawił, że nie chciała odchodzić od fabularnych schematów, zapewniających jej spore zarobki. Około połowy lat trzydziestych dwudziestego wieku, gdy zaczęła pracę nad książką, która miała zapłacić lukę w wydarzeniach pomiędzy Anią na uniwersytecie i Wymarzonym domem Ani, mimo wszystko zmieniło się jej podejście do pisania: Montgomery wróciła do serii o Ani częściowo, by wykorzystać sukces ekranizacji Ani z Zielonego Wzgórza z 1934 roku, a jednocześnie pragnęła znowu poczuć się bezpieczna i spokojna — pisanie o Ani tak właśnie na nią wpływało. W rezultacie zarówno Ania z Szumiących Topoli (1936), jak i Ania ze Złotego Brzegu (1939) okazały się powieściami

bardzo epizodycznymi, wypełnionymi zużyтыми wątkami i motywami, już wtedy uważanymi za staroświeckie. A jednak w Ani ze Złotego Brzegu obserwujemy, że Montgomery z trudem radzi sobie nawet z tymi schematycznymi wątkami, z których słynęła najbardziej: zabawne anegdotki o dzieciach Ani, przeżywających kolejne rozczarowania, przeciwstawione są wątkom dotyczącym małżeńskiej nienawiści i rozpadu związku, a także podejrzeń Ani, że Gilbert stracił zaintereso-

wanie nią. Podejrzenia oczywiście okazują się nieuzasadnione, ale wielu dorosłych czytelników uznało zakończenie książki za nieprzekonujące.

Niedługo po wydaniu Ani ze Złotego Brzegu z 1939 roku, Montgomery zaczęła pracować nad książką, która miała przybrać postać Ani z Wyspy Księcia Edwarda. Układ tekstów tego zbioru pozostaje tajemnicą. Nie wspomina o nim w żadnym ze swoich dzienników i listów (z których wiele zaginęło). Najwyraźniej Montgomery, nie potrafiąc lub nie chcąc napisać kolejnej powieści, postanowiła przejrzeć wcześniej wydane opowiadania (łącznie z kilkoma tekstami, których nie udało jej się opublikować), dopisać do nich wzmianki o rodzinie Blythe'ów i dołączyć do zbioru czterdzieści jeden własnych wierszy, po czym przypisać ich autorstwo Walterowi i Ani. Opowiadania napisane były stosunkowo niedawno, ukazywały się w latach trzydziestych w kanadyjskich i amerykańskich czasopismach, takich jak „Family Herald and Weekly Star”, „Canadian Home Journal”, „Country Home” i „Holland s, the Magazine of the South”, ale już wiersze pochodziły z całego okresu jej kariery — wcześniej ukazywały się w „The Canadian Magazine”, „Canadian Bookman”, „Ladies” Home Journal”, „The Commonwealth”, „Saturday Night”, „Chatelaine” i „Good Housekeeping”^{*}.

* Modyfikując opowiadania, których akcja początkowo rozgrywała się w latach trzydziestych dwudziestego wieku i przesuwając czas akcji na tuż przed Wielką Wojną, Montgomery nieumyślnie wprowadziła kilka anachronizmów: na przykład w opowiadaniu Blii-niaki uruchamiają wyobraźnię Jill i P.G. odgrywają egzekucję Edith Cavell, brytyjskiej pielęgniarki, którą na śmierć skazano dopiero w 1915 roku w Belgii. W ostatnim opowiadaniu Spełnione marzenia, którego akcja toczy się w trakcie drugiej wojny światowej, Susette i „Dick” wspominają dziecięce przygody z wnukami Ani i Gilberta, co jest niemożliwe w świetle książkowej chronologii.

W swym ostatnim dziele Montgomery pozostaje wierna schematom, do których ona i jej czytelnicy byli przyzwyczajeni, lecz wymowa tych opowiadań jest już inna. Dwie opowieści traktują o ludziach, których poczynania kierowane były trwającymi dekadami żalem i goryczą, aż pewnego dnia w wyniku przypadku sytuacja zmienia się diametralnie. Trzy opowiadania zawierają rozbudowane wątki, których bohaterami są osoby na łożu śmierci, trzy kolejne teksty stanowią refleksję o tym, jak śmierć dorosłego może zmienić życie młodych ludzi. W opowiadaniach tych obok potencjalnych narzeczonych czy odpowiedzialnych opiekunów pojawiają się osoby brutalne, ogarnięte manią kontrolowania wszystkiego, samolubne, obrażające innych. Ponadto wiersze, które wychwalają poczucie bezpieczeństwa oferowane przez dom i rodzinę, zestawione zostały z lirykami mówiącymi o zazdrości pomiędzy kochankami, tłumionej tęsknocie za przeszłością i osobistych niepowodzeniach. Nietypowa struktura książki stwarza kontrast pomiędzy opowiadaniem — gdzie bardzo często w sposób wręcz bezkrytyczny inni wypowiadają się o rodzinie Blythe'ów (choć zdarzają się również mniej miłe komentarze) — oraz interludiami, które pokazują, że życie w Złotym Brzegu nie zawsze wygląda tak, jak ludziom się wydaje. Dzieliąc tom na dwie części, w których centrum pozostaje Wielka Wojna, Montgomery stworzyła dodatkowy kontrast pomiędzy względnie spokojnym okresem przedwojennym i gwałtownymi zmianami, które nastąpiły po wojnie. Montgomery dała miłośnikom serii o przygodach Ani dodatkową informację, po raz pierwszy ujawniając, że Ania przez całe życie pisywała wiersze. Ucieszy to szczególnie tych

czytelników, którzy byli rozczarowani, że pisarskie ambicje Ani zostały w późniejszych książkach usunięte na dalszy plan. Jak się dowiadujemy, wiele z wierszy Ani zostało napisanych w kluczowych momentach jej życia: Grief to echo wspomnień po Sty

śmierci Mateusza (Ania z Zielonego Wzgórza); Old Path Round the Shore i The Gate of Dream zostały napisane, gdy Ania pracowała jako nauczycielka (Ania z Avonlea); Man and Woman, Midsummer Day i Remembered powstały w latach uniwersyteckich (Ania na uniwersytecie)-, z kolei Farewell to an Old Room napisany został w dniu jej ślubu (Wymarzony dom Ani). Choć jednak Montgomery większość tych wierszy opublikowała w czasopiśmie, w samej książce nie ma ani słowa o tym, by Ani udało się któryś ze swych utworów upublicznić. Poza tym ci czytelnicy, którzy kibicowali Ani, gdy rozbiła tabliczkę na głowie Gilberta w Ani z Zielonego Wzgórza, mogą być rozczarowani, poznając wersję tych wydarzeń opowiedzianą przez Gilberta przy okazji dyskusji nad wierszem Farewell to an Old Room: „Twoja mama żywiła do mnie wtedy pewną urazę, mnie jednak zawsze zależało na tym, byśmy zostali przyjaciółmi”. Równie rozczarowuje fakt, rzecz jasna, że Ania w żaden sposób tej wypowiedzi nie komentuje.

W książce tej, jak w żadnej innej, Montgomery rewiduje własne poglądy z wcześniejszych dzieł, szczególnie swoje podejście do Wielkiej Wojny, która w Rilli ze Złotego Brzegu uznana została za niezbędne poświęcenie w imię spokojnej przyszłości. Zmiana w światopoglądzie Montgomery najwyraźniej uwidacznia się w finałowej rozmowie Ani i Kuby, ale i wcześniej pojawiają się pewne sugestie: w maszynopisie, który posłużył za podstawę tego wydania, Montgomery na stronie tytułowej napisała „Wielka Wojna”, ale przekreśliła słowo „Wielka” i piórem dopisała słowa „Pierwsza” i „Światowa”. W ten sposób przyznawała, że wizja nowego lepszego świata, powstającego z popiołów Wielkiej Wojny, w rzeczywistości nigdy się nie ziści. Przyznanie się do pomyłki widać też w sporze, jaki toczy się między dwoma wierszami — z początku i końca książki. Montgomery pisze w komentarzu do pełnej wersji Kobziarza, że wiersz ten wydaje się bardziej aktualny „teraz” — to

490

śmierci Mateusza (Ania z Zielonego Wzgórza); Old Path Round the Shore i The Gate of Dream zostały napisane, gdy Ania pracowała jako nauczycielka (Ania z Avonlea); Man and Woman, Midsummer Day i Remembered powstały w latach uniwersyteckich (Ania na uniwersytecie); z kolei Farewell to an Old Room napisany został w dniu jej ślubu (Wymarzony dom Ani). Choć jednak Montgomery większość tych wierszy opublikowała w czasopiśmie, w samej książce nie ma ani słowa o tym, by Ani udało się któryś ze swych utworów upublicznić. Poza tym ci czytelnicy, którzy kibicowali Ani, gdy rozbiła tabliczkę na głowie Gilberta w Ani z Zielonego Wzgórza, mogą być rozczarowani, poznając wersję tych wydarzeń opowiedzianą przez Gilberta przy okazji dyskusji nad wierszem Farewell to an Old Room: „Twoja mama żywiła do mnie wtedy pewną urazę, mnie jednak zawsze zależało na tym, byśmy zostali przyjaciółmi”. Równie rozczarowuje fakt, rzecz jasna, że Ania w żaden sposób tej wypowiedzi nie komentuje.

W książce tej, jak w żadnej innej, Montgomery rewiduje własne poglądy z wcześniejszych dzieł, szczególnie swoje podejście do Wielkiej Wojny, która w Rilli ze Złotego Brzegu uznana została za niezbędne poświęcenie w imię spokojnej przyszłości. Zmiana w światopoglądzie Montgomery najwyraźniej uwidacznia się w finałowej rozmowie Ani i Kuby, ale i wcześniej pojawiają się pewne sugestie: w maszynopisie, który posłużył za podstawę tego wydania, Montgomery na stronie tytułowej napisała „Wielka Wojna”, ale przekreśliła słowo „Wielka” i piórem dopisała słowa „Pierwsza” i „Światowa”. W ten sposób przyznawała, że wizja nowego lepszego świata, powstającego z popiołów Wielkiej Wojny, w

rzeczywistości nigdy się nie ziści. Przyznanie się do pomyłki widać też w sporze, jaki toczy się między dwoma wierszami — z początku i końca książki. Montgomery pisze w komentarzu do pełnej wersji Kobziarza, że wiersz ten wydaje się bardziej aktualny „teraz” — to

ÓJO

znaczy w mrocznych czasach drugiej wojny światowej — niż „kiedyś”. Montgomery rozpoczyna książkę dwiema zwrotkami, które wydają się mniej jednoznaczne niż wiersz, o którym mowa w Rilli ze Złotego Brzegu. A jednak wiersz *The Aftermath*, umieszczony z kolei na końcu książki, zachęca nas do dokładniejszego przyjrzenia się tej sprzeczności, może nawet do dostrzeżenia uczucia rozpacz, które łatwo byłoby w innym razie przeoczyć.

Kolejne wersy *The Aftermath*, napisanego z perspektywy żołnierza, który żałuje, że nie zginął na wojnie, mogą zaskoczyć tych czytelników, którzy pamiętają odwagę i szlachetność, jaką wykazał się Walter w Rilli. Montgomery najwyraźniej sama nie była całkowicie przekonana do tego wiersza i ostatniego dialogu w książce, gdyż atramentem przekreśliła te fragmenty, ale nie usunęła stron z maszynopisu. I choć Kobziarz przypisywany jest Walterowi, Montgomery na trzy tygodnie przed śmiercią wysłała wiersz do czasopisma „Saturday Night”, opatrując go niemalże identycznym komentarzem. Wiersz ukazał się pośmiertnie, 2 maja 1942 roku i jest ostatnim utworem poetyckim Montgomery — upamiętnia zarówno koniec jej kariery, jak i życia.

Choć książka ta z pewnością nie jest tym, czego wierni czytelnicy Montgomery by się spodziewali, mam nadzieję, że ten tom — tak odmienny od wcześniejszych dokonań pisarki — raczej wzbogaci jej twórczość i przysporzy wielbicieli, a nie na odwrót. Ta książka, jednocześnie tak nietypowa, a jednak znajoma, na równi zaskakuje i zachwyca, a spomiędzy słów rozpacz i żalu przebija poczucie humoru Montgomery, jej niezwykła zdolność do odmalowywania ludzkich zachowań oraz współczucie dla porażek, jakie w życiu wszyscy ponosimy.

NOTA O TEKŚCIE

To wydanie oparte jest na ostatnim z trzech maszynopisów Ani z Wyspy Księcia Edwarda, które stanowią część Zbiorów L.M. Montgomery w Archiwalnych i Specjalnych Zbiorach Biblioteki Uniwersytetu w Guelph. Maszynopis znajdował się wśród dokumentów, które zostały sprzedane Uniwersytetowi w Guelph przez Davida Macdonalda (syna najstarszego syna Montgomery, Chestera) w 1984 roku. Chociaż żaden z trzech maszynopisów nie jest datowany, kopie ostatecznej wersji znajdują się w archiwach Jacka McClellanda i archiwum McClelland & Stewart na Uniwersytecie McMaster, co potwierdza, że książka została przekazana kanadyjskiemu wydawcy tuż przed śmiercią Montgomery.

Moim celem było oddanie czytelnikom jak najwierniej maszynopisu Montgomery. Więcej informacji o pierwotnej formie opowiadań i wierszy, a także na temat całości dzieła Montgomery znajdzie czytelnik na stronie internetowej L.M. Montgomery Research Group pod adresem <http://lmmresearch.org>.

PODZIĘKOWANIA

To wydanie Ani z Wyspy Księcia Edwarda wiele zawdzięcza moim przyjaciołom i kolegom z pracy, którzy wspierali moje prace nad książką na liczne sposoby. Dziękuję Lornie Bruce, Donnie Campbell, Mary Beth Cavert, Carolyn Strom-Collins, Cecily Devereux, Elizabeth R. Epperly, Irene Gammel, Carole Gerson, Joshui Ginter, Maryam Hadad, Yuce Kajiharze, Bernardowi Katzowi, Jennifer H. Litster, Andrei McKenzie, Jasonowi Nola-nowi, Donnie Palmateer Pennee, Mavisowi Reimerowi, Laurze Robinson, Mary Henley Rubio, Carlowi Spadoni, Meg Taylor, Elizabeth Waterston, Joannie E. Wood, Kate Wood, Christy Woster, Emily Woster i Lorraine York. Dziękuję również Ruth Macdonald, Davidowi Macdonaldowi, Kate Macdonald-Butler, Sally Keefe-Cohen i Marian Dingman-Hebb — Spadkobiercom L.M. Montgomery, Helen Reeves i Aleksowi Schultzowi z wydawnictwa Penguin Canada i

redaktorze Stephanie Fysh. Z wdzięcznością dziękuję za stypendia naukowe przyznane mi przez Social Sciences and Humanities Research Council of Canada i przez Uniwersytet w Winnipeg. Specjalne podziękowania należą się Jacobowi Letkemannowi, Kelly Norah Drukker, Lisie Richter, Jamesowi Buchananowi, Melanie Lefebvre, Jere-miemu Lefebvre, Ericowi Lemayowi i Julie Trepanier. Książkę tę dedykuję mojej matce, Claire Pelland-Lefebvre, oraz pamięci mego ojca, Geralda M. Lefebvre.

SPIS TREŚCI

CZEŚĆ PIERWSZA

Kobziarz Paru głupców i jedna święta Zmierzch w Złotym Brzegu

Życzę Ci

Stara ścieżka na wybrzeżu Pokój gościnny na wsi Popołudnie z panem Jenkinsem Wieczór

drugi Nowy dom Drozdowe nieszpory Noc

Mężczyzna i kobieta Odwet

Wieczór trzeci

Kocham mój dom Pieśń morska Bliźniaki uruchamiają wyobraźnię Wieczór czwarty

Do upragnionego przyjaciela

Ó4

SPIS TREŚCI

CZEŚĆ PIERWSZA

Kobziarz 7

Paru głupców i jedna święta 9

Zmierzch w Złotym Brzegu 92

Życzę Ci 94

Stara ścieżka na wybrzeżu 95

Pokój gościnny na wsi 96

Popołudnie z panem Jenkinsem 98

Wieczór drugi 113

Nowy dom 113

Drozdowe nieszpory 114

Noc 116

Mężczyzna i kobieta 117

Odwet 120

Wieczór trzeci 140

Kocham mój dom 140

Pieśń morska 141

Bliźniaki uruchamiają wyobraźnię 144

Wieczór czwarty 176

Do upragnionego przyjaciela 176

Ó4

Nawiedzony ogród 178

Wieczór piąty 205

Dzień świętojański 205

Wspomnienie 207

Spełnione marzenia 210

Wieczór szósty 247

Pożegnanie ze starym pokojem 247

Nawiedzony pokój 250

Pieśń o zimie 252

Penelope i jej teorie 254

Wieczór siódmy 300

| | |
|---|-----|
| Sukces | 300 |
| Wrota marzeń | 302 |
| Stara twarz | 304 |
| Pojednanie | 307 |
| Oszukane dziecko | 316 |
| Szaleńcza wyprawa | 368 |
| Przyganiał kocioł garnkowi | 383 |
| CZEŚĆ DRUGA | |
| Kolejny zmierzch w Złotym Brzegu | 430 |
| Epizod | 430 |
| Ruszajmy w drogę | 431 |
| Czerwcowy dzień | 433 |
| Wiatr jesienny | 434 |
| Dzikie zakątki | 435 |
| Dla niej samej | 437 |
| Zmiana | 437 |
| Znam | 439 |
| Strzeż się, bracie | 440 |
| ÓJÓ | |
| Wieczór drugi | 459 |
| Wiatr | 459 |
| Sny panny młodej | 461 |
| Pieśń majowa | 465 |
| Nadchodzi panna młoda | 467 |
| Wieczór trzeci | 507 |
| Odchodząca dusza | 507 |
| Mój dom | 508 |
| Wspomnienia | 509 |
| Niepozorna kobiecina | 511 |
| Wieczór czwarty | 547 |
| Kanadyjski zmrok | 547 |
| Na spacer z wiosną | 548 |
| Smutek | 550 |
| Pokój | 552 |
| Droga do Wczoraj | 555 |
| Au revoir | 575 |
| Chcę | 575 |
| Pielgrzym | 577 |
| Pieśń o wiosnie | 578 |
| Pokłosie | 579 |
| Pożegnanie z Wyspą Księcia Edwarda,
czyli zamiast posłowa | 582 |
| Nota o tekście | 592 |
| Podziękowania | 593 |
| Przekłady wierszy | |
| Piotr Budkiewicz (s. 95, 96, 117, 141, 176, 205, 252, 575, 578) Dorota Wierzbicka (s. 7, 94,
113, 114, 116, 140, 207, 247, 250, 300, 302, 304, 430, 431, 433, 434, 435, 437, 439, 459, 461,
465, 507, 508, 509, 547, 548, 550, 552, 577, 579) | |
| Opieka redakcyjna Dorota Wierzbicka | |
| Redakcja | |

Aleksandra Szczepan Korekta
Anna Rudnicka, Urszula Srokosz-Martiuk
Projekt okładki Paul Hodgson
Ilustracja wykorzystana na okładce Shelagh Armstrong
Opracowanie komputerowe okładki na podstawie oryginału Marek Pawłowski
Redakcja techniczna Bożena Korbut
Książkowy drukowano na papierze Creamy 70 g vol. 2,0 dostarczonym przez Zing Sp. z o.o.
Printed in Poland
Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2011
ul. Długa 1,31-147 Kraków
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
fax: (+48-12) 430 00 96
tel.: (+48-12) 619 27 70
Skład i łamanie: Infomarket
Druk i oprawa: Drukarnia Kolejowa Kraków Sp. z o.o.